

A u g u s t a D o c h e r

BATAWME
WĘDROWCY

Batawe. Wędrowcy

Projekt okładki: *Dorothea Bylica*

Copyright © INFOBIS Rafał Głąb

Copyright © Wydawnictwo BIS 2018

ISBN 978-83-7551-552-7

Wydawnictwo BIS

ul. Łędzka 44a

01-446 Warszawa

tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl

www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział 1. Przekleństwo losu

Rozdział 2. Pamiątki z Japonii

Rozdział 3. Jeszcze jedna pamiątka

Rozdział 4. Nic poza Tobą...

Rozdział 5. Węgry

Rozdział 6. Ślady po walkach

Rozdział 7. Oni wrócili...

Rozdział 8. Głód

Rozdział 9. Kolejne ostatnie pożegnanie

Rozdział 10. Keep calm

Rozdział 11. Gdyby wiedzieli...

Rozdział 12. Niespodzianka z balii

Rozdział 13. Teściowa

Rozdział 14. Wszystko się zmieni(ło)

Rozdział 15. Stary znajomy

Rozdział 16. Dziewięcioro...

Rozdział 17. I tak nas dopadną...

Rozdział 18. „Chandelier”

Rozdział 19. (Nie)zbędna brawura

Rozdział 20. Dylemat Leo

Rozdział 21. Uważaj na niego...

Rozdział 22. Sztuka wojny

Rozdział 23. Plan A

Rozdział 24. Zbrodnie doskonałe

Rozdział 25. Wielka Księżna i Dziecko

Epilog

Polecamy!

Przypisy

Prolog

Marzenia są dla słabeuszy. Ludzie z charakterem mają cele i z determinacją dążą do tego, żeby je osiągnąć. Wyznaczają je, te łatwiejsze do osiągnięcia i te trudniejsze. I choćby po trupach, prą do przodu, ani na sekundę nie tracąc z oczu tego, co dla nich najważniejsze.

Byłam pewna, że kiedyś spotkam Braci Omal. Nie wiedziałam jedynie, kiedy to nastąpi. Może dlatego nie okazywałam entuzjazmu, ba, nawet go nie odczuwałam, dowiedziawszy się, że Bracia oficjalnie mnie zaprosili. Zaproszenie obejmowało osobę towarzyszącą i chociaż Jack z pewnością nie zasługiwał na ten zaszczyt, postanowiłam zabrać go ze sobą, choćby po to, żeby czuł jeszcze większy podziw, szacunek i respekt niż dotychczas.

Siedziba Bractwa znajdowała się tuż przy wschodniej granicy Bośni i Hercegowiny, w samym środku najbardziej wysuniętej na północ części Narodowego Parku Una. Musiałam przyznać, że miejsce było wyjątkowo urokliwe, a także, co bardzo ważne, ustronne i zapewniające prawie stuprocentową dyskrecję. Bracia Omal byli właścicielami dawnego kościoła oraz zabudowań pełniących funkcję plebanii i budynków folwarcznych. Otoczyli całą posesję wysokim, ponadtrzymetrowym murowanym ogrodzeniem, a sam kościół odremontowali, zachowując niezmienną bryłę budynku i większość architektonicznych detali.

Wnętrze? To już zupełnie inna historia. Wprawdzie i tu zachowano sporo akcentów ukazujących talent budowniczych, rzemieślników i artystów, ale przeważał nowoczesny wystrój – szkło, chrom, wyglansowane na wysoki połysk marmurowe płyty i wszelkie techniczne nowinki. Dla odmiany moja sypialnia prezentowała się po królewsku. Przepych, luksus i wygoda. Wprawdzie budynek otaczały lasy, a od pobliskiej rzeki docierała przyjemna bryza, ale w tych okolicach lato potrafiło dać się we znaki. Zimą bywało z kolei bardzo mroźno. Pewnie dlatego pokój, a raczej coś na kształt komnaty, dosyć wysokiej i z gotyckim sklepieniem, wyposażono w klimatyzację i kominek. Eleganckie meble i dodatki nadawały mu poloru, a kilka grafik autorstwa najlepszych współczesnych rysowników ozdabiało ściany na przemian z łukowatymi okienkami, przez których matowe szyby, niestety, nic nie było widać.

Już przyniesiono moje bagaże, a miła i bardzo pomocna pokojówka pomogła mi założyć suknię. Starannie ją dobrałam, przygotowując się do przyjazdu tutaj. Wyszła spod ręki projektantów tworzących dla Ralphi Laurena i przypominała nieco ostatnią kreację księżnej Kate: długa, z plisowanym dołem i koronkową górą, cała w odcieniu szmaragdowej zieleni, wyjątkowo dobrze podkreślającej mój obecny kolor włosów. Skończyłam się szykować do uroczystej kolacji i zeszłam na dół. Panowie już czekali. Rozmawiali, siedząc przy długim,

hebanowym stole. Na mój widok wstali.

– Witamy. – Podszedł do mnie najstarszy z Braci Omal i kurtuazyjnie cmoknął powietrze nad moją dłonią.

– A Jack? – zdziwiłam się chwilę później, gdy zdążyłam stwierdzić, że stół zastawiono dla sześciu osób.

– Jutro przyjdzie na niego czas – odparł niczym niewzruszony Pierwszy, czyli najstarszy z Braci.

Tak właśnie kazał mi się do siebie zwracać. Zresztą żaden z nich nie używał imion, tylko określeń: Pierwszy, Drugi, aż do Piątego, w odniesieniu do najmłodszego. Pierwszy mógł mieć sześćdziesiąt lat, a Piąty około dziesięciu, może ciut więcej. Miał miękkie rysy twarzy i dziecięcą sylwetkę, której pewnie trochę się wstydził, bo usilnie próbował wydawać się wyższy i szerszy w barach. Na szczęście szykowny i typowo męski strój nieco mu to ułatwiał. Wiedziałam, że gdy Pierwszy skończy siedemdziesiąt lat, odbierze sobie życie, precyzyjnie wskazawszy miejsce swoich ponownych narodzin. Drugi awansuje na przywódcę Bractwa, a nowo narodzony Piąty zostanie niezwłocznie sprowadzony do siedziby, żeby Bractwo od początku miało kontrolę nad jego wychowaniem.

Musiałam przyznać, że to rozwiązanie było genialne w swej prostocie. Organizacji nawet na moment nie groził brak przywódcy z doświadczeniem i wiedzą, jak sprawować tę funkcję. Pewnie dlatego tworzyli tę legendarną strukturę od ponad tysiąca lat, choć w różnych miejscach – siedziba Bractwa zmieniała lokalizację po każdej pełnej kolejce, jeśli mogłam tak określić wymianę wszystkich pięciu Braci Omal na stanowisku Pierwszego.

Kolacja upływała w milczeniu. Towarzyszyła nam jedynie barokowa muzyka dobiegająca z bliżej nieokreślonego źródła. Ukradkiem obserwowałam Braci znad kolejnych wykwintnych dań serwowanych nam przez kelnerów. Każdy z gospodarzy założył taki sam strój. Stanowiły go czarny smoking, biała koszula i gładka, krwistoczerwona muszka. Ten zestaw pasował każdemu z nich – zarówno wysokiemu, dosyć szczupłemu przywódcy, jak i Trzeciemu, który wyraźnie nie przestrzegał żadnej diety. Musiał ważyć co najmniej dwieście funtów, o ile nie dwieście pięćdziesiąt. Prawie wszyscy Bracia byli biali, tylko Czwarty miał ciemną skórę i bardzo ciekawy znak szczególny, a mianowicie różne kolory tęczy oczu. Drugi zaś był ewidentnie najprzystojniejszy. Miał pełne usta, mocno zarysowaną szczękę i gęste, ciemne brwi osadzone nad czarnymi oczami.

– Może zanim przejdziemy do rozmów, nasz gość powinien poznać wielką księżniczkę Anastazję? – zaproponował, gdy służba bezszelestnie wyniosła brudne naczynia, a na stole zostały jedynie kielichy i kilka butelek wina.

– Tak mówisz, Bracie? – Pierwszy spojrzał na swojego zastępcę i uśmiechnął się z aprobatą. – Dobrze. Niech tak będzie. – Gestem ręki przywołał jednego z lokajów i szepnął mu coś do ucha. Ten pokiwał głową i wyszedł. – Zanim

poznasz nasze rezydentki, drogi gościu – zwrócił się do mnie – chciałbym wnieść toast za to spotkanie.

Wszyscy podnieśliśmy napełnione kielichy, a Pierwszy wygłosił z emfazą: „Za zdrowie Szóstej”. Odpowiedział mu chór męskich głosów. Poczułam, jak wzdłuż mojego kręgosłupa pociekł strumyczek potu.

– Dziękuję za wspaniałe przyjęcie – odparłam, gdy wszyscy wychyliliśmy kielichy do dna.

– Moja droga, wprawdzie dopiero aspirujesz do tego zaszczytnego miana, ale uznałem, że już teraz należy ci się ten tytuł. Bractwo Omal od setek lat składało się wyłącznie z mężczyzn i do tej pory nie zasiadała wśród nas żadna białogłowa, lecz świat pędzi do przodu.

– Parytety – zażartował Drugi.

– Otóż to. – Pierwszy łaskawie skinął głową, ale nawet nie zerknął na swojego zastępcę. Nie spuszczał ze mnie wzroku, a ja czułam coraz większy niepokój, bo jego spojrzenie przeszywało mnie na wylot. – Obdarzamy cię ogromnym zaufaniem. Mam nadzieję, że wiesz, co to oznacza. Nie tylko prawa, ale przede wszystkim obowiązki. Będziesz musiała niejednokrotnie udowodnić nam swoją lojalność i choć od trzech ostatnich wcieleń sprawujesz się bez zarzutu, nie licząc oczywiście drobnych wpadek, nie oznacza to, że skończył się czas próby.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałam, ukradkiem wycierając spocone dłonie w rozłożoną na kolanach serwetę.

– Gdy wykonasz zadanie i zdobędziesz dla nas Księgę, oficjalnie przyjmujemy cię do Bractwa. Uważamy, że dla dobra wszystkich Wędrowców, nie tylko z plemienia Eperu czy Batawe, ale przede wszystkim dla nas, noszących z dumą znak Habbatum, Księga powinna znaleźć się w naszym posiadaniu, ale to chyba oczywiste?

– Tak.

– Wesprzemy cię na wszystkie możliwe sposoby, żebyś mogła ją dla nas odzyskać.

– A co ze Strażniczką Księgi? Bez niej nie odczytamy treści – ośmieliłam się przypomnieć.

– O tym pomyślimy później. Naturalnie, gdybyś dostarczyła nam i Księgę, i Strażniczkę, nasza wdzięczność nie będzie znała granic, ale to Księga jest ważniejsza. Nawet jeśli nie będziemy jej mogli odczytać – oświadczył Pierwszy stanowczym tonem.

Od razu pojąłam, że to oznacza koniec dyskusji o Księdze. Okazało się, że właściwie oceniłam intencje Pierwszego, bo w tym momencie otworzyły się wielkie dwuskrzydłowe drzwi i do jadalni wkroczył lokaj. Prowadził za rękę małą dziewczynkę, a za nimi do wnętrza wjechała staruszka, wieziona na wózku inwalidzkim przez kobietę w białym uniformie.

– Oto i nasza księżniczka! – Pierwszy z emfazą klasnął w dłonie. Spojrzał na mnie, więc natychmiast wstałam z wysokiego, kunsztownie wyrzeźbionego w hebanowym drewnie i niewygodnego jak diabli krzesła i podeszłam do kobiet.

Nagle cała służba dyskretnie się oddaliła, włącznie z pielęgniarką. Widocznie takie dostali instrukcje.

– To księżniczka Anastazja. – Pierwszy również się podniósł, a po chwili wokół wózka stanęli wszyscy Bracia.

Piąty stanął za dziewczynką i wsparł dłonie na jej ramionach. Miała kruczoczarne gęste włosy spięte w kucyk, śliczne duże oczy w ciemnej oprawie, cerę do złudzenia przypominającą kolorem tłustą wiejską śmietaną i delikatny meszek nad pełnymi ustami.

– Pochodzi z Kirgistanu – powiedział najmłodszy z Braci. – Ma prawie sześć lat i jest pod moją opieką.

Z uznaniem wyděłam wargi. Piąty musiał zauważyć, że to dziewczynka przyciągnęła moją uwagę jako pierwsza.

– Jak ma na imię? – zapytałam i chcąc okazać uprzejmość, uśmiechnęłam się do najmłodszego Brata.

– Jeszcze nie ma imienia – wyjaśnił, wprawiając mnie w chwilowe zaskoczenie.

– Śmiało, przedstaw się. Ty możesz, przecież już masz imię – zachęcił mnie Pierwszy.

– Jestem... – zawahałam się. Chyba zabrakło mi odwagi, żeby posłużyć się nazwą, którą otrzymałam niejako na kredyt.

– Szósta. Dziecko, poznaj, oto Szósta – powiedział Piąty i popchnął ją delikatnie w moją stronę.

Podawała mi rękę i uśmiechnęła się blado. Zapanowała konsternacja, bo dziewczynka trzymała moją dłoń i nie chciała jej puścić. Zaciśnęła mocno palce, jakby od tego zależało jej życie. W końcu Piąty nachylił się i powiedział jej coś do ucha. Odetchnęłam z ulgą, gdy mała rozluźniła w końcu uścisk i wyszła wraz z Piątym z jadalni.

– Kopię zapasową już poznałaś, a teraz czas na oryginał – stwierdził żartobliwie Pierwszy i klepnął lekko rączkę wózka. Siedząca na nim staruszka dopiero teraz otworzyła oczy. Nie miałam pojęcia, ile może mieć lat, bo jej twarz była nienaturalnie gładka, choć okolona wianuszkiem białych włosów, a błękitne niegdyś tęczówki pokrywało bielmo charakterystyczne dla bardzo starych osób. – Księżniczka Anastazja, a właściwie: Wielikaja Kniażna Anastasija Nikołajewna Romanowa – rzekł z idealnym rosyjskim akcentem. – Wersja dwa zero – dodał i roześmiał się na cały głos.

Bracia ochoczo poszli w jego ślady, więc i mnie nie wypadało zachować powagi. Kilka razy zaśmiałam się z wdziękiem.

– Czy ona rozumie, co mówimy? – spytałam, bo staruszka nie okazała nam ani grama zainteresowania. Mlasnęła kilka razy, podrapała się po obfitym podbródku i znów zapadła w drzemkę. Jej dłonie w białych koronkowych rękawiczkach, leżące na podolku, delikatnie drżały, a ciałem co jakiś czas wstrząsał lekki skurcz.

– Ostatnio jest z nią coraz gorzej, ale to naturalne. I tak niezłe się trzyma ta nasza babunia na sto dwa – powiedział po chwili Pierwszy. – Dzisiaj wyjątkowo słabo kontaktuje.

– Miewała lepsze dni – dodał Drugi, spoglądając na Czwartego. Ten od razu chwycił rączki wózka i opuścił jadalnię razem z Anastazją.

Minęły może dwie minuty i obaj Bracia znów do nas dołączyli. Pierwszy poprosił, żebyśmy usiedli, i zaproponował kolejny toast, tym razem za zdrowie i powodzenie całego Bractwa Omal.

– Pewnie jesteś ciekawa, kim są te dwie panie, które miałaś okazję przed chwilą poznać. Otóż to nasze filtry. Anastazja ma sto dwa lata, wkrótce, w połowie lipca, skończy sto trzy, o ile oczywiście dożyje. Od lat zmaga się z parkinsonem i alzheimerem. Swoją dobrą formę zawdzięcza między innymi tobie, moja droga. – Skinął głową. – Ostatnia terapia twoimi lekami znacząco poprawiła stan jej zdrowia. Jednakowoż liczymy się z jej rychłą śmiercią, stąd zapasowa kopia, czyli Dziecko.

– Obie są z plemienia Eperu? – domyśliłam się, a gdy Pierwszy przytaknął, spytałam: – Chodzi wam o ich Astrum czy o odczytanie Księgi?

– Żadna z nich nie jest Strażniczką, więc nie przydałyby się nam w tej roli.

– Czyli jednak Astrum?

– Tak. Astrum kobiet z plemienia Eperu jest znacznie większe niż mężczyzn. Miewa zasięg nawet do dwudziestu metrów, zwłaszcza gdy Wędrowiec przeżył sporo wcieleń. Anastazja przeżywa dopiero drugie lub trzecie, ale Dziecko już dwunaste. Jej Astrum chroni całą posesję.

– Dlaczego nie chcecie być podsłuchiwanymi przez innych z Habbatum? – spytałam, bo nieco zdziwił mnie ten brak lojalności i zaufania wobec innych współplemieńców. Przecież zarówno członkowie Bractwa, jak i ja, Jack, Brian i pewnie jacyś inni osobnicy z trójkątnym znamieniem, wszyscy stanowiliśmy jedność.

– Wolimy być ostrożni. Zawsze możemy wezwać pozostałych członków plemienia Habbatum i porozmawiać twarzą w twarz. To najlepsza forma kontaktu.

– Rozumiem. Mam pytanie – powiedziałam po chwili namysłu.

– Śmiało. W Bractwie nie mamy żadnych tajemnic.

– Czy wasza Anastazja...

– Nasza – poprawił mnie Pierwszy.

– Czy nasza Anastazja była kiedyś Anastazją Romanową, czy to twój żart,

Bracie?

– Lubię żartować. – Pierwszy lekko się zaśmiał. – Ale tym razem to nie żart. Nie wiem, czy ci wiadomo, ale John, twój dobry znajomy i jednocześnie dziadek Anastazji Wilk, czy też Anny Wilk, miał romans z Anastazją Romanową.

– O! – Z trudem powstrzymałam się, żeby nie zakląć. John nigdy mi o tym nie powiedział. Zrozumiałam, dlaczego w pewnym momencie jako członek plemienia Habbatum przeszedł na drugą stronę barykady i tak skutecznie ukrył Księgę, że zniknęła na długie lata.

– Szukaliśmy Anastazji, bo wiedzieliśmy o jego afekcie i chcieliśmy użyć jej jako karty przetargowej. John miał nam oddać Księgę, a my – zwrócić mu Anastazję. Niestety, nigdy się po nią nie zgłosił, a Księga zaginęła.

– Nie zgłosił się, bo już dawno zakończył swoje ostatnie wcielenie – powiedziałam. – Johna nie ma.

– Otóż to. Nie wiemy, dlaczego John postanowił ostatecznie zakończyć swój żywot Wędrowca. W akcie desperacji spłodził Jana, Wędrowca z plemienia Batawe, a ten też wypadł z gry, gdy urodził się kolejny potomek, tym razem dziewczynka z plemienia Eperu, czyli Anna Wilk. – Drugi mówił o tym z wyraźnym niesmakiem, zupełnie jakby brzydził się czymś, co ma choćby najmniejszy związek z tak zwanymi wyższymi uczuciami.

– Anastazja – poprawił Pierwszy. – Ona ma na imię Anastazja. Myślę, że to przez ten głupi sentyment Jan tak właśnie ją ochrzcił, kierując się wspomnieniami odziedziczonymi po Johnie. Na szczęście nas nie dotyczą te wszystkie porywy serca, chyba że stanowią wątek fabuły książki lub filmu. Miłość jest szalenie niepraktyczna – ocenił.

– Ciekawe spostrzeżenie. – Rozciągnęłam usta w uśmiechu. – I bardzo celne.

– Dziękuję. – Pierwszy rozejrzał się wokół, pewnie sprawdzając, czy pozostali Bracia dzielają moją opinię. – A teraz ty, moja droga, powiedz, co wiesz o naszym mniejszym bracie, czyli o Brianie czy też Edmundzie.

– Odnalazłam go. Mieszka w Londynie, w jakiejś norze na obrzeżach Whitechapel. Odwiedziłam go kilka razy. Moim zdaniem ma poważne problemy z psychiką. Był w śpiączce, ale to wiecie. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy udaje amnezję, czy faktycznie nic nie pamięta z ostatniego wcielenia.

– Ma znamie?

– Tak – odpowiedziałam bez wahania.

– Nie poznał cię? – zainteresował się Drugi.

– Na początku nie. Szczerze mówiąc, sama miałam z tym problem. – Parsknęłam pod nosem i poprawiłam włosy. – Ale głosu nie zmieniałam, więc dosyć szybko domyślił się, kim jestem. Zresztą w poprzednim wcieleniu pałał do mnie wielkim afektem – powiedziałam żartobliwie.

– Szkoda, że nie jesteś w stanie stwierdzić, jak jest naprawdę z tą amnezją – westchnął Pierwszy. – Był bardzo dobrym żołnierzem. Idealnie wtopił się w szeregi Eperu. Wszedł między nich i został w pełni zaakceptowany. Na pewno do dzisiaj wszyscy mu ufają. Może poza tym... – Pierwszy zmarszczył czoło. – Jak się zwie ten komediant?

– Leo Black – poddałam usłudze. – To zwykła samcza zazdrość, nie brak zaufania. Ręczę za to.

– Musimy ci uwierzyć. Jeszcze raz gratuluję opracowania całej intrygi.

– Dziękuję – odpowiedziałam, nie kryjąc dumy.

– W naszych szeregach też mamy artystę – zauważył Drugi. – Bracie, czy zagrasz nam którąś ze swoich kompozycji na fortepian? – Zerknął na Czwartego, a ten od razu pokiwał głową.

– To może za chwilę, bo teraz proponuję wnieść toast za odzyskanie Księgi. – Pierwszy spojrzał wymownie na Piątego. Ten, choć jako jedyny nie pił wina, lecz czystą wodę, z widoczną wprawą napełnił nasze kielichy.

– Za odzyskanie Księgi.

– Za odzyskanie Księgi!

Rozdział 1

Przekleństwo losu

– Wchodźcie, zapraszam. – Kris powitał nas w progu. – Głodni?

– Dzięki, może później. Jedliśmy po drodze – odpowiedział Leo, klepiąc się po brzuchu.

– Szkoda. Iksha przygotowała wyśmienity *dhodak*.

– Czyli? – spytał mój chłopak.

– Placuszki z ogórka i kokosa. Wegetariańskie danie, ale całkiem pożywne – wyjaśniła Dalila, która właśnie stanęła w korytarzu.

Już kiedyś widziałam ją w sari, ale dzisiaj założyła wyjątkowo piękny strój. Delikatna różowa tkanina połyskiwała szmaragdowymi refleksami przy każdym ruchu. Dalila rzadko nosiła biżuterię, pewnie dlatego, że była jej zupełnie niepotrzebna. Wystarczyło *bindi* przyklejone między dwiema idealnie wyregulowanymi brwiami i onyksowy blask oczu.

Gdy już wyraziłam swój zachwyt, zaczęłam się rozglądać, próbując wyczuć panujący tu klimat. Czy będzie tak jak w przytulnym domu na Saint Andrew's Road? A może zupełnie inaczej? Obecna partnerka Krisa niewątpliwie miała inny gust niż Jane, jego była żona.

– I jak? – Gospodarz chyba zauważył, że strzelam oczami na prawo i lewo. Niewątpliwie zapamiętał, jak zareagowałam, gdy odwiedziłam go po raz pierwszy. Wysłałam wtedy na gąskę, bo oczekiwałam Bóg wie czego, a zobaczyłam możliwie najbardziej tradycyjny angielski wystrój.

– O matko, jak tu ślicznie! – jęknęłam, ledwie przekroczyliśmy z Leo próg salonu.

– To zasługa Ikshy – stwierdził Kris, ostrożnie stawiając tacę z imbrykiem i filiżankami na niskim stolczku przykrytym mieniącą się tkaniną.

– Dziękuję – zawstydziła się Dalila, widząc moje cielece spojrzenie. – Jesteś zbyt miła.

– Naprawdę, niesamowicie to wygląda – mruknęłam, nie wiedząc, na co patrzeć.

Wnętrze oszałamiało. Dla mnie, czyli dla kogoś, kto dorastał otoczony albumami o malarstwie, kto przynajmniej raz w tygodniu chodził do muzeów albo na wystawy, kto znał na pamięć wszystkie galerie Tate, ten pokój był czymś nieprawdopodobnym. Otaczała nas nie feeria barw, lecz prawdziwa ich lawina. Ściany pomalowano farbą w kolorze chłodnego pruskiego błękitu, ale dla kontrastu zasłony krzyczały intensywnym oranżem. Sofę przykryto złocistą narzutą w drobny ciemny wzorek, na niej położono stos poduszek czerwonych niczym chilli i zielonych jak jalapeño. Do tego bogato rzeźbione meble w indyjskim stylu,

zastawione dziesiątkami uroczych drobiazgów: metalowymi dzbankami, misami pełnymi owoców i świecznikami.

Stąpaliśmy po miękkim jak najdelikatniejszy angielski trawnik dywanem w orientalne wzory. Nasze sylwetki odbijały się w kilku lustrach rozmieszczonych tak zmyślnie, że wydawało się, że salon jest trzy razy większy niż w rzeczywistości, ale mimo to wciąż bardzo przytulny. Do tego zapach kadzidełek i indyjska muzyka sącząca się gdzieś z góry. Bajka...

– Hm... Wyszło na to, że mieszkam w prosektorium – zażartował Leo, siadając w jednym z miękkich foteli.

– Nie da się ukryć – przytaknęłam.

– Mogę zamówić projekt podobnego wystroju? – Popatrzył na Dalilę.

– Bez problemu. – Mrugnęła do niego.

– Gdzie Alisha? – spytałam, nalewając sobie herbaty o przedziwnym, korzennym aromacie.

– Śpi. Wszystko zbyt mocno ją przytłoczyło. Londyn, nowe mieszkanie, Kris... – zaśmiała się Dalila. – Byłyśmy rano u psychologa-logopedy. Będzie tu przyjeżdżał dwa razy w tygodniu, może coś drgnie z jej mową, bo na razie nie ma żadnych postępów – stropiła się.

– Musisz być cierpliwa – powiedział Kris, obejmując ją ramieniem.

– Masz rację. Przepraszam, że ciągle marudzę. – Dyskretnie otarła kącik oka. – Opowiadajcie, co z Brianem?

Leo dzwonił do Krisa zaraz po naszej porannej pobudce, gdy jeszcze nie wiedzieliśmy o nowym wstrząsającym fakcie, czyli o zniknięciu Briana. Rozmawiali raptem minutę, więc teraz dosyć dokładnie opowiedział, co wydarzyło się w nocy, a ja wtrącałam kilka uwag, żebyśmy wszyscy mieli pełny obraz sytuacji.

– Brian samoistnie odzyskał przytomność, jest w pełni sprawny fizycznie, głównie dzięki tobie. – Kiwnęłam lekko głową w stronę Dalili. – Sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie się przebudził z mocnego snu, był wypoczęty i pełen energii. Odpowiadał logicznie, ale uparcie twierdził, że nazywa się Edmund Lidz.

– Tak nazywał się w poprzednim wcieleniu – przypomniał Leo. – Podkreślił to kilka razy.

– Lekarze uznali, że Brian ma amnezję, co jest typowe dla pacjentów, którzy byli w śpiączce – dodałam.

– Jak on się teraz czuje? – spytał Kris. – Został w hospicjum?

– Nie wiemy, jak się czuje, bo Brian zniknął – odpowiedziałam, przełykając gulę.

– Co?! – wyrwało się z ust Krisa. – Uciekł?

– Tak – potwierdziłam.

– No dobrze, ale jak mu się udało uciec? – spytała Dalila, gdy Leo skończył referować drugą część historii, czyli to, co wydarzyło się do przedpołudniowej

wizyty Powella, który oznajmił nam, że doktor Bailey godzinę wcześniej opuścił szpital i w związku z tym nasza obecność jako rodziny jest zbędna.

– Brian nie uciekł. Po prostu wypisał się na własne żądanie – doprecyzowałam.

– Ale jak? Przecież mówiliście, że stracił pamięć, że przedstawił się jako Edmund...

– Lidz – dokończyłam za Dalilę. – Tak było w nocy. Brian konsekwentnie twierdził, że nazywa się Lidz, mimo że lekarz podpowiadał mu, jak brzmi jego nazwisko. Ponoć dzisiaj rano obudził się, wezwał pielęgniarkę i stwierdził, że chce się wypisać ze szpitala. Powell, czyli lekarz, który go ratował, i Elfman byli na obchodzie, ale gdy usłyszeli, co się stało, zaraz tam przybiegli.

– I co? – Kris z wrażenia kręcił się nerwowo i co chwilę upijał łyk herbaty.

– Zbadali go, a potem Powell znów wypytał Briana o wszystko: adres, datę urodzenia, dane z prawa jazdy i tak dalej. Brian odpowiedział prawidłowo, więc nie mieli podstaw, żeby go dłużej trzymać. Był pewien problem, bo oprócz dokumentów nie miał nic: pieniędzy, ubrania, butów, telefonu komórkowego, ale stwierdził, że sobie poradzi, i opuścił oddział w lekarskim fartuchu i chodakach, które mu pożyczyli – dokończył opowieść Leo.

– Dlaczego was nie powiadomili?! – Kris uderzył dłońmi o uda.

– Mówili mu, że jesteśmy w tym samym budynku i rodzina czeka na niego, ale nie zgodził się nas poinformować, że zamierza opuścić oddział. Podobno bardzo się zdenerwował tą propozycją, więc nie naciskali – wyjaśnił Leo.

– Pięknie! Uciekł nam łobuz – warknął Kris. – Mam jego telefon, ale bez karty SIM. Musiał ją wyjąć jeszcze w Delhi, w hotelu. W pamięci aparatu nic nie ma, sprawdziłem. No to teraz szukaj wiatru w polu. Pewnie ma już nowe papiery. – Machnął ręką.

– Jak sądzisz, miał amnezję czy nie? – spytałam.

– Nie mam zdania. Mógł udawać, przecież leczył setki takich ludzi. Widział, jak wyglądają, jak się zachowują, co mówią.

– Moim zdaniem nie miał, skoro odpowiedział na wszystkie pytania dotyczące swoich danych osobowych – wtrąciła Dalila.

– Mógł opuścić ciało i zobaczyć, co widnieje na karcie pacjenta – rozważał Kris. – O ile pamiętał, kim jest i że jako Wędrowiec może tak zrobić.

– Zaraz zwariuję – mruknął Leo. – Dywagujemy, tworzymy teorie, a podstawowe pytanie brzmi: dlaczego tak zrobił? Czemu uciekł?

– Nie mam pojęcia – odparł Kris, a Dalila wzruszyła ramionami i popatrzyła na mnie.

– Ja też nie wiem. – Zagryzłam wargę. Z jednej strony cieszyłam się, że Brian jest zdrowy i zamiast tkwić właśnie na stole operacyjnym jako dawca narządów, biega gdzieś po Londynie lub podróżuje w nieznanym nam kierunku,

a z drugiej strony czułam do niego ogromny żal.

– Jak go znam, pojawi się w najmniej oczekiwanym momencie – zaśmiał się Kris. Chyba zauważył, że posmutniałam, bo wstał i poklepał mnie krzepiąco w ramię. – Nie martw się, mała, on jest jak diabeł: ani się obejrzysz, a wyskoczy z pudełka.

– Oby – westchnęłam.

– Słuchajcie, był jeszcze jeden problem, na szczęście chyba sam się rozwiązał. – Leo nerwowo chrząknął i od razu mocno mnie przytulił.

– Jaki problem? – Kris głośno westchnął.

– Ze znikającym znamieniem Anny.

– Co? Jak? – zachnął się Kris. – Co on mówi?! – Popatrzył na mnie.

– Kilka godzin po tym, jak dźgnęłam nożem pana Jiao, poczułam mrowienie w miejscu, gdzie mam znamię. Okazało się, że wyraźnie zbladło – wyznałam.

– Och! – Dalila z wrażenia zatkała usta. Dobrze wiedziała, że pan Jiao nie żył, gdy go uzdrawiała. Pewnie sądziła, że to nie miało znaczenia, ale teraz, gdy wprowadziłam ją z błędu, zbladła tak samo jak to nieszczęsne znamię.

– Bładło z godziny na godzinę, aż stało się niemal niewidoczne. Mam zdjęcia w telefonie.

– Czemu nic nie powiedziałaś? – spytał z pretensją Kris.

– Nie miała okazji – wybronił mnie Leo. – Nie było czasu. Na szczęście dzisiaj rano Anna odkryła, że wszystko jest raczej w porządku. A skoro znamię nie znikło całkowicie, jej przewinienie nie było, zdaje się, aż tak poważne. Swoją drogą, nie uważacie, że to głupie? Gdy Anna w samoobronie dziabnęła bandziora nożem, znamię od razu zbladło. Nasza koleżanka Debora odpowiada za śmierć setek ludzi, a mimo to nadal chodzi po świecie tylko dlatego, że to inni odwalają za nią czarną robotę – powiedział Leo.

– W tej ciasnej celce raczej nie ma okazji do swobodnych spacerów. A co do jej pomagierów, przecież nikt ich nie zmusza. To ich wolna wola. Niektórzy nie mają oporów, gdy w grę wchodzi pieniądze, zawiść albo niespełnione ambicje. Nie czytałeś nigdy historii o zaprzędawaniu duszy diabłu? – Kris zerknął na Leo.

– Czytałem – burknął.

– Może później porozmawiamy o moralności i zasadach? – zasugerowała Dalila. – Dla mnie ważniejsza jest kwestia, dlaczego znamię z powrotem przybrało normalny kolor.

– Zanim to się stało, rozważałem opcję, że... – zagaił Leo.

– Naprawi się samoistnie, gdy Anna uratuje komuś życie – weszła mu w słowo Dalila. – Pomyślałam o tym samym.

– Właśnie tak. Na logikę: znamię zbladło, bo Anna w samoobronie zabiła człowieka, i przybierze normalny kolor, gdy uratuje życie komuś innemu.

– Czyli Brian przebudził się ze śpiączki dzięki tobie? – Kris popatrzył na mnie.

– Chyba tak. – Wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, jak tego dokonałam. – Przytknęłam jego rękę do mojego znamienia, ale wtedy nic się nie stało. Nadal był nieprzytomny. Przebudził się kilka godzin później.

– Kiedyś dowiemy się prawdy, a na razie musisz nam pokazać znamię – orzekł Kris, patrząc na mnie. – Porównamy.

– Może ja to załatwię? – Dalila podniosła się z sofy. – Anna ma je pod ubraniem.

Odetchnęłam z ulgą. Nie uśmiechało mi się zdejmowanie bluzki przy takim konsylium, zwłaszcza przy Krisie. Pomaszerowałyśmy do łazienki. Nad wanną wisało tyle halogenów, że nawet u mojego stomatologa nie było tak jasno.

– Nie martw się. – Dalila pogłaskała mnie po policzku. – Najważniejsze, że znamię z powrotem przybrało normalny kolor.

– Uhm... – mruknęłam bez przekonania. – Przez to całe zamieszanie z Brianem zapomniałam o nim, a teraz znów się boję, że w przyszłym wcieleniu już nie będę z Eperu, a ósemkę zastąpi ten okropny trójkąt plemienia Habbatum. Wystarczy jeszcze jedna podobna sytuacja... Co mam wtedy zrobić? Pozwolić się zabić? A jeśli nie będzie cię w pobliżu? Co się stanie z moją mamą? Ona tego nie przeżyje, ma tylko mnie – mówiłam przez uparcie napływające łzy.

– Nie martw się na zapas – powtórzyła.

Drżącymi rękami rozpięłam guziki koszuli, zdjęłam ją i podwinęłam podkoszulek. – I jak? – wychrypiałam.

– Poczekaj... – mruknęła Dalila, przystawiając swój nadgarstek do mojego brzucha, tuż pod piersią. – Hm, szczerze mówiąc, nie widzę różnicy – powiedziała, podnosząc na mnie wzrok. – Jest takie samo jak moje.

– Na pewno?

– Na pewno.

Dalila obróciła mnie w stronę lustra. Znamię było ciemnomalinowe, tak jak kiedyś. Stałyśmy przed zwierciadłem: Dalila, ciągle trzymająca rękę przy mojej piersi, i ja, patrząca na nasze dwa znamiona.

– Są takie same.

– Ono naprawdę było jasne. Zawołaj Leo, jeśli mi nie wierzysz – powiedziałam, więc Dalila uchyliła drzwi i krzyknęła w stronę salonu. Leo po kilku sekundach znalazł się w łazience.

– Co się dzieje? – spytał, zerkając z niepokojem to na mnie, to na nią.

– Leo, popatrz. – Wypięłam dumnie brzuch. – Naprawiło się.

– Pokaż. – Obrócił mnie w stronę światła. – Dalilo, możesz na moment przystawić swoje?

– I jak? – dopytywałam, bo Dalila zabrała rękę, a Leo dalej wpatrywał się

w zamię.

– Jest w porządku! Boże! Dzięki... – Nagle ścisnął mnie tak mocno, że aż zabolalo.

– Chodźcie, Kris na pewno się denerwuje – popędziła nas Dalila.

– Idźcie, zaraz przyjdę – powiedziałam.

Musiałam na chwilę zostać sama. Wzniosłam wzrok ku górze, dziękując wszystkim bóstwom, które były odpowiedzialne za ten cud. Szybko zsunęłam podkoszulek, nawet nie zakładałam bluzki, bo przez te oględziny zrobiło mi się wściekle gorąco. Ochlapałam twarz lodowatą wodą i dopiero gdy rumieńce trochę zelzały, wróciłam do salonu. Moi zwariowani przyjaciele powitali mnie brawami. Zanim dotarłam na miejsce, Kris zdążył potarosić moją fryzurę, a Dalila – wyrwać koszulę i rzucić mi ją na głowę.

– Wariaci – sapnęłam, siadając obok Leo. Jak ja ich wszystkich kochałam, aż ścisnęło mnie w dołku.

– Mam pomysł! – powiedział Kris. – Ja i Iksha idziemy do kuchni, przygotujemy kolację, Leo otworzy wino, a Anna niech obudzi naszą śpiącą królewnę. Mamy przecież poczworną okazję do radości! – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

No tak: zdrowa Ruby, odnaleziona Alisha, Brian przywrócony do życia i moje zamię! Zasłużyliśmy na porządne świętowanie.

Pół godziny i tysiąc kalorii później ledwie żyliśmy. Miało być lekko i wegetariańsko: ogórki, kokos, orientalne przyprawy, a skończyło się na kilku daniach, między innymi przepyszny kurczaku, wołowinie w sosie curry, wprost obłędnych pierożkach *samosa* i ogromnym deserze. Leo prawie pękł, najadł się wszystkiego, zupełnie jak na naszej Wigilii, choć zarzekał się, że tylko skosztuje. Kris w niczym mu nie ustępował, stwierdzając, że od kiedy Iksha wprowadziła się do jego domu, przytył prawie pięć kilogramów. Przy Jane na pewno tak sobie nie używał. Ona całe życie dbała o linię.

– Niewątpliwie gotowanie to kolejny talent mojej ukochanej dziewczynki. – Uniósł dłoń Dalili i złożył na niej głośny pocałunek.

– À propos talentów, musicie coś zobaczyć! – pisnęła gospodyni.

Przysunęła się do Alishy i szepnęła jej coś na ucho. Dziewczyna spiekleła raka, pokręciła głową, ale ostatecznie chyba udało się ją przekonać, bo wstała, bezszelestnie opuściła salon i po chwili wróciła z małym pudełeczkiem. Wyglądało bardzo zwyczajnie: z szarego kartonu, nieco przybrudzone i ze zgniecionymi narożnikami, ale gdy właścicielka otworzyła je, odwinęła burą szmatkę i powoli zaczęła wyjmować zawartość, aż mnie zatkało.

Zresztą Leo wyglądał podobnie: nachylony nad stołem i z wybałuszonymi z wrażenia oczami. Oboje nie mogliśmy uwierzyć, że to, co widzimy, jest dziełem ludzkich rąk, na dodatek tak znajomych.

– Mogę? – spytałam, wyciągając dłoń po jedną z maleńkich, azurowych figurek.

Alisha pokiwała głową, przesuwając w moją stronę kilka tych cacek. Czegóż tu nie było: rybka, motyl, drzewko bonsai, Budda, kilka tajemniczych roślin, nawet malusieńka książka. Córka Dalili rzeźbiła swe figurki w drewnie lub delikatnie połyskującym białym kamieniu. Jedna z nich, przedstawiająca owada, powstała z kawałka czegoś czarnego, a inna chyba ze zwykłej cegły, bo miała specyficzny ciepły kolor i porowatość.

– Jakie maleństwa... – Leo z niedowierzaniem pokręcił głową. – Aż boję się dotknąć.

– *Jak to zrobiłaś?* – spytałam tak, żeby oprócz autorki tych miniaturowych dzieł sztuki wszyscy mogli mnie usłyszeć w swoich głowach.

– Rzeźbi igłą. Niektóre nawet kilka miesięcy – wyjaśniła za córkę Dalila. – Robi to od lat. Zamiast układać *rangoli*, jak większość jej rówieśniczek, brała kawałek drewna i zaczynała rzeźbić. Myślałam, że to taka dziecięca zabawa, ale teraz widzę, że ten talent tkwił w niej od zawsze. Piękny, prawda? – spytała, biorąc do ręki maleńkiego motylka.

– Wszystkie są piękne – westchnęłam. – Gdybym musiała wybrać, który najbardziej mi się podoba, miałabym kłopot.

– Nie ma co, dziewczyna jest równie utalentowana jak jej mama, choć w zupełnie innej dziedzinie. – Kris przyglądał się im z zachwytem.

– Mam pomysł! – pisnęłam. – Znam świetną galerię, już trzy razy tam się wystawiałam. Wspierają debiutantów, organizują wernisaże i sprzedaż wystawionych prac. Nie pobierają przy tym żadnych opłat. Ich działalność sponsorują duże firmy i podobno nawet ktoś z rodziny królewskiej. Galeria jest niedaleko Trafalgar Square, więc odwiedza ją sporo osób. Myślę, że udałoby się zorganizować wystawę rzeźb Alishy, oczywiście nie musi ich sprzedawać – zwróciłam się do Dalili, chcąc sprawdzić, czy zaakceptuje ten pomysł.

– Sama spytaj artystkę – odpowiedziała ze śmiechem. – Dobrze, że przynajmniej po tobie nie muszę jej powtarzać, co mówiłaś.

Szybko przedstawiłam Alishy moją propozycję. Najpierw uniosła brwi, później oblała się rumieńcem i zerknęła na Dalilę, szukając jej aprobaty. Gdy ta promiennie się uśmiechnęła, młoda rzeźbiarka od razu pokiwała głową.

– Świetnie! – Aż podskoczyłam na krześle.

– Powinnaś jej pokazać swoje rysunki – stwierdził Leo. – Też nie masz się czego wstydzić.

– Nie dorastam jej do pięt – powiedziałam, patrząc na Alishę, która powoli i skrupulatnie układała rzeźby w pudełku.

– Nie bądź taka skromna. Miałem jeden z twoich rysunków, wiem, co potrafisz – wtrącił się Kris, nalewając nam wszystkim po kolejnym kieliszku

wybornego wina.

– Serio? Który? I skąd go masz?

– Kupiłem. Przedstawia jeden z pejzaży Antibes. Niestety, Jane bardzo go lubiła i został u niej – odparł, zajmując swoje miejsce.

– Mam coś w telefonie – przypomniałam sobie. – *Chcesz zobaczyć moje rysunki?* – Popatrzyłam na Alishę. Oczywiście ochoczo się zgodziła, więc przysunęłam się bliżej jej krzesła i położyłam smartfon na stole.

– Ja też chcę zobaczyć – oświadczyła Dalila, przysiadając się z drugiej strony.

Dobrze, że miałam pretekst, żeby nie pić kolejnej lampki wina, bo już i tak szumiało mi w głowie. Zdaje się zresztą, że panowie konkretnie się wstawili, bo mówili coraz głośniej. Na szczęście Kris poprosił Leo, żeby przeszli na moment do gabinetu. Chciał się pochwalić nową pasją, a raczej akcesoriami do niej, czyli kijami do golfa. Zostałyśmy same.

– Już, chwileczkę, gdzieś tu muszą być... – mamrotałam, przesuwając kolejne zdjęcia. – Mam okropny bałagan w tej galerii – westchnęłam, natrafiając na fotki ze świąt, wizyty u Wiktorii, a nawet te, które Brian wysłał mi kiedyś z naszego wspólnego pobytu w Zakopanem.

Nagle usłyszałam jakiś dziwny odgłos: chrząknięcie? Zastygłam z palcem wiszącym w powietrzu. Popatrzyłam na Alishę, wyglądała, jakby właśnie ujrzała ducha. Trzymała się za usta i z przerażeniem wpatrywała w ekran smartfona.

– *To Brian, mój przyjaciel* – szybko wyjaśniłam, zerkając na zdjęcie. – *Byliśmy w Zakopanem, to miejscowość w Polsce, stamtąd pochodzi moja mama.*

– Pati... – niespodziewanie wykrztusiła Alisha.

– Ona mówi – jęknęła Dalila.

Patrzyłam to na matkę, to na córkę. Alisha nadal uparcie wpatrywała się w ekran, a jej mama wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

– Co ona powiedziała? – Szarpnęłam Dalilę za rękę.

– *Pati* w języku hindi znaczy „mąż”.

– Mąż? – powtórzyłam, robiąc idiotyczną minę. – Jaki mąż?

– Nie wiem – wyszeptała po chwili.

– *Alisha, czyj to mąż?* – spytałam, obracając się w prawo, żeby widzieć reakcję dziewczyny. Alisha od razu wskazała na siebie. – O matko, ona mówi, że to jej mąż. Ale jak? Kiedy? – Znow spójrzałam na Dalilę.

– Poczekaj, chyba wiem, o co chodzi.

Podniosła się z krzesła, przykucnęła ustóp córki i zagadała do niej w pięknym, świergoczącym języku. Powtarzała w kółko słowo *drishti*, a dziewczyna za każdym razem potakiwała, wskazując na głowę i zamykając oczy.

– Boże. Już wiem wszystko... – Dalila aż przysiadła na piętach. – Moja ukochana córeczka... Taki dar, takie przekleństwo... – Nagle opuściła głowę

i zaszlochała.

– Co się dzieje?! – usłyszałam głos Krisa. Nie zauważyliśmy, kiedy nasi panowie wrócili.

– Co się stało? – Leo też się wystraszył, widząc przyjaciela, który dopadł do Dalili, ukląkł obok i teraz próbował wydobyć z niej jakąkolwiek odpowiedź.

– Oglądałyśmy zdjęcia, na jednym był Brian. Alisha go zobaczyła i powiedziała, że to jej mąż. Dalila z nią porozmawiała, a potem się rozplakała – szybko zreferowałam przebieg zdarzeń.

Wiedziałam, że w tym momencie tylko ja mogę im o tym opowiedzieć. Dalila ciągle szlochała, a Alisha doznała chyba jakiegoś szoku, bo wyglądała dokładnie tak jak w chwili, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Trzęsła się jak osika, a oczy prawie wypadały jej z orbit.

– Iksha, kochanie... Powiedz, co się stało? – Kris nie dawał za wygraną.

– Powiedziała? – powtórzył po mnie Leo. – Alisha mówi?

– Tylko jedno słowo. *Pati*. To znaczy „mąż” w języku hindi – wytłumaczyłam.

– Zaraz wam wyjaśnię... – jęknęła Dalila. – Córeczko, chodź do mnie. – Wyciągnęła ręce, a Alisha od razu zsunęła się z krzesła i dołączyła do mamy, tuląc się i kryjąc twarz na jej piersi. – Moje dziecko, jak każda kobieta z Eperu, posiada jeden wyjątkowy dar. Pęka mi serce, bo dar Alishy to prawdziwe przekleństwo. Ludzie boją się takich osób. Jestem pewna, że nieraz ją prześladowali właśnie przez tę straszną umiejętność. To dlatego udawała niemowę – zaszlochała Dalila.

– O czym ona mówi?

Leo był przerażony, spoglądał to na Krisa, to na mnie, ale ja już domyśliłam się, co otrzymała w darze Alisha.

– Ona widzi przyszłość...

Rozdział 2

Pamiętki z Japonii

Nasz wspólny wyjazd do Tokio stanął pod znakiem zapytania, a tak bardzo się nań cieszyłam. Najpierw trudności robiła mama, później złapałam paskudne zapalenie ucha, na szczęście z tym kłopotem szybko poradziła sobie Dalila, przywieziona przez Krisa pod nieobecność moich domowników, a na koniec wybuchła prawdziwa bomba.

W najgorszym znaczeniu tego słowa.

– Ptaszek uciekł z klatki – oznajmił nam Thor, gdy zebraliśmy się u niego.

– Debora? – upewnił się Leo, licząc pewnie na to, że Thor zaprzeczy, ale kogo innego mógłby mieć na myśli?

Przełknęłam ślinę przez ściśnięte ze strachu gardło. Chyba nigdy nie uda mi się zapomnieć miesiąca spędzonego w podziemnym bunkrze, w którym więziła mnie Debora *vel* Dorothy, najgorsza z najgorszych członkini plemienia Habbatum, wyjątkowo okrutna i przebiegła istota, równie piękna jak podła, inteligentna i bezwzględna, mająca za cel uprzykrzyć życie wszystkim członkom Eperu.

– Kiedy uciekła? – zapytał Kris.

– Wcioraj – odpowiedziała mu Rebecca i popatrzyła na mnie z troską, doskonale wiedząc, co spotkało mnie z rąk Dorothy. Leo od razu przysunął się na kanapie i ścisnął moją dłoń.

– Nie bój się. Ta kobieta już nigdy cię nie dopadnie. Przysięgłem ci to i słowa dotrzymam – oznajmił stanowczo.

– Jak to się stało? – dopytywał Kris. Potarł nerwowo tył głowy i potrząsnął nią, podobnie jak my, nie mogąc uwierzyć, że ktoś mógł uciec z tak dobrze strzeżonego miejsca odosobnienia, jakim było więzienie stanowe San Quentin w Kalifornii.

– Daliśmy ciała – stwierdził markotnie Thor i błysnął białkami oczu. Patrzył gdzieś przed siebie, błędząc niewidzącym wzrokiem to po naszych twarzach, to po ścianie obwieszanej niezliczonymi zdjęciami i obrazkami. – Began kończy ten swój doktorat, a ja właśnie pracuję nad dodatkiem do ANBA i wyszło, jak wyszło... – Wydął usta.

– Nie obwiniaj się – odparła Dalila. – Nawet gdybyście monitorowali ją całą dobę...

– I tak by uciekła. To sprytna bestia – dokończył Kris.

– Nie da się ukryć – potwierdził Thor, choć jego głos nadal brzmiał wyjątkowo żałośnie. – Oglądaliśmy z Began nagrania. Odwaliła niezły numer. Metoda na jasnowidza. – Młasnął z uznaniem. – Wcisnęła strażnikowi kit, że widzi przyszłość. Przepowiedziała, że jego stara puści się z sąsiadem, choć pewnie żonka

już od dawna przyprawiała mu poroże. Biedny frajer, niejaki Bob Tyler, nie dość, że rogacz, to naiwniak. Pojechał do domu, zastał *corpus delicti*, a dokładnie dwa korpusy *in flagranti* i doznał łaski wiary w cud jasnowidzenia.

– Ech... – Leo głęboko westchnął.

– Pomógł jej uciec? – spytałam, myśląc, że to wdzięczność popchnęła strażnika do złamania prawa.

– A jakże – potwierdził Thor. – Naobiecowała mu, że wygra ją w każdej loterii, bo przewidzi numery, które padną. Opracowała plan i wykorzystując Tylera, opuściła pensjonat. Całkiem niezłe jej było w firmowych ciuchach jakiejś strażniczki.

– Niech to szlag! – warknął Kris. Sięgnął po puszkę z fantą, dopił ją i zgniótł w dłoniach puste opakowanie. – Kiedy to ujawnili?

– Jeszcze nie ujawnili – odpowiedział natychmiast Thor. – Żaden zaszczyt dać się zrobić jak małe dzieci. Na razie tam jest niezły pierdo... – ugryzł się w język. – Bałagan mają. Tego Boba też wcięło. Ciekawe, gdzie jest? – dodał, wykrzywiając usta w dziwnym grymasie. – Jedno jest prawie pewne, chłopina żyje, choć co to za życie?

– Jak go złapią, trafi za kratki, a kogo jak kogo, ale byłych klawiszy więźniowie nie traktują z atencją i sympatią – wyjaśnił nam Kris.

– Na odwiedziny żonki też bym nie liczył – parsknął Thor.

– I co teraz? – zapytała Dalila, zerkając to na mnie, to na Krisa i Leo. – Musimy im pomóc jeszcze raz ją schwytać. Tylko my jesteśmy w stanie to zrobić.

– A Brian? – spytałam, wiedząc, że najprawdopodobniej to on stał za ujęciem Dorothy.

– Briana nie ma – odparł Leo, niezbyt umiejętnie skrywając w głosie lekką nutkę irytacji. Pokręciłam głową. Ileż czasu musi jeszcze upłynąć, żeby przestał być zazdrosny o Briana?

– Może mu o tym powiem? – zaproponowałam, mając na myśli mentalny przekaz. – Raz ją tam wpakował, wpakuje i drugi.

– Sam nie wiem. To raczej kiepski pomysł. – Kris podrapał ryżą bródkę. – Nie mamy pewności, czy Brian cokolwiek pamięta. Nie wiemy, czemu zwiął z kliniki. To wszystko mi śmierdzi. A co, jeśli to on pomógł Deborze w ucieczce? Chyba na razie musimy spokojnie przeczekać, a jedyne, co faktycznie można zrobić, to...

– Wynajmę ochronę – wszedł mu w słowo Leo i popatrzył na mnie zatroskanym wzrokiem.

– Leo, przecież Alan mieszka z nami, ze mną i z mamą – przypomniałam. – Jak to sobie wyobrażasz? Ktoś ma się do nas wprowadzić? Alan się wkurzy. – Alan Barrow, brat Thora, był policjantem i nowym facetem mojej mamy. Już widziałam jego reakcję, gdyby na kanapie w naszym salonie pojawił się jakiś mięśniak i razem

w czwórkę oglądalibyśmy programy z Delią Smith, a potem uczyłabym ich obu, jak ugotować polski rosół. – To nie przejdzie.

– Anna ma rację. – Dalila wzięła moją stronę. – Poza tym ja bym nie panikowała na zapas. Pamiętajcie, że szukają Dorothy, deptają jej po piętach i spryt sprytem, ale teraz musi uważać podwójnie, bo jest ścigana przez prawo. A co do Briana, przekazałabym mu wiadomość. I tak się dowie, a Dorothy zna doskonale, chociażby z poprzedniego wcielenia.

– Przy założeniu, że w ogóle go to interesuje – mruknął bez przekonania Kris.

Rozmawialiśmy jeszcze godzinę, a potem Thor po prostu wygonił nas z domu.

Zaprosiłam ich do siebie, a gdy przyjechał Alan – urwał się na chwilę z dyżuru – wszystko mu powtórzyliśmy. Od razu się nastroszył i oświadczył, że będzie mnie strzegł jak żrenicy oka. Napomknął, że może złożyć wniosek o urlop, ale ostudziłam jego zapędy. Bez przesady. Owszem, trochę się bałam, nawet bardziej niż trochę, lecz postanowiłam nie poddać się temu uczuciu. Przystałam za to na prośbę Leo, czyli na dwóch dyskretnych aniołów stróżów towarzyszących mi przy opuszczaniu domu.

– A co z Nat? – zażartowałam, mając na myśli moją ochroniarzkę, która była mimowolnym świadkiem przywracania do życia martwego pana Jiao. – Nadal jest na was obrażona?

– Raczej przerażona – zaśmiał się Kris. – Niezbyt często bywa się naocznym świadkiem wskrzeszania zmarłych. Nawet w Biblii dosyć oszczędnie eksploatowano ten wątek. – Mrugnął do mnie.

– Za trzy dni lecimy do Tokio. – Leo rozejrzał się dookoła. – Pytanie, czy Anna powinna zostać tutaj, czy może lecieć ze mną...

– Leo! – Aż podskoczyłam w jego objęciach. – Obiecałeś mi!

– Myślę, że z tobą będzie bezpieczniejsza, Leo. Bez urazy, Alan. – Dalila lekko kiwnęła głową w jego stronę.

– Dzięki. – Nachyliłam się i cmoknęłam ją w policzek. – A co u Alishy? – Postanowiłam wreszcie zmienić temat. Miałam po dziurki w nosie Dorothy i wspomnień z nią związanych.

– A właśnie! Czy moja córka mogłaby cię odwiedzić?

– No pewnie! – Ucieszyłam się, bo nie widziałam jej od ostatniego spotkania w domu Krisa.

– Poza nami nie ma tu żadnych znajomych. – Dalila lekko uniosła swoje piękne, kruczoczarne brwi. – Może być jutro?

– Jutro!

* * *

Wprosiłem się na tę wizytę. Trochę z nudów, ale bardziej z lęku o Annę. Gdybym mógł, nie opuszczałbym jej nawet na minutę. Niestety, Julia uparcie nie zgadzała się, żeby Anna zamieszkała u mnie, z kolei ja nie liczyłem raczej na to, że kiedykolwiek wprowadzę się na Hambrough Road.

Dalila przywiozła Alishę, zapowiedziała, że wróci po nią za kilka godzin, i życzyła nam dobrej zabawy. Szczerze mówiąc, wątpiłem, że tak będzie. Mimo że cała nasza trójka wywodziła się z plemienia Eperu, różnił nas nie tylko wiek, ale i doświadczenia, a Alisha sprawiała wrażenie wyjątkowo nieśmiałej.

Szybko zmieniłem zdanie. Może dlatego palnąłem gafę, a prawdę mówiąc: wyszedłem na kompletnego ignoranta, gdy na początku spotkania spytałem ją, skąd tak doskonale zna angielski.

– To jakiś dodatkowy talent? Nauczyć się angielskiego w dwa tygodnie? – Nie potrafiłem pojąć, jak z niemowy, osoby, która w ogóle się nie odzywała, Alisha zmieniła się w całkiem rozmowną młodą niewiastę. – Zdążyłaś nam tyle opowiedzieć – nawiązałem do jej wcześniejszych refleksji o życiu w Londynie.

– Ale ja... – Alisha lekko się splonęła i spojrzała na swoje dłonie splecione na podolku. – Ja przecież znam angielski z poprzednich wcieleń. Mama wam nie mówiła? – Spoglądała to na mnie, to na Annę.

– Mieszkałaś na Wyspach? – Zdziwiłem się. Sięgnąłem po kawałek sernika, który zrobiła Anna, i wbiłem zęby w miękki jak pianka twarożek.

– Od zawsze mieszkałam w Indiach, a tylko w ostatnim wcieleniu w Chinach – wyjaśniła Alisha.

– Hm... – Zmarszczyłem czoło, a wtedy Anna zanosła się śmiechem. Już miałem spytać, co ją tak rozbawiło, gdy nagle uświadomiłem sobie, na jakiego ignoranta właśnie wyszedłem. – Indie były brytyjską kolonią?

– Bingo! – zachichotała Anna. – Leo, pała z historii. Wstyd!

– Masz rację. – Wykrzywiłem usta w grymasie mającym przypominać uśmiech, choć wcale nie było mi do śmiechu. Tak się skompromitować? I to przed narzeczoną? Zwłaszcza młodszą?

– Jak wtedy było? Opowiedz – poprosiła Anna, poprawiając się na łóżku.

Wszyscy na nim siedzieliśmy, choć muszę przyznać, że Alisha wyjątkowo nie pasowała do otoczenia. I do nas. Anna jak zwykle wrzuciła na siebie mocno nieformalny domowy strój, czyli spodnie od dresu i jakąś koszulę w kratę, ja byłem w dżinsach i bawełnianej bluzce, za to nasz gość wystroił się niczym kandydatka na miss. Córką Dalili oszałamiała urodą, mogła sobie podarować tę zbyt elegancką sukienkę, ale może po latach spędzonych w nędznej chacie na wzgórzach Zhangmu miała potrzebę błyszczeć od rana do zmierzchu.

– Mam opowiedzieć? Naprawdę was to ciekawi? – Znów się lekko zawstydzila.

– Anna jest świeżym Wędrowcem – powiedziałem. – To jej pierwsze

wcielenie. Moje trzecie, więc też nie mam dużego doświadczenia. Zresztą sama widziałaś, jaki ze mnie gamoń. Historii nie znam.

– Chyba was zawiodę. Moje życie było dosyć nudne. I smutne – dodała Alisha.

– Ale teraz... – Anna przysunęła się do niej i ujęła jej rękę w swoje dłonie. – Będzie dobrze.

– To może o... – zawahała się na moment Alisha. – Kiedyś byłam z mężczyzną, który bardzo przypominał twojego... – zamilkła i wzięła głęboki wdech.

– Mówisz o Brianie? – odpowiedziała jej Anna i mimowolnie zerknęła na mnie. Udałem, że tego nie zauważyłem.

– Tak. To było w drugim wcieleniu. Pierwsze zakończyłam w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym, w tym samym roku, w którym zmarła mama. Niestety, nie poradziłam sobie sama na świecie. Nawet z mamą było ciężko, a gdy jej zabrakło... – Przełknęła ślinę. – Dwa lata wcześniej zaczął się bunt sipajów. Wiecie coś o tym? – Spojrzała na nas i chyba się domyśliła, że niekoniecznie znamy ten fragment historii, bo posłała mnie i Annie wyrozumiały uśmiech. – Sipajowie byli hinduskimi żołnierzami służącymi w brytyjskim wojsku. Służyli w Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wszczęli bunt, bo kazano im strzelać z nabojów, które były nasączone krowim i wieprzowym tłuszczem.

– Naboje nasączone tłuszczem? – Potrząsnąłem głową, bo nie mogłem sobie tego wyobrazić. Od lat ćwiczyłem strzelectwo, zresztą Anna też doskonale posługiwała się bronią palną, nawet lepiej ode mnie, wszak jej dziadek był mistrzem olimpijskim w strzelectwie. – Jakie naboje?

– To była taka papierowa tutka, na jej dnie leżał mały ołowiany krążek, a nad nim proch strzelniczy. Odgryzało się górę opakowania, wsypywało zawartość do lufy karabinu, dociskało specjalnym metalowym drutem i już. Można było strzelać – wyjaśniła nam Alisha.

– A ten tłuszcz był zakazany ze względów religijnych? – domyśliła się Anna.

– Tak. Dla hindusów krowa to święte zwierzę, nie wolno nam było jeść krowiego mięsa, z kolei muzułmanie nie jedzą wieprzowiny. I stąd bunt sipajów.

– Uhm – przytaknęła Anna.

– Rok przed moimi drugimi narodzinami skończył się bunt, a Brytyjczycy zaostrzyli swoje rządy w Indiach. Kompania działała jeszcze aktywniej, handlowali przyprawami, barwnikiem indygo, wszystkim rolnikom kazano uprawiać mak, a potem z maku robiono opium i wysyłano do Chin.

– Ale po co? – Anna zmarszczyła czoło.

– Wymieniali opium za herbatę i srebro. W końcu cesarz się zbuntował, bo cały naród popadł w narkomanię i wybuchła wojna, ale to... – Alisha machnęła

ręką. – Gdybym chciała wam wszystko opowiedzieć, nie starczyłoby nam tego życia.

Chciałem żartować, że będą następne, ale Alisha kontynuowała swoją historię.

– Urodziłam się w dosyć wysoko postawionej rodzinie i wyszłam za mąż za równie szanowanego człowieka. Niestety, mój mąż był starszkiem. Miał ponad sześćdziesiąt lat, co wówczas było wyjątkowo rzadko spotykane. Dożyć takiego wieku – dodała wyjaśniająco. – Zresztą do dzisiaj w Indiach ludzie, zwłaszcza mężczyźni, nie żyją długo.

– Owdowiałaś?

– Tak. Dwa lata po ślubie. Nie mieliśmy dzieci, więc rodzina męża nisko mnie ceniła.

– Wygonili cię jak kiedyś twoją mamę? – spytała Anna, przypominając dołę Dalili, która też została wdową i razem z maleńką Alishą została wygnana przez teściową.

– Gorzej. Miałam przejść *sati*.

– *Sati*? – powtórzyłem i aż mnie zatchnęło ze zgrozy, bo przypomniałem sobie, na czym polega ten okrutny, nieludzki obrzęd.

– Mój mąż był bardzo bogaty. Posiadał kilkaset wiosek i *sati* miało być hołdem dla niego. Ale ja go wcale nie kochałam – wyznała z trudem Alisha.

– Ale co to jest to *sati*? – Anna spojrzała na mnie. Jej oczy rozszerzyło przerażenie.

– Samospalenie wdowy. Wdowa płonie na tym samym stosie, na którym palone są zwłoki jej męża – wyjaśniłem, przeklinając w duchu barbarzyństwo tych ludzi.

– Prawie wszyscy mężczyźni z wiosek męża zebrali się, żeby uczestniczyć w *sati*. Ubrani na biało powiedli mnie na stos. Był gigantyczny. Na środku ułożyli ciało męża, a ja klęczałam nad nim. Podłożyli ogień w kilku miejscach. Nie wyobrażacie sobie, jak szybko zapłonął stos. Próbowałam uciec, ale mi nie pozwolili. Stali wokół i dźgali mnie długimi tyczkami, kiedy tylko próbowałam się zsunąć – wykrztusiła Alisha. – Dym gryzł w oczy, dławił i odbierał oddech, a płomień zaczęły docierać do moich szat.

– Spalili cię? Żywcem? – zszokowana Anna przytknęła dłoń do ust.

– Nie. Ktoś mnie uratował – odpowiedziała Alisha.

Odetchnąłem z ulgą, dopiero teraz uświadamiając sobie, że wstrzymałem oddech od chwili, kiedy zaczęła opisywać pogrzeb.

– Ten zwyczaj był chyba w Indiach zakazany? – zasugerowałem.

– Tak – potwierdziła Alisha. – To właśnie Brytyjczycy go zakazali, ale i tak czasami działano wbrew prawu, zwłaszcza gdy zmarły był bardzo zamożnym człowiekiem. Przepłacano, kogo trzeba, i nikt się nie sprzeciwiał.

– To jakiś horror! – Anna wyraźnie nie mogła się z tym pogodzić. – Ale po co? Czemu to miało służyć? – Potrząsnęła głową.

– Kiedyś słyszałam, że ten zwyczaj wziął się ze strachu przed mężobójstwem. Żona mogła otruć męża, a w dawnych czasach nikt nie potrafił wykryć trucizny w zwłokach – wytłumaczyła Alisha.

– No błagam, naprawdę ktoś uzasadnił to w tak pokrętny sposób?

– Samospalenie ma wyrażać ogromny żal po stracie ukochanego. Teoretycznie musiałam wyrazić zgodę na poddanie się rytuałowi sati, ale wiadomo, jak to wyglądało w praktyce. – Alisha zadrżała, jakby owionął ją podmuch lodowatego powietrza. – Miałam dużo szczęścia, bo mnie uratowano. Ocalenie zawdzięczałam brytyjskiemu oficerowi. Miał na imię William.

– William? Jak Leo w poprzednim wcieleniu – odezwała się Anna, wciąż mocno poruszona historią Alishy.

– To przez bunt sipajów Brytyjczycy sprowadzili do Indii oficerów. Przed powstaniem sporo ich stacjonowało w Delhi, w Czerwonym Forcie, ale po upadku buntu przybyło ich prawie dziesięć razy więcej. Mieli chronić Kompanię i zapobiegać kolejnym powstaniom. Jednym z nich był mój wybawca, William Brassey, oficer, arystokrata, wdowiec. Ocalił mnie, zabrał do swojego domu i zostałam tam już do końca.

– Chyba nie żałuję, że to moje pierwsze wcielenie – westchnęła Anna i zagryzła kącik ust. – Okropne czasy.

– Trochę tak, ale nie zawsze było źle. – Alisha uśmiechnęła się blado. – Kocham Indie. Tęsknię za tym krajem. Za Holi. Holi to święto radości i wiosny – wyjaśniła. – Obchodzimy je w lutym lub marcu, gdy księżyc jest w pełni. Wszyscy tańczą i śpiewają, a potem posypujemy się kolorowymi proszkami. Wyglądają jak farbki, są we wszystkich kolorach tęczy, różowe, czerwone, żółte, fioletowe, jakie tylko chcecie. Niesiemy je na specjalnych tacach, wysypujemy na głowy, wcieramy w twarz i ciało, we włosy. – Uśmiechnęła się. – Nigdy tego nie zapomnę. To chyba najpiękniejsze święto, jakie wymyślił człowiek. Gdy chłopak kocha dziewczynę, a ona jego, malują się w kolorach miłości. Sypią na siebie czerwony proszek albo różowy, gładzą po policzkach, po szyi i dekolcie... – Jej głos wyraźnie złagodniał.

– Kochałaś Williama? – zagadnęła Anna. – Ile miał lat, gdy cię ocalił?

– Był po trzydziestce, a ja nie miałam nawet dwudziestu lat. Czy go kochałam? Nie wiem. – Alisha zamilkła na chwilę. – Gdy patrzę na mamę i Krisa, myślę, że chyba jeszcze nikogo nie pokochałam. Co do Williama, byliśmy razem. Jak kobieta z mężczyzną. – Westchnęła głośno. – Był dla mnie bardzo dobry. Mieszkałam w jego domu, służyłam mu, ale rodzina mojego zmarłego męża nie dawała nam spokoju. Niecały rok później nas dopadli. Przyszli w nocy. William próbował się bronić, ale przekupili służbę i nikt nam nie pomógł. Skryli się

w zaroślach wokół rezydencji. Strzelali z łuków.

– Zatruli czymś groty? – zapytałem.

– Tak. Na szczęście nie cierpieliśmy. William umarł pierwszy, bo trafili go w szyję, ja kilka minut po nim. To była sprawa honorowa. – Alisha wzruszyła ramionami. – Przyniosłam hańbę rodzinie. Tym, że uciekłam z Williamem i żyłam z nim jak żona. Uznali mnie za nietykalną albo nawet gorszą niż nietykalna.

– Ładna mi nietykalność – burknąłem.

– Nietykalni to najniższa grupa ludzi. Poza kastami. Nikt nie może ich dotknąć, rozmawiać z nimi, jeść.

Anna zerknęła na mnie. Nie musiała nic mówić, widziałem wszystko w jej oczach. Mnie też przygnębiła opowieść Alishy.

– Podziwiam cię – powiedziałem. – Podziwiam i nie zazdroszczę.

Nagle na dole trzasnęły drzwi, a po chwili usłyszeliśmy odgłos kroków na schodach.

– Mama wróciła – uprzedziła Alishę Anna.

Zaczął się niezły cyrk, wszystkie trzy panie zdominowały rozmowę, zwłaszcza że Julia nie poznała jeszcze Alishy, którą przedstawiliśmy jako przybraną córkę Dalili. Klepały jak najęte, na szczęście zadzwoniła Angela i dała mi pretekst, żeby opuścić ten babiniec. Pożegnałem się z ulgą. Wyszedłem z domu Anny i stanąłem przy samochodzie, żeby zapalić. Ostatnio coraz częściej pozwalałem sobie na tę przyjemność. Tłumaczyłem, że to przez stres, ale i tak należało z tym skończyć. Pstryknąłem niedopałek na chodnik i rozejrzałem się wokół. Jeden z wynajętych ochroniarzy machnął do mnie przez przednią szybę range rovera.

Mogłem jechać do agencji...

* * *

– Twoja mama jest świetna. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia – powiedziała Alisha, gdy mama wreszcie zeszła na dół.

– Uhm – przytaknęłam, myśląc, że wprawdzie moja Julka jest nieoceniona, ale czasami potrafi doprowadzić mnie do szewskiej pasji, zwłaszcza swoją nadopiekuńczością i dziwnym przywiązaniem do, jak to ona nazywała, zasad rządzących w porządnym polskim i katolickim domu.

– Ona wie? – spytała Alisha i czujnie zerknęła na drzwi pokoju.

– Coś tam wie. – Pokiwałam głową. – Ale niewiele. Tylko tyle, że ja, Leo i Kris należymy do jakiegoś dziwnego plemienia. Mama nie chciała nic więcej słyszeć. Na szczęście. Nie wyobrażam sobie, jak miałabym wytłumaczyć jej to wszystko. – Zagryzłam wargę. Ciągle czułam wyrzuty sumienia, że nie mówię mamie całej prawdy, a z drugiej strony, byłam pewna, że to najlepsze wyjście. – Wiesz, że Ruby, obecna mama Leo, niedawno ciężko zachorowała i Dalila ją

uzdrowiła? – zapytałam.

– Tak. Kris mi o tym opowiedział.

– No właśnie. Teraz sobie wyobraź, co mogłoby się stać, gdybyśmy opowiedzieli wszystkim naszym bliskim o umiejętnościach Dalili? Leo ma szczęście, że jego rodzice postąpili podobnie jak moja mama: nie wnikają i nie próbują dotrzeć do prawdy. Swoją drogą, Dalila ma cudowny dar. Chyba najlepszy ze wszystkich – stwierdziłam, nieudolnie próbując ukryć nutkę zazdrości w głosie.

– Umiesz mówić myślami tylko do nas, Wędrowców? – Alisha w skupieniu przymrużyła oczy.

– Na szczęście. – Mrugnęłam do niej. – Niestety, czasami zdarzy mi się chlapnąć nie to, co trzeba, albo przekazać wiadomość nie temu, komu trzeba, ewentualnie wszystkim zamiast jednej osobie.

– Oj... – syknęła Alisha. – Trochę kłopotliwe.

– Trochę tak, ale pracuję nad tym.

– Przekazujesz tylko myśli?

– Nie. Potrafię również pokazać obraz, ale muszę się mocno skupić, a i odbiorca powinien się wtedy skoncentrować wyłącznie na odbiorze. Kiedyś pokazałam Leo zorzę polarną, gdy byłam w Norwegii, ale to się udało tylko dlatego, że Leo właśnie spał. Obudziłam go moimi myślami.

– Super – westchnęła z uznaniem Alisha. – A możesz relacjonować jakąś sytuację? Na przykład tę naszą rozmowę, jako obraz i dźwięk, i wysyłać komuś mentalnie na bieżąco? Jak reporter w telewizji?

– Jak wóz transmisyjny? – odpowiedziałam, bo czasami brakowało jej niektórych słów lub sformułowań. – Chyba tak, choć nigdy nie próbowałam. Z fonią nie ma kłopotu, gorzej z wizją – zażartowałam. – A tak w ogóle, to ile masz lat? Pytam, bo doskonale wszystko pamiętasz.

– Za pół roku skończę dwadzieścia.

– I już potrafisz latać? Wszystko sobie przypomniałaś z poprzednich wcieleń?

– Już dawno. Jakies dwa albo trzy lata temu.

– No tak. Masz za sobą kilka wcieleń. Nie to co ja. Żółtodziób. – Pokiwałam smętnie głową.

– Nie zazdrość mi. Mój dar jest... – Alisha wzięła głęboki wdech. – Żałuję, że go mam.

– Szczerze? Nie zazdroszczę. Nie wiem, jak sobie z tym radzisz. I nie bój się, w życiu nie spytam, co mnie czeka. Co to, to nie. – Podniosłam ręce i pomachałam nimi.

– To nie tak, że samoistnie widzę i znam twoją przyszłość. Musiałabym chcieć ją zobaczyć. Na szczęście to działa podobnie jak twój mentalny przekaz czy dar uzdrawiania mojej mamy. Mogę to kontrolować, choć i mnie zdarzają się

wpadki. – Alisha uśmiechnęła się blado. – Widzę przyszłość Wędrowców i zwykłych ludzi, ale muszę ich znać, zobaczyć na zdjęciu lub poznać osobiście, wiedzieć, jak mają na imię. Masz przyjaciółkę?

– Uhm.

– Nie mów, jak ma na imię – dodała szybko.

– Okej.

– Nazwę ją umownie Wiktoria – powiedziała Alisha i ze zdziwieniem zerknęła na mnie, bo parsknęłam śmiechem.

– Ona naprawdę ma na imię Wika – wyjaśniłam.

– Nieźle – zachichotała Alisha. – Niech będzie, że znam jej imię, ale to za mało, żebym mogła zobaczyć jej przyszłość. Musiałabyś nas sobie przedstawić, dopiero wtedy mogłabym zajrzeć w jej przyszłość. A tak w ogóle, to zazdroszczę ci, że masz przyjaciółkę.

– Już nie musisz. – Przysunęłam się bliżej i uściśnęłam rękę Alishy. – Mam nadzieję, że...

– Nigdy nie miałam przyjaciółki – ciągnęła. – Zanim nauczyłam się kontrolować swój dar, zraziłam do siebie sporo ludzi. Bali się mnie, a ja tylko chciałam ich ostrzec. Niestety, zazwyczaj kończyło się to tragicznie. Gdy widziałam, że spotka ich coś złego, próbowałam temu zapobiec.

– I nie mogłaś na to wpłynąć? – Potrząsnęłam głową, bo panowanie nad przyszłością było znacznie bardziej skomplikowane niż moja umiejętność.

– Mogłam. W przedostatnim wcieleniu, które przeżyłam w Indiach, ostrzegłam mojego ówczesnego ojca, żeby nie szedł na połów ryb. Zobaczyłam, jak atakuje go krokodyl. Poznałam całą wizję i wiedziałam, że tato przeżyje, ale do końca życia będzie kaleką, bo straci prawą nogę. Poprosiłam, by został w domu, ale nie chciał mnie posłuchać, więc udałam, że mdleję. Tato pojechał po lekarza, a gdy wracał z miasteczka, napadli na niego nietykalni. Obrabowali go z pieniędzy i zranili. Pięć dni po tym zdarzeniu mój ojciec zmarł, bo dostał zakażenia.

– Jezu... – Przycisnęłam dłoń do ust. – Makabra.

– Nie mogę zapobiec nieszczęściu. Mogę je tylko ujrzyć, zanim się wydarzy – powiedziała, nie kryjąc smutku w głosie.

– A co ze szczęśliwymi zdarzeniami? Też je widzisz?

– Tak.

– Czy to, że Brian zostanie twoim mężem, to będzie szczęście? – zapytałam o coś, co ciągle mnie nurtowało.

– Nie wiem, czy zostanie moim mężem, bo przerwałam wizję – powiedziała stropiona Alisha. – Wiem jedynie, że będziemy razem jak mąż i żona – wyznała.

– Rozumiem.

– Nie znam Briana. Nie wiem, jakim jest człowiekiem. Z twarzy jest podobny do Williama, ale to na pewno ktoś inny. Kris mówił, że dobrze znałaś

Briana, że on jest z Habbatum i że... – zamilkła, a jej policzki oblał delikatny rumieniec.

– Dobrze, że Leo pojechał do agencji. Jest okropnie zazdrosny o Briana.

– A ma powód? – Alisha popatrzyła mi prosto w oczy.

– Trochę tak. Kiedyś bardzo się posprzeczałyśmy, poszło o twoją mamę.

– O moją mamę? – Zdumiona wybałuszyła te swoje piękne oczyska.

– Uhm. Myślałam, że Dalila i Leo się kochali i byli razem w którymś z poprzednich wcieleń. Ot, nieporozumienie. Potem się wyjaśniło, że Leo szukał Dalili dla Krisa, no ale zanim to się stało, zdążyłam nieźle namieszać. Zerwałam z Leo i wyjechałam z Brianem do Polski. Tam prawie doszło między nami do... – przełknęłam ślinę, widząc minę Alishy. Wyraźnie ją zaskoczyłam i chyba trochę zawiodłam, bo jej oczy niepokojąco się zwężyły, podobnie jak usta zaciśnięte w wąską linijkę. – Nic się nie wydarzyło, bo Leo wrócił, żeby rozmówić się z Brianem. Tu z kolei chodziło o matkę Leo z poprzedniego wcielenia. Brian był częściowo odpowiedzialny za jej chorobę i śmierć.

– Jak w jakimś filmie. Nic z tego nie rozumiem. – Alisha pokręciła głową.

– To skomplikowana historia – skwapliwie przyznałam jej rację. – I trochę się wstydzę, że brałam w niej udział. Na szczęście Leo mi wybaczył.

– On bardzo cię kocha – powiedziała Alisha, głaszcząc moją dłoń.

– A ja kocham jego. Nie wiem, jak mogliśmy bez siebie żyć.

– Też tak chcę.

– I oby tak było. – Zacisnęłam kciuki.

* * *

Czasami rozmyślałam, gdzie chciałabym się urodzić w kolejnym wcieleniu. Już po jednym tygodniu pobytu w Tokio stwierdziłam, że Japonia to całkiem niezły pomysł. Odpowiadała mi pogoda, ludzie byli bardzo mili, apartament w hotelu Peninsula – wygodny, a wszystko, co nas otaczało, budziło we mnie zachwyty.

Większość czasu spędzałam z Leo na planie. Jak dobrze po tyłu miesiącach i perypetiach zobaczyć znajome twarze... Sebastian prawie mnie zmiażdżył w swoich objęciach. Nawet Judith Durant okazała się znacznie miłsza niż ostatnio. Leo stwierdził, że to wyłącznie dzięki Julianowi: nowemu „fagasowi” naszej gwiazdy. Piękny Julio był Hiszpanem, ponoć znacznie młodszym od Jud, a jego jedynym zajęciem było spanie do południa i włóczenie się po okolicznych barach z sushi. Zamieszkał razem z Judith w sąsiednim apartamencie, czasami rozrabiali do rana, więc po kilku dniach przenieśli ich gdzieś dalej.

Oczywiście Rickman wrzeszczał i ciskał się jak w Kalifornii, ale na początku traktował mojego chłopaka z zadziwiającą rezerwą. Do czasu. Przeszło mu, gdy dowiedział się, że Ruby wyzdrowiała. Nieraz zatykałam uszy, bo nie było nic miłego w słuchaniu, jak obrzucał Leo niewybrednymi epitetami typu: „Black,

lebiego, masz w sobie mniej emocji niż przypalona owsianka!”. No cóż, coś za coś. Na szczęście Leo nic sobie z tego nie robił. W trakcie przerwy, podczas której wszyscy wychodzili na papierosa, mój „Ron Duffy” przysiadł się do mnie, obejmował i mówił, że musi naładować baterie.

Czasami było śmiesznie, czasami strasznie, zwłaszcza gdy kręcono brutalne sceny, które składały się głównie z wszelkich odmian mordobicia. Leo zaproponował, żebym się przełamala i zobaczyła, że nikomu nie dzieje się krzywda. Dałam się przekonać. Zafascynowana patrzyłam na pracę charakteryzatorki, która w ciągu godziny potrafiła zamienić twarz mojego przystojniaka w przerażającą kompozycję ran, siniaków i obrzęków. Po kilku dniach już nic nie robiło na mnie wrażenia. Prawie nic. Chyba zbyt szybko przywykłam, bo Sebastian i Thomas splatali mi figła. Gdy w swoim kubku znalazłam obcięty ludzki palec, wrzeszczałam trzy minuty. Rickman żałował, że nikt z dźwiękowców tego nie nagrał. Rechotał, że to było takie prawdziwe w przeciwieństwie do tej niewinnej silikonowej atrapy zanurzonej w kawie z mlekiem.

Poza tym towarzyszyłam Leo, gdy ponownie go „tatuowano”. Przez kilka ładnych godzin dwoje tutejszych artystów specjalizujących się w „body art”: Aya i Naoto, odtwarzało na ciele Leo japoński tatuaż irezumi. Mieli o tyle ułatwione zadanie, że bazowali na zdjęciach z poprzedniej sesji. Może dlatego mogliśmy w miarę spokojnie porozmawiać, choć Leo co chwilę nam przeszkadzał, chichrając się jak głupi, gdy coś go łaskotało. Aya studiowała charakteryzację i wizaż na jakiejś tutejszej uczelni, a Naoto od lat prowadził studio tatuażu, oczywiście tego prawdziwego. Mimo to chętnie skorzystali z nadarżającej się okazji, aby coś zarobić, i właśnie tak znaleźli się na planie filmu *Tokio*.

Przez tych kilka godzin tyle się naklepałiśmy, że aż rozboleła mnie jadaczka. Aya stwierdziła, że na moim miejscu rozważyłaby pracę przy filmie, skoro tyle godzin spędzam w studiu. Oczywiście w pierwszym momencie pomyślałam, że chce ze mnie zrobić aktorkę, i popłakałam się ze śmiechu, ale Leo odparł, że to genialny pomysł. Zarządził krótką przerwę na kawę, ale najpierw pochwalił się moimi rysunkami.

Nie wpadłabym na to. Przecież film to również scenografia i kostiumy! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? Leo od razu obiecał, że mi pomoże. Wielu jego znajomych studiowało w RADA, a on sam przyjaźnił się z kilkoma wykładowcami. Zaledwie skończył roztaczać przede mną wizje, jak to pojedziemy razem do akademii i przedstawi mnie swym znajomym, gdy stwierdziłam, że nie ma mowy. Zagroziłam, że jeśli użyje protekcji, moja noga nigdy nie postanie w Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej. Jakoś doszliśmy do porozumienia, Leo szybko wycofał swoją ofertę, choć nie byłam do końca przekonana co do jego szczerości.

Oprócz życia zawodowego mieliśmy również to prywatne...

W dni nagraniowe ograniczało się w zasadzie do kolacji i bardzo przyjemnych chwil w naszym wielkim hotelowym wyrku albo w łazience, na dywanie i w jeszcze kilku miejscach. Leo nie narzekał. W pierwszy wolny dzień stwierdził, że nawet w weekendy może siedzieć w hotelu. Zmroziłam go wzrokiem, więc szybko się zreflektował, że coś mi obiecał... Zwiedzanie Tokio? Spacer? Mieliśmy nieco obaw związanych z fotoreporterami, ale było lepiej, niż zakładałam. Leo w nieśmiertelnych okularach i bejsbolówce nie rzucał się w oczy. Na wszelki wypadek nosił zresztą mały kompaktowy aparat przewieszony przez pierś.

Nasz program wycieczek nie był oryginalny. Obejmował najpopularniejsze zabytki: sanktuarium Meiji, Pałac Cesarski, świątynie Sengaku-ji i Sensō-ji. Planowaliśmy jeszcze zawitać do dzielnicy Roppongi z dziwaczną repliką wieży Eiffla i w kilka innych miejsc, ale gdy stanęłam na środku parku Shinjuku Gyoen, przepadłam z kretesem. Jeśli kiedyś istniał raj, to wyglądał właśnie tak, skąpany w promieniach majowego słońca. Żałowałam jedynie, że nie zdążyliśmy na czas kwitnienia wiśni, ale park nadal wyglądał pięknie i był znacznie mniej oblegany niż w trakcie święta Hanami.

Byliśmy tu już trzeci raz. Dzisiaj znaleźliśmy miłą ławeczkę niedaleko budynku sanktuarium. Zamierzałam narysować jego odbicie w niewielkim stawie, nad którym stał. Leo zabrał scenariusz *Tokio*, żeby trochę się pouczyć, a ja – szkicownik i ołówki. Po półgodzinie wstępny szkic był gotowy, a ja znałam na pamięć dialogi z jutrzejszej sceny.

– Nie jesteś zmęczona? – spytał Leo.

– Czym? Japonią? – Zerknęłam na niego.

– Mną, moją pracą i tym wszystkim... – Pstryknął palcami w daszek czapki.

– Czasami myślę, że życie ze mną musi być bardzo nudne. Nie mogę porwać cię spontanicznie gdzieś, gdzie bym chciał, bo jakaś psychofanka może nam zepsuć całą radochę.

– Hm... – Wzruszyłam ramionami. – Szczerze? Zmęczona czasami, znudzona nigdy – oświadczyłam, odkładając szkicownik i obracając się w stronę Leo. – Skąd takie pytanie? Co się stało?

– Nie.

Chwilę później scenariusz trafił pod ławkę, a mój towarzysz czujnie rozejrzał się dookoła i przysunął się na siedzisku. Uwielbiałam całować się z Leo. Nie miałam porównania, ale i tak byłam pewna, że robi to doskonale. Ledwie nasze usta się zetknęły, a poczułam miły dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Leo objął mnie, jego ręka wślizgnęła się pod bluzkę, a druga wylądowała na moim karku. Docisnął wargi jeszcze mocniej, a nasze języki rozpoczęły swój taniec. Jego był wyjątkowo natarczywy i panoszył się bezceremonialnie. Zarzuciłam ramiona na

szyję Leo, brakowało mi jego jedwabistych, gęstych włosów, ale ta krótka i szorstka szczecina działała na mnie jeszcze mocniej. Leo wyglądał męsko w tej fryzurze, pasowała do kanciastej linii jego podbródka. Wystarczyło nań spojrzeć i już coś łaskotało mnie w dole brzucha.

– Poszukajmy jakichś krzaków. – Głos Leo brzmiał wyjątkowo błagalnie.

– Chcesz siusiu? – próbowałam żartować, choć pomysł z poszukaniem ustronnego miejsca wydawał mi się coraz bardziej kuszący.

– Wiesz, czego chcę... – Przycisnął mnie jeszcze silniej.

– Tutaj? – jęknęłam, gdy Leo lekko przygryzł moją dolną wargę, a potem wessał ją do ust. Od razu przypomniałam sobie, jak zabawialiśmy się zeszłego wieczoru.

– Nie odbieraj – wychrypiał, bo nagle coś zadzwęczało za moimi plecami.

Nie zamierzałam. Wpiłam się jeszcze mocniej w wargi Leo, po czym wsunęłam dłoń pod jego koszulkę i zaczęłam gładzić napięte mięśnie. Niestety, ten ktoś nie chciał się poddać: po krótkiej przerwie telefon znów zadzwonił.

– Może mama? – Z żalem wyswobodziłam się z objęć Leo i sięgnęłam do plecaczka. – Wika... – stwierdziłam, a Leo natychmiast pokręcił głową i spojrzał w niebo. Cóż, oboje wiedzieliśmy, że zapowiada się dłuższa pogawędka.

– Co jest, siostra?! – powitała mnie energicznie. – Czemu nie odbierałaś? A, wiem! Pewnie ty i mój szef mieliście jakąś ciekawą scenę do odegrania... – zachichotała.

Przewróciłam oczami.

– Zawsze myślisz o jednym? – burknęłam.

– Ja nie myślę, ja działam. Robimy siostrzyczkę...

– Serio? – Wybałuszyłam oczy, bo James Junior nie skończył jeszcze trzech miesięcy swojego słodkiego życia u boku, a raczej piersi mojej zwariowanej przyjaciółki.

– Serio. Powiedz narzeczonemu, niech się rozgląda za nową asystentką.

– E... – zająknęłam się.

– Zamierzam żyć z socjału, jeśli się uda.

– Aha – odzyskałam głos. – Która jest u ciebie? – spytałam, bo coś mi nie pasowało. Mama nigdy nie dzwoniła o tej porze.

– Druga w nocy.

– Druga? – pisnęłam. – Czemu nie śpisz?

– Mówiłam: robimy z Jamesem siostrzyczkę – skwitowała Wika. – James! Potwierdź, bo Anka nie wierzy!

Usłyszałam w tle jakieś szmery i szelesty, a potem ciche burknięcie chłopaka Wiktorii, żeby się uspokoiła, bo obudzi dziecko.

– Jesteś nienormalna – podsumowałam.

Kazała mi opowiadać, co u nas słychać. W miarę szybko zreferowałam

zarówno część „filmową”, jak i prywatną, choć w przypadku tej drugiej Wika ciągle mi przerywała, wstawiając do rozmowy sprośne komentarze. Ewidentnie coś się jej poprzestawiało w gospodarce hormonalnej. Już przed ciążą była nie do zniesienia, ale teraz zmieniła się w kompletną nimfomankę. Biedny James, litowałam się w duchu nad jej przysłym małżonkiem.

– Pochwal się. Co sobie kupiłaś? – spytała, gdy skończyłam relację. Od razu zerknęłam na swoje ulubione znoszone džinsy i parę klasycznych conversów. – Ciuchy? Buty? Torebki? Jakąś biżu? A może kosmetyki?! Oni mają zarąbiste kosmetyki, zwłaszcza kremy BB i CC, takie ze śluzem ślimaka, świetnie kryją i nawilżają. A jakie mają cuda na rozstępy! Nie to co nasze kremy... – trajkotała jak nakręcona. – A na cycki! Mówię ci, ich kremy na cycki niszczą uniwersum, to znaczy budują, bo wiesz, Japonki z reguły mają małe cycki, więc wszystkie kremy mają działanie silnie powiększające!

Leo siedział bez słowa i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Nie musiałam puszczać głośnika w smartfonie, bo i tak słyszał prawie wszystko. Na początku wrócił do czytania scenariusza, ale gdy Wiktoria przeszła do pytań o moje odzieżowe zdobycze, nie wytrzymał i przysunął się jeszcze bliżej. Przy śluzie ślimaka wystawił dwa palce nad czołem i zrobił zeza, a gdy była mowa o silnie powiększającym kremie, wskazał na rozporek džinsów i bezgłośnie przekazał, że na szczęście nie potrzebuje, ale kupi chłopakom z ekipy. Prawie udławiłam się własnym językiem, żeby się nie roześmiać.

– A powiedz, byliście w dzielnicy Shibuya? Tam jest najwięcej modnych sklepów! Jeśli nie, musicie koniecznie tam pojechać! Słuchaj, a może byś mi kupiła jakąś kieckę?! Taką w stylu Japan: mini, słodką, na haleczkach, pastelowy różyk i do tego jakieś fajne zakolanówki, mogą być ażurowe, białe. Albo nie! Lepiej czarne! W sumie to możesz mi kupić i takie, i takie! Oddam ci kasę! I laczki mi kup! Na obcasiku i z pomponami, też różowe, ale ciemne.

– E... Okej. Jeśli znajdziemy czas, kupię ci coś. Jaki masz teraz rozmiar? – spytałam, biorąc ołówek, żeby zanotować.

– James mówi, że bardzo seksowny, zwłaszcza cycków. Prawda, James?! – Znów coś zachrobotało po drugiej stronie słuchawki.

– Boże... – jęknęłam. – Zaraz się posikam! Przestań! To jaki ten rozmiar?

– Góra dwanaście, dół dziesięć, a wewnątrz pół cala albo i mniej. Miska D, jak duże. Buty? Twój rozmiar, ale koniecznie z obcasem. Torebki każdej wielkości, biżu raczej w złocie.

– Jakie pół cala? – Jednej informacji nie zrozumiałam.

– Fi.

– Fi?

– Fi! Średnica, wiesz czego... – zamiauczała uwodzicielsko. – A skoro już jesteśmy przy fi, jak japońskie gumki? Ponoć nadają się jedynie jako kapturki

ochronne do manicure. Bierzesz oliwkę do skórek albo krem, koniecznie z olejkiem arganowym, bo to prawdziwy hit, i z moczniakiem, nie mylić z moczem! Nakładasz grubo na palce i paznokcie, na to japońska prezerwatywa i już: SPA jak ta lala. Nie używajcie ich, bo Leo dostanie martwicy, a jej następstwem jest gangrena! Mówię o tych prezerwatywach, bo krew mu nie dopłynie do tkanek i może być problem – poradziła. – Zresztą kremu też tam nie wolno, bo strasznie szczypie.

Przy gangrenie prawie popuściłam w majtki. Leo wsadził pięść do ust, a drugą ręką ocierał łzy. Nie wiem, czy długo byśmy wytrzymali ten komiczny słowotok bez jakichś strat. Na szczęście mały James postanowił zwrócić uwagę Wiktorii na swoją osobę. Wika nagle przerwała, przeprosiła i obiecała, że zadzwoni nazajutrz.

– Ona nie jest normalna – stwierdziłam, chowając telefon do plecaka. Po namyśle wsunęłam jeszcze do środka szkicownik i scenariusz. – Ale i tak ją kocham.

– Ja też, choć dzisiaj wyjątkowo niefortunnie wybrała porę na pogaduszki. To jak będzie? – Leo ponownie mnie objął.

– Z czym? – Przysunęłam się, żeby cmoknąć czubek jego nosa.

– Z tym – wymruczał, kładąc dłoń na moim udzie, niepokojąco blisko okolic suwaka spodni.

– Hm... – Spojrzałam w oczy Leo, wyraźnie się rozmarzył. – Najpierw musisz mnie złapać! – pisnęłam, zrywając się z ławki i odbiegając na kilkanaście metrów.

Uwielbiałam tak robić. Leo zawsze rzucał się w pogoń, nieważne, czy byliśmy u niego w apartamencie, czy też w jakimś hotelu. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów sprowokowałam go w publicznym miejscu, ale przecież było tu tak spokojnie...

Stanęłam, bo za plecami nie było słyhać pościgu. Zerknęłam przez ramię. Leo leniwie podniósł się z ławki, założył plecak i powoli zaczął iść w moją stronę. Ja również powoli, krok za krokiem, szłam tyłem, żeby nie stracić go z oczu. Podbiegł kilka metrów, ja zrobiłam to samo, zatrzymał się, ja też stanęłam, a wszystko to przy akompaniamencie parsknięć śmiechem i coraz szybszego oddechu.

– I tak cię złapię! – krzyknął, bo dystans między nami wynosił jakieś dwadzieścia metrów.

– Nie... – zachichotałam, biorąc się pod boki i pokazując mu język.

– Zobaczysz! – Pogroził mi palcem, ale szedł dalej.

Nagle się zatrzymał i odwrócił w stronę małej fontanny, którą minęłam chwilę wcześniej. Od razu spojrzałam za siebie. Okazało się, że mojego ukochanego celebrytę spłoszyły dwie młode turystki, które przechodziły tuż obok. Na moment zamarłam, gdy obwieszona aparatami dziewczyna zrównała się z Leo,

na szczęście cyknęły paręnaście fotek fontannie i poszły. Odetchnęłam z ulgą. Spodziewałam się, że Leo natychmiast ruszy w moją stronę, ale tkwił w miejscu jak wmurowany.

– Hej! – pisnęłam, machając ręką.

Nie reagował, więc powoli zaczęłam iść do niego, wciąż czujna i podejrzliwa. Gdy dzieliło nas mniej niż dziesięć metrów, nagle zerwał się jak sprinter. Błyskawicznie odwróciłam się na pięcie i rzuciłam do ucieczki. Biegłam, aż wiatr huczał w uszach, to było wspaniałe: żwir odskakiwał spod butów, a serce łomotało w piersiach. Obrałam za cel niewielki zagajnik na końcu ścieżki i pewnie dobiegłabym tam w kilka sekund, gdyby nie jeden z tych pięknych czerwonych klonów rosnących wzdłuż alejki...

Rozdział 3

Jeszcze jedna pamiątka

– Chryste! Nic ci nie jest?! – wrzasnąłem, dobiegając do Anny.

Nie wyglądało to dobrze: gnała jak szalona, już prawie ją dogoniłem, gdy nagle zatrzepotała rękami. Przez moment wyglądała jak kaczką szykująca się do lotu, niestety głośne uderzenie o ziemię zakończyło ten start. Anna grzmotnęła jak długa, aż się zakurzyło.

– Hej! Co ci jest?! – Klęknąłem przy niej. Byłem przerażony, ponieważ się nie ruszała.

Zrzuciłem plecak, żeby mi nie przeszkadzał, przyłożyłem palce do szyi Anny, na szczęście od razu wyczułem puls. Miała zamknięte oczy, ale powieki lekko drgały, przynajmniej wiedziałem, że żyje. Sprawdziłem, czy gdzieś wokół głowy nie widać śladów krwi, na szczęście ścieżka w tym miejscu nie była wyżwirowana. Pokrywała ją dosyć gruba warstwa miękkiej gliny i mchu, co trochę zamortyzowało upadek. Zarejestrowałem wzrokiem wystający korzeń, sprawcę nieszczęścia. Posłałem mu mordercze spojrzenie i znów nachyliłem się nad Anną.

– Słyszysz mnie? Kochanie? – Ostrożnie pogłaskałem umorusany pyłem policzek. – Odezwij się, proszę. – Nie reagowała, więc od razu wyjąłem telefon, usiłując sobie przypomnieć, jak wzywa się tutaj pomoc. – Sto dwanaście, a może sto dziesięć... – mamrotałem, wpatrując się w ekran i gorączkowo szukając SMS-a z informacjami od operatora.

– Leo... – jęknęła Anna, a ja od razu przytknąłem ucho do jej ust. – Nic mi nie jest. Nie dzwoń nigdzie.

– Muszę wezwać pomoc, może coś złamałaś? Uderzyłaś się w głowę, to niebezpieczne – próbowałem ją przekonać.

– Jeśli chcesz, pomóż mi wstać, ale nie zawiadamiaj nikogo – zaprotestowała.

Nie podobał mi się ten pomysł. Wiedziałem, że Anna normalnie rozmawia, poznała mnie, ale nie miałem żadnej gwarancji, że nie doznała wstrząsu mózgu czy innego urazu.

– Wezwę pomoc – powiedziałem stanowczo.

– *Nie!* – Głos Anny ryknął w mojej głowie, aż podskoczyłem. – *Siedź cicho i pozwól mi pomyśleć!*

Ups, zachnąłem się w duchu. Chyba faktycznie nic jej nie było, nie sprawiała wrażenia kogoś, kto cierpi. Przez chwilę leżała, jakby właśnie zebrało się jej na krótką drzemkę. Rozejrzałem się na boki, na szczęście nikt nie kręcił się w pobliżu, więc mieliśmy trochę czasu. Po minucie Anna wyprostowała nogi, wsparła się na przedramionach i powoli usiadła, rozglądając się wokół nieco

błędnym wzrokiem.

– I jak? – spytałem. – Nie kręci ci się w głowie?

– Cii... – Przytknęła palec do ust.

Posłusznie zamilkłem. Dobrze, że przynajmniej mogłem na nią patrzeć. Nie odnotowałem poważniejszych strat. Włosy i twarz Anny pokrywał brunatny kurz, to samo dotyczyło koszuli. Dzinsy poległy: materiał strzelił i odsłonił kościste kolano mojego kochanego Wilczka. Poza tym nic jej nie było.

– *Daj mi jeszcze moment* – poprosiła Anna, znów zamykając oczy. Zdarła skórę na łokciu, bo pocierała go bezwiednie, posykując co jakiś czas z bólu.

Siedziałem przy niej jak idiota, czekając nie wiadomo na co, ale się nie buntowałem. Lepiej po takim upadku trochę odczekać, pomyślałem. Nagle Anna uniosła powieki. Dostrzegłem jakiś dziwny błysk w jej spojrzeniu. Wsparła się na mnie i wstała. Chciałem jej pomóc, ale odtrąciła moją dłoń. Ruszyła chwiejnym krokiem w stronę pobliskich zarośli. Niewiele myśląc, zabrałem plecak i poszedłem za nią. Może chciała siku, zgadywałem, bojąc się odezwać, bo jej zachowanie było co najmniej dziwaczne. Znów się zaniepokoiłem: może jednak coś jej się stało?

Wlazała wprost między krzewy, niezgrabnie odchylając gałęzie. Drapały nas po twarzy, szarpały za ubrania, ale Anna parła naprzód, a ja, jak kompletny dureń, podążałem za nią. Biedne krzewy trzaskały pod naszymi stopami, były coraz gęstsze i bardziej zbite, ale po chwili ujrzałem lekki prześwit: na środku wielkiej kępy ukazała się mała polanka, strzęp wolnej powierzchni, może metr kwadratowy?

Anna natychmiast opadła na kolana i zaczęła grzebać w zeschniętych liściach i resztkach połamanych gałązek. Uniosłem brwi, bo cała ta zabawa przestała mi się podobać.

– Co robisz? – spytałem, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Cicho bądź, pomóż mi – szepnęła, nie odrywając się ani na sekundę od rozgarniania ziemi.

Machnąłem ręką:

– Niech ci będzie. Co mam robić?

– *Kop tutaj*. – Wskazała miejsce.

Kucnąłem obok Anny, wziąłem jakiś grubszy patyk i zacząłem orać nim ubitą glebę. Szło ciężko, bo od dawna nie padało i glina wyschła na kamień.

– *Jeszcze trochę, pospiesz się* – popędziła mnie Anna.

Po chwili coś dziwnie zazgrzytało, jakbym przejechał patykiem po metalowej powierzchni. W Annę wstąpiły nowe siły: drapała ziemię paznokciami, żeby jak najszybciej odsłonić nasze znalezisko. Po kilku minutach zobaczyliśmy je niemal w całej okazałości: w ziemi tkwiła prostokątna metalowa puszką. Z trudem ją wyszarpałem. Anna wyjęła kilka chusteczek higienicznych i wytarła pieczołowicie wieczko. Przyrdzewiało tu i ówdzie, ale ogólnie prezentowało się

całkiem niezłe jak na tak długi pobyt w ziemi.

– Księga? – spytałem, żeby usłyszeć potwierdzenie.

Anna nie odpowiedziała. W napięciu zagryzła wargi, bo wieczko nie chciało ustąpić. Popatrzyłem na nią, po krótkiej chwili zawahania podała mi puszkę. Podważyłem pokrywkę patykiem. Odskoczyła gwałtownie, a my razem z nią.

Oboje wstrzymaliśmy oddechy, gdy naszym oczom ukazała się brunatna skórzana okładka. Była zupełnie gładka, ani jednej litery, znaku, ornamentu. Nic. Ostrożnie wyjąłem Księgę i odruchowo zbliżyłem do niej nos.

– Śmierdzi? – wyszeptała Anna.

– Nie. Dziwne, myślałem, że będzie ją czuć stęchlizną. – Obejrzałem Księgę z każdej strony. Grzbiet również: ani śladu napisów.

– Otwórz. – Anna wyraźnie czuła większy respekt do naszego, a właściwie swojego znaleziska.

Położyłem Księgę na plecaku, żebyśmy oboje mogli lepiej ją widzieć. Nie powiem, ręka mi się zatrzęsła, gdy przewróciłem okładkę.

– Widzisz coś? – Wpatrywałem się w pustą stronę.

– Nie. – Anna pokręciła głową. – To chyba czerpany papier, chociaż jest niewiarygodnie delikatny i bardzo cieniutki. Zobacz dalej.

Przewróciłem kilka cienkich jak włos kartek, później otworzyłem Księgę gdzieś pośrodku i zajrzałem pod koniec. Konsekwentnie: ani pół literki, znaku, symbolu. Parsknąłem śmiechem. Tajemnicza Księga Wędrowców była pusta i czysta jak, nie przymierzając, nowy szkicownik mojej dziewczyny.

– Co teraz? – Zerknąłem na Annę.

– Wracamy do hotelu – odparła, nie spuszczać wzroku z okładki.

– A co z nią?

– Zabieramy. – Anna zaczęła rozpinąć koszulę. – Owiniemy ją, żeby się nie zniszczyła.

Rozłożyła miękką flanelę na kolanach i sięgnęła po Księgę. Ledwie opuszki jej palców zetknęły się z narożnikami, gdy coś poczułem. Jakąś dziwną energię, rodzącą się gdzieś we wnętrzu ciała.

– Czujesz to? – wychrypiałem.

Anna wlepiła wzrok w swoje kolana. Wyglądała, jakby właśnie ujrzała ducha, ale nie odezwała się ani słowem. Z Księgi zaczęło promieniować dziwne czerwone światło. Świeciło coraz mocniej. Ze zdumieniem rozejrzałem się dookoła. Otaczała nas luna. Gałęzie, liście, my sami – wszystko żarzyło się jak żywy ogień, coraz bardziej i bardziej. Nagle poczułem się niewiarygodnie szczęśliwy i bezpieczny, jakbym stał się samym dobrem. Miałem wrażenie, że zamiast krwi wypełnia mnie czysta miłość. To było niesamowite uczucie, nieporównywalne z niczym innym.

– Chryste – jęknąłem, zamykając oczy i oddając się tej błogości. – Jak mi dobrze...

– *Leo, popatrz, co się dzieje* – przerwała mi Anna.

Z trudem uniosłem powieki i skupiłem wzrok na Księdze. Nadal emanowała tym niesamowitym blaskiem, ale znacznie słabiej niż przed chwilą. Światło powoli gasło. Dopiero wtedy ujrzałem, co tak poruszyło moją ukochaną...

* * *

Można powiedzieć, że Księga mną zawładnęła. Była dla mnie równie fascynująca jak odkrycie, że jestem Wędrowcem. Już w parku zaczęła „się pisać”. Na okładce pojawiły się pierwsze znaki. Widziałam je i choć na początku nie mogłam zrozumieć, co oznaczają, już po chwili ułożyły się w jedno tylko słowo: Byt.

– Byt – powiedziałam cicho.

– Byt? – powtórzył Leo i spojrzał na mnie. – Jaki byt?

– Tu. – Ostrożnie musnęłam opuszką jeden ze złożonych znaków. – Tu jest napisane: „Byt”. Nie widzisz?

– Widzę, że coś jest napisane, ale nie znam tego pisma. – Leo nachylił się nad Księgą i przez dłuższą chwilę wprost wypatrywał oczy. – To jakieś hieroglify. Trzeba by spytać kogoś, kto się na tym zna – wymamrotał bardziej do siebie, niż do mnie.

– Ale po co?

– Jak to po co?

– Leo, ja wiem, co oznaczają te znaki. Przecież ci przeczytałam.

– Serio? – Wreszcie oderwał wzrok i spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. – Naprawdę potrafisz je odczytać?

– Nie wiem, czy wszystkie, ale tytuł tej Księgi, bo to chyba jest tytuł, potrafię.

– Niepojęte. – Leo potrząsnął głową. – Sprawdźmy, może coś się pojawiło.

– Ostrożnie otworzył Księgę i faktycznie, na pierwszej stronie widniały trzy linijki znaków.

– „Ja jestem Byt” – odczytałam pierwsze zdanie. – „Byt jest niezniszczalny. Byt jest zawsze”.

– Aha – mruknął Leo. – Przeczytałaś to? – Jego głos zabrzmiał wysoko i piskliwie, niemalże jak u chłopca przechodzącego mutację. – Naprawdę to przeczytałaś? – Wybałuszył oczy.

– No tak. – Spoglądałam to na niego, to na Księgę.

– Nieźle... Ja widzę tylko jakieś dziwne krzaczkę, jak w menu w tutejszych knajpach, ale okej. Wierzę ci na słowo.

– Leo! – obruszyłam się. – Przecież nie kłamię. Naprawdę rozumiem to

pismo.

– Wiesz co? Pakuj tę książkę i spadamy do hotelu. Tam sobie poczytasz.

Naprawdę zagrzebaliśmy dziurę i przysypaliśmy ziemię liśćmi. Niosłam Księgę w plecaku, czując, jak promieniuje z niej jakieś dziwne ciepło. To była nieznaną mi energia. Sprawiała, że szłam lekko, jak na skrzydłach. Nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła sprawdzić, czy na kolejnych stronach pojawił się tekst.

Nie zawiodłam się. W ciągu kilku ostatnich dni naszego pobytu w Tokio szeregi drobnych znaczków wypełniły osiem stron. Leo trochę narzekał, bo już nie jeździłam z nim na plan. Zostawałam w hotelu i czytałam – oczywiście pod opieką Mike’a, który siedział w sąsiednim pokoju. Mogłam śmiało powiedzieć, że znałam pierwsze strony Księgi na pamięć, i gdy wróciliśmy do Londynu, aż się paliłam, żeby przekazać ich treść Krisowi, Dalili, Alishy i Thorowi.

Złot odbył się u Krisa i Dalili. Gospodyni znów uraczyła nas czymś bardzo orientalnym i doskonałym w smaku, ale z wrażenia prawie nic nie zjadłam. W końcu nadeszła upragniona chwila i mogłam pokazać im swoje znalezisko. Usiedliśmy w kole, na miękkim dywanie. Wyjęłam Księgę z torby, odwinęłam z bawełnianej ściereczki i ułożyłam tak, żeby każdy mógł ją dobrze widzieć.

– Łał... – bąknął Thor. – Świetna okładka. Będzie hit. Czuję to.

– Widzisz ją? – Spojrzałam na niego, zaskoczona.

– Żartowałem, lalka – zaśmiał się. – Nic nie widzę. Pozwolicie, że się oddalę. Kris, mógłbym skorzystać z waszego małżeńskiego wyrka? Czas na drzemkę. – Kilka razy uniósł i opuścił brwi.

– W każdej chwili mogę to zmienić – zaproponowała Dalila.

Już dawno chciała uzdrowić Thora i sprawić, że odzyska wzrok, ale ten postanowił skorzystać z usług Dalili dopiero w dniu ślubu z Bekan, czyli już wkrótce, w sierpniu. Bekan od dziecka nie słyszała, więc ona też miała się poddać terapii u naszej superlekarki. Thor uznał, że to będzie najlepszy ślubny prezent, jaki można sobie wyobrazić, i nie mogliśmy odmówić mu racji, choć ja osobiście na pewno bym nie zwlekała. Kris zaprowadził Thora do swojego gabinetu, by mógł zasiąść w wygodnym fotelu i dołączyć do nas mentalnie. Wprawdzie nie mógł rozmawiać, za to wszystko widział i słyszał.

Gdy Kris wrócił, opowiedziałam z detalami, jak odnalazłam Księgę. Leo wtrącił zaledwie jedną czy dwie uwagi, więc poszło nam szybko. I dobrze, bo nie mogłam się doczekać, żeby zdradzić im to, co przeczytałam.

– Powiedźcie, czy widzicie napis tytułowy? – Wszyscy potwierdzili, więc spytałam, czy rozumieją jego znaczenie. Zgodnie zaprzeczyli, choć Kris dosyć długo dumał nad napisem.

– Te znaki nie przypominają mi żadnego dotąd odkrytego pisma, a uwierzcie, widziałem ich sporo, bo kiedyś studiowałam stare języki – powiedział.

– Czyli tylko Anna potrafi je odczytać? – upewnił się Leo.

– Anna jest Strażniczką Księgi, więc musi znać pismo – odparł Kris. – Pamiętajcie przecież, że jej dziadek, John, który objawił się we śnie Anny, powiedział, że tylko wybrani potrafią odczytać treść Księgi.

– Jak brzmi tytuł? – spytała Dalila.

– Byt.

– Tylko tyle? – zdziwiła się. Przeczytałam trzy zdania z pierwszej strony i spojrzałam na moje audytorium.

– Księga jest niezniszczalna – powtórzył zafrapowany Kris. – Sprawdzaliście?

– Czy nie można jej zniszczyć? – Leo popatrzył na Krisa z niedowierzaniem. – Ciekawe, czy miałbyś odwagę spróbować.

– Miałbym. – Kris wstał, żeby wrócić po chwili z małą zippo. Kilka razy ją odpałił i stwierdził, że działa bez zarzutu. – To jak? Robimy próbę ognia? – Spojrzał na mnie. Natychmiast pokręciłam głową.

– Ja się nie odważę.

– Więcej wiary, dziecko. – Ostrożnie wziął Księgę, chwycił palcami jedną kartkę i przystawił zapalniczkę.

Wszyscy przestaliśmy oddychać, gdy płomień liznął stronicę Księgi. Opływał ją, nie czyniąc żadnej szkody. Kris uśmiechnął się od ucha do ucha i jeszcze raz zapalił zippo. Zamknął Księgę i przykładał ogień do różnych miejsc: do okładki, do grzbietu i do brzegu stron. Nic się nie działo. Płomień nie gasnął, palił się jasnym, żółtopomarańczowym światłem, ale nie mógł zniszczyć Księgi.

– Próba ognia zaliczona – oznajmił z satysfakcją.

– Fascynujące – powiedziała Dalila.

– Uhm – mruknął Kris. Podał mi Księgę i powiedział, że teraz ja mam spróbować.

– Dobrze – zgodziłam się, choć wcale nie miałam na to ochoty. – A co, jeśli Strażniczka może zniszczyć Księgę? Skoro tylko ja mogę odczytać jej treść, może mam jakieś specjalne uprawnienia?

– Nie sądzę – uspokoił mnie Kris. – Byt jest niezniszczalny, sama to powiedziałaś.

Odetchnęłam z ulgą, gdy Księżde nic się nie stało. Oddałam Krisowi zapalniczkę i już zamierzałam przejść dalej, gdy nasz gospodarz zaproponował, żebym podjęła jeszcze jedną próbę.

– Wyrwij stronę albo ją zemnij.

– I kto to mówi? – Leo parsknął pod nosem. – Pisarz?

Postanowiłam najpierw zagiąć róg kartki. Aż mi stanęło serce, gdy delikatny papier bez oporu poddał się moim palcom. Na szczęście sekundę później jakimś magicznym sposobem zagięty róg się rozprostował, a już po chwili nie było śladu po załamaniu.

– Genialne – sapnął z uznaniem Leo, gdy bezskutecznie szarpałam pierwszą stronę Księgi.

Wszyscy spróbowaliśmy i nikomu nie udało się wyrwać kartki.

– Mam nadzieję, że Księga się na nas nie obrazi za te wszystkie próby – powiedziałam, gdy z powrotem trafiła w moje ręce.

– Uważam, że to nic złego. Po prostu zaspokoiliśmy naszą ciekawość – stwierdziła Dalila.

Z wrażenia zaschło mi w gardle, więc poprosiłam o wodę. Dalila przyniosła wielki dzbanek z lemoniadą i szklanki dla wszystkich.

– To już coś wiemy – powiedział Kris. – Księga jest niezniszczalna. Co jeszcze?

– Nie da się jej w żaden sposób skopiować. Przetestowałem na mojej podręcznej kserokopiarce. Odbiła się czysta strona. Podobnie nie można jej zrobić zdjęcia. Nic nie widać, biel i tyle – powiedział Leo.

– Na szczęście zawsze zostają nam odręczne notatki. – Kris wyjął mały notesik z kieszeni i pomachał nim wesoło.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś coś notował. Wolałabym nie. Tym bardziej że w Księdze wyraźnie napisano, że słowa Bytu mamy nosić w sercach. Chodzi zapewne o względy bezpieczeństwa – powiedziałam.

– W sumie? – Kris zmarszczył czoło. – Masz rację. Takie zapiski mogą trafić w niepowołane ręce.

– Jeśli kierować się logiką, myślę, że śmiało możesz notować – wtrąciła Dalila.

– Dlaczego?

– Jestem prawie pewna, że gdy zanotujesz słowa z Księgi, coś się z nimi stanie.

– Spróbujmy. – Kris ponownie wyjął notes, otworzył go, a Alisha podała mu zatemperowany ołówek. – Jestem gotów. Dyktuj, moja droga.

– „Ja jestem Byt. Byt jest niezniszczalny. Byt jest zawsze” – przeczytałam powoli, żeby Kris mógł to zapisać.

– Co do diabła? – mruknął znad kartki. – Nie da się! – wykrzyknął zdumiony. – Litery znikają. Popatrzcie. – Podniósł notes, żeby pokazać nam pustą stronę.

– Mogę spróbować? – Leo wziął od niego notes. Najpierw naskrobał kilka słów, podpisał się i nawet narysował uśmiechniętą buźkę, a potem zaczął pisać pierwsze zdanie. Doskonale je pamiętał, bo przecież tyle razy je słyszał. Wymamrotał cicho: – Ja jestem Byt...

– I jak?

– Tak. – Pokazał mi notes.

– Pies, kot, koń. Kocham Annę. Leo Black – przeczytałam.

– Widziałaś, że dopisałem coś jeszcze.

– No tak – mruknęłam.

– Najwyższy czas na intensywne ćwiczenia pamięci. Boże, chroń królową i nas, wiernych poddanych, przed alzheimerem – zażartował Kris. Schował notes i z niedowierzaniem potrząsnął głową. – Trzeba przyznać, że to jedna z bardziej interesujących ksiąg, jaką widziałem, a co najlepsze, nigdy jej nie przeczytałem i nie przeczytałem.

– Naprawdę jest ciekawa – potwierdziłam. – Na razie pojawiło się kilkanaście stron. Nie mają numerów, ale każda kończy się wpisem, który to dzień wędrówki Bytu. Choć nie zawsze te dni są ponumerowane po kolei. Pierwsza strona opisuje powstanie pierwszego Wędrowca, to była kobieta, Strażniczka Księgi. Na razie nikt poza nią się nie pojawił.

– A jak powstała ta kobieta, ma jakieś imię? – Krisowi z ciekawości poczerwieniały uszy. Uszy i policzki. Zawsze miał je rumiane, ale dzisiaj płonęły.

– Urodziła się. Normalnie, jak każdy z nas – wytłumaczyłam. – Ma na imię Alfe.

– Alfa?

– Alfe – powtórzyłam. – Byt się stworzył samoistnie i gdy Alfe pojawiła się na świecie, doprowadził ją do miejsca, w którym znalazła Księgę. Miała wtedy sześć lat. Nie napisano o tym wprost, ale Księga mówi o sześciu porach żniw. Niestety, na razie nie ma żadnych odniesień do znanych nam wydarzeń historycznych, więc nie wiem, kiedy powstał Byt.

– A gdzie? Jesteś w stanie określić, choćby w przybliżeniu, gdzie to się stało?

– Też nie. – Pokręciłam głową. – Ale codziennie przybywa co najmniej jedna strona, więc liczę na to, że wkrótce się dowiemy. Co ciekawe, mniej więcej co trzy strony spotykam takie... – Zamilkłam na moment. – Nie wiem, jak to ująć. Rady? Wskazówki?

– Mogłabyś przytoczyć choć jedną z nich? – poprosiła Dalila.

– Dobrze. – Przewertowałam kilka stron w poszukiwaniu najwłaściwszej. – Może ta: „Jestem Bytem w tobie”.

– I co dalej? – Kris przekrzywił głowę w oczekiwaniu.

– Nic. To wszystko.

– Hm... – mruknął. – Czy tylko ja nie rozumiem?

– Nie przejmuj się. – Leo uśmiechnął się półgębkiem. – Nie tylko ty.

– Chodzi o to, że dopóki Byt jest w nas, dopóty jesteśmy niezniszczalni i na zawsze – wytłumaczyłam, pilnując się, żeby nie przewrócić oczami. Do tej pory wszystko, co im przeczytałam, wydawało mi się oczywiste.

– Aha. – Kris nabrał do płuc haust powietrza i głośno je wypuścił. – Sporo możliwości interpretacji?

– Dla mnie ten tekst jest prosty i jednoznaczny. Przynajmniej na razie – oznajmiłam, czując się nieco głupio. Obawiałam się, że jeszcze trochę i moi przyjaciele uznają mnie za zarozumialca, ale wolałam to, niż karmić ich kłamstwami.

– Dobrze, że cię mamy. – Dalila przybliżyła się, żeby pogłaskać mnie krzepiąco po ramieniu. – Dobra robota, pani Strażniczko. A czy napisano tu coś o twoich obowiązkach? Możemy ci jakoś pomóc?

– Wstyd, że pierwszy o tym nie pomyślałem. – Leo zrobił skruszoną minę.

– W zasadzie niczego takiego nie zauważyłam. Myślę, że moim jedynym obowiązkiem jest czytać Księgę i przekazywać wam jej treść – odparłam po chwili zastanowienia.

– I mieć ją zawsze przy sobie – dodał Kris. – Gdy Strażniczka nie pilnuje Księgi, znika jej treść, czyż nie? – Prześlizgnął wzrokiem po naszych twarzach.

– Tak. Właśnie to usłyszałam we śnie, w którym objawił się mój dziadek. Gdy w pobliżu Księgi nie ma Strażniczki, codziennie ubywa kilka stron. I na odwrót, strony pojawiają się, gdy mam Księgę przy sobie.

– Na szczęście. – Dalila położyła dłoń w miejscu, gdzie pod pięknym, szmaragdowoniebieskim sari biło jej serce. – Jeśli chcesz, Alisha uszyje ci specjalną saszetkę na Księgę. Wiem, że jest niezniszczalna, ale powinna być traktowana z należytym szacunkiem. Co wy na to? Alisha? – zagadała do milczącej dotychczas córki.

– Jeśli Anna chce, uszyję – odpowiedziała, nie patrząc na mnie.

– Córeczko, coś nie tak? – zaniepokoiła się Dalila. Natychmiast podniosła się z dywanu i przeszła na drugą stronę naszego małego kółka, żeby usiąść przy Alishy. – Coś się stało? Dziecko? – Musnęła wierzchem dłoni jej policzek.

– Nic się nie stało – odpowiedziała po chwili Alisha, ale jej wzrok nadal wbity był w splecione na podołku dłonie. Skubała bezmyślnie jakąś nitkę wystającą z lamówki sari, a ja czułam coraz większy ciężar w sercu i strach, że Alisha coś zobaczyła. Coś na tyle strasznego, że nie mogła się tym z nami podzielić. Nagle podniosła twarz. Jej cudowne czarne oczy okolone wachlarzem gęstych rzęs powoli wypełniały się łzami. – Uszyję ci piękną saszetkę. Księga zasługuje na godną oprawę.

Dziwnie to zabrzmiało. Jakoś złowieszczo, aż przebiegł mnie lodowaty dreszcz. Zapadła cisza, a napięcie podniosło się tak bardzo, że prawie można było poczuć na języku jego metalicznogorzki smak. Nagle usłyszeliśmy jakiś szmer za plecami. Podskoczyliśmy niczym marionetki zawieszane na wspólnym drążku.

– Musiałem się zdrzemnąć – powiedział Thor, idąc powoli w naszą stronę. – Swoją drogą, Kris, dasz mi to maleństwo? Kolekcjonuję zippo i akurat tego modelu mi brakuje – wyjaśnił. Zbliżył się i ostrożnie usiadł. – Tak zamulaliście, że zasnąłem. Coś straciłem?

– I w takim też jest Byt? – Leo zmarszczył czoło.

– Byt? – Thor pogłaskał się po brzuchu, z którego dobiegło głośne burczenie. – Może być i Byt, choć ja mówię na to żołądek. To jak? Co straciłem?

Alisha – Epizod 1

List do Ciebie

„Taki dar, takie przekleństwo” – słowa wypowiedziane przez mamę chyba nigdy mnie nie opuszczą. Miała rację, mój dar to przekleństwo. Nie wiem, czy chcesz mnie poznać i czy kiedykolwiek przeczytasz ten list, ale chcę, żebyś wiedział, jaka jestem. Tak, niosę swój dar jak wielki ciężar, lecz z biegiem lat i kolejnych wcieleń ciąży coraz mniej. Nauczyłam się go dźwigać, bo wiem, że zostanie ze mną na zawsze.

Jak to jest widzieć przyszłość?

Dwa wcielenia temu żyłam w małej wiosce niedaleko Hajdarabadu. Miałam jedenaście lat i byłam tak biedna, jak biedna może być dziewczynka pochodząca z kasty niewiele lepszej od nietykalnych. Kończyła się pora monsunowa, a ja wracałam z targu rybnego. Niosłam na głowie wielki kosz, podtrzymując go tylko jedną ręką, bo drugą próbowałam ocalić moje nędzne i jedyne sari przed zabrudzeniem. Szłam, stąpając powoli i ostrożnie, bo kamienna ścieżka już dawno zniknęła w strugach błota i odpadków. Niestety, moja przezorność na niewiele się zdała. Poślizgnęłam się i wyłożyłam jak długa. Mimo to myślałam tylko o tym, aby uratować ryby. Bez nich mnie i moją rodzinę czekała śmierć z głodu. Już nie dbałam o sari. Zalewałam się łzami, zbierając ryby, bo bałam się kary. Ojciec miewał ciężką rękę. Łowiłam je więc spomiędzy błota, grzebałam w śmieciach i resztkach, płynących z prądem brudnego strumyka, a gdy jakąś znalazłam, wycierałam jej srebrny brzuch w moje sari.

Wróciłam do domu. Oddałam matce kosz, a ona obsztorcowała mnie bezlitośnie, bo wyglądałam jak siedem nieszczęść. Dwa dni później obudziłam się, czując nieznośny ból. Nie zauważyłam, że upadając, zraniłam się w kolano. Nabrzmiało jak balon. Napięta skóra przybrała w tym miejscu czerwoną barwę, która po kilku godzinach rozlała się na całe moje nędzne, chude ciało. Rodzice nie wyglądali na zmartwionych. Miałam jeszcze siedmioro starszego rodzeństwa, więc utrata najmłodszej córki była im na rękę. Dogorywałam, leżąc w kąciku niewielkiej obórki, w której trzymaliśmy kozy. Tylko one mnie odwiedzały. Czasami któraś z nich podeszła, żeby trącić mnie nosem lub ukąsić kawałek mojego sari w nadziei, że jest jadalne.

Nie wiem, skąd wzięłam siły, by wstać pewnej nocy i zawlec się do sąsiedniej wioski, gdzie mieszkał człowiek, który był kiedyś braminem. Łudziłam się, że mi pomoże, uleczy mnie albo sprawi, że umrę i skończą się moje męki. Dotarłam tam nad rankiem, a bramin rzekł, że czekał na mnie. Był obdarzony podobną umiejętnością co ja, lecz znacznie mniej biegły w tej sztuce. Powiedział,

że mnie uleczy, ale najpierw mam mu opowiedzieć o swoim darze. Oszukał mnie, bo gdy zdradziłam mu wszystko, wygnał mnie z domu. Na szczęście moje kolano samo wydobrzało i wróciłam do życia.

Spytasz, po co opowiedziałam Ci tę smutną historię? Chciałam, żebyś trochę mnie poznał. Mnie i moje przekleństwo.

Mój dar widzenia przyszłości jest jak książka. Gdy weźmiesz ją w dłonie i otworzysz gdzieś w środku, w przypadkowo wybranym miejscu, przeczytasz kilka linijek i już wiesz, co się zdarzy. Gdy będziesz czytał dalej, poznasz jeszcze więcej. Możesz się cofnąć i przeczytać o tym, co zdarzy się wcześniej. Możesz zamknąć książkę lub przeczytać całą. Jedyna różnica między zwykłą książką a moim darem jest taka, że „książka przyszłości” nigdy się nie kończy. Ma jedynie początek.

Im dłużej żyję z moim darem, tym rzadziej zaglądam w przyszłość. Nie chcę jej znać. Nie pamiętam, kiedy świadomie otworzyłam „książkę przyszłości”, żeby podpatrzeć, co zdarzy się w moim życiu. Moim i nie tylko w moim. Niestety, jak każda książka, także i moja może otworzyć się sama. Wystarczy, że spadnie z półki albo stolika i jej karty rozłożą się jak skrzydła motyla. Nie da się nie spojrzeć.

Czasami mi się śnisz. Mierzysz mnie wzrokiem, mrużąc oczy okolone gęstymi, jasnymi rzęsami. Wykrzywasz usta we wzdorliwym grymasie i pytasz: „Pragniesz miłości?”. Odpowiadam: „Jak każda kobieta”, a wtedy mówisz: „Pragniesz czegoś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyłaś”. Przytakuję. Mój puls przyspiesza, bo patrzę na Ciebie i nie mogę oderwać wzroku. Masz na sobie jedynie czarne spodenki sięgające połowy Twoich muskularnych ud. Twoja gładka skóra przyciąga moje spojrzenie. Wiodę nim po wąskim pasku złocistych włosów. Biegną od wgłębienia na linii serca przez Twój wklęsły, umięśniony brzuch aż do krawędzi bielizny.

I nagle zaczynasz mówić: „Jestem skażony bólem i smutkiem, narasta we mnie, namnaża się, niszczy w zarodku każdy poryw serca, kroplę nadziei, przejaw życia. Jestem zniechęceniem, paraliżuje mnie melancholia. Dziś taki stan określamy mianem depresji”.

Pęka mi serce, gdy tego słucham. Natychmiast się budzę, siadam na brzegu łóżka, lecz zamiast ulgi czuję jeszcze większy smutek, bo „książka przyszłości” leży otwarta u moich stóp. I już wiem, jak będzie, choć wcale tego nie chcę. Nie chcę wiedzieć i nie chcę poddać się tej przyszłości.

Rozdział 4

Nic poza Tobą...

Każdy ma swojego Anioła Stróża, a ja miałam trzech. Tego ze skrzydłami i aureolą (jego podobizna widniała na pamiątkowym obrazku komunijnym mojej mamy) plus dwóch wynajętych przez Leo. Ci nie mieli skrzydeł, a tym bardziej aureoli. Nosili zwykłe ciuchy, żeby wtopić się w tłum, a pod kurtką szelki z kaburą i jej zawartością. Kiedyś nawet chciałam pogadać z jednym z nich, trochę się zaprzyjaźnić, ale moi nowi ochroniarze byli jeszcze bardziej mrukliwi i nieprzystępni niż Natasza. Powoli przywykłam, że gdy gdzieś idę, podążają za mną, a właściwie: jeden za mną, a drugi z boku, ale na tyle dyskretnie, by nikt postronny nie zauważył i żebym miała jakąś tam (no właśnie: jakąś) swobodę.

Maj nie rozpieszczał, lało niemal codziennie, ale ostatni tydzień zaczął się obiecująco. Mama wysupłała trochę zaskórniaków i wręczyła mi je z przykazaniem, że mam sobie kupić coś ładnego. Zdziwiłam się, bo nie narzekałam na brak ciuchów, ale nie wypadało odmówić. Okropnie by się obraziła!

– Masz stówkę i nie wracaj bez jakiejś ładnej letniej sukienki. – Cmoknęła mnie w policzek. – Może wybierzemy się razem? – zaproponowałam, próbując sobie przypomnieć, kiedy byłyśmy z mamą ostatnio na wspólnych zakupach.

– Nie mam czasu – zbyła mnie.

– Ja dzisiaj też nie mam. Chciałam zrobić pranie... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Nie ma mowy. Jedź, bo za chwilę znów ci coś wypadnie. Alan za pięć minut jedzie do pracy, to zabierze cię do centrum.

– Spokojnie, sukienek nie zabraknie.

– Anka! – Mama groźnie zmarszczyła czoło. – Bierz te pieniądze i już cię nie ma.

Przewróciłam oczami.

– Po co te nerwy? – zapytałam samą siebie, bo moja nadpobudliwa mamuśka obróciła się na pięcie i wyszła z sypialni.

Wolałam z nią nie dyskutować, ostatnio miała dziwne nastroje. Stwierdziła, że to menopauza, i uprzedziła nas, mnie i biednego Alana, że będzie coraz gorzej i mamy jej nie drażnić bez powodu. Westchnęłam pod nosem, schowałam kasę do torebki i posłusznie zesłam na dół, gdzie już czekał Alan. On też był dzisiaj jakiś nabuzowany. Śmiał się bez powodu i sypał głupimi żarcikami. Z ulgą się z nim pożegnałam. Postanowiłam podjechać do Westfield. Wysłałam SMS-a jednemu z moich opiekunów i już po chwili siedziałam w jego samochodzie.

Nic mi się nie podobało. Chodziłam od sklepu do sklepu, bez przekonania patrząc na setki podobnych kiecek.

– Ech, mama i jej głupie pomysły – sarknęłam pod nosem, przeglądając kolejne wieszaki w kolejnym butik.

W końcu znalazłam kreację, która może nie stanowiła spełnienia moich marzeń o letniej sukience, ale była znośna. Poszłam do przymierzalni, postanawiając, że jeśli będzie pasować, wezmę ją i nie będę szukać żadnej innej. Założyłam sukienkę i spojrzałam na siebie krytycznym okiem. Była całkiem ładna, musiałam przyznać. Niebieska w białe kwiatuszki, dziewczęca (jak by powiedziała mama), odcinana pod biustem i lekko marszczona przy stanie.

– Pomóc w czymś? – dobiegł mnie głos sprzedawczyni.

Czułam, że zależy jej, żeby sprzedać tę kieckę, bo kosztowała prawie sto funciaków. Pewnie część pensji stanowiła prowizja od obrotu, stąd takie zaangażowanie. Zaproponowała, że przyniesie mi kilka innych, ale podziękowałam.

– Chyba ją wezmę – odkrzyknęłam. – Jest całkiem niezła.

– Proszę się pokazać. Sprawdzę, czy wzięła pani dobry rozmiar. Moim zdaniem powinna pani wziąć większy.

Przewróciłam oczami, myśląc, że ta dziewczyna, na oko moja rówieśnica, nie zagrzeje tu długo miejsca. Nie ma nic gorszego niż sugerowanie klientce, że jest gruba, nawet takiemu chudzielcowi, jakim byłam, a co dopiero komuś naprawdę pulchnemu. Na dodatek wyszłam na idiotkę, która nie zna własnych wymiarów!

– Na pewno jest dobry – odparłam, zszokowana jej amatorszczyzną.

– To proszę wyjść – upierała się sprzedawczyni.

„Jakaś wariatka? A może mnie poznała?” – zaniepokoiłam się w myślach. Nie panikowałam, bo w sklepie był ze mną jeden z ochroniarzy, a drugi kręcił się przed wejściem, ale i tak czułam się nieswojo.

– Halo! – Zastukała w drzwi kabiny. – Proszę się pokazać.

– Bez jaj! – Ostro się wkurzyłam i otworzyłam drzwiczki kabiny z takim impetem, że prawie rozbiłam nos natrętnej panience Monique, jak zdążyłam dostrzec na małym identyfikatorze. – Skoro mówię, że sukienka pasuje, to chyba pasuje? – Stałam przed nią i podparłam się pod boki.

– Fajny ciuszek... – powiedział ktoś, kogo głos zawsze robił na mnie wrażenie.

Odwrociłam się. Leo stał nonszalancko oparty o filar i patrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

– Już to kiedyś słyszałam – odpowiedziałam, a w głowie dodałam, że się z nim policzę za ten numer. Nie musiałam nawet patrzeć na ekspedientkę. Domyśliłam się, że to mój Leo wszystko ukartował, tak samo jak tę „spontaniczną” darowiznę od mamy i wysłanie mnie na zakupy.

– Co teraz? Co proponujesz? – przekazałam mu mentalnie i odwzajemniłam

jego spojrzenie.

– Zobaczysz – odparł z lisim uśmiechem.

Nie wiem, kto zapłacił za niebieską kieckę, w której wyszłam ze sklepu, i co się stało z moją bluzką i džinsami. Na szczęście zachowałam na tyle przytomności, żeby zabrać z przymierzalni torbę z Księgą.

– Nie powiesz mi, gdzie jedziemy? – zapytałam, gdy udało się nam umknąć z centrum handlowego.

– Zaraz się dowiesz.

– A w ogóle co tu robisz? – Zerknęłam na Leo.

– Prowadzę? – zażartował. – Chcesz się przesiąść?

– Wiesz, że nie pasuje mi kierownica po prawej stronie.

– Mam przestawić? – Szarpnął za kierownicę jaguara.

– Leo, to jakieś wariactwo! – pisnęłam, zauważywszy, że kierujemy się w stronę lotniska. – Gdzie lecimy?

– Tam, gdzie wszystko się zaczęło...

* * *

Wprawdzie wszystko dograłem i zapiąłem na ostatni guzik, ale i tak nie przestawałem się denerwować, że coś nie wypali. Plan naszej pierwszej rocznicy był skomplikowany i wielopiętrowy. Julia nie zawiodła, sprzedawczyni w butiku też doskonale zagrała swoją rolę, choć miałem raptem trzy minuty na przekonanie jej, że ma mi pomóc, porzucając swój profesjonalizm. Stwierdziła, że za autograf i selfie ze mną zrobi wszystko.

Niestety, nie było innego wyjścia i Anna szybko pojęła, dokąd ją zabieram. Była zaskoczona, bo wcześniej mówiłem, że nie wybieram się w tym roku do Cannes. Najbardziej obawiałem się zdecydowanej odmowy. Wszak porwałem ją ze sklepu. Ot tak, jak stała, w niebieskiej sukience i ulubionych trampkach. Dopiero pod koniec lotu pogodziła się z myślą, że nie dałem jej wyboru.

– Przecież wiesz, że nie lubię niespodzianek – mruzczała, gdy opuszczaliśmy lotnisko w Nicei. – Leo, zapomnij, że tu wejdem... – jęknęła, gdy taksówka przywiozła nas pod hotel Stars. – W życiu.

– Ale o co ci chodzi? – Zaśmiałem się, gdy Anna wysiadła z taksówki, zadarła głowę, żeby popatrzeć na budynek, i chwilę później pokręciła nią, dając mi znak, że nie ma mowy.

– Leo, błagam. Wybierzmy inny hotel. Tu nas znają – powiedziała cicho, żeby nie usłyszało jej dwóch odzwiernych, stojących przy obrotowych drzwiach.

– Obawiam się, że w każdym nas znają. Na dodatek jeszcze chwila i... – Wskazałem brodą na kilku fotoreporterów, którzy właśnie biegli w naszą stronę.

– O matko... – jęknęła Anna, złapała mnie za rękaw koszuli i pociągnęła w stronę wejścia.

Wynająłem ten sam apartament, który zajmowałem rok wcześniej. Anna weszła do środka, rozejrzała się wokół i powiedziała, że jestem kompletnym wariatem.

– A gdzie Mike? – Założyła ręce na piersiach i popatrzyła na mnie z tryumfem.

– Za ścianą.

– Serio? – Wybałuszyła oczy.

– Serio. Ma być jak rok temu. Taki jest plan. Prawie jak rok temu – dodałem po chwili.

Stałem przed nią i objąłem ją w pasie. Poznaliśmy się równo rok temu, a ja czułem tę samą fascynację, której doświadczałem wtedy. Anna nadal stanowiła dla mnie zagadkę i często łapałem się na tym, że nie znam jej i chyba nigdy nie poznam do końca.

Była taka piękna. Żałowałem, że przez moją kretyńską zazdrość doprowadziłem do tego, że obcięła swoje cudowne długie włosy. Trochę odrosły, ale i tak nie przypominały tamtych bujnych pukli, które tak bardzo kochałem.

– Czemu mi się tak przyglądasz? – spytała Anna. Zarzuciła ręce na moje ramiona i wspięła się na palce, żeby mnie cmoknąć. – Leo? Tu Ziemia!

– Chyba nigdy się na ciebie nie napatrzę – wyznałem, czując znajomy mdławaty ból w dole brzucha. – Chodź. – Pociągnąłem Annę za sobą do sypialni.

– Leo, przecież było inaczej – stwierdziła, gdy popchnąłem ją lekko na łóżko i stanąłem nad nią. – Dzisiaj rysunek. Portret, pamiętasz? – Zachichotała. – Czemu zdejmujesz koszulkę?

– To będzie rysunek popiersia.

– Popiersia? – Włożyła ręce pod głowę i prześlizgnęła wzrokiem po mojej klatce piersiowej. – Obawiam się, że hotelowa papeteria jest zbyt mała, żeby narysować twoje popiersie.

– Skleimy kilka kartek.

– Uhm... – mruknęła. – A taca? Pamiętasz? Służyła mi za podkładkę.

– Tu mają bardzo duże tace. Ogromne tace, wielkie jak prześcieradła.

– A dlaczego rozpinasz dżinsy?

– Bo to będzie rozbudowane popiersie. Z nogami.

– Hm... – Kilka razy znacząco uniosła i opuściła brwi. – To będzie bardzo dziwne popiersie, z brzuchem, nogami i gołym tyłkiem. I jeszcze czymś – dodała, skupiając wzrok na moim podbrzuszu.

– Pamiętaj, żeby dokleić odpowiednią liczbę kartek, żeby się zmieścił... – odparłem, nachylając się nad nią.

– Leo? Co robisz? – pisnęła.

– Pomyślałem, że będzie ci się lepiej rysowało, gdy nic nie będzie krępować twoich ruchów – powiedziałem, zsuwając trampki ze stóp Anny.

– Będzie mi zimno w pupę – zaprotestowała, gdy w ślad za nimi poszły białe figi.

– Podłożę koc.

– Albo rozpalimy w kominku – jęknęła, gdy pocałowałem delikatną jak jedwab skórę przy jej pępku.

– Albo rozpalimy w kominku...

* * *

Byłam ciekawa, co jeszcze wymyślił Leo, ale gdy około szóstej wieczorem ktoś zapukał do drzwi naszego apartamentu, a po chwili pokojówka wwiozła do saloniku gigantyczny wieszak z sześcioma sukniami wieczorowymi, wpadłam w lekką panikę.

– Leo?! Nigdzie nie pójde! Zapomnij – oświadczyłam, patrząc na kreacje. Na razie mój strój stanowiło prześcieradło, którym owinęłam się od stóp do głów, poza nim miałam jeszcze niebieską kieckę, jedną parę majtek i trampki. Ewentualnie hotelowy szlafrok. – Po co tyle sukienek? – Spojrzałam na niego.

– Nie wiedziałem, która ci się spodoba. – Wzruszył ramionami.

– Mam paradować w kiecach wieczorowych? A gdzie coś normalnego?

– Nic mi nie wiadomo o tym, żeby to były nienormalne kiecki, ale może znajdziemy coś tutaj? – Leo powiódł mnie z powrotem do sypialni i otworzył wielką szafę.

– O, ty spryciarzu! – W moim głosie zabrzmiało uznanie. Leo musiał poprosić mamę, żeby spakowała kilkanaście moich rzeczy, bo jakże inaczej znalazłyby się tu džinsy, kraciaste koszule i inne ulubione ciuchy.

– No widzisz – mruknął, zasuwając drzwi. – Ale to jutro, a teraz wybieraj suknię, bo za dwie godziny...

– Co będzie za dwie godziny? – Zastygłam, czując woń spisku.

– Zobaczysz.

Nie dało się nie zauważyć, że Leo doskonale się bawił, urządzając cały ten spektakl, więc mimo oporów zgodziłam się wybrać którąś z sukienek. Wszystkie pochodziły z pracowni znanych projektantów i żadnej w życiu bym nie kupiła. Nie dość, że kosztowały majątek, to były wyjątkowo odważne i po półgodzinnych przymiarkach uznałam, że chyba założę tę niebieską, którą kupiłam rano w centrum handlowym. Oczywiście Leo spojrzał na mnie z miną zbitego psa i ustąpiłam. I to był błąd, bo jak mówi przysłowie: „Daj Leo Blackowi palec, a resztę sam sobie weźmie”.

Zdecydowałam się na kremową suknię, która jako jedyna była długa, miała rękawy (niestety z koronki) i dekolt na plecach sięgający pasa, a nie pośladków, jak pozostałe. Ledwie wyartykułowałam swoją decyzję, a Leo wyjął iPhone'a i do kogoś zadzwonił. Pół godziny później siedziałam przed lustrem i patrzyłam na obcą

dame, w którą się zmieniałam. Wizażystka i fryzjerka były szczerze zachwycone, tak samo Leo, gdy ujrzał mnie w całej okazałości, ja niekoniecznie. Czułam się dziwnie z kilogramem tapety i tym czymś, co skonstruowała fryzjerka. Zamontowała ptasie gniazdo, czyli obwarzanek z siateczki, i doczepiła niezliczone ilości sztucznych włosów. Ja i sztuczne włosy! Tłumaczyła, że to naturalne włosy, a ja na to, że może i naturalne, ale nie dla mnie.

No cóż, nie chciałam psuć zabawy mojemu Leo, więc uśmiechnęłam się do plastikowej ślicznotki w lustrze, przypominającej nieco Audrey Hepburn, i spytałam asekuracyjnie, czy to już koniec. Obie panie przytaknęły i opuściły apartament. Na szczęście przynajmniej buty przypadły mi do gustu. Leo powiedział mamie, żeby spakowała moje sandały do łaciny, i wręczył mi je z dumą.

– Od razu lepiej – westchnęłam z ulgą, czując na stopach coś tak znajomego. – Rozumiem, że będziemy tańczyć? – spytałam narzeczonego, bo wyszedł z sypialni w pełnym rynsztunku, czyli smokingu i oxfordach.

– Jeśli chcesz.

– Jeśli chcę? – Nie zadowolila mnie ta enigmatyczna odpowiedź. – Leo, startujesz w jakimś konkursie na liczbę sprawionych niespodzianek?

– Uhm – mruknął, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Powiem tak: wyglądasz oszałamiająco, ale wolę cię taką jak przed dwiema godzinami.

– Jestem za, tylko będziesz musiał mi pomóc to zdemontować. – Pokazałam na konstrukcję na mojej głowie.

– Nie ma sprawy, ale to później.

Zjechaliśmy na parter, pod hotelem czekała już na nas taksówka.

– Torebka mi nie pasuje – powiedziałam, gdy ruszyliśmy.

– Fakt – odpowiedział Leo, patrząc na moją skórzaną, brązową listonoszkę, przewieszoną przez plecy. – Jak znam życie, fanki wykupią jutro ze sklepów podobne torby i będą je nosić do wieczorowych sukni. Zobacysz.

– Przestań. Przecież to idiotyczne. – Pogłaskałam klapę torby. Lubiłam ją, bo była skórzana, stara, czyli vintage (jak mówiła Wika), i pasowała do każdego ciucha, no chyba że tym ciuchem była wieczorowa suknia od jakiegoś bardzo uznanego projektanta, wtedy niekoniecznie.

– Idiotyczne – zgodził się Leo. – Ale tak będzie.

– Leo... – zagałam, bo coś mi się nie zgadzało. – Na tym balu będą jakieś fanki?

– Na balu? Nie.

– Aha. To gdzie będą?

– A gdzie byłaś rok temu? – Obrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Chyba żartujesz? – wykrztusiłam, uświadamiając sobie, w co mnie wpakował.

– Bynajmniej. – Wydął usta. – Jestem śmiertelnie poważny.

Pomyślałam, że zaraz zastukam w szybę oddzielającą nas od kierowcy i Mike'a, a gdy szofer zatrzyma taksówkę, po prostu wysiądę i ucieknę, żeby skryć się do mysiej dziury, ale nic nie zrobiłam.

– *Oj, zapłacisz mi za to, kochanieńki.*

Wjechaliśmy na parking za budynkiem Festiwalu, Leo wziął mnie za rękę, gdy tylko wysiadłam. Mike szedł za nami, a ja miałam nieodpartą chęć powiedzieć obu panom, że muszę pilnie udać się do łazienki. Skryłabym się w toalecie i została tam do północy. Nagle coś mi zaświtało. Przecież kiedyś musiał być ten pierwszy raz. Ukradkiem popatrzyłam na Leo. Jego twarz ściągała niezbyt dobrze skrywana irytacja. „Musi mu być cholernie ciężko” – westchnęłam w duszy. Docierały do nas pokrzykiwania ludzi zgromadzonych wokół barierki przy czerwonym dywanie, a ja zamiast salwować się ucieczką, coraz bardziej chciałam wreszcie stawić temu czoło. W końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie celebryci wkraczali na czerwony dywan. Leo pociągnął mnie za sobą, ale zanim obcaso moich butów wbiły się w miękki filc, poczułam mocny uścisk jego dłoni.

– Będzie dobrze. Uśmiechaj się i myśl, że to jakaś gra.

– Okej – wymamrotałam, mrużąc oczy, bo już zaczął się ostrzał.

Szliśmy powoli, metr za metrem, a zewsząd otaczał nas niekończący się błysk fleszy, to naprawdę było jakieś wariactwo. Migawki aparatów trzaskały tak szybko, że ich dźwięki zlewały się w jeden, a oczy błyskawicznie przestały zauważać przerwy między kolejnymi mignięciami.

I wrzaski. Wrzaski, krzyki, gwizdy i nawoływania...

Leo miał rację, wszyscy nas znali. Mnie również. I to pomimo tapety i kokonu na głowie. Darli się jak opętani, machali do nas, a w mojej głowie tłukła się tylko jedna myśl: „Czy to my jesteśmy małpami, a oni widownią w tym cyrku, czy na odwrót?”. Podzieliłam się tą refleksją z Leo, a on nachylił się i wyszeptał do mojego ucha, że zdecydowanie nie wyglądam jak małpa.

– *Współczuję ci. Serdecznie i z całego serca. I sobie też współczuję, ale mniej. A tak w ogóle to dzięki, że mnie tu zabrałeś, choć nie ukrywam, że to jest gorsze niż jazda na rollercoasterze w trakcie ostrej grypy żołądkowej* – przekazałam mu mentalnie. Leo uniósł brwi, pewnie zdziwiony podziękowaniami, więc dopowiedziałam: – *Już dawno powinnam była to zrobić. Sprawdzić na własnej skórze, jak wygląda twoje życie. Chyba tak się robi, gdy się kogoś kocha?*

Nie odpowiedział, uśmiechnął się półgębkiem, chwycił mój łokieć i delikatnie, acz stanowczo obrócił mnie w lewą stronę. Spojrzałam na kłębiących się przy barierkach fanów. Wysuwali dłonie, robili nam zdjęcia telefonami, a niektórzy odwracali się do nas tyłem, żeby zrobić *selfie* z nami w tle.

– Podejdziemy tam? – mruknął mi do ucha.

– Okej – wymamrotałam bez przekonania, choć już dawno zauważyłam, że kilkoro innych aktorów i aktorek podchodziło do fanów, pozowało im i rozdawało

autografy.

Poprawiłam pasek torby i ruszyłam przed siebie, usilnie próbując przywołać na twarz coś na kształt miłego i sympatycznego uśmiechu. Zrobiłam może pięć kroków, gdy przed oczami błysnęła mi znajoma twarz. W pierwszym momencie pomyślałam, że mam zwidy, ale nie...

Te blond kucyki i błysk w oku poznałabym wszędzie.

– Wika?! – wyrwało mi się odruchowo. – Wika!!!

Nie bacząc na nic i na nikogo, wyrwałam do przodu i już po chwili tuliłam w objęciach moją zwariowaną przyjaciółkę.

– Wika! – pokrzykiwałam, całując ją, odsuwając na odległość ramion, i tak ze trzy razy.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że wokół nas rozpętało się istne szaleństwo, wszyscy piszczeleli i wykrzykiwali moje imię, wołali, żebym ich też przytuliła i pocałowała, a o sprawcy tego zamieszania to już całkiem zapomniałam. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, że Leo stoi jakiś metr ode mnie i szczerzy zęby w uśmiechu.

Już miałam powiedzieć Wiktorii, żeby przelazła przez barierki, ale w porę się zreflektowałam. I tak wzbudziłyśmy zainteresowanie kilku roślących ochroniarzy Festiwalu, bo zbliżyli się do nas i czujnie filtrowali wzrokiem tłum. Okazało się, że Wiktorii towarzyszył James. Szybko mi wyjaśniła, że Leo zaprosił ich do Cannes na całuteńki tydzień. Cieszyła się jak wariatka, zdążyła mi jeszcze szepnąć, że wyglądam szalowo i już. Musieliśmy iść dalej.

– *Dzięki! Ależ niespodzianka! Coraz bardziej mi się podoba twój plan* – przekazałam mentalnie, a wtedy Leo się zatrzymał i zrobił coś, co było niczym wisienka na torcie. Objął mnie, szepnął: „Dla ciebie wszystko” i pocałował prosto w usta. Całował mnie, a im dłużej to trwało, tym bardziej moje nogi zmieniały się w watę, i gdy w końcu Leo oderwał swoje ciepłe wargi od moich, aż się zachwiałam.

– Posłuchaj, co się dzieje... – mruknął, podtrzymując mnie.

Faktycznie, jak to mawiała Wika: „Ludź zwariował”. Leo był bardzo dumny z tej akcji, bo rozglądał się, jakby sprawdzał, czy absolutnie wszyscy widzieli ten pocałunek. Może chodziło mu o namolne fanki? Co dziwne, część z nich sprawiała wrażenie zafascynowanych moją skromną i nic nieznaczącą w filmowym świecie osobą. Młode dziewczyny, moje rówieśnice, krzyczały, że kochają Leo, żeby po sekundzie wrzeszczeć, że kochają i mnie.

– *Kurczę, Leo, powiem ci, że to jest w sumie całkiem fajne!* – przekazałam na gorąco moje odczucia. Nigdy w życiu nie spodziewałabym się, że to mi się spodoba, takie dzikie, żywiołowe i – zwłaszcza w moim przypadku – zupełnie bezsensowne uwielbienie.

W końcu dotarliśmy do pierwszego stopnia schodów. Wchodziliśmy po

nich, a co stopień Leo przystawał, obracał się i machał do fanów, w czym wiernie go naśladowałam. Ech, chyba jednak każda kobieta ma zakodowaną w sobie potrzebę bycia podziwianą, bo musiałam przyznać, że sprawiało mi to ogromną przyjemność.

– Było super – westchnęłam, gdy weszliśmy do głównego budynku Festiwalu.

Już wiedziałam, po co przybyliśmy na czerwony dywan. Leo został zaproszony na premierę filmu zamykającego konkurs, bo grał w nim jego przyjaciel, Jacob, z którym kiedyś występował na deskach londyńskiego teatru Old Red Lion. Po filmie miał być bankiet i część rozrywkowa, czyli tańce, ale znów poczułam skrępowanie, gdy czekając na wejście do sali kinowej, widziałam coraz liczniej otaczające nas gwiazdy ekranu. Leo mnie przedstawiał, potem były niezobowiązujące cmoki, kilka mniej lub bardziej szczerych pisków (zwłaszcza ze strony starszych aktorek): „Jaka ona słodka, wygląda jak Audrey w *Śniadaniu u Tiffany’ego*”, jakies uprzejmości wymieniane naprędce i zapomniane sekundę później. Ogólnie rzecz biorąc, blichtr, cyrk i plastik.

W końcu udało się nam zająć miejsca, konferansjer zapowiedział film i aksamitna kurtyna się uniosła. Po pięciu minutach projekcji poczułam, że jestem okropnie zmęczona. Ten świat mnie przytłoczył, nie pasowałam tutaj. Leo kiedyś wspominał, że niektórzy z tego grona wspierają się narkotykami, najczęściej kokainą, żeby jako tako funkcjonować. Teraz w to uwierzyłam. Coś musiało napędzać tych wszystkich ludzi, sprawiających wrażenie wypoczętych i tryskających energią, wybuchających śmiechem przy każdym, nawet mało śmiesznym gagu – bo niestety, ale film okazał się nudny i drętwy.

Ułożyłam głowę na ramieniu Leo, choć kokon nieco mi to utrudniał. Już chciałam przymknąć oczy, żeby na chwilę odpocząć, zwłaszcza że mój dzień zaczął się, bagatela, o siódmej rano, a zbliżała się jedenasta, gdy Leo syknął cicho:

– Nie śpij.

– *Nie wolno?*

– Wolno, ale jutro w każdym tutejszym brukowcu napiszą, że narzeczona Leo Blacka cierpi na śpiączkę cukrzycową albo inną katalepsję – wyszeptał wprost do mojego ucha.

– *To się chyba inaczej nazywa, takie nagłe zasypianie...* – podzieliłam się z nim wątpliwościami.

– Chcesz wracać do hotelu? – spytał niemalże bezgłośnie Leo.

– *A możemy?*

– Uhm...

– *A co z bankietem? Nie musisz na nim być?*

Leo nie odpowiedział. Wziął mnie za rękę i przy akompaniamencie posykiwań i pomruków opuściliśmy widownię.

– Wiesz co? I tak było super! – powiedziałam, gdy wracaliśmy do Stars. Przynęłam się na kanapie samochodu i pocałowałam Leo w policzek. – Sprawileś mi ogromną niespodziankę. Serio.

– Naprawdę ci się podobało?

– Tak. Te twoje koleżanki i koledzy to tacy średnio fajni, wolę ich oglądać w filmach – machnęłam lekceważąco ręką – ale poza tym wszystko było super, fani, no i Wika. Dziękuję! – Ścisnęłam dłoń Leo. – Przepraszam, że tak wymiękłam, ale jestem okropnie sterana. Ledwo żyję, a jeszcze musimy zdemontować to coś. – Wskazałam na moją fryzurę.

– To co? Jutro wracamy do Londynu? Czy chcesz tu jeszcze trochę zabawić?

– A jaki jest plan? – spytałam.

– Zobaczysz...

Było sporo zabawy przy zdejmowaniu zalakierowanej na beton konstrukcji, ale jakoś sobie poradziliśmy. Leo oczywiście nie mógł oprzeć się pokusie i przypiął sobie do włosów kilka pasm, czym rozbawił mnie do łez. Dobrze, że i tak planowałam wziąć porządną kąpiel, żeby odmoczyć cement z twarzy. Wyszłam z łazienki, a mój ukochany jak za dotknięciem magicznej różdżki zmienił się w nienasyconego samca alfa. Zrobiliśmy to trzy razy: na fotelu w saloniku, na podłodze przed sypialnianym kominkiem i w łóżku.

– Chyba wciągnęłaś jakąś kreskę – zażartowałam, widząc, jaki jest niezmordowany. – Jutro nie wstanę.

– To ty tak na mnie działasz... – mruknął. – A co do wstawania, będziesz musiała się zmobilizować.

– O! Dalsza część planu? A jaka?

– Zobaczysz.

Zasnęliśmy grubo po północy, bo mimo ogromnego zmęczenia nie mogłam pogodzić się z tym, że ten najbardziej szalony dzień w moim życiu właśnie się kończy. Co chwilę wspominałam to czy tamto i powtarzałam, jak bardzo jestem szczęśliwa. Nie sądziłam, że Leo w taki sposób uczci naszą pierwszą rocznicę poznania. Stawiałam na kolację w eleganckiej restauracji ewentualnie coś z biżuterii lub jakiś romantyczny wypad, podczas gdy Leo zafundował mi prawdziwą jazdę bez trzymanki.

– Zaskoczyłeś mnie – mruknęłam, powoli zasypiając. – Mam dla ciebie coś ładnego, ale w domu. Szkoda, że nie uprzedziłeś, bo...

– To, co najładniejszego, najlepszego i najbardziej kochanego, mam przy sobie – nie pozwolił mi skończyć. – Uwierz, nie potrzebuję nic więcej – powiedział, mocno mnie tuląc. – Nic poza tobą...

Gdy zadzwonił budzik w telefonie Leo, pomyślałam, że umrę, gdy ktoś każe mi wstać. Co dziwne, Leo szepnął, żebym spała dalej, więc posłusznie zakopałam

się w kołdrę, zakryłam głowę hotelowym jaśkiem i odpłynęłam. Zbudził mnie zapach świeżo parzonej kawy. Dotarł do nosa, zakręcił w nim i sprawił, że wszystko się obudziło. Żołądek również. Wprawdzie zjedliśmy późną kolację w apartamencie, ale widocznie nasze figle sprawiły, że byłam głodna jak rzadko. Usiadłam na łóżku i rozejrzałam się dookoła. Byłam sama. Na nocnej szafce leżała taca, a na niej filiżanka, dzbanek z kawą i śniadanie, czyli obowiązkowe croissanty, marmoladka pomarańczowa, dwa jajka w kieliszkach i mała deseczka serów.

– Mniam, mniam... – mlasnęłam, czując, jak cieknie mi ślinka.

Byłam ciekawa, gdzie podziewa się Leo, na szczęście natknęłam się na niego, gdy tylko wyszłam z łazienki po szybkim prysznicu.

– Gotowa na kolejny szalony dzień? – zapytał, rozpromieniając twarz w uśmiechu.

– Chyba tak – odpowiedziałam ostrożnie. – Co mam założyć? – Poprawiłam poły szlafroka.

– Strój masz w sypialni.

Ku mojemu zdziwieniu stanowiły go moje ulubione dzinsy, top i kraciasta koszula. I oczywiście trampki. Odetchnęłam z ulgą. Koniec z obawami, że za moment znów wkroczą tu te dwie panusie i w ciągu najbliższych kilku godzin zmienią mnie w tę bardzo piękną, ale obcą mi postać. Wrzuciłam na siebie ciuchy i wyszłam z sypialni.

– O! Już wracamy? Szkoda – wyrwało mi się, bo nasz konsjerż właśnie dyrygował boyem hotelowym, by ten wyniósł bagaże, a sam wyjeżdżał wieszakiem z sukniami. – Trochę szkoda. – Stropiona, popatrzyłam na Leo. – Myślałam, że jeszcze tu pobędziemy.

– I dobrze myślałaś. – Podeszedł, żeby mnie pocałować. – Przecież obiecałem ci kolejny szalony dzień.

– Aha. – Od razu przeszedł mi cały smutek. – Nawet nie pytam, co będziemy robić, bo pewnie odpowiesz...

– Zobaczysz... – dokończył za mnie i uśmiechnął się zawadiacko.

Zjechaliśmy windą do podziemia hotelu, bo tam czekała już na nas hotelowa taksówka.

– A gdzie Mike? – Rozejrzałam się wokół.

– Spokojnie. Będzie w pobliżu. – Leo popchnął mnie delikatnie, żebym wsiadła.

Poranne Cannes różniło się od tego wieczornego jak dzień i noc, a raczej ogień i woda. Chyba wszyscy odsypiali wczorajsze, zapewne bardzo huczne zakończenie Festiwalu. Minęliśmy małą boulangerie, gdzie ujrzałam pierwsze ślady życia, czyli dwie miejscowe panie, które przyszły kupić świeżutkie bagietki i rogaliki.

Nagle samochód skręcił w znaną mi uliczkę, a po chwili dotarliśmy na

wielki parking rozciągający się przed największym campingiem w Cannes.

– Leo... – Zerknęłam na mojego narzeczonego. – Czy... – Nie potrafiłam skończyć. – Ale o co chodzi? – spytałam zszokowana, gdy wyszedł z samochodu i po chwili stanął przede mną z wyciągniętą ręką.

– Chodź – powiedział.

Musieliśmy poczekać, bo kierowca wyjmował z bagażnika walizkę, a po chwili jej małe kółeczka wesoło zaterkotały po asfalcie. Dotarliśmy na skraj placu, gdzie stał kamper. Od razu wydał mi się dziwnie znajomy. Nie mogłam się oprzeć i wyrwałam do przodu, żeby jak najszybciej upewnić się, że już kiedyś widziałam ten wóz.

– Łap! – krzyknął zza moich pleców Leo.

Odwróciłam się i po sekundzie miałam w ręce kluczyki. Pasowały, a jakże. Weszłam do środka i znów stanęły mi przed oczami wspomnienia. To był ten sam kamper, którym przyjechałyśmy tu rok temu, ja z mamą, Wika i Wanda. Przycisnęłam dłonie do twarzy i mocno potarłam policzki, żeby się nie rozpląkać ze wzruszenia, ale to było niemożliwe. Tym bardziej że Leo już mnie dogonił i schylając głowę, przekroczył próg.

– Boże... – jęknęłam. – Boże... Leo! To nasz kamper!

– Nie do końca. Teraz to twój kamper.

– Mój?! – Wybałuszyłam oczy. – Ale jak? To kamper znajomego Wandy, pożyczył go nam. Dlatego mówiłam, że nasz... – próbowałam wytłumaczyć.

– A teraz jest twój. Wprawdzie nowy byłby lepszy, ale pomyślałem, że ten bardziej ci się spodoba. – Wsparł się o blat stolika, przy którym kiedyś robiłam makijaż, żeby iść na moją pierwszą randkę z Leo. – Wiem, że jesteś sentymentalna. Ja chyba też – przyznał.

– Zaraz oszaleję! – pisnęłam, nie mogąc uwierzyć w jego słowa. Złapałam się za głowę, bałam się, że zaraz mi odpadnie, tak nią kręciłam. – Ale jak? Jak to zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, że ten...

– Julia wszystko mi opowiedziała, dała namiar na Wandę, ta na tego lekarza i już – skwitował. – Lepiej mi powiedz, czy jesteś zadowolona.

– Zadowolona?! Leo, jeszcze chwila i zwariuję ze szczęścia! – Skoczyłam na niego, aż podest lekko drgnął pod moimi stopami. Ścisnęłam mojego faceta z całych sił, myśląc, że jego plan obchodów naszej pierwszej rocznicy jest najlepszym planem, jaki ktokolwiek kiedykolwiek wymyślił. – Powiedz jeszcze, że umiesz prowadzić to coś – rzuciłam, zadzierając głowę, żeby spojrzeć w oczy Leo.

– Zobaczysz...

Rozdział 5

Vhengere

Na początku szło mi nie najlepiej, zwłaszcza manewrowanie tym niezbyt zgrabnym pojazdem wśród innych kamperów, ale już po chwili ogarnąłem temat. Opuściliśmy Cannes, a gdy mój ukochany Wilczek dostrzegł, że skręcam na wschód, znów pisnął z radości.

– Jedziemy do Antibes...

– Uhm – mruknąłem, szczęśliwy, że dałem Annie tyle radości.

Uwielbiałem chwile, gdy się śmiała, jej oczy błyszczały z ekscytacji, a policzki pokrywał rumieniec. W takich momentach czułem, że jestem gotów oddać za nią życie, ale najpierw rzucić jej do stóp cały świat.

Dotarliśmy w to samo miejsce, w którym byliśmy przed rokiem. Zaparkowałem kamper, zabraliśmy koc i koszyk piknikowy, spakowany przez Paula, tego samego konsjerżę, który opiekował się mną w czasie poprzedniego pobytu w hotelu Stars, i poszliśmy w stronę plaży. Dzisiaj było nieco chłodniej, ale i tak bardzo przyjemnie. Słońce powoli wznosiło się nad naszymi głowami, morze szumiało cicho, a ciepły majowy wiatr łaskotał nasze twarze.

Anna stanęła pośrodku niewielkiej plaży, rozejrzała się wokół, wyciągnęła w górę ręce i krzyknęła:

– Jestem szczęśliwa!

Nie mogłem się na nią napatrzeć. Mnie też rozsadzało szczęście. Gdyby ktoś spytał, czy czegoś żałuję, odpowiedziałbym, że każdej chwili, którą spędziłem bez Anny. A było ich tak wiele... Dużo za dużo, zwłaszcza tych z mojej winy. Usiedliśmy na kocu, wyjąłem wiktuały z koszyka, ale Anna stwierdziła, że jest po obfitym śniadaniu, więc wypiliśmy tylko po butelce soku pomarańczowego.

– I jak ci się podoba mój plan? – zagadnąłem, chcąc znów usłyszeć, że jest najlepszy z najlepszych.

– A masz jakieś wątpliwości? – Anna przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie z ukosa. W jej oczach migotały iskry szczęścia. – Leo, sprawiłeś mi największą i najlepszą niespodziankę życia. Dziękuję! – Nachyliła się, żeby mnie pocałować.

– Hm... – mruknąłem. – Wobec tego został ci jeszcze jeden punkt, a mianowicie wybór, jak spędzimy trzy następne dni.

– To znaczy? – Zmarszczyła czoło.

– Wymeldowaliśmy się z hotelu... – zacząłem.

– Będziemy mieszkać w kamperze?

– Nie do końca. Mamy wybór: albo dzisiaj wieczorem wracamy samolotem do Londynu...

– Albo...

– Albo wracamy kamperem, a po drodze zwiedzimy kilka ładnych miejsc.
Co ty na to?

– Leo! – Anna rzuciła się na mnie i ścisnęła tak mocno, że na moment zabrakło mi tchu. – To chyba jasne, co wybieram!

Zostaliśmy na plaży do późnego popołudnia. Minuty kapąły leniwie, a ja czułem, że te chwile spędzone we dwoje, często w milczeniu, są dla mnie jak powietrze. Bez nich nie mogłem żyć. Anna położyła głowę na moim udzie, leżała z zamkniętymi oczami, czasem coś powiedziała, przywołała jakąś chwilę, wspominała, jak uciekaliśmy z parkingu przed muzeum Pabla Picassa, a po chwili wyznała, co czuła, gdy powiedziałem jej, że jestem Wędrowcem.

– Najbardziej zazdrościłam ci tego, że potrafisz latać.

– Uwierz, to był jeden z najbardziej emocjonujących momentów w moim życiu. Bałem się, że mnie odtrącisz albo uznasz, że mam nie po kolei w głowie. Gdy ci to wszystko mówiłem, myślałem tylko o tym, że wstaniesz i uciekniesz z krzykiem.

– Niepotrzebnie. Chyba mnie trochę znasz? Wiesz, że nie jestem bojaźliwa.

– Anna uniosła jedną powiekę i łypnęła na mnie.

– Znam, znam. – Pokiwałem głową. – Czasami ta twoja brawura wychodzi mi bokiem, ale to pewnie wiesz?

– Po prostu nie dam sobie w kaszę dmuchać.

– O tak. Zdecydowanie.

– I jestem odważna, ale nie ryzykuję bez powodu.

– Polemizowałbym.

– Leo... – Anna podniosła się i usiadła. Świdrowała mnie wzrokiem, by po chwili powiedzieć, cedząc z wolna każde słowo: – Skoro tak, stawiam ci wyzwanie. Jeśli je podejmiesz, uznam twoją rację.

– A jakie to wyzwanie?

– A przyjmujesz?

– W ciemno.

– Kąpiel na golasa...

* * *

Po czterech upojnych dniach naszej wędrówki musieliśmy, niestety, wracać do Londynu. Leo leciał kręcić film, a ja planowałam wreszcie przysiąść nad rysunkami, bo ostatnio zdążyłam prawie zapomnieć, jak to jest trzymać w ręce ołówki. Na szczęście dwa tygodnie nieobecności mojego narzeczonego minęły jak z bicza trzasnął. Mało tego, Leo zgodził się odwołać moich ochroniarzy, co niezwykle mnie ucieszyło. Zresztą gdy potrzebowałam wyjść z domu, wszędzie woził mnie Alan, który akurat miał urlop.

Leo wrócił stęskniony, dlatego pierwsze dni spędziliśmy u niego, a na weekend zostaliśmy zaproszeni przez Krisa i Dalilę do ich domku myśliwskiego, jak szumnie nazywali swój nowy nabytek gdzieś w North Wessex, siedemdziesiąt pięć mil od Londynu. Kris zaplanował barbecue, więc przygotowałam w domu szaszłyki, żeby nie jechać z pustymi rękami. – Ale tu pięknie – zachwyciłam się, bo okolica naprawdę była cudowna.

Co ważne, mała posiadłość Krisa leżała na uboczu. W promieniu pięciu mil nie było żadnych innych domostw, więc nikt nie zakłócał nam wypoczynku. Wzięłam ze sobą szkicownik i zasiadłam na małym tarasie. Już dawno miałam w planach cykl miniatur piórkami. Miał przedstawiać angielską wieś i liczyć tuzin obrazków. To urokliwe miejsce było idealne, aby opracować co najmniej trzy z nich. Swoją drogą wołałam siedzieć na zewnątrz, nie tylko ze względu na czerwcową pogodę, ale i zbyt mocny zapach w domku Krisa i Dalili.

Zbudowano go z bali, jak wyjaśnił Kris. Nie przeszkadzał mi zapach żywicy i drewna, niestety ktoś przedobrzył z bezbarwnym lakierem i mój wyostrzony węch ciężko znosił tę intensywną woń. Dalila otworzyła wszystkie okienka i próbowała wywietrzyć domek, zwłaszcza skryte na poddaszu sypialnie. Ale pomimo tej jednej niedogodności i tak musiałam przyznać, że zakochałam się w tym miejscu bezgranicznie.

Dalila dotrzymywała mi towarzystwa, a nasi panowie krzatali się w kuchni. Kris szykował steki, a Leo jakąś sałatkę. Co chwilę z kuchennych okien dobiegał nas ich głośny śmiech, bo wyjątkowo pozwolili sobie na „odrobinę” alkoholu, czyli dwie butelki wina, które pierwotnie miało służyć Krisowi do zamarynowania mięsa. Niestety dla steków, wino trafiło do kieliszków.

– A czemu Alisha nie przyjechała z wami? – spytałam trochę zaskoczona, że córka Dalili została sama w Londynie.

– Nie chciała jechać – odparła po chwili Dalila.

Spojrzałam na nią, bo jej głos zabrzmiał dziwnie. Dopiero teraz zauważyłam, że wyglądała inaczej niż zwykle. Jej piękne czarne oczy wydawały się matowe, a twarz pokrywał cienki woal nieokreślonego smutku.

– Jesteś chora? – Natychmiast pokręciła głową, ale nie dawało mi to spokoju. Odłożyłam szkicownik i przesiadłam się na małą ogrodową huśtawkę, tuż obok Dalili. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziała, nie patrząc mi w oczy. Uciekła wzrokiem daleko przed siebie, a jej śliczna twarz zastygła niczym woskowa maska. – Po prostu czasami tak jest, że człowiek musi zrobić coś, czego się trochę boi, ale wie, że tak trzeba.

– Co masz na myśli? – Nachyliłam się, żeby spojrzeć jej w oczy, ale odwróciła głowę.

– Nic szczególnego. Mam pytanie – powiedziała po dobrej minucie ciszy,

zakłócanej jedynie cichym skrzypieniem łańcuchów huśtawki i wybuchami śmiechu Leo i Krisa.

– Tak? – Chwyliłam jej dłoń.

– Pamiętasz, co powiedziałaś nam niedawno o nowych zapisach w Księdze?

– Tak – potwierdziłam.

Gdy tylko odkryłam Księgę, umówiliśmy się, ja, Leo, Kris, Dalila oraz Thor, że jeśli pojawią się w niej bardzo ważne zapisy, zaraz przekażę je im mentalnie. Pomijałam jedynie Alishę – ze względu na jej wyraźne życzenie. Mówiła, że woli je poznawać za pośrednictwem mamy.

– Mogłabyś mi przeczytać ten fragment?

– Dobrze. Pójdę po Księgę. – Przyniosłam mój skarb, otworzyłam i skonstatowałam, że znów przybyło kilka stron, ale nie znalazłam nic równie interesującego jak zapis sprzed niecałego tygodnia. – Masz na myśli ten fragment o znamionach?

– Tak. – Dalila przełknęła ślinę. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała się od płaczu. Nie miałam śmiałości spytać, co naprawdę się dzieje. Bałam się, że znów zlekceważy moje pytanie.

– „Byt mówi” – zaczęłam. Chrząknęłam kilka razy, bo i mnie udzielił się ten dziwny nastrój. – „Znak zła przykryje znak dobra. Zło przepadnie i rozwieje się w pył. Dobro przepadnie, by wrócić. Zło przepadnie, by wrócić jako dobro. Ten, który się sprzeniewierzył, ulegnie temu, który się nie sprzeniewierzył, bo ten tak chce. Zginą obaj, ale ten, który się nie sprzeniewierzył, wróci od razu w dwójnasób, a ten drugi zniknie na zawsze”.

– Przeczytaj jeszcze raz – poprosiła Dalila, a gdy spełniłam jej prośbę, wreszcie podniosła na mnie wzrok. Z jej oczu zionął smutek. – Możesz mi to powiedzieć własnymi słowami?

Zdziwiła mnie jej prośba, bo jak miałam w zwyczaju, najpierw przekazywałam im słowo w słowo to, co przeczytałam w Księdze, a potem wszystko bardzo dokładnie tłumaczyłam, ale postanowiłam odpowiedzieć.

– Gdy Wędrowiec z plemienia Eperu świadomie, czyli z własnej woli i mając wyraźne intencje, przyłoży swoje znamię do znamienia Wędrowca z Habbatum, ten drugi zakończy istnienie.

– A ten pierwszy?

– Zakończy wcielenie.

– Intencje? Jakie intencje? – dopytała.

– Intencję, żeby zakończyć definitywnie i z pełną świadomością istnienie Wędrowca.

– Dziękuję – odparła po chwili. Potarła ramiona. Pokrywała je gęsia skórka, a dłonie Dalili przybrały bladą odcień. – Chłodno się robi.

– Uhm – przytaknęłam bez przekonania, bo według mnie było bardzo

ciepło. Wprawdzie dochodziła ósma i zaczynało zmierzchać, ale taras usytuowano od południowej strony i przez cały dzień zdążył się mocno nagrzać.

– Pójdziemy do środka? – spytała. – Zbiera się na burzę.

– Okej. – Zamknęłam Księżę, schowałam ją do torby i weszliśmy do domu.

Cóż, panowie zdążyli się nieco ululać, zwłaszcza mój Leo tryskał humorem i nawet podśpiewywał, co w stanie upojenia alkoholowego wyjątkowo mu nie wychodziło.

– Czy doczekamy się jakiegoś jedzenia? A może dzisiaj głodówka? – zapytałam, patrząc na nikłe postępy kucharki. Wprawdzie sałatka była już gotowa, ale mięso nadal czekało w misce.

– Już rozpałem – oświadczył Kris. – I twoje wspaniałe szaszłyki zaraz będą gotowe. Teraz tylko trzeba ułożyć to mięsko i za pół godziny będziecie się mogły panie raczyć stekami.

– Ja pójdę – zaoferował się Leo. – Dajcie mi minutę. Kris, nie pij beze mnie! – Wyciągnął w górę palec.

– Ani z tobą, ani bez ciebie. Obaj mamy dość.

Wielki kamienny grill znajdował się w najbardziej oddalonym kącie ogrodu, a Leo był konkretnie zawiany, więc nie spodziewałam się go wcześniej niż za jakieś pięć minut. Jednak gdy minął prawie kwadrans, zaczęłam się niepokoić.

– Pójdę sprawdzić, co się z nim dzieje.

– Daj spokój – odparł Kris. – Lepiej weź pieczywo i sałatkę, a ty, kochanie, zabierz sztućce.

Przeszliśmy do saloniku. W kominku palił się ogień, złocista poświata padała na ściany i meble.

– Przytulnie, choć trochę za gorąco – powiedziałam, a Dalila mruknęła, że zdecydowanie za gorąco.

– Na szczęście kominek jest mały, a domek się wietrzył, więc da się wytrzymać – odparł Kris. Chyba zauważył moje sceptyczne spojrzenie, bo wytłumaczył, że zapalił, żebyśmy mieli ciepłą wodę do kąpieli. – Poza tym w nocy jest zimno – dodał.

– Idę po tego gamonia – powiedziałam. – Masz jakąś latarkę?

– Stoi na szafce z butami, w korytarzu – odparł Kris.

– Aha. – Już miałam wyjść z pokoju, gdy nagle z zewnątrz dobiegł nas dziwny hałas, jakby ktoś krzyknął lub jęknął. – Słyszeliście?

– Ale co? – Kris właśnie dokładał drewno do kominka. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie.

– Ktoś krzyknął.

– Nic nie słyszałem.

– To pewnie jakiś ptak – dodała Dalila.

Miałam ochotę krzyknąć: „Hej! Co jest z wami?!”, bo moi przyjaciele nagle

zaczęli zachowywać się jak zombie.

– Kris, proszę, chodź ze mną, może to Leo?! – Przystąpiłam nerwowo z nogi na nogę, bo chciałam jak najszybciej sprawdzić, czy nie stało się nic złego, a trochę się bałam łązić samotnie po ogrodzie. – No chodź!

– Zaraz – odparł. Wrzucił jeszcze dwie szczapy, otarł dłonie o spodnie i podniósł się z ociąganiem. Wywróciłam oczami, myśląc, że to przez to cholerne wińsko Kris tak dziwnie się zachowuje. – No to chodźmy szukać zguby. – Chwycił mnie za łokieć i skierował w stronę drzwi, gdy nagle coś huknęło w korytarzu.

– Boże... – jęknęłam, bo byłam pewna, że Leo wrócił i wywinął orla przy wejściu.

Chciałam tam pobiec, ale ku mojemu zdziwieniu Kris kurczowo trzymał moją rękę, a nawet przyciągnął mnie do siebie i syknął: „Poczekaj”.

Nagle zapadła dziwna cisza, a sekundę później usłyszałam ciche kroki. Jakby ktoś się skradał.

– Leo?! To ty? – wykrztusiłam, bo nagle obleciał mnie paraliżujący strach, że zaraz stanie się coś złego.

– Dobry wieczór... – przywitała się piękna, rudowłosa kobieta. Stała w progu i podniosła kąciki ust, ukazując rząd idealnie równych i białych zębów. – To nie Leo – powiedziała spokojnie. Jej zielone oczy błysnęły jak ślepiea jakiegoś drapieżnika. – To tylko ja...

* * *

Kris zachowywał się dziwnie od samego początku tej wizyty. To, że żartował i starał się być zabawny jak Stephen Fry, akurat mnie nie dziwiło, ale gdy zaproponował wino, a potem drugie, uznałem, że coś jest nie tak. Jeszcze nigdy nie wypiliśmy dwóch butelek wina w tak krótkim czasie. Mało tego, gdy się skończyło, Kris wyjął z szafki pod zlewem napoczętą whisky i rozlał ją do szklanek.

– Pij, bracie, póki możemy – powiedział, podnosząc szklankę.

– Póki możemy? – powtórzyłem, nie do końca rozumiejąc, o co mu chodzi.
– Póki dziewczyny są na zewnątrz?

– Niech będzie. – Stuknął szklanką o moją szklankę i wypił całą jej zawartość.

Aż mną trzepnęło. Nie przywykłem do dużych ilości alkoholu i nawet butelka wina potrafiła sprawić, że miałem mocno w czubie. Dyskretnie wylałem zawartość szklanki do zlewu, bo uznałem, że gdy wypiję whisky, na pewno urwie mi się film, a tego nie chciałem za żadne skarby. Za kilka dni znów wylatywałem do Los Angeles, więc zostało mi parę nocy, które mogłem spędzić z Anną.

– Kris... – zająknąłem się, bo mój przyjaciel nalał sobie drugą kolejkę whisky i popatrzył na mnie pytająco. – Nie, dzięki. Mam dość. – Odstawiłem szklankę i spojrzałem na niego badawczo. – Wszystko okej?

– Nie do końca, ale... – Chciał lekceważąco machnąć ręką, ale mu nie wyszło. Opuścił ją i przez chwilę patrzył na mnie z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Pokłóciłeś się z Dalilą?

– Nie, no skąd. – Nagle obrócił głowę i spojrzał przez otwarte na oścież okno. Lekki wiatr podrywał małe firaneczki i wydymał je jak żagle, to odsłaniając, to ukrywając widok na taras, gdzie siedziały nasze dziewczyny. Przez chwilę obaj milczeliśmy, próbując usłyszeć, o czym rozmawiają, ale nie dotarło do nas ani jedno słowo. – Kocham ją jak wariat, wiesz? Już nigdy się nie rozstaniemy – powiedział Kris. – Zbyt długo na nią czekałem.

– Kris... – wychrypiąłem, strwożony tonem jego głosu. Mówił jak człowiek, który właśnie żegna się z życiem. Wstrząsnęło to mną tym bardziej, że jeszcze przed chwilą śmiał się i żartował.

– Ech, upiłem się na smutno – oznajmił. Spojrzał na mnie i chyba zauważył, że się zdenerwowałem, bo czym prędzej przybrał pogodną minę. – Synu... Wybacz. Moja głowa nietęga. Ja też już mam dość.

Niewiele brakowało, a rozbiłby swoją szklankę, z takim impetem włożył ją do zmywarki. Znów nachylił się, żeby dokończyć siekanie cebuli, ale bez słowa oddał mi nóż.

– Zrobię mocnej kawy – zaproponował.

Wypiłem espresso i od razu poczułem się lepiej. Kris też ciut oprzytomniał. I bardzo dobrze, bo Anna z Dalilą właśnie wróciły z tarasu. Ta ostatnia też sprawiała wrażenie mocno przygnębionej i tylko gdy do nas mówiła, starała się zachować pogodny wyraz twarzy.

Anna także zdążyła zauważyć, że nasi gospodarze zachowują się inaczej niż zwykle, strzelała oczami to na mnie, to na Krisa. Stwierdziłem, że postawię na dowcip, żeby nieco rozładować atmosferę. Zacząłem podśpiewywać i strugać wariata. Odetchnąłem z ulgą dopiero wtedy, gdy wyszedłem na zewnątrz. Wziąłem kilka głębokich wdechów, napęlniając płuca rześkim wiejskim powietrzem, i potrząsałem głową. Niestety, nadal szumiał w niej alkohol. Miałem rozłożyć steki na grillu i sprawdzić, czy nie trzeba podsypać węgla, więc zabrałem worek z małego składziku przy domu i ruszyłem na moją misję. Na szczęście węgiel jeszcze nie wygasł, a szaszłyki zrobione przez Annę nie zdążyły się spalić. Oj, mielibyśmy się z pyszna, ja i Kris, gdybyśmy ich nie przypilnowali. Sprawnie przełożyłem wszystkie steki na ruszt, a szaszłyki trafiły na specjalną tackę. Układałem ostatni, gdy niespodziewanie usłyszałem swoje imię.

– William?

To było tak nieoczekiwane, że natychmiast się odwróciłem. Doskonale znałem ten głos, tyle razy go słyszałem. Próbowałem dostrzec twarz kobiety, która mnie zawołała, ale była skryta w mroku.

– Debo... – Nie dokończyłem.

Ostatnie, co pamiętam, to cichy świst, ostry ból z tyłu karku, coś jak ukłucie, a chwilę później zapadła ciemność...

* * *

Wyglądała inaczej, ufarbowała włosy na rudo i skróciła je równo z linią szczęki. Twarz też się zmieniła. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to intensywnie zielone tęczówki, zbyt wydatne kości policzkowe i znacznie szczuplejszy nos. Ale i tak poznałam ją niemal od razu. Ten głos do dzisiaj potrafił mi się przyśnić. Senny koszmar, że jestem w podziemnym bunkrze, gdzieś w dalekiej Norwegii, i nikt nie chce mi przyjść z pomocą, nieraz do mnie wracał i sprawiał, że budziłam się zlnana zimnym potem.

– Dorothy... – wyjąkałam, skupiając wzrok na lufie wymierzonego w moją stronę pistoletu.

– Bravo! Zawsze uważałam, że jesteś wyjątkowo spostrzegawcza. A teraz wszyscy pod ścianę. – Wskazała nam kierunek wzrokiem.

W pierwszej chwili nie mogłam się ruszyć, sparaliżowana strachem, dopiero Kris pociągnął mnie za łokieć. Nie wiem, jak to się stało, ale gdy zrobiłam pierwszy krok do tyłu, nagle się rozluźniłam. Poczułam przyływ odwagi, na jaką zdobyłam się wobec Dorothy już wcześniej, kiedy to musiałam stawić jej czoło w bunkrze. Kątem oka dostrzegłam, że Dalila podniosła się z sofy i już po chwili cała nasza trójka stała karnie przed Dorothy.

– *Tylko spokojnie, róbmy, co chce, a wtedy na pewno nic się nie stanie. Chodzi jej o Księgę. I o mnie. Nie ruszajcie się* – nadałam szybki komunikat Krisowi i Dalili, a do Leo wysłałam alarmującą wiadomość: *Dorothy tu jest! Jest uzbrojona! Uważaj, ktoś może z nią być!* Byłam pewna, że dotarła do niego informacja, ale intuicyjnie czułam, że nie może nam pomóc. Zbyt długo zamarudził w ogrodzie, a ten tajemniczy odgłos, który słyszałam, nie zwiastował niczego dobrego.

– Już? – Dorothy przymrużyła oczy i spojrzała na mnie. – Obawiam się, że biedny William cię nie usłyszy. Przynajmniej na razie.

Skrzywiłam się, bo mnie przejrzała, ale jej kpiarski uśmieszek natychmiast mnie otrzeźwił i dodał mi sił.

– Czego chcesz? – spytałam, hardo zadzierając brodę.

– Dobrze wiesz czego, ale najpierw pogadamy.

– Odłóż broń, wtedy porozmawiamy – powiedział Kris.

– A widzisz! – Dorothy spojrzała na niego. – Byłabym zapomniała. Nie potrzebuję świadków, więc... – Nagle skierowała lufę pistoletu w stronę Dalili. – Panie mają pierwszeństwo.

Huknął strzał.

Miałam wrażenie, że to do mnie strzeliła Dorothy. Nie mam pojęcia, co czują ludzie, gdy na ich oczach ktoś strzela do innego człowieka, ale ja w tym momencie byłam Dalilą. Czułam fizyczny ból, widząc, jak jej twarz przybiera kredowy kolor. To były sekundy, może dwie, trzy, a mnie zdawało się, że minęła cała wieczność. Dalila spojrzała na swój brzuch, odruchowo przycisnęła do niego rękę, a sekundę później pod jej palcami pojawiła się krew. Czerwona plama pochłaniała coraz więcej i więcej błękitu sari. Rozlewała się na boki, przeciekała pod palcami niczym lawa.

– Nie! – krzyknął Kris i rzucił się w stronę Dorothy, ale ona nacisnęła spust po raz drugi.

Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie nawet jęku. Może nie oddychałam? A może moje serce stanęło i już byłam martwa? Bez słowa, tkwiąc w bezruchu, zastygła jak woskowa figura, stałam i patrzyłam na Dalilę. Błysnęły białka jej oczu, ona sama osunęła się na ziemię, a sekundę później, powoli, jakby w zwolnionym tempie, dołączył do niej Kris.

To już koniec? – spytałam samą siebie. – To już koniec? – powtórzyłam, nie wierząc, że tak szybko można zamknąć czyjeś życie, zakończyć je w czasie, jaki wystarcza sercu, aby raz zatętnić w piersi. Spojrzałam na moich przyjaciół. Leżeli objęci, nawet po śmierci pokazując, jak bardzo się kochali. Ręka Dalili spoczywała na plecach Krisa, a jego głowa – na jej zalanym krwią brzuchu.

– Nie ruszaj się, bo skończysz jak oni. – Głos Dorothy dotarł do mnie jak przez filtr.

Wszystko zresztą wydawało mi się irracjonalne. Miałam ochotę parsknąć śmiechem i spytać, czy to jest gra? Taka jak w filmie? Przecież to nie mogła być prawda. Nie można, ot tak, wejść do czyjegoś domu i zastrzelić dwóch bezbronnych i niestawiających żadnego oporu osób.

Bach!

I jeszcze raz: bach!

To nie działa się naprawdę. Kris i Dalila udawali martwych, krew była sztuczna jak palec, który znalazłam w kubku z kawą, Dorothy mi się przyśniła, a Leo zaraz wróci z szaszłykami.

– Hej! Pobudka! Ziemia do Anny – odezwała się Dorothy wprost z sennego koszmaru.

Nie patrzyłam na nią. Postanowiłam ją ignorować i wymyślić coś, żeby się obudzić, bo coraz mniej podobał mi się ten sen. Muszę się uszczypnąć, tak zawsze mówi mama. Gdy śni ci się coś złego, trzeba się mocno uszczypnąć i wtedy się obudzisz – pomyślałam. Moja ręka odmawiała posłuszeństwa, była jak nie moja, ale w końcu, niemrawo i powoli, podniosłam ją i przystawiłam palce do policzka. Ścisnęłam je z całych sił, ale nie zabolalo. „Widzisz, to sen, nie jawa. Dlatego cię nie boli”.

– Oni nie żyją. Uwierz – powiedziała uparta Dorothy.

W końcu popatrzyłam na nią. Nadal stała tuż przy wejściu, a w jej dłoni tkwił pistolet.

– Siadaj. – Wskazała mały fotel stojący obok kominka, a gdy posłusznie zajęłam miejsce, dodała: – Jeśli cię to pocieszy, twoi przyjaciele właśnie zaczęli nowe wcielenie, więc daruj sobie łzy.

– Nie chce mi się płakać – wyznałam bez namysłu, choć nie byłam do końca szczera. Ciągle wierzyłam, że to jakiś koszmar i zaraz się obudzę, ale zanim to miało nastąpić, postanowiłam uczestniczyć w grze zaproponowanej przez Dorothy.

– Świetnie. – Pokiwała głową. – Pewnie martwisz się o swojego chłopczyka? Nic mu nie jest. Odpoczywa. Swoją drogą, świetne szaszłyki. Kto je zrobił? Pani doktor?

W pierwszym momencie miałam zaprzeczyć, gdy nagle coś kliknęło w mojej głowie.

– Skąd wiesz, że Dalila potrafi uzdrawiać? – wykrztusiłam z trudem.

– Zgadnij – odpowiedziała Dorothy i uśmiechnęła się tryumfalnie. – I nie mam na myśli przecieku od biednej Ruby, która została cudownie uleczona przez tę Hinduskę. Wiesz, dlaczego biednej? Bo wpadnie w rozpacz, gdy jej ukochany jednak dołączy do swoich przyjaciół. A co najgorsze, gdy pęknie jej serce, nikt go nie naprawi, bo wasza pani doktor zawiesiła działalność na najbliższe kilkanaście lat. Co za pech. – Wydęła usta.

– Brian ci powiedział? – Nie mogłam uwierzyć, że o to pytam. Ufałam mu bezgranicznie, byłam pewna, że przeszedł na naszą stronę. Węzeł w moim żołądku zacisnął się jeszcze mocniej. – Ale jak? Przecież...

– Wszystko mi zdradził. Tak zachęcająco opowiadał, że chyba wybiorę się w te wasze polskie góry. A co do umiejętności pani doktor, miałam okazję podziwiać jego nos. Prawdziwy majstersztyk. Powinna otworzyć klinikę. Mam nawet nazwę: „Chirurgia jednego kwadransa”. Co ty na to? – Powoli podeszła do mnie, przez chwilę stała bez ruchu, a potem usiadła przy stole, oczywiście nawet na moment nie spuszczać ze mnie oka i wycelowanej lufy. – Już wystarczy tych pogawędek. Gdzie ją masz?

– Księżę?

– Przecież nie Wiktorię! – zaśmiała się Dorothy, a w moim gardle natychmiast pojawiła się gula. Wiedziałam, co zaraz nastąpi. Imię mojej przyjaciółki nie padło przez zwykły przypadek. – No właśnie. Co u niej? – zagadnęła od niechcienia.

– Nie mieszaj jej do tego – warknęłam ostrzegawczo. – Możesz robić, co chcesz, ale nie mieszaj do naszych spraw zwykłych ludzi. – Mimowolnie drgnęłam, z trudem powstrzymując się, żeby wstać i rzucić się na nią z pięściami.

– Siedź spokojnie! – Dorothy podniosła głos. – Będziesz grzeczna, to nikomu włos z głowy nie spadnie, ani twojej psiapsiółeczce, ani narzeczonemu. Dobrze, to jeszcze raz. Gdzie jest Księga? Wiem, że masz ją gdzieś tutaj. Nie próbuj kłamać, że zostawiłaś ją w domu, w sejfie i Bóg wie gdzie. Chyba nie chcesz wystawiać na próbę mojej cierpliwości? Ostatnio z nią krucho. Poza tym jeszcze ci nie wybaczyłam wczasów w San Quentin, więc lepiej mi się nie narażaj.

– Wczasy w San Quentin? Jaki to ma związek ze mną?

– Och, nie bądź taka drobiazgowa i nie czepiaj się słówek. Ty i twoja klika nasłaliście na mnie policję. Wiem o płytach z informacjami. To wam zawdzięczam pobyt w tym przybytku.

– Mylisz się. Podziękuj Brianowi, bo to on wystawił cię policji i to on cię tam wsadził – powiedziałam, wlepiając w nią wzrok.

Musiałam przyznać, że doskonale potrafiła się kontrolować, ale i tak przez moment jej oczy rozszerzyło zaskoczenie. „Mam cię!” – wrzasnęłam w myślach. Ucieszyłam się, znalazłszy lukę w jej rozważaniach. Nie byłam pewna, czy kłamała, strasząc mnie, że coś się stanie Wiktorii, lub mówiąc, że Brian grał na dwa fronty i wkradł się w nasze łaski jako jej szpieg. Ale jedno wiedziałam na sto procent, Dorothy aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, że to właśnie Brian stał za jej schwytaniem i osadzeniem w więzieniu w San Quentin.

– Brawo. – Niemalże klasnęła w ręce. – Sprawdzalam twoją czujność. Muszę przyznać, że zachowałeś bystrość umysłu nawet w tak przykrych okolicznościach. – Rzuciła okiem na Krisa i Dalilę.

– *Wiem, że kłamiesz, podła suko!* – wrzasnęłam w jej głowie. Chciałam się upewnić, że to, co zauważyłam przed chwilą, było źle maskowanym szokiem.

– Koniec tego! – Znow podniosła głos. – Gdzie jest Księga? – Skierowała lufę prosto w moją głowę.

– Księga jest tutaj.

– Tutaj, czyli gdzie?

– W tym pokoju – odpowiedziałam, starając się zachować spokój. Chciałam, żeby choć przez sekundę nie patrzyła mi w oczy. Musiałam coś sprawdzić. – Księga jest w torbie.

– A torba jest gdzie? – Przymrużyła oczy, poirytowana tą grą w kotka i myszkę.

– Wisi na oparciu krzesła. – Wskazałam jej brodą. Od razu popatrzyła w tamtym kierunku, co dało mi sekundę, żeby się upewnić, że nie mam omamów. To była króciutka, ale bardzo cenna chwila.

– Zabierz torbę i wróć z nią na swoje miejsce – poleciła Dorothy.

– Co teraz? – spytałam, siadając na fotel.

– Wyjmij ją.

Rozpięłam klamerkę, ostrożnie wyjęłam Księgę i zdjęłam z niej aksamitną

saszetkę, uszytą przez Aliszę.

– Tylko ja potrafię odczytać Księgę – powiedziałam z satysfakcją. Musnęłam dłonią okładkę i spojrzałam na Dorothy. – Po co ci Księga, skoro nie odszyfrujesz ani jednego słowa?

– Ty nam będziesz czytać – prychnęła. W głosie Dorothy, która znów przybrała nonszalancką pozę, rozbrzmiewała pewność siebie.

– Nam, czyli komu? – spytałam, ale nie odpowiedziała, za to wzgardliwie się uśmiechnęła. – A jeśli odmówię? Albo cię oszukam?

– Nie radziłabym.

– Skąd będziesz wiedzieć, czy nie kłamię?

– Nie bój się o to. A teraz połóż ją na stole i siadaj z powrotem. Tylko bez żadnych numerów. Jeden fałszywy ruch i Julia Wilk dołączy do Ruby Black. Obie jeszcze dzisiaj, a najpóźniej jutro, będą oplakiwać swoje dzieci. – Posłała mi kolejny uśmiech, równie szczerzy i prawdziwy jak kolor jej włosów.

– Jak chcesz. – Wzruszyłam ramionami. Wstałam i tuląc do piersi Księgę, zbliżałam się powoli. Dzielił nas nie więcej niż metr, gdy przystanęłam. Spojrzałam na Dorothy i wypaliłam: – Nie będziesz jej mieć!

– Nie!!! – ryknęła, widząc, jak rzucona z impetem Księga wpada do kominka. Buchnął płomień, zupełnie jakby ktoś chlusnął benzyną na dopalające się szczapy. Aż podskoczyłam, gdy tysiące iskier wystrzeliły na zewnątrz i spadły na moje nogi i parkiet. – Nie!!! – Dorothy gwałtownie zerwała się z krzesła. Wywróciło się i z hukiem upadło.

Miałam nadzieję, że ratując Księgę, zapomni o pistolecie, i częściowo tak właśnie się stało. Niestety, Dorothy zachowała resztki przytomności i wsunęła broń za pasek spodni. W każdej chwili mogła ją wyjąć, a próba jej odebrania była zbyt ryzykowna. Usłyszałam krzyk: „Na ziemię!”, co skwapliwie uczyniłam. Padłam plackiem i udawałam śmiertelnie przerażoną, podczas gdy Dorothy złapała pogrzebacz i prawie udało jej się wydobyć Księgę spomiędzy płomieni. Jeszcze raz grzebnęła i Księga wypadła z kominka wprost na metalową płytę chroniącą parkiet. Nagle dopadła mnie straszna myśl, że jednak wszystko stracone, że Kris już dawno rozpoczął nowe wcielenie i tylko mi się zdawało, że widziałam, jak unosi powieki i patrzy na mnie przepaszająco.

– Kretynko! Mogłaś ją zniszczyć!!! – ryknęła Dorothy. Podniosłam wzrok, żeby na nią spojrzeć. Przyklęknęła, ułożyła Księgę na udach i z troską ocierała okładkę z popiołu i czarnych drobin spalonego drewna. – Zapłacisz za to, zobaczysz! I leż spokojnie, bo ci odstrzelę ten pusty łeb!!!

Była bardzo wzburzona, pewnie dlatego nie zauważyła, że jednak się nie myliłam. Kris ciągle żył. Przeżył postrzał, choć nie miałam pojęcia, jakim cudem. Kątem oka widziałam, jak wstaje, sięga po ceramiczną wazę, stojącą tuż obok, podnosi ją i powoli, bez najmniejszego szmeru, zbliża się do klęczącej tyłem

Dorothy. Przymknęłam oczy, bo nie chciałam zapeszyć. Modliłam się o powodzenie naszego planu. Gdyby Krisowi się nie udało, nadzieja, że oboje ocalimy życie, przepadłaby bezpowrotnie.

Trach!!! Waza spadła na głowę Dorothy, ta jęknęła i z głuchym tąpnięciem zwała się na podłogę. Otworzyłam oczy i wzięłam głęboki wdech.

– Boże... – Na moment wzniosłam wzrok ku niebu. – Dzięki... – Zerwałam się na równe nogi i doskoczyłam do Krisa. Odruchowo go ścisnęłam, a przecież był ciężko ranny. Natychmiast się odsunęłam i z trwogą spojrzałam na jego potwornie zakrwawioną koszulę. Trudno było zauważyć choć jeden czysty skrawek tkaniny. – Przepraszam – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło. – Pewnie cię boli? Trzeba natychmiast wezwać pomoc!

– Dalili nie możemy już pomóc, ale zanim odeszła, oddała mi całą swoją moc. Nic mi nie dolega – odpowiedział. Rzeczywiście, sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego. I kompletnie trzeźwego. Spojrzał na mnie bacznie i spytał, czy dobrze się czuję.

– Wszystko okej, ale i tak trzeba wezwać pomoc, przecież nie wiemy, co z Leo – powiedziałam.

– Żyje i ma się dobrze. Zaufaj mi.

– A policja? Musimy wezwać policję! Dorothy zaraz oprzytomnieje, trzeba ją związać! – Kucnęłam, żeby zabrać pistolet, ale Kris błyskawicznie złapał mnie za rękę.

– Zostaw. Nie ruszaj broni.

– Ale czemu?! – Nie potrafiłam pojąć, dlaczego tak dziwnie się zachowuje.

– Posłuchaj – powiedział, rozpinając bransoletę zegarka. – Zachowaj go dla mnie. To pamiątka.

– Ale... – próbowałam cokolwiek wtrącić, lecz nie pozwolił. Wręczył mi zegarek, chwycił oburącz moją dłoń i zacisnął na nim palce.

– Schowaj go do torby razem z Księżą. Nie zgub.

– Nie zgubię – odpowiedziałam, czując piasek pod powiekami, bo właśnie dotarło do mnie, co planuje Kris.

– Nie mamy zbyt wiele czasu. – Kris zerknął na Dorothy. Powoli odzyskiwała przytomność, bo jej powieki lekko drgały. – Po wszystkim spakuj wasze bagaże. Nie możesz zapomnieć ani jednej rzeczy. Jakby nigdy was tu nie było. Rozumiesz?

– Tak.

– Wynieś je na zewnątrz, wróć tu i wygarnij drwa z kominka na podłogę. Przysuń krzesła i poczekaj, aż zajmą się ogniem. Na szczęście ten dom to jedna wielka puszka z lakierem, powinno się palić, że hej. – Rozejrzał się wokół, ale szybko skupił wzrok na mnie. – Nie zapomnij zabrać kurtki Leo. Wisi w korytarzu. Wiesz, gdzie są kluczyki do samochodu?

– Czyjego? – wykrztusiłam przez coraz obficiej płynące łzy.

– Waszego.

– Leo zostawia je zawsze na szafce z butami.

– Leć i sprawdź, czy tam leżą.

Wróciłam z kluczami. Przykucnęłam obok Krisa, który właśnie odsuwał rękaw bluzki Dorothy. Jęknęła, gdy w końcu go rozerwał, żeby móc dostać się do znamienia.

– Widzę, że znalazłaś. Świetnie. Mam nadzieję, że sobie poradzisz i bez szwanku wrócisz do Londynu. Leo bardzo lubi ten wózek, ale jak zarysujesz lakier, na pewno ci wybaczy – zażartował.

– Kris, ale ty żyjesz... – załkałam. – Nie musisz tego robić. Zadzwoń po policję.

– Ani mi się waż – sapnął z wysiłkiem, bo próbował przyciągnąć Dorothy bliżej ciała zmarłej Dalili. – Trzeba to definitywnie zakończyć, rozumiesz, mała? – Podniósł twarz, żeby na mnie spojrzeć. – Ty i Leo macie prawo żyć bezpiecznie i spokojnie, bez ciągłego strachu, że ta baba was zaatakuje. Dość.

Zakrztusiłam się kolejnym szlochom, który wydobył się z mojego gardła. Nie mogłam uwierzyć, że za chwilę Kris też odejdzie. Jak mieliśmy żyć bez niego?

– Kris, błagam, nie zostawiaj nas.

– Spokojnie. Minie jak z bicza strzelił.

– A Leo?

– Nie martw się o niego. Jeszcze dziś w nocy się odnajdzie.

– Pęknie mu serce z rozpaczy! – krzyknęłam, bo zabrakło mi argumentów mogących przekonać Krisa do zmiany decyzji.

– Już to przerabialiśmy i nie pękło. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Wiedzieliście o tym... – westchnęłam ciężko. Przelknęłam ślinę, wyobrażając sobie, co musieli czuć Kris i Dalila, gdy czekali na nas, a potem na Dorothy.

– Tylko ja wiedziałem, ona nie. – Popatrzył z czułością na Dalilę. – Ale się domyśliła. Na szczęście nie znała detali. I dobrze – skwitował, starając się nadać swojemu głosowi obojętny ton, jednak zupełnie mu to nie wyszło.

– Jeszcze możesz zmienić decyzję, zastanów się – poprosiłam błagalnym tonem.

– Tak musi być – uciał Kris, jednoznacznie dając mi do zrozumienia, że to koniec dyskusji. Bezradnie patrzyłam, jak całuje martwą Dalilę, a potem układa się między nią a Dorothy. Przyłożył nadgarstek do ramienia Dorothy i ostatni raz uśmiechnął się do mnie. – Powodzenia i nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi. – Mrugnął do mnie.

Nigdy dotąd nie widziałam umierającego człowieka, a dzisiaj...

Ugięły się pode mną nogi. Opadłam na kolana, chcąc towarzyszyć Krisowi

w ostatnich sekundach tego wcielenia. Próbowałam nie płakać, patrzyłam w jego oczy i czułam ogromny ból w sercu. Wcale nie było mi lżej ze świadomością, że ledwie zgaśnie, a gdzieś pojawi się na nowo. Nagle zadrżał, przez chwilę sądziłam, że to już koniec, że za sekundę, może dwie zostanę tu sama, ja i trzy ciała Wędrowców, a wtedy Kris rozchylił wargi. Łapał powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg, jego ciało wyprężyło się jak struna. Zmroziło mnie, bo wyglądało to strasznie, jakby się dusił. Złapałam się za usta, żeby nie krzyknąć, nie zakłócić swoistego majestatu tej chwili. Chociaż oddawał swoje życie świadomie, widziałam, że się boi i cierpi, jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Vhengere... – jęknął niespodziewanie i opadł bez życia.

– Kris?! – nie mogłam się dłużej powstrzymać. Nachyliłam się nad nim, by sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Nie wiem, na co liczyłam. Na cud?

Kris umarł. Przeniosłam wzrok na jego rękę, która leżała na ręce Dorothy. Znamię powoli bladło, aż zupełnie znikło. Dorothy też już nie żyła i jej znak, przeklęty znak plemienia Habbatum, również zlał się z kolorem ciała. Gdybym mogła, posiedziałabym jeszcze chwilę nad ciałami Krisa i Dalili, ale wiedziałam, że na żal przyjdzie czas później. Teraz musiałam wykonać wszystkie polecenia Krisa.

– *Kocham was* – przekazałam im mentalnie. Nie obchodziło mnie, że nie rozumieją moich słów, bo właśnie teraz gdzieś się rodzą i są małąkimi dziećmi, bez świadomości, że to ich kolejne wcielenie Wędrowców z plemienia Eperu. *Kocham cię, Kris, i ciebie, Dalilo, przysięgam, że was odnajdziemy, a wasza ofiara nie pójdzie na marne.* Spojrzałam na Dorothy. Wiedziałam, że już jej nie ma. Ostatecznie skończyła swoją wędrówkę. Ostatecznie i bezpowrotnie. Nie byłam w stanie jej żałować i choć miałam pewność, że już jej nie ma i nigdy nie będzie, gniew nadal wypełniał moje trzewia. Z trudem zapanowałam nad irracjonalną chęcią, żeby wyjąć zza paska spodni Dorothy pistolet i włożyć go jej w brzuch.

– Pamiętaj, co mówił Kris – warknęłam do siebie.

Dopiero teraz spostrzegłam, że ciągle trzymam w dłoni zegarek Krisa i kluczyki do jaguara. Zegarek i Księgę schowałam do torby, a kluczyki włożyłam do kieszeni džinsów. Na razie nie myślałam o tym, że za chwilę muszę wsiąść do samochodu i pokonać bardzo długą jak dla mnie trasę do Londynu. Pobiełam na górę do naszej sypialni. Powrzucałam nasze ciuchy do walizki bez ładu i składu, sprawdziłam, czy nic nie zostało w łazience, i wróciłam na dół. Zaniiosłam walizkę do auta, po drodze zabierając kurtkę Leo. Przez chwilę rozmyślałam, czy jest sens szukać w ogrodzie metalowej formy, w której przywiozłam szaszłyki, ale uznałam, że nie mam na to czasu. Poza tym się bałam. Tak zwyczajnie i po ludzku bałam się iść do ogrodu, do miejsca, gdzie stał kominek.

– Zaufaj Krisowi. Leo się odnajdzie, a teraz... – zająknęłam się na myśl, że mam podpalić dom.

Wystarczyło niecałe pięć minut spędzonych na tych prozaicznych czynnościach, by zapomnieć, jak wstrząsająca czynność mnie czeka. Weszłam do salonu, starając się nie patrzeć na trzy ciała leżące po lewej stronie kominka. Wsadziłam do niego pogrzebacz i wygarnęłam całą zawartość na zewnątrz. Drewno ciągle paliło się jeszcze żywym ogniem, a buchający odeń żar parzył w policzki. Przysunęłam dwa krzesła i czekałam, aż ich drewniane nóżki zajmą się płomieniami. Na szczęście języki ognia bardzo szybko i z wielką ochotą liznęły polakierowane drewno. Dla pewności do rozpalającego się coraz żwawiej stosu dorzuciłam kilka dużych szczap.

Otarłam łzy, choć nie musiałam tego robić. Wysychały, zanim zdążyły spłynąć po moich policzkach.

– To idę – rzuciłam gdzieś w eter. Poprawiłam pasek torby, wyjęłam kluczyki z kieszeni i wyszłam z myśliwskiego domku Krisa i Dalili. – Do zobaczenia – szepnęłam, zamykając za sobą drzwi.

W środku coraz głośniejsze huczały płomienie...

Alisha – Epizod 2

Wiem, że już czas. Ostatni raz odpycham od siebie chęć zajrzenia w przyszłość. Będzie, co ma być. Zakładam buty, potem cienki sweterek i wtedy mój wzrok pada na wieszak obok lustra. Szal mamy, którym czasami się otulała, gdy przesiadywała z Krisem na tarasie, ciągle nią pachnie. Może zostawiła go specjalnie? Na pamiątkę?

Przytykam do nosa śliwkowy kaszmir i chłonę wspomnienia. Zapach potrafi przywołać każde z nich, nawet to najbardziej ukryte w zakamarkach naszej pamięci. Przez chwilę zastanawiam się, czy zabrać szal ze sobą. Jest już dosyć mocno zmechacony, bo mama dostała go od dziadka, gdy skończyła piętnaście lat, ale ma dla mnie dużą wartość i na pewno dodałby mi otuchy. Odkładam go z żalem. Wolę, żeby został w domu, bo boję się, że gdzieś go zgubię albo zapomnę. Wszak czeka mnie bardzo trudne zadanie.

Ostatni raz poprawiam włosy i wychodzę, zamykając drzwi na klucz. Wolę tak. Siła przyzwyczajenia. Do dziś nie potrafię zaufać tym wszystkim kodom, czytnikom linii papilarnych i innym wynalazkom, którymi naszpikowany jest apartament Krisa i mojej mamy, a teraz już mój. Tylko mój. Jeszcze w to nie wierzę. Nie myślę o tym, co właśnie się stało kilkadziesiąt mil stąd. Nie wierzę, a równocześnie jestem niezbitnie pewna, że już po wszystkim. Tak po prostu musi być, chociaż nigdy się z tym nie pogodzę.

Zjeżdżam windą do podziemi, znajduję samochód mamy i po chwili siedzę w jego wnętrzu, myśląc, że zostawienie szala w domu było dobrą decyzją. Nie potrzebuję go, skoro to miejsce pachnie mamą równie mocno. Zerkam do wstecznego lusterka. Wyglądam prawie tak samo jak zwykle. Może jestem nieco bledsza, a moje oczy tkwią głębiej niż kiedyś, całkiem niedawno, zanim Anna

odnalazła Księgę, a ja poznałam przyszłość mojej mamy i Krisa.

Lubię prowadzić. Uspokaja mnie to. Gdy sobie przypomnę, jak trudno było obsługiwać pierwsze samochody, które zawitały do Indii wraz z Brytyjczykami, nie mogę uwierzyć, że w tej dziedzinie dokonał się tak wielki postęp. Autko mamy jest małe, wygodne, bo wszędzie można nim zaparkować, i takie mamine, kolorowe, z kraciastymi pokrowcami na fabrycznej, szarej tapicerce. Pod lusterkiem wesoło huśta się maleńka figurka Dharani. Sama ją wyrzeźbiłam w specjalnie wybranym kawałku drewna. Ma sześć rąk i tyle samo twarzy, symbolizuje kobiecą moc uzdrawiania. Ale nawet ona nie jest w stanie uzdrowić mojej duszy, która dzisiaj została tak okrutnie doświadczona.

Jestem już blisko dzielnicy Whitechapel, gdy wreszcie dzwoni moja komórka. Wiem, kto chce ze mną rozmawiać. Nie muszę patrzeć na wyświetlacz. Zanim odbiorę, włączam kierunkowskaz i wjeżdżam w jakąś wąską uliczkę. Zatrzymuję samochód, chrząkam kilka razy i dopiero wtedy odbieram połączenie.

– Czekałam na twój telefon – mówię do Anny.

– Alisha...

– Posłuchaj. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, zjedź na pobocze – instruuję, bo prawie jej nie zrozumiałam. – Już? – pytam po minucie, ale Anna nie odpowiada. Dociera do mnie tylko jej głośny szloch i ryk silnika. *Nie panikuj* – wysyłam jej mentalny przekaz, choć wiem, że tylko ona potrafi tak do nas mówić.

Zaczynam się niepokoić, bo trwa to zbyt długo, gdy ku mojej uldze Anna wreszcie odzywa się w słuchawce.

– Mogę rozmawiać. Ja... – przerywa. – Tak mi przykro... – łka. – Muszę ci coś powiedzieć, posłuchaj...

– To ty posłuchaj. Wiem, co się stało. Weź się w garść i przestań płakać. Jesteś mi potrzebna. Słyszysz?

– Tak.

– Jeśli chcesz, wyjdź na chwilę z auta i ochłoń. Nic ci się nie stanie.

– Już mi lepiej – chlipie Anna, a ja z powątpiewaniem kiwam głową. Zazdroszczę jej. Musiała mieć cudowne dzieciństwo, skoro jest taka słaba. Nie miała ojca, lecz Julia zapewniła jej odpowiednią porcję miłości, troski i poczucia bezpieczeństwa. Też tak chcę. Oddałabym wiele, żeby zapomnieć o moich wszystkich koszmarnych dzieciństwach.

– Na pewno dobrze się czujesz? – pytam.

– Tak, już dobrze. – Jej głos brzmi strasznie. Ma zatkany nos i co chwilę nim pociąga. Ależ musi być splakana.

– Podam ci adres SMS-em. Przyjedziesz w to miejsce i dasz mi znać, że jesteś.

– Dobrze.

– Nie musisz się spieszyć – dodaję.

– Uhm.

– I nie martw się o Leo.

– Jest z tobą? – pyta z nadzieją.

– Jeszcze nie, ale wkrótce będzie. – Rozłączam się, bo akurat mnie bardzo zależy na czasie. Wysyłam obiecane SMS-a i ruszam dalej.

Przygotowałam się duchowo na to spotkanie, ale i tak się denerwuję. Parkuję samochód przed budynkiem, w którym mieszka Brian, i przez chwilę odpoczywam. Gaszę silnik, kładę czoło na kierownicy i zamykam oczy. Nie mam zamiaru zaglądać w przyszłość, chociaż nadal bardzo mnie kusi. Próbuję poukładać w głowie to, co chcę powiedzieć Brianowi, gdy wreszcie go ujrzę. Nic mi do niej nie przychodzi, więc będę improwizować. Nagle wyczuwam dziwną wibrację w żołądku i wiem, że to już czas. Podnoszę głowę i patrzę przed siebie. Kilka metrów dalej, po przekątnej, staje samochód. Choć już dawno zapadł zmrok i wokół panuje ciemność, przetykana wątlými plamami światła padającymi z okien, akurat w tym jednym, jedynym miejscu świeci się uliczna latarnia.

Samochód to prawdziwe cacko. Nie znam się na markach, ale bez wątpienia musiał kosztować fortunę. Czarny lakier błyszczy jak lustro. Jeśli Brian zostawi tu auto na noc, jest spore ryzyko, że rano już go nie zobaczy. Wreszcie go widzę. Widzę Briana, a właściwie jego jasne włosy. Czekam, aż wysiądzie, wtedy chcę podejść tam i zagadać, ale w ostatniej chwili tchórzę. Brian okrąża samochód, otwiera tylne drzwi i na chwilę znika za nimi.

Wstrzymuję oddech, bo nie wiem, co się zdarzy.

– Leo żyje... – mamrocę pod nosem. – Na pewno żyje. Przecież go widziałas.

Obawy, które dotychczas dzielnie próbowałam stłumić, znów dają o sobie znać, ale nie! Nie ugnę się i nie zajrzę w przyszłość. Nie ma mowy. Mimowolnie zaciskam pięści.

– Jest! – na widok Leo wyrywa mi się okrzyk. Od razu przyciskam dłoń do ust. Mam nadzieję, że Brian mnie nie usłyszał.

Czekam dziesięć minut od momentu, w którym obaj zniknęli w drzwiach starej, zrujnowanej kamienicy. Leo ledwie szedł. Brian musiał go prowadzić, trzymając pod ramię i zatrzymując się co chwilę, żeby odpoczął.

– Już czas – mówię, zerkając przez szybę. Zadzieram głowę, żeby zobaczyć, czy w oknach mieszkania Briana nadal pali się światło. Mogłabym polecieć i sprawdzić, co się tam dzieje, zanim wespnę się po trzeszczących schodach i stanę przed odrapanymi drzwiami, ale nie chcę.

Powstrzymuję odruch wymiotny, zaledwie moja stopa przekracza próg klatki schodowej. Nad głową wisi goła żarówka, lichy oświetlająca wnętrze. Brudne ściany upstrzone są dziesiątkami rysunków i wulgarnych napisów, ale najgorszy jest obrzydliwy fetor. Zapach uryny już zawsze będzie mi się kojarzył

tylko z jednym. Od razu widzę mój poprzedni dom i izbę kobiety, która sprzedała mnie za garść srebrników. Naprędce wyjmuję z kieszeni chusteczkę i przykładam ją do twarzy. Mocno prowizoryczna jest ta moja maseczka, ale spełnia swoją funkcję.

Schody trzeszczą, gdy wchodzę na pierwsze piętro. Staję przed drzwiami i bez wahania naciskam czerwony guziczek. Czekam, nerwowo przestępując z nogi na nogę, lecz po drugiej stronie panuje głucha cisza. Jeszcze raz wciskam plastikowy krążek. Dzwonek warczy nisko, jak zły pies. Nagle opada mnie zwątpienie. Może powinnam była polecieć i zobaczyć, co dzieje się za tymi drzwiami, myślę. Już mam zrezygnować i wrócić do samochodu, gdy coś szura coraz głośniejsze i po chwili drzwi się otwierają.

– Czego chcesz? – wita mnie Brian.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Tak długo czekałam na ten moment, rozważałam wszelkie możliwe scenariusze, a teraz, gdy nastąpił, odebrało mi mowę. I rozum. Brian jest dokładnie taki, jakim widziałam go w swoich snach. Przewyższa mnie o głowę, a jego błękitne oczy spoglądają na mnie z góry.

– Jesteś głucha? – pyta.

– Nie. – Kręcę głową.

Widzę, że intensywnie nad czymś myśli, gdy tak stoi przede mną i opiera się o framugę.

– Po co tu przyszedłeś? Debora cię przysłała? – zadaje pytanie i jeszcze czujniej mi się przygląda.

– Debora nie żyje.

Choć trwa to ułamek sekundy, widzę, że mięsień na jego policzku nerwowo zadrżał.

– Wchodź! – Ponagla mnie niecierpliwym gestem.

Zamyka za mną drzwi, przekręca klucz i zakłada łańcuch. Nie mam zbyt wiele czasu, żeby się rozejrzeć, bo Brian staje tuż przede mną. Myślałam, że spyta, jak mam na imię, ale on milczy, taksując mnie wzrokiem. W końcu wyciąga rękę.

– Ładnusia jesteś. – Przesuwa opuszką palca po moim policzku. Natychmiast cofam się o krok, czując nieznośne mrowienie w miejscu, którego dotknął. Po chwili ten przyjemny dreszcz rozlewa się w całym moim ciele, płynie od stóp po koniuszki palców dłoni. – Znam cię. – Mruży oczy. – Już cię kiedyś widziałem. Na pewno. – Przechyliła głowę i uśmiecha się łakomo i bezwstydnie. W jego oczach widzę zachętę.

– Nie znasz mnie.

– Czyżby? – Spogląda na mnie, z niedowierzaniem unosząc brew.

– Znałeś moją mamę.

– Mamę? – powtarza z delikatną kpina w głosie. – Musi być piękną kobietą, skoro ją zapamiętałem. Ostatnio nic nie pamiętam. Wszystko mi się płące –

– dodaje zupełnie innym tonem niż przed chwilą. Łapie się oburącz za głowę i pociera skronie. – Wejdiesz? – pyta trochę bez sensu, bo przecież już weszłam.

– Mam na imię Alisha. – Ostrożnie wyciągam przed siebie dłoń. Brian spogląda to na nią, to na moją twarz i w końcu podaje mi rękę.

Jego uścisk nie jest przyjemny. Ma wilgotną i chłodną dłoń, wiotką jak martwa ryba. Trochę się wzdragam, gdy zimne palce Briana tkwią pomiędzy moimi. Zabiera rękę, a ja mam ochotę czym prędzej otrzeć dłoń o ubranie, żeby pozbyć się tej dziwnej lepkości.

– Jestem Edmund Lidz – oznajmia po chwili.

– Edmund? – powtarzam po nim. Trochę mnie zaskoczył, choć wiem, że to jego imię i nazwisko z poprzedniego wcielenia, Kris o tym wspominał. – Nie Brian Bailey?

– Skąd to wiesz?

– Jeszcze nieraz się przekonasz, że sporo wiem. I że sporo nas łączy. – A raczej połączy, dodaję w myślach.

– Tak mówisz? – Znow się uśmiecha.

Gdybym miała określić ten uśmiech jednym słowem, powiedziałabym: „lubieżny”, a gdyby ktoś poprosił o nieco pełniejszy opis, rzekłabym: „To uśmiech starego mężczyzny, któremu nadal bardzo podobają się młodzietki dziewczyny i chociaż nie ma już wigoru i sił, nie dopuszcza do siebie myśli, że nie jest dla nich w żaden sposób atrakcyjny”.

– Jestem niegościnnie. – Brian *vel* Edmund przerywa moje rozważania na temat mimiki jego twarzy. – Chyba zaproszę cię do kuchni, bo w...

– Chcę go zobaczyć. Muszę sprawdzić, czy wszystko w porządku – mówię twardo.

– Kogo?

– Leo Blacka. Wiem, że tu jest.

– Leo Black – powtarza i mlaszcze kilka razy, jakby mówił o czymś do jedzenia. – Zapraszam, panie przodem. – Odsuwa się, żeby mogła przejść.

Niestety, przedpokój jest zbyt wąski i zawałony pudłami oraz stosem czarnych plastikowych worków. Przypuszczam, że zawierają śmieci, bo wokół unosi się charakterystyczny zapach. Przeciskam się między ścianą a Brianem i nagle jego usta niemal muskają moje ucho. Znow czuję mrowienie na całutkim ciele, a wtedy męska dłoń dotyka moich pleców. Przeszywa mnie dreszcz, bo to jest bardzo, ale to bardzo intymne. Zbyt intymne jak dla mnie. Może dlatego nerwowo odskakuję i znow odwracam się przodem do gospodarza.

– Co robisz?! – podnoszę głos.

– Sama mówiłaś, że sporo nas łączy, ślicznotko – szepcze niemal bezgłośnie, ale świetnie go rozumiem. Przechyla głowę. Jego brwi na moment strzelają ku górze, a czubek języka dotyka górnej wargi.

– Jeszcze nie.

– Jeszcze nie? – powtarza i wybucha śmiechem. Z jego gardła wyskakują głośne, chrapliwe dźwięki. I znów zmiana nastroju. Poważnieje, rzekłabym, że staje się ponury niczym gradowa chmura. – No, idź tam wreszcie. – Naciera na mnie całym sobą, łapie za łokieć, odwraca i popycha niecierpliwie w stronę pokoju, w którym jest Leo. – Idź do niego.

Pokój jest równie obskurny jak całe to mieszkanko, oświetlony jedną żarówką i wyposażony w stare, rozlatujące się meble. Na wytartej ze starości kanapie pólży Leo. Śpi. Jego głowa zwisa bezwładnie, a z kącika ust wycieka waziutka strużka śliny. Od razu podchodzę, wydaję z kieszeni paczkę chusteczek i wyciągam jedną. Ocieram mu usta. Niestety, nie reaguje. Posapuje cicho, a opuszki palców jego dłoni, skrzyżowanych na brzuchu, lekko podrygują.

– Co mu jest? – Odwracam się i spoglądam oskarżycielsko na Briana. Stoi w drzwiach i beczelnie szczyrzy zęby. A ja, zamiast podejść i trzasnąć go w tę piękną buźkę, jak idiotka konstatuje, że ma piękne zęby. Zadbane, lśniące i zdrowe. Nie pasują do tego miejsca, tak samo zresztą jak my wszyscy. – Czemu on się nie budzi? Co mu dałeś?!

– A co według ciebie ma robić po anestetyku? Tańczyć sambę? – Prycha pod nosem.

– Kiedy to przestanie działać?

– Już przestaje. Przecież sam tu przyszedł. Poczekaj, za pół godziny oprzytomnieje i wtedy możesz go sobie zabrać. – Zakłada ręce na piersiach. – Teraz nic mi po nim.

– Przysięgnij, że nie kłamiesz. Że nic mu nie będzie. – Patrzę to na Leo, to na Briana.

– Daj mi spokój. – Brian obraca się na pięcie i gdzieś znika.

Jeszcze przez chwilę jestem z Leo. Dotykam jego czoła, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. Potem badam tętno i nawet przykładam ucho do jego piersi. Nie znam się na medycynie, ale nawet taki laik jak ja może stwierdzić, że faktycznie nic mu nie dolega. Oglądam pobieżnie głowę Leo, z tyłu ma sporego guza. Mam nadzieję, że to efekt upadku. Widzę, że obok leży koc. Jak wszystko tutaj, i on nosi ślady starości. Narzucam go na Leo i wychodzę, zostawiając zapalone światło i uchylone drzwi. Nie chcę, żeby się wystraszył, gdy odzyska przytomność.

Znajduję Briana w kuchni, a dokładnie w małej zagraconej klitce bez okna. Siedzi przy stole i za pomocą noża formuje kreskę z białego proszku.

– To kokaina? – upewniam się.

– Nie. Cukier puder – żartuje Brian, nie odrywając wzroku od narkotyku. – Jak chcesz, możesz się napić wrzątku. Nie mam herbaty, skończyła się. Kubek znajdziesz w zlewie.

– Nie wolno nam tego używać – mówię.

– Czego? Wrzątku? – Parska śmiechem. – Jestem dużym chłopcem. Dużym i bardzo, bardzo starym – odpowiada, przeciągając głoski. – I będę używał, czego tylko zechcę. – Formuje równiutką linijkę.

Już ma ją wciągnąć nosem, gdy nie wytrzymuję. Doskakuję do Briana i jednym zamaszystym ruchem przejeżdżam ręką po blacie. Pył zawisa w powietrzu i powoli opada na oblepioną brudem podłogę.

– Co zrobiłaś? – syczy Brian. – Coś ty, kurwa, zrobiła? – Powoli wstaje. Mam wrażenie, że góruje nade mną niczym potwór z hinduskich opowieści. Jego oczy mnie pozerają. Nagle łapie moje ręce i podnosi je tak, że nadgarstki mam tuż przy twarzy. Zaciska palce na moich dłoniach, zwija je w pięści. Strasznie boli, gdy miażdży drobne kostki moich palców. – Mam cię zabić? Powiedz! Mam cię zabić? – pyta, dociskając moje własne ręce do skroni.

Zatyka mnie ze strachu, a moje serce pęka. Gdy pomyślę, że kiedyś oddam się temu człowiekowi z własnej i nieprzymuszonej woli, nie potrafię w to uwierzyć. Jest zupełnie inny niż w moich snach i choć używanie narkotyków wiele tłumaczy, i tak nie mogę wyobrazić sobie naszej wspólnej przyszłości inaczej niż jako najgorszego koszmaru na jawie.

– Jeśli chcesz, zabij mnie. Nie mam nic do stracenia – mówię, modląc się o koniec.

Mam dość. Ledwie się odnalazłyśmy, a ja znów straciłam mamę. Straciłam również Krisa, cudownego przyjaciela, przy którym po raz pierwszy czułam się bezpieczna. Słyszę, jak chrzęszczą i zgrzytają moje kostki w dłoniach, miażdżone przez potwora, który kiedyś ma być moim mężem, przez narkomana i sługusa tej potwornej kobiety, sprawczyni wszystkich dzisiejszych – i nie tylko – nieszczęść.

– Skręć ci kark albo cię uduszę. – Puszcza moje ręce i zaciska palce na szyi. Przed oczami od razu pojawiają się mroczki, ale i tak dostrzegam, na co pada wzrok Briana. Patrzy na wielki nóż kuchenny, leżący na blacie szafki. – Zabiję cię, a potem... – Przełyka ślinę, nie spuszczać wzroku z noża.

– Nie jestem zwykłym człowiekiem – udaje mi się powiedzieć. – To nic nie da.

– Wiem – odpowiada, wlepiając we mnie przekrwione oczy. Moje są pewnie jeszcze bardziej czerwone, ale na szczęście Brian zwalnia uścisk.

– Nie boisz się mnie? – pyta. Jego głos brzmi przejmująco. Widzę, że cierpi.

– Boję się samotności. Jesteś samotnością? Jeśli tak, boję się ciebie. Jeśli nie...

Brian nie pozwala mi skończyć. Obejmuje mnie i z całych sił dociska do siebie. Miażdży mnie, odbiera dech w piersiach, nie pozwala zaczerpnąć powietrza, ale wiem, że nie chce mnie skrzywdzić. To zupełnie inny uścisk. Napędzają go żal, strach i ten potwór, o którym przed chwilą wspomniałam. Samotność. Z trudem

odwracam głowę, żeby złapać oddech. Moje ręce splatają się za plecami Briana, gładzą szorstką fakturę rozciągniętego i od dawna niemodnego swetra, a jego włókna gryzą w policzek.

– Już dobrze – szepcze cicho Brian nad moją głową. – Już dobrze.

Nie wiem, do którego z nas kieruje te słowa. Do mnie? Przecież nie płaczę, nie rozpaczam, nie urządzam scen. Już od dawna jestem zamrożona. Wyłączyłam emocje, zdusiłam je podczas rozmowy z Krisem. Gdybym tego nie zrobiła, jak przeżyłabym to wszystko? Po co Brian miałby mnie właściwie pocieszać?

– Już dobrze... – mówi po raz kolejny i nagle dźwięk dzwonka przecina tę chwilę jak gilotyna.

Ciach!

Stoimy przed sobą, już się nie obejmujemy. Oczy Briana są pełne wrogości i czegoś na kształt zawodu.

– Oszukałaś mnie – cedzi.

– Co? – Potrząsam głową.

– To policja. Przyznaj, jesteś z policji?

– Nie – zaprzeczam i spontanicznie łapię go za rękę, ale on gwałtownie ją wyrzywa. – To nie policja. To Anna, dziewczyna Leo. Przyjechała po niego.

– Nie wierzę.

– Mówię prawdę. Poczekaj tu, nie wychodź. Pójdę jej otworzyć.

Nie czekam, aż Brian się zgodzi. Wybiegam z kuchni i pędzę do drzwi. Ściągam łańcuch, choć z trudem mi się to udaje, bo moje dłonie odmawiają posłuszeństwa. Przekręcam klucz i już. Sekundę później Anna i ja tkwimy w silnym uścisku, tym razem całkowicie szczerym i bezpiecznym. Anna płacze, jej ciałem co chwilę wstrząsa szloch.

– Przestań płakać – mówię cicho. – Leo jest tutaj, potrzebuje cię. Nie możesz się teraz rozkleić. Rozumiesz? – pytam, odsuwając ją od siebie. Jej buzia spuchła z płaczu i pokryła się czerwonymi plackami. Źle to wygląda. – Musisz ochłapać twarz zimną wodą. Leo nie może zobaczyć cię w takim stanie.

– Co z nim?

– Śpi, ale wkrótce się przebudzi. Nic mu nie dolega, sprawdziłam. Dostał jakiś lek na sen. Tylko tyle.

– Na pewno? – Anna przygryza dolną wargę tak mocno, że ta zupełnie bieleje i zlewa się kolorem z zębami.

– Na pewno. – Na moment przykładam dłoń do serca. – Chodź, umyjesz buzię i pójdziemy zobaczyć Leo, dobrze? – pytam, próbując sobie przypomnieć, gdzie tu jest łazienka, o ile oczywiście jakaś jest.

Nagle za plecami słyszę szuranie, a po chwili Brian staje na końcu korytarza i patrzy na nas czujnie.

– Zamknijcie drzwi – mówi, a gdy spełniam polecenie, przypomina nam

o łańcuchu.

Pokazuje, gdzie jest łazienka, i odprowadza nas wzrokiem. Spędzamy w środku kilka minut. Anna szybko obmywa twarz, chłapie wodą, starając się nie zwracać uwagi na otoczenie. Pewnie ją też zemdlili zapach, a raczej smród panujący w tym pomieszczeniu. Na szczęście nie jest efektem zaniedbań lokatora, lecz pochodzi ze ścian przerośniętych na wylot ciemnobrunatnym grzybem i z kratki wentylacyjnej. Może pion przechodzi przez mieszkania, które są w jeszcze gorszym stanie? Wychodzimy z łazienki i prawie wpadamy na naszego gospodarza. Musiał na nas czekać, bo na nasz widok znacząco zerka na zegarek. To jakaś chińska podróbka, pasuje idealnie do stroju Briana, który wygląda na wygrzebany z pojemnika z używaną odzieżą. Nagle Brian mruży oczy, a po chwili otwiera je szeroko.

– Ciebie też znam. Widzieliśmy się całkiem niedawno. Masz na imię Anna!

– Anna Wilk – precyzuję. – Dziewczyna Leo.

– Wiem – odpowiada Brian, nie spuszczać wzroku z mojej przyjaciółki. – Byłaś w szpitalu. Tak, na pewno... – milknie. – Byłaś w szpitalu razem z tym... – Macha ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. Wprost pożera Annę wzrokiem. – Znam cię... – mamrocze.

– Brian, to ja. Nie pamiętasz? – Anna zerka na mnie. Jest przerażona, bo już się domyśliła, jaką rolę w planie Debory odgrywał Brian. Wie, że to on uprowadził Leo. – Jak mogłeś? – Nie może powstrzymać łez.

– Co mogłem?

– Nic. – Anna potrząsa głową. – Nic, to nieważne. Gdzie jest Leo?

Prowadzę ją za sobą, nie zwracając uwagi na Briana, który depcze nam po piętach.

– Jest senny, ale zaraz się obudzi – mówię uspokajająco, gdy widzę jej reakcję. Zbladła jak ściana, ujrawszy narzeczonego. Dopadła do niego, głaszcze go po twarzy i co chwilę całuje w policzki, a on mruży i raz na jakiś czas macha ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy. – Zaraz się obudzi, wtedy pomogę ci go zaprowadzić do samochodu. Zanim dojedziesz do domu, powinien dojść do siebie. Niech od razu idzie spać. Słyszysz? – pytam.

– Tak. Mamy jechać do Leo czy do mnie? – dopytuje, nie przestając na niego patrzeć.

Zachowuje się, jakby zobaczyła go po raz pierwszy po kilkuletniej rozłące. Zazdroszczę jej tego uczucia, muszę przyznać. Zazdroszczę, że można kogoś tak bardzo kochać, jak Anna kocha Leo, a on kocha ją. Ja nie wzgardziłabym nawet jednostronnym uczuciem. Mogłabym kochać bez wzajemności, ale teraz nie mam kogo.

– Zawieź go do swego domu – odpowiadam. – Twoja mama ma dzisiaj dyżur?

– Chyba tak.

– Uważajcie, żeby nie zbudzić Alana, a rano, gdy mama będzie spała, pogadajcie z nim.

– Okej.

Czekamy może pięć minut i Leo otwiera oczy. Jest skołowany, płacze mu się język. Nie poznaje nas, bełkocze i co chwilę prosi, żeby dać mu coś do picia. Przynoszę mu trochę wody, wcześniej wysławszy Briana do kuchni. Nie chcę dokładać biednemu Leo wrażeń. Woda to zły pomysł. Leo się krztusi i dosyć długo nie potrafi odkaslnąć płynu z płuc. W końcu się udaje. Naprędce wyprowadzamy go z mieszkania. Co dziwne, zejście ze schodów nie sprawia mu większego problemu. Oddycham z ulgą, gdy Anna odjeżdża, i wracam do Briana.

Została mi do załatwienia jeszcze jedna sprawa...

– Po co wróciłaś? – wita mnie niezbyt miło. Tym razem nie czeka, aż wejdem. Idzie do kuchni, więc sama zamykam drzwi i idę za nią.

– Po ciebie – mówię.

– Słucham? – Zdążył usiąść przy stole i oprzeć łokcie na blacie, a teraz patrzy na mnie jak na ducha.

– Wróciłam po ciebie. Nie możesz tu zostać. Nie powinieneś – dodaję, żeby nieco złagodzić moje słowa.

– A gdzie powinienem być?

– U mnie. – Przysiadam na taborecie, szykując się na dłuższą pogawędkę. Czuję, że Brian nie przystanie tak łatwo na moją propozycję, i pewnie dlatego rozdziawiam buzię, gdy wstaje, bezwiednie przeczesuje włosy i oznajmia, że się zgadza.

– Muszę się spakować. Daj mi pół minuty – mówi i zostawia mnie samą.

– Pół minuty? – powtarzam.

Wychodzę z kuchni, nie mogąc uwierzyć, że Brian tak łatwo dał się przekonać i o nic nie pytał. Znajduję go w pokoju. Upycha do plecaka kilka ciuchów, sprawdza zawartość kieszeni spodni, wyjmując jakąś kartkę i przelatując po niej wzrokiem, mruczy coś pod nosem.

– Już. Jestem gotowy – oznajmia.

– Nie masz zbyt wielu rzeczy. – Wskazuję ruchem głowy na plecak.

– Nie mam.

Opuszczamy mieszkanie. Brian zamknął drzwi na klucz i człapie za mną. Gdy jesteśmy na parterze, prosi, żebym poczekała. Puka do drzwi po prawej stronie. Jeszcze zanim zachrobocze zamek, słyszę, że ludzie, którzy tu mieszkają, to prawdopodobnie Chińczycy. Poznają pojedyncze słowa. Otwiera nam najgrubszy Chińczyk, jakiego widziałam w życiu. Wprost tonie w zwałach tłuszczu. Obok stoi kobieta, też Chinka, też tęga. Oboje patrzą na nas czarnymi ślepkami, w jakie zmieniły się ich już i tak małe oczy.

– Oddaję klucz. Rezygnuję z mieszkania – mówi Brian.

Przez chwilę panuje cisza i nagle się zaczyna. Kobieta jazgocze po chińsku, jej mąż w niczym nie ustępuje, ale w swoją wypowiedź wplata pojedyncze angielskie słowa. Gdzieś biegnie i po chwili wraca z jakimś dokumentem. To umowa najmu, a chodzi im o zaległe komorne. Żądają sześciuset funtów. Wrzeszczą, machają rękami i odstawiają niezłe przedstawienie. Niedawno widziałam reklamę jakichś opon, występował w niej biały pękaty ludzik. Wyglądają prawie jak on, różni ich tylko fryzura. Ludzik był łysy. I znacznie przyjaźniej nastawiony.

– Zamknijcie się! – wybucham. Odruchowo wrzasnęłam po chińsku, czym wprowadziłam w szok wszystkich, także Briana. Chińczycy ucichli jak zaczarowani. Wyciągam z torebki portfel i sprawdzam, ile mam przy sobie pieniędzy. – Może być pięćset? – Podaję grubasowi wszystkie banknoty. Krzywi się, więc dodatkowo wpycham do tłustej kobiecej łapki cały bilon.

Właściciele nory, w której mieszkał Brian, nachylają się, żeby szybko policzyć pieniądze. Wykorzystuję to i wyrywam umowę.

– Chodźmy – mówię do Briana. Zbiegamy do wyjścia i po chwili mogę odetchnąć świeżym powietrzem. – Sześćset funtów za takie lokum... – Nie mogę uwierzyć. Nagle mój wzrok pada na samochód, którym przyjechał. – Co z tym? – pytam. – Do rana ci go ukradną.

– To z wypożyczalni. – Wzrusza ramionami. – Podstawili w południe i powiedzieli, że odbiorą za równą dobę.

– Aha.

Chwytam Briana za rękaw swetra i prowadzę do mojego samochodu. Wsiadamy i jak najszybciej ruszam. Nie chcę być ani minuty dłużej w tym okropnym miejscu, poza tym boję się, że Brian nagle się rozmyśli i ucieknie. Zwłaszcza że spłaciłam jego długi.

Milczy przez całą podróż. Dopiero na miejscu, zanim wysiądzie, rzuca: „Dziękuję”.

– Nie ma za co – odpowiadam.

Rozgląda się ciekawie, gdy wchodzimy do budynku. Mijamy recepcję, wjeżdżamy windą, a Brian milczy. Strzela oczami na boki, kiedy idziemy długim korytarzem.

– Umiesz tego używać? – zainteresował się.

– To czytnik linii papilarnych – wyjaśniam, przykładając opuszkę palca. – Oprócz tego można zamykać drzwi na kod lub na klucz. Wolę używać kluczy, bardziej do mnie przemawiają niż jakieś kody.

– Ja nie pamiętam żadnego kodu. – Zerkam na niego, bo jego głos zabrzmiał wyjątkowo żałośnie. Brian sprawia wrażenie zagubionego, ucieka wzrokiem i przestępuje z nogi na nogę. – Nie pamiętam – powtarza.

Wchodzimy do mieszkania. Rzucam torebkę na komodę i zapraszającym gestem wskazuję Brianowi, żeby szedł za mną. Również na nim, jak chyba na każdym, kto po raz pierwszy widzi nasz, a teraz mój, dom, kolorowe wnętrze robi niezapomniane wrażenie. Stąpa ostrożnie po grubym dywanie, co jakiś czas spoglądając na swoje stopy obute w bardzo stare trampki.

– Rozgość się. – Wskazuję mu kanapę. Posłusznie zajmuje miejsce, a ja siadam naprzeciwko niego w fotelu.

– Oddam ci pieniądze. Mam konto w banku, ale zapomniałem kodu.

– Numeru PIN?

– Tak. Tej nazwy też nie pamiętam. – Uśmiecha się blado. – Wiem, gdzie mam mieszkanie. Tu w Londynie. Przeczytałem adres na prawie jazdy. Byłem tam, ale nie pamiętam kodu. Nie mogę wejść – mówi, wyraźnie skrępowany swoją nieporadnością. Robi mi się go żal.

– Jak chcesz, pojedziemy tam jutro. Trzeba poprosić kogoś z administracji budynku. Rozkodują zamek i będziesz mógł wejść do mieszkania.

– Da się tak? – Jego twarz trochę się rozjaśnia. Ale tylko odrobinę.

– Da się – mówię, mając w pamięci, jak któregoś dnia Kris wszystko cierpliwie mi wytłumaczył. Często gubił klucze i zapominał kodów. – To samo z bankiem. Jeśli pamiętasz, w którym banku masz konto, możemy tam pojechać i to załatwić.

– Będę wdzięczny. Nie wiem, dlaczego tak mi pomagasz – dodaje po chwili.

– Czy to ważne? – Wstaję i przez chwilę patrzę na niego z góry. Choć przez chwilę to ja jestem silniejsza. Nie łudzę się, że zawsze tak będzie. Brian pokazał mi próbkę swoich umiejętności. Nie zapomniałam. Jeszcze czuję na szyi ucisk jego palców i słyszę, jak mi wygraża. Nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę. Zazdrozczę mu amnezji. Też bym tak chciała.

– Ta kobieta... – zaczynam, przełykając gulę w gardle. – Ona dała ci pieniądze? Dlatego jej pomagałeś?

– Tak.

– Jak jesteś głodny, w kuchni znajdziesz coś do jedzenia. Na końcu korytarza jest mój pokój, na razie tam będziesz spał. Ma zielone drzwi, po tym go poznasz. Do pokoju przylega łazienka. Będę wdzięczna, jeśli z niej skorzystasz, zanim pójdziesz spać.

– Poczekaj – zatrzymuje mnie. Niechętnie się odwracam. Nie mogę na niego patrzeć. Każda kolejna minuta spędzona w jego towarzystwie zatruwa moją duszę, kaleczy serce, rozrywa je na strzępy. – Nie boisz się? – Brian wstaje i podchodzi do mnie. Znow to on góruje nade mną.

– Czego mam się bać? Już nic nie mam. Ty i ta kobieta odebraliście mi wszystko. I choć to kiedyś do mnie wróci, żałuję każdej sekundy, którą spędzę bez

mamy i Krisa.

– Oni...

– Nie ma ich przy mnie – przerywam mu. – Już nie mam się o kogo bać.

Rozdział 6

Ślady po walkach

Wydawało mi się, że spałem jak zabity, ale to było tylko wrażenie. Dopiero nad ranem uświadomiłem sobie, że całą noc śniłem koszmary. Widziałem myśliwski domek Krisa i Dalili, by po chwili znaleźć się w moim rodzinnym domu w Bostonie. Słyszałem trzask palących się drewn, czułem zapach dymu i ciepło bijące od ognia, a gdzieś wokół mojego łóżka ktoś złowrogo się skradał i szeptał coś niezrozumiale. Te budzące niepokój obrazy ciągle wracały i wracały. Budziłem się, próbując sobie wytłumaczyć, że to tylko wytwory mojej wyobraźni, przytulałem się do Anny, zasypiałem, a po chwili znów otaczały mnie cienie, odgłosy, krzyki i dźwięki brzmiące niczym huk strzałów z pistoletu.

Otworzyłem oczy. Zamrugalem kilka razy, bo ku mojemu zdumieniu od razu poznałem ten pokój. Usiadłem i spojrzałem na prawo, spodziewając się, że ujrzę Annę. Zamiast niej zauważyłem poduszkę ze śladem wgniecenia po głowie i odrzuconą na bok kołdrę. Już miałem zawołać Annę, gdy drzwi pokoju cicho skrzypnęły i moja dziewczyna weszła do sypialni.

– Co się stało? – wykrztusiłem na jej widok. Jej oczy ginęły pomiędzy opuchniętymi powiekami, a twarz była blada jak ściana. Anna opatuliła się szlafrokiem, zamknęła za sobą drzwi i podeszła do łóżka.

– Leo... – powiedziała, siadając na brzegu materaca. – Tak mi przykro.

– Ale co...

– Nic nie pamiętasz. – Westchnęła ciężko.

– Czego nie pamiętam? Coś z Krisem? – Zaniepokoiłem się. Powoli wracała mi pamięć wczorajszego dnia i chyba... Chyba wcale tego nie chciałem.

– Dorothy nas dopadła – wykrztusiła Anna.

– Pamiętam... – jęknąłem, dociskając dłonie do skroni. – Pamiętam.

– Boli cię głowa? – Anna przysunęła się bliżej i dotknęła mojego czoła.

– Wszystko w porządku. To nic. Muszę do toalety – wymamrotałem, zsuwając nogi na podłogę. – Zaraz wracam.

Postawiłem raptem dwa kroki, a zarzuciło mną jak pijanym.

– Wciąż ledwie trzymasz się na nogach. Podejrzewam, że to nie tylko efekt środka nasennego, ale i alkoholu. – Anna popatrzyła na mnie z troską, po czym wzięła mnie pod ramię.

– Już nic. Przeszło – zbyłem ją. Nie zniósłbym współczucia.

Począłem do łazienki. Myjąc twarz lodowatą wodą, dumałem, czy chcę wrócić do Anny, żeby wysłuchać relacji z wczorajszego wieczoru. Czułem, że moje serce czeka kolejna próba. Byłem prawie pewien, że Kris pożegnał się z tym wcieleniem. Był dla Anny tak samo ważny jak dla mnie i nawet ta nasza nie do

końca ostateczna śmierć sprawiała ból. Potrzebowałem trochę czasu, żeby ochłonąć, zebrać siły i w pełni zdać sobie sprawę z tego, że teraz to ja muszę zaopiekować się Anną.

– Wszystko mi opowiedz – poprosiłem, gdy po kwadransie wróciłem do sypialni. Anna siedziała na małym dywaniku przed łóżkiem. Przysiadłem obok niej i objąłem ją ramieniem.

– Dalila nie żyje. Kris też – powiedziała cicho.

– Oni żyją – zaprzeczyłem. – Żyją.

– Wybacz, ale na razie trudno mi w to uwierzyć, przywyknąć do myśli, że gdzieś tam są. – Machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Uwierz. Naprawdę tak jest. – Nachyliłem się, żeby ucałować włosy Anny.

– Jeśli chcesz, przysięgnę na moją miłość do ciebie, że Kris i Dalila żyją. Narodzili się na nowo – powtórzyłem z mocą, choć doskonale rozumiałem, że Annie, która przeżywała swoje pierwsze wcielenie, mogło być trudno w to uwierzyć. – Problemem nie jest wiara, prawda? – spytałem. – Tęsknisz za nim?

– A ty? – Anna podniosła na mnie szkliste spojrzenie.

– Będę tęsknił. Będzie mi go brakowało. Będę cierpiał z tego powodu, ale tak po prostu jest. – Przełknąłem gulę w gardle. – Alisha już wie?

– Tak.

– Chyba musisz mi opowiedzieć wszystko od początku. – Smętnie pokiwałem głową.

– Dorothy przyszła po Księgę – zaczęła Anna. – Myślałam, że to ty... – Wzięła głęboki wdech. – A to była ona.

– W końcu nas dorwała – westchnąłem, kręcąc głową.

– Kazała nam stanąć pod ścianą. Miała pistolet. Byłam pewna, że gdy oddam jej Księgę, pójdzie sobie. Gdyby chciała, poszłabym z nią – dodała po chwili.

– Posłuchaj... – Ująłem dłoń Anny i przycisnąłem do ust. – Nie obwiniaj się.

– Nie obwiniam się. Po prostu nie wiem, czy to, co się stało, było najlepszym rozwiązaniem. Próbuję zapomnieć o Dalili, o tym, jak wyglądała chwilę przed śmiercią, o jej oczach. Huk wystrzałów dawno ucichł, a ja ciągle je słyszę. Ich echo dzwięczy w mojej głowie, natrętne i uparte... – załkała Anna.

Minęło kilka minut. Anna płakała, ja też uroniłem kilka łez. Nie mówiłem, że ma przestać. Czasami człowiek musi upłynnić swój żal, pozwolić mu wyciec wraz ze łzami. Anna nie była wyjątkiem. I tak szybko się opanowała.

– Najpierw Dorothy strzeliła do Dalili, a chwilę później do Krisa – podjęła. – Upadli na podłogę, blisko siebie. Dorothy usiadła przy stole, a mnie kazała usiąść na fotelu. Rozmawiałyśmy. Wiem, że Kris i Dalila... – Znów wróciła do śmierci naszych przyjaciół. – Kris przeżył. Dalila nie zmarła od razu i oddała mu swoją

energię. Dotykała go i Kris przeżył.

– Tak? – Zmarszczyłem czoło, zaskoczony, bo przed chwilą Anna mówiła przecież coś zupełnie innego.

– Przeżył postrzał – doprecyzowała Anna. – Tylko po to, żeby chwilę później oddać dobrowolnie życie.

– Już rozumiem. – Przycisnąłem dłoń do ust, myśląc o odwadze, jaką wykazał się Kris.

– Wrzuciłam Księgę do kominka, żeby odwrócić uwagę Dorothy, a wtedy Kris podszedł z tyłu i zniecierpliwiony uderzył ją w głowę wazonem. Straciła przytomność. Prosiłam Krisa, żeby się nie poświęcał. Mówiłam, że wezwiemy policję, aresztują Dorothy, że nie musi kończyć wcielenia, ale mnie nie posłuchał.

– A dziwisz mu się? – Jeszcze mocniej objąłem Annę. – Zrobiłbym to samo. Tu nie chodziło tylko o Dorothy. Kris zakończył jej istnienie, czyż nie?

– Wykorzystał to, czego dowiedziałam się z Księgi. Przytknął swoje znamię do znamienia Dorothy i po chwili oboje odeszli.

– Gdybym był na jego miejscu, postąpiłbym tak samo. Nie mógł uratować Dalili. Nie chciał po raz kolejny czekać na nią dwadzieścia lat. Poza tym za chwilę to ona czekałaby na niego. A przy okazji na zawsze i definitywnie pozbawił nas towarzystwa Debory – westchnąłem, nie kryjąc ulgi.

– Leo, on wiedział o tym, co się zdarzy.

– Alisha mu powiedziała?

– Tak.

– Już wiem, czemu Kris tak się upił. – Pokręciłem głową. Parsknąłem zduszonym śmiechem, myśląc, że mam wyjątkowe szczęście. – Taki przyjaciel jak Kris to prawdziwy skarb. Mówił coś?

– To znaczy?

– Czy powiedział coś przed... – W ostatnim momencie ugryzłem się w język, bo już miałem powiedzieć „śmierć”. – Czy coś mówił, zanim...

– Tak – przerwała mi Anna. Ona też nie chciała używać ostatecznych sformułowań. – Dał mi swój zegarek i poprosił, żebym go przechowała.

– To pamiątka po jego ojcu. Bardzo lubił ten zegarek.

– Chyba lubi? – poprawiła mnie Anna.

– Wiesz... – zagadałem. – Jesteś niesamowicie dzielna. Podziwiam cię. Dzielna, mądra i znacznie silniejsza niż ja.

– Oj, uwierz, nie jestem – odparła.

– Gdzie masz ten zegarek?

– Schowałam go razem z Księgą.

– Kris coś jeszcze mówił?

– Tak. Powiedział mi, co mam zrobić. Kazał spakować nasze rzeczy, a przed wyjściem wygarnąć z kominka palące się drwa i poczekać, aż domek

zajmie się ogniem.

– Nie chciał zostawiać żadnych śladów – wszedłem Annie w słowo.

– Oko za oko. Ząb za ząb. Pożar za pożar – wyliczyła. – Może to jakaś zemsta za twoją przeszłość?

– Może tak. – Pokiwałem głową. – Co było dalej? Jak się tu znaleźliśmy?

– Przywiozłam cię z Whitechapel.

– Skąd? – Zmarszczyłem czoło.

– Gdy wracałam do Londynu, zadzwoniłam do Alishy. Podała mi adres. Pojechałam tam. To chyba najbardziej ohydna i obskurna dzielnica Londynu, jaką widziałam. Byłeś w mieszkaniu... – Nagle Anna zamilkła, bo ktoś zapukał do drzwi pokoju. Po chwili w szparze pojawiła się głowa Alana.

– Dzień dobry – chrząknął cicho. – Mogę? – zapytał, wchodząc. Zamknął za sobą drzwi, spojrzał na nas czujnie i potarł z zakłopotaniem brodę. – Co tu robicie?

– Cześć, Alan – przywitała się Anna. Ja też coś mruknąłem. – Mama śpi?

– Tak.

– Mam prośbę, zrób nam kawę. Zaraz zejdziemy. Musimy pogadać.

– Oho... – Alan zrobił minę kogoś, kto właśnie wyczuł wielkie kłopoty, ale bardzo mu to pasuje, bo będzie się można wykazać.

– Więc gdzie byłem? – zapytałem, gdy zostaliśmy sami.

– W mieszkaniu Briana.

– Co?! – krzyknąłem i czym prędzej zatkałem usta, bojąc się, że zbudzę Julię, która spała gdzieś za ścianą.

– Spokojnie. – Anna zauważyła mój przerażony wzrok. – Mamy nie zbudzi nawet erupcja wulkanu.

– Co z tym Brianem?

– Zakładaj buty. – Wskazała moje adidasy. – Byłeś w mieszkaniu Briana. Alisha też tam była, czekała na mnie. Przyjechałam, razem sprowadziłyśmy cię do samochodu i tyle. To wszystko działo się około północy.

– Ale skąd Brian? – zapytałem, szybko wiążąc sznurowadła.

– Przypuszczam, że pomagał Dorothy, bo jak inaczej?

– Wiedziałem, że to dwulicowa szuja! – powiedziałem, nie kryjąc satysfakcji. Wyprostowałem się i spojrzałem na Annę. – Czułem to. Co za fałszywa łajza. Taki sam z niego gnojek jak z Jacka.

– Nie ferowałabym wyroków tak szybko. – Anna zmarszczyła nos. – On nic nie pamięta. Poznał mnie, ale tylko dlatego, że widział nas w klinice.

– Udaje.

– Nie sędzę. Wygląda jak nie on, a zachowuje się jeszcze dziwniej. Byłam tam tylko przez chwilę, ale zdążyłam zauważyć, że jest z nim coś nie tak.

– A Alisha? Co mówiła?

– Nie miałyśmy czasu spokojnie porozmawiać. Teraz też nie mamy. Chodź,

musimy pogadać z Alanem. Nie zapomnij zabrać swetra.

Alan już czekał. Na kuchennym stole stały dwa kubki z parującą kawą, a między nimi talerz wypełniony po brzegi kanapkami. Zaburczało mi w brzuchu. – Jedzcie – powiedział Alan. Przez chwilę krzątał się przy zlewie, w końcu usiadł naprzeciw nas i chrząknął znacząco. – Co jest grane? Nie żebym był nieuprzejmy, ale wyglądasz okropnie. – Zerknął z troską na Annę. – Coś ty taka zapłakana? Zrobiłeś jej coś? – Spojrzał na mnie i przybrał groźną minę. – Zalałeś się, przyznaj. Cuchniesz tanim wińskim.

– Leo nic nie zrobił. – Anna wzięła mnie w obronę. – Mamy kłopot, bo...

– Kris i Dalila nie żyją – oznajmiłem.

– Co?! – Alan wytrzeszczył oczy. – Co mówisz? Anka, co on bredzi? – Chyba uznał, że jestem mało wiarygodny, bo gapił się tylko na nią.

– Mówi prawdę. Wczoraj wieczorem do nich pojechaliśmy, do małego domku niedaleko Newbury. Kris kupił tam kawałek ziemi i jakaś firma postawiła gotowy domek. To taka mała chatka myśliwska z bali. Zaprosił nas na uroczyste otwarcie sezonu letniego i barbecue.

– Julia coś wspominała, że się wybierałaś.

– No właśnie – potwierdziła Anna.

– Ale co się stało? Na litość boską, mówże, dziewczyno – popędził ją Alan.

– Pewna kobieta nas dopadła. – Postanowiłem się wtrącić. – Ta, która była odpowiedzialna za porwanie Anny.

– Ta, która trzymała Ankę w bunkrze? – Alan był w szoku. – Przecież ona siedzi w pace.

– Już dawno uciekła. Wiem, powinniśmy ci byli powiedzieć, ale Thor uznał, że na razie to niepotrzebne – dodała Anna.

– No i co z nią? Jak jej było?

– Dorothy – przypomniałem.

– Dorothy przyjechała wieczorem. Była uzbrojona. Najpierw zastrzeliła Dalilę, zaraz potem Krisa.

– Z jakiej broni?

– Nie wiem. Nie znam. Na pewno to nie był glock – odpowiedziała Anna. – Jakiś pistolet. Chciała odebrać mi Księgę.

– Jaką księgę? – Alan potrząsnął głową.

– Tę, którą mam tutaj. – Anna na chwilę podniosła torbę, którą trzymała na kolanach. – Chciała ją zabrać. Bardzo możliwe, że znów by mnie uprowadziła, ale udało nam się wywieść ją w pole. Wrzuciłam Księgę do kominka, a wtedy Kris uderzył ją w głowę wazą.

– Czekał. Zaraz zwariuję. – Alan złapał mój kubek, dopił resztkę kawy i podrapał się po głowie. – Kogo walnął? Dorothy? – Przymrużył oczy. – Po pierwsze, Kris już nie żył, a po drugie, co masz w torbie, skoro ta twoja książka

wylądowała w kominku? Hę?

– Księga jest ognioodporna – powiedziałem.

– A Kris zmartwychwstał? – Alan spojrział na mnie jak na idiotę. – Macie mnie za durnia?

– Jezu... – jęknęła Anna. – Nieważne. Kris przeżył postrzał. Gdy Dorothy próbowała wyjąć Księgę z kominka, zaszedł ją od tyłu i uderzył w głowę.

– Aha. Czy mnie się wydaje, czy przed chwilą powiedziałaś, że Kris nie żyje? Dorothy miała pistolet na kapiszony? Oboje żeście się schlali? Już Julka ci zada bobu, jak wstanie. Zobaczysz. A ty? – Skierował w moją stronę palec wskazujący. – Byś się wstydził. Stary koń, powinieneś być za nią odpowiedzialny. A może to jakieś narkotyki? – Rozszerzył chrapy jak pies łowczy i spoglądał to na mnie, to na Annę.

– Nie piłam. Przecież przyjechałam w nocy samochodem. – Anna zupełnie się nie przejęła groźbami przyszłego ojczyma. – Kris nie zmartwychwstał. Po prostu nie zginął od kuli. Wstał, walnął Dorothy i tyle. Później i tak oboje zmarli.

– Oboje? Czyli on i Dalila?

– Dalila zmarła pierwsza. Od postrzału. Później Kris i Dorothy.

– A gdy zmarli, zabrałam nasze rzeczy, walizki i ciuchy, zaniósłam do samochodu, wróciłam i podpaliłam domek – dodała Anna. – Wygrzebałam żar z kominka na podłogę. Szybko się zajęło, bo tam wszystko było z drewna, na dodatek domek był nowy i okropnie śmierdziało lakierem. Może dlatego od razu się zapalił.

– Doskonała historia. – Alan głośno mlasnął. – A gdzie ty byłeś w tym czasie? – Uniósł brwi.

– Leżałem w ogrodzie, bo pomocnik Dorothy uspił mnie zastrzykiem ze środkiem nasennym.

– Hm... – chrząknął Alan. – Leo, zawsze myślałem, że masz tyle kasy, że do końca życia nie musisz nic robić. Widzę, że się myliłem. Przygotowaliście całkiem niezły scenariusz do kolejnej części *Gangu Olsena*, ale nie wróżę wam kariery, bo już tego nie kręcą. – Parsknął pod nosem. – Takiego idiotyzmu nawet Theodor by nie wymyślił. Ale niech wam będzie, sprawdzimy, czy to prawda.

– Co chcesz zrobić? – zaniepokoiła się Anna.

– Newbury to gdzieś w North Wessex? – zapytał Alan, wyjmując telefon z kieszeni dżinsów.

– Tak.

– Dajcie mi minutę. – Wyszedł z kuchni.

– To był błąd – mruknąłem cicho. – Zaraz komuś chlapnie nie to co trzeba.

– On tylko sprawia takie wrażenie, ale nie jest taki głupi – szepnęła Anna i trwożnie obejrzała się za siebie. – Z drugiej strony sam pomyśl, jak to wszystko brzmi? Przecież cała ta historia jest niedorzeczna dla zwykłego człowieka...

– Może i tak – po namyśle przyznałem jej rację.

Rozmowa zajęła Alanowi dobre dziesięć minut. W międzyczasie zjadłem wszystkie kanapki, a Anna zrobiła nam po kubku herbaty. Na szczęście już jej przeszło. Nie płakała, a nawet uśmiechnęła się lekko, gdy powiedziałem, że cukier wygląda mi bardzo podejrzanie.

– No dobra, koniec żartów – oznajmił Alan, zaledwie przestąpił próg kuchni.

– Kto żartował, ten żartował – burknąłem znad lustra parującego płynu.

– Rzeczywiście tam się ostro paliło. Na razie na miejscu jest sztab ludzi, straż, policja i prokurator, bo już znaleźli ludzkie szczątki. – Alan zniżył głos, ale to mu nie wystarczyło. Wstał, zamknął drzwi od kuchni, wrócił do nas i przysunął się najbliżej, jak mógł. – Kto wie, że tam byliście?

– Ty, mama, Alisha i jeszcze ten pomocnik Dorothy, ale on... – zająknęła się Anna.

– On nic nie powie – dokończyłem za nią.

– Przysięgnijcie, że nie mieliście nic wspólnego ze śmiercią tych ludzi. – Alan popatrzył na nas.

– To znaczy? – Anna kilka razy mrugnęła, jakby jej coś wpadło do oka.

– To znaczy, że na broni nie ma odcisków waszych palców.

– Nie ma, przysięgam. – Anna przyłożyła dłoń do piersi.

– Ja też przysięgam.

– Coś tam zostało? Mam na myśli wasze rzeczy, zwłaszcza poza obrębem budynku.

– Foremka – powiedziała Anna i nerwowo zagryzła kącik ust.

– Foremka? Jaka foremka?

– Taka na ciasto. Zrobiłam szaszłyki i zabrałam je w foremce.

– Szlag! – zaklął Alan. – Nie mów, że w mojej ulubionej, tej z teflonem.

– Uhm.

Bluzgnąłem na niego w myślach. Gadamy o morderstwie, naszym alibi i bezpieczeństwie, a ten biadoli nad foremką? Z trudem powstrzymałem się, żeby mu nie przygadać.

– Jeszcze jakieś ewentualne ślady, zwłaszcza na przedmiotach zostawionych na zewnątrz? – spytał Alan, patrząc na mnie.

– Na worku.

– Worku?

– Niosłem worek z węglem. I miskę z mięsem. Zostały w ogrodzie. – Dziwiłem się, że to zapamiętałam.

– Ale w nocy była burza – dodała uspokajająco Anna. – Zaczęło strasznie lać, gdy stamtąd odjeżdżałam.

– Dobrze. Przynajmniej splukało ślady opon. Prawda jest taka, że nikt nie

da wam lepszego alibi niż ja – mruknął Alan. – Mam nadzieję, że żadna kamera was nie nagrała, a jeśli nagrała – że nikt nie skojarzy was z tym zdarzeniem. A powiedz, czemu podpaliłaś budynek? I jaki był bezpośredni powód śmierci Krisa i napastniczki? – zadał pytanie tonem profesjonalnych śledczych.

– Podpaliłam, bo Kris mi kazał. A zmarł, bo... – Anna spojrzała na mnie. Jej oczy wyrażały prośbę o pomoc.

– Pewnie zawał serca.

– Albo wylew – podsunął Alan. – Nadmiar wrażeń i serce nie wytrzymało ciśnienia.

– Coś takiego – przytaknęła skwapliwie Anna.

– A napastniczka się zaczadziła – dodałam.

– Mówiliście, że ta kobieta dostała w głowę. Powinny być ślady. Zawsze można to jakoś wytłumaczyć. Kris mógł działać w samoobronie. Napastniczka próbowała strzelić do niego, rzucił w nią wazą, niestety, nie zdołał jej powstrzymać i dostał kulkę, a potem napastniczka straciła przytomność.

– W ciele Krisa na pewno został pocisk – powiedziałem po namyśle.

– Dobrze. Sekcja powinna to wykazać.

– To Dalilę i Krisa mamy z głowy. – Anna odetchnęła z ulgą.

– Ciekawe podejście – burknął Alan. – Po mnie też tak będziecie rozpaczać? Ech, dzisiejsza młodzież w ogóle nie ma serca. Nie znałem za dobrze tej Dalili, raz w życiu widziałem babkę na oczy, Krisa znałem trochę lepiej, ale i tak żal, młody chłop był, mógł pożyć dwadzieścia lat albo trzydzieści w dobrym zdrowiu, a wy? Jeszcze Anka jakoś to przeżywa, ale ty? – fuknął na mnie.

– Alan... – zająknęła się Anna. – Mamy prośbę. Mama nie może się o tym dowiedzieć.

– O czym? Przecież i tak się dowie, że Kris nie żyje.

– O tym, że tam byliśmy – doprecyzowałem.

– Uhm – zgodził się niemal od razu. – Nie po to załatwiam wam alibi, żeby was wsypać przed Julią.

– To ustalmy jakąś wersję – zaproponowałem, nachylając się nad stołem.

– Dobra, ale najpierw to ja muszę do toalety – wyznał Alan. – Pomyślę tam, czy dla zdrowia psychicznego nie powinienem rozważyć przejścia na emeryturę i emigracji gdzieś daleko. Oczywiście z moją kochaną Julką...

Alisha – Epizod 3

Jeśli można być dumnym z zamrożonego na kamień serca, jestem bardzo dumna. Trzymałam się do końca. Dopiero teraz, gdy leżę w łóżku pachnącym mamą i Krisem, czuję, jak lodowa bryła w moich piersiach delikatnie się topi. Pierwsze kryształki lodu zmieniają się nieśmiało w słony płyn i wyciekają z moich oczu. Wsiąkają w poszewkę poduszki, która robi się coraz bardziej mokra.

Próbuję nie myśleć o Brianie. Nie zastanawiać się, co robi. Czy zjadł coś

i wziął prysznic, jak prosiłam. Może już go tu nie ma? Mógł wyjść i zniknąć z mojego życia równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawił. Zamykam oczy i liczę do tysiąca. Najpierw po chińsku, później w hindi, na koniec po angielsku. Trwa to i trwa, a ja ciągle nie mogę zasnąć. Zdaje mi się, że to nigdy nie nastąpi, gdy litościwe ręce snu w końcu mnie obejmują. Zapadam się w czerń. Gdy rankiem otwieram oczy, dziękuję wszystkim znanym i obcym bóstwom, że nic mi się nie śniło.

Nagle dostrzegam, że nie jestem sama. Od razu siadam na łóżku i zakrywam się kołdrą po szyję.

– Nie pozwoliłam ci tu wchodzić – mówię, a raczej skrzeczę. Mój głos brzmi okropnie. Jak u śmiertelnie przerażonej dziewczynki. Nie chcę okazywać strachu przed Brianem, zwłaszcza że wcale go nie odczuwam. To gniew zmienił mój głos.

– Przepraszam.

Brian siedzi na małym foteliku, który stoi przed toaletką mamy. Dostała go od swojego ojca, a mojego dziadka, którego jeszcze nie poznałam. Mama mówiła, że dziadek ją uwielbia. Kocha bardziej niż dwóch synów, młodszych braci mojej mamy. Gdy pomyślę, że dziadek wkrótce dowie się o śmierci jedynej córki, w gardle znów tworzy się kula. Jest zbita i twarda jak kłębek włóczki. Na dodatek Brian założył podkoszulek Krisa. Jest na niego za duży i wisi na nim jak na strachu na wróble. Nie spytał o zgodę, a ja nie przewidziałam, że będzie na tyle bezczelny, żeby zabrać cudzą rzecz. Najchętniej powiedziałabym Brianowi, że ma natychmiast stąd wyjść, gdy dostrzegam, co trzyma w ręku.

Wygląda na kolanie kartkę, pochrząkuje i nie spuszczając ze mnie wzroku, zaczyna mówić:

– Jestem skażony bólem i smutkiem, narasta we mnie, namnaża się, niszczy w zarodku każdy poryw serca, kroplę nadziei, przejaw życia. Jestem zniechęceniem, paraliżuje mnie melancholia. Dziś taki stan określamy mianem depresji – wygłasza bez zająknięcia.

– Masz doskonałą pamięć – mówię ironicznie.

– Naprawdę widzisz przyszłość?

– Niestety. A teraz, gdy zaspokoiliś swoją ciekawość, proszę, żebyś stąd wyszedł. I nigdy tu nie wchodził.

– Dlatego mnie tu przywiozłaś? – Brian ignoruje moją prośbę. Potrząsa kartką i powtarza swoje pytanie.

– Mój dar to przekleństwo. Ty też jesteś moim przekleństwem. A najgorsze... – Odwracam głowę i patrzę w okno zaciągnięte zasłonami. Przez kremowy atłas przenika mgliste światło. – Najgorsze, że nie można nic zrobić. Nie mogę z ciebie zrezygnować, uciec, zapomnieć o tobie. Jesteś ze mną tak mocno związany jak ja sama. Ktoś skazał mnie na ciebie, choć wcale tego nie chciałam.

Ty też pewnie nie możesz na mnie patrzeć. – Łapię się za usta, żeby powstrzymać szloch, który rozrywa moje gardło.

– Nie pamiętam swojego życia. Jedyne, co mi z niego zostało, to twarze. Widzę twarz i wiem, że ten ktoś był w moim życiu. Czasami twarz ma imię. Mówisz, że nazywałeś się Alisha. Dla mnie jesteś dziewczyną, która wygląda jak Iksha Basu. Są jeszcze Anna Wilk i Leo Black. Krisa też pamiętam.

Odwracam głowę i widzę, jak Brian patrzy na fotografię mamy i Krisa. To ja zrobiłam to zdjęcie. Coś razem gotowali. Oboje w czerwonych kuchennych fartuchach, z brzuchami obsypanymi mąką, stoją obok siebie i wyglądają jak szczęście.

– Przykro mi, że ich straciłaś.

– Za późno na skruchę.

– Ta kobieta, która dała mi pieniądze... – Przerywa na moment. – Nie chodziło tylko o pieniądze. Kiedyś bardzo ją kochałem. Chyba tak było, ale nie jestem pewny, czy to była prawdziwa miłość, czy zwykłe pożąda...

– Jej już nie ma – przerywam mu z satysfakcją. – Nie ma i nigdy nie będzie. Kris zakończył jej istnienie. Ona już nigdy się nie odrodzi. Straciłeś ją na zawsze.

Brian milczy. Spuścił głowę i wpatruje się w mój list. Znów go czyta, widzę, jak przelatuje wzrokiem po liniijkach, co jakiś czas biorąc głośny wdech. W moim zboląłym sercu pojawiają się niechciana litość i współczucie. Wiem, że to wszystko musiało się wydarzyć, ale i tak nie potrafię usprawiedliwić Briana.

– Pomogłeś jej dla pieniędzy.

– Tak.

– Co zamierzałeś zrobić z Leo? Zabić go?

– Miałem go uśpić zastrzykiem, wpakować do samochodu, przywieźć do mieszkania i czekać na instrukcje.

– Wiesz, że gdyby ta kobieta przeżyła... – Kręcę głową, wyobrażając sobie, co mogłoby spotkać Leo. Przypuszczam, że bezkarnie pastwiliby się nad nim. Wywieźli gdzieś daleko, ukryli, a przecież jemu nikt nie przyszedłby z pomocą. Leo nie potrafi mówić myślami jak Anna. Nie powiedziałby, gdzie jest. Co go czekało? Faszzerowanie lekami, może nawet tortury, cokolwiek, czym mogli szantażować Annę. – Znałeś plany swojej dobrodziejki? – ze wzdrgną wymawiam ostatnie słowo.

– Debory?

– Tak.

– Chciała zdobyć Księgę. Tyle wiem.

– A co z Anną? Nie była jej potrzebna? – Przechyliłam głowę, nie mogąc uwierzyć, że zabójczynie mojej mamy poprzestałyby na samej Księdze.

– Pewnie była.

– No właśnie. Wszystko wiesz. Doskonale znałeś cały plan, ale nie chcesz

mi powiedzieć. A może się wstydzisz? – Parskam gorzkim śmiechem, myśląc, że taki człowiek jak Brian nie odczuwa wstydu, a „wyrzuty sumienia” są mu zupełnie obce.

– Miałem czekać na instrukcje – powtarza uparcie.

– Ale się nie doczekałeś.

– Nie. Debora nie zadzwoniła – mówi, gapiąc się na kartkę, którą bezwiednie międli w dłoniach.

– Za to ja się pojawiłam. Powiedziałam ci, że Debora – przetykam ślinę, bo robi mi się niedobrze, gdy wymawiam jej imię – nie żyje. Że jej nie ma.

– Myślałem, że...

– Dlaczego mi uwierzyłeś? – przerywam mu. Podnosi wzrok, więc dodaję:

– Wczoraj, gdy mówiłam, że ona zmarła, i dzisiaj, gdy dowiedziałeś się, że definitywnie.

– Ty nie kłamiesz. Ty nigdy nie kłamiesz – powtarza z mocą.

– Gdyby kazała ci porwać zwykłego człowieka, na przykład kogoś z bliskich Anny albo z rodziny Leo, zrobiłbyś to? – Brian nie odpowiada, ale jego milczenie jest dla mnie wystarczającą odpowiedzią. – Pamiętasz, jak przez lata znęcałeś się nad matką Leo z poprzedniego wcielenia? Miał wtedy na imię William, a ty, jak wspomniałeś, nazywałeś się Edmund Lidz. Na pewno pamiętasz, jak powoli odbierałeś jej rozum i pamięć, zamiast ją leczyć.

– Może moja amnezja to jakaś kara? – pyta, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że słyszę w jego głosie skrucę i nadzieję, że będzie mógł surowo odpokutować za całe zło, które wyrządził.

– Może.

– Nienawidzisz mnie.

Skoro nigdy nie kłamię, już mam potwierdzić i dodać, że jeszcze bardziej nienawidzę samej siebie, gdy słyszę dzwonek domofonu. Wiem, kto to. Bez słowa wstaję z łóżka i wychodzę do łazienki, zakładam szlafrok mamy, stawiam wysoko kołnierz i idę do drzwi.

– Dzień dobry – mówi ochroniarz. To bardzo miły chłopak, najmilszy ochroniarz ze wszystkich, którzy pilnują naszego osiedla. Ma na imię Luke i jest w moim wieku. Obok niego stoi dwóch policjantów. Cała trójka ma dziwne miny. Z pewnością są bardziej zdenerwowani niż ja. – Panowie chcieli z tobą gadać. – Grdyka Luke’a przesuwają się w dół i w górę.

– Dzień dobry – odpowiadam i opatulam się połami szlafroka.

– To ja pójdę, nikogo nie ma na zmianie – wyjaśnia Luke i z ulgą mnie zostawia.

– Możemy wejść? – pyta jeden z policjantów. Z wyglądu trochę przypomina mi jakiegoś znanego aktora. Jest wysoki, przystojny i ma bardzo gęsty, ciemny zarost. Przedstawia się, a zaraz po nim ten drugi, ale ich imiona wylatują mi

z głowy, ledwo je wymienili.

– A o co chodzi? – Nie cofam się nawet o krok. Nie chcę, żeby ci ludzie wchodzili do mojego domu. Mam dosyć obcych.

– Chcemy zamienić kilka słów. – Drugi, pulchny blondasek, cicho chrząka w kułak. – Zna pani Ikshę Basu? – pyta, zerkając do małego notatnika. Nie odpowiadam, więc zadaje drugie pytanie: – Pani Alisha Chopra?

– Panna. Jestem panną – poprawiam go. – A Iksha to moja ciocia. To kuzynka mamy.

– Oczywiście, już notuję. – Skrobie długopisem. – Gdzie mieszkają rodzice?

– Moi?

– Tak.

– Pod Colchester.

– Czemu tu mieszkasz? – Przechodzi płynnie na „ty”.

– Mieszkam z ciocią, bo będę studiować w Londynie.

– A czemu ciocia mieszka z...

– Kris to jej narzeczony, mają się wkrótce pobrać – wyjaśniam.

– Mamy przykrą wiadomość – mówi brunet.

– Coś z ciocią i wujkiem?

– Obawiam się, że... – Brunet głośno wzdycha.

– Od wczoraj nie mogę się do nich dodzwonić. Ciocia ma wyłączony telefon, wujek Kris też – mówię, próbując wiarygodnie zagrać kogoś zaskoczonego i wystraszonego tym, co za chwilę padnie z ust policjantów. – Wyjechali na weekend do domku letniskowego.

– Obawiamy się, że oboje...

– Nie żyją – kończy za niego blondas i głośno przełyka ślinę.

– Co się stało... – jąkam się, szcękam zębami, a z moich oczu, jak na zawołanie, tryskają łzy.

– Na razie nie możemy nic więcej powiedzieć.

– Dobro śledztwa. – Blondyn znów przychodzi w sukurs koledze. – Czy chciałaby pani... panna... skorzystać z pomocy psychologa? Koleżanka czeka na dole. Mogę ją wezwać. – Wyjmuje telefon z kieszeni.

– Nie. Nie trzeba – mówię cicho, niemalże szeptem.

– Może zadzwoń do rodziców, niech tu przyjadą.

– Tak zrobię. – Dla poparcia tych słów kiwam głową.

– Czy mamy kogoś jeszcze powiadomić?

– Nie. Raczej nie... Ciocia poza mną nie ma żadnej rodziny w Londynie, a wujków i dziadka...

– Gdzie mieszkają?

– Dziadek mieszka w Bombaju, a bracia cioci studiują w Delhi.

– W Indiach? – upewnia się blondas, a mnie niewiele brakuje, żebym dla odmiany parsknęła śmiechem.

– Tak – potwierdzam.

Wypytują mnie o rodzinę Krisa, gdy słyszę za plecami jakiś odgłos. To na pewno Brian. Musi być gdzieś blisko, chyba za ścianą, w kuchni. Zastygam, bo ostatnie, czego potrzebuję w tym momencie, to jego obecność. Na szczęście policjanci nic nie usłyszeli i po krótkiej rozmowie, pouczeniu, że w ciągu trzech najbliższych dni nie powinnam opuszczać Londynu, i powtórce pytania, czy aby na pewno nie chcę skorzystać z pomocy psychologa, wreszcie dają mi spokój.

Oddycham z ulgą, zatraskując za nimi drzwi. Opieram się o nie plecami i zamykam oczy. Oddałabym wszystko, żeby zniknąć jak ta kobieta. Ta, którą kiedyś kochał Brian. Osuwam się na podłogę, rozmyślając, co zrobić.

– Wszystko w porządku? – słyszę nad głową.

– Nic nie jest w porządku – odpowiadam. Chciałabym, żeby Brian stąd poszedł, ale nie mam sił mu tego powiedzieć. Żałuję, że go tu przywiozłam. To nie ma sensu. Nagle przypominam sobie, co mówił wczoraj. Mobilizuję się, odnajduję resztki energii w moim zmęczonym ciele i otwieram oczy. – Jak chcesz, pojedziemy do twojego mieszkania – proponuję, mając nadzieję, że się zgodzi.

– Jeśli to nie kłopot... – zaczyna ostrożnie, ale nie pozwalam mu skończyć. A nuż chce tu zostać na dłużej?

– Żaden kłopot – mówię, wstając z podłogi. – Już mi przeszło.

– Policja?

– Tak... – mruczę. Omijam Briana, starając się unikać kontaktu wzrokowego. – Zaraz coś na siebie wrzucę i możemy jechać.

– Nie musisz się spieszyć.

– Zrobić ci kawę? – Kieruję się w stronę kuchni, na plecach czuję jego wzrok i bardzo mi z tym źle.

Rośnie we mnie agresja, podsycana gniewem na Briana. Choć to nie on był inicjatorem i bezpośrednim sprawcą odpowiedzialnym za śmierć mamy i Krisa, przyłożył rękę do tej zbrodni. To wystarczy, żebym go nienawidziła. Byłam głupia, sądząc, że nie będzie mi przeszkadzała jego obecność. Jest dokładnie na odwrót. Nawet na sekundę nie mogę zapomnieć o tym, co się stało. Nie mogę sobie wmawiać, że jutro mama i Kris wrócą, bo wyjechali tylko na weekend. A najbardziej boli, że gdy zegnali się ze mną, i ja, i oni wiedzieliśmy, że czeka nas bardzo długie rozstanie.

– To chcesz tej kawy? – pytam niecierpliwie. Mój głos brzmi nieprzyjaźnie, o ile nie wrogo.

– Nie będę ci sprawiał kłopotu.

Włączam ekspres i wychodzę z kuchni, żeby skryć się w łazience. Unikam luster. Nie chcę widzieć swojej twarzy, za bardzo przypomina mi twarz mamy.

I nie chcę widzieć śladów po palcach Briana na mojej szyi. Próbowałam zamaskować je podkładem, ale nic to nie dało. Po kilku minutach wracam. Duszkciem opróżniam filiżankę kawy, znajduję Briana w salonie i gestem daję mu znak, że możemy iść.

Mieszkanie Briana jest na drugim końcu Londynu. Całą następną godzinę spędzamy w milczeniu. To dziwne, ale nie przeszkadza mi ta cisza. Nie włączyłam radia, wystarczy szum wycieraczek. Strasznie leje. Mijamy budkę ochrony, Brian pokazuje, gdzie mam zaparkować. Razem idziemy do małego budynku administracji. Asystuję Brianowi, gdy prosi sekretarkę o pomoc. Dziewczyna kieruje nas do jakiegoś biura. Szybko załatwiamy tymczasowy kod.

– Mam z tobą iść czy sobie poradzisz? – pytam, chcąc jak najszybciej opuścić osiedle i wrócić do domu. Nie mogę się doczekać, by wejść do mieszkania ze świadomością, że nie ma w nim żadnych intruzów.

Brian z wysiłkiem marszczy czoło. Wzdycham ciężko i mówię, żeby prowadził. Mieszka na ostatnim piętrze. Na chwilę wstrzymuję oddech, bo zamek nie chce działać. W końcu się udaje i drzwi apartamentu stają przed nami otworem.

– To ja już pójdę – mówię. Czuję ulgę, że jeszcze chwila i będę wolna.

– Poczekaj. Oddam ci pieniądze, może mam jakąś gotówkę. – Łapie mnie za rękaw sweterka, ale gdy spuszczam wzrok na jego dłoń, natychmiast ją zabiera.

– Nie trzeba. Oddasz mi później. – Mam wrażenie, że pali mi się grunt pod stopami. Najchętniej obróciłabym się na pięcie i zbiegła po schodach przeciwpożarowych. Nawet perspektywa czekania na windę jest nieznośna.

– Skoro tak... – Brian podnosi dłoń i przeczesuje włosy, ale one uparcie opadają mu na czoło. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Nie musiałaś.

– Nie musiałam. Trzymaj się – mówię i odchodzę, nie czekając na odpowiedź.

Na końcu korytarza znajduję upragnione schody. Moje stopy dudnią na pokonywanych coraz szybciej stopniach. Wypadam z budynku, a po chwili jestem w samochodzie. Od razu mi lepiej, mimo że ciągle czuję tutaj zapach Briana. Biały mężczyzna pachnie inaczej niż Hindus czy Chińczyk, a może to ja mam wyjątkowo czuły węch. Przecież Kris też był biały, Leo również, a nigdy nie przeszkadzała mi ich woń. Opuszczam szybę po stronie pasażera i ruszam, nie przejmując się tym, że przez okno wpadają do środka strugi deszczu.

Jestem wolna. Sama, samotna i wolna.

Rozdział 7

Oni wrócili...

Zostawiłem Annę na pastwę Julii, wierząc, że jakoś sobie poradzi. Nie miałem innego wyjścia, bo dostałem pilne wezwanie od mecenasa Ashleya Bella, prawnika zajmującego się sprawami Krisa. Domyślałem się, dlaczego zadzwonił. Zaskoczyło mnie jedynie tempo. Szybko się dowiedział, że jeden z jego najlepszych klientów właśnie zmarł. Spędziłem tam dwie długie godziny, zapoznając się ze stosem dokumentów, które leżały teraz w teczce na przednim siedzeniu jaguara.

Zabrałem teczkę ze sobą. Wolałem nie zostawiać w aucie czegoś, co warte było fortunę. Theodor już na mnie czekał. Jak zwykle zaproponował herbatę, a potem klapnął na wysiedziany fotel i mruknął, że czuje zapach skóry.

– Teczka – wyjaśniłem. – Dostałem od prawnika.

– To prawnicy dają takie prezenty? – zdziwił się. – Z reguły łupią skórę swoim klientom.

– Może to z któregoś z nich? – zażartowałem. – A gdzie Rebecca?

– Pracuje.

– Anna dzwoniła do ciebie? – Chciałem się upewnić, że Thor wie już o wszystkim.

– Dzwoniła. No i dupa z terapii. Pani doktor nie przyjmuje przez najbliższe dwadzieścia lat. – Nawiązał do tego, że Dalila miała przywrócić mu wzrok, a Rebecce słuch.

– Mogłeś się szybciej zdecydować.

– No. – Głośno westchnął. – Trochę szkoda. Zwłaszcza Bekan mi żal. Mogła już dawno słyszeć.

– Może uda się wcześniej odnaleźć Dalilę.

– Oby. A co do tego wypadku, Bekan zdołała dotrzeć do notatek służb, które pracują przy zgliszczach.

– Dowiedziała się czegoś ciekawego? – spytałem, słodząc miętową herbatę.

– Prokurator sugeruje rozszerzone samobójstwo. Tam gdzieś niedaleko głównego budynku stoi mała szopka?

– Tak, to taka drewniana budka. Kris trzymał w niej narzędzia, węgiel do grilla i chyba meble ogrodowe.

– I sześć puszek po jakimś bardzo łatwopalnym lakierze. Strażacy napisali, że pojemniki były puste, a lakier został wlany pod podłogę w saloniku.

– To już wiem, czemu tam tak strasznie cuchnęło. Nie dało się wytrzymać. Gorzej niż w lakierni samochodowej.

– Kris musiał odbić kilka desek, wlać tam zawartość puszek i z powrotem je

przybić. Ciekawe, jak to odkryli. – Thor podrapał się po głowie. – Nic tam nie ma. Została czarna dziura.

– Skąd wiedzą, że to on?

– Jeszcze nie wiedzą, że to Kris kupił ten lakier. I jeszcze coś. Bekan ma dostęp do wszystkich kont mailowych Krisa.

– Do moich pewnie też. – Parsknąłem pod nosem.

– Kris jej pozwolił, wręcz nalegał, żeby miała na nie oko. A te sześć puszek to nie wszystko. Kupił jeszcze kilka plastikowych butli z acetonem. Wprawdzie pustych kanistrów nie znaleźli, ale pełnych też nie. Na mój nos wsadził tam te butle i gdy zaczęło się jarać...

– Plastik stopił się pod wpływem ciepła – wtrąciłem.

– I jak pieprznięło, to się chałupka rozleciała. Cały ogród wygląda jak po gradobiciu. Chcesz zobaczyć fotki? – Thor wyciągnął rękę i machnął palcem wskazującym gdzieś przed sobą. – Są w laptopie, wystarczy uruchomić. Folder jest otwarty.

– Chyba nie skorzystam. – Przełknąłem ślinę, zerkając z ukosa na stojący tuż przede mną komputer.

– Jak przyjechali, nie było czego ratować. Nawet nie gasili, bo strasznie lało. Pilnowali jedynie, żeby ogień nie przeniósł się z wiatrem. Muszę przyznać, że Kris ma łeb do zacierania śladów. Trochę się facet namęczył przy pisaniu tych swoich kryminałów i proszę, jakie ukoronowanie kariery. – Thor zarżał.

– Jak to wycieknie do prasy, pismaki zrobią z niego mordercę. – Zasepiłem się. Chociaż Kris tutaj, na Wyspach, nie miał żadnej rodziny, może poza byłą żoną, i tak nie uśmiechało mi się czytać o najlepszym człowieku, jakiego nosiła ta ziemia, że zaplanował całe to zdarzenie z zimną krwią.

– Myślę, że Kris ma to w głębokim poważaniu, a prokurator raczej nie będzie rozgłaszał takich informacji. Zresztą, kto go znał? Przecież pisał pod pseudonimami.

– Niby tak. – Wzruszyłem ramionami. – Ale kilka osób wie, że to mój dobry znajomy.

– Nie kmiń na zapas, bo ci makówka spuchnie. Najważniejsze, że nikt nie powiąże ciebie i Anki z tym wybuchowym barbecue. A po co byłeś u tego prawnika? Odczytanie testamentu? – Thor wykrzywił usta w kpiarskim uśmiešku.

– Uważaj. Ten jest mordercą, kto ma korzyść z zabójstwa.

– Kris już dawno wszystko ogarnął. Zostało kilka zapisów. Głównie dla fundacji i krewnych.

– Łebski facet – mruknął z uznaniem Thor.

Pogadaliśmy jeszcze o Alishy i o pogrzebie Krisa i Dalili. Poprosiłem Bekan, która na chwilę do nas dołączyła, żeby spróbowała odnaleźć kogoś z rodziny Krisa. Wprawdzie Kris od lat nie utrzymywał kontaktu ze swoim

rodzeństwem mieszkającym w Rumunii i nie liczyłem, że się tu pofatygują, ale powinni byli wiedzieć o śmierci najmłodszego brata, tym bardziej że uwzględnił ich w testamencie.

– Będę się zbierał – powiedziałem po dwóch kwadransach.

– Jedziesz do Anki? – spytał Thor, a gdy potwierdziłem, dodał: – Pozdrów mojego brata. I Julkę. Zwłaszcza Julkę. I podziękuj jej, że z nim wytrzymuje, i spytaj, kiedy do cholery ten ślub.

– Co ci się tak spieszy?

– Chcę mieć na to papier.

– Na co?

– Że ten jełop już tu nie wróci...

* * *

Zawsze twierdziłam, że mama ma w głowie radar. Nie miała pojęcia, że Leo spał u mnie, bo gdy go przywiozłam, była w szpitalu na nocnym dyżurze. Ciekawe, dlaczego wstała wcześniej niż zwykle? Leo pojechał do jakiegoś prawnika czy notariusza, Alan do dentysty, a ja zostałam z moją węższą rodzicielką. Przyszła do mojego pokoju, spojrzała na mnie badawczo i zmarszczyła czoło.

– A co ty taka markotna?

– Markotna?

– Nie miałaś gdzieś wczoraj jechać z Leo? – spytała podejrzliwie. – Przecież robiłaś szaszłyki.

– Robiłam. Wpadliśmy na chwilę do Krisa i Dalili na barbecue, ale szybko wróciliśmy. – Ostatni raz wygładziłam narzutę na łóżku, po czym wzięłam głęboki wdech, szykując się na przekazanie mamie prawdy. – Kris i Dalila mieli wypadek. Nie żyją.

– Ale co?! – Mama aż się zachwiała. Dobrze, że stała blisko mnie i mogłam ją chwycić pod ramię.

– Usiądź.

– Aniu, co ty mówisz?! – wykrztusiła mama. Posłusznie siadła na brzegu łóżka i wlepiła we mnie wzrok. Już zauważyła, że moje oczy noszą ślady niedawnych łez, i uwierzyła w tę straszną wiadomość, bo zbladła jak ściana. – Ale jaki wypadek? Samochodowy?

– Nie. Zginęli w pożarze – wyjaśniłam. Mama natychmiast przycisnęła dłoń do ust i potrząsnęła głową. – Ich domek się spalił. Ten rekreacyjny. A Kris i Dalila byli wewnątrz.

– Boże, to straszne... – jęknęła. – To jakiś horror. Ale jak? Zaczadzili się? To było w nocy? Czy oni spłonęli... – Wytrzeszczyła z przerażeniem oczy.

– Już nie żyli – przerwałam i chwyciłam mamę za rękę. – Nie żyli, gdy wybuchł pożar. Nie płacz. Proszę – jęknęłam.

– Ale jak mam nie płakać? – załkała mama. – Tacy młodzi ludzie, Aniu... Jak to się stało? Jak to możliwe? Nie zdołali uciec?

– Posłuchaj. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, ale... – ścisnęłam jej dłoń – ale oni wrócą. Nie płacz, proszę. Kris i Dalila wrócą, uwierz mi. Już wrócili – dodałam cicho, w duszy modląc się, żebym nie została ukarana za długi język.

Spojrzałam na torbę z Księgą. Wisiała na oparciu krzesła i wyglądała tak bardzo zwyczajnie, a to właśnie przez Księgę Kris i Dalila nas opuścili. Nagle ogarnęła mnie chęć, żeby pozbyć się Księgi, schować ją gdzieś, jak zrobił to mój dziadek, i na zawsze o niej zapomnieć.

– Wrócili? Co ty mówisz, dziecko? – W głosie mamy zabrzmiał strach. Pewnie pomyślała, że coś mi odbiło. Otarła policzki i tak została, z dłońmi przy twarzy.

– Nie wytłumaczę ci tego, ale oni naprawdę wrócili.

– To znaczy, że gdzieś żyją? – wykrztusiła mama.

– Tak.

– Ale gdzie? – Mama rozejrzała się trwożnie, jakby podejrzewała, że Kris schował się w szafie, a Dalila pod moim łóżkiem.

– Nie wiem gdzie. Gdzieś w świecie.

– Aniu... – zająknęła się. – Ja raczej nie chcę tego słyszeć. Nie chcę nic słyszeć i nic wiedzieć. – Wyciągnęła w górę ręce i pomachała nimi przy głowie.

– I dobrze – przytaknęłam. – To najlepsze wyjście.

– Mam nadzieję, że nie będziecie mieli z tego powodu jakichś problemów – powiedziała mama i znów rozejrzała się czujnie na boki. – Przecież byliście tam – dodała i zacisnęła wargi, aż pobieleły.

– Nie powinniśmy.

– Alan wie?

– Tak.

– To dobrze. – Mama przycisnęła dłoń do serca i spojrzała z ufnością w górę. – Boże, ty też miej nas w swojej opiece... A co z tą biedną Alishą?! – Nagle przypomniała sobie o córce Dalili. – Przecież ta dziewczyna została kompletnie bez opieki! Poza tym chyba jest niepełnoletnia?!

– Jest pełnoletnia. Wkrótce skończy dziewiętnaście lat.

– A co z jej utrzymaniem? Boże, Aniu, trzeba jej pomóc! – Mama podskoczyła na materacu. – Może niech się tu przeniesie, choćby na chwilę. Przecież jest dziupła po Wice. – Moja rodzicielka najwyraźniej znów wczuła się w rolę kwoki.

– Nie martw się o pieniądze, ma ich pod dostatkiem, a co do mieszkania, Alisha na pewno zostanie w apartamencie Krisa. Ona jest trochę... – zabrakło mi odpowiedniego słówka. – Alisha jest wyalienowana.

– Co? Co to znaczy?

– Lubi być sama. Nie przeszkadza jej to.

– Głupstwa jakieś opowiadasz – fuknęła mama. – Taki dzieciak nie może mieszkać sam. Na dodatek ileż ona tu jest w tym Londynie? Parę tygodni? Nie zna miasta, nic nie wie. Jak sobie poradzi?

– Alisha jest wyjątkowo samodzielna.

– A tak w ogóle, to kim była dla niej Dalila? One były spokrewnione? – dążyła mama.

– Przecież je widziałas.

– No tak. Wyglądają jak siostry – westchnęła mama. – Wyglądały – poprawiła się.

– I będą wyglądać. Zobaczysz – powiedziałam cicho.

– Nie chcę tego słyszeć. – Mama znów pomachała ręką. – A co do tej biednej dziewczyny, uważam, że mimo wszystko powinnaś do niej zadzwonić. I to już.

– Mogę zadzwonić, ale nie liczę, że Alisha zechce tu zamieszkać. To nie Wika.

– No już dobrze. – Mama zwichrzyła mi włosy. – A jak Leo? Trzyma się jakoś? To był jego jedyny przyjaciel.

– Trzyma się całkiem nieźle. Leo już raz... – Nie dokończyłam, bo mama przyłożyła palec do moich ust.

– Cii... – syknęła. – Będzie dobrze. – Objęła mnie i mocno uściśnęła. – Zobaczysz, to wszystko się jakoś ułoży. Zawsze się układa.

– Uhm.

Kołysała mną jak dzieckiem, a ja rozmyślałam nad tym, co się wydarzyło, jak to się ostatecznie potoczy i czy kiedykolwiek odnajdziemy Krisa i Dalilę. I nagle jakaś myśl błysnęła i przeleciała mi przez umysł, jak spadająca gwiazda. Zanim ją poznałam, już zdążyła umknąć. Żeby ponownie ją przywołać, odtwarzałam słowa mamy i własne odpowiedzi na jej pytania: „Oni naprawdę wrócili”, „To znaczy, że gdzieś żyją?”, „Nie wiem gdzie. Gdzieś w świecie”. Myśli kotłowały się w głowie jak oszalale, a ja nie potrafiłam odnaleźć tej jednej, jedynej. To jak z brakującym słowem. Mamy je na końcu języka, ale wypowiedzieć nie sposób.

– Idę zrobić kawę. Chcesz? – spytała mama. Odsunęła mnie i czule cmoknęła w czoło. – A może zrobię ci kanapki? Albo omlet?

– Omlet będzie super – szybko przytaknęłam. Tylko tak mogłam dotrzeć do mojej uciekającej myśli.

– Zejdź za piętnaście minut.

Mama wyszła, a ja postanowiłam najpierw załatwić sprawę z Alishą. Oczywiście mnie zbyła. Umówiliśmy się na jutro, choć wcale nie byłam pewna, czy dojdzie do tego spotkania.

– Muszę sobie przypomnieć... – Przytknęłam palce do czoła, ale nic to nie dało.

W końcu ułożyłam się na wznak na łóżku i zamknęłam oczy. Sekundę później byłam w kuchni. Mama właśnie wylewała ubite jajka na patelnię i coś mruzczała do siebie. Zbliżyłam się, żeby usłyszeć, jak użala się nade mną, nad Leo i nad całym światem. Od razu zakłuło mnie w sercu. Obie grałyśmy przed sobą. Zwłaszcza ja.

Tak naprawdę, gdybym mogła, zaszyłabym się w jakiejś dziurze i płakała tydzień albo dwa.

– I co to za głupstwa? – wymamrotała pod nosem mama. – Że niby gdzieś są. Kris i ta przybrana mama Alishy. Ciekawe gdzie? Mogli powiedzieć, gdzie się narodzą na nowo. Ech... – Pokręciła głową. – Co za bzdury. Biedna Ania, moje biedne dziecko...

Nie słuchałam jej. Wróciłam do ciała, usiadłam i powtórzyłam za mamą: „Mogli powiedzieć, gdzie się narodzą na nowo...”.

Alisha – Epizod 4

Sprzątam. Zmieniam pościel w mojej sypialni, wietrzę pokój, a bieliznę pachnącą chcianym-niechcianym gościem zanoszę do pralni w podziemiach. Gdyby nie fakt, że to kolejna pamiątka, pościel, którą mama kupiła mi w Primarku, wywaliłabym do śmietnika kłęb – flaneli w biało-różową kratkę. Wracam do apartamentu, sprawdzam, czy mój pokój nadal pachnie Brianem, i z satysfakcją zamykam okno. Na wszelki wypadek zapalam trzy małe kadzidełka. Ich aromat powoli wypełnia całe mieszkanie. Kojarzy mi się z mamą. Mama uwielbiała kadzidełka. Miała ich całe stosy, trzymała je w szufladzie toaletki, a gdy zapalała któreś, Kris mówił, że czuje się jak na mszy u katolików. „Oni kochają sobie kadzić” – zawsze żartował, ale to takie nieszkodliwe żarty.

Zastanawiam się, czy nie wziąć kąpieli. Może gorąca woda choć trochę mnie zrelaksuje? Napełniam wannę, wlewam do niej olejki i sypię suszone płatki róż. Już mam zanurzyć się w pachnącej toni, gdy dzwoni mój telefon. To Anna. Przez chwilę rozważam, czy odebrać. Nie mam ochoty z nikim rozmawiać, a Anna pewnie chce tu przyjechać. Jak ją znam, ją i Leo, oboje uznali, że powinni być przy mnie. To takie ludzkie, normalne, zwykłe: troszczyć się o kogoś, kto właśnie stracił mamę i przybranego ojca, ale dla mnie to nie jest normalne. Przywykłam do samotności. Nikt nie rozczulał się nade mną, gdy zmarła moja chińska matka, a ojca zamęczyli w więzieniu kilka lat później. I dobrze, bo co miałabym powiedzieć w tym ostatnim przypadku? Że jestem szczęśliwa? Że marzyłam o dniu, w którym ten człowiek zniknie z mojego życia?

Nie znam historii Leo, Kris zdradził mi kiedyś pojedyncze epizody i uważam, że Leo miał sporo szczęścia. Anna? Jej życie to podróż na chmurce z cukru, miękkiej, puszystej i różowiotkiej. Nigdy nie pojmą, co zalega w mojej

pamięci i sercu, ilu krzywd i cierpień doświadczyłam. Wystarczyłaby szczypta, zaledwie promil, i zatrujęm całą słodczy ich polukrowanego świata.

Na szczęście Anna daje za wygraną. Odkładam aparat i wtedy słyszę w głowie: *Czy chciałabyś, żebyśmy do ciebie przyjechali? Ja i Leo? Martwimy się.* Wzdycham ciężko i piszę SMS-a do Anny. „Może jutro? Dzisiaj jestem zajęta. Jeśli to nic pilnego, przyjedźcie jutro. Przepraszam”. Trochę mi głupio, że tak ją odtrąciłam, ale nie mam siły na pogawędkę. Zresztą co by to dało? Nic.

Kąpiel nie przynosi ulgi, nadal jestem spięta. Żołądek skręcił się w kulkę, już od dwóch dni nic nie przełknęłam. Znowu wyschnę na wiór, jak za czasów życia w Zhangmu. Zaparzam herbatę i przepijam nią batona. Jest z czekoladą, więc powinien mnie nasycić, ale zjadam tylko połowę, bo mam wrażenie, że lepki, gęsty karmel zaraz mnie udusi. Idę się położyć i, co dziwne, zasypiam jak dziecko. Bez snów, bez koszmarów. Odpływam w ciemność, z której budzę się po pięciu godzinach. Wypijam kawę i postanawiam coś wyrzeźbić. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tym zajmowałam. W mojej szkatułce z surowcami znajduję mały ułomek starej cegły. Ma piękny kolor, bliżej mu do czerwieni koralowca niż do rudości. Przez chwilę obracam go w palcach, myśląc, co mogłabym z niego stworzyć. Nie chcę, żeby to była jakaś banalna figurka. Może maleńki zamek? Miniaturowy, z maciupenkimi wieżyczkami i krużgankami pieczołowicie dopracowanymi czubkiem igły?

Nagle słyszę dźwięk domofonu. Niewiele brakowało, a mój przyszły zamek wypadłby mi z rąk. Ostrożnie wkładam odłamek cegły do gniazdko z papierowych serwetek i idę do drzwi. Ochrona informuje, że niejaki Brian Bailey chce się ze mną widzieć. Od razu się domyślam, że musieli wylegitymować Briana, pewnie Luke przekazał swojemu następcy, że rano była u mnie policja. Wzdycham ciężko, bo naprawdę nie mam ochoty na spotkanie z Brianem, ale czuję, że nie odpuści. Zakładam optymistycznie, że chce mi oddać pieniądze, zwróci kasę i sobie pójdzie. Niestety, sama w to nie wierzę.

Parę minut później Brian znów staje w moich progach. Wygląda dziwnie. Widać, że spędził sporo czasu w łazience. Umył włosy, ogolił się, a jego zęby lśnią jak w reklamie nici dentystycznej. Użył jakiejś mocnej wody toaletowej, niekojarzącej się z żadnym znajomym, więc to też na plus. A na minus? Dobór ciuchów. Mogę się jedynie domyślać, że to przez amnezję Brian utknął w czasach, gdy był starszym, nobliwym panem doktorem. Ma na sobie gładkie czarne spodnie, białą wizytową koszulę, granatowy pulower z wcięciem w serek, a pod szyją coś, co sprawia, że niewiele brakuje, abym parsknęła śmiechem.

– Ładna apaszka – komplementuję.

– To fular. – Na chwilę spuszcza wzrok na swoją pierś.

– Ładny fular – powtarzam prawidłową nazwę.

– Mogę wejść? – W głosie Briana słyszę prośbę podszytą nutą determinacji.

Chyba bardzo mu zależy, bo zrobił mały kroczek.

– Brian... – milknę i ostentacyjnie głośno wypuszczam powietrze przez nos.

– Edmund. Mam na imię Edmund.

– Wolę Brian.

– Jeśli wolisz Briana, to niech będzie Brian.

– Wolę święty spokój. – Krzywię usta. Zdaję sobie sprawę, że jestem bardzo niemiła, i wcale nie napawa mnie to dumą, ale chyba mam prawo być niemiła?! Zwłaszcza wobec niego? – Po co przyjechałeś? – pytam, nie cofając się nawet o krok. Nadal stoję tuż przed progiem i przytrzymuję drzwi jedną ręką.

– Znalazłem pieniądze. – Brian zdejmuje plecak, a ja uśmiecham się półgębkiem, bo ten sportowy plecak pasuje do wizytowego stroju Briana jak wół do karety. – Proszę. – Wręcza mi plik banknotów wyjęty ze skórzanego portfela. – Sześćset funtów.

– Byłeś mi winny pięćset.

– Pięćset z groszami, ale jeszcze śniadanie, kawa i... – ucina, bo widzi, że nie mam najmniejszej ochoty słuchać tej wyliczanki. Kładę pieniądze na komodę i spoglądam na niego pytająco.

– Mam jeszcze prośbę. Potrzebuję pomocy, a nie znam nikogo, kto...

– O co chodzi? – Z trudem powstrzymuję się, żeby nie spojrzeć w niebo z błaganiem o siłę. Przez chwilę patrzę, jak Brian układa plecak na ziemi, wyjmując z niego laptopa i podsuwa mi pod nos.

– Znalazłem to w mieszkaniu. To komputer. Mój komputer. Nie wiem, jak go uruchomić. Myślę, że mógłbym szybciej odzyskać pamięć, gdybym...

– Wchodź. – Poddaję się. W duchu przeklinam wszystko i wszystkich, gdy idę do salonu, a Brian, wystrojony jak do teatru, sunie za mną w eleganckich skórzanych trzewikach. – Uprzedzam, nie jestem w tym dobra – mówię, siadając przy stoliku kawowym. Brian podaje mi laptopa, otwieram klapę i dosyć szybko stwierdzam, że z podobnego komputera korzystał Kris. Ta sama marka. – Rozładowany – stwierdzam. – Masz ładowarkę?

Brian wyciąga z plecaka zasilacz i unosi brwi.

– To?

– Tak. – Czekam chwilę, żeby laptop się uruchomił, wreszcie się włącza. Oddycham z ulgą, bo czuję się bardzo skrępowana, gdy Brian siedzi tak blisko mnie, ramię w ramię, udo przy udzie, i nic nie mówi. – Zobaczmy, co tu mamy... – mamroczę do siebie. – Raczej nic z tego. Masz hasło. Pamiętasz je? – Zerkam na niego z ukosa.

– Przecież ci mówiłem. – Uśmiecha się blado. – Poza twarzami i imionami nic nie pamiętam.

– A może gdzieś zapisałeś?

– Tego też nie pamiętam – odpowiada nieco żartobliwym tonem. – I co

teraz? Do wyrzucenia? – Wskazuje brodą na laptopa.

– Nie. Można złamać hasło. Thor potrafi.

– Thor? – Marszczy czoło, a jego jasne brwi prawie się ze sobą stykają. –

Thor...

– Theodor Barrow. Brat Alana, ślepy, dredy, czyli takie warkoczyki z włosów... – wymieniam kilka charakterystycznych cech, ale Brianowi nic to nie mówi. Kręci głową, więc tłumaczę, że Thor jest doskonałym informatykiem, a jego dziewczyna, Rebecca, jeszcze lepszym hakerem.

– Kto to haker?

– To taki człowiek, który potrafi włamać się do komputera.

– Ale jak? Do obudowy? – Spogląda to na mnie, to na laptopa.

– Nie. Do systemu. Do tego, co jest zapisane w komputerze.

– Rozumiem. Mógłbym cię prosić o przysługę? Jeśli spotkasz tego Thora, daj mu ten komputer. Niech go uruchomi. Zapłacę za usługę. – Brian sięga do plecaka, żeby wyjąć portfel, ale go powstrzymuję.

– Zostaw. Dam laptopa Thorowi, a jak złamie hasło, wtedy zapłacisz.

– Dziękuję.

Z trudem powstrzymuję się, żeby spytać, czy coś jeszcze, a Brian, jak na złość, wyciąga z plecaka telefon dotykowy. Kładzie go na blacie stolika i znów obdarza mnie niewyraźnym uśmiechem. Teraz rozumiem, dlaczego przyjechał osobiście i nie uprzedził o swojej wizycie, mimo że dałam mu kartkę z numerem komórki. Prosił o to, zanim pojechaliśmy do niego. Nie wiem, na co liczył. Że będzie wiedział, jak uruchomić taki aparat?

– Rozładowany – stwierdzam od razu. Próbuję go uruchomić, ale nie reaguje. Brian bez pytania wyjmuję drugą ładowarkę i po chwili udaje mi się odpalić samsunga. Na szczęście tu nie ma żadnego hasła. – Działa. – Oddaję mu telefon i prawie od razu zabieram. I tak nie potrafi z niego korzystać. – Pokazać ci?

– Widzę, że... – Brian bezwiednie zaciska wargi. Pobieleły i zlały się barwą z odcieniem jego twarzy. – Chyba ci przeszkadzam. Nawet na pewno. – Chrząka kilka razy. – Może mam jakąś instrukcję do tego urządzenia. Poszukam w domu. Mam jeszcze drugi telefon, ten umiem obsługiwać. Prosiłbym tylko, żebyś wpisała swój numer.

– To bardzo stary telefon. – Biorę do ręki nokię. – Szczerze mówiąc, widziałam taki tylko raz. Już dawno wycofali te modele ze sprzedaży.

Kris spędzał długie godziny na tłumaczeniu mi i pokazywaniu wszelkich nowinek technicznych. Zresztą prawie wszystkiego, co wiem o współczesnym świecie i życiu na Wyspach, dowiedziałam się właśnie od niego.

– Ale działa – mówi Brian.

– Na pewno. To bardzo solidny telefon. I bardzo prosty. – Szybko odnajduję zakładkę z kontaktami, dopisuję tam siebie i pokazuję Brianowi, jak mnie odnaleźć.

Nie jest to trudne, bo oprócz numerów technicznych ma zapisane tylko dwa numery. Mój i jeszcze kogoś.

– Debora mi go dała. – Obraca aparat w dłoniach. – Mówiła, że jest niezawodny.

– Dzwoniłeś z niego do niej? – pytam, bo właśnie zapaliła mi się w głowie czerwona lampka.

– Tak – odpowiada natychmiast, wyraźnie zaniepokojony moim tonem. Patrzy z niepokojem, jak zabieram aparat.

– Trzeba go zniszczyć.

– Co?

– Telefon. I to jak najszybciej. – Obracam głowę, żeby spojrzeć na kominek. Tylko taki sposób przychodzi mi do głowy.

– Ale dlaczego?

– Policja może do ciebie dotrzeć, jeśli znajdą telefon tej... – Nie potrafię wymówić jej imienia. – Jeśli znajdą jej telefon, znajdą i ciebie. Namierzą cię.

Brian nie odpowiada. Nie musi. Widzę, że się zdenerwował. Zresztą od początku wizyty zachowuje się inaczej niż wczoraj. Drżą mu ręce, a palce zostawiają wilgotne ślady na wszystkim, czego dotknie. Również na tkaninie, z której uszyte są spodnie i o którą co chwilę wyciera dłonie.

– Mam go zniszczyć? – pytam na wszelki wypadek. A nuż coś mu odbije i znów zachowa się jak wczoraj.

– Rób, jak uważasz.

Kominek jest gazowy, ale można w nim również palić drewnem. Wrzucam kilka większych szczap, a zanim zajmą się ogniem, zabieram do kuchni telefon. Otwieram obudowę, wiem, że w środku jest coś takiego jak karta. Myślę, czy nie zmielić jej w młynku do kawy, ale to już trąci jakąś paranoją. Przecinam kartę nożycami do kurczaka. Siekam na maleńkie kawałeczki, a potem za pomocą tłuczka do mięsa rozwalam obudowę telefonu. Wszystko zgarniam na małą łypatkę i zanoszę do salonu.

Brian nadal siedzi w bezruchu na kanapie i niewidzącym wzrokiem wpatruje się w ogień. Nie mówi ani słowa, gdy wsypuję resztki telefonu do kominka. Plastik zaczyna się topić i paskudnie śmierdzieć, więc uruchamiam klimatyzację i szybko otwieram okna na taras.

– Po kłopotcie – uspokajam Briana. – Jeśli będziesz miał jeszcze jakąś potrzebę, po prostu przyjedź. Albo zadzwoń, jeśli uda ci się rozpracować ten aparat. – Przysiadam obok niego.

– Poradzę sobie. Tamten samochód... – zawiesza głos. – Szybko się nauczyłem, jak go obsługiwać.

– Przyjechałeś autem?

– Nie, taksówką. Nie wiem, czy w ogóle mam samochód. Nie pamiętam –

kwituje wzruszeniem ramion.

– Poszukaj w mieszkaniu dowodu rejestracyjnego albo polisy ubezpieczeniowej – radzę mu. – Musisz mieć jakieś dokumenty, jeśli masz auto.

– Alisha... – Nagle Brian odrywa wzrok od ognia i spogląda na mnie.

– Tak?

– Mam już sobie pójść? – Nie czeka na moją odpowiedź. Łapie mnie za ramiona, a ja zamieram ze strachu. – Nie chcę być sam. Proszę, pozwól mi tu zostać. Proszę...

Rozdział 8

Głód

Miałem obawy, że to spotkanie nie będzie miłe, a już na pewno ani odrobinę wesołe, i słusznie. Alisha wyglądała bardzo mizernie, choć trzeba jej przyznać, że starała się robić dobrą minę do złej gry. Poczułem ucisk w sercu, ledwie usiedliśmy w salonie. Tak bardzo brakowało mi mojego przyjaciela i Dalili. Bez nich to kolorowe wnętrze traciło cały swój blask, stawało się bezbarwne i przykurzone szarym pyłem smutku.

Alisha przyniosła herbatę, usiadła przed nami i uśmiechnęła się blado.

– Przepraszam, że niczym was nie poczęstuję, ale jeszcze nie byłam na zakupach. Zjadam jakieś resztki z lodówki – dodała. W jej zamyśle miało to zapewne zabrzmieć żartobliwie, a wyszło wyjątkowo żałośnie.

– Przestań. Nie przepraszaj. To ja jestem gapa, że nic nie przywiozłam – zmitygowała się Anna. – Nie pomyślałam. Jak chcesz, pojedziemy z Leo i zrobimy ci zakupy. Musiałabyś jedynie naszykować listę.

– Nie trzeba. Zamówię przez Internet. Kris mnie nauczył – odpowiedziała Alisha i spojrzała na mnie. Z jej oczu wycierał smutek i tęsknota.

– A jak ogólnie sobie radzisz? – Anna nachyliła się w jej stronę. – Ojej. Przepraszam, jestem głupia. – Plasnęła się lekko w czoło. – To było idiotyczne.

– Wszyscy tak robimy. – Przyszedłem jej z pomocą. – Wiemy, że to najgłupsze pytanie z możliwych, a i tak je zadajemy. – Popatrzyłem na Alishę z nadzieją, że okaże Annie wyrozumiałość.

– Ogólnie sobie radzę – skwitowała Alisha.

– No tak – mruknąłem.

Zapadła cisza. Bardzo niezręczna i przygnębiająca. Nie chciałem gapić się na Alishę, bo czułem, że nie wypada, zająłem się więc nalewaniem herbaty. Napeliłem filiżankę Anny, później Alishy, a na końcu swoją. Potem cukier. I już. Znowu nie miałem co zrobić z rękami. Anna podobnie. Kręciła się, poprawiała torbę, prostowała mankiet bluzki, w każdym razie sprawiała wrażenie kogoś, kto wybitnie się męczy i pragnie jak najszybciej opuścić miejsce, w którym się znalazł.

Spojrzałem na Alishę. Od początku coś mi nie pasowało w jej wyglądzie i nie chodziło mi bynajmniej o sine półksiężycy pod jej oczami czy zapadnięte policzki. Im dłużej na nią patrzyłem, tym wyraźniej zauważałem jakiś dysonans, ale nie potrafiłem sprecyzować, o co dokładnie mi chodzi.

– A wy? – zapytała Alisha. Wzięła filiżankę i upiła kilka małych łyčzków. – Jak sobie radzicie?

– My? – podjęła Anna. – U nas w porządku. Leo był u prawnika...

– A właśnie – wtrąciłem się. – Byłbym zapomniał. Prawnik Krisa wkrótce

się z tobą skontaktuje. Mecenas Ashley Bell, tak się nazywa. Zapisz sobie.

– Zapamiętam. Ashley, jak w *Przeminęło z wiatrem*. Oglądałam niedawno z mamą – odpowiedziała Alisha.

– Będziemy za nimi tęsknić. – Anna w końcu odważyła się wyartykułować to, co czuliśmy wszyscy.

– Ale nigdy nie zapominajmy, że oni gdzieś są – dodałam. – Musimy o tym pamiętać. Minie kilkanaście lat i znów się spotkamy.

– Posłuchajcie, muszę wam coś powiedzieć... – zagaiła Anna. Od razu skierowałam na nią wzrok, gdy nagle coś huknęło za ścianą.

Cała nasza trójka podskoczyła jak na komendę. Anna natychmiast złapała torbę i przycisnęła ją do piersi. Objąłem ją i spojrzałem w kierunku, skąd dobiegł hałas.

– Co to było? – zapytałem Alishę, ale nie spuszczałem wzroku z wejścia do salonu. – Ktoś tu jest?

– To pewnie u sąsiadów – odpowiedziała po chwili, zbyt długiej, żebym mógł jej uwierzyć.

– U sąsiadów? – mruknąłem, gdy usłyszałem kolejny głuchy stuk.

– To Brian.

– Co?! – Popatrzyłem na nią i nagle odkryłem, co przeszkadzało mi w jej wyglądzie. Jej twarz zbladła jak kreda, a szyja... – Co ci się stało w szyję? – wycharczałem, czując nadpływającą wściekłość. Byłem prawie pewien, kto jest odpowiedzialny za ślady, które Alisha chciała zamaskować zbyt ciemnym i nieudolnie nałożonym podkładem. – Nie ruszajcie się stąd! – krzyknąłem.

Nie czekałem na reakcję. Zerwałem się z kanapy i wybiegłem z salonu. Znałem dobrze rozkład pomieszczeń apartamentu Krisa, więc od razu udałem się do gabinetu przyjaciela. Otworzyłem drzwi i na moment zdębiałem, bo widok Briana odebrał mi dech w piersiach. Ten fular pod szyją... Widziałem go kiedyś! Na moment przeniosłem się do Bostonu, do szpitala, w którym leżała moja poprzednia matka. Leżała i wegetowała jak roślina, a wszystko przez tego człowieka, przez kogoś, kto miał czelność nazywać się lekarzem, kimś, kto z założenia pomaga pacjentom, leczy ich i ratuje ich zdrowie i życie. Zamiast tego Brian, a wówczas Edmund Lidz, szpikował moją matkę lekami, które odebrały jej pamięć, pomieszały zmysły i doprowadziły nie tylko do jej śmierci, lecz także śmierci mojego ówczesnego ojca.

Gniew rozlał się w moich oczach białą plamą. Złapałem Briana za rękaw koszuli i wywlokłem za sobą. Ciągnąłem go do salonu. Był winien tylu grzechów, że najchętniej już teraz, w tej sekundzie, dałbym mu w twarz, ale musiałem się ostatecznie upewnić. Weszliśmy do salonu. Alisha i Anna stały obok siebie, przerażone i blade. Brian prawie upadł, gdy popchnąłem go w stronę dziewczyn.

– To ty ją tak załatwiłeś?! – Wskazałem brodą na Alishę. Nie odpowiedział,

więc szarpnąłem go za ramię i powtórzyłem pytanie.

– Leo, daj spokój – powiedziała Alisha. – Nic się nie stało.

– Nic się nie stało?! – ryknąłem. – Dusił cię, masz siniaki na szyi!

Już nie mogłem dłużej nad sobą panować. Dłonie odruchowo zwinęły mi się w pięści. Jedna z nich w ułamku sekundy wylądowała z impetem na twarzy Briana. Padł na ziemię, aż zadudniło. Skoczyłem na niego i po chwili siedziałem na nim okrakiem, trzymając go jedną ręką za gardło, a drugą, zwinętą w pięść, miałem wymierzoną w tę przebrzydłą facjatę.

– Leo! – pisnęła Anna. Kątem oka zauważyłem, że chce podejść i pewnie mnie odciągnąć, ale dałem jej znak, żeby się nie zbliżała.

– Posłuchaj, gnoju... – wysyczałem. – Jeśli jeszcze raz podniesiesz łapę na kogokolwiek, na Aliszę, na kogoś z nas lub na jakiegokolwiek człowieka, to przysięgam, że skończysz jak ta suka Debora. – Poluzowałem nieco ucisk, bo wyraźnie zsiniał. – Skończysz jak ona, przysięgam. Sczeźniesz i znikniesz. Rozumiesz?

– Tak – wycharczał z trudem.

– Nie mam znamienia i nie mogę go przystawić do twojego znaku, ale w następnym wcieleniu to się zmieni i choćbym miał poświęcić jedno własne życie, jak uczynił Kris, żeby definitywnie oczyścić świat z twojej najlepszej przyjaciółki, zrobię to, przysięgam.

– Przepraszam – odpowiedział Brian. – Wybaczcie mi. Wszyscy.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że się nie bronił. Nie wykonał ani jednego ruchu czy gestu, żeby mnie powstrzymać. Nic. Leżał z prawą dłonią położoną na sercu, a lewą trzymał przytkniętą do nosa. Spod palców wyciekały strużki krwi.

– Leo, już dość – oznajmiła stanowczo Anna. Podeszła do nas, położyła rękę na moim ramieniu i powtórzyła: – Już dość. Zostaw go.

Wstałem, nadal mocno wzburzony, i spojrzałem na Aliszę. Stała, trzęsąc się jak osika, a na jej policzkach błyszczały łzy.

– Sorry, trochę mnie poniosło – burknąłem, podchodząc do niej. – Mam nadzieję, że ten... – zerknąłem na Briana – że już nigdy cię nie dotknie.

Nie odpowiedziała. Ominęła mnie szerokim łukiem i kucnęła przy Brianie. Przez chwilę patrzyła na niego, po czym dotknęła lekko jego ręki.

– Możesz usiąść?

– Tak. – Podniósł się i spojrzał na swoją zakrwawioną dłoń.

– Złamał ci nos?

– Chyba nie.

– Chodź do łazienki. To trzeba przemyć. I musisz zmienić koszulę.

Zostaliśmy z Anną sami. Usiadłem z powrotem na kanapie i drżącą ręką podniosłem ze stołu swoją filiżankę. Wypiłem duszkiem zimną herbatę, a po chwili

dolałem sobie drugą porcję.

– Czemu nic nie mówisz? – spytałem, patrząc gdzieś przed siebie. Nie miałem odwagi spojrzeć na Annę, która też zajęła swoje poprzednie miejsce. – Gniewasz się na mnie? – spytałem, rozcierając knykcie prawej dłoni.

– Nie. Dlaczego miałabym się gniewać? – odpowiedziała cicho. Złapała mnie za rękę i ścisnęła lekko. – Zareagowałeś impulsywnie, ale rozumiem cię. Rozumiem, co przeżywasz. I Brian... – zawahała się na moment. – On też to rozumie. Nie wiem tylko, czemu tu się znalazł i dlaczego zrobił krzywdę Alishy. A tak w ogóle to wszystko jest straszne – wyszeptwała i potrząsnęła głową. – To, co spotkało Briana i nas.

– Błagam, nie płacz. – Spojrzałem na nią z paniką. Jeszcze tego brakowało, żeby płakała przez takiego gnoja. Objąłem ją i pocałowałem w czubek głowy. – Nie płacz, bo mi serce pęknie.

– Nie płaczę. Tak tylko... – Westchnęła ciężko.

Nie czekaliśmy zbyt długo na Briana i Alishę. Wrócili, ona blada, z twarzą wykrzywioną grymasem smutku, i on w nowej koszuli, na szczęście już bez fularu, który przywołał bolesne wspomnienia, i z przyciśniętą do nosa kulką z waty. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy wypada przeprosić, ale uznałem, że to byłaby przesada. To raczej on powinien był błagać Alishę o wybaczenie.

– Brian mieszka ze mną od wczoraj – oznajmiła Alisha.

Popatrzyła na swojego nowego domownika, a ten od razu usiadł na fotelu obok. Nie odważył się podnieść na mnie wzroku. Wlepił spojrzenie w blat kawowego stolika i co jakiś czas pochrząkiwał cicho.

– Nie boisz się? – Nie mogłem uwierzyć, że sama świadomie i bez przymusu wpuściła pod swój dach kogoś, kto ją skrzywdził. – A ty?! Podnosić rękę na kobietę? Jak mogłeś? – wypaliłem i spojrzałem bykiem na Briana.

– To przez narkotyki – wyjaśniła Alisha.

– Narkotyki? – W głosie Anny zabrzmiało niedowierzenie i coś na kształt troski. Od zawsze darzyła Briana dziwnym sentymentem, którego nie mogłem pojąć. – Brian? Zażywasz narkotyki?

– Już nie. Właśnie dlatego tu jest. Poprosił, żebym pomogła mu z tym skończyć. To ta...

– Nie pamiętam nic z tego życia – przerwał jej nagle Brian. Podniósł wzrok i spojrzał na nas. Z jego oczu wycierała prośba o wysłuchanie i zrozumienie. – Pamiętam tylko tamto. Debora... – Zamilkł, żeby przełknąć ślinę. – Zakochałem się, uzależniłem od niej, a ona to wykorzystała. Sterowała mną, a ja biernie się temu poddawałem. Po jakimś czasie dostrzegłem, że nie mogę sobie poradzić z poczuciem winy. Zacząłem brać różne psychotropy, opiaty, żeby zasnąć, i amfetaminę, żeby się obudzić. Do tego alkohol, czasami kreska kokainy. Tak było do końca. – Wzruszył ramionami, jakby to było coś zupełnie nieistotnego.

– Ale teraz nie brałeś narkotyków – powiedziała z naciskiem Anna. – Nie zażywałeś niczego i nie piłeś.

– Debora mnie odnalazła.

– To ona dostarczała ci dragi? – domyśliłem się.

– Dragi i pieniądze na dragi. Poszło bardzo szybko... – zadumał się Brian. – Wystarczyły dwa tygodnie, może trzy i...

– Dlatego robiłeś, co ci kazała?

– Byłeś kiedyś uzależniony? – Spojrzał na mnie przez przymrużone powieki. – Na pewno nie. I nie próbuj w to wchodzić. Zwykli ludzie szybko wpadają w szpony nałogu, ale jest coś, co czasami ich powstrzymuje i zawraca z tej ścieżki. To instynkt samozachowawczy. A my? Gdy wiesz, że przed tobą nieskończona liczba wcieleń, nie myślisz o śmierci. Bo nie ma śmierci. Jesteś bezkarny. Możesz się zaćpać, umrzeć i narodzić na nowo, żeby znów się zaćpać. I tak w kółko. Zaatakowałem Alishę... – Zaciśnął wargi i przez chwilę kręcił głową. – Chciałem ją zabić, bo zniszczyła moją ostatnią kreskę kokainy. Nigdy nie zrozumie, dlaczego mi wybaczyła i pozwoliła tu zostać. Nie wiem, jak to jest być takim człowiekiem.

– Chcę mu pomóc. – Alisha przycisnęła do ust złożone dłonie. Przez chwilę wyglądała, jakby się modliła. – Beze mnie wróci tam, skąd go zabrałam.

– Masz wielkie serce. Ogromne – rozczuliła się Anna.

– Ciekawe, czy to docenisz... – prychnąłem pod nosem.

– Próbuję. Wiem, że na nic nie zasługuję. I na nic nie liczę. Chciałbym odzyskać pamięć. Może choć tak się zrehabilituję. – Brian spuścił głowę. – Ale nie wiem, czy to ma sens.

– Dasz radę sam nad tym zapanować? – spytałem z powątpiewaniem. Znałem co najmniej dwudziestu ludzi z mojej branży, którzy notorycznie lądowali na odwyku, płacili krocie za pobyt, siedzieli tam nawet kilka miesięcy, żeby po tygodniu od wyjścia znów wstrzyknąć działkę albo wciągnąć kreskę.

– Nie wiem.

– Skoro poprosił Alishę o pomoc... – Anna spojrzała na mnie z wyrzutem. – *Leo, tak nie można! Nie podcinaj mu skrzydeł. Nie rób tego. Popatrz na Alishę, ona cierpi. Przecież Brian ma być kiedyś jej mężczyzną. Nie wolno ci tego zmieniać! Nikomu nie wolno.*

– Ech... – Pokręciłem głową, a Anna dodała: – *Powinniśmy jej pomóc.* – Znam kolesia, który skutecznie rozstał się z nałogiem. Leczył się tutaj, w Londynie. Mogę go poprosić o namiary na lekarza – zaproponowałem.

– Nie potrzebuję lekarza. Sam nim jestem.

– Jak chcesz. – Ugryzłem się w język, żeby nie powiedzieć czegoś niemilego.

– Za to potrzebuję kogoś, kto uruchomi mój komputer – odparł Brian. –

Trzeba usunąć hasło dostępu. Tak mówi Alisha.

– Thor? – zaproponowała Anna.

– Może być Thor. Alisha też o nim wspominała.

– Daj go nam, podrzucimy do Thora – zaproponowałem, myśląc, że to doskonały pomysł. Brian nie miał pojęcia, że przy okazji Thor będzie mógł wszystko przetrzepać.

– Zaraz przyniosę.

– Okej. – Kiwnąłem głową. – Przepraszam za swoje zachowanie – powiedziałem do Alishy, gdy zostaliśmy we trójkę.

– Nie chowam urazy. Miałeś powód. Kris opowiedział mi, co się stało z twoją poprzednią mamą. O waszej bójce też wiem.

– A o Ruby? Gdyby nie Brian, moja matka już dawno by zmarła. – Nagle zrozumiałem, że byłem trochę niesprawiedliwy, zapominając o tym. Poza tym to dzięki Brianowi Dalila odzyskała córkę i choć teraz ich ścieżki się rozeszły, istniała spora szansa, że za kilkanaście lat znów się spotkają.

– Proszę. – Brian wszedł do salonu z czarną torbą i podał mi ją. – W środku jest komputer i kabel do prądu.

– Zasilacz?

– Tak. Nie pamiętam tych wszystkich nazw – przyznał nieco skrępowany.

– W porządku. – Postawiłem torbę przy nogach. – Jeszcze dziś podrzucimy go Thorowi.

– Będę zobowiązany. I oczywiście zapłacę za usługę – dodał, siadając.

– Wiecie co? – zagaiła Anna. – Może tak ma być? I to jest po prostu dobre?

– Co masz na myśli? – spytał ostrożnie Brian.

– To, że tu mieszkasz.

Nie wypadało mi przytaknąć i powiedzieć, że cieszy mnie fakt, iż Brian został w jakiś magiczny sposób przypisany Alishy. Wciąż pamiętałem, ile zdrowia kosztował mnie platoniczny romans Anny i Briana. Ile krwi napsuł mi ten drań, który przez długie miesiące próbował stanąć między nami i co gorsza, prawie mu się udało.

– Dobrze, że Alisha nie jest sama – wydukałem, czując, że w tym momencie nie stać mnie na większy entuzjazm, zwłaszcza że jeszcze przed chwilą chciałem obić mordę nowemu lokatorowi.

– A ty co o tym myślisz? – Anna zwróciła się do Alishy.

– Ja? – Obdarzyła nas melancholijnym uśmiechem. – Ja płynę z nurtem. Niesie mnie ze sobą, a jedyne, co mogę zrobić, to patrzeć na brzeg...

Alisha – Epizod 5

– Czego szukasz? – pytam, widząc Briana. Stoi przed otwartą na oścież kuchenną szafką i zagląda do środka.

– Apteczki. Masz apteczkę? – Odwraca głowę. Od razu zauważam pot na

jego czole. Mieni się w świetle lampy jak brokat.

– Apteczkę? Nie ma. Mama wyrzuciła wszystkie lekarstwa.

– Dlaczego?

– A po co nam leki, skoro mama potrafi uzdrawiać? Gdy tylko coś się działo, przykładła ręce i po chwili przechodziło.

– Szkoda, że... – zaczął Brian.

– Szkoda. – Nie pozwalam mu skończyć.

– A jakiś alkohol? Może być cokolwiek, wódka, koniak, w ostateczności wino.

– Co się dzieje? Masz gorączkę? To przez ten nos? – Podchodzę trochę bliżej, żeby sprawdzić, jak wygląda skaleczona warga Briana.

– Nie. Po prostu... – Wyciąga przed siebie wyprostowane ręce. Opuszki dygoczą w jednostajnym rytmie.

– Co się dzieje? – Bez namysłu łapię dłonie Briana. Są lodowate. Zauważam kolejne objawy: wielkie zakola pod pachami, trupa bladość i jeszcze ciemniejsze niż wczoraj sińce pod oczami. – Brian?!

– To głód. Jestem na głodzie – mamrocze. Jego oddech cuchnie świeżymi wymiocinami. – Trzecia doba, najgorsza. Wszystko mnie boli. I strasznie mi zimno.

– Trzeba wezwać pomoc – mówię stanowczo, ale Brian natychmiast protestuje.

– Poradzę sobie.

– Ale jak?

– Nie wiem, ale sobie poradzę. – Zaciska zęby, a te od razu zaczynają uderzać o siebie z głośnym szczękiem.

– Zrobię ci kąpiel – proponuję, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

Prowadzę go za sobą do łazienki, a po drodze przystajemy na moment obejrzeć stację pogodową. Od trzech dni Londyn nawiedzają niespotykane wcześniej upały, jest gorąco i parno, dlatego klimatyzacja pracuje na pełnych obrotach. Wyłączam ją i krzepiąco ściskam dłoń Briana.

– Zaraz zrobi się cieplej. Zobaczysz – pocieszam go, choć szczerze wątpię, czy jestem w stanie chociaż trochę ulżyć mu w cierpieniu.

Szybko napełniam wannę. Gorąca woda wlewa się do środka z głośnym szumem. Dodaję sporo olejków, bo naiwnie wierzę w moc aromaterapii. Co jakiś czas spoglądam na Briana. Kazałam mu założyć szlafrok. Siedzi na brzegu wanny i telepie się z zimna. Ściska mnie w sercu, gdy widzę jego twarz ściągniętą bólem.

– Zaraz zamówię ci jakieś tabletki na gorączkę i środki przeciwbólowe, ale najpierw kąpiel... – Sprawdzam, czy woda nie jest za gorąca. – Możesz wchodzić.

Brian zrzuca szlafrok. Na szczęście został w bieliźnie, więc czuję się tylko trochę skrępowana jego nagością. Pomagam mu wejść do wanny, wspiera się na

mnie, bo jego ciałem szarpią coraz silniejsze skurcze. Zanurza się po samą szyję i oddycha z wyraźną ulgą.

– Lepiej? – pytam z nadzieją w głosie.

– Trochę tak. Pięknie pachnie – chwali moją kompozycję. Sama zrobiłam tę mieszankę. Użyłam dwunastu różnych olejków i przyznaję, że zapach naprawdę jest oszałamiający.

– Poczekaj, dodam jeszcze trochę eukaliptusa. Powinien cię orzeźwić. – Wyjmuję małą buteleczkę i wkraplam dwanaście kropelek na lustro wody. – Ciepłej ci? – pytam, chowając butelkę z bardzo cenną, bo naturalną zawartością.

– Czuję się o niebo lepiej – odpowiada Brian.

Przysiadam na brzegu wanny i patrzę na niego badawczo. Raczej nie kłamię. Twarz Briana już nie jest spięta, a policzki przybrały różowy odcień. Oparł głowę o ściankę wanny i przymknął oczy. Wygląda tak łagodnie i bezbrinnie z dłońmi złożonymi na piersi, że aż coś dławi mnie w sercu. Prześlizguję się wzrokiem po męskim ciele. Muszę przyznać, że ten widok działa na moją wyobraźnię. Brian jest nie tylko przystojny, ale i pięknie zbudowany. Mięśnie delikatnie igrają pod bardzo jasną, niemalże porcelanową skórą, porośniętą tu i ówdzie złocistymi włoskami, które falują lekko razem z wodą.

– Zrobię ci masaż relaksacyjny – mówię po namyśle. – Chcesz?

Brian uchyla powieki.

– Jesteś dla mnie zbyt dobra.

– Jeśli nie chcesz, powiedz. – Trochę mi głupio, że mógł uznać tę propozycję za nachalną. – Nie wszyscy lubią masaże.

– Chcę wszystkiego, co jest od ciebie – odpowiada po chwili.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, a ja zaczynam czuć się coraz dziwniej. Nie wiadomo, kiedy do łazienki wkradła się intymność. Nie zauważyłam tego momentu, a teraz stała się wyczuwalna równie mocno jak zapach eukaliptusa.

– W porządku.

Wstaję, żeby poszukać buteleczki z olejkiem kamforowym. Postanawiam dodać do niego parę kropelek olejku z pomarańczy i natrzeć tą mieszanką kark i łopatki Briana. Wylewam na dłoń zapachy zaklęte w złocistym płynie. Rozcieram je drugą ręką i odruchowo spoglądam w lustro nad umywalką. Czuję, jak oblewa mnie fala gorącej krwi. Mimo że szkło pokryło się parą, doskonale widzę płonące czerwienią policzki i nieznany mi wcześniej błysk w oku.

– Mam usiąść? – Głos Briana dobiega zza moich pleców, a to jeszcze wzmaga poczucie skrępowania.

– Tak.

Żałuję, że wpadłam na ten pomysł, ale nie wypada mi się wycofać. Brian domyślnie przysuwa plecy do tylnej ścianki wanny, a ja kucam tuż za nim. Najgorszy moment? Ten na chwilę przed zetknięciem moich palców i mokrej skóry

Briana. Na szczęście szybko mija. Przestaję myśleć, kto poddaje się mojemu masażowi. Skupiam wysiłki, żeby wykonać go jak najlepiej. Wbijam palce, a rozgrzana skóra robi się coraz miększa. Znikają twarde miejsca, mięśnie karku się rozluźniają, zapach kamfory wypełnia niewielką przestrzeń między ciałem Briana a moim i pozwala zapomnieć o tym, co czułam przed chwilą.

– Powinnaś otworzyć klinikę odwykową – mówi po kilku minutach. – A może ty też potrafisz uzdrawiać?

– Nie potrafię. Tylko moja mama ma taki dar – odpowiadam trochę zła, że znów o niej mówimy. Chciałabym choć na chwilę zapomnieć, że nie ma jej przy mnie i długo nie będzie.

– Potrafisz uzdrowić duszę.

– Ja? – Parskam zduszonym śmiechem. – Żeby kogoś uleczyć, trzeba samemu być zdrowym.

– A nie jesteś?

– A jestem? – odpowiadam pytaniem na pytanie. – Chory lekarz nie uzdrowi swoich pacjentów.

– Alisha...

– Tak?

– Chodź tu do mnie. – Brian odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Zaraz.

Wstaję z kucek, dopiero teraz czując, jak bardzo ścierpły mi nogi. Setki mrówek rozpełzły się po nich i wypełniły każdy centymetr skóry, każdą żyłkę i każde włókno mięśni nieznośnym łaskotaniem. Staję przy umywalce i myję ręce z olejku. Wycieram dłonie w ręcznik i na chwilę przystawiam je do nosa. Nadal mocno pachną kamforą. Zaciągam się tym zapachem, zawsze mnie uspokajał.

– Chodź tu – prosi Brian.

Przysiadam na brzegu wanny i spoglądam na niego pytająco.

– Nie jesteś szczęśliwa – ni to stwierdza, ni pyta.

– Nie jestem.

– Chodzi o...

– Tak. Tęsknię za mamą – przyznaję ze smutkiem.

– Pamiętasz, co mówił Leo? – pyta niespodziewanie Brian. – O znamionach i o tym, że możecie zakończyć naszą egzystencję – precyzuje.

Jestem zaskoczona zmianą tematu, więc przez chwilę milczę. Zauważam, gdzie pada wzrok Briana. Wlepił go w moje znamię. Mam na sobie krótkie spodenki, odsłaniające łydki. Pierwszy raz w tym roku założyłam coś równie kusego i już żałuję, że tak postąpiłam. Malinowa ósemka odcina się wyraźnie od jasnej skóry, dotychczas skrzętnie ukrywanej pod sari i długimi sukienkami.

– Pamiętasz? – powtarza Brian.

– Tak.

– Wystarczy przytknąć je tutaj... – Dotyka swojego obojczyka, na którym widnieje znak Habbatum.

– Chcesz umrzeć? – Nie mogę uwierzyć, że właśnie to powiedział.

– A czemu mam chcieć żyć? Podaj mi chociaż jeden powód.

– Naprawdę myślisz, że trzeba mieć jakiś powód, żeby żyć?

– Mam dość. Zaraz znów się zaczniesz. – Brian przenosi spojrzenie na lustro wody. Przesuwa pod nim ręką. – Stygnie – stwierdza. – Nie prosiłbym cię o pomoc, gdybyś była szczęśliwa. Nawet teraz nie wiem, czy mam prawo skazywać cię na koniec tego wcielenia. Może znajdujesz w nim coś, co przynosi ci radość. Może wierzysz, że twój pobyt tu i teraz ma jakiś sens, ale jestem egoistą i gdy widzę szansę, żeby zakończyć swoją marną egzystencję, czemu nie spróbować?

– Nie mogę tego słuchać. – Wstaję i spoglądam przez chwilę na Briana, rozżalona do granic możliwości.

Nie mogę uwierzyć, że prosi mnie o taką przysługę. I nie chodzi mi wcale o to, że zakończę wcielenie, gdybym się zdecydowała na ten krok, tylko o jego postawę. Znowu czuję przeogromny ciężar w sercu, gdy pomyślę, że to ma być mężczyzna, którego prawdopodobnie pokocham. Mam mu powiedzieć, że nie jest sam? Że nie tylko on cierpi? Chciałabym wykrzyknąć, co spotkało mnie nie tak dawno temu, gdy miałam zaledwie trzynaście lat, a mój ojciec uznał, że na pewno nie jestem jego córką. Przyszedł do mojej izdebki i powiedział, że skoro moja matka zmarła, teraz ja będę zaspokajać jego potrzeby. Nie wierzył, że mama była mu wierna, bo nie wyglądałam jak Chinka.

Nigdy nie zapomnę, co czułam, gdy mój własny ojciec pierwszy raz mnie zgwałcił, a potem przychodził do mnie prawie każdej nocy. Krzyczałam, błagałam, żeby przestał, prosiłam babcię, żeby mu zabroniła, ale ona, tak samo jak jej syn, traktowała mnie jak podrzutka. Nie zliczę, ile razy chciałam się zabić, ale ciągle wierzyłam, że po coś żyję. Że istnieje jakiś ważny powód, dla którego zostałam powołana do życia właśnie w tym miejscu. A potem ojca aresztowano... Pamiętam ten dzień jak dzisiaj. Była wiosna, na wzgórzach otaczających Zhangmu topniały śniegi, a w moim sercu zakiełkowała nadzieja, że kiedyś zaznam choć odrobiny szczęścia.

– Chodzi ci o przyszłość? Przecież jej nie chcesz. Nie chcesz przyszłości ze mną. – Brian wyrywa mnie z koszmarnych wspomnień, ale to, co dzieje się teraz, wcale nie jest lepsze. – Więc... – na chwilę zawiesza głos – zmieńmy ją. Zabij mnie, usuń ze swojego życia, a wtedy...

– Tak nie można – przerywam mu spontanicznie, bo już nie wytrzymuję. Moja cierpliwość właśnie się skończyła. Pęka mi serce, gdy Brian znów ukazuje swoją ciemną stronę.

– Nie można? Dlaczego?

– Nie można zmienić przyszłości.

– Chyba przeszłości? – Akcentuje wyraźnie. – Nie da się zmienić tego, co było.

– Tak, nie da się zmienić przeszłości! I nie da się jej zapomnieć, ale tego, co będzie, też nie można zmienić – dodaję z naciskiem. – Wystarczy, że ją znasz. Znasz swoją przyszłość.

– Alisha, poczekaj! – Zatrzymuje mnie, bo próbuję wyjść z łazienki.

Odrywam dłoń od klamki i odwracam się zła, że znów go posłuchałam. Brian powoli wstaje i wychodzi z wanny. Z jego ciała spływa woda, rozplywa się po posadzce niczym łyzy i tworzy kałużę smutku wokół bosych stóp.

– Nie chce mi się z tobą gadać – mówię.

– Mnie też. Wolę zrobić coś innego – odpowiada.

Zbliża się do mnie, jest bardzo blisko. Zastygam w bezruchu, przejęta tym, co za chwilę nastąpi, co widzę chyba w jego oczach, gdy nagle ku mojemu przerażeniu mężczyzna zgina się wpół. Z jego ust wyrывa się głośny jęk, a po sekundzie Brian upada na podłogę.

– Co ci jest?! – krzyczę, natychmiast przy nim klękając. – Odezwiąj się, proszę! – błagam, bo przestał się ruszać. Leży zwinięty w kłębek, a o tym, że żyje, świadczą drgawki wstrząsające jego ciałem.

– To głód, przecież ci mówiłem... – chrypi cicho. – I nie wzywaj pomocy, bo skończę ze sobą jeszcze dzisiaj.

– Nie będę, obiecuję. – Przysuwam się, żeby go objąć. Trzęsie się z zimna, więc sięgam po gruby płaszcz kąpielowy i okrywam go. – Nikomu nie powiem. Sama ci pomogę. Przejdziemy przez to razem, rozumiesz?

– Tak.

– Dasz radę wstać? Zaprowadzę cię do sypialni.

– Poczekaj, niech przejdzie – stęka cicho.

Więc czekam. Mija kilka minut, które spędzamy na posadzce łazienki. Modlę się bezgłośnie o to, żeby Brian wytrzymał i żeby przeszedł mu ten straszny głód. W końcu mówi, że spróbuje wstać. Idziemy do sypialni. Tam układam go w łóżku i okrywam wszystkim, czym mogę, żeby choć trochę złagodzić dreszcze. Nacieram jego skronie octem, bo kiedyś słyszałam, że to pomaga zbić gorączkę, i na chwilę zostawiam go samego. Na szczęście sąsiadka, pani McKinley, ma jakieś środki przeciwbólowe i pożycza mi blister.

Podaję Brianowi dwie tabletki, licząc, że przyniosą mu choć trochę ulgi. Jest lepiej, bo w końcu zasypia. Siedzę przy łóżku i nie odstępuję Briana na krok. Zamawiam przez Internet to samo lekarstwo, które dostałam, i jeszcze kilka innych, na sen i niestrawność. Czytam o objawach odstawienia, mając nadzieję, że Brian nie doświadczy ich wszystkich. Mówił, że nie zażywał narkotyków zbyt długo. To budzi we mnie nadzieję, że wygramy.

– To właśnie jest mój sens – szepczę, delikatnie głaszcząc go po głowie. –

Ty nim jesteś. Tu i teraz...

Rozdział 9

Kolejne ostatnie pożegnanie

Leo wyjechał na ponad trzy bardzo długie tygodnie. W międzyczasie trochę się działo, ale i tak zdążyłam się za nim stęsknić. Przez tę jednostronną bójkę czy raczej konfrontację z Brianem nie zdołałam przekazać wszystkim, że chyba wiem, gdzie Kris zaczął nowe wcielenie. Parę dni po wyjeździe Leo zadzwoniłam do niego i dopiero wtedy powiedziałam mu o swoich podejrzeniach. Stwierdził, że to bardzo możliwe. Razem postanowiliśmy, że wrócimy do tematu po pogrzebie Krisa.

Jedyne, co mnie zarazem wkurzyło i zasmuciło, to jego prośba, a raczej rozkaz, żebym nie odwiedzała Alishy. „Jeśli chcesz z nią porozmawiać, zaprosz ją do siebie albo spotkajcie się gdzieś na mieście, ewentualnie umówcie się u Thora i Bekan. Proszę, nie odwiedzaj jej beze mnie. Nalegam”. Wiedziałam, dlaczego Leo nie chce, żebym pojawiała się u Alishy. Chodziło o Briana. Uznał pewnie, że to bardzo nieodpowiednie towarzystwo. Ich wzajemna niechęć weszła na nowy poziom. Tym razem Leo bez najmniejszych oporów okazywał ją i głośno o niej mówił. „Nie jest mi go żal. Nie zamierzam kłamać i mówić, że nie cieszy mnie jego amnezja. Jeśli mam być szczery, traktuję ją jak gwiazdkę z nieba, bo wreszcie skończył z tymi chorymi zapędami w twoim kierunku. Żal mi jedynie Alishy, która nie dość, że straciła Dalilę i Krisa, to jeszcze pomaga człowiekowi, który jest za to współodpowiedzialny”.

Cóż, Leo miał prawo do tak surowej oceny. Przez Dorothy i Briana dwukrotnie stracił jedyne przyjaciela, ucierpiała cała jego rodzina z poprzedniego życia, a Alisha znów straciła mamę. A ojciec Dalili? Przecież kochał ją nad życie. Gdy Alisha zadzwoniła do niego, żeby powiedzieć, co się stało, biedny staruszek zasłabł. Powiedział, że nie przyjedzie na pogrzeb, ale prosił wnuczkę, by kiedyś go odwiedziła.

Spełniłam prośbę Leo i ani razu nie pojechałam do Alishy. Zresztą wcale nie miałam na to ochoty... Dobrze, że Leo nie potrafił czytać w moich myślach. Na samym dnie mojego serca tkwiło coś, czego bardzo się wstydziłam. Tylko ja wiedziałam, że jestem zazdrosna o Briana, i choć tego nie chciałam, wręcz nie znosiłam tej myśli, tak właśnie było. Nie mogłam znieść jego obojętności. Podczas tej jednej, jedynej wizyty spojrział na mnie może trzy razy. I pomyśleć, że kiedyś za mną szalał... Moja próżność domagała się chyba pożywki, skoro tak bardzo mnie to dotknęło.

Czekałam na pogrzeb Krisa i na powrót Leo, dziękując Bogu, że mam co robić. Mama i Alan wpadli na genialny pomysł, żeby wyremontować kuchnię

i salon, a taki człowiek jak ja, czyli ktoś doskonale nadający się na pomocnika majstra (Alana), chłopaka na posyłki i sprzątaczkę w jednym, był im potrzebny niemal na okrągło. Mogłam bez problemów jeździć w tę i w tę, bez obaw, że coś mi się stanie. Już się nie bałam, że ktoś na mnie napadnie, żeby odebrać mi Księżę, bo ten ktoś nareszcie przestał istnieć.

Jeździłam do centrum, coraz częściej korzystając z samochodu Alana, i bardzo mnie cieszyło, że tak dobrze sobie radzę. Kupowałam farby, tapety i wszystko, co było potrzebne, a przy okazji spełniałam się jako projektantka i dekoratorka wnętrz. W ten sposób jakoś zeszyły te prawie cztery tygodnie. Jakoś, bo tęskniłam za Leo i coraz bardziej wątpiłam w spokojny przebieg pogrzebu.

Kris w swojej ostatniej woli wyraźnie określił, gdzie chce być pochowany. Wskazał na swoją posiadłość, czyli niewielki zamek położony w hrabstwie Kent. Nigdy tam nie byłam, ale Kris pokazywał nam kiedyś zdjęcia. Budynek przypominał Scotney New Castle, zaprojektowany przez tego samego architekta, Anthony'ego Salvina. Otaczał go przepiękny ogród, w którym teraz, według słów Leo, kwitły tysiące róż i glicynii, a nieco dalej rozpościerały się gigantyczne połacie trawnika, kiedyś tak chętnie pielęgnowanego przez Krisa.

Posiadłość miała swój własny niewielki cmentarzyk i kaplicę, i właśnie tam miało się odbyć nabożeństwo pogrzebowe i pochówek. Lista zaproszonych „gości” też została precyzyjnie określona – Leo i ja, Alisha, Thor oraz Began. Niestety, ktoś doniósł prasie o tym urokliwym zakątku jako potencjalnym miejscu pochówku Krisa. O tym, że Kris i Leo byli przyjaciółmi, też już się dowiedziano. Wiedzieli nawet o Dalili i któryś ze szmatławców zamieścił ostatnio zdjęcia z Los Angeles, te same, które zobaczyłam już kiedyś, będąc z Brianem w Polsce. Opatrzyli je komentarzem, że tajemnicza piękność to Iksha Basu, która niedawno zginęła w pożarze, i spekulowali, czy była kochanką Krisa, czy Leo, a może ich obu. A Leo? Jak zwykle powiedział, że mam to ignorować i już.

Gdyby to wszystko było takie proste...

Alisha – Epizod 6

Jest lepiej. Minęły trzy tygodnie detoksu Briana i muszę przyznać, że chyba udało nam się zapanować nad jego uzależnieniem. Nie ma prawie żadnych objawów poza bezsennością i depresją. Brian sam ją zdiagnozował, więc nie mam złudzeń, że to chwilowy spadek nastroju. Mimo to ciągle wierzę, że wygra i z tym. Próbuje go zachęcić do większej aktywności, a on posłusznie stosuje się do moich zaleceń, ale bez większego przekonania. Chodzimy razem na zakupy, czasem do restauracji albo kina, byliśmy nawet w banku, żeby Brian mógł uzyskać dostęp do swojego konta, bo bardzo na to nalegał. Nie chce, żebym go utrzymywała. Mówi, że nie przystoi.

Działa jak robot. Twierdzi, że codzienna rutyna pomaga mu poradzić sobie z depresją. Codziennie wstaje o piątej rano, zjeżdża na parter, gdzie znajduje się

basen. Najpierw ćwiczy równą godzinę, a później pływa dla relaksu. Wraca do apartamentu w pół do ósmej, robi kawę, zjadamy śniadanie i Brian skrywa się w gabinecie Krisa. Odkąd odzyskał laptopa, spędza długie godziny, przeglądając skrupulatnie wszystkie zapiski, notatki i inne materiały, które są na dysku. Nauczył się już obsługiwać komputer i nie muszę mu pomagać, ale i tak zachodzę tam kilka razy dziennie, żeby zajrzeć mu przez ramię.

Poprosił o zeszyt, więc znalazłam w biurku Krisa jakiś pusty notatnik. Zapisał już połowę. Używa wiecznego pióra, powoli kreśląc równiutkie linijki. Nie potrafi szybko pisać na klawiaturze, stuka jednym palcem i psioczy, że wolno mu idzie. Postanowiłam, że zdobędę dla niego maszynę do pisania. Odwiedziłam kilkanaście sklepów z antykami, ale nie znalazłam modelu, na którym zależało Brianowi. Używał jej przez całe poprzednie wcielenie, jest dla niego jak przedłużenie prawej ręki. Niestety, na razie musi się bez niej obyć, stąd notatnik. Dobrze, że chociaż obsługa myszki i touchpada nie sprawia mu najmniejszych problemów, bo jak je zastąpić?

– Co robisz? – Staję za nim i patrzę na monitor. Nie mam pojęcia, co mogą oznaczać szeregi cyfr, greckich literek i tajemniczych znaczków widniejące na ekranie laptopa.

– To wzór chemiczny syntetycznej kości.

– Aha.

– Można z tej substancji wydrukować każdą kość i co najdziwniejsze, będzie zgodna biologicznie z naszymi tkankami, waży tyle samo, ile zdrowa ludzka kość, nigdy nie ulegnie erozji, a na dodatek jest trwalsza. Ciekawe, prawda?

Brian odwraca się na fotelu i patrzy na mnie. Mogłoby się wydawać, że powinien być chociaż trochę podekscytowany, tym bardziej że to on wymyślił te wszystkie rzeczy, które udokumentował i o których teraz czyta, ale jest inaczej. Jego twarz nie wyraża żadnych uczuć i chociaż Brian użył słów: „najdziwniejsze” i „ciekawe”, zachowuje się, jakby czytał o czymś nudnym i przewidywalnym.

– Bardzo ciekawe. Drukowałeś takie kości?

– Tak. Prototyp trafił do niejakiego Karima Kasymowa¹ – mówi z pamięci. Wymienia dokładną datę przyjęcia tego człowieka do kliniki, daty zabiegów i tak dalej, a ja słucham, nie mogąc uwierzyć, że można mieć równie doskonałą pamięć i jednocześnie cierpieć na amnezję. Ale Brian taki właśnie jest: pełen sprzeczności, czasami bezradny i zależny ode mnie jak dziecko, by po chwili nieświadomie dać mi do zrozumienia, że nigdy nie pojmę tego, nad czym pracuje.

– Dużo osób dostało te kości? – pytam, sądząc, że będzie mu miło, gdy okażę zainteresowanie jego sprawami.

– Pięciu mężczyzn. Pracowałem nad podobnym projektem, chciałem stworzyć wzór na tkanki miękkie. Zacząłem od trzustki. Pomyśl, gdyby udało się zaprojektować syntetyczną trzustkę, można by ją implantować każdemu

człowiekowi zagrożonemu chorobą nowotworową tego organu.

– Będziesz umiał to dokończyć? – pytam, przysiadając na blacie biurka.

– Na pewno. Przeglądałem notatki i wychodzi na to, że jestem już bardzo blisko. Niestety, tutaj jest to niemożliwe. Nie mam dostępu do laboratorium.

– Chcesz wrócić do Moskwy?

– Muszę tam wrócić. O ile mnie przyjmą – odpowiada beznamyślnie. Najwyraźniej nie interesuje go ani trochę, co o tym myślę, bo nawet na mnie nie patrzy. Znow wlepił wzrok w ekran laptopa, a jego palec przesuwa się po touchpadzie. – Znalazłem informację, kiedy stamtąd odszedłem. Dali mi urlop, ale dawno się skończył. Czytałem listy elektroniczne...

– E-maile – podsuwam.

– E-maile – powtarza. – Próbowali się ze mną skontaktować i ciągle próbują. Ostatni raz miesiąc temu. Będziesz taka uprzejma i pomożesz mi odpowiedzieć? – Podnosi na mnie wzrok.

– Już? Teraz? – Przełykam ślinę, bo nagle zdaję sobie sprawę, że nie chcę, żeby Brian mnie opuszczał, i wiem, że nic nie mogę zrobić. Jak mam go powstrzymać przed wyjazdem?

– Jeszcze nie teraz. Na razie nie przejrzałem wszystkich materiałów – odpowiada, a ja powstrzymuję się, żeby nie odetchnąć z ulgą. – Chyba wypiję jeszcze jedną kawę. Nie spałem zbyt dobrze i mój mózg pracuje coraz gorzej.

– Właśnie po to tu przyszłam.

– Żeby zaproponować mi kawę? – żartuje protekcyjnie Brian. – Jesteś bardzo miła, moja droga.

Czasami tak właśnie robi, odzywa się do mnie jak do kogoś bardzo głupiutkiego i znacznie od siebie młodszego, a na dodatek brzmi to sztucznie i zupełnie do niego nie pasuje.

– Przyszłam, żeby wyciągnąć cię na spacer. Jest ciepło i wreszcie przestało padać.

– Spacer? – Brian wstaje, poprawia kołnierzyk koszuli i przeczesuje dłonią włosy. – A gdzie ten spacer?

– Pojedziemy do Greenwich, do Obserwatorium. Byłeś tam kiedyś?

– Nie mam pojęcia.

– Może sobie przypomnisz, jak zobaczysz to miejsce.

– Wątpię – odpowiada Brian. – Chętnie pojedę do Greenwich, ale najpierw kawa.

Godzinę później jesteśmy na miejscu. Wspinamy się na wzgórze, a po chwili znajdujemy ławkę stojącą na uboczu i skrytą w cieniu wielkiego klonu. Jego listki lśnią od wilgoci, a gdy wieje lekki wietrzyk, kropelki deszczu spadają na nas jak wspomnienia.

– Pięknie... – mówi Brian, spoglądając na panoramę Londynu. – Na pewno

tu nie byłem. Zapamiętałbym taki widok. Dziękuję. – Obraca głowę, żeby na mnie popatrzeć. Wygląda, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale milczy, przywołując na twarz uprzejmy uśmiech.

– Jak to jest mieć amnezję? Wiedzieć, że nie pamięta się swojego życia?

– Źle. Szukasz samej siebie i nie możesz znaleźć. Jesteś jak człowiek zamknięty w pokoju bez drzwi i okien. Krążysz, dotykasz ścian, próbujesz znaleźć wyjście, ale wyjścia nie ma.

– Czasami myślę, że chciałabym zobaczyć, jak to jest zapomnieć o wszystkim.

– O wszystkim, co złe i dobre?

– Tylko o złym. Chciałabym nie pamiętać wielu rzeczy i zdarzeń. Wyrzucić je z głowy i serca, posprzątać i zostawić tylko te dobre.

– Niestety, tak się nie da. Amnezja pochłania wszystko. Zawłaszcza życie, odbiera tożsamość. Jesteś nikiem, musisz zbudować się na nowo. Pomyśl, co przeżywają zwykli ludzie. Oni nie mają wspomnień z poprzednich wcieleń, bo ich nie doświadczają. To niewyobrażalny koszmar. Stać się kimś, kto nie wie, kim był i kim jest. Pustka. Nic więcej.

– Nie można ci pomóc?

– Można. Przecież to robisz.

– Ja?

– Tak. Uczysz mnie terażniejszości.

– To coś daje?

– Trochę tak, a przynajmniej powinno coś dać.

– Ale nie daje, prawda? – Przypieram go do muru, bo czuję, że kłamię.

– Nie – odpowiada po dłuższym namyśle. – Może gdybyś mi opowiedziała, co zdarzyło się w moim życiu... Coś ważnego, takiego, co pamiętamy tym – Brian przykładą dłoń do serca – a nie tym... – podnosi ją i dotyka czoła. – Może wtedy odnalazłbym drzwi do wspomnień.

– Miałaś romans. Kochałeś pewną kobietę. Dziewczynę – poprawiam się.

– Dziewczynę? – powtarza. – Jak miała na imię?

– Anna – odpowiadam, zwracając uwagę, czy to imię wywoła w nim jakąś reakcję, ale twarz Briana i jego oczy nie zmieniają wyrazu. Za to ja czuję, że moje policzki wypełniają się krwią. Co, jeśli Brian przypomni sobie to uczucie?

– Anna? Masz na myśli... – Brian nagle marszczy czoło i przez chwilę pociera brodę. – Mówisz o tej Annie? – Przechyla głowę. – Też od...

– Tak.

– Naprawdę?! – Ożywia się. Uderza dłonią w udo i śmieje się przez chwilę. Nigdy się tak nie zachowywał. – Wcale się nie dziwię, że Leo Black tak mnie potraktował. Miał prawo.

– Nie jesteś ciekaw, jak to się skończyło?

– Nie jestem. Nie lubię słuchać opowieści o romansach, również własnych, zwłaszcza własnych! – Wyciąga w górę palec wskazujący. – Ale z drugiej strony, a nuż coś drgnie w mojej głowie?

– To chcesz czy nie? – Żałuję, że w ogóle poruszyłam ten temat.

– Opowiedz.

– Nie znam szczegółów. Wiem, że byliście ze sobą bardzo krótko, raptem dwa tygodnie. Pojechaliście do Polski, w góry, i tam mieszkaliście. A wszystko przez nieporozumienie, bo Anna myślała, że Leo kochał moją mamę. Zwróciła mu pierścionek zaręczynowy i uciekła z tobą. Ponoć byłeś w niej strasznie zakochany, ale bez wzajemności. Leo przyjechał tam, żeby się z tobą rozmówić. Mama musiała was ratować, bo tak się pobiliście. Anna wróciła do Londynu, ty pojechałeś gdzieś w świat, a Leo do Stanów. A parę miesięcy później Leo i Anna wrócili do siebie.

– Hm... – Brian marszczy brwi. – Nie mogę uwierzyć, że brałem udział w podobnej tragifarsie.

– Tak było.

– Naprawdę pobiliście się o to dziewczę? – Parsknął pod nosem. – Jest ładnusia, przyznaję, ale żeby aż tak?

– Chodziło jeszcze o coś. O matkę Leo.

– Muszę ci uwierzyć na słowo, a na przyszłość schodzić z drogi aktorowi i jego ślicznotce. – Brian kiwa głową. – Coś jeszcze?

– Chyba już nic. Wiem, że potrafisz świetnie jeździć na nartach.

– I umiem się bić – dodaje Brian.

– I lubisz konie. Ponoć masz stadninę. Albo ranczo? Tak, ranczo w Stanach.

– Ech... Żałuję, że akurat tego nie pamiętam. Ciekawe, czy można je zlokalizować.

– Musimy jechać do twojego mieszkania i poszperać w szafkach.

– Może kiedyś. Na razie nie mam do tego głowy. – Znów jest taki jak przed godziną. Zapada się w sobie, znika, ucieka przede mną.

Już się nie śmieje. Beznamiętnie patrzy na miasto. Dzień powoli się kończy, klon rzuca coraz dłuższy cień i robi się nieco chłodniej. Pocieram ramiona, żałując, że nie zabrałam ze sobą szala mamy. Lubię się nim otulać, sprawia, że czuję się mniej samotna.

– Czasami mam wrażenie, że jestem ci niepotrzebna – wyznaję po namyśle.

– Że mnie nie potrzebujesz. Że nikogo nie potrzebujesz.

– Tak jest lepiej. Gdy nikogo nie potrzebujesz, nie cierpisz po stracie.

– Tęsknisz za nią?

– Za kim?

– Za tą kobietą, która...

– Nie.

– Myślałam, że ją kochałeś.

– Kochałem.

– I nie tęsknisz? – Nie mogę uwierzyć, że jest taki oschły. Może dlatego, że ja jestem podobna.

– Mówiłaś, że kiedyś będziemy razem. Ty i ja. Więc po co mam tęsknić? Poza tym jej już nie ma. – Brian odwraca się na ławce i kładzie rękę na oparciu, a jego palce sięgają moich włosów. Zaczyna się nimi bawić. Siedzę jak sparaliżowana, bo zaskoczył mnie tym czułym gestem. – Jak myślisz, będziesz wtedy szczęśliwa?

– Nie wiem – odpowiadam i zagryzam do bólu kącik ust.

– Chyba nie umiem dać nikomu szczęścia, ale chciałbym. Pierwszy raz w życiu chciałbym dać drugiej osobie szczęście.

– Musisz je dać sobie samemu.

– Ty nie chcesz?

– Chcę. Ale najpierw...

– Zmarzłaś – przerywa mi Brian. – Wracamy.

Wstaje i wyciąga rękę. Jego dłoń jest chłodna, ale nie przeszkadza mi to. Schodzimy ze wzgórza, nie mówiąc ani słowa. Nad Londynem zapada zmierzch...

* * *

Nastał drugi lipca. Upłynął równy miesiąc od śmierci, a raczej końca wcieleń Krisa i Dalili i wreszcie mogłem zadośćuczynić woli mego przyjaciela. Byłem jedynym wykonawcą jego testamentu i to mnie prokuratura dostarczyła odpowiedni dokument, pozwalający na odbiór urny z prochami Krisa. Wyraził swoją wolę bardzo szczegółowo i pomyślał nawet o Dalili. Zostawił mi namiary na człowieka, który dostarczył nam jej doczesne szczątki, więc stało się zadość życzeniu naszych przyjaciół. Chcieli spoczywać razem, jak to ujął Kris: „urna przy urnie”.

Mieliśmy jechać we dwojkę, ja i Anna, ale postanowiłem zabrać ze sobą również Alana. Chciałem z nim pogadać, a wcześniej nie było okazji. Pomyślałem, że niecałe dwie godziny podróży powinny spokojnie wystarczyć na rozmowę o postępach w śledztwie, ale już na początku trasy zrozumiałem, że nie bardzo jest o czym mówić.

– Zawiesili postępowanie – oznajmił Alan. – Brak dowodów. Miotają się, kluczą i nic im z tego nie wychodzi. Dobrze, że przynajmniej pozwolili wam zabrać urny. A właśnie, gdzie one są? – Alan obejrzał się trwożnie do tyłu, jakby sądził, że wiozę je w bagażniku.

– Już dawno są na miejscu. Wczoraj je przewieziono – odpowiedziała Anna zza moich pleców. Zerknąłem na nią do wstecznego lusterka i pomyślałem, że Alan będzie wracał drugim samochodem, a Anna wróci na swoje miejsce obok mnie. Cholernie się za nią stęskniłem. – Co w końcu ustalili? – zapytała.

– Rozszerzone samobójstwo, ale do układanki nie pasuje im kula w brzuchu Krisa. Powinna być w głowie, a trzecia w ciele tej tajemniczej babki. I wszystko komplikują im te przygotowania, które poczynił Kris. Lakier i butle z acetonem.

– To mają zagwozdkę – parsknąłem pod nosem.

– Nie na darmo Kris był autorem kryminałów – zawtórowała mi Anna.

– Może kiedyś ktoś napisze taki, w którym ta zagadka zostanie wyjaśniona – powiedziałem, myśląc, że jeśli to Kris go stworzy, będzie to pierwszy kryminał z wątkiem Wędrowców.

– Jak na żałobników jesteście wyjątkowo radośni – skwitował Alan i poprawił węzeł czarnego krawata.

– Szczerze mówiąc, ten pogrzeb to formalność, ale trzeba ją załatwić – oznajmiłem.

– *To Dorothy powinniśmy urządzić pogrzeb* – przekazała mi Anna, a ja skwapliwie pokiwałem głową, żalując, że nie mogę odpowiedzieć: „Na tym pogrzebie byłbym jeszcze radośniejszy”.

– Julia mówiła, że po ceremonii macie jeszcze jakieś spotkanie.

– Tak – potwierdziłem. – Jeśli się nie pogniewasz, wrócisz z Alishą, a my zostaniemy na otwarciu ośrodka dla uzdolnionych dzieci. Kris zdecydował, że urządzi go w swej posiadłości, i jeszcze za życia poczynił sporo starań w tym kierunku. W ciągu ostatniego miesiąca dopięto wszystko na ostatni guzik i wkrótce będzie można przyjąć pierwszych wychowanków.

– Oni tam będą mieszkać? – Alan zerknął na mnie z ukosa, nie chcąc spuścić oka z jezdni, a co jakiś czas nerwowo wciskał stopę w nieistniejący hamulec. Widocznie bał się szybkiej jazdy.

– Tak. Tam będą mieszkać, uczyć się, odpoczywać i oczywiście tworzyć sztukę. Fundacja, którą założył Kris, zatrudniła już odpowiednich nauczycieli. Są muzycy i tacy, którzy uczą rysunku i malarstwa – wyjaśniłem.

– I rzeźby – dodała Anna, wtajemniczona przeze mnie w status fundacji.

– Ciekawe, czy znajdziecie chętnych? Już widzę, jak rodzice puszczać dzieciaka, żeby wyjechał do szkoły z internatem i mieszkał tam przez lata – mruknął z powątpiewaniem Alan.

– To będą sieroty – padło z tylnej kanapy.

– Pochodzące z krajów Trzeciego Świata.

– Chyba że tak. – Tym razem w głosie Alana zabrzmiało uznanie.

Do końca podróży rozmawialiśmy o pomocy charytatywnej, a Alan wspomniał o zbiórce pieniędzy, którą londyńska policja planowała urządzić na rzecz chorujących onkologicznie kolegów. Zapytał, czy mógłbym dać jakieś fanty na aukcję, i nie usłyszał odmowy.

– Jesteśmy – oznajmiłem, parkując pod niewysokim murkiem, za którym widać było cmentarzyk i kaplicę. Pastor już na nas czekał. Stał na schodkach

kaplicy, a obok niego mały chłopiec służący do mszy. – Pięknie tu, prawda? – spytałem, wysiadając z auta.

– Pięknie? – Anna rozejrzała się z zachwytem. – To mało powiedziane. To najpiękniejsze miejsce w całej Anglii. – Powiodła wzrokiem po otaczającym nas starym parku.

– Te drzewa mają chyba tysiąc lat – powiedział Alan i zadął głowę, żeby dojrzeć szczyt wielkiego dębu, rosnącego tuż przy ogrodzeniu cmentarza. – Ależ ma korzenie... – sapnął z podziwem.

– Rozwaliły mur – zauważyłem.

– Potęga natury... – westchnęła Anna. – Zakochałam się w tym miejscu.

– Przenocujemy tu dzisiaj. – Zdradziłem jej niespodziankę, a raczej część niespodzianki, bo na jutro zaplanowałem wizytę w stajniach, o których Anna nie miała pojęcia, i konną przejażdżkę.

– Serio?! – pisnęła i podskoczyła radośnie jak mała dziewczynka.

– Nieutulona w żalu... – sarknął Alan, rozglądając się na boki. – Dobrze, że nie ma fotoreporterów. Mieliby używanie.

– Musiał umrzeć mój przyjaciel, by pierwszy raz uszanowali moją prywatność. Ciekawe, jak długo to potrwa – powiedziałem z przekąsem.

– A gdzie Alisha? I reszta? – zainteresował się Alan. – Pastor za chwilę wydepcze dziurę w progu. – Zerknął w stronę kaplicy.

– Już są. – Wskazałem brodą na koniec wąskiej drogi, którą przyjechaliśmy. U jej wylotu pojawił się samochód. Przez chwilę wypatrywałem oczy, czy to na pewno auto Dalili, bo jakoś nie mogłem uwierzyć, że paparazzi odpuścili, ale na szczęście tak właśnie było.

– To ja się tu trochę pokręcę – stwierdził Alan.

– Nie pójdziesz z nami? Skoro już tu jesteś? – zapytała Anna.

– Będę blisko, a ostatnia wola jest święta – odparł Alan, wręczając Annie małą wiązankę od niego i Julii. – Złóż ją w naszym imieniu.

Musiałem przyznać, że była to bardzo wzruszająca ceremonia. Choć prócz Rebecki wszyscy wiedzieliśmy, że Kris i Dalila żyją, że są gdzieś w świecie i kiedyś znowu ich spotkamy, i tak każdy z nas uronił kilka łez. To był hołd dla naszych przyjaciół, wyraz wdzięczności za to, że są tacy wspaniali, i miłości, bo wszyscy ich kochaliśmy. A najzabawniejsze było to, że pastor, który w zasadzie miał odprawić obrządek tylko dla Krisa, uhonorował również Dalilę, a na koniec, gdy się z nami żegnał, powiedział, że nie spotkał jeszcze tak żarliwych wyznawców.

– Narzeczona jest głęboko wierzącą katoliczką, może to dlatego – zażartowałem.

– Synu, wy wszyscy gorąco wierzycie w życie pozagrobowe. Widzę to i moje serce się raduje – powiedział pastor, ujmując moją dłoń. – Zazdroszczę wam

tej wiary.

– E... – Anna uniosła brwi i spojrzała na mnie, a potem szybko omiotła wzrokiem Thora, Alishę i Beka. – Ale dlaczego pastor tak uważa? – Zatrzymała wzrok na twarzy duchownego. Ten od razu łagodnie się uśmiechnął i ścisnął moją dłoń. – W waszych sercach nie ma zwykłej, ludzkiej rozpacz, za to jest nadzieja. I miłość – dodał po chwili namysłu. – I miłość.

Pastor uściskał każdego z nas, pobłogosławił i obiecał, że zadba o miejsce pochówku naszych przyjaciół. Nie martwiłem się o to, zwłaszcza że pracownicy fundacji Afr-Art obiecali, że zadbają o to wspólnie z podopiecznymi, wszak Kris był fundatorem i choćby dlatego należał mu się szacunek.

– Co teraz? – spytała Anna, gdy opuściliśmy cmentarzyk.

– Wracamy do Londynu – odpowiedziała Alisha i zerknęła na zegarek. Pewnie martwiła się o Briana, który pierwszy raz został bez niej na tak długo.

– Mogę zakneblować Alana? – zapytał Thor, dowiedziawszy się, że jego brat wraca z nimi.

– Możesz jechać w bagażniku – warknął Alan i złapał Thora za łokieć. – Chodź, zapakuję cię.

Beka wzruszyła ramionami i na chwilę wzniosła wzrok ku niebu. Musiała się domyślić, że bracia całą drogę będą sobie dogryzać, i wyjęła z kieszeni urządzenie, które pozwalało jej lepiej rozumieć, co mówią inni. Ostentacyjnie pozbyła się małej słuchawki i razem z nadajnikiem wsadziła ją do torebki.

– Gotowe. Możemy jechać! – zachichotała.

Pomachaliśmy im na pożegnanie, a gdy zniknęli na końcu drogi, odsapnąłem z ulgą.

– Jedźmy, czekają na nas. – Sprawdziłem godzinę i spojrzałem na Annę, która, zauroczona starym cmentarzykiem, nie mogła się nań napatrzeć.

– Muszę tu kiedyś przyjechać – westchnęła. – Wezmę szkicownik i zostanę tu, dopóki nie narysuję wszystkiego. To najbardziej inspirujące miejsce, jakie widziałam. Popatrz, Leo, jakie to piękne. – Wskazała na pobliski nagrobek.

Nad kamienną płytą pokrytą mchem pochylał się zafrasowany anioł. Ząb czasu pozbawił go jednego skrzydła, może dlatego było mu tak ciężko. Wyglądał, jakby niósł na plecach dusze wszystkich pochowanych tu zmarłych. Dobrze, że nie było ich tak wielu, a nasi przyjaciele zachowali swoje dusze, bo najpewniej by upadł, jak upadali niektórzy z nas.

– Jeśli chcesz, wrócimy tu jutro – powiedziałem, obejmując Annę ramieniem.

Jechałem powoli, żeby mogła zobaczyć po drodze jeszcze więcej cudownych zakątków posiadłości Krisa. Co chwilę wykrzykiwała z zachwytem, że tu też przyjedzie, by uwiecznić to czy tamto na kartach szkicownika.

– Ależ tu pięknie! – Przycisnęła dłonie do ust, gdy naszym oczom ukazał się

ogród. – Jak w raju!

Spojrzałem na Annę. Wyglądała wspaniale, choć miała na sobie czarną sukienkę, tę samą, którą założyła na pogrzeb swojej babki. Czerń nie pasowała do mojego radosnego Wilczka. Nie chciałem oglądać jej w takich strojach, bo kojarzyły mi się ze stratą. Pragnąłem dla Anny wyłącznie szczęścia i tylko takich chwil jak ta.

– Szkoda, że nie zabrałem cię tu wcześniej – stwierdziłem.

– Trochę szkoda – przyznała.

– Co u licha... – mruknąłem do siebie, mijając małego busa stojącego na poboczu. Od razu coś mnie tknęło. – A niech to diabli! – zakląłem, bo już ich zauważyłem.

Przed wjazdem na dziedziniec kłębił się tłumek fotoreporterów, a obok nich stała grupka młodych dziewcząt. Miały nawet transparent z koślawo napisanym wyznaniem miłości.

– Szlag! Szlag! Szlag! – Bezsilnie uderzyłem pięścią w kierownicę. – Zamknij okno!

– Boże, Leo... – jęknęła Anna. – Ilu ich jest...

– Mam nadzieję, że nie dostaną się do środka – mruknąłem, sięgając po okulary przeciwsłoneczne. – I że ich nie porożdżam, choć uwierz, czasami mam na to ochotę.

Anna zatkała uszy, gdy przystawiłem dłoń do klaksonu. Żałowałem, że nie mogę postąpić jak ona. Mimo zamkniętych okien docierały do mnie pokrzykiwania tych hien, karmiących się wszystkim, a z największą lubością czymś dramatem. Mieli szczęście, że Kris i Dalila żyli i mój żal nie był równie głęboki, jak ten odczuwany po stracie moich bliskich, którzy byli zwykłymi śmiertelnikami.

– Gnoje! – ryknąłem, wściekły do granic możliwości.

Z trudem ich wyminąłem, bo niektórzy prawie wskoczyli na maskę jaguara. Poznawałem te przebrzydłe twarze, które od lat mnie prześladowały. Oczywiście pobiegli za nami, a dwóch ochroniarzy zatrudnionych przez fundację i strzegących wjazdu na dziedziniec nie mogło dać oporu takiej masie. Zatrzymałem samochód tuż przed wejściem do budynku i pomyślałem, że jeszcze chwila i wybuchnę. Wskoczę na zewnątrz i roztrzaskam te wszystkie kamery i aparaty fotograficzne na łbach ich właścicieli.

– Leo, co teraz?! – krzyknęła Anna. Rozglądała się na boki, mrużąc oczy przed fleszami.

– Jakoś się przedrzemy – postanowiłem, choć najchętniej wrzuciłbym wsteczny i rozjechał całe to towarzystwo, które coraz gęściej oblepiało samochód.

Ochroniarze już przybiegli i bezskutecznie próbowali odciągnąć reporterów. Dałem na luz i ostro przygazowałem, żeby wystraszyć tę hołotę. Poskutkowało. Odskoczyli jak oparzeni.

– Teraz! – krzyknąłem do Anny.

Zgrzytałem zębami z bezsilności, próbując dotrzeć do Anny i pomóc jej przedrzeć się przez ten kordon. Miałem ochotę wyrwać im języki z gardeł, gdy wykrzykiwali: „Czy Iksha była twoją kochanką?!”, „Dlaczego wybaczyłeś mu zdradę, Anno?”, „Dlaczego Kris popełnił samobójstwo?! Chodziło o waszą wspólną kochankę?!”. Dopadłem do Anny, syknąłem, żeby zatkała uszy, i powiodłem ją za sobą, odpychając bez pardonu każdego, kto stanął nam na drodze.

Jakoś się udało. Weszliśmy do środka, a jeden z ochroniarzy od razu zamknął za nami drzwi. Drugi biedak został na zewnątrz, ale był konkretnie przypakowany, więc nie martwiłem się o niego.

– Poczekaj, nie zostawię tak tego. Proszę o nią zadbać – zwróciłem się do ochroniarza, a gdy stanął przed Anną, żeby ją zasłonić, otworzyłem drzwi i stanąłem na progu.

Zasłoniłem oczy ręką, bo znów rozpętała się diabelska dyskoteka. Stałem bez słowa, a oni wszyscy krzyczeli, napierali na mnie i prawie wepchnęli do środka, gdy podniosłem dłoń. Chyba pojęli, że chcę coś powiedzieć, bo na chwilę się uspokoiili.

– Mówicie, że mnie kochacie? – zwróciłem się do grupki fanek. Zebrały się z tyłu, sądząc pewnie, że nie mają szans w starciu z zaprawionymi w boju fotografami. – Ja też was kocham! – wrzasnąłem, a one zapiszczały jak na komendę. Poczekałem, aż skończą skandować moje imię na przemian z Olivierem i wyznaniem miłości, żeby znów krzyknąć: – Kocham was z całego serca, dlatego zróbcie coś dla mnie, dziewczyny! Pomóżcie mi w spokoju przeżyć żałobę po przyjacielu! Zabierzcie im te cholerne kamery i aparaty! Zniszczcie je! Liczę na was!!!

Byłem ciekaw, co się wydarzy, i nie zawiodłem się. To trwało może dwie sekundy, gdy jedna z nich, wysoka, tęga i postawna blondynka, spojrzała na swoje towarzyski i ryknęła z mocą: „Zabrać im kamery!!!”. Zdecydowanie nie doceniłem potęgi moich fanek. Choć ich grupka liczyła nie więcej niż dziesięć osób, a reporterów było co najmniej piętnastu, już po chwili dziewczyny zdobyły przewagę.

– Przyjacielu kochany, jak już się spotkamy, pokażę ci ten filmik, bo to najlepsza relacja z pogrzebu, jaką widziałem – mruknąłem, nagrywając bitwę iPhone'em. – Jaka szkoda, to musiała być bardzo droga kamera...

Rozdział 10

Keep calm

Postanowiliśmy, że Brian nie będzie uczestniczył w naszych skromnych zebraniach. Musiałem przyznać, że wcale mnie to nie zmartwiło. Od kiedy Brian uratował Ruby, patrzyłem na niego trochę przychylniej, chociaż o zaufaniu nie było mowy, ale teraz wszystko przepadło. Nie wiem, kim był ten człowiek, co myślał i czuł, jakie miał intencje. Nie wiem nawet, czy chciałbym mu kiedyś zaufać i czy w ogóle było to możliwe. Nie mogłem pozbyć się niechęci do Briana i choć Annie na pewno to przeszkadzało, postanowiłem, że nie będę działał wbrew sobie i swojej intuicji.

Alisha pojechała po Thora, zabrała również Bekan, a ja przywiozłem Annę. I Księżę.

– Okej, ziomale, jaki plan? – Thor podrapał się po głowie i podskórnie wyczuwając naszą reakcję, dodał szybko, że zmienił szampon i dostał uczulenia. – Bez obaw, nie mam żadnych żyjątek.

– Plan jest prosty. Trzeba jechać do Zimbabwe i odnaleźć Krisa.

– I przywieźć go tutaj – dodała Anna.

– Uhm – mruknął brat Alana i znów wsadził paluchy w kępę dredów spiętych w gruby kucyk, ale tym razem Bekan palnęła go w rękę, więc od razu zrobił przeproszącą minę, okraszona nieco głupkowatym uśmiechem. – Tak sobie pojedziecie lub pojedziemy, znajdziemy dzieciaka, zapakujemy do torby i sru na lotnisko. Zacnie, zacnie... – Cmoknął z lubością. – Banalna sprawa. W razie pytań powie się, że to pamiątka z Afryki.

– Wiesz, że nie pomagasz? – fuknęła Anna i popatrzyła na Bekan, żeby ta zapanowała jakoś nad swoim przyszłym mężem.

– Kwestie formalne biorę na siebie. Już się rozejrzałem i znalazłem człowieka, który pomaga w takich adopcjach. Niejaki Matt Rendich. – Wyjąłem wizytówkę z portfela i wręczyłem Alishy, a ta przekazała ją Rebecce.

– Mogę ją ziachować? – spytała. – Splawdzić go.

– Tak. Po to ją wziąłem – odpowiedziałem powoli i wyraźnie, żeby mogła mnie zrozumieć. – Prawne kwestie to żaden problem, mam jednak wątpliwości, czy powinniśmy szukać Krisa, zanim sam nie zgłosi się do nas, on i oczywiście Dalila. – Zerknąłem na Alishę. Siedziała smutna i nerwowo międlila brzeg czarnego żakieciku.

– Mówiłeś, że Kris wyraźnie wypowiedział przed śmiercią słowo Vhengere – przypomniał Thor.

– Tak. To było jego ostatnie słowo. Ja i Leo uważamy, że wskazał nam miejsce, gdzie rozpoczął nowe wcielenie – odpowiedziała Anna.

– Cokolwiek by gadać, Zimbabwe nie kojarzy mi się z luksusem. Bez urazy, ale to... – Thor lekko machnął głową w stronę Alishy. – To taka sama bieda z nędzą jak Indie, o ile nie gorzej. Skoro nasz przyjaciel je wybrał, miał jakiś cel i nie sądzę, żeby chodziło mu o inspirację do kolejnych powieści, che, che...

Dostrzegłem, że Anna wywraca oczami, Alisha też zdawała się nie podzielać poczucia humoru naszego Theodora, ale jakie mieliśmy wyjście? Co czterech Wędrowców, to nie trzech, a jeśli nawet Thor czasami zachowywał się jak idiota, nikt nie podawał w wątpliwość jego inteligencji.

– W okolicy Vhengere mieszka dwadzieścia kilka tysięcy luda, w Londynie ponad osiem milionów, chyba łatwiej odnaleźć Krisa wśród kilku gówniarzy, którzy urodzili się w tym afrykańskim city niż między kilkoma setkami nowych londyńczyków. Ergo: powinniśmy go szukać – powiedział Thor i dla odmiany podrapał się po brzuchu ukrytym pod wściekle pomarańczową koszulką z brokatowym nadrukiem KEEP CALM and SPARKLE ON.

– Oby nam się udało namówić rodziców Krisa, żeby go oddali – westchnęła Anna.

– O! I to jest jeszcze jeden argument, żeby jechać po małe murzyńskie bobo. Ilu ludzi w Londynie oddaje swoje dzieciaki do adopcji? Pewnie promil. A tam za kasę...

– Jesteś oklopny! – Bekan nie wytrzymała i szturchnęła Thora pod żebro.

– Okropny czy nie, ale ma rację. – Wzięłem go w obronę. – Moim zdaniem Kris specjalnie i z rozmysłem wybrał Vhengere jako miejsce urodzenia, licząc, że go odnajdziemy, zanim dorośnie i przypomni sobie, kim jest. Myślę, że powinniśmy jechać po niego. Kto tak uważa? – Rozejrzałem się wokół. Wszyscy przytaknęli, co bardzo mnie ucieszyło.

– A czy mądra Księża coś głosi w tej sprawie? – zażartował Thor, wyraźnie zadowolony, że zgodziliśmy się z jego argumentami.

– Nie. Przeglądam ją kilka razy dziennie, ale nic nie znalazłam. – Anna poprawiła trzymaną na kolanach torebkę. – Codziennie przywraca się jedna strona, czasami dwie, z rzadka trzy. Nie wiem, od czego to zależy – powiedziała, mocniej dociskając skórzany plecaczek z drogocenną zawartością.

– Może powinnaś mieć cały czas kontakt z Księżą? – odezwała się milcząca do tej pory Alisha.

– Mam. Śpię z nią pod poduszką, biorę ją nawet do łazienki, ale to chyba nie ma znaczenia.

– Najważniejsze, że strony systematycznie wracają – powiedziałem uspokajająco. – Okej, teraz drugie ważne pytanie, będące następstwem naszej decyzji.

– Jakbym słuchał Alana... – Thor wykrzywił twarz i otrząsnął się z udawanym obrzydzeniem. – Leo, kiedy kandydujesz do Izby Lordów?

Nadawałbyś się, chłopie. Z tym kijem w tyłku pasujesz tam jak nikt.

– Dzięki – odpowiedziałem, parszając pod nosem.

– Powiedzże po ludzku. Chodzi o przyszłych mamuszkę i tatuśka murzyńskiego bobo? Ja się nie nadaję na ojca, co to, to nie! Mówię od razu! – Uniósł ręce i pokręcił głową. – Na szczęście jestem ślepy, a Bekań głucha. Nie nadajemy się. Mam pomysł, przywieźcie Bambo i dajcie mojemu braciszkowi, on uwielbia małe dzieci. – Zaniósł się śmiechem. – Szkoda tylko, że nie lubi czarnych.

– Rasista – mruknęła Anna, ale jej też udzieliło się rozbawienie Theodora, podobnie jak nam wszystkim. Twarz Alishy nieco złagodniała, a Bekań złapała Thora za jeden z dredów i lekko go pociągnęła.

– I kto to mówi? – ryknął Thor. – Przecież nie chcieliście zaprosić Briana *vel* Edmunda, bo z innego plemienia.

– Nie chcieliśmy. Ty też – fuknęła w odpowiedzi Anna, jedyna osoba, która miała wątpliwości, czy nie powinniśmy jednak postąpić inaczej. Ustąpiła dopiero wtedy, gdy Alisha stwierdziła, że Brian i tak by nie przyszedł. Pewnie wyczuł, że nie jest tu mile widziany.

– Naturalnie, że to my weźmiemy Krisa – powiedziałem, gdy wszyscy trochę się uspokoili. – Ja i Anna.

– I cudownie! – Theodor klasnął w dłonie. – Stworzycie wspaniałą rodzinę. Alan zostanie dziadkiem i znów będzie miał okazję raczyć kolejnego nieszczęśnika przypaloną owsianką.

– Przeżyłeś, to i Kris przeżyje – stwierdziła Anna.

– A co z moją mamą? – nieśmiało wtrąciła Alisha.

Nikt się nie odezwał, jakby ta kwestia była jakimś tabu, ale co mieliśmy odpowiedzieć, skoro Dalila nie zostawiła nam żadnej wskazówki co do miejsca swoich narodzin? Ja stawałem na Indie, Anna na Londyn, a znając życie, pewnie oboje byliśmy w błędzie.

– Poczekajmy na zapis w Księdze – zaproponowałem, próbując rozładować narastające napięcie.

Odwiozłem Annę do domu, chwilę pogwarzyliśmy z Julią i Alanem, ale nie mogłem doczekać się momentu, w którym zostaniemy sami. Biłem się z myślami. Wspólnie podjęta decyzja wcale nie ułatwiła sprawy, wręcz przeciwnie, spowodowała, że miałem jeszcze więcej wątpliwości i obaw. Musiałem przyznać przed samym sobą, że bardzo brakuje mi Krisa, jego spokoju, przenikliwości i poczucia bezpieczeństwa, które dawał nam wszystkim. Nie był nieomylny, ale kto nie popełnia błędów? Kris nie skąpił nigdy swojej wiedzy, dzielił się ze mną doświadczeniem i chyba trochę się rozleniwiłem, cedując na niego zbyt wiele własnych wątpliwości.

– Tęsknię za Krisem – przyznałem, gdy Anna wróciła do pokoju, niosąc przed sobą tacę z dwiema miseczkami rosółu.

– Każdy z nas czuje to samo. Właśnie dlatego musimy go znaleźć – oznajmiła stanowczo. – Jedz, póki gorące. Dobry rosół musi być gorący, powinien mieć dużo natki pietruszki, marchewkę i pieprz. I maggi – powiedziała, stawiając przede mną miseczkę. – Alan gotował, ale moja szkoła, a dokładnie babci Jani.

– Podziwiam cię i zazdroszczę – wyznałem między dmuchnięciami na prawie wrzącą zawartość łyżki.

– Czemu? – Anna przełknęła łyk zupy i spojrzała na mnie.

– Zupełnie się rozsypałem. Chyba – dodałem i wzruszyłem ramionami, bo zrobiło mi się wstyd, że jestem takim mięczakiem. – Co chwilę łapię się na tym, że chcę do niego zadzwonić i spytać, co mamy zrobić. Ty tego nie potrzebujesz, dlatego ci zazdroszczę.

– Naprawdę tak uważasz? – Anna pokręciła głową i musnęła lekko mój policzek. – Też mi go brakuje, Leo. Bardzo. A znam go znacznie krócej niż ty. To normalne, że czujesz się zagubiony. Był dla ciebie jak prawdziwy ojciec.

– Wiesz, co jest najgorsze? Ciągle myślę, że go zawiodę. To ja powinienem go teraz zastąpić. Być dla nas wszystkich przewodnikiem.

– A czemu ty? Alisha jest starsza stażem – przypomniała mi całkiem słusznie Anna. – Thor chyba też, choć fakt, to, że nie widzi, poważnie go ogranicza.

– Ech... – westchnąłem, gmerając łyżką w zupie. – Muszę się ogarnąć.

– Jesteś ogarnięty. Każdy ma gorsze dni, a z nas wszystkich to Alisha cierpi najbardziej. Tak mi się wydaje – powiedziała cicho Anna. – Zaledwie odzyskała mamę i znalazła przybranego ojca, a już ich straciła. Na dodatek trochę nie fair traktujemy Briana, a przecież oni kiedyś mają być razem. Nie pamiętasz?

– Pamiętam. – „I nie mogę się doczekać”, dodałem w myślach. – Masz rację.

– Może mam, może nie mam. Najważniejsze, żebyśmy trzymali się razem. Swoją drogą, Thor był dzisiaj nieznośny. – Prychnęła pod nosem, zdmuchując z łyżki kilka kropelek rosolu. – Mimo to mądry z niego facet.

– Uhm – przytaknąłem, przełykając drugą łyżkę zupy. Ona też była nieznośna. Smaczna, ale gorąca jak piekło.

– To raczej my wszyscy powinniśmy cię podziwiać i na pewno tak jest – powiedziała Anna po dłuższej chwili. – Ja na pewno cię podziwiam. No i Kocham.

– Ale za co?

– Za co cię Kocham? – pisnęła. Wrzuciła łyżkę do pustej miski, usiadła na moim kolanie i mocno mnie objęła. – Leo, bez urazy, to było najgłupsze pytanie wszech czasów.

– Ja też cię Kocham. I podziwiam, ale to już mówiłem. Pytam, skąd ten podziw dla mojej skromnej osoby.

– Nie takiej skromnej. – Potarła czubkiem nosa o mój nos. – Leo, przecież

taka adopcja to nie jakaś tam błahostka. To zmieni całe nasze życie. Moje i twoje. Zostaniemy rodzicami. Oczywiście, jeśli wszystko się powiedzie. I nie chodzi mi o wychowanie dziecka, bo o to się nie martwię. Moja mama na pewno nam pomoże, twoi rodzice pewnie też.

– A, to na pewno – przytaknąłem skwapliwie, myśląc, jaki szal ogarnie moich staruszków.

Nie ustawiali w swoich docinkach i pytaniach, kiedy w końcu zostaną dziadkami, i któregoś dnia po prostu wyznałem, że nie będę miał swoich dzieci, bo jestem bezpłodny.

– Wiesz, dlaczego cię podziwiam? Pomyśl, co się stanie, gdy cały świat się o tym dowie. Nie dadzą nam spokoju, mnie również, ale głównie tobie – westchnęła Anna i mocno mnie przytuliła. – Będą cię nękać. Tego się boję. Ludzie potrafią być okropni.

– Kiedyś im przejdzie. – Poglaskałem ją po plecach. – Znudzą się. Zobaczysz.

– Nie wiem. – Anna przytuliła policzek do mojej skroni. – Gdy sobie przypomnę to wszystko, co działo się na pogrzebie Krisa... To było okropne.

– Muszę ci coś powiedzieć. Coraz częściej myślę o tym, żeby się wycofać z aktorstwa – wyznałem z trudem. – Takie myśli już od dawna chodziły mi po głowie, ale po ostatnich wydarzeniach, mając w perspektywie kolejne ekscesy dziennikarzy i moich fanek...

– To nie twoja wina! – Anna odsunęła się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Leo, to nie twoja wina, że oni wszyscy mają nierówno pod sufitem.

– Może i nie moja, ale nie chcę, żeby zmienili nasze życie w piekło. Widziałas, co potrafią.

– Widziałam. I co z tego? Mam ich gdzieś.

– Umówmy się tak... – zacząłem. – Jeśli uznam, że zbyt mocno ingerują w nasze życie, odejdę z zawodu. Ty jesteś dla mnie ważniejsza. Rozumiesz?

– Kocham cię i właśnie dlatego nie pozwolę ci przestać grać. To twoje życie, Leo. Lepiej porozmawiajmy o mojej Julce. Powiemy jej wcześniej?

– Nie – odpowiedziałem prawie natychmiast. – A co, jeśli nic nie wyjdzie z naszych planów?

– Masz rację. Nic nie powiemy mamie.

– Dowie się, gdy wrócimy z małym Bambo – zażartowałem.

– I wtedy mama nas zje.

– I skończą się nasze problemy...

* * *

Mecenas Matt Rendich okazał się suchym i wysokim jak tyczka rudzielcem. Prawie wcale się nie uśmiechał i nie kryjąc swojej niechęci, zwracał się do nas jak

do zmanierowanych celebrytów. Pierwsze wrażenie było niekorzystne, na szczęście zyskiwał z każdą kolejną minutą naszej rozmowy. Widać było, że to profesjonalista w każdym calu, a że nie okazał się szczególnie miły czy sympatyczny? Trudno. „To nie zupa pomidorowa, żeby każdy musiał go lubić” – przypomniałam sobie jedno z ulubionych powiedzonek Wandy. Leo odniósł chyba podobne wrażenie, bo rozluźnił się dopiero wtedy, gdy po krótkim wprowadzeniu nasz prawnik zaproponował herbatę i ciasteczka, a potem wręczył nam kilka dokumentów, które mieliśmy wypełnić.

– Proszę to załatwić w domu i dostarczyć do sekretariatu najpóźniej do pojutrze – powiedział, zauważywszy, że sięgam po długopis. – Mam kilka pytań. O ile dobrze państwo rozumiałem... – chrząknął – chcecie adoptować dziecko, chłopca, obywatela Zimbabwe, zamieszkałego w prowincji Manicaland, w mieście Rusape... – zerknął do swoich notatek – w dzielnicy Vengere, lub Vhengere.

– Właśnie tak – potwierdził Leo i lekko ścisnął moją dłoń.

– Wnioskuje, że już państwo poznali chłopca i znają jego sytuację rodzinną?
– spojrział na Leo, a potem na mnie.

– E... Nie do końca – odparłam. – Nie byliśmy tam jeszcze osobiście.

– Ach tak? – Rendich wsparł się o wysoki zagłówek fotela, aż coś skrzypnęło za jego głową. – W jakim wieku jest chłopiec?

– Ma pięć tygodni. Niemowlę. Znamy dokładną datę urodzenia – powiedział Leo.

– I płeć – dodał nieco ironicznie prawnik.

– I miejsce pobytu – doprecyzowałam.

– A skąd państwo wiedzą, że jest tam takie dziecko? Czy znacie państwo jego imię i nazwisko?

– Nie. – Westchnęłam ciężko, czując, że chyba mamy problem.

– A czy rodzice malca wyrazili zgodę na adopcję? Kontaktowaliście się państwo z nimi? Mam na myśli ewentualnych pośredników, na przykład organizację typu UNHRC albo jakąś organizację kościelną.

– Niestety, nie. – Leo przełknął ślinę tak głośno, że aż coś zgrzytnęło w jego gardle. – *Nie panikuj* – przekazałam mu mentalnie, choć prawdę mówiąc, ja też pociałam się na potęgę.

– A co będzie, jeśli rodzice dziecka nie wyrażą zgody na adopcję?

– Jeśli to niezamożni ludzie, wówczas otoczmy rodzinę indywidualną opieką, żeby dziecko lub dzieci, jeśli jest ich więcej, mogły godnie żyć. Bez względu na wynik naszych starań postanowiłem wesprzeć tamtejszy szpital oraz Kościół i szkoły – powiedział Leo. – Zdaję sobie sprawę, jak postrzegane są tego typu adopcje dokonywane przez ludzi z mojej branży, stąd pomysł, żeby pomóc również tam, na miejscu.

– Często zarzuca się im, że to na pokaz. – Rendich odkleił plecy od oparcia

fotela i nachylił się nad biurkiem. – Jest pan przygotowany na taką ocenę? Adoptowanie dzieci z krajów Trzeciego Świata, zwłaszcza przez popularne osoby, gwiazdy, celebrytów, bywa ostro potępiane. Krytycy mówią o taniej manifestacji, fasadowości działań, pozornej dobroci, o poczuciu wyższości związanym ze stanem posiadania.

– Nie musi mi pan uświadamiać oczywistych kwestii – zachnął się Leo. – Rozmawiałem z paroma osobami z mojej branży, które dokonały takiej adopcji, i doskonale wiem, że opinie o ich poczynaniach są skrajne. Jedni chwalą ich za dobroć i niesienie pomocy, inni potępiają, że traktują adoptowane dzieci jak domowych pupili.

– Gdy znany i popularny aktor wiąże się z adoptowaną córką, młodszą od niego o kilka dekad, nie należy oczekiwać, że fani przyklasną takiemu zachowaniu. – Mecenas Rendich zastukał palcami w mahoniowy blat biurka. – Mam swoje zdanie na ten temat, panie Black, ale proszę pamiętać, że jestem tu po to, żeby państwu pomóc, nawet jeśli będę zadawał niewygodne pytania.

– W porządku, rozumiem – burknął jeszcze trochę nastroszony Leo.

– Są państwo małżeństwem?

– Nie, ale jesteśmy zaręczeni. – Leo podniósł swoją spoconą dłoń, żeby mecenas Rendich mógł zobaczyć pierścionek.

– Obawiam się, że to nieco zmniejsza państwa szanse na adopcję. Jeśli dziecko przebywa pod opieką lokalnej instytucji kościelnej lub jego rodzice są mocno wierzący, znacznie łatwiej byłoby państwu wkraść się w ich łaski, gdybyście byli małżeństwem. Proszę pamiętać, że prawie osiemdziesiąt procent mieszkańców Zimbabwe to chrześcijanie.

– Nie możemy wziąć zwyczajnego ślubu kościelnego. Narzeczona jest katoliczką, a ja należę do Kościoła anglikańskiego – wyjaśnił Leo. – Planowaliśmy wyjazd do Polski, żeby tam narzeczona mogła wziąć ze mną ślub jednostronny, rozważaliśmy też zmianę mojego wyznania na katolickie.

– Nie musi być ślub kościelny, wystarczy kontrakt cywilny. Nikt nie będzie państwa wypytywał o szczegóły, najważniejsze, że jesteście małżeństwem. Jak pewnie słusznie się domyślam, w państwa przypadku decyzja o szybkim ślubie nie jest prosta. – Zerknął na Leo i pokiwał głową. – Zgrać terminy z pana obowiązkami, załatwić ceremonię i tak dalej...

– To akurat bardzo łatwa decyzja – stwierdził Leo. – Niestety, przez wzgląd na pewne zawirowania już dwa razy przekładaliśmy datę ślubu – powiedział, mając na myśli termin grudniowy oraz ten sprzed miesiąca. – Skoro mówi pan, że to może ułatwić nam ewentualną adopcję, ma pan naszą zgodę. Weźmiemy ślub jak najszybciej, choćby jutro. – Popatrzył na mnie, a gdy skwapliwie pokiwałam głową, dodał, że prosimy jedynie o dyskrecję.

– Cóż, do trzech razy sztuka – zażartowałam.

– Myślę, że to da się zrobić – mruknął Rendich, zerkając na dokumenty, które mu przynieśliśmy. – Metryki są, wszystko jest. Świadcami mogą być pracownicy mojego biura, a ślubu udzielimy państwu tu, na miejscu, w kancelarii. Może jutro po południu? Co państwo na to? – Popatrzył na mnie spod wysoko uniesionych brwi.

– Tak szybko? – zdziwiłam się. – Nie musimy odczekać czternastu dni? – spytałam, pamiętając o procedurach z początku grudnia ubiegłego roku.

– Proszę się o to nie martwić. Państwa zezwolenie jest jeszcze aktualne, właśnie sprawdziłem, ale gdyby było z nim coś nie tak, mam znajomego w urzędzie, zawsze zostawia kilka wolnych numerów wniosków zgłoszeniowych. – Rendich obdarzył nas krzepiącym uśmiechem. – Jak słusznie mniemam, intercyzy państwo nie przewidują?

– Nie – powiedział natychmiast Leo.

– A może jednak wolicie państwo zastanowić się na spokojnie w domu?

– Nie – powtórzył Leo i nerwowo chrząknął, bo temat intercyzy wyjątkowo go wkurzał.

– Pewnie nie tak wyobrażała sobie pani tę uroczystość? – Rendich spojrzał na mnie.

– Och, wiadomo, że nie tak to sobie wyobrażałam... – zagryzłam na moment kącik ust – ale i tak wszystko jest inaczej... – Zamilkłam, czując szczypanie łez pod powiekami, bo w czerwcu, zamiast ślubu i przyjęcia, skromnego, ale spędzonego z rodziną i najbliższymi sercu przyjaciółmi, spotkała nas wszystkich tragedia.

– Kiedyś będziesz miała piękny ślub, obiecuję. – Leo na moment porzucił angielski dystans, przytulił mnie i pocałował w policzek. – Zobaczysz.

– Wobec tego załatwiam na jutro stosowną osobę, która zalegalizuje zawarcie związku małżeńskiego, a co do adopcji, jeszcze dzisiaj skontaktuję się z moim przedstawicielem w Harare – oznajmił Rendich, sprawnie układając nasze dokumenty w zgrabny stosik.

– Proszę o e-mail z informacją, ile mam dopłacić za tę usługę – powiedział Leo.

– Wszystko otrzyma pan w ciągu godziny, w tym wskazówki, jak mają się państwo przygotować do podróży. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy mam brać pod uwagę jakieś dni i terminy, w których nie są państwo dyspozycyjni? Mam na myśli pana zobowiązania, bo panna Wilk chyba nie pracuje zawodowo? – Przeniósł wzrok z Leo na mnie i z powrotem oparł na moim narzeczonym.

– Anna nie pracuje, a ja w najbliższym czasie nie mam żadnych zobowiązań – skłamał gładko Leo.

Miałam cichą nadzieję, że mecenas Rendich nie ma pojęcia o festiwalu filmowym w Kolonii, na którym miał się pojawić Leo. Niepotrzebne nam były

jakiegokolwiek nowe pytania.

– Zależy nam na czasie – przypomniałam mecenasowi, a gdy spojrzął na mnie spod zmarszczonych brwi, dodałam, że boimy się o zdrowie dziecka.

– Nie jesteśmy pewni, czy chłopczyk jest zupełnie zdrowy, poza tym opieka medyczna w Zimbabwie...

– No tak – przerwał nam Rendich. – Mam to na uwadze. Wobec tego proszę już teraz wypełnić dokumenty i spotykamy się jutro na ceremonii. Za chwilę powinienem znać godzinę, a na razie zostawiam państwa samych.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytał Leo, ledwie zamknęły się drzwi za mecenasem Rendichem.

– Masz na myśli ślub czy adopcję? – Odwróciłam wzrok od dokumentu, który zaczęłam wypełniać.

– I to, i to. – Leo głośno westchnął. Nie dało się nie zauważyć, że jest podenerwowany. Mięsień prawego policzka drgał leciutko, pobudzany mimowolnym skurczem.

– Jestem pewna. A ty? – odparłam, starając się nadać memu głosowi stanowcze brzmienie.

– Ja też.

– W porządku – skwitowałam. – To ja wypełniam dalej. – Znów wlepiłam oczy w kartkę. Po chwili usłyszałam, że Leo też coś pisze. – Cieszysz się? – mruknęłam.

– Trochę – powiedział ostrożnie.

– Ja też trochę.

– O ślubie też nie powiemy?

– Tak.

– Julia nas zamorduje.

– Oj tam. – Wzruszyłam ramionami. – Najwyżej znów się urodzimy.

– Koniecznie w Vhengere.

– To ja już wolę wioskę, gdzie mieszka moja babcia – szepnęłam cicho, bo usłyszałam jakiś dziwny hałas za drzwiami. – Przynajmniej znajoma okolica, a nuż trafimy do którejś z moich kuzynek.

– Tam jest zimno. Kris mówił.

– Koloryzował. Jak to pisarz.

– A może Brzegi? – mruknął pod nosem Leo. – Podobało mi się tam. Zawsze chciałem mieszkać tuż nad brzegiem morza.

– Niech ci będzie.

– To drugi plan też już mamy.

– Teraz tylko wprowadzić w życie...

* * *

Cóż powiedzieć, ślub był skromny. Namawiałem Annę, żeby kupiła sobie jakąś sukienkę, ale odparła, że musimy zachować pozory. Więc zachowaliśmy. Urzędnik z Register Office patrzył na nas jak na kosmitów. Nie dość, że od razu mnie poznał, zresztą chyba wcześniej wiedział, komu będzie udzielał ślubu, to ubraliśmy się jak na piknik. Anna założyła džinsy i koszulkę polo, a ja sztruksowe spodnie i lnianą koszulę. Jedyнным ślubnym akcentem, na jaki sobie pozwoliliśmy, był mały bukietik szklarniowych stokrotek, który wręczyłem swojej przyszłej żonie.

– Zasuszę sobie – zachichotała nerwowo.

– A potem zaparzymy z niego herbatkę – dodałem, czując piasek pod powiekami.

Muszę przyznać, że trochę mną szarpnęło. Choć ceremonia trwała kilka minut i z pewnością ja i Anna kompletnie inaczej wyobrażaliśmy sobie nasz ślub, dopadło nas coś w rodzaju wzruszenia, gdy sekretarka mecenasa Rendicha złożyła nam wyjątkowo wylewne i serdeczne gratulacje.

– *Podobasz się jej, dlatego korzysta z okazji* – przekazała mi mentalnie Anna, kiedy tkwiłem w uścisku całkiem ładnej blondynki, przypominającej nieco Nicole Kidman. – *Niech się nacieszy w imieniu wszystkich twoich zwariowanych fanek, mój drogi mężu!* – Spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek, a potem uśmiechnęła się z triumfem. – *To ostatni raz, kiedy przymykam na to oko!*

Nieraz zastanawiałem się, jak by to było, gdyby to mój Wilczek grał w filmach i miał setki fanów gotowych na wiele wyrzeczeń, by choć na moment ujrzeć swoją idolkę, dotknąć jej, zrobić z nią selfie albo zdobyć autograf. Za każdym razem dochodziłem do wniosku, że po tygodniu zrobiłbym z tym porządek i albo pogonił tę bandę, albo kazał Annie zmienić pracę. Ech... Musiałem przyznać, że Anna jest wyjątkowo cierpliwa i tolerancyjna. Znacznie bardziej niż ja.

– O czym myślisz? – spytała, gdy opuściliśmy kancelarię i w milczeniu dotarliśmy do samochodu. Rozejrzałem się wokół, przeczulony po ostatnich wypadkach, i spojrzałem na moją ukochaną, już małżonkę.

– O marzeniach – odpowiedziałem, otwierając drzwi. Wsiedliśmy, ująłem dłoń Anny i przez chwilę napawałem się widokiem jej twarzy. Zarumieniona, z oczami połyskującymi czymś cudownie ciepłym i słodkim, wyglądała jak uosobienie szczęścia. – Marzę o tym, żebyśmy mogli kiedyś spędzić ze sobą taki normalny, zwyczajny dzień. Jeden dzień razem, gdzieś nad wodą, na plaży albo w górach. Żeby nikt nam nie przeszkodził, nie interesował się naszym życiem, żebyśmy byli tylko ty i ja.

– Leo... – Anna lekko się splonęła. – To było takie miłe – powiedziała cicho. – Ja też o tym marzę. Kiedyś na pewno nasze wspólne marzenie się spełni. Mocno w to wierzę. – Nachyliła się, żeby mnie pocałować.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham. I wcale nie jestem smutna, że nasz ślub był trochę inny, niż kiedyś zaplanowaliśmy. To nieważne. Forma jest nieważna. – Anna popatrzyła na obrączkę. – Najważniejsze, że byliśmy tam razem, ty i ja.

– Szczęście często miesza się ze smutkiem i wbrew pozorom całkiem łatwo je pogodzić. To jak śmiech przez łzy albo łzy ze szczęścia. – Wysunąłem dłoń, żeby otrzeć małą kropelkę z jej brody.

Przycisnąłem dłoń do jej poczerwieniałych policzków i zbliżyłem usta. Całowaliśmy się tyle razy, a każdy pocałunek oznaczał dla mnie dokładnie to samo: niewyobrażalną radość, błogość i pragnienie, żeby trwał bez końca. Mdlący ból w dole brzucha pojawiał się jak na zawołanie i obejmował całe moje ciało. Pragnąłem Anny zawsze i wszędzie.

– Jedźmy do mnie – wyszeptałem w przerwie naszych coraz mniej niewinnych pieszczot.

– Jedźmy, mężu...

Rozdział 11

Gdyby wiedzieli...

Nienawidzę kłamać, a na dodatek robię to bardzo nieudolnie. O ile jakoś udawało nam się ukryć fakt, że wyszłam potajemnie za Leo, choć niewiele brakowało, a zaliczyłabym wpadkę (ech, ta obrączka...), o tyle zatajenie przed mamą wyprawy do Zimbabwe było naprawdę twardym orzechem do zgryzienia.

Ustaliliśmy z Leo, że musimy tylko częściowo rozminąć się z prawdą, więc powiedziałam mamie i Alanowi, że jedziemy na krótki urlop do Egiptu. To też Afryka, a że nieco bliżej Europy? Trudno. Nie mieliśmy innego wyjścia. Zakładaliśmy niepowodzenie misji, więc po co siać ferment? Moja ukochana Julka chyba coś czuła, bo nasiliła swoją nadopiekuńczość. Chodziła za mną i zasypywała coraz dociekliwymi pytaniami: Czy długo tam będziemy, a czemu tylko tydzień? Dlaczego właśnie Egipt? Czy tam jest bezpiecznie? A który to hotel?

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wsiedliśmy do rejsowego samolotu, który miał nas przetransportować do Amsterdamu. Tam czekał już na nas wyczarterowany odrzutowiec. Leo twierdził, że to nie jest jego samolot, ale gdy lekko go przycisnęłam, zaalarmowana podejrzanym zachowaniem obsługi, przyznał, że to nasza (jak wyraźnie podkreślił) maszyna i że niedawno wszedł w jej posiadanie, a właściwie otrzymał ją w spadku po Krisie.

Mój świeżo upieczony małżonek nadal nie potrafił korzystać z życia, jak często określał ekscesy swoich kolegów i koleżanek po fachu. „Nie pasuje mi taka ostentacja” – mawiał, choć czasami widziałam, że z jego strony to tylko flirt skuteczniany, żebym mogła go pochwalić za skromność i rozwagę.

– Gdyby nie to całe zamieszanie, nigdy bym nie poleciał tym czymś... – Rozejrzał się po salonie.

– A mnie się podoba. Chyba zasłużyliśmy na odrobinę luksusu? – Podążyłam za nim wzrokiem.

Cóż, odrobina luksusu to niezbyt trafne określenie, jeśli mowa o prywatnym odrzutowcu wiozącym nas do Harare. Samolot był nowiutki, a jego wnętrze dopracowano lepiej niż niejeden najdroższy apartament w Londynie. Otaczały nas wyłącznie najlepsze materiały: prawdziwa skóra, drogie gatunki drewna, wspaniałe wykładziny i pozłacane dodatki.

– Masz rację – odparł Leo. – Ślub był skromny, to niech przynajmniej nasza podróż pseudopoślubna będzie efektowna.

– I efektywna. – Zachichotałam nerwowo, myśląc o tym, w jakim składzie osobowym będziemy wracać z Zimbabwe. – Rzadko się zdarza, żeby z podróży poślubnej przywieźć dziecko – powiedziałam, żeby Leo poznał powód mojego rozbawienia.

– Tak to tylko u Wędrowców. – Mrugnął do mnie. Kapitan przekazał przez jedną ze stewardes, że już możemy odpiąć pasy, a Leo skwapliwie to wykorzystał. Przysiadł się obok i objął mnie. – A może pójdziemy pooglądać naszą sypialnię?

– Leo... – Przewróciłam oczami.

– No co? Jestem śpiący. – Udał ziewnięcie.

– Przestań. – Szturchnęłam go lekko, bo zaczął się do mnie dobierać tak jak wtedy, na ławce w tokijskim parku. Od razu przypomniałam sobie o Księdze i poprawiłam torbę, bo prawie się zsunęła z mojego siedzenia.

– Nie przestanę... – mruknął.

– Leo, nie wypada. – Zerknęłam spłoszona w kierunku przejścia do drugiej salonki, gdzie siedziała cała nasza ekipa.

Na początku mieli nam towarzyszyć wyłącznie Mike i asystent Rendicha, młody, wesoły i – ku niezadowoleniu Leo – bardzo przystojny Denis Morton, ale na nich się nie skończyło. Dzień przed wylotem, na ostatniej małej odprawie w mieszkaniu Leo, Thor trzeźwo zauważył, że przydałby się ktoś mający związek ze służbą zdrowia, kto przy okazji pomógłby nam przy dziecku. Nie mogłam sobie wybaczyć, że sama na to nie wpadłam. Nieźle byśmy się urządzili! Przecież ani ja, ani Leo nie mieliśmy bladego pojęcia, jak postępować z niemowlakiem. Leo wynajął prywatną pielęgniarkę, siostrę Ednę, a ona zasugerowała, żeby zabrać pediatrę. Na wszelki wypadek. Jako czwarta dołączyła więc doktor Jennifer Foster, w skrócie Jenny. Na koniec, jako piąty, a raczej siódmy pasażer (dobrze, że nie ósmy, choć ósmy miał z nami wracać) leciał tłumacz. Nie miałam pojęcia, po co go bierzemy, skoro urzędowym językiem Zimbabwe był angielski, ale Leo się uparł.

– Ciekawe, jak się zmieścimy do helikoptera? Taka wycieczka? – Pokręciłam głową, gdy zobaczyłam tych wszystkich ludzi czekających na nas przy samolocie.

– Spokojnie. Niech cię o to głowa nie boli – stwierdził Leo, a potem szybko pomógł mi zniknąć w czeluściach odrzutowca.

Oczywiście już na nas czekali... Bynajmniej nie załoga samolotu (choć ona też), lecz fotoreporterzy. Zauważyli nas już na Heathrow, mnie, Leo i Mike'a. Znów mieliśmy nieplanowany trening, gdy biegliśmy do naszego wejścia. Potem było w miarę spokojnie. Ot, raptem dwie czy trzy prośby o autograf i jedno selfie, gdy Leo wychodził z toalety, a jakaś nawiedzona Japonka prawie wskoczyła mu na plecy. Było raczej do przewidzenia, że w Amsterdamie natkniemy się na stadko krążących sępów.

Gdyby wiedzieli...

Że wzięliśmy ślub (schowaliśmy obrączki)...

Że możemy wrócić z dzieckiem...

Pewnie weszliby do luków bagażowych albo przypięli się do skrzydeł.

– To jak? Idziemy zobaczyć tę sypialnię? – Leo wyrwał mnie z zamyślenia.

– Jesteś okropnie uparty – szepnęłam cicho, bo ciągle mi się wydawało, że gromadka naszych pomocników słyszy wszystko zza kotary.

– To nasza podróż poślubna.

– Uhm... – mruknęłam, zdejmując dłoń Leo z kolana.

– Na dodatek bardzo możliwe, że po powrocie nie będziemy mogli spokojnie się wyspać. Dziecko będzie płakało, budziło nas w nocy i tak dalej...

– Leo, przecież my nie śpimy razem – syknęłam. – Ty mieszkasz u siebie, a ja u siebie.

– Hm... Czy miałem halucynacje, czy wzięliśmy ślub? – przypomniał mi, coraz odważniej sobie poczynając. – A ten śliczny dziecięcy pokój, który urządziłaś razem z siostrą Edną tuż przy mojej, a raczej naszej sypialni?

– O Jezu... – stęknęłam. – Niech ten tydzień trwa rok. Już boję się wracać.

Leo miał rację. Miał cholerną rację. Byłam jego żoną, lecieliśmy w podróż poślubną, choć prawie nikt o tym nie wiedział, a na dodatek celem tej wycieczki była adopcja dziecka. „Czelendź level ekspert”, jak by to powiedziała Wika. A to się władowałam. Po same uszy.

– Nie mięknij, mała – odparł Leo i puścił mi oczko. – Powiedziało się „A”, trzeba powiedzieć „B”. To jak? – Wstał i wyciągnął dłoń. – Pani Black, czy zrobi mi pani tę przyjemność?

– Zrobię, ale obiecaj, że to ty powiesz o wszystkim mojej mamie. – Wstałam na nogach jak z waty.

– Okej. Umowa stoi. – Leo wziął mnie na rękę. – Zawsze cię obronię. Zawsze. Nawet przed Julką.

* * *

Podróż ciągnęła się w nieskończoność, choć musiałem przyznać, że w towarzystwie żony upłynęła mi znacznie przyjemniej niż jakakolwiek przedtem. Wylądowaliśmy w Harare, a stamtąd wojskowym śmigłowcem dotarliśmy do Rusape. Tam poznaliśmy Simbę Munyuki, czyli czterdziestoletniego mieszkańca Rusape, absolwenta prawa na Catholic University of Zimbabwe, naszego przewodnika, pomocnika i człowieka od wszystkiego. Okazał się potężnym facetem, przewyższającym mojego ochroniarza niemalże o głowę. Anna prawie połknęła własny język, gdy ujrzała, jak Simba wysiada z siedmioosobowego vana.

– Guliwer – szepnęła mi do ucha. – Ależ jest wielki.

– Nie da się ukryć – burknął Mike, stojący tuż za nami. – Ale Guliwer chyba nie był czarnoskóry, a ten potwór jest czarniejszy od dziury w...

– Ekhm... – chrząknęłam, bo Mike chyba zapomniał, że nie jesteśmy sami.

Prosiłem go o wzmożoną czujność, choć musiałem przyznać, że fotoreporterzy zawiedli. Zgubiliśmy ich jeszcze w Amsterdamie i na lotnisku w Harare nikt nas nie poznał i nie niepokoił. Poprawiłem daszek bejsbolówki

i rozejrzałem się dookoła.

– Czysto – usłyszałem zza pleców. – Wyluzuj.

Simba podszedł do nas, przedstawił się, wszyscy uścisnęliśmy mu dłoń i poszliśmy za nim do samochodu. Mieliśmy się zatrzymać w prywatnym domu, bo w Rusape działał tylko jeden hotel, ale warunki w nim były ponoć dalekie od przyzwoitych. W miasteczku funkcjonowały jeszcze dwa niewielkie domy gościnne, tych też Simba nie polecał. Wynajęty dom spodobał się nam od razu. Widać było, że właściciel należy do dobrze sytuowanych osób, a budynek na tle innych wyglądał co najmniej na pałacyk.

– Cztery sypialnie na górze są do państwa dyspozycji, ja będę nocował na parterze. Jeśli chcesz, możesz zająć pokój obok mojego – zaproponował Denisowi, którego Simba znał bardzo dobrze, bo nieraz współpracowali w podobnych sprawach. – Kolację podadzą zaraz w jadalni po prawej stronie od schodów. Za białymi drzwiami. – Wskazał je brodą. – Tam zbierzemy się za godzinę. Chyba wam wystarczy, żeby się odświeżyć?

– Tak – odpowiedziała Anna, bo, jak na komendę, wszyscy spojrzeli właśnie na nią.

Dostał nam się całkiem ładny pokój, duży i widny, umeblowany w angielskim stylu i wyposażony we wszelkie udogodnienia.

– Myślałam, że będzie upalnie, a tu całkiem przyjemna pogoda. – Anna usiadła na skraju materaca i pomachała nogami. – Spodziewałam się stojącego powietrza, gęstego jak zupa.

– Największe upały są w styczniu i lutym.

– Bardzo ładny ten dom.

– Uhm – potwierdziłem, siadając przy niej. – Później się rozpakujemy. Na razie idę pod prysznic, chyba że ty chcesz pierwsza? – Nachyliłem się i objąłem ją, bo mimo starań, żeby wypaść pogodnie i z animuszem, wyglądała bardzo mizernie. Prawie dobę spędziliśmy w powietrzu i Annie wyraźnie to nie posłużyło.

– Idź. Muszę chwilę odsapnąć.

– Coś się stało? – zapytałem, widząc, jaka jest zgnębiona. Jej śliczne oczy zapadły się, a twarz przecinały delikatne skurcze mięśni. – Wilczku? Wszystko w porządku?

– Muszę zadzwonić do mamy – odparła, podnosząc na mnie dalekie, zmęczone spojrzenie. – Nie znoszę jej okłamywać.

– Jeśli chcesz, powiedz jej prawdę – powiedziałem po namyśle. – Powiedz, gdzie jesteśmy, chociaż tyle.

– Leo, to nie ma najmniejszego sensu. Zaczną się pytania, a ja... – Zwiesiła głowę. – Przecież nic nie wiemy, nie wiemy, co uda się załatwić. Tak jak jest, jest dobrze.

– Ale i tak ci źle?

– Uhm. Boję się. Boję się, że znajdziemy Krisa, i tego, co będzie potem, ale jeszcze bardziej boję się, że wrócimy bez niego. – Podniosła na mnie szkliste spojrzenie. Przełknęłam ślinę, bo wyglądała bardzo żałośnie. Dawno jej takiej nie widziałem, chyba wtedy, gdy wróciłem z Wyee i przyjechałem do niej do domu.

– Posłuchaj, cokolwiek się stanie, będzie dobrze. Rozumiesz? Znajdziemy Krisa prędzej czy później, to bardzo sprytny i doświadczony Wędrowiec, przypominam ci. – Uścisnąłem jej dłoń. – Teraz jest łatwiej, jest Internet. Odnajdziemy się błyskawicznie, gdy tylko nasz rudzielec przypomni sobie, kim jest. W najgorszym wypadku poczekamy te siedemnaście, może osiemnaście lat. Poza tym mamy Księgę – zerknąłem na torbę leżącą tuż przy Annie – pomoc Thora i Bekan, i oczywiście twoje zdolności. Co roku, w urodziny Krisa, nadasz mu sygnał. Powiesz, gdzie jesteśmy, kim jest on. Zobaczysz, to minie tak szybko, że nawet się nie zorientujemy, a już Kris będzie z nami. Okej? – Nachyliłem się, żeby lepiej ją widzieć. – Tak samo będziemy postępować z Dalilą. Przecież już to ustaliliśmy.

– No wiem – mruknęła bez przekonania Anna.

– A z maluchem też sobie poradzimy. Anna, mój Wilczku... – Lekko uniosłem palcem jej podbródek. – Co z tobą, kochanie?

– Leo, po prostu chyba jestem zmęczona. – Wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz, zadzwonię do Julii. Powiem, że się kąpiesz albo śpisz. Strzelę kilka fotek i jej wyślę. Widziałem za oknem jakieś palmy. Choć na piramidy bym nie liczył – zażartowałem.

– Nie. Sama zadzwonię.

– Okej.

– Leo...

– Tak?

– Przepraszam. Okropnie marudzę. – Anna przylgnęła policzkiem do mojej piersi, tam gdzie biło serce.

– Masz prawo. Jak każda przyszła mamusia – szepnąłem i ucałowałem ją we włosy. – Masz prawo...

Wszyscy byliśmy punktualnie. Stół już zastawiono. Zjedliśmy typową angielską kolację, a potem Simba zaproponował po lampce wina i poprosił mnie, Annę i Denisa o rozmowę. Reszta towarzystwa dyskretnie się ulotniła, został jedynie Mike, ale on potrafił się wyłączyć. Siedział w rogu jadalni, drzemał, ale wiedziałem, że słucha, o czym mówimy – bynajmniej nie z ciekawości, raczej pod kątem ewentualnych zagrożeń. Od „śmierci” Krisa i Dalili był bardzo przeczulony, a ja za każdym razem czułem się beznadziejnie, gdy widziałem, jak Mike się przejmuje, strzela oczami na wszystkie strony i nie potrafi zrozumieć, dlaczego uparcie odmawiam zatrudnienia kilku dodatkowych ochroniarzy i czemu zwolniłem tych dwóch, którzy pilnowali Anny.

Co miałem mu powiedzieć? Że największe niebezpieczeństwo, które tak naprawdę groziło Annie, a nie mnie, zniknęło z powierzchni Ziemi? Że fotoreporterzy i te wszystkie napalone gówniary oraz ich ekscesy nie miały żadnego znaczenia? Dla mojego przyjaciela (bo śmiało mogłem tak nazywać Mike'a) byłem pewnie lekkoduchem, niefrasobliwym młodzieńcem, zbyt mocno przeświadczonym o własnej nietykalności.

– Jak dobrze zrozumiałam, dotarłeś do dwóch chłopców? – zapytała Anna, gdy Simba skończył swoją lakoniczną wypowiedź. – Dwóch malców urodziło się drugiego czerwca, obaj tutaj, w Rusape, w miejskim szpitalu?

– Tak.

– Są tu jeszcze inne szpitale? – wtrąciłem.

– Nie, tylko ten jeden.

– Nie chcę być niemila... – zaczęła nieśmiało Anna – ale czy masz pewność, że nie urodziły się inne dzieci, ale ktoś coś zaniedbał?

– Chodzi ci o porządek w dokumentacji? – domyślił się Simba i błysnął bielutkimi jak porcelana zębami. Podrapał się po wydatnej szczęce i spojrzał na nas z satysfakcją. – Otóż jestem pewny, że mają porządek, bo niedawno był tu niezły cyrk. Kontrolowali szpital i okazało się, że od czterech lat paru gości, którzy zajmowali się zamówieniami publicznymi na leki i sprzęt, odstawiało niezłe wałki. Poleciało sześć głów, między innymi główny księgowy, i od tego czasu mają porządek. Perfekcyjny. – Pulchne wargi Simby ułożyły się w dzióbek, żeby głośno cmoknąć z uznaniem. – Szpital dostał dotację, ponad dwa miliony dolców, a ta drużyna zmalwersowała sporo tej kasy. Pieniądze poszły do bardzo niewłaściwych ludzi, którzy handlowali kiepskim sprzętem medycznym i lekami bez odpowiednich zezwoleń, więc teraz są ostrożni.

– Dokumenty związane z narodzinami tych dwóch chłopców na pewno są w porządku – powiedział Denis. – Sprawdziłem.

– Tylko dwójka? – Nie mogłem uwierzyć, że w tak dużym mieście, zamieszkanym przez ponad dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, urodziło się tylko dwóch chłopców.

– Jeszcze osiem dziewczynek – uzupełnił szybko Simba. – Ale dziewczynki was nie interesują?

– Nie – potwierdziła Anna.

– Okej. Więc mamy tę dwójkę. Oto zdjęcia. – Simba rozsznurował papierową teczkę i wręczył nam fotografie.

Musiałem przyznać, że od razu oblała mnie fala potu, lecz niepotrzebnie. Na obu zdjęciach ujrzelśmy tylko twarzyczki bobasów, na dodatek dzieci miały zamknięte oczy. Owinięte w jakieś pieluszki, leżały grzecznie w plastikowych korytkach. Widziałem to nie raz i nie dwa w gazetach czy telewizji.

– Ale podobni. Nie do rozróżnienia – westchnęła Anna. Wzięła do rąk

zdjęcia i zaczęła je porównywać. Jej dłonie lekko drżały, chyba wszyscy to zauważyliśmy, bo Simba otworzył jeszcze jedną butelkę wytrawnego wina i napełnił nasze kieliszki.

– Hm... – chrząknąłem, wyjmując jedno zdjęcie spomiędzy palców Anny. – Chcieliśmy zobaczyć całe dziecko, zwłaszcza...

– Wiem. Denis wspominał, że zależało wam na fotografii dzieci bez... – przerwał mi Simba i tym razem to on lekko odkaszlnął w kułak. – Wiecie, jak jest. U nas też ostatnio coraz więcej mówi się o publikowaniu zdjęć nagich dzieci, ale możecie być pewni, że to chłopcy. – Uśmiechnął się dziwnie.

– O matko... – jęknęła Anna i oblała się purpurą od brody po cebulki włosów. – Po prostu...

– Spokojnie. Wymyśliłem coś. – Simba nie pozwolił jej skończyć. – Na szczęście nie wszyscy pracownicy szpitala są krystalicznie uczciwi i udało mi się załatwić uczestnictwo w badaniu dzieci. Niestety, mogłem podać tylko jedną osobę i będziesz nią ty. – Wskazał na Annę. – Chyba wiadomo dlaczego?

– Wiadomo. – Pokiwałem głową.

– Opłaciłem lekarza pediatrę z tutejszego szpitala, który wezwał na jutro rodziców i niemowlęta urodzone na przestrzeni tygodnia, trzy dni przed interesującą was dwójką, z dnia ich urodzin oraz trzy dni po. Anna będzie mogła dokładnie pooglądać dzieci, również bez ubranek, bo badania – pokazał palcami znak cudzysłowu – odbędą się pod kątem profilaktyki stulejki.

– Co?! – wyrwało mi się mimowolnie. – Co za...

– Idiotyzm? – poddał Simba. – Możliwe. Ale coś musiałem wymyślić, a poza tym dodatkowe darmowe badanie to chyba nic złego? – zapytał, wznosząc do góry swój kieliszek.

– Chyba nie – przytaknąłem bez przekonania.

– Ale ja się na tym nie znam! Litości! – Do Anny dopiero teraz dotarło, w jakiej roli ma wystąpić.

– Spokojnie. Będę tam z tobą. Będziemy sobie stali i patrzyli, udając bardzo ważnych urzędników, którzy zostali oddelegowani, żeby skontrolować pracę służby zdrowia.

– Boże, co za bzdura... – Pokręciłem głową. – Chcieliśmy tylko zobaczyć ich rączki. Tylko rączki, nie całych chłopców, a już na pewno nie ich genitalia. – Wreszcie zdołałem powiedzieć to, co powinienem był oznajmić od razu.

– Rączki? – Simba wybałuszył swoje wielkie oczyska, aż błysnęły białka.

– Tak, dłonie.

– Ale po co?

– Choćby po to, żeby stwierdzić, czy dziecko nie ma zespołu Downa – wypaliła Anna i natychmiast popatrzyła na mnie. – *Nic nie mów, zaraz im wytłumaczę* – przekazała mi bezgłośnie. – Dziecko ma wówczas inny układ linii

papilarnych. Jeśli się wie o tym zespole, można od razu podjąć leczenie, które pomoże dziecku w dorosłym życiu. W funkcjonowaniu.

– No właśnie – przytaknąłem skwapliwie, dumny jak cholera, że tak elegancko wybrnęła. Na dodatek z sensem i na tyle przekonująco, że obaj nasi rozmówcy od razu to łknęli.

– Ha! – Simba zastukał palcami o blat stołu. – To się nie dogadaliśmy. Ale to żaden problem, obejrzyś rączki i nie tylko. Nie przesadzajmy. A zresztą chyba warto mieć stuprocentową pewność, że to chłopiec? – Uśmiechnął się głupkowato.

– Na profilaktyczne badanie pod kątem stulejki dziewczynki raczej nie przychodzą – wtrącił z ironią Denis.

– Zaraz zwariuję. Pierwsze slipy dostałem w wieku jedenastu lat – oświecił nas Simba. – Wy, ludzie z wysoko ucywilizowanych krajów, lubicie stwarzać sztuczne problemy. Ile można gadać o niemowlęcym tyłku? – Zaśmiał się i dopił resztkę wina. – Widzimy się jutro przed ósmą, na śniadaniu.

Ustaliliśmy, że do szpitala pojedą ja i Anna, Edna oraz Simba. Pozostali mieli czekać pod telefonem. Wyjazd zaplanowano na dziewiątą rano, po czym wróciłem z Anną do naszej sypialni.

– I co o tym myślisz? – zapytałem, gdy wyszła z łazienki po szybkim prysznicu.

– Mam mętlik w głowie. Nie wygląda to sensownie, może właśnie dlatego się uda? – Położyła się obok i spojrzała na mnie z nadzieją. – Pooglądam tę dwójkę. Mam patrzeć na nadgarstek?

– Tak. Kris chyba zawsze miał w tym miejscu znamię.

– Ciekawe, czy będzie je widać? Te dzieci miały naprawdę ciemną skórę, choć nie taką jak Simba.

– Fakt, Simba jest czarny jak noc.

– One też ściemniają – przypomniałem, co nasz przewodnik mówił o zmianie koloru skóry wraz z wiekiem. Noworodki rodzą się dosyć jasne, niektóre wyglądają jak mulaci, ale ich skóra zaczyna ciemnieć już dobieg po narodzinach.

– Oczywiście poza Krisem, bo on będzie jaśniał – przypomniała Anna. – I rudział.

– Za kilka lat nie byłoby wątpliwości, że jest Wędrowcem.

– Albo załatwimy to teraz, albo wcale. Przecież nie adoptujemy dziecka, które ma pięć lat.

– No tak. Znamię jest lekko wypukłe, jeśli go nie zobaczysz, to może wyczujesz? – Zmarszczyłem czoło. – Mimo wszystko powinno być je widać. Nie jest aż takie małe.

– Nie jest – potwierdziła Anna.

Już miałem powiedzieć, że bardziej martwię się o to, co będzie, gdy jeden z tych malców rzeczywiście okaże się naszym przyjacielem. Jak rozmawiać z jego

rodzicami, przekonać ich, żeby pozwolili nam adoptować syna? Właśnie uświadomiłem sobie, że porwaliśmy się na coś absolutnie szalonego, a wszystko to, co zdarzyło się dotychczas, było betką w porównaniu z ewentualną jutrzejszą konfrontacją.

– Będzie dobrze – powiedziałem, żeby ją uspokoić, ale kogo chciałem oszukać?

– Będzie, a teraz śpijmy. Zostało nam osiem godzin. A zanim zaśniemy przez *jet lag*, pewnie pięć.

– *Jet lag*? Jaki *jet lag*? Przez dwie godziny różnicy? – zauważyłem.

– Mózg mi wysycha – mruknęła pod nosem Anna.

– Mogę cię przytulić? – zapytałem, bo owinęła się pledem po samą szyję.

– Możesz.

Jakoś zasnęliśmy. Dwugodzinny *jet lag* przegrał ze zmęczeniem, ale i tak całą noc śniłem koszmary...

* * *

Ostatnio los nas nie rozpieszczał, ale to w niczym nie pomogło. Chyba nie można się zahartować i zaimpregnować na kolejne przeżycia. Trzęsłam się jak galareta, gdy dotarliśmy do szpitala w centrum miasteczka. Simba wprowadził mnie do środka, przedstawił lekarzowi, miłemu doktorowi Ngwaru, który dla odmiany był bardzo niski i dosyć tęgi. Wypiliśmy szybką kawę z automatu stojącego na korytarzu i „rozpoczęliśmy badania”, czyli odgrywanie jakiegoś spektaklu, choć muszę przyznać, lekarz faktycznie badał dzieciom to i owo. Stałam obok jak idiotka, czekając na interesującą mnie dwójkę, a gdy doktor Ngwaru podał mi kartotekę pierwszego z chłopców, oblałam się potem. Serce waliło w piersi jak oszalałe, bo zobaczyłam tę pamiętną datę, dzień, w którym zmarł Kris.

– Pani doktor, proszę podejść – powiedział towarzyszący nam Simba i wykonał dyskretny ruch ręką, żebym stanęła tuż obok niego.

– Już. – Szybko przysunęłam się do przewijaka, na którym leżało niemowlę.

– Ależ jesteś śliczny – zachwyciłam się malcem.

Miał skórę w kolorze mlecznej czekolady i niebiesciutkie oczy. Był naprawdę słodki, jak z obrazka. Nagle poczułam lekkie szturchnięcie, Simba dyskretnie wskazał brodą na matkę chłopczyka. Młoda dziewczyna, na oko nastolatka, na pewno niemająca więcej niż jakieś siedemnaście, może osiemnaście lat, stała boso przy drzwiach i patrzyła na mnie jak na najgorszego wroga. Aż się skuliłam pod wpływem jej spojrzenia. Szybko odwróciłam wzrok.

Ostrożnie rozchyliłam piąstkę dziecka i spojrzałam do jej wnętrza. Było blad różowe, nachyliłam się, żeby dokładnie zobaczyć, czy w małych fałdkach na lewym nadgarstku nie kryje się znamię, gdy usłyszałam ciche syknięcie dobiegające od strony drzwi. Mama chłopca nie była zadowolona, że oglądałam

i dotykam jej synka.

– Pani doktor sprawdza, czy dziecko jest zdrowe – uspokajająco rzucił Simba, a mnie szepnął do ucha, żebym się pospieszyła.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy oboje opuścili gabinet. – *Pierwszy chłopczyk sprawdzony. Na pewno nie miał znamienia. Sprawdziłam dokładnie* – szybko przekazałam Leo, który pewnie siedział jak na szpilkach i czekał na wieści.

– Chcesz przerwy? – spytał Simba, ale pokręciłam głową, więc doktor Ngwaru wezwał kolejną mamę i dziecko, drugie i ostatnie do sprawdzenia.

Gdyby ktoś spytał, co czułam, widząc wchodzącą do gabinetu kobietę, tym razem nieco starszą, ze śladami ciężkiego życia odbitymi na twarzy, z oczami przepełnionymi strachem i troską, tulącą do piersi swojego synka, powiedziałabym, że chcę natychmiast stąd wyjść. Wybiec z gabinetu, wsiąść do samochodu i jak najszybciej wrócić do Londynu. Ale nie mogłam. Wzięłam głęboki wdech i odsunęłam się, żeby doktor Ngwaru mógł rozpocząć badanie.

Powtórnie zostałam poproszona o dodatkowe „badanie”, a gdy ten drugi chłopczyk, słodki maluszek z nieco ciemniejszą skórą niż jego poprzednik, rozplakał się wniebogłose, kiedy tylko nachyliłam się, żeby go pooglądać, poczułam, jak uginają się pode mną nogi. Ostatkiem sił sprawdziłam, czy na jego malutkim ciałku nie ma znaku Eperu, a kiedy upewniłam się, że nie, odetchnęłam z niewymowną ulgą.

Tak, przegrałam, a raczej ja i Leo przegraliśmy batalię o odnalezienie Krisa, ale nie wyobrażałam sobie, co mielibyśmy zrobić, gdyby okazało się inaczej, gdyby któryś z tych dwóch chłopców był naszym przyjacielem. Jak moglibyśmy odebrać go mamie, która już zdążyła go pokochać? Nie mieliśmy prawa.

– Ja chyba już pójdę... – powiedziałam cicho do Simby. – Mam dość. To niedorzeczne, co robimy.

– W porządku. – Krzepiąco klepnął mnie w ramię.

Zdjęłam fartuch, oddałam go doktorowi Ngwaru i pożegnałam się bez słów. Wyszliśmy z gabinetu. Na korytarzu czekały jeszcze cztery mamusie, wszystkie ze swoimi dziećmi, których nie zamierzały nikomu oddać. Widziałam to w ich spojrzeniach. Miałam wrażenie, że wiedzą, po co tu przyjechałam. Z ich czarnych oczu bił jasny przekaz: „Nie ufamy ci, młoda, biała kobieto. Idź sobie i zostaw nas i nasze dzieci w spokoju”. Schyliłam głowę i przeszłam między nimi, a za mną Simba. Jak na nieszczęście na końcu korytarza spotkaliśmy matkę pierwszego z chłopców urodzonych w dniu śmierci Krisa.

Gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie padłabym trupem na zielone linoleum, którym wyłożono posadzkę przychodni pediatrycznej, usytuowanej na parterze miejskiego szpitala w Rusape. Wiedziona jakimś dziwnym przymusem, przystanąłam przed nią i z trudem wyartykułowałam przeprosiny.

– Proszę, nie gniewaj się na mnie – powiedziałam, a ona jeszcze mocniej

przytuliła dziecko do piersi. – Mam nadzieję, że twój synek wyrośnie na wspaniałego i zdrowego mężczyznę.

Nie rzekła ani słowa. Spoglądała na mnie, czujna i gotowa w każdej chwili rzucić mi się do gardła, gdybym jeszcze raz spróbowała dotknąć jej dziecka. Widziałam, że jest biedna. Nie miała butów, a bawełniana bluzka nosiła ślady wielu napraw. Przez moment rozważałam, czy mogłabym zaproponować jakąś pomoc, ale zdałam sobie sprawę, że ta młoda dziewczyna wzgardziłaby każdą jej formą, zwłaszcza pieniężną.

– Chodź. Leo czeka. – Simba chwycił mnie za łokieć i powiodł do wyjścia.

Prowadził mnie jak ślepcę, łzy rozmazywały obraz, a szloch dusił w gardle...

Rozdział 12

Niespodzianka z balii

– Nie płacz – poprosiłem, tuląc Annę do piersi. – Nic się nie stało.

– Stało się – zaprzeczyła. – Poza tym to nie ty musiałeś uczestniczyć w tym wszystkim! – wyszłochiała gdzieś pod moją pachą.

Spojrzałem nad jej głową na Simbę. Wzruszył ramionami, ale nie skomentował jej słów. Anna przekazała mi mentalnie tylko tyle, że żaden z chłopców nie miał znamienia. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak rozpacza. Liczyliśmy się z niepowodzeniem naszej misji, więc trochę zaskoczyło mnie jej zachowanie. Postanowiłem, że zanim wrócimy do naszej kwatery, posiedzę z nią chwilę, żeby mogła się uspokoić. Na szczęście Simba chyba wyczuł, że chcemy zostać sami, i wsiadł do samochodu, gdzie czekała Edna.

– Chodź, spacerujemy się. Tu niedaleko jest mały skwer. Usiądziemy i porozmawiamy na spokojnie – zaproponowałem.

– Gdzie moja torba z Księżą? – spytała Anna, podnosząc zapłakaną twarz. Jej oczy wprost pływały w łzach.

– Mam ją tutaj. – Poprawiłem pasek na ramieniu.

– Daj. – Anna wzięła torbę i założyła pasek przez głowę.

Lubiła mieć Księżę blisko siebie, czuła się wtedy bezpiecznie. Może to był błąd, że nie zabrała jej do szpitala? – zastanawiałem się, prowadząc moją zapłakaną żonę wąskim chodniczkiem. Znalazłem wolną ławkę, rozejrzałem się wokół, na szczęście byliśmy prawie sami w tym zakątku skromnego ogrodu otaczającego budynek szpitala. Jediną osobą, która siedziała niedaleko, może trzy metry od nas, była siostra zakonna. Chyba się modliła, a może drzemała. Nie mogłem dostrzec, czy ma otwarte oczy, bo przysłaniały je stare okulary o bardzo grubych szklach w szylkretowych oprawkach.

– Czemu się rozpłakałaś? – spytałem, gdy usiedliśmy. To był błąd. Ciałem Anny od razu wstrząsnął źle stłumiony szloch. – Przepraszam, jak nie chcesz, nic nie mów. – Uścisnąłem jej dłoń.

– Zaraz ci opowiem – wychlipała Anna i zajrzała do torby, by po chwili spytać, czy nie mam chusteczki. Nie musiała pytać. Zawsze miałem przy sobie paczkę, właśnie dlatego, że mój Wilczek prawie nigdy ich nie miał.

– Proszę, masz chusteczki.

– Leo... – zaczęła po dłuższej chwili.

– Tak?

– Ta cała adopcja to był bardzo zły pomysł. Ech, gdybyś widział te kobiety... – potrząsnęła głową. – One kochają te dzieci, były jak lwice, gdy ktoś próbuje zaatakować ich małe. Wiesz, jak na mnie patrzyły? – spytała z rozpaczą

w głosie. – Jak na potwora. Potwora, który wymyślił sobie, że chce im zabrać dziecko.

– Kochanie, to nie tak – natychmiast zaprzeczyłem. – Przecież one nie miały pojęcia, dlaczego tam byłaś. Myślały, że pomagasz lekarzowi.

– Właśnie, że wiedziały – powiedziała z mocą Anna. – Czuły to. Rozumiesz? Wyczuwały matczynym instynktem, że coś jest nie tak. – Powątpiewająco uniosłem brwi, co jeszcze mocniej ją rozjuszyło. – Nie doceniasz instynktu. Musiały wyczuć, że mam złe zamiary.

– Adopcja to raczej dobry zamiar – zauważyłem, doskonale zdając sobie sprawę, że akurat w naszym wypadku sprawa była skomplikowana. – Kris chciał, żebyśmy tu przyjechali. Inaczej nie wskazałby nam tego miejsca. Mieliśmy powody.

– Wiem. – Anna spuściła wzrok na swoje dłonie i zaczęła bawić się obrączką. Nosiła ją, tak samo jak ja moją, od dzisiaj i pewnie nie mogła się przyzwyczaić do jej obecności. – Wiem, że mieliśmy powody.

– I liczyliśmy się z porażką.

– Dziękuję Bogu za tę porażkę. Leo, prawie pękło mi serce. Uwierz. Mama jednego z tych chłopczyków musiała skądś wiedzieć, jaki miałam zamiar. Gdybyś ją widział... Ech... – Anna na moment przycisnęła zaciśniętą dłoń do ust. – Ta dziewczyna mogła mieć szesnaście lat, może siedemnaście. Nie więcej. Była bardzo biedna, nie miała butów, założyła stare i pocerowane ubrania, ale jej synek wyglądał inaczej. Widać, że to jemu oddała wszystko, co miała. Kupiła mu ładne ubranka, miał nawet malutkie paputki i czapeczkę. Pomyśl, co by zrobiła, gdybyśmy chcieli jej zabrać to dziecko? Przecież umarłaby z rozpaczy. – Anna przymknęła oczy. Spod powiek trysnęły kolejne łzy. – Nawet gdyby sama chciała nam je oddać, żeby żyło mu się lepiej i miało lepsze warunki, nie miałabym serca ich rozdzielić. I chyba nikt by tego nie zrobił. To po prostu nieludzkie i okrutne.

– Pamiętasz? Simba mówił, że skontaktuje nas z odpowiednimi ludźmi w sprawie darowizny. Poproszę go, żeby dotarł do matek wszystkich tych dzieci i w moim imieniu wsparł je indywidualnie. Może tak być? – zaproponowałem, żeby choć trochę ulżyć Annie.

– Okej. – Otarła policzek. – Trzeba im pomóc. Koniecznie.

– Kris zostawił dwa miliony funtów do rozdysponowania na rzecz fundacji działających w Afryce – powiedziałem cicho, bo nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że siedząca na sąsiedniej ławce zakonnica nas podsłuchuje. Jej palce przestały przesuwac paciorki różańca, a ona sama przesunęła się nieco, żeby być jak najbliżej nas. – Zajmiemy się tym zaraz po powrocie do Londynu.

– Możemy już jutro wracać? Nie chcę tu dłużej być.

– Jasne. Spakujemy się i możemy nawet dzisiaj polecieć do Harare. – Wstałem i wyciągnąłem dłoń do Anny. – Chodźmy.

Już ją objąłem i właśnie mieliśmy ruszyć w stronę parkingu, gdy zza pleców dobiegły nas słowa:

– Poczekajcie...

* * *

Siostra Klara pracowała, czy raczej służyła, bo za swoją pracę nie pobierała żadnego wynagrodzenia, we wspólnocie Emmaus. Szła obok nas i opowiadała o sobie. Powiedziała, że ma trzydzieści lat, choć tusza sprawiała, że wyglądała na co najmniej czterdzieści. Przyjechała do Zimbabwe osiem lat temu, co ciekawe, z Londynu, a co najciekawsze, z jednego z polskich kościołów. Niewysoka, z bladą cerą pokrytą setką ciemnych piegów, miłym i ciepłym uśmiechem i oczami, których prawie nie było widać zza szkieł, grubych jak denko szklanki do whisky. Mimo to byłam pewna, że jedyne, co można w nich dostrzec, to dobro i serdeczność.

Poprawiła czepiec, spod którego wypływały co chwilę kropelki potu, i chwyciła mnie za rękę. Zatrzymaliśmy się, bo nie wypadało iść, gdy siostra wyraźnie miała nam coś ważnego do powiedzenia.

– Kochani, bardzo przepraszam, że was podsłuchiwałam, ale jestem uchem Boga, więc musicie mi wybaczyć. – Zaśmiała się wesoło. – Widocznie miał w tym swój cel, że was spotkałam, i to zupełnym przypadkiem. Odwiedzałam jedną z podopiecznych wspólnoty, bo leży tu po zabiegu, i coś mnie tknęło, żeby iść do ogrodu i pomodlić się za nią.

– Czasami najlepsze, co nas spotyka w życiu, to zbiegi okoliczności – powiedział Leo.

– O tak! – zgodziła się nasza rozgadana towarzyszka. – Nazywam je dotknięciem bożego palca. Więc, jak mówiłam, pomożecie mi, najdrożsi, a wtedy może ja pomogę wam.

– Ale o co chodzi? – Leo dosyć ostrożnie podchodził do osób, które nas zaczepiały. Przymrużył oczy i zrobił daszek z dłoni, osłepiały nas bowiem promienie słoneczne odbite od jasnych chodnikowych płytek. – Jak możemy siostrze pomóc?

– Jak mówiłam, trochę przysłuchiwałam się waszej rozmowie – zaczęła – ale może usiądziemy? Szkoda nóg. Może tutaj, w cieniu? – Wskazała nam ławkę stojącą obok jakiejś egzotycznej rośliny obsypanej różowymi kwiatuśkami.

– Siostra usiądzie, ty też – zadysponował Leo, a sam przykucnął przed nami.

– Mówiliście o adopcji – zagaiła.

– Owszem – potwierdził Leo i zerknął na mnie z miną: „Tak się kończą publiczne rozmowy i brak ostrożności”.

– Wywnioskowałam, że nic z tego nie wyszło. Czy mam rację? – Obróciła

twarz w moją stronę. Jej oczka zdawały się małe jak groszki. – Nie udało się wam znaleźć odpowiedniego dzieciątka?

– Uhm. – Pokiwałam głową i spłoszona popatrzyłam na Leo. – *No to pięknie, zaraz powie, że cię zna, albo zaoferuje nam jakieś dziecko. Liczę do trzech: raz, dwa...* – Nie zdążyłam przekazać mu myśli do końca, bo siostrzyczka rzeczywiście się odezwała.

– Nie możecie mieć własnych dzieci?

– Niestety, nie.

– Szkoda. Byłyby takie piękne i mądre. I uzdolnione – dodała, celując palcem w Leo. – Chciałabym, żebyście pojechali ze mną do naszej wspólnoty. To niedaleko, kilka kilometrów za miastem, na południowy zachód.

– Po co? – Leo wykrzywił twarz, powstrzymując uśmiech, bo moja przepowiednia sprawdziła się co do joty.

– Mamy kilku wychowanków, którzy u nas przebywają. Może... – Siostra Klara na moment się zacięła. – Chodzi mi o adopcję, a jeśli nie o adopcję, to chociaż o pomoc. Wiem, że to trochę nachalne z mojej strony, ale przecież nie dla siebie proszę, więc mi wybaczcie.

– Jak konkretnie moglibyśmy pomóc? Finansowo, jak rozumiem? – Leo był już chyba zmęczony wydarzeniami dzisiejszego dnia, a i mnie brakowało sił.

– Finansowo też, ale dobre słowo wystarczy, no i oczywiście modlitwa – odparła niczym niezrażona siostra Klara.

– *Trzeba jej przyznać, że ma tupet* – zachichotałam w myślach, bo przecież wiadomo było, że zarówno modlitwa, jak i dobre słowo, jakkolwiek to brzmiało, będą milej widziane, gdy dołączy do nich czek na pokaźną sumkę.

– Co o tym myślisz? – Leo zwrócił się do mnie. – Chcesz jechać do tej wspólnoty?

– Pojedźmy – odparłam, nie chcąc zrobić przykrości milej siostrze Klarze, choć szczerze mówiąc, byłam wykończona po „profilaktycznych badaniach” i jedyne, czego pragnęłam, to jak najszybciej wrócić do naszej kwatery, spakować walizki i pojechać na małe lotnisko, gdzie czekał na nas śmigłowiec.

– Skoro tak, pojedziemy z siostrą – odparł Leo. – Ale mam jeden warunek.

– Chyba wiem jaki. Bez obaw synu, gdy trzeba... – Siostra Klara przyłożyła palec do ust.

Szybko dotarliśmy na parking, gdzie czekał na nas zniecierpliwiony Simba i jeszcze bardziej poirytowana Edna. Siedziała w samochodzie ponad dwie godziny i miała tego serdecznie dość, mimo że Simba co chwilę uruchamiał silnik i klimatyzację, przyniósł jej i sobie po kubku kawy, a teraz zabawiał ją rozmową.

Naszemu przewodnikowi opadła szczęka, gdy podeszliśmy do vana w towarzystwie siostry Klary. Okazało się, że od kilku lat dobrze się znali, a Simba parę razy był we wspólnocie, zawoził tam rzeczy z darów i pomagał jako

prawnik-wolontariusz. Rzeczywiście podróż nie trwała długo i już po kwadransie dotarliśmy do wspólnoty Emmaus. Tworzył ją jeden, dosyć spory parterowy budynek z dwoma skrzydłami. Pomalowano go na biało, dach przykryto blachą falistą, a w dużych oknach zauważyłam jasne zasłony.

Niestety, o ile budynek z zewnątrz prezentował się całkiem nieźle, o tyle otoczenie podobało mi się znacznie mniej. Widać było, że brakuje pieniędzy. Posesji nie ogrodzono, wodę czerpano ze studni, a droga dojazdowa w czasie pory deszczowej zmieniała się w grzęzawisko, jak poinformował nas Simba.

– Zapraszamy – powiedziała siostra Klara i powiodła całą naszą grupkę do środka.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Grupy dzieci i radosnego gwaru? Lub przeciwnie, ciszy i powagi ewentualnie nabożnej atmosfery? Wyszło na to pierwsze. Siostra zaprowadziła nas do jednej z głównych sal, gdzie przebywała kilkunastoosobowa gromadka, od wyrostków zbliżających się do dorosłości począwszy, poprzez kilkoro dzieci w wieku szkolnym, na przedszkolakach skończywszy. Jedni się bawili, inni oglądali jakąś kreskówkę, a dwie dziewczynki siedziały przy typowej szkolnej ławce i rysowały. Był też jeden niemowlak. Wrzeszczał wniebogłosy, trzymany na rękach przez wysoką i szczupłą zakonnice. Siostra Klara przywołała ją do nas skinieniem dłoni. Spojrzeliśmy z Leo po sobie.

– *A jeśli to Kris?* – zapytałam bezgłośnie. Leo uśmiechnął się lekko pod nosem, a jego brwi kilka razy przesunęły się znacząco w górę i w dół.

– To siostra Edith, a to pan Leonard Black, bardzo sławny amerykański aktor, jego żona Anna i przyjaciółka Edna, a Simbę już znasz – przedstawiła nas wzajemnie.

– Brytyjski, jeśli już – sprostował Leo, lekko kłaniając się siostrze Edith. – I nie taki sławny.

– Ojej! Co za zaszczyt! – powiedziała bardzo głośno siostra Edith, ale jej głos i tak nie mógł się przebić przez płacz dziecka, którym coraz mocniej huśtała. Niestety, bez żadnych efektów. – To najgłośniejszy dzieciak, jaki do nas trafił – wyjaśniła. – Dziewczynka. Sądzymy, że ma miesiąc, nie więcej. Okropnie krzyczy i nikt nie potrafi jej uspokoić.

– Państwo są zainteresowani adopcją dziecka – powiedziała dobitnie siostra Klara i spojrzała na współpracownicę. Ta od razu wyraźnie się spłoszyła.

– Przepraszę was, ale chyba pójdę dać jej coś zjeść.

– Nie krzyczy tylko wtedy, gdy ma buzię zajętą jedzeniem? – zażartował Simba.

– Och, nie jest tak źle. – Siostra Klara machnęła ręką. – Pewnie ma kolki albo musi przywyknąć do nowego miejsca. Tydzień temu ktoś podrzucił ją do nas i zostawił kartkę. Znaleźliśmy ją w szopie, w której robimy pranie. Leżała w plastikowej balii, owinięta w szmatki. Dobrze, że jakiś szakal lub hiena nie

urządziły sobie kolacji – powiedziała siostra Klara i z czułością popatrzyła za odchodzącą siostrą Edith.

– Co się stało z jej rodzicami? – spytał Simba.

– Jeśli to, co ktoś napisał w liściku, jest prawdą, nie wiadomo, kto jest ojcem, a mama miała zaledwie czternaście lat i zmarła przy porodzie.

– Jezu... – Zakryłam usta, bo każdy dodatkowy detal czynił tę historię coraz dramatyczniejszą.

– Czemu ktoś ją wam podrzucił?

– Nie wiem. Może przez problemy skórne.

– Jakie? – zainteresowała się Edna.

– Ma dziwne czerwone plamki na ciałku, ale już schodzą. To potówki i lekkie odparzenia.

– Plamki? – Leo drgnął nerwowo i od razu porozumiewawczo spojrzał na mnie. – *Trafiliśmy na Dalilę?! – wysłałam mu komunikat, otrzymując w zamian prawie niezauważalne wzruszenie ramionami.*

– Tak. Maleńkie czerwone plamki. Może nowy opiekun dzieci... dziecka – poprawiła się siostra Klara – uznał, że to jakaś choroba zakaźna.

– Szkarlatyna albo ospa? – zasugerowała Edna.

– Coś takiego, ale przecież to do wyleczenia. – Siostra Klara uśmiechnęła się krzepiąco. – Był pediatra i powiedział, że to nic groźnego.

– Chcielibyśmy jeszcze raz zobaczyć tę dziewczynkę. Moglibyśmy? – Z trudem zapanowałam nad swoim głosem, zabrzmiał piskliwie jak u chłopca z mutacją.

– E... – zająknęła się siostra Klara. – Oczywiście. Pójdziemy do siostry Edith. Karmi małą, więc musimy być cicho i prosiłabym, żebyście założyli fartuchy.

– To może pójdę tylko ja i Anna – zaproponował Leo.

Staliśmy z Leo obok siebie i myśliśmy ręce. Nie wiem, jak jego, ale moje drżały mocniej niż parę godzin temu. Siostra Klara zaprowadziła nas do małej salki, gdzie jej koleżanka karmiła porzuconą dziewczynkę. Po drodze dowiedzieliśmy się, że zaraz po przyjęciu do wspólnoty dziewczynka została ochrzczona, ale prócz troski o jej duszyczkę, jak to ujęła zakonnica, zadbano również o zdrowie i małą zaszczepiono.

– Ma książeczkę zdrowia – dodała, wprowadzając nas do salki. – Przepraszam, że pytam, ale... – nagle zamilkła i odwróciła głowę. – Ech, czasami jestem zbyt namolna. Ale to dla tych biedaków wielka szansa, a przecież chcieliście adoptować dziecko.

– No tak. – Leo kiwnął głową i nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Pewnie tak samo jak ja chciał jak najszybciej zobaczyć te dziwne plamki.

Po cichu podeszliśmy do bujanego fotela, na którym siedziała siostra Edith

i karmiła małą z butelki. Dziewczynka żarłocznie pochłaniała jej zawartość, ale jak na nieszczęście mleko właśnie się skończyło i kilka sekund po tym, jak siostra odstawiła pustą butelkę na blat stolika, maleńkie usta znów wygięły się w podkówkę.

– I czemu tak ciągle płaczesz? Co? – Siostra przytuliła ją do siebie, żeby się jej odbiło. Mała, z noskiem wtulonym w popielaty habit, zamiast spokojnie pozbyć się powietrza, głośno protestowała. Wierciła się w objęciach opiekunki, jakby ją coś parzyło.

– Może pan ją weźmie na ręce? – zaproponowała siostra Klara.

Parsknęłam śmiechem, widząc minę Leo. Sprawiał wrażenie mocno wystraszonego. Wybałuszył oczy i zerkał to na mnie, to na dziecko.

– A mogę ja? – Przyszłam mu w sukurs. – Przyjaciółka ma małego synka i mam ciut więcej doświadczenia niż mąż.

Poprawiłam na ramieniu pasek torby i ostrożnie przyjęłam niemowlę. Na szczęście zawinięto je w rożek, więc nie było to szczególnie trudne. Siostra Edith ustąpiła mi miejsca na fotelu, usiadłam i kilka razy delikatnie nim bujnąłam.

– O, proszę... – Siostra Klara z zachwytem złożyła dłonie jak do modlitwy, bo mała przez chwilę popiskiwała i nagle przymknęła oczka, ziewnęła kilka razy i bardzo szybko zapadła w sen. – Masz rękę do dzieci, moja droga.

– To prawdziwy cud – poparła ją druga zakonnica.

Dobrze wiedzieliśmy, z czego wynika ich entuzjazm. Obie siostrzyczki chciały jednego. – *Liczą, że adoptujemy tę malutką* – przekazałam Leo. W odpowiedzi dyskretnie kiwnął głową. – *Zaraz zwariuję z tych emocji* – dodałam. Znów przytaknął i przełknął ślinę. On też miał ogromny problem z panowaniem nad sobą.

– Czy siostra mogłaby nam pokazać te zmiany na skórze? – spytał nieśmiało.

– No tak. – Siostra Klara uśmiechnęła się kwaśno.

– *Pewnie myśli, że to nas zniechęci* – pomyślałam, patrząc z napięciem na dłonie zakonnicy. Ostrożnie, żeby nie obudzić małej, rozsunęła brzegi rożka, a potem krawędź bielutkiego kaftanika. Miałam wrażenie, że zaraz wypadną mi oczy, tak je wytrzeszczałam, a Leo chyba przestał oddychać, bo też się nachylił, ale z jego strony nie dobiegał nawet szmer.

– O, takie to jest – powiedziała siostra Klara, pokazując nam kilka prawie niewidocznych kropek na wypukłym brzuszku. – Nie wiem, czemu ta malutka ciągle ma dosyć jasną skórę.

– Może jakieś bielactwo? – spytałam, niby od niechcienia, bo chciałam odwrócić uwagę siostry Klary. Podwinęłam wyżej brzeg kaftanika, żeby zobaczyć resztę brzuszka.

– Na pewno nie – odparła siostra Edith. – Może tatuś był Europejczykiem?

– No właśnie – sekundowała jej siostra Klara. – Chudziutka. Waży niecałe cztery kilogramy.

– Ale szybko przybiera – dodała druga. – A może chcecie ją państwo całą pooglądać? – Siostra Edith chyba się zorientowała, że nieco zbyt długo trwa to moje podziwianie czterech czerwonych punkcików wokół pępka.

– Jeśli można. – Leo chrząknął, chcąc pewnie zwrócić moją uwagę, więc natychmiast na niego spojrzałam.

– Będziemy wdzięczni, choć aż szkoda, bo tak smacznie śpi.

Siostra Edith wzięła małą z moich rąk i położyła na przewijaku. Minęła może sekunda albo dwie i duszne powietrze salki przeszył ostry krzyk.

– To był kiepski pomysł – zaśmiała się siostra Klara. – Brać ją od ciebie, moja droga – dodała, patrząc na poczynania drugiej zakonnicy.

Ta szamotała się z krzyczącym dzieckiem, próbując zdjąć z niego kaftanik. Pechowo wąskie troczki związały się w supełek i biedaczka nie mogła sobie z nim poradzić.

– Mogę? – zapytałam, stając tuż przy przewijaku.

– Ależ bardzo chętnie – powiedziała siostra Edith i z widoczną ulgą odsunęła się, żeby zrobić mi miejsce.

– Chodź tutaj, Leo – poprosiłam.

Było jak przedtem. Zaledwie moje palce zetknęły się ze skórą małej, zaraz ucichła. Otworzyła zapłakane oczka i spojrzała na mnie bystro. – *Leo, spójrz, jak ona na mnie patrzy. Aż mnie ciarki przeszły.* – Rozsupłałam węzełek i ostrożnie zdjęłam bluzeczkę, a potem majteczki i pampersa.

– Proszę, jaka jestem ładna – zaśmiała się siostra Klara.

– I grzeczna – dodała druga.

– *Leo, zobacz, co ma na rączce!* – wrzasnęłam tak głośno, że mój mąż zauważalnie drgnął. – *Ona ma znamię!!! To Dalila!!! Leo, znaleźliśmy Dalilę!*

Leo przeszedł na moją prawą stronę i, niby przypadkiem, chwycił lewą łapkę małej. Rozprostował ją, nachylił się i wlepił oczy w znamię. – *Nie ma wątpliwości. To znamię Eperu. Musimy ją stąd zabrać. Jeśli się zgadzasz...* – zastygłam, gorączkowo myśląc, jaki znak ma mi dać Leo – *dotknij jej pępka.* Wstrzymałam oddech, patrząc na rękę Leo. W końcu musnął wskazującym palcem niewielką wypukłość na brzuszku maleństwa.

– Siostrzo Klaro – zaczęłam. Przełknęłam ślinę, bo z wrażenia zaschło mi w gardle, a pusty żołądek dawał o sobie znać coraz głośniejszym burczeniem, ale nie czas było myśleć o jedzeniu. – Mamy pytanie, czy...

– Chcielibyście adoptować malutką? – Nie pozwoliła mi skończyć. Jej też udzieliły się nasze emocje, spod kornetu spłynęła po skroni maleńka kropelka potu, a szkła okularów lekko zaparowały. – Naprawdę chcecie?

– Leo? – Spojrzałam na niego. Do mojego świeżo upieczonego małżonka

nie dotarło jeszcze, że kilka dni temu został mężem, a dzisiaj miał poważne szanse na zostanie tatusiem.

– No tak – potwierdził. – Chyba się zdecydujemy, oczywiście jeśli dziecko ma uregulowaną sytuację prawną. Powinniśmy poprosić tu Simbę. – Powiół spojrzeniem po nas wszystkich.

– Najpierw to ja ją ubiorę. Trzeba zmienić pieluszkę – stwierdziłam, widząc, że pod pupką małej tworzy się coraz większa ciemna plama.

– Och tak! – Siostra Edith podskoczyła nerwowo, jakby zbudziła się z jakiegoś letargu. Podała mi nowego pampersa, wprawnym ruchem podniosła małą, a ja wyjęłam spod niej mokre ubranka. Oczywiście malutka natychmiast się skrzywiła, więc szybko trafiła w moje ręce. – Niewiarygodne przywiązanie – sapnęła z przejęciem, widząc tę dziwną zażyłość między mną a dzieckiem.

Mnie też to szokowało. Wszak malutka widziała mnie pierwszy raz w życiu, no chyba że już sobie przypomniała moją twarz, ale czy to było możliwe? Przecież Wędrowcy odyskiwali pamięć o poprzednich wcieleniach dopiero w okolicy dwudziestych urodzin, a nie parę tygodni po narodzinach. Potrząsnęłam głową, bo ta sytuacja zdecydowanie mnie przerosła. Poza tym nadal nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje z małym Krisem.

– Jak ona ma na imię? – zapytał Leo. Na szczęście on wykazywał znacznie więcej spokoju i opanowania. Albo tak doskonale grał.

– No właśnie. – Spojrzałam na siostrę Klarę.

– Catherine. Po świętej – dodała.

– Ładnie. – Ucieszyłam się. – Cathy. Nasza mała Cathy. Leo? Podoba ci się?

– Może być.

– Zawsze możecie zmienić imię – pouczyła nas siostra Edith. Owinęła małą w rożek i podała mi ją.

Twarzyczka Cathy od razu złagodniała. Zanim wzięłam ją w ramiona, nie płakała, ale patrzyła czujnie to na mnie, to na Leo. Może dlatego nie wyrażała swojego niezadowolenia, bo cały czas trzymałam ją za rączkę?

– Już się jej nie pozbędziesz – powiedział Leo. Kąciki jego ust lekko się uniosły.

– Nie mam zamiaru. – Pocałowałam czółko małej. Było słonawe i pachniało najśłodziej, jak to możliwe.

– Zawołam Simbę. – Leo spojrzał pytająco na siostrę Klarę.

– Proszę sekundę poczekać. – Siostra Edith zatrzymała go i bezwiednie zagryzła kącik ust. – Chyba powinniście poznać całą prawdę. Sostro...

* * *

Ileż można udawać, że coś sływa po człowieku jak po kacze? Na dodatek

byłem głodny jak diabli. Zjadłbym konia z kopytami i siodłem, a jak na złość z korytarza budynku docierał do nas coraz mocniejszy zapach lunchu. Widocznie przyszła pora posiłku i dzieciaki zajadały się czymś smacznym, a ja nie dość, że właśnie zostałem adopcyjnym ojcem Dalili, to siostra Edith uraczyła nas prawdziwą bombą.

– E... Czy ja dobrze zrozumiałam? – Anna zbladła jak ściana. Ona też nie potrafiła unieść tylu wrażeń. – Cathy ma brata?

– Tak. Oddając dzieci do adopcji, staramy się nie rozdzielać rodzeństwa – oznajmiła siostra Edith. – Oczywiście, jeśli państwo zdecydowanie odmówicie, pozwolimy wam zabrać Catherine, ale... – Spojrzała na siostrę Klarę z wyraźną prośbą o wsparcie.

– Ale wołałybyśmy nie rozdzielać maluchów.

– Maluchów?

– Bliźnięt.

Przycisnąłem dłoń do piersi i wziąłem głęboki oddech. „Jeszcze sekunda i padnę tu na zawał albo z głodu, a Anna zostanie samotną matką bliźnięt”.

– A gdzie to drugie dziecko? – Zmarszczyłem czoło, myśląc, czy wypada ochrzcić obie siostrzyczki, że tak pięknie nas wmanewrowały. Miały szczęście, że Cathy okazała się Dalilą. Co, gdyby była zwykłym człowiekiem? Niezłe by nas urządziły.

– Chłopczyk jest troszkę odwodniony i podałyśmy mu kroplówki. Na razie leży w izolatce, bo też miał te dziwne plamki. Siostra Inez się nim opiekuje. Mówiła, że jutro będzie go można stamtąd zabrać.

– *To na pewno jest Kris!* – głos Anny wypełnił moją głowę. Nie wątpiłem, że ma rację. Skoro znaleźliśmy tu Dalilę, musiał z nią być i mój stary-młody przyjaciel.

– Jak ma na imię? – spytałem. – Mam nadzieję, że nie Heathcliff – zażartowałem, bo powoli ogarniała mnie jakaś dziwna głupawka.

– Heathcliff? – Siostra Klara odchyliła do tyłu głowę i zmarszczyła brwi. – A! – Pacnęła się lekko w czoło. – *Wichrowe wzgórza?* – Zachichotała nieco sztucznie. – Nie. Dałyśmy mu na imię Edward.

– Edward?

– Tak. To na pamiątkę jednego z fundatorów wspólnoty – wyjaśniła.

– Uhm. – Anna pochłaniała każde słowo z naszej rozmowy. Może dlatego nie czuła głodu tak mocno jak ja.

– Nie będzie pan zadowolony... – mruknąłem do siebie. Kris nie znosił staromodnych imion, już widziałem jego reakcję, gdy kiedyś przypomni sobie swoje poprzednie wcielenia i upodobania.

– Na drugie ma Robert. Może to bardziej wam odpowiada? – zaproponowała siostra Edith.

Sprawiała wrażenie kogoś, kto długie lata pracował jako akwizytor albo przedstawiciel handlowy. Sprzedałaby wszystko. Zresztą obie wychodziły z siebie, byleby powierzyć nam dzieci. Trochę mnie to niepokoiło, ale może to obecność Simby sprawiała, że tak ślepo nam ufały?

– Skoro te plamki to nic groźnego, może pójdziemy go zobaczyć? – zaproponowała nieśmiało Anna.

– Czyli jednak rozważacie adopcję obojga dzieci? – zapytała ostrożnie siostra Edith. Jej szare oczy przepelniała nadzieja na szczęśliwe rozwiązanie.

– No tak. Skoro chcemy zobaczyć chłopca? To chyba oczywiste? – odpowiedziałem niezbyt uprzejmie, ale głód powoli odbierał mi rozum. I resztki kultury. Nagle w moich trzewiach zagrzmiało. Z pewnością wszyscy to usłyszeli, włącznie z Cathy *vel* Dalilą *vel* Ikshą, a nawet Krisem *vel* Edwardem, przebywającym gdzieś w bliżej nieokreślonym miejscu. – Przepraszam. – Potarłem dłonią po wklęsłości, gdzie jeszcze kilka godzin temu znajdował się mój brzuch.

– Ojej! – Siostra Klara pokraśniała jak piwonია. – Jesteście głodni, a my niczym was nie poczęstowałyśmy! Mały Edward może poczekać, prawda, siostrzeczko Edith?

– Naturalnie, że tak. Zaraz pójde powiedzieć siostrze Inez, że ona i Edward będą mieli gości, a na razie proszę oddać mi Cathy i iść coś zjeść. – Wyciągnęła rękę do Anny, a w naszą milusińską jakby piorun strzelił. Istny grom z jasnego nieba, tak się rozdarła. – Oj, chyba nie może na mnie patrzeć. – Stropiła się.

– Proszę ją zostawić. Jakoś zjem, zresztą nie jestem szczególnie głodna – skwitowała Anna.

Edna i Simba już raczyli się lunchem. Anna usiadła przy pielęgniarce i z triumfalnym uśmiechem oznajmiła, że to nasze pierwsze adopcyjne dziecko.

– Pierwsze? – Simba nie krył zaskoczenia. Nie miałem czasu mu tłumaczyć, co się wydarzyło. Moją uwagę zajmował nieco skromny lunch, ale i tak mogłem powiedzieć, że ryż z warzywami i odrobiną czegoś wyglądającego jak mięso z kurczaka smakował wyśmienicie.

– Pierwsze, bo jest jeszcze chłopczyk. Brat bliźniak Cathy. Malutka ma na imię Catherine, a chłopiec to Edward. Zaraz pójdziemy go zobaczyć – powiedziała Anna, nabierając odrobinę potrawki na widelec.

Musiałem przyznać, że całkiem nieźle sobie radziła, mając jedną rękę zajęętą trzymaniem Cathy. „Przyzwyczajaj się, ta nowa wersja Dalili jest do ciebie wyjątkowo przywiązana” – pomyślałem. Na razie odsunąłem od siebie rozważania, co będzie dalej i jak sobie poradzimy z dwójką maluchów. Jedno wiedziałem na pewno, wszelkie plany Anny, żeby w październiku zacząć studiowanie scenografii i kostiumologii w Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej, raczej wzięły w łeb. Cóż, sami tego chcieliśmy, a moja żona niewątpliwie była dorosła.

– Dwójka dzieci? Fiu, fiu... – Simba chyba myślał podobnie. – Nie w kij

dmuchał. Muszę zadzwonić do Denisa, żeby tu podjechał.

– To jakiś problem? – zaniepokoiłem się jego słowami. W tym całym zamieszaniu zapomniałem, że mecenas Rendich przygotował dla nas dokumentację do adopcji jednego dziecka.

– Chyba nie. – Simba podziękował za wspólny posiłek, wstał od stołu i wyszedł, żeby jak najszybciej ściągnąć tu Denisa.

Szybko dokończyliśmy lunch, bo Annie było spieszno poznać małego Edwarda. Mój żołądek został napełniony i na pierwszy plan wybiły się inne potrzeby. Ja też nie kryłem zaciekawienia. Chciałem ujrzeć małe ciemnoskóre niemowlę, które było jednocześnie moim starym przyjacielem, czasami mentorem, a teraz adopcyjnym dzieckiem.

Edna poszła z nami. Miała dość ciągłego czekania i „nicnierobienia”. Jedyne, co spędzało mi sen z powiek, to obawa, że Edek, jak szybko go nazwaliliśmy, na wzór swej siostrzyczki również upatrzy sobie Annę na ofiarę. Podzieliłem się tą obawą z moją żoną, gdy razem pokonywaliśmy długi i wąski korytarz lewego skrzydła budynku wspólnoty.

– Oj tam. – Wcale się nie przejęła. – Kupimy nosidełka. Jedno z przodu, drugie z tyłu i już, będę miała wolne ręce – skwitowała. Chyba jej schlebiało, że Cathy nawet na mnie nie spojrziała.

– Wolne ręce i kręgosłup do wymiany – zauważyłem cierpko.

– Maluchy przywykną do was. Do ciebie też, Leo – pocieszyła mnie Edna. – Kwestia czasu.

– Nie byłbym tego taki pewien. – Zajrzałem Annie przez ramię, żeby spojrzeć na Cathy. Spała, a na jej buzi malowała się błogość.

Siostra Inez, dla odmiany, okazała się rdzenną mieszkanką Rusape, bardzo korpulentną osobą w wieku balzakowskim. Już na nas czekała, ona i mały Edward. Szybko ujrzeliśmy znaną Eperu. Widniało w tym samym miejscu, w którym miał je Kris w poprzednim wcieleniu. Mimo to siostrzyczki postanowiły zaprezentować nam Edwarda w całej krasie. „Żeby nie było żadnych wątpliwości, że to zdrowy i piękny chłopczyk”. Rozebrały go z ubranek i popatrzyły z dumą na malca.

– Będzie wysoki, bo ma długie nóżki – stwierdziła pierwsza wróżka, czyli Klara.

– Na razie jest chudy, ale już troszkę przybrał. Ma sadelko na brzuszku – zauważyła siostra Edith.

– I jest bardzo, ale to bardzo grzeczny. Kochane dziecko, tylko śpi i je. I czasami robi coś w pieluszki – podsumowała pulchna Inez.

– No tak – zgodziłem się z nimi. – Może go już ubrać, chyba mu zimno?

– Już. – Siostra Inez z wprawą założyła Krisowi wszystkie ubranka, owinęła go w rożek i uprzednio zerknąwszy na Annę, spojrziała na mnie. – Dla mamusi córeczka, a dla taty synek. – Bez pytania podała mi dziecko.

Tak mnie zaskoczyła, że nie miałem szansy zaproponować i powiedzieć, że na razie to Edna będzie chyba właściwszym „nosicielem”. Ciągle jeszcze nie mogłem przyjąć do wiadomości tego, co się wydarzyło.

– Pasuje panu – stwierdziła z zadowoleniem siostra Klara.

– Prawda? Wyglądają cudownie! Absolutnie cudownie! – Siostra Edith nie kryła radości. – Aż się łza w oku kręci. – Udała, że ociera policzek różkiem zakonnego welonu.

– Może zrobię wam zdjęcie? – zaproponowała milcząca dotąd Edna.

– O nie, żadnych zdjęć. Błagam. – Aż mnie zatchnęło, gdy pomyślałem, co by się stało, gdyby fotka naszej czwórki ujrzała światło dzienne.

– Szkoda. – Edna wydeła usta i schowała telefon do kieszeni dzinsów.

Ustaliliśmy, że od razu zabierzemy i Cathy, i Edwarda, zwłaszcza że Edna zaoferowała swoją profesjonalną pomoc w razie konieczności podania chłopcykowi dodatkowych kroplówek. Anna i Edna zostały z siostrami Edith i Inez, które szykowały dzieci do przekazania, a ja, Denis, Simba i siostra Klara zajęliśmy się całą papierologią. Na szczęście poszło szybko i sprawnie, widocznie Bóg nam sprzyjał, jak powiedziała siostra Klara, gdy wręczyłem jej świeżo podpisany czek na bardzo hojną sumkę.

– Serdecznie dziękuję w imieniu naszej gromadki. – Prawie się popłakała, dostrzegając kwotę.

Zawołała wszystkie dzieciaki i kazała im podziękować. Z jednej strony było to bardzo miłe, ale z drugiej czułem się głupio, zważywszy na to, że takich wspólnot rozsianych na całym kontynencie było sporo i nie każda mogła liczyć na równie hojny gest. Postanowiłem pomyśleć o tym później. Anna przebąkiwała, że interesuje ją działalność charytatywna, więc mogła się tym zająć. Oczywiście, jeśli mała Cathy jej na to pozwoli...

Rozdział 13

Teściowa

Mamy dla was prawdziwą bombę! Jeden z najpopularniejszych brytyjskich aktorów, Leo Black (30 l.), wrócił właśnie z krótkiego pobytu w Zimbabwe. Towarzyszyła mu narzeczona, Anna Wilk (20 l.), która od jakiegoś czasu intensywnie spotyka się z Blackiem. A gdzie bomba? – zapytacie. Z dobrze poinformowanych źródeł otrzymaliśmy informację, że kilka dni przed wylotem do Afryki para wzięła cichy ślub w jednej z kancelarii prawnych, zajmujących się sprawami adopcji. Tu kolejna rewelacja! Leo Black najwyraźniej postanowił wymieść konkurencję i zszokować wszystkich. Nie dość, że księżę niewieścich serc już nie jest do wzięcia, to na dodatek świeżo założoną rodzinę powiększył o dwójkę maluchów!!!

Leo odłożył „The Sun” na stolik i spojrzał na mnie, szczerząc zęby.

– Ups... No to mam przechlapane. Przez najbliższe pięć lat nie wychodzę z domu.

– Ty?! Ty masz przechlapane? – zachnęłam się, myśląc o reakcji mamy.

O niczym jeszcze nie wiedziała. Również o naszym powrocie. Przylecieliśmy na Heathrow odrzutowcem Leo. To było jedyne wyjście, zresztą mój „księżę niewieścich serc” od początku miał taki plan. I słusznie. Nie wyobrażałam sobie podróży rejsowym samolotem. Już widzę, co by się działo. Zanim dotarlibyśmy do Londynu, wypaliliby nam oczy lampami błyskowymi.

– Julka się wkurzy – ni to stwierdził, ni zapytał Leo.

– Nie wiem, czy przeżyję konfrontację z mamą. – Przysiadłam na skraju sofy i nachyliłam się nad gazetą. Fotoreporter złapał nas, jak idziemy z Leo, a każde niesie jedno z niemowląt. Ja Cathy, którą teraz też trzymałam na rękach, bo Edna właśnie skończyła ją karmić, a Leo niósł Edwarda. – Siostra Klara miała świętą rację, naprawdę ci pasuje ta nowa rola, tatusiu – zażartowałam, przesuwając wzrok na drugie zdjęcie, tym razem ze zbliżeniem na moją dłoń ozdobioną złotą obrączką.

– Przeżyjesz, jesteś jej córką. Gorzej ze mną. Zięciovie zawsze są na cenzurowanym – stwierdził filozoficznie Leo. – Teraz już zawsze będziesz ją tak trzymać? – Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Nie przesadzaj. Przecież dopiero się obudziła. – Cmoknęłam Cathy w czółko. – Miałam prawie sześć godzin spokoju. Wiesz, ile można zrobić przez sześć godzin?

– Wiem, czego nie można. – Leo ziewnął i podrapał się po zarośniętym podbródku.

Od tygodnia się nie golił. Wyglądał na zmęczonego, co było jasnym dowodem na tezę, że my, kobiety, jesteśmy znacznie odporniejsze fizycznie

i psychicznie, co zawsze z satysfakcją podkreślała Wanda.

– Powinieneś wziąć prysznic i powiadomić Alishę i Thora, że już wróciliśmy.

– A po co? – Leo wskazał brodą na gazetę. – Na pewno już wiedzą.

– Zadzwoń i poproś, żeby przyjechali. Alisha na pewno nie może się doczekać, kiedy zobaczy malutką Dalilę. I zjedz coś – poinstruowałam go.

– Wiedziałem, że tak będzie... – jęknął z udawanym żalem. – Ledwo dałem się zaobrączkować, a już mną pomiatają. Thor miał rację, małżeństwo to więzienie...

– Naprawdę nie ma czasu – popędziłam go. – Zaraz tu wpadnie moja mama i nieprędko stąd wyjdzie. Błagam, chociaż raz mnie posłuchaj.

– Ach tak? Nigdy cię nie słuchałem? Masz niewiarygodnie spaczone spojrzenie na moją skromną osobę. Przypominam, że to ty możesz nawijać bez ustanku, nawet gdy za chwilę będę się szorował pod prysznicem, a ja jedyne co mogę, to cię słuchać. – Leo wstał, podszedł do nas, pocałował mnie we włosy, a po krótkim zawahaniu cmoknął również Cathy. – Ale niech ci będzie. Idę.

– To idź. Leo! – Zatrzymałam go przy wyjściu z salonu.

– Tak? – Odwrócił się na pięcie i zasalutował.

– Kocham cię. – Uśmiechnęłam się do niego.

Trochę się martwiłam, bo od przyjazdu Leo nawet na chwilę nie zainteresował się dziećmi. Pielęgniarka zajmowała się Edwardem, a ja Cathy. Na szczęście nie musiały spać z nami i spędziły całą noc w dziecięcym pokoju, razem z Edną, której przypadł zaszczytny tytuł niani. Sądziłam, że Leo czuje się przytłoczony zbyt szybkim i kompletnie nieprzewidzianym obrotem spraw.

– Jakoś to będzie... – szepnęłam do siebie. – Musi być, prawda? – Spojrzałam na zasypiającą Cathy.

Czekało nas sporo wyzwań. Od razu po przyjeździe stwierdziliśmy zgodnie, że apartament jest za mały. Mieliśmy tylko jeden dziecięcy pokój, urządony dla jednego malucha, ale zakup dodatkowego łóżeczka nie rozwiązywał problemu. Potrzebowaliśmy czegoś większego, żeby Edna mogła z nami wygodnie zamieszkać, lecz nie kosztem naszej intymności.

– Kupimy dom. Co ty na to? – zapytałam Cathy, ale nie doczekałam się odpowiedzi, mała tylko mruknęła cicho i zamlaskała kilka razy.

Ostrożnie odłożyłam ją do małego nosidełka, leżącego tuż obok, i postanowiłam wreszcie zjeść śniadanie. Moja kawa zdążyła zupełnie wystygnąć, ale lubiłam pić chłodną. Byłam dosyć głodna, więc tosty zniknęły jeden za drugim. Dobrze, że się pospieszyłam, bo chwilę później odświeżony i przebrany w domowy strój Leo zajrzał do nas, żeby powiedzieć, że za godzinę przyjadą Alisha i Thor.

– A Brian?

– Nie. Began też nie, bo nie ma czasu. Kazała cię przeprosić.

– Okej. Nie jesz śniadania? – zapytałam, spostrzegłszy, że Leo znów gdzieś się wybiera.

– Zaraz. – Wrócił po dwóch minutach, niosąc w ramionach rożek z Edwardem. – Nie może być tak, żeby mój pierworodny syn przebywał wiecznie z niańką – oświadczył. Usiadł ostrożnie, żeby nie przygnieść nosidełka z Cathy, i uśmiechnął się do mnie z dumą i satysfakcją. – Teraz mogę zjeść śniadanie.

– Ciekawe jak? – zachichotałam, bo obie ręce miał zajęte trzymaniem naszego synka.

Nie dało się nie zauważyć, że brakowało mu wprawy. Poza tym chyba trochę się bał, że znów upuści Edwarda, co prawie mu się przydarzyło na lotnisku. Leo postanowił, że on też będzie niósł dziecko, skoro ja niosłam Cathy. Nie pomógł argument, że mała okropnie płacze, gdy tylko ktoś inny próbuje wziąć ją na ręce. Leo się uparł. Szedł z Edwardem, trzymając rożek oburącz, i potknął się przy schodzeniu ze schodów. Dobrze, że Mike, też tatuś, wykazał się refleksem i złapał ich obu.

– Zaraz jakoś sobie poradzimy... – mruknął Leo. Przełożył rożek na lewą stronę i wsparł jego górę o zgięcie łokcia, a dół o swoje udo. – Widzisz? – Wyciągnął przed siebie prawą rękę i pomachał nią zwawo.

– Chcesz go udusić? – zapytałam, z trudem panując nad ogarniającym mnie rozbawieniem.

– O co ci chodzi? – Leo zmarszczył czoło.

– Nie ściskaj go tak. – Wskazałam brodą na twarzyczkę Edwarda, ledwie widoczną między torsem Leo a jego przedramieniem.

– Okej. – Leo od razu odgiął rękę, a rożek prawie się z niej sturlał. – *Fuck!* – zaklął, łapiąc biednego malca, i spojrzał na mnie ze zgrozą. – Nie nadaję się, co? Nie wolno kłać przy dzieciach.

– Lepiej zakląć niż upuścić – skwitowałam nieco złośliwie.

– Zołza. – Pokazał mi język.

– Daj. – Wyciągnęłam rękę. – Potrzymam go, a ty zjedz.

– To wszystko przez nią – fuknął chwilę potem. – Zajęła nosidełko Edwarda.

– Zważaj na słowa. Cathy jest pamiętliwa – powiedziałam, bo zauważyłam, że gdy tylko Leo oskarżył małą o zawłaszczenie cudzego nosidełka, od razu otworzyła prawe oko i kilka razy mrugnęła nim czujnie.

– Wprawdzie jesteście dwie, ale nas też jest dwóch. Na szczęście. – Wzniósł oczy ku niebu.

– A Edna?

– Zatrudnię guwernera dla Edwarda. Poza tym jest jeszcze Mike.

– Poczekaj, aż przyjedzie moja mama...

Ochrona dała znać, że nasi goście już przyjechali. Zerknąłem na nosidełko z Cathy. Spała słodko, aż miło było popatrzeć, ale w głębi duszy musiałem przyznać, że kielkujące nieśmiało ojcowskie uczucia kierowałem w stronę Edwarda. Nie miałem pojęcia, czemu tak jest, przecież Dalila uratowała moją Ruby, a nawet gdybym nic jej nie zawdzięczał, była cudowną, miłą i ciepłą osobą i wszyscy kochaliśmy ją ze szczerego serca.

Poza tym ciągle wracała do mnie myśl, co będzie, gdy Alisha poprosi, żeby oddać jej małą. Miała do niej znacznie większe prawa, przecież Cathy to jej matka. Miałem tyle okazji i nie poruszyłem z Anną tego tematu, bo bałem się jej reakcji, a teraz żałowałem, że stchórzyłem.

– Leo, o czym tak dumasz? – zapytała.

– A... o niczym szczególnym.

– Naprawdę? – Anna przymrużyła oczy. – Jakoś ci nie wierzę.

Już miałem zdobyć się na odwagę i powiedzieć jej o swoich wątpliwościach, gdy gong obwieścił, że Alisha i Thor już są na miejscu.

– Pójdę im otworzyć – powiedziałem.

– Gratulacje! – ryknął Thor, ledwie wszedł do środka. Objął mnie, uścisnął i kilka razy walnął pięścią w plecy, aż zadudniło. – Małe murzyńskie Bambo jest świetne, ale dwa małe Bambo jeszcze lepsze! – ryknął.

– No tak – przyznałem, zerkając na Alishę.

Chciałem wy badać, w jakim jest nastroju. Ku mojemu zdziwieniu wcale nie tryskała szczęściem, rzekłbym, że było zgoła inaczej. Sprawiała wrażenie zasmuconej, a ja nie potrafiłem odgadnąć, dlaczego tak jest. „A może miałem rację, może chce odebrać nam małą Dalilę?” – zachodziłem w głowę, prowadząc gości do salonu.

Uprzedziłem, że mają być cicho, bo dzieci śpią, ale moja próba okiełznania żywiołowego Thora spełzła na niczym. Przywitał się z Anną, jej również złożył gratulacje, mówiąc, że ona i maluchy są do siebie podobni jak dwie krople wody, a gdy zaczęła się śmiać, spytał prowokacyjnie:

– Myślisz, że jestem ślepy?!

Zaproponowałem herbatę i podałem ją, bo Anna nie odstępowała dzieci na krok, zresztą tymczasowo Edward wylądował w swoim własnym nosidełku, a mały rozdarek, czyli Cathy, na jej rękach.

– A gdzie niańka? – Thor przypomniał sobie o naszej opiekunce.

– Pojechała kupić kilka drobiazgów dla dzieci i zamówić drugie łóżeczko – wyjaśniłem, ustawiając na stoliku dzbanek z herbatą i herbatniki.

– Nie mogę pooglądać, ale powąchać już tak. Dajcie mi tego Krisa. Niechże go poznam. – Thor wyciągnął przed siebie rękę.

Wyjąłem Edwarda z nosidełka i ostrożnie podałem Theodorowi chłopca.

– Uważaj, nie upuść go – powiedziałem, widząc, jak kiepsko sobie radzi z trzymaniem dziecka. Zza pleców dobiegł mnie zduszony chichot Anny. – No co? – Odwróciłem się i spojrzałem na nią. – O co ci chodzi?

– Wiódł ślepy kulawego. Bez urazy, Thor – dodała. – Niewiele brakowało, a Leo wykopyrtnąłby się na schodach. Na lotnisku. Dobrze, że Mike złapał Edwarda.

– Chyba kulawy ślepego, jeśli już – poprawiłem ją. – Jak widać, nie każdy ma rękę do dzieci.

– Całkiem nieźle sobie radzę – stwierdził niezrażony Thor i błysnął białkami oczu. – Przyznajcie, że ogarniam.

– Owszem – potwierdziła Anna i zerknęła na milczącą Alishę. – A może chcesz wziąć Cathy na ręce?

– Nie. Raczej nie – złagodziła ton. – Nie mam wprawy.

– A kto z nas ma? – zapytałem, nieco zaskoczony jej dziwnym zachowaniem. Nie dość, że uciekała wzrokiem, gdy tylko któreś z nas, Anna lub ja, na nią patrzyło, to na dodatek usiadła na fotelu oddalonym od stolika, zupełnie jakby bała się dzieci. – Nalać ci herbaty? – zaproponowałem. Skinęła głową, więc podałem jej filiżankę. Przyjęła ją z widoczną ulgą i zacisnęła palce na porcelanie, aż pobielwały jej opuszki.

– Alisha, coś nie tak? – zainteresowała się w końcu Anna. – Źle się czujesz?

– Nie. – Córka Dalili znów uciekła wzrokiem.

– Chociaż jestem ślepy, jak słusznie zauważył przed chwilą nasz drogi Leo, dysponuję doskonałym słuchem – burknął Thor. – I moim skromnym zdaniem, biorąc pod uwagę naszą cichą podróż tutaj i dezaprobatę dla mojego pomysłu, żeby zakupić jakieś kretyńskie gadzety na powitanie bliźniąt, wnioskuję jednakowoż, że coś jest nie tak. I to bardzo nie tak. Ale mogę się mylić – zaznaczył, wyciągając w górę palec wskazujący.

Nic nie powiedzieliśmy. Anna zerknęła na mnie, a ja na Thora. Z wiadomych powodów nie odwzajemnił mojego spojrzenia, za to chrząknął znacząco.

– To nie jest moja mama – wykrztusiła z trudem Alisha.

– Ale że jak? – Wybałuszyłem oczy.

– Cathy to nie Dalila? – Anna od razu mocniej przytuliła do siebie małą.

– Nie. – Alisha opuściła głowę. – Żałuję, że nie powiedziałam wam od razu.

Jeszcze jak byliście w Rusape i Anna zadzwoniła do mnie z wiadomością o tej... – zawahała się – Cathy.

– Chwileczkę – powiedziałem, czując, że jeszcze moment i zaraz oszaleję z nadmiaru wrażeń. Widziałem, że oczy Alishy błyskawicznie wypełniły się łzami, a moja Anna dla odmiany wyglądała jak ktoś, kto za chwilę wybuchnie. – Po pierwsze: skąd to wiesz? A po drugie, jeśli to nie Dalila, to kto?

– Ekhm... – Thor lekko kaszlnął. – Chyba wiadomo kto.

– Leo... – jęknęła Anna. – To nie może być prawda. Nie wierzę – szepnęła, spoglądając na Cathy. – To nie może być prawda...

Ale była. Alisha słusznie zauważyła, że Dalila zmarła znacznie wcześniej niż Debora *vel* Dorothy, która pożegnała się z tym życiem, z tym wcieleniem i – według naszej bardzo mądrej Księgi – również z istnieniem jako Wędrowiec w tym samym momencie, w którym odszedł Kris. Jak mogliśmy zignorować ten fakt?

– A gdzie mała ma znamię? – spytała Alisha.

– Na przedramieniu. – Pokazałem na sobie, gdzie „oznakowano” Cathy.

– Mama zawsze miała znamię na wysokości nadgarstka.

– Kris kiedyś wspominał, że od zawsze miał swoje w podobnym miejscu. Teraz też. – Wstałem, żeby odebrać Edwarda z rąk Theodora. Usiadłem i niezbyt wprawnie, ale udało mi się odsunąć brzeg rękawka bluzeczki. – Edward ma je dokładnie w tym miejscu, gdzie miał je Kris.

– Kris wspominał, że czasami miejsce usytuowania znamienia jest różne w kolejnych wcieleniach – przypomniała Anna. Ciągle jeszcze łudziła się, że Cathy, którą tuliła w ramionach, to Dalila, a nie ktoś, kto zastąpił zniechęconą Dorothy.

– To na pewno nie jest moja mama – odparła stropiona Alisha.

– Ale skąd to wiesz?

– Miałam wizję – wydusiła po chwili. – Nie zobaczyłam jej do końca, zaledwie początek. Widziałam, jak mama się rodzi. Widziałam jej rodziców, matkę i ojca. Oboje byli biali, a poród na pewno odbywał się w bardzo nowoczesnym szpitalu. Ludzie rozmawiali ze sobą po francusku. Chyba to był francuski, ale pewności nie mam, bo nie znam tego języka. Mama ma rodzeństwo, małą dziewczynkę, na oko pięciolatkę.

Już miałem powiedzieć, że to nie ma sensu, bo jej wyjątkowa zdolność, o której wszyscyśmy wiedzieli, polegała rzekomo na widzeniu przyszłości, a nie zaglądaniu w przeszłość, ale Thor mnie uprzedził.

– Kiedy miałąś tę wizję? – Zmarszczył czoło.

– W dniu, w którym mama zakończyła wcielenie.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? – Słowa Anny zabrzmiały jak zarzut. Czulem podobnie. Alisha powinna była nas powiadomić o tej wizji.

– Bałam się, że...

– Że stanie się coś złego? – podpowiedziałem, bo poczułem, że jeszcze trochę i dziewczyna zupełnie się rozsypie.

– Tak – odparła, dziękując mi wzrokiem za wsparcie.

– E... – Thor uśmiechnął się niefrasobliwie. – Myślę, że niepotrzebnie się tak napinamy. Eperu to Eperu. Skoro Dalila miała to szczęście, by urodzić się w jakiejś cywilizowanej rodzinie, możemy przestać się o nią martwić. Ogarnie

dziewczyna. Głupia nie jest.

Pokręciłem głową, widząc reakcję Alishy. Było jej strasznie przykro. Co chwilę ocierała łzę i ciężko wzdychała. Cierpiała, bo tak krótko mogła przebywać z Dalilą. Ledwie się odnalazły, a Dalila zakończyła wcielenie. Nadzieja, że znów będą mogły być razem, też zgasła, a na dodatek właśnie do mnie dotarło, że adoptowałem kogoś, kto w poprzednich wcieleniach wyrządził mnie, Annie i Krisowi wiele zła. Przed oczami stanęła mi zniechęcona twarz Dorothy *vel* Debory, a dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści. „Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?” – zapytałem się w duchu, zerkając na Cathy.

Nagle ta otworzyła swoje małe oczka, spojrzała na mnie z wyrzutem i uderzyła w płacz.

– Cathy? – Anna czym prędzej przytuliła ją do siebie. – Cathy? Nie płacz, mój skarbie.

Delikatnie huśtała małą, a ja czułem, że nie mam prawa myśleć źle o tym dziecku, ale co mogłem na to poradzić? Jak opanować niechęć budowaną przez lata, podsycaną kolejnymi wyczynami Debory, również tym, że to ona stała za dwukrotną śmiercią Krisa. Żałowałem, że Alisha nie zdradziła nam wcześniej swojej wizji. Mielibyśmy wybór, a teraz? Przecież nie mogliśmy odwieźć Cathy do Rusape.

– Ta mała to nie Dorothy – powiedział Thor, zupełnie jakby czytał w moich myślach. – Nie można o tym zapomnieć. To nowy Wędrowiec. Nie utożsamiajcie jej z tą suką.

– Nikt jej nie utożsamia z Dorothy – odpowiedziała natychmiast Anna. Jej wzrok ciskał gromy, co dziwne, czułem, że kieruje je głównie w moją stronę. Może i ona, tak jak Thor, dysponowała jakąś dodatkową dawką intuicji i wyczuwała moją niechęć.

Słowa kłębiły się w głowie. Chciałem powiedzieć, że mimo wysiłku nie potrafię oddzielić Debory i Cathy. Dobrze pamiętałem, ile przeżyć i wspomnień odziedziczyła Anna po swoich przodkach Wędrowcach. Co z tego, że każdy z nich był odrębnym bytem? John należał do plemienia Habbatum, a jego syn Jan do Batawe; Anna ze znakiem przynależności do Eperu urodziła się jako kobieta, a mimo to zostały w niej ślady z wcieleń dziadka i ojca, wyryte na zawsze w jej pamięci i nie do usunięcia, trwałe i niezmiennie niczym materiał genetyczny.

Cathy znów zapłakała, na szczęście Edna właśnie wróciła z centrum i Anna opuściła nasze grono, mówiąc, że mała z pewnością jest głodna, dlatego nie może się uspokoić.

– I co teraz? – spytał filozoficznie Thor.

– Nic. Przecież nie odwieziemy Cathy z powrotem. – Wzruszyłem ramionami.

– Żałuję, że wam nie powiedziałam – odezwała się cicho Alisha.

– A co by to zmieniło? – prychnąłem. – Anna jest zakochana w tej małej bez pamięci i z wzajemnością. Ktokolwiek próbuje wziąć Cathy na ręce, ta od razu zaczyna płakać.

– Gdybym wam powiedziała... – Alisha spojrzała na mnie. Dobrze wiedziałem, co mówi jej zaszklone spojrzenie.

– Nie wiem, co byśmy zrobili. Teraz już i tak jest za późno. Trzeba się modlić, żeby mała nie pamiętała, kto był jej poprzedniczką, ale szczerze w to wątpię.

– Niby dlaczego? – zainteresował się Thor.

– Anna pamięta sporo wydarzeń z życia ojca i dziadka. Nie tylko pamięta, ale odziedziczyła ich talenty. Pięknie rysuje po ojcu, doskonale strzela po dziadku, potrafiła uruchomić samochód, bo jej ojciec to umiał. Nie wiedziała, że doskonale prowadzi, póki nie usiadła za kierownicą auta po lewej stronie. Mam wymieniać dalej?

– Nie do końca masz rację – zaproponował Thor. – Możesz już go wziąć? Ścierpły mi łapy. – Zabrałem od niego Edwarda, a Thor kontynuował. – Mała nie jest potomkiem Dorothy. Jest nowym Wędrowcem, a że akurat urodziła się jako dziewczynka, jeszcze niczego nie determinuje. Anna mogła odziedziczyć talenty po ojcu i dziadku, moim zdaniem to nic dziwnego. Ja też odziedziczyłem wiele talentów po moim ostatnim starym, jestem przenikliwy i bystry. Niestety, Alan... – Rozłożył ręce. – Tu się nie da nic zrobić. Peszek.

– Bardzo chciałbym, żebyś miał rację. Uwierz. Ale co z pamięcią zdarzeń, które miały miejsce w ich życiu? – zapytałem, usilnie starając się przyjąć punkt widzenia Thora.

– Będziesz się martwił później.

– Chyba będziemy? – zapytała Alisha i z naganą spojrzała na Thora. – To nasza wspólna odpowiedzialność. Nie możemy zostawić Leo i Anny z problemem i udawać, że to nas nie dotyczy.

Już miałem zareagować, bo zauważyłem, że Thor się szykuje, żeby wygłosić jedną ze swoich ciętych ripost, gdy zadzwonił telefon Anny.

– *Fuck!* – zakląłem, widząc, że to Julia.

– Che, che... – zarżał Thor. – Czyżby teściowa?

– Bingo.

– Nie odbieraj. Znudzi się jej – poradził mi, gdy dzwonek telefonu ponownie obwieścił nadchodzącą nieuchronnie konfrontację.

– Nie mam zamiaru. Zresztą mam zajęte ręce. – Ledwie to oświadczyłem, a zadzwoniła moja prywatna komórka.

– Ups. To my będziemy się zbierać. Wprawdzie jestem kaleką, ale na razie lepsze to, niż być w pełni sprawnym, ale noworodkiem. – Thor wstał i naciągnął mięśnie, aż strzeliły stawy. – Zbieraj się, lalka – wygłosił w stronę Alishy. –

A tobie, brachu, życzę powodzenia w starciu z moją przyszłą bratową. Jakby coś, nie dzwoń na policję, bo Julka ma tam chody...

* * *

Udało mi się przekonać mamę, żeby odwiedziła nas dopiero za trzy dni. Niestety, minęły w mgnieniu oka. Mimo to zdążyliśmy jako tako ogarnąć pokój dzieci, wstawić drugie łóżeczko i szafkę na drobiazgi dla Cathy. Ku wielkiej uldze, dzieci chyba już nieco przywykły do nas i do nowego miejsca, a co za tym idzie, przesypiały grzecznie prawie całą noc. Zwłaszcza Edward, do którego czasami mówiliśmy „Kris”, zachowywał się jak aniołek. Jadł, zrobił co trzeba w pieluszkę, chwilę poleżał, uśmiechając się do własnych myśli, i zasypiał.

Leo był z niego bardzo dumny. Nabrał już wprawy w obchodzeniu się z niemowlęciem i nawet parę razy nakarmił Edka i zmienił mu pieluchę. Próbowałam go przekonać, żeby podobnie postępował wobec Cathy, ale na razie nic z tego nie wychodziło – za sprawą samej zainteresowanej. Cathy preferowała moją osobę ewentualnie Ednę, a kiedy brał ją na ręce Leo, wyprężała się jak struna, przez chwilę patrzyła na niego, wytrzeszczając oczka, by po kilku sekundach ryknąć na całe gardziółko i oznajmić wszem wobec, że nie ma najmniejszej ochoty na jakikolwiek kontakt z tatusiem.

Zastanawialiśmy się z Edną, co może być powodem tej niechęci. Były nawet próby zmiany „dekoracji”. Biedny Leo wkładał białą koszulkę, potem zieloną, czarną, czerwoną, a nawet popielatą (imitującą kolor habitów sióstr z Emmaus), zakładał czapkę, okulary przeciwsłoneczne, a nawet jakąś karnawałową perukę, odnalezioną w czeluściach jego garderoby. Nic to nie dało. Wystarczyło, że wziął na ręce śpiącą w najlepsze Cathy, a ta natychmiast się budziła, otwierała oczka i zmieniała się w syrenę okrętową.

„To przez zapach. Leo, zmień wodę toaletową” – zasugerowała Edna. I znów cała zabawa zaczęła się od początku. Leo wypróbował wszystkie wody toaletowe i po goleniu, jakie miał w łazience. To samo zrobił z dezodorantami. Przetestowaliśmy również wersję bezzapachową. I nic. Cathy wykrywała go jakimś tajemniczym szóstym zmysłem. Nie mogłam tego pojąć. „Nie pasuje jej zapach twojego ciała albo włosów” – Edna wysnuła kolejną złotą myśl. „Mam się oskalpować i obdrzeć ze skóry?” – Leo wyraźnie się wkurzył. Uparłam się, żeby wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi, więc założyłam męzkowską koszulkę, w której Leo spał przez ostatnie dwie noce, i wzięłam Cathy na ręce. Nawet nie pisnęła. I tak upadł argument, że przeszkadza jej zapach Leo.

Głos też nie miał znaczenia. Czy Leo milczał jak grób, czy mówił, nucił, a nawet recytował Szekspira, Cathy wtórowała mu głośnym krzykiem, więc w końcu odpuściliśmy. Leo jeszcze parę razy próbował podejść Cathy, na przykład karmiąc ją czy uczestnicząc przy kąpeli, co nasza rozdartą królowną wprost

uwielbiała, ale sam uznał, że to nie ma sensu. „Ja mam Edka, ty masz Cathy i już. Wszyscy zadowoleni” – stwierdził po trzech dniach utarczek i prób. Niestety, czułam, że nie do końca tak jest.

Zerknęłam na zegarek, dochodziło południe. Mama zapowiedziała się na wpół do pierwszej, więc powinna była wkrótce dotrzeć. Poszłam sprawdzić, co robią dzieci. Ciągłe spały, nakarmione przed dwiema godzinami solidną porcją mleka.

Wróciłam do salonu i zbaraniałam, ujrawszy swojego męża. Ależ się wyszykował! Założył ciemnogramatowy garnitur i grafitową koszulę, do tego prawie czarny krawat i także oksfordy.

– Wyglądam przy tobie jak gosposia. Niskobudżetowa. – Spuściłam wzrok i spojrzałam krytycznie na swoje dresowe spodnie, poplamione na kolanie czymś białym. – Pójdę się przebrać.

– Przecież mam wywiad dla „Sunday Express”. Zapomniałaś? – Leo usiadł na kanapie i założył nogę na nogę. – Angela dzwoniła przedwczoraj, żeby mi przypomnieć.

– To dziś? – Złapałam się za głowę. Zupełnie mi z niej wypadło, że Leo faktycznie wybierał się do telewizji. Obiecał im wywiad dwa miesiące temu, podpisał kontrakt i teraz nie mógł się wycofać. To znaczy mógł, ale nie wypadało, bo zwodził ich prawie dwa lata. – Za chwilę przyjedzie mama – powiedziałam stropiona i trochę zła, że zostawia mnie samą.

– Spokojnie. Mam jeszcze pół godziny. Wystarczy, żeby załatwić zięciowi kolejne wcielenie. – Puścił mi oczko.

Mama jakby wyczuła mimowolną rejteradę Leo, bo przyjechała kwadrans przed czasem.

– Już jesteś? – spytałam, całując ją na powitanie.

– Przyjechałam taksówką. Mam bogatego zięcia, to mogę szaleć – stwierdziła z ironią i obdarzyła Leo takim spojrzeniem, że gdyby wzrok mógł zabijać...

– Zapraszamy. – Leo chrząknął w kułak i głupio się uśmiechnął.

– Wcale nie żartuję z tym utrzymaniem. Jeszcze trochę i zostanę bezrobotna – powiedziała mama, gdy usiedliśmy w salonie.

– Dlaczego? – zapytał Leo, czując, że moja mama oczekuje właśnie takiego pytania.

– Domyśl się – fuknęła.

– A może kawy? – spytałam, gdy mama dała mi znać, że nie chce herbaty.

– Dziękuję. Już piłam.

– No to dlaczego grozi ci bezrobocie? – westchnęłam, widząc, jaka jest nastroszona i zła.

– Wzięłam urlop. Już od trzech dni nie chodzę do pracy, bo się nie da.

Wszędzie paparazzi! – podniosła głos. – Jeden bęcwał udawał, że ma zawał! Uwierzyście?! Przyjeliśmy go na oddział, bo rzekomo miał duszności i ból w klatce piersiowej. Podłączyłam EKG i stoję nad nim, a ten wyciąga z kieszeni dyktafon! Nagle cudownie ozdrowiał! I jak nie zacznie: „Pani Wilk, proszę powiedzieć, czy wiedziała pani o planach córki?”. Myślałam, że mnie jasna krew zaleje!

– Ups. – Zagryzłam wargę.

– No ups, ups! Wychodzę na jakiegoś dziwoląga! Wszyscy się ze mnie śmieją! – Mama wyraźnie się rozkręcała. – A z tymi dziećmi?! Dostałam kwiaty od współpracowników! Wyobrażacie sobie?! – Patrzyła to na mnie, to na Leo. – I kartkę. Z gratulacjami dla babci! – Ostatnie słowo wymówiła, jakby było najgorszą obelgą świata.

– Kobiety lubią dostawać kwiaty – zauważył Leo, czym jeszcze bardziej rozsierdził mamę.

– Naprawdę? – Niemalże wzięła się pod boki. – Ciekawe, dlaczego mój drogi zięć nie raczył wręczyć mi nawet jednego zaschniętego badyla, gdy zostałam jego teściową. Widocznie uznał, że nie zasługuję – wysyczała mama.

– Przepraszamy, ale inaczej się nie dało – powiedziałam, starając się zachować spokój.

– Co się nie dało?! – warknęła mama. – Powiedzieć własnej rodzonej matce, że wysłaś za męża? Czy powiedzieć własnej rodzonej matce, że wcale nie jedziesz do Egiptu na urlop, tylko do jakiejś Zambii czy innej Kenii po dwójkę dzieci?! – Mama podniosła ręce i potrząsnęła nimi. – Ja chyba zwariuję?! To ten *Matrix*, co to Alan tak lubi oglądać!

– Nic nie powiedzieliśmy, bo nie byliśmy pewni, czy adopcja dojdzie do skutku. Jaki sens miało powiadamianie cię o naszych zamiarach, skoro sami do końca nie wiedzieliśmy, czy nasze plany wypalą – odezwał się Leo.

– Czy ty się słyszysz? – Mama nie dawała za wygraną. – Powinłam wiedzieć o wszystkim. A o ślubie czemu nie powiedzieliście? Też nie byłeś pewny, że uda ci się ożenić z moją córką? Co?! Poza tym ślub wzięliście PRZED wyjazdem – podkreśliła mama – a nie PO.

– Wzięliśmy ślub, bo jako małżeństwo mieliśmy większą szansę na udaną adopcję – wytłumaczyłam. – Dlatego tak szybko podjęliśmy decyzję. Wiem, że się gniewasz. Na twoim miejscu też byłabym zła, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Chcieliśmy utrzymać w tajemnicy wyjazd do Zimbabwe, a i tak ktoś z kancelarii mecenasa, który pomagał nam załatwić adopcję, nie zachował dyskrecji i wszystko się wydało. Przepraszam – dodałam najłagodniej, jak umiałam.

– Ja też przepraszam. Z ogromnym żalem, ale muszę was opuścić. Z żalem, bo cudownie się rozmawia, droga mammo. – Leo zacisnął usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– No i? – Mama potrząsnęła głową, a potem pokiwała nią z politowaniem. –

No i widział kto takiego durnia? – fuknęła.

– Przepraszam za wszystko. – Leo wstał i skłonił się przed mamą. – Już mnie nie ma.

– Dzieci też nie ma – wypaliła mama. – Gdzie dzieci? Czemu jeszcze ich nie poznałam? Chyba że znów czegoś nie wiem!

– Śpią. Są w swoim pokoju z nianią – wyjaśnił Leo.

– Ach tak! Niania! Mnie nie było stać na takie luksusy. A ty, moja panno, jeszcze zapłaczesz. – Mama wycelowała we mnie palec. – Mówiłam ci, że kobieta ma być niezależna finansowo, ale teraz... – Machnęła ręką.

– Mogę już iść? – spytał Leo, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Podobno już cię tu nie ma – burknęła mama.

– Wobec tego do zobaczenia. Pozdrów Alana – poprosił Leo i wyszedł.

Dobrą minutę, o ile nie dłużej, siedziałyśmy w milczeniu. W końcu nałamałam mamie herbaty i przesunęłam filiżankę w jej stronę. Bez słowa ją podniosła i bezmyślnie zaczęła mieszać napój łyżeczką. Chyba było jej głupio, że tak naskoczyła na Leo, bo minę miała niewyraźną.

– Niepotrzebnie się uniosłaś – stwierdziłam po chwili. – Mogłaś być ciut miłsza dla Leo.

– Niepotrzebnie? – Przechyliła głowę. – Chyba nie widziałas się w lustrze. Wyglądasz jak popychadło, a Leo? Odstawił się jak stróż na Wniebowzięcie, zabrał cztery litery i gdzieś pojechał.

– Ma wywiad w „Sunday Express”.

– No właśnie. On gwiazdorzy, a ty zostałam przy garach i pieluchach. Ot, co cię czeka.

– To nie tak.

– A jak? Po co te dzieci? Dobrze wiem, dlaczego ci wszyscy aktorzy adoptują dzieci z Afryki. Dla lansu! – Mama wykrzywiła się, jakby zjadła coś wyjątkowo paskudnego.

– Nie chodzi o żaden lans.

– Nie mogliście mieć własnych dzieci? Masz dwadzieścia lat, jesteś młoda i zdrowa, więc po co adopcja? Zdajecie sobie sprawę, że to nie zabawa? Ech! – Zaciśnęła usta w wąską linijkę.

– Przepraszam cię na moment. – Wskazałam brodą na odbiornik elektronicznej niani. – Chyba się obudziły.

Musiałam wyjść i ochłonać. Przygotowałam się psychicznie na ostrzał ze strony mamy, ale nie na ciężki atak artylerii. Zajrzałam do pokoiku dzieci i faktycznie, Edward już otwierał oczka, a Cathy zaczynała się wiercić w swoim łóżeczku.

– Naszykowałam im mleko. – Edna pokazała dwie butelki stojące w podgrzewaczach.

– Super – pochwaliłam ją, bo musiałam przyznać, że jest świetnie zorganizowana. Gdyby nie jej pomoc, w życiu nie dałabym rady opiekować się naszymi maluchami. Nawet jednym.

W trakcie przewijania dzieci wpadłam na pewien pomysł, więc poprosiłam, żeby Edna zniosła Edka do salonu, a ja wzięłam Cathy i butelki.

– To Edna, opiekunka dzieci, a to moja mama – przedstawiłam je sobie.

– Julia Wilk. – Mama podała rękę Ednie, ale nie popatrzyła jej w oczy, za to otaksowała z góry do dołu.

– Edna Bird. Bardzo mi miło. Słyszałam, że pani też jest pielęgniarką.

– A pani jest pielęgniarką? – Zdziwiła się mama.

– Tak. Pielęgniarką i położną. Studiowałam położnictwo – wyjaśniła Edna.

– Bardzo dobrze – kiwnęła głową mama. Widziałam, że intensywnie nad czymś rozmyśla i chyba chce jeszcze coś dodać, bo na moment zmarszczyła czoło, ale szybko się opanowała. Rozciągnęła twarz w nieco sztucznym uśmiechu i spojrzała na Edwarda. – Mogę? – spytała, wyciągając ręce.

– Oczywiście. Proszę bardzo, to mały Edward.

– Nakarmisz go? Jest głodny – powiedziałam, wskazując brodą na butelki, które stały na stoliku kawowym.

– Och, nie wiem, czy pamiętam, jak to się robi! – Mama filuternie się uśmiechnęła, ale przysiadła na brzegu kanapy, wzięła butelkę i popatrzyła na mnie.

– To ja pójdę zmienić pościel. – Edna skinęła głową i wyszła.

– Weź tę drugą, z niebieskim wzorkiem. Zielona jest z mlekiem dla Cathy.

– Cathy? – Mama szybko wymieniła butelkę i znów zerknęła, co robię.

– Tak. Ja trzymam Cathy, a ty masz Edwarda – powiedziałam, biorąc mleko. Siadłam tuż obok mamy i zaczęłam karmić moją małą królową.

– Edward i Catherine. Ładnie – stwierdziła mama. Nachyliła się nad Edkiem i przez chwilę bacznie na niego spoglądała, a jej twarz łagodniała z każdą sekundą.

– Śliczny jest. Boże, jakież on śliczny. I nawet trochę podobny do...

– Chyba nie do mnie? – przerwałam jej, bo nie mogłam się powstrzymać, widząc tę błyskawiczną zmianę nastroju.

– No przecież, że nie do ciebie. Taki słodziaszek, wygląda jak karmelek. Karmelkowy chłopczyk – zapiąła w zachwycie.

– Nie zapomnij, że jest głodny.

Musiałam przyznać, że serce mi rosło, gdy widziałam, jak mama ostrożnie pocyna sobie z Edwardem, a kiedy ten łapczywie zassał smoczek, uśmiechnęłam się z satysfakcją. „Trafiony-zatopiony” – mama poległa rażona urokiem swego wnuka.

– Cudowny jesteś, wiesz? – mówiła do niego słodkim jak ulepek głosikiem. Mówiła słodko, uśmiechała się słodko i cała była tak słodka, że pomyślałam: „Jeszcze chwila i wszyscy utopimy się w tym miodzie”. – Co to za mleko? –

spytała, gdy Edek już opróżnił butelkę. Oczywiście był pierwszy, bo Cathy jadła zdecydowanie wolniej.

– Edward pije Cow&Gate, a Cathy SMA GOLD.

– Nie znam – stwierdziła mama, odstawiając pustą butelkę. – Może Wanda się zna, ona jest na bieżąco. Spytam, czy to coś warte, te mleka. Potrzytać go w pionie, żeby mu się odbiło?

– Rób, co chcesz. Ja przeżyłam twoje wychowanie, to i Edek przeżyje. – Zaśmiałam się pod nosem.

– Niby tak, ale wiesz, to jest chłopczyk – oznajmiła i cmoknęła Edka w czoło.

– Myślę, że chłopcy są tacy sami, jeśli chodzi o odbijanie.

– I tu się mylisz! Chłopcy mają kolki znacznie częściej niż dziewczynki – oświadczyła z przekonaniem i dała Edkowi kolejnego całusa. Poprawiła malca, żeby był „w pionie”, wstała i stanęła nade mną. Obserwowała mnie i Cathy, delikatnie huśtając małego i cmokając go co chwilę, a to w policzek, a to w czoło lub głowę. – Też ładnusia. Sikoreczka słodka. Chyba ciut chudsza?

– Tak. Trochę mniej waży.

– No właśnie widzę. Policzusię ma takie maluteńkie. Może daj jej grysiczku?

– Grysiczku? – Zerknęłam na mamę.

– Nie wiesz, co to grysik? – zachnęła się. – Inaczej kaszka manna. Domieszać do mleka i dawać Cathy. Od razu się zaokrągla. Będzie taka bułeczka słodka na buźce.

Aż się zatrzęsłam od nadmiaru zdrobnień, ale w sercu piszczałam z radości. Widziałam, że mama przepadła z kretesem. Gdyby mogła, wzięłaby Cathy na drugie ramię i ją też obcałowała w każdym możliwym miejscu. Skończyłam karmić małą i wreszcie mogłam zaprezentować ją mamie.

– Śliczna, prawda?

– Bardzo. – Mama natychmiast pokiwała głową. – Chyba byłam trochę niesprawiedliwa, że tak was okrzyczałam. Zwłaszcza Leo. Widzę, że będziesz dobrą mamą, jedyne, czego nie rozumiem, to...

– Czemu zdecydowaliśmy się na adopcję? I dlaczego tak bez namysłu? Na szybko? – zapytałam. Jeszcze w Rusape Leo i ja postanowiliśmy przynajmniej częściowo zdradzić jej motywy naszych działań i właśnie nadszedł czas, by to zrobić. – Nigdy nie będziemy mieć własnych dzieci – wyznałam. – Dlatego adopcja to dla mnie i Leo jedyna szansa na bycie rodzicami.

– Och! – jęknęła mama, a w jej oczach zakręciły się łzy. – Ale dlaczego, Aniu? – Zagryzła usta, żeby się nie rozplakać.

– Leo nie może mieć dzieci – powiedziałam.

Mogłam dodać, że na własne życzenie, bo poddał się wazektomii, ale mama

nie musiała o tym wiedzieć. Leo zdecydował się na zabieg, bo nie chciał umrzeć przy narodzinach swojego potomka. Myślał, że tak będzie, bo swego czasu wprowadził go w błąd źle poinformowany Kris.

– Jezu, strasznie mi przykro. – Twarz mamy, jeszcze przed chwilą radosną i rozpromienioną, pokrył cień żalu. – Nic się nie da zrobić?

– Nie – uciełam, żeby nie ciągnąć tego tematu. Nie byłam całkowicie szczerą wobec mamy i bardzo mi to przeszkadzało, ale czy my, Wędrowcy, mieliśmy inne wyjście? – A teraz, proszę, odsuń rękawek na lewej ręce Edwarda i zobacz, co ma przy nadgarstku – powiedziałam, starając się zachować spokój. Jej szybki oddech wskazał jasno, że zauważyła znamię Eperu. Wówczas dodałam, że Cathy ma identyczny znak na lewym ramionku.

– Aniu, nie wiem, co powiedzieć. Wychodzi na to, że byłam głupia, a na pewno zbyt pochopnie was oceniłam. No cóż, nie pozostaje mi nic innego, niż przeprosić. I nie bój się, nie będę o nic pytała. Chodzi mi o te znamiona. Alan mówi, że lepiej nie wiedzieć zbyt wiele i spać spokojnie. Martwię się, że Leo mi nie wybaczy – wyznała po chwili namysłu.

– Leo już zapomniał, że go ochrzaniłaś. Nie chowa urazy zbyt długo, gdy kogoś bardzo lubi i ten ktoś jest mu bliski.

– Może i tak. Ty go znasz lepiej. A swoją drogą, nie boisz się o niego? – Mama ściszyła głos do szeptu.

– Ale czemu?

– Ta Edna jest taka młoda i ładna. A jak się na niego połasi, a on na nią?

– Super. Nie ma to jak usłyszeć z ust własnej matki, że ma się świeżo upieczonego męża, który łasi się do innych kobiet. – Pokazałam jej język.

– Oj, pamiętaj. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Jutro ją zwolnimy i zatrudnimy pana Nianię.

– Bez przesady. Chodzi mi jedynie o to, że niania nie musi być aż tak ładna. I młoda. Młoda, czyli niekompetentna.

– Edna jest bardzo kompetentna, a gdyby wszystkie ładne pielęgniarki zwalniano z pracy za urodę, ty też nie zagrzałabyś nigdzie miejsca.

– No wiesz? – Zaśmiała się mama. – Co to za porównanie? Ale dziękuję. – Mama poprawiła kosmyk swoich rudych włosów i założyła go za ucho. – Alan często mi mówi, że Słowianki są przepiękne, ale ja to zdecydowanie przesadziłam. Taki z niego flirciarz.

Przez chwilę opowiadała, co u nich słyszała, ale Edna nam przeszkodziła. Spytała, czy ma zabrać dzieci, a gdy mama się nie zgodziła, przyniosła nosidełka.

– Odłóż go, bo zasnął.

– A ty? – spytała, ostrożnie układając Edwarda w nosidełku. Przykryła go kocykiem, jeszcze raz musnęła malutki policzek i ustawiła nosidełko tak, żeby mieć je w zasięgu ręki.

– Chyba jeszcze chwilę ją potrzymam. Lubi być na rękach. Czasami trochę popłakuje, a gdy ją pohuśtam, zaraz się uspokaja.

– To daj ją mnie. Jeszcze nie przytuliłam mojej wnusi kochanej. – Mama usiadła tuż obok nas.

– Cathy nie lubi, żeby ktoś oprócz mnie brał ją na ręce. Ednę znosi, choć szczęśliwa nie jest.

– Och, co za głupstwa opowiadasz – zachnęła się mama. – To za małe dziecko i jest z wami za krótko, żeby rozróżniało ciebie i nianię. Przecież od początku obie się nimi zajmujecie. A Leo?

– Czy chce być u Leo? – dopytałam.

– No przecież to jej tato.

– Nie chce. Okropnie płacze, gdy Leo próbuje ją wziąć na ręce. I nie wiem czemu.

– Dziwne – stwierdziła mama. – No daj mi ją. – Wyciągnęła rękę.

Przekazałam jej Cathy, mimowolnie wstrzymując oddech. Czekaając na reakcję, zerknęłam na małego Edwarda. Spał tak słodko. „Mogłam go wynieść, bo zaraz Cathy go obudzi swoimi krzykami” – pomyślałam, gotowa w każdej chwili odebrać mamie naszą wybredną księżniczkę. Ku mojemu zdumieniu nic się nie wydarzyło. Cathy poczuła, że trzyma ją ktoś inny, leniwie odchyliła jedną powiekę, parę razy łypnęła spod niej na mamę i zasnęła.

– No przecież śpi jak aniołek. – Mama spojrzała na mnie z ukosa. – Cóż to opowiadasz, że tylko u ciebie jest grzeczna? No popatrz. – Zakołysała nią lekko, ucałowała w policzek i na moment przytuliła twarz do czoła Cathy. – Widzisz? Mogę jej dotykać, huśtać ją, mówić, a ona nic. No, kochana taka moja, landryneczka słodka, karmelkowa – zaświergotała do Cathy, a ta mlasnęła cicho w odpowiedzi. – Jaka grzeczna... – Mama rozplýwała się w zachwytach jak wcześniej nad Edwardem, a ja siedziałam obok i miałam pewnie najgłupszą minę świata...

Rozdział 14

Wszystko się zmieni(ło)

Świat jest mały, stwierdziłem, widząc Emily, jedną z moich byłych dziewczyn. Kiedyś myślałem, że łączy nas wielka miłość, ale to było dawno temu, zanim poznałem Annę. Emily współpracowała ze mną jako charakteryzatorka i dzisiaj również miała się spełnić w tej roli.

– Od kiedy jesteś w „Sunday”? – zapytałem po krótkim powitaniu. Zasiadłem przed lustrem, a Emily okryła mnie pelerynką.

– Od niedawna, jakieś trzy miesiące? – Zmarszczyła nosek.

– Tylko nie przesadz – poprosiłem, gdy nachyliła się nad moją twarzą i uśmiechnęła się niczym kot na widok tłustej ryby.

– Postarzałeś się. – Zachichotała, dotykając mojej skóry pod oczami.

– Tylko wy, kobiety, się nie starzejecie. – Mrugnąłem do niej.

Trochę poplotkowaliśmy o wspólnych znajomych, Emily opowiedziała, co u niej słyhać, zwierzyła się, że wkrótce wychodzi za mąż, „wreszcie” – jak podkreśliła, a po niecałym kwadransie oznajmiła, że gotowe. Spojrzałem w lustro i pochwaliłem ją, bo faktycznie знаła się dziewczyna, a raczej w pełni dojrzała i bardzo atrakcyjna kobieta, na rzeczy.

– Wyglądam ciut inaczej niż we *Francuskim księciu* – zażartowałem, przypominając jej film, do którego kiedyś mnie charakteryzowała.

– Poprawić? Mam tu biały puder i taki sam podkład. Jakaś peruka też się znajdzie. Gorzej z pantalonami. – Piła do jednej ze scen, w której biegałem prawie nagi, mając na sobie jedynie atlasowe majtki z falbankami i wielopiętrową perukę.

– Przestań. Ojciec do dzisiaj wypomina mi tę rolę. – Zaśmiałem się.

– Powodzenia podczas wywiadu – życzyła mi na pożegnanie.

– Nie dziękuję.

Byłem jej wdzięczny, że ani słowem nie zająknęła się o ostatnich rewelacjach na mój temat. Na pewno wiedziała, bo już wszyscy chyba wiedzieli, zwłaszcza moi fani i znajomi, że ożeniłem się z Anną i adoptowaliśmy bliźnięta.

– Oby tak dalej – mruknąłem, idąc do studia.

Jeszcze w domu przejrzałem spis pytań do wywiadu i byłem bardzo ciekaw, czy Jerry, który miał go przeprowadzić, nie zmieni ich treści lub nie doda kilku nowych. No cóż, jeszcze chwila i miałem się o tym przekonać.

W studiu było przyjemnie. Technicy wszystko ustawili i mogliśmy zaczynać. Jerry przywitał się z wirtualnymi widzami, przedstawił mnie po to tylko, jak podkreślił, żeby formalnościom stało się zadość, i zagaił:

– Leo, gdy umawialiśmy się na ten wywiad... – zawiesił głos, a ja od razu parsknąłem pod nosem. – Okoliczności były nieco inne, ale nie zmienię pytań, choć

pewnie się z tym liczyłeś? – Przechylił głowę i łypnął na mnie zza hipsterskich okularków w czerwonej oprawce.

– Jerry, przychodząc do ciebie, każdy aktor liczy się ze wszystkim. Zwłaszcza facet. – Pozwoliłem sobie świadomie na ten docinek, bo Jerry, zadeklarowany gej, uwiódł ostatnio Gordona Browna, bardzo przystojnego młodego aktora, uchodzącego dotychczas za heteroseksualistę.

– Ach, te żarciki Leo Blacka! – Jerry klasnął dłonią w napiętą nogawkę czerwonych skórzanych spodni, ale widziałem, że nie chowa urazy, a żart przypadł mu do gustu. Poprawił okulary, przecesał długie blond włosy i znacząco chrząknął. – Wobec tego zaczynamy. To będzie z pozoru banalne pytanie, ale tylko z pozoru. O czym marzy Leo Black? Lub o kim? – dodał ze znaczącym uśmiechem.

– Może odpowiem o czym, bo odpowiadając o kim, złamałbym ci serce.

– Cha, cha... – skwitował Jerry. – Już wszyscy wiedzą, że Leo Black to homofob!

– Takie wychowanie. – Wzruszyłem ramionami, choć musiałem przyznać, że czułem się rozbawiony wymianą tych uszczypliwości.

– To o czym marzysz?

– Teraz czy w ogóle?

– Niech będzie teraz. – Uśmiechnął się i wykonał wdzięczny ruch głową.

– Żeby jak najszybciej wrócić do domu, do żony i dzieci – wypaliłem bez zastanowienia.

– Ach!!! – Jerry zaklaskał jak mała dziewczynka, która dostała właśnie najpiękniejszą lalkę Barbie. – Słyszeliście? – pisnął. – On to powiedział!

– Okej – ostudziłem nieco jego zapał. – Dawaj drugie pytanie, bo już znasz moje marzenie.

– Jakie masz plany?

– Najbliższe czy w ogóle?

– Aż boję się sprecyzować.

– Najbliższe: skończyć ten wywiad i wrócić do domu...

– Do żony i dzieci – dokończył za mnie.

– Bingo, Jerry! – Wystawiłem rękę, żeby mógł przybić mi piątkę. – Idzie nam rewelacyjnie.

– Jeszcze osiem pytań i będziesz wolny, ale chyba nieco zmienimy formułę. – Jerry kilka razy uniósł i opuścił brwi. – Powiedz, co zmieniło się w twoim życiu. Niedawno straciłeś najlepszego przyjaciela. – Od razu spowaźniał. – Bardzo mi przykro, zwłaszcza że była to strata dla nas wszystkich. Wiem, co było tego przyczyną, co się stało na pogrzebie i co działo się w ostatnich dniach. Czy czujesz się zaszczuty?

– To za mocne słowo. Nie jest aż tak źle, ale mogłoby być lepiej – przyznałem. – Jak każdy człowiek, też chciałbym mieć przyjaciół i rodzinę. Chcę

normalnie żyć, nie rozglądając się wiecznie na boki, czy ktoś nie próbuje wtargnąć w moje prywatne sprawy. Mam nadzieję, że mówiąc otwarcie o tym, że wzięliśmy ślub z Anną i adoptowaliśmy dwójkę dzieci, bliźnięta, ukróczę spekulacje i poszukiwania kolejnych tajemnic w moim życiu. Jestem mężem, a teraz również ojcem. Mieszkamy w Londynie, kocham to miasto i nie chciałbym, żeby ktoś postawił mnie pod ścianą i swoim zachowaniem zmusił do wyprowadzki gdzieś na prowincję lub poza Wyspy. Tak samo nie chcę, by fani zmusili mnie do rezygnacji z zawodu, który wykonuję z ogromną pasją i miłością.

– Och! Leo! Aż dostałem gęsiej skórki! – Jerry rozmasował przedramiona. – Nie mów takich rzeczy! Nie mogę tego słuchać. Nie możesz zrezygnować z aktorstwa. Wszyscy, tylko nie ty! Jesteś naszą dumą narodową, prawie jak rodzina królewska. Ale żarty żartami, a ty masz poważny problem. Może fani w końcu rozumieją, że ich idole też chcą normalnie kochać, wiązać się i mieć dzieci. Tego wam życzę, kochani! – zwrócił się w stronę jednej z kamer. – Więcej empatii. Gdy następny raz będziesz chciał lub chciała zrobić kolejne selfie z kimś sławnym w tle, pomyśl, czy to właściwe?

Jerry jeszcze przez kilka minut kontynuował rozmowę o stalkingu, o wszędobylskich paparazzi i o hejcie w sieci, potem podpytał mnie o *Tokio* i plany zawodowe, ale na koniec nie mógł się oprzeć i spytał, kiedy uchylimy rąbka tajemnicy i pokażemy światu dwójkę naszych maluchów. Zaoferował również, że przyjedzie do nas, żeby przeprowadzić kolejny wywiad, tym razem w domowych pieleszach.

– Co mogę zdradzić? – Uśmiechnąłem się do niego, bo musiałem przyznać, że kilka razy bardzo pozytywnie mnie zaskoczył swoją powściągliwością. – Dziewczynka ma na imię Catherine, a chłopiec – Edward. Są bliźniakami, jak wspominałem, pochodzą z Afryki, liczą sobie trochę ponad miesiąc i już zdążyliśmy bardzo je pokochać.

– To cudowne! – Jerry złożył dłonie jak do modlitwy. – Absolutnie cudowne. Catherine i Edward. Czuję, że jeszcze nieraz usłyszymy o tych maluchach!

– Oby nie – mruknąłem, kręcąc głową. Ten światek i ludzie w nim funkcjonujący byli jednak absolutnie niereformowalni.

Odetchnąłem z ulgą, gdy opuściłem studio. Wreszcie przekroczyłem próg apartamentu i już miałem podziękować Bogu, że to, co najgorsze, za mną, gdy usłyszałem głos teściowej...

Alisha – Epizod 7

Jak w co drugą środę wieczorem i dzisiaj Anna „nadaje” swoją audycję o tym, co pojawiło się w Księżde. Najpierw czyta treść, a potem ją omawia. Z reguły nic nie rozumiem z oryginalnych tekstów i taka interpretacja jest bardzo przydatna. Z drugiej strony, ostatnio często łapię się na tym, że wszystkie te

prawdy i mądrości coraz mniej mnie interesują. Na dodatek zaczynam odczuwać złość, gdy słucham głosu Anny. Budzi ją nie treść wykładów, lecz osoba, która je wygłasza. Czuję gniew, żal i zazdrość. Może dlatego w moim sercu zrodził się bunt.

Anna żegna się z nami, a ja oddycham z ulgą, bo dzisiejsza audycja, nie dość, że bardzo długa, okazała się wyjątkowo nudna i jednocześnie irytująca. Wstaję i wychodzę z sypialni. Muszę ochłonić. Zaparzam melisę. Pijąc aromatyczny napar, tępo wpatruję się w widok z okna. Londyn migocze. Wygląda niczym garść złotych i czerwonych cekinów rzuconych na ciemnogrnatowy, niemalże czarny atlas. Piękne. I bezosobowe. Kim są ci wszyscy ludzie wracający do swoich domów? Nie znam ich i nigdy nie poznam. Miliony ludzi, którzy są mi obcy. Zresztą kto nie jest?

Kiedyś myślałam, że zaprzyjaźnię się z Anną, ale to były mrzonki. Chyba nie pasujemy do siebie, a może to ja uznałam, że nie nadaję się na jej przyjaciółkę. Nie jesteśmy wobec siebie szczerze, tak myślę. I to raczej ja mam z tym problem, bo jak być szczerą, gdy w sercu tłoczy się tyle sprzecznych uczuć? Zazdroszczę Annie wielu rzeczy, a z biegiem czasu ta zazdrość rośnie, karmiona coraz to nowymi przemyśleniami, podsycana żalem o wszystko.

Jestem rozgoryczona, bo...

No właśnie. Długo by wymieniać. Czuję ból, gdy pomyślę, że Brian kiedyś za nią szalał, a przecież tak krótko się znali. Zakochał się w niej, gdy przebywała w bunkrze. Wystarczył raptem miesiąc, nawet mniej. Zabiegał o nią, knuł intrygi, byleby ją zdobyć. Nie zraziły go brak wzajemności i fakt, że kochała i nadal kocha tylko swojego Leo. Może to jest jakiś klucz? Nie okazywać mu ani przez chwilę, że mi zależy? Że staram się, żeby być dla niego jak najlepsza? Wiem, że Brian tego nie pamięta. Anna jest mu zupełnie obojętna, ale marna to pociecha, bo i ja nie wzbudzam w nim żadnych uczuć. Tak właśnie myślę.

Nie zauważa mnie. Żyje swoim życiem, a jedyne, co go interesuje, to praca. Nie martwi go wykluczenie, bo jak to inaczej nazwać? Leo, Thor, a nawet Anna i, co najgorsze, ja sama wykluczaliśmy Briana. Nie uczestniczy w naszych spotkaniach, które zawsze odbywają się albo u Leo i Anny, albo u Thora. Nas nikt nie odwiedza, jak nietykalnych, których się ignoruje i udaje, że nie istnieją. Stałam się nietykalna, pozwalając Brianowi tu zamieszkać. On też jest nietykalny, ale jemu to nie przeszkadza. Choć to żalotne, czekam z utęsknieniem na dzień, kiedy będziemy potrzebni tamtej lepszej grupie. Annie, Thorowi i Leo. I wiem, że taki dzień nastąpi, bo każdy nietykalny jest kiedyś potrzebny, żeby posprzątać albo zrobić coś, czego nie tkną się ci bardziej wartościowi.

Wiem, że to nie jest wina Anny, ale i tak zazdroszczę jej wszystkiego. Tego, że Leo ją kocha, że ma troskliwą mamę, że oszczędzono jej gorzkich wspomnień, że ma swój dar, a na koniec, że ma dzieci. Jej życie jest pełne sensu, a moje?

Myślałam, że to Brian stanie się tym sensem. Podporządkowałam mu całą siebie. Bez niego jestem nikim, ale Brian to za mało.

Nie mam co robić z czasem. Gdy posprzątam, ugotuję obiad i naszykuję deser (zawsze jest deser, bo jego przygotowanie zajmuje trochę czasu), zaniosę pranie i wyprasuję je, zrobię zakupy i wypełnię jeszcze kilka niepotrzebnych nikomu obowiązków, po czym uświadomię sobie, że już nic, absolutnie nic nie ma do zrobienia, mam ochotę krzyczeć. Snuję się po domu bez celu. Nie oglądam telewizji, nie czytam, nie rzeźbię, wycofałam podanie z uczelni. Najchętniej nie wychodziłabym z domu.

Czasami myślę, że to zniechęcenie Briana przeszło na mnie i pochłonęło mnie całutką, kawałek po kawałku.

Coraz rzadziej przywołuję z pamięci chwile spędzone z mamą i Krisem. Co z tego, że przez moment czuję się dobrze? Przypominam sobie nasze wspólne plany. Mama chciała spędzić cały lipiec w Hiszpanii. To było jej marzenie. Mieliśmy tam jechać we trójkę. Kris zamierzał pisać jakiś nowy kryminał, a ja z mamą miałyśmy zwiedzać Barcelonę, przechadzać się wąskimi uliczkami, oglądać zabytki, kupować stopy ubrań, plażować i pływać, a gdyby to wszystko się nam znudziło, po prostu siedzieć na tarasie i wygrzewać w słońcu jak koty.

Gdy to sobie przypomnę, żal tak mocno dławi mnie w gardle, że nie mogę oddychać. I gniew, że ktoś, kto odebrał mi mamę, teraz jest kochany i otoczony miłością.

Tak. Nie potrafię oddzielić tej kobiety od córki Anny i Leo. Na początku próbowałam przekonać samą siebie, że to ktoś inny, nowy Wędrowiec, ale przestałam się oszukiwać. Czuję coraz większą niechęć do tego dziecka i do ludzi, którzy je pokochali, przede wszystkim do Anny. Żałuję, że nie powiedziałam o wizji. Zdaję sobie sprawę, że wtedy mogłabym zmienić przyszłość. Leo prawie na pewno nie zdecydowałby się na adopcję tej dziewczynki i wszystko potoczyłoby się inaczej. Jak nauczyło mnie doświadczenie, gorzej. Ale czy w ogóle może być jeszcze gorzej niż teraz?

Jedyne, co pozwala mi przetrwać, to świadomość, że w najbliższym czasie Brian nie wyjedzie do Moskwy. Postanowił na razie zostać w Londynie i uzupełnić braki w wykształceniu. Zakończył swoje poprzednie wcielenie w osiemdziesiątym trzecim, potem przez prawie dwie dekady nie pamiętał, kim był, a teraz stracił całą wiedzę nabytą w ciągu ostatnich kilkunastu lat, więc musi sporo nadrobić.

Jestem prawie pewna, że mieszka ze mną, bo tak jest mu wygodniej. Już nie ma problemów z głodem narkotykowym, za to ma sporo pieniędzy (odkrył to niedawno) i nie musi pracować przez najbliższych kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt lat. Czasami próbuję się łudzić, że mieszka tutaj, bo jestem mu potrzebna, bo lubi moje towarzystwo i jest do mnie przywiązany, a może nawet darzy mnie czymś więcej niż zwykłą ludzką sympatią. Myślę wtedy: „Skoro stać

go na wszystko, również na służbę, dlaczego nie wyniósł się do swojego mieszkania? Mógłby zatrudnić kogoś do sprzątnięcia i szykowania posiłków”.

Jakież to żalosne...

A najbardziej boję się dnia, w którym Brian pozna kogoś, jakąś kobietę, zakocha się w niej, ale nadal będzie tu mieszkał, a co najgorsze, pozwolę mu na to, bo wtedy nie będę już mogła bez niego żyć. Jestem na dobrej drodze, żeby tak właśnie się stało. Co wtedy? Nie będę mogła nic zrobić. Tak samo jak nie potrafię nic zrobić z żalem, że nie jestem mu już tak bardzo potrzebna jak na początku, gdy zmagał się z głodem narkotykowym. Wiem, to chore: tęsknić za czasem, kiedy Brian cierpiał, a ja mogłam mu pomagać i wspierać go w walce ze skutkami nałogu; wracać do tych dni, gdy nie potrafił poradzić sobie z otaczającą go rzeczywistością, a ja prowadziłam go za rękę. Może sprawię sobie jakieś zwierzątko? Wezmę ze schroniska najbardziej poturbowanego przez życie psiaka, żeby się spełniać w roli samarytanki. Znowu będę komuś potrzebna, a na dodatek ten ktoś okaże mi swoją wdzięczność i może nawet mnie pokocha.

Upijam ostatni łyk naparu. Jest gorzki i niesmaczny, stracił już aromat. Nagle słyszę za plecami ciche szuranie. To Brian.

– Tu się skryłaś – mówi. Czekam, aż podejdzie i zapyta, co robię, zainteresuje się mną choćby przez krótką chwilę, ale chyba potrzebna mu nietykalna, bo stwierdza, że jest głodny.

– Zaraz zrobię kolację.

Idę do kuchni i szykuję coś dla nas. Wprawdzie nie mam apetytu, ale Brian nie lubi jeść sam. Nie mogę powiedzieć, że stałam się dlań kimś w rodzaju niewolnicy, a on moim utrzymankiem, bo to Brian reguluje wszystkie rachunki, a obowiązkami dzielimy się po równo. Brian zawsze robi śniadania i sprząta po każdym posiłku, w swojej sypialni i gabinecie utrzymuje idealny porządek. Gdy coś wymaga większej siły, na przykład przesunięcie kanapy, żeby pod nią posprzątać, nigdy nie odmawia. Wykonuje wszystko bez szemrania i z ochotą. Niestety, on traktuje to jak zwykłe obowiązki, coś, co po prostu trzeba zrobić, a ja? Wkładam cząstkę serca w każdą czynność, zwłaszcza gdy dotyczy Briana, każdą jego koszulę prasuję dłużej i staranniej niż własną, zapamiętuję każdy komplement, który wygłosił przy stole, i serwuję głównie te dania, które Brian wyróżnił.

– Coś ci powiem – zagajam nad pełnym talerzem. Prawie nic nie zjadłam, bo w moim gardle nadal tkwi gula gniewu, a na języku ciągle czuję gorzki smak.

– Co takiego? – Brian podnosi wzrok znad swojego nakrycia.

– Wiesz, że Anna co jakiś czas mówi nam o tym, co przeczytała w Księdze.

– Wiem. – Brian odsuwa talerz i opiera się plecami na krześle.

– Jak chcesz, wszystko ci opowiem.

– A możesz? – Przymruża oczy. – Chyba nie powinnaś mi zdradzać tej wiedzy.

– Księga jest dla Wędrowców, a ty jesteś Wędrowcem – mówię dobitnie, jakbym to ja miała go przekonać, że Anna powinna przekazywać mu te zapisy.

– Skoro tak twierdzisz... – Brian przywołuje na twarz sztuczny uśmiech.

– To chcesz czy nie? – Czuję się zagubiona, widząc, że to chyba mnie zależy na tym bardziej.

– Chcę. Oczywiście, że chcę. Przyda mi się trochę innej wiedzy, żeby odświeżyć umysł.

– Dzisiaj mówiła o czasie, o tym, jak jest opisany w Księdze – precyzuję, ciągle czujna i skupiona na jedynym słuchaczu. Nie wiem, czy naprawdę go to interesuje, czy zgodził się z uprzejmości. – Rok nie zaczyna się w styczniu, tylko w porze żniw i trwa aż do kolejnych żniw.

– Pora żniw? – Brian marszczy nos. – A co, jeśli żniwa wypadają w różnych okresach? Przecież są zależne od pogody i miejsca.

– Lata w Księdze nie są równe, a co do miejsca, zaraz wytłumaczę, ale najpierw czas.

– Przepraszam. Już nie przeszkadzam – kaja się.

– Miesiąc to „duże światło”. Chodzi o Księżyc.

– Od pełni do pełni? – zadaje pytanie i prawie natychmiast mnie przeprosza, że nie potrafi się powstrzymać.

– Na tym polega rozmowa – mówię. – Na wymianie zdań i pytań. Nie przeszkadzasz mi. Masz rację, chodzi o okres od pełni do pełni. Określany jako „duże światło”.

– Mieszkamy razem... – Brian marszczy czoło, widzę, że liczy w głowie – trzy duże światła i jeszcze kawałek. Jak to zleciało... – Na chwilę popada w zadumę. – A tydzień? Dzień? Godzina?

– Tygodni nie ma, dzień to małe światło, a...

– Na zasadzie analogii? – wtrąca. – Duże światło to Księżyc w pełni, a małe to po prostu Słońce?

– Tak. Słońce wydaje się nam mniejsze.

– Chociaż jest większe od Księżyca. – W kącikach oczu Briana pojawiają się kurze łapki, gdy mówię, że Byt, czyli autor Księgi, spał na lekcjach astronomii.

– A godzina?

– Nie ma godzin, ale jest minuta, określana jako „uderzenie serca”. Są jeszcze „spokój”, „wysilek” i „radość”. To mniej więcej ośmiogodzinne odcinki: „spokój”, czyli sen, „wysilek”, czyli praca, i „radość”...

– Inaczej odpoczynek – dopowiada.

– Tak. Byt mówi, że nie wolno zaniedbywać żadnego z nich.

– I ma rację. – Brian kiwa głową. – A nie powiedział, co się stanie, gdy „wysilek” trwa dłużej niż „spokój” i „radość” razem wzięte? – Lekko unosi kąciki ust. – Czy jeszcze nie ma opisu współczesnych czasów i wyścigu szczurów?

Robi mi się przyjemnie, bo Brian rzadko żartuje. Z reguły jest poważny, choć nie smutny czy zgorzkniały, po prostu poważny; jak ktoś, kto ma dużo lat i sporo doświadczenia, a na dodatek piastuje bardzo odpowiedzialne stanowisko.

– Chyba tego nie przewidział – odpowiadam, ucieszona, że tak miło się nam rozmawia.

– To wszystko, czego się dowiedziałas? – Przechyliła głowę. – Mam być szczerzy? Prochu nie odkrył ten... – przez chwilę szuka właściwego słowa, żeby w końcu powiedzieć: – Byt.

– Mam podobne zdanie, ale nie zawsze jest nudno. Ciekawe jest to, że cały system opiera się na trójkach. Są rok, dzień i minuta, są trzy pory dnia, trzy plemiona, trzy duże ziemie i trzy małe. I tak dalej.

– Trzy duże ziemie?

– Ziemia to określenie kontynentu – wyjaśniam. – Trzy duże to Eurazja, Afryka i Ameryka Północna. Co ciekawe, pora żniw dotyczy żniw, które odbywają się w Europie, a dokładnie na północy Czech – precyzuję. Brian sprawia wrażenie zainteresowanego, więc postanawiam zdradzić coś jeszcze. – Pierwszym Wędrowcem była Alfe, ona została Strażniczką Księgi, trzy lata po...

– Trzy pory żniw – poprawia Brian, a ja uśmiecham się, bo wiem, że uważnie mnie słucha.

– Trzy pory żniw po odnalezieniu Księgi przez Alfe urodził się drugi Wędrowiec. Chłopczyk. I tak się działo jeszcze siedem razy. Gdy Alfe przeżyła trzydzieści pór żniw, a na Ziemi było już dziewięcioro Wędrowców, w tym pięć kobiet, Byt za pośrednictwem Księgi oznajmił Alfe, że teraz będzie się rodziło trzech jednocześnie, potem przez dziewięć kolejnych cykli po dziesięciu, następnie po dwudziestu siedmiu, a później... Nie pamiętam. Po osiemdziesięciu jeden? Chyba tak.

– Gdyby tak się stało, Alfe ukończywszy trzydzieści trzy pory żniw, byłaby jedną z dziesięciu Wędrowców, a po kolejnych dwudziestu siedmiu porach żniw byłoby ich trzydziestu siedmiu. Trzydziestu siedmiu Wędrowców i, mówiąc naszym językiem, sześćdziesięcioletnia Alfe. Dobrze policzyłem? – pyta Brian.

– Nie mam pojęcia. – Pokręciłam głowę. – Nie potrafię tak szybko liczyć.

– Gdy Alfe obchodziła osiemdziesiąt siódme urodziny, na świecie było stu osiemnastu Wędrowców, a gdy sto czternaste – trzystu sześćdziesięciu jeden. Sto czternaście lat plus dwadzieścia siedem to sto czterdzieści jeden. Kiedyś ludzie żyli bardzo długo, więc zakładam, że jeszcze przeżywała pierwsze wcielenie – dodaje naprędce. – Miała za sobą sto czterdzieści jeden pór żniw, gdy na świecie pojawił się tysiąc dziewięćdziesiąty Wędrowiec. Naprawdę jest nas aż tylu? Ponad tysiąc? – Brian z niedowierzaniem potrząsa głową. Ja też jestem w nie mniejszym szoku, zaskoczona, jak szybko dokonał tych obliczeń.

– Niestety, jest nas znacznie mniej – zdradzam mu smutną prawdę. – Myślę,

że Byt chciał, żeby ostatecznie wszyscy ludzie zostali Wędrowcami, ale tak się nie stało. Gdy jeden z Wędrowców zszedł na złą drogę i odrodził się jako Habbatum, nowi Wędrowcy przestali pojawiać się na Ziemi.

– Niedobrze – parska pod nosem. – Któryś z nas musiał dać plamę, a miało być tak pięknie. Szkoda. To ilu nas jest? Was, dobrych, i takich zakał jak ja? – pyta z przekąsem.

– Anna powiedziała, że pierwszy Habbatum narodził się, gdy Alfe miała za sobą pięćdziesiąt pięć pór żniw.

– Szybko. Było nas wtedy raptem trzydziestu jeden. W tym trzydziestu sprawiedliwych – mruga do mnie porozumiewawczo – plus jedna czarna owca. Nic się nie da zrobić? – Przechylił głowę. Wygląda, jakby ze mnie kpił, ale może tylko tak mi się wydaje. – Jakoś tego naprawić?

– Anna mówiła, że gdy minie dziewięć cykli bez narodzin choćby jednego Wędrowca z Habbatum, wtedy wszystko zacznie się od początku – wyznaję po dłuższym namyśle, czując jednocześnie, że ta wiedza nigdy nie powinna trafić do kogoś z plemienia Habbatum.

– Może teraz, gdy odzyskaliście Księgę, to wreszcie się uda – odpowiada, wyraźnie akcentując, że to my, członkowie plemienia Eperu, jesteśmy w jej posiadaniu. My, nie on.

– Może – kwituję, przeżywając prawdziwą burzę uczuć, bo nie wiem, czy nie zapłacę kiedyś za okazane zaufanie. Próbuję odepchnąć od siebie wątpliwości i brak wiary w lojalność Briana, ale to trudne.

– Żałujesz, że powiedziałaś mi to wszystko? – Zaskakuje mnie pytaniem, które brzmi, jakby znał moje myśli. Od razu oblewa mnie pot.

– Na razie nie – odpowiadam szczerze.

– I to się nie zmieni. Masz moje słowo. – Poważnieje, a jego twarz przez chwilę przeszywa ledwie zauważalny grymas bólu. – Nie zawiodę cię.

– To dobrze.

– Powinniśmy więcej ze sobą rozmawiać – stwierdza po bardzo długim zastanowieniu.

– Powinniśmy?

– Ja powinienem. Powinienem poświęcać ci więcej czasu. Za dużo „wysiłku”, za mało „radości”. – Brian posługuje się zasłyszanyymi wcześniej terminami. – Muszę to zmienić. Zasługujesz na więcej radości. Przecież chciałem dać ci szczęście. Czemu o tym zapomniałem?

– Nie wiem. – Kilka razy przelękam ślinę, żeby ukryć wzruszenie.

– Zrobić ci herbaty? – proponuje Brian. Chyba źle zinterpretował moje zachowanie.

– Proszę.

– Nic nie zjadłaś. – Dopiero teraz zauważa mój pełny talerz.

– Już jem. – Biorę do ręki tost.

– Jest zimny. Zostaw, zrobię ci nowe. – Brian podnosi się z krzesła.

– Nie wolno marnować jedzenia – mówię bez namysłu, pamiętając o tym, że za poprzednich wcieleń nieraz głodowałam, a i w tym zdarzały się takie dni, gdy nie miałam nic w ustach.

– To podgrzeję. – Zabiera mi talerz sprzed nosa.

– Pewnie myślisz, że jestem dziwna – mówię chwilę później.

– Nie, dlaczego? – Brian nie odrywa wzroku od drzwiczek kuchenki mikrofalowej. Niedawno nauczył się, jak ją obsługiwać, i wciąż jest zafascynowany tym urządzeniem. – Bo nie wyrzucasz jedzenia? To chyba dobrze? Zresztą jakie mam prawo, by cię oceniać?

– Każdy ma.

– Nie każdy. – Otwiera drzwiczki i wyjmuje talerz z tostami. Zbliża do nich nos i delikatnie się krzywi. – Nie pachną tak dobrze jak wcześniej. I nie wyglądają. – Kładzie przede mną talerz. – Ser się roztopił.

– To nic.

– Zaraz zrobię herbatę.

Przeżuwam gumowaty tost, a Brian w tym czasie nastawia czajnik, uprzednio napełniwszy go przefiltrowaną wodą.

– Dlaczego powiedziałaś, że nie masz prawa mnie oceniać? – pytam, gdy stawia na blacie kubek. Brian przykuca tuż przede mną i podnosi wzrok, żeby móc spojrzeć mi w oczy.

– Bo nie mam. Nie ja i na pewno nie ciebie. Wszystkich, ale nie ciebie.

– Ale dlaczego?

– Jedyne, co mogę zrobić, to dać ci szczęście. Nie oceniać. Rozumiesz?

– Nie. – Uciekam spojrzeniem. Wlepiam je w biały sznureczek zwisający wzdłuż ścianki kubka i w papierową zawieszkę z nadrukowanym czajniczkiem.

– Jedz, bo znów wystygnie.

– Dobrze. – Posłusznie sięgam po drugi tost.

Brian wstaje z kucek, wraca na swoje miejsce i w milczeniu przygląda się, jak jem. Bardzo mnie to peszy, ale nie przerywam. Zjadam wszystko do końca i pijam herbatę.

– Wszystko się zmieni – mówi niespodziewanie.

– To znaczy?

– Ja się zmienię. Dla ciebie...

* * *

Mama kompletnie zwariowała na punkcie naszych maluchów. Pierwsza wizyta zakończyła się po ósmej wieczór i to tylko dlatego, że dzieci poszły spać. Mama została jeszcze chwilę, żeby kolejny raz przeprosić Leo, tym razem na

spokojnie. Podobnie jak my wszyscy, próbowała odgadnąć, czemu Cathy tak kiepsko znosi bliski kontakt ze swoim adopcyjnym tatusiem, w końcu machnęła ręką i stwierdziła, że kiedyś jej przejdzie, a na razie Leo może się spełniać w roli taty, angażując się w opiekę nad Edwardem.

Wpadała do nas co drugi lub trzeci dzień i pomagała mnie i Ednie, bo Leo musiał, niestety, polecieć do Stanów. Robili postsynchrony do *Tokio* i próbne zdjęcia do kolejnego filmu Rickmana. Widziałam, że ma problem z podjęciem decyzji, bo nie chciał nas opuszczać na kolejne dwa, a może i trzy miesiące, ale wytłumaczyłam mu, że na razie dzieci są tak małe, że na pewno nie zapamiętają jego nieobecności.

Mijał dzień za dniem, a one rosły jak na drożdżach. Odwiedziła nas Wanda, parę razy Alan wpadł z mamą i oczywiście Wika, która wprost zwariowała na punkcie maluchów. Przywiozła swojego Juniora, ale na razie nie było mowy o wspólnych zabawach, bo jej synuś zdecydowanie przewyższał bliźnięta swoimi umiejętnościami. „Za rok, dwa to się wyrówna i zobaczysz, jak się będą razem bawić. Wiem to! Edward zaprzyjaźni się z Juniorem, a Cathy? Coś się załatwi...” – dała mi do zrozumienia, że na serio starają się z Jamesem o drugie dziecko. Kto by pomyślał, że Wika z szalonej dziewczyny, interesującej się modą, wizażem i celebrytami, zamieni się w czułą mamę.

Jedynie George i Ruby nie poznali jeszcze osobiście swoich wnuków. Pożyczyłam im kamper, bo moi teściowie chcąc uczcić wyzdrowienie Ruby, wraz ze znajomymi wyjechali pod koniec czerwca w kilkumiesięczną objazdówkę. Gdy dowiedzieli się – niestety z gazet – że Leo i ja się pobraliśmy, a chwilę później zostaliśmy rodzicami, chcieli natychmiast wracać, ale Leo poprosił, żeby zostali na Malcie, bo akurat tam ich zawiodło. Zamierzali zakończyć rajd po Europie we wrześniu, gdy zrobi się chłodniej. „Jeszcze się nimi nacieszycie” – powiedział mój mąż, gdy rozmawialiśmy z nimi na Skypie. Raz na kilka, kilkanaście dni łączyli się z nami, a wtedy musiałam im pokazywać Edka i Cathy. Ruby zawsze płakała, a nie mniej wzruszony George mruczał pod nosem: „I czego beczysz, kobieto?”, czym doprowadzał mamę Leo do jeszcze obfitszych łez, a mnie – do śmiechu.

Leo po tygodniu wrócił do Londynu. Trochę z nami pomieszkał, zdążyliśmy nawet rozejrzeć się na rynku nieruchomości. Spodobało nam się kilka domów, obejrzelśmy je, ale to wciąż nie było to, czego szukaliśmy. A to okolica nie taka, a to dom za mały, za wielki, stary, mało przytulny... Wiecznie coś nam nie pasowało. Leo stwierdził, że kiedyś trafimy na wymarzony dom i nie ma sensu podejmować decyzji zbyt pochopnie, zwłaszcza że znów wyjeżdżał na miesiąc, i to do Australii, bo tam właśnie kręcili kilkanaście scen do nowego filmu Rickmana. Żeby mieć nas „na oku”, Leo postanowił zamówić kamery. Zainstalowaliśmy je w pokoju dzieci, w salonie i w kuchni. „Przynajmniej zawsze będę mógł na was popatrzeć”.

Oboje dobrze wiedzieliśmy, że nie chodziło wyłącznie o ciągły kontakt czy podgląd, co porabiamy, ale i względy bezpieczeństwa. Mimo apelu Leo, żeby dać nam wszystkim spokój, fotoreporterzy nie odpuszczali. Kręcili się przy ogrodzeniu wokół osiedla, czasami udawało się im wejść do środka budynku, a jeden wyjątkowo zdeterminowany paparazzo podszył się pod pracownika administracji i wpakował do mieszkania. Na szczęście był u nas wtedy Alan i poradził sobie z gagatkiem.

Najgorsze było to, że gdy ja i Edna brałyśmy dzieciaki na krótki spacer wokół budynku, całe to towarzystwo dostawało jakiejś wścieklizny. Wisząc na ogrodzeniu jak małpy, krzyczeli do nas, że mamy pokazać im dzieci. „Nie zwracaj na nich uwagi, ignoruj, to jedyna metoda” – mówiłam, choć mnie samą trafiał szlag, gdy widziałam cały ten cyrk. Nie wspominałam o tym, gdy Leo dzwonił i pytał, co u nas słychać. Niepotrzebne mu były dodatkowe stresy, Rickman i jego choleryczna natura wystarczyły.

– Aniu, nie wiem, co jest grane, ale Cathy ostatnio... – zagaіła mama, gdy wróciłam z zajęć przygotowawczych, bo jednak zdecydowałam się pójść na studia.
– Czasami ma takie momenty, że okropnie płacze. A za chwilę przechodzi jak nożem uciął.

– Może ząbki? Albo kolka?

– Na pewno nie ząbki, bo nic się nie wyrzyna. Na kolkę mi to nie wygląda. Potrafi zapłakać nawet w czasie bardzo głębokiego snu, a za moment przechodzi.

– Spytaam Ednę, może ona coś poradzi. – Już miałam ją zawołać, gdy mama złapała mnie za rękaw i powiedziała cicho, żebym usiadła.

– No właśnie. Może to sprawka niani? – zasugerowała.

– Błagam cię. – Przewróciłam oczami. – Edna za nimi przepada. Wiem, że jej nie lubisz, ale bez przesady.

– Nie to, że nie lubię – zachnęła się mama. – To nieważne, czy ja ją lubię. Ważne, żeby była kompetentna. Może nieświadomie coś robi i dlatego mała płacze.

– Często tak się dzieje?

– Przychodzę tu trzy razy w tygodniu i ostatnio za każdym razem, jak tu jestem, Cathy miała takie incydenty.

– Edna przy tym była?

– No właśnie nie. Raz sprzątała pokój dzieci, a ja siedziałam z nimi tutaj, w waszej sypialni. Za drugim razem byłam z nimi w ich pokoju, a Edna chyba w kuchni, a ostatni taki przypadek, z dzisiaj... – mama jeszcze bardziej ściszyła głos, prawie do szeptu – był jeszcze dziwniejszy, bo Edna powiedziała, że idzie do toalety. Ledwie wyszła, minęła może minuta, a Cathy nagle się przebudziła i w płacz. Płakała i płakała. W końcu Edna wróciła i wtedy mała zasnęła.

– Wychodzi na to, że Cathy płacze, gdy Edny nie ma obok niej, a jak wraca, wtedy jej przechodzi – podsumowałam.

– No proszę cię! – oburzyła się mama. – Sugerujesz, że Cathy płacze, bo zostaje ze mną? Jeśli sobie nie życzysz, mogę nie przyjeżdżać do dzieci.

– Oj, spokojnie. – Potrząsnęłam głową. – Nie obrażaj się jak mała dziewczynka. Próbuję tylko jakoś sensownie to poukładać.

– Pewnie myślisz, że to sobie ubzdurałam. A ja jestem pewna, że coś jest nie tak, bo Cathy płacze tylko wtedy, gdy Edna gdzieś na chwilę wychodzi, do toalety, do kuchni albo na korytarz, bo ktoś do niej dzwoni.

– Hm... – Wykrzywiłam twarz w czymś, co miało przypominać niefrasobliwy uśmiech. – Niełatwo zaszkodzić dziecku, gdy zostawia się je pod opieką równie troskliwej babci, jaką jesteś. Nie uważasz?

– Nie przesadzaj z tą troskliwością – odparła mama, ale widziałam, że jest jej miło. – Po prostu zauważyłam pewną prawidłowość i chciałam ci o niej powiedzieć. Macie przecież kamery, może czasami zerknij na obraz, gdy jesteś poza domem.

– Ale po co? Skoro ty tu jesteś? Sądzisz, że Edna, którą uważamy z Leo za bardzo lojalną, znającą się na rzeczy i tak dalej, odważyłaby się zrobić coś niewłaściwego, mając świadomość, że w większości pomieszczeń są kamery, a oprócz tego ty tutaj jesteś?

– Rób, jak uważasz. – Mama wydeła usta. – Ja tylko mówię, że coś się dzieje. I nie mam zwidów.

– Jutro wezwę pediatrę. Niech przebadają Cathy i przy okazji zerknie też na Edwarda – zdecydowałam.

– Dobrze. – Mama wyraźnie się uspokoiła. – Ale zrób tak, żebyśmy byli przy tym badaniu same. Co ty na to?

– Okej. Dam Ednie wolne popołudnie.

Jenny Foster przyjechała o czwartej. Od początku zajmowała się dziećmi i dobrze je znała. Szybko zbadała Edwarda, stwierdziła, że „zuch chłopak” i „pięknie przybywa”. Podobnie wyrażała się o Cathy. Powiedziała, że czasami popłakuje, ale nasza pani doktor nie zauważyła niczego niepokojącego. „Przybywa na wadze, wszystkie zmiany skórne ustąpiły, brzuszek miękki, gorączki nie ma, a że czasem popłacze przez chwilę, to normalne. Dzieci mają to do siebie, że płaczą”.

Mama próbowała ją przekonać, że to nie jest normalne, bo Cathy zniemacka się budzi, krzyczy minutę albo dwie i równie szybko się uspokaja i zasypia.

– Może to gazy. Zakręcają w jelitkach, zaboli, więc mała płacze – zasugerowała lekarka. – Zapiszę jej specjalne kropelki. Zmniejszają pęcherzyki gazu w jelitach. Jeśli to nie pomoże, dzwońcie, przyjadę i spróbujemy innej metody.

Wykupiłam kropelki, podawałyśmy je przed każdym karmieniem, ale nic to nie dało. Mama znów zaciągnęła mnie do sypialni i przekazała, że Cathy kolejny

raz okropnie się rozplakała.

– Gdzie była wtedy Edna? – Z trudem opanowałam chęć przewrócenia oczami, bo czułam, co odpowie mama.

– Była w kuchni. Chyba. – Mama wzruszyła ramionami. – Przecież nie chodzę za nią, gdy pilnuję dzieci. Siedzę obok, czytam gazetę, gdy śpią, albo do nich mówię, gdy nie śpią. Aniu, czy ty masz mnie za jakąś wariatkę? – Przymrużyła oczy.

– Nie. Tylko to wszystko jest jakieś dziwne.

– Zadzwoń do Leo. Powiedz mu o tym. Może on coś wymyśli.

– Okej, zadzwonię.

Nazajutrz rano wysłałam Ednę na zakupy, choć tak naprawdę niczego nie potrzebowałyśmy. Wzięłam telefon i zadzwoniłam do Leo. Opowiedziałam mu całą historię dziwnych ataków płaczu u Cathy, a Leo, jak to Leo, stwierdził, że ktoś musiał pokazać Cathy jego zdjęcie. „A może zobaczyła mnie w telewizji?” – zażartował. Koniec końców, poradził mi prawie to samo co mama. „Zerkaj częściej na kamery, nawet gdy jesteś w domu. A jak zostawiasz Julię i Ednę z dziećmi, znajdź jakieś spokojne miejsce i po prostu tam poleć. Zobaczysz, co jest grane”.

Wkurzała mnie ta sytuacja, bo zamiast spokojnie siedzieć na zajęciach i przygotowywać się do studiów, rozmyślałam, co dzieje się w domu i jakimi rewelacjami powita mnie mama.

I nagle wszystko zaczęło się układać w najkoszmarniejszy obraz, jaki mogłam sobie wyobrazić...

Rozdział 15

Stary znajomy

– *Leo! Musisz mnie uważnie wysłuchać! Nie dzwonię, bo nie jestem pewna, czy nasze telefony nie są na podsłuchu! Jeśli chcesz mi coś powiedzieć lub przekazać, zaraz podam ci nowy numer. Kupiłam telefon na kartę, ty zrób to samo albo skorzystaj z czyjegoes aparatu. Sprawa jest bardzo ważna, chodzi o dzieci! Poczekam minutę i podam ci numer.*

Zastygłem jak żona Lota. Skamieniałem. Przez chwilę czekałem, czy Anna powie coś jeszcze, ale jedyną moją myślą było: „Natychniast znaleźć długopis!”

– Leo?! Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła klapserka, gdy podbiegłem do niej i wyrwałem z rąk notatnik, w którym pisała coś pomiędzy kolejnymi scenami.

Na szczęście u góry, na niewielkim magnesie tkwił długopis, więc już byłem gotów, żeby zapisać numer do Anny. Opuściłem plan i pognałem do najbliższej toalety, nie zaprzatając sobie głowy tym, że właśnie przerwałem nagranie dosyć ważnej sceny, którą powtarzaliśmy już czwarty raz. Anna zgodnie z umową podyktowała mi numer, wyskoczyłem na moment z toalety, żeby wyrwać z dłoni telefon Adamowi, jednemu ze scenografów, który akurat pałętał się w pobliżu. Rozłączyłem jego rozmowę i z powrotem zabunkrowałem się w kabinie.

– Co się dzieje? – powiedziałem cicho, obawiając się, że ktoś poza mną może być w toalecie.

– Leo, posłuchaj, zaraz ci wszystko opowiem. Okej? – zapytała i się rozłączyła. Wolałbym mieć możliwość normalnej rozmowy, ale widocznie Anna uznała, że przekaz mentalny będzie bezpieczniejszy.

– *Leo, tylko się nie denerwuj* – ledwie uprzedziła Anna, a moje ciśnienie od razu podskoczyło jak na komendę. Mogła sobie darować takie uwagi. – *Chyba musisz tu przyjechać. Weź wolne, coś załatw, ale tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Mam dowód na to, że Edna chce uprowadzić dzieci. Nie będę ci tłumaczyła co i jak, bo to bardzo zawiła historia, ale ja nie żartuję. Edna jest z kimś w zмовie i ten ktoś chce porwać nasze dzieci. Podśluchałam, jak Edna rozmawia z kimś przez telefon. Umawiali się co do tego porwania. Leo, zaraz zwariuję – zaczęła panikować. – Na razie poprosiłam mamę, żeby tu ze mną siedziała, nie pojechałam na zajęcia, udaję, że jestem chora. Boli mnie kręgosłup i nie mogę wstać, ale to tymczasowe rozwiązanie. Myślałam, żeby pogadać z Thorem, ale się boję. Nikomu nie mówiłam o tym, mama też nie wie. Gdy zwolnię Ednę, ona od razu się zorientuje, że wszystko wiemy, i uznałam, że musimy ją złapać na gorącym uczynku, żeby dojść do zleceniodawcy. Co ty na to?*

– O Jezu... – jęknąłem, gdy skończyła mówić. – Spokojnie, tylko spokojnie, Black. – Schowałem aparat Adama do kieszeni i przycisnąłem dłoń do twarzy.

Rozpalona skóra aż parzyła. Po krótkim namyśle wyjąłem telefon i połączyłem się z Anną. – Postaram się wrócić jak najszybciej. Będę nie wcześniej niż za dwanaście godzin i pojadę prosto do Theodora, gdy się uda i nikt nie zauważy mojego powrotu. Tam się spotkamy, ty, ja i Alan. Zadzwoń do niego z samolotu, miejmy nadzieję, że jego telefon jest czysty. Ednie daj wolne albo wyślij ją po coś do miasta, a twoja mama niech zostanie z dziećmi. Na razie nie wychodź z mieszkania – pouczyłem ją najciszej, jak mogłem, ale i tak obawiałem się, że ktoś może podsłuchiwać naszą rozmowę.

Wróciłem na plan, gdzie czekał już na mnie Rickman z miną zwiastującą, że jedyne miejsce, do którego zaraz się udam, to kostnica. Bez pardonu chwyciłem go za rękaw koszuli i zaciągnąłem w najdalszy kąt planu zdjęciowego.

– Przerwa! Wszyscy won! – ryknął, zdając sobie chyba sprawę, że to jakaś grubsza rzecz. Pewnie zdążył zauważyć, jak wyglądam. – Co jest grane? – warknął. – I módl się synu, żebyś naprawdę miał ważny powód i żebyś zdołał mnie przekonać, że nie powinienem cię stąd wypieprzyć na zbity pysk.

– Muszę wracać do Londynu. Mam wszelkie powody sądzić, że ktoś chce porwać moje dzieci – szeptałem mu wprost do ucha. – Proszę o dyskrecję. Nikt nie może wiedzieć, że wróciłem. Potem wytłumaczę.

– Ludzie są pojebani... – jęknął Rickman. – A ty masz wyjątkowego pecha, ale i szczęście. – Pewnie pił do niespodziewanego wyzdrowienia mojej matki. – Jedź. Weź mojego ochroniarza, jak chcesz. Gębę twojego Mike’a znają wszyscy paparazzi. Będzie lepiej, jak tu zostanie. I mój odrzutowiec też weź – dodał, marszcząc czoło. – Zawsze to jakaś szansa, że cię nikt nie ustrzeli. Tony wszystko załatwi.

Udało się tylko dlatego, że Tony, ochroniarz i prawa ręka Rickmana, znał się na organizacji jak mało kto. Zabraliśmy ze sobą pomocnicę charakteryzatorki, która równie profesjonalnie przerobiła moją facjatę tak, że sam siebie nie poznałem w lustrze. Dotarłem pod dom braci Barrow o siódmej rano. Alan już na mnie czekał, Anna miała dojechać o ósmej. Thor wyczuł, że jestem zmięty, i zrobił mi kawę, która postawiłaby na nogi nawet trupa.

– Julia jest u nas w mieszkaniu? – upewniłem się.

– Tak. Pojechała taksówką. Wysłałem za nią dwóch chłopaków. Dyskretnie i w cywilu. Przed niecałą godziną dzwonili, że dotarła na miejsce, a parę minut później Anna pojechała na uczelnię – pokazał palcami znak cudzysłowu – tą samą taksówką.

– A Edna?

– Jeszcze jest w domu, razem z Julką i dziećmi.

– Szlag! – zakląłem. Poza kamerami nie mieliśmy żadnej kontroli nad tym, co dzieje się w apartamencie. Pocieszała mnie jedynie myśl, że Julia, gdy było trzeba, potrafiła się postawić. – Najchętniej bym tam pojechał, wziął Ednę na

rozmowę i męczył tak długo, dopóki by wszystkiego nie wyśpiewała.

– Leo, powiedz słowo i za chwilę będziesz ją miał – stwierdził Alan. – Ale najpierw wytłumacz mi, skąd wiesz o planach waszej niańki.

– Anna podsłuchiwała rozmowę telefoniczną. Edna rozmawiała z porywaczami. Umawiali się, to tyle.

– Może się przesłyszała? – powiedział Thor. – Rebecca sprawdziła tę Ednę i wszystko jest w należyтым porządku. Dziewczyna ma skończone studia, referencje i tak dalej.

– Wiem. Przecież ją sprawdziłem przed zatrudnieniem. Nie jestem idiotą – odpowiedziałem, poirytowany jego słowami.

– Jeśli twoja luba mówi prawdę, na tym kryształce jest poważna rysa – zauważył Thor.

– Na pewno chodzi o okup, bo o co innego – głośno myślał jego brat.

– Okup? – Pokręciłem głową. – Nie wierzę, że Edna mogła pójść na taki układ. Ona naprawdę kocha Cathy i Edwarda. Tego nie można udawać. Tak się po prostu nie da. Edna traktuje je jak własne dzieci. Przysięgam. – Przyłożyłem dłoń do serca.

– Ponoć każdego da się kupić, tylko kwota musi być odpowiednia. Widocznie ktoś zaoferował Ednie wyższą stawkę. – Thor jak zwykle zachował swój czarny humor.

– Może ktoś ją szantażuje albo czymś zastraszył? – ciągnąłem, ale bracia Barrow nie mieli szansy mi odpowiedzieć, bo Anna właśnie dotarła na miejsce.

Myślałem, że nie wypuszczę jej z objęć, tak długo i mocno ją tuliłem. Rozpłakała się, ledwie mnie zobaczyła. Thor zaprosił ją do salonu i podał kubek z mocną herbatą. Poprosiłem, żeby opowiedziała, co ją naprowadziło na trop tych strasznych planów Edny, ale najpierw Alan szybko nas poinformował, że dzwonił jeden z tajniaków, który obserwował nasze mieszkanie, i powiedział, że Edna pojechała do miasta.

– Wysłałem Julii SMS-a, co u niej słyhać, i proszę... – Pokazał nam telefon. Ze zdjęcia uśmiechała się Julia. Trzymała w ramionach Edwarda, a Cathy leżała obok w nosidełku.

– Dałam Ednie wolne do południa. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam – powiedziała trochę spokojniejsza Anna.

Ja też ciut ochłonąłem. Teraz, gdy mieliśmy gwarancję, że przez najbliższe cztery godziny Julia i dzieci są bezpieczne, mogliśmy spokojnie pogadać.

– Dobrze zrobiłaś. – Ścisnąłem jej dłoń.

– Ja z takim pytaniem – odezwał się Thor. – Co z Alishą? Nie powinniśmy jej powiadomić o sprawie?

– A po co? – wypaliłem bez zastanowienia.

– Dotychczas, gdy coś się działo, Alisha o tym wiedziała.

– Ta sytuacja nie ma z nią związku, ale to moje zdanie i nie musicie się z nim zgadzać – zastrzegłem.

– Dajcie spokój. – Alan spojrział na mnie. – Później ustalicie, komu i co powiedzieć, tylko pamiętajcie, im więcej osób o tym wie, tym większe ryzyko, że ktoś coś chlapnie. A teraz słuchamy. – Skupił wzrok na Annie.

– Mama nie ma pojęcia, co się dzieje – zaczęła.

– To już wiemy od Alana.

– Okej. W skrócie, od dwóch tygodni Cathy zdarzało się płakać bez powodu. Mama to zgłosiła, wezwałam lekarkę, nic nie stwierdziła. Oglądałam obraz z kamer, mogę to robić w telefonie – dodała, bo Alan spojrział na nią pytająco. – Czasami nawet kilkanaście razy w ciągu dnia, ale nie zauważyłam niczego niepokojącego. Edna zachowywała się jak zawsze. Edward też, na nic się nie uskarżał. Śpi, je, śpi, je. Czasem płacze, ale tylko kiedy jest głodny. A Cathy? Coś z nią było nie tak. Jakby coś wyczuwała. Mama powiedziała, że to się dzieje wtedy, gdy Edna wychodzi z pokoju, jest w kuchni albo w łazience.

– Ha... – wtrącił się Thor. – Może Bambo o imieniu Cathy beczy, bo nie ma mamusi i Edny też nie ma? Czemu nikt o tym nie pomyślał?

– Jeszcze nie skończyłam. – Anna zgromiła go wzrokiem, ale bynajmniej się tym nie przejął, zresztą nie miał jak. – Pomyślałam, że zrobię, jak mi poradził Leo.

– Poleciałaś zobaczyć, co porabia nasza kidnaperka? – domyślił się Thor.

– Uhm. Kilka razy nic się nie działo. Widziałam, że zajmuje się porządkowaniem pokoju, czasami szykowała dzieciom mleko, ale raz złapałam ją, jak z kimś rozmawiała. I właśnie wtedy zdarzyło się to, o czym mówiła mama. Cathy nagle się obudziła i zaczęła przeraźliwie płakać.

– Julia wtedy z nią była?

– Tak. Była z nimi w naszej sypialni. Edward spał, a Cathy płakała, jakby ją skręcało z bólu. Ech... – Anna przełknęła ślinę. – To naprawdę było straszne. Jeszcze nie widziałam, żeby tak okropnie płakała. I nagle ciach, przestała. Natychmiast wróciłam do Edny i zauważyłam, że chowa telefon do kieszeni i idzie do sypialni zobaczyć, co się dzieje z małą.

– A kiedy usłyszałaś o tym porwaniu? – spytał Alan. Dziękowałem Bogu, że jego niesforny braciszek też jest Wędrowcem i Alan, wtajemniczony w nasze dziwne umiejętności i zwyczaje, nie wnika w wizje, jak nazywał latanie i podglądanie ludzi.

– Przedwczoraj późnym wieczorem.

– Co usłyszałaś? – dociekał.

– Edna mówiła, że na razie nie ma okazji, bo ciągle ja albo mama jesteśmy w domu. I wtedy ten ktoś powiedział, że ma zachować spokój i jak zostanie sama, skontaktować się z tym kimś, a wtedy dostanie wskazówki, co dalej. Powiedział, bo

to był mężczyzna, że na pewno taka okazja wkrótce się pojawi, bo znają grafik dyżurów mojej mamy.

– Ta-dam! – Thor wydał swoje mięsiste wargi. – Chyba nie ma wątpliwości, że coś tu cuchnie. Leo, nie zajmuj się zatrudnianiem ludzi, bo nie ogarniasz. Zleć to mnie.

– Ten ktoś dodał, że przyjedzie po nią taksówka. I że ma być przygotowana na szybką ewakuację, a wtedy Edna powiedziała, że ma spakowaną torbę.

– Wiesz, gdzie ją schowała? – zapytałem.

– Tak. Powiedziała temu mężczyźnie, bo pytał. Był bardzo dociekliwy. Gdy wyszła przynieść paczkę, którą kurier zostawił na portierni, szybko zajrzałam do szafki z ubrankami Edwarda i znalazłam tę torbę. Oczywiście nic nie ruszałam.

– Mam plan – oznajmił Alan.

– Widzę, że szykuje się kolejna, doskonale dopracowana przez mojego braciszka akcja – zakpił Thor, pijąc do planu wyswobodzenia Anny z rąk Dorothy.

– Nie marudź – uciszył go Alan. – Posłuchajcie...

* * *

– Edna, gdzie jesteś? – zawołałam nianię.

– Tutaj! – odkrzyknęła z kuchni.

Poszłam tam i starając się zachować pogodną twarz, powiedziałam, że jadę na zajęcia.

– Szkoda, że mama ma dyżur – westchnęłam. – Wykorzystała już dawno cały urlop, a teraz, gdy jest mi najbardziej potrzebna, nie może wziąć nawet bezpłatnego. Będzie ci trudno nad nimi zapanować. Ostatnio Cathy jest bardzo marudna.

– Spokojnie. Poradzę sobie – odparła Edna, unikając mojego wzroku. Ułożyła umyte butelki na suszarce, wytarła blat wokół zlewu i dopiero wtedy na mnie popatrzyła. – Wezmę maluchy na chwilę na spacer wokół osiedla.

– Ale tylko na chwilę. Wprawdzie paparazzi ostatnio odpuścili, ale zawsze może się zdarzyć jakiś nadgorliwiec.

– Jasne – odpowiedziała na pozór spokojnie i tak jak zawsze, ale ja wyczuwałam fałsz w jej głosie. A może tylko mi się zdawało?

– Jakby się coś działo, dzwoń.

Poprawiłam torbę, w której nosiłam Księżę, wróciłam na chwilę do sypialni, żeby ucałować dzieciaki, i szybko odmówiłam zdrowaśkę w intencji powodzenia naszego planu.

Taksówka już czekała. Dotarłam pod uczelnię, weszłam do środka, przeszłam energicznie przez cały budynek i opuściłam go tylnym wejściem. Na dziedzińcu czekał na mnie samochód. Miał przyciemniane szyby, za kierownicą siedział Tommy, czyli jeden z policjantów, którzy uczestniczyli w akcji, a za nim

Leo.

– Szybko – popędził mnie.

Ruszyliśmy, gdy tylko wsiadłam.

– *Poleciałeś tam?*

– Uhm.

– *Wszystko w porządku?*

Leo dyskretnie pokiwał głową. Piętnaście minut później byliśmy na miejscu. Tommy zaparkował w wąskiej uliczce, biegnącej wzdłuż ogrodzenia naszego osiedla. To była bardzo dobra miejscówka, bo nikt nas nie widział zza dwóch sporych kontenerów na odpadki.

– Czekamy – mruknął Tommy po krótkiej rozmowie z Alanem.

– *Thor jest z Alanem?* – upewniłam się. Leo kolejny raz pokiwał głową. Skorygowaliśmy plan zaproponowany przez Alana. Udało nam się przekonać upartego kapitana, żeby zabrał ze sobą Thora. Chodziło o możliwość śledzenia każdego kroku i ruchu Edny. Wprawdzie policja dysponowała obrazem z kamer, ale te znajdowały się tylko w wybranych pomieszczeniach apartamentu, a Alan nie chciał występować o zgodę na podgląd kamer przemysłowych przed budynkiem i na korytarzach. „A jeśli porywacze mają jakieś wtyki w firmie, która zajmuje się ochroną osiedla?” – dzielił się z nami swymi wątpliwościami. Ostatecznie stanęło na tym, że udostępniliśmy mu obraz z kamer, a Thor służył dodatkową pomocą.

Siedziałam jak na szpilkach. Minuty dłużyły się nam niczym godziny. Nagle Tommy drgnął nerwowo. Musiał coś usłyszeć w małej słuchawce, schowanej dyskretnie w lewym uchu.

– Zaczęło się. Niania wyszła z budynku. Ma ze sobą dzieci. – Przeleciał mnie lodowaty dreszcz, gdy to powiedział. – Zostajecie tutaj, a ja idę, kapitan mnie wezwał. Niech pan się przesiądzie za kierownicę. Czekajcie na informację, co dalej.

Tommy zapiął suwak cienkiej wiatrówki, sprawdził w lusterku wstecznym, czy nie widać słuchawki, i wysiadł. Miał udawać zwykłego przechodnia, jak kilku innych tajniaków rozproszonych wokół osiedla.

– Może polecę zobaczyć, co się dzieje? – spytałam, z trudem panując nad szczękaniami zębami.

– A jak będziemy musieli nagle ruszyć? Wiesz, z czym to się wiąże? – Leo niepokoił się o mnie. Miał podstawy. Nagły powrót do ciała nie był przyjemny.

– Trudno. Przeżyję – odparłam.

Zaledwie trzy razy zdarzyło mi się zakończyć mentalną podróż w gwałtowny sposób i za każdym umierałam z bólu. Na szczęście nie trwał zbyt długo i dało się go wytrzymać. Ułożyłam się wygodnie i odpłynęłam.

– *Będę ci mówić, co widzę* – przekazałam. Już po chwili zlokalizowałam Ednę. – *Doszła do budki ochroniarzy, minęła ją. Edwarda ma w nosidelku, a Cathy*

w chuście na brzuchu. Boże, jak Cathy płacze... – jęknęłam. – Widzę samochód. Właśnie podjechał i zatrzymał się przy chodniku. Normalna taksówka, podam ci numery rejestracyjne, jak chcesz, zapisz sob... – nagle przerwałam. – Leo! Kierowca to Jack! Jezu! Muszę to przekazać Thorowi! Thor?! Za kierownicą taksówki, do której właśnie wsiada Edna, siedzi Jack. To Wędrowiec z Habbatum! To on pomógł Dorothy mnie uprowadzić, uważajcie! Przekaż Alanowi, że Jack na pewno jest uzbrojony.

Postanowiłam nadawać swój przekaz zarówno Leo, jak i Thorowi, zwłaszcza że nie miałam pewności, czy ten ostatni ma warunki, żeby gdzieś spokojnie usiąść i polecieć mentalnie, choć akurat Thor miał sporo wprawy w szybkich, krótkich i spontanicznych lotach, bo tylko tak mógł widzieć.

– Jestem w taksówce. Ruszyli. Cathy okropnie płacze, wprost się zanosi. Boże, czemu nas to spotyka? – pozwoliłam sobie na skargę. – Edna spytała: „Dokąd jedziemy”, a Jack odpowiedział: „Dowiesz się w swoim czasie”. Każę jej uspokoić Cathy – dodałam po chwili. – Cathy ciągle krzyczy, a Edward chyba się wystraszył, bo też zaczął płakać. Teraz ryczą już oboje. Widzę, że Jack jest wściekły. Co chwilę zerka do lusterka. Jest okropnie zdenerwowany. Ma broń, nie widzę dokładnie, co to za model, bo widać tylko fragment rękojeści. Znów kazał Ednie uspokoić dzieci. Wrzeszczy na nią, że mają się zamknąć.

Przez chwilę nie relacjonowałam, bo pękało mi serce, gdy nagle uświadomiłam sobie, że przecież Cathy i Edward też mogą mnie usłyszeć. Zdawałam sobie sprawę, że to niewielka ulga dla dzieci, ale zawsze coś.

– Cathy, Edek? Moje skarby kochane, mamusia jest przy was, nie płaczcie, wy moje serduszka... Cii... Nie płaczcie, karmelki moje słodkie. Mamusia jest blisko. Cichutko, moje skarby... – mówiłam do nich i chyba poskutkowało, bo na moment się uciszyli. Po chwili Edward zupełnie przestał płakać, niestety Cathy rozdarła się na całe gardło.

– Odstrzelę jej łeb, jak się nie zamknie – warknął Jack.

– Przepraszam, nie mogę jej uspokoić – wyłkała Edna. Była przerażona. Jej głos drżał, twarz pokrywały strugi łez, a ciałem co chwilę wstrząsał szloch.

Poczułam coś na kształt współczucia, gdy widziałam, co się z nią dzieje, ale zasługiwała na to. Na dodatek tylko ona mogła czuć się bezpieczna, będąc w łapach Jacka. Musiał wiedzieć, że dzieci są Wędrowcami, i że może je bezkarnie zabić.

Szybko przekazałam relację z ostatniej minuty Thorowi i Leo i znów mówiłam do dzieci, ale Cathy nie przestawała rozdzierająco płakać. Tak byłam zaabsorbowana tym, co dzieje się w taksówce, że nie zauważyłam, gdzie dojechała. Nagle Jack włączył kierunkowskaz, skręcił w jakąś wąską uliczkę i zatrzymał samochód. Szybko rozejrzałam się po okolicy. Nie miałam pojęcia, co to za miejsce. Nigdy tu nie byłam. To musiała być jakaś przemysłowa dzielnica, wskazywały na to budynki magazynowe, brak sklepów i zero przechodniów. Ten

krótki rekonesans i jeszcze szybsza relacja dla Leo i Thora wystarczyły, by Cathy zaniósła się kolejnym szlochem, a Edward natychmiast poszedł w jej ślady.

– Masz dziesięć sekund i jeśli się nie zamknie, odstrzelę jej tę małą czarną główkę! – zagroził Jack takim tonem, że aż mnie ścisnęło w dołku. – Dziesięć, dziewięć, osiem... – zaczął odliczać.

– Błagam, przecież ona jest mała, nie rozumie... – szlochała Edna.

– Siedem, sześć...

– Proszę, nie rób jej krzywdy! – błagała Edna, głaszcząc Cathy.

Niestety, nic to nie dało, moja córka nadal krztusiła się łzami. Nagle Jack wyjął broń, odwrócił się na fotelu i wycelował w głowę Cathy. Poczułam, jak moje serce się zatrzymuje. Próbowałam dostrzec, co to za model pistoletu i czy musiał go odbezpieczyć, ale to była jakaś nieznaną mi broń, prawdopodobnie zrobiona na zamówienie.

– Pięć, cztery, trzy... Zatkaj jej czymś gębę! – wrzasnął Jack.

– Ale czym? – spytała Edna.

– Nie wiem! Pampersiem! – Jack machnął bronią w stronę torby leżącej na siedzeniu pomiędzy Edną a nosidełkiem z Edwardem.

Chyba to właśnie ten gwałtowny ruch sprawił, że Edna wpadła w szal. Zaczęła krzyczeć wniebogłosy: „Przeklęty morderca! Nie zabijaj nas! Ratunku!”, nagle odpięła pasy i już myślałam, że otworzy drzwi samochodu i wyskoczy na zewnątrz albo, co gorsza, zaatakuje Jacka, mając na brzuchu wrzeszczącą Cathy, ale ona obróciła się na siedzeniu i rzuciła całym ciałem na dzieci. Przysłoniła je, objęła Edwarda ramionami, przeraźliwy krzyk Cathy docierał do mnie stłumiony spod brzucha Edny i wtedy huknął strzał...

* * *

Miałem siedzieć i czekać na wezwanie, na instrukcje od Alana lub któregoś z jego podwładnych i na dalszy ciąg relacji Anny, ale u diabła, kto by to wytrzymał?! Gdy Anna przekazała, że to Jack, ten sobaczy syn, jak mawiała Nat, był zamieszany w porwanie dzieci, miałem nieodpartą ochotę ruszyć z piskiem opon, dogonić taksówkę, wywlec tego gnoja z za kółka i po prostu go zajebać! Choćbym miał przy tym sam zginąć. Ale nawet nie odpaliłem silnika. Bałem się, że to wywoła nagły powrót Anny do ciała i narazi ją na koszmarny ból głowy.

Pewnie siedziałbym dalej, niczym ten kiep, ale gdy Anna przekazała mnie i Thorowi, co dzieje się wewnątrz taksówki, którą ten zdrajca wiozł moje dzieciaki, nie wytrzymałem. Ułożyłem się i poleciałem zobaczyć to na własne oczy. Na szczęście Tommy zostawił włączony podgląd w nawigacji. Wiedziałem, gdzie zmierza samochód i dwa śledzące go wozy policji. Bez tego w życiu bym ich nie znalazł, a przecież Anna nie dała mi żadnej wskazówki. Minęło kilka sekund i byłem na miejscu, trochę błędziłem między wąskimi uliczkami, ale w końcu

namierzyłem taksówkę. Stała przy chodniku, a tuż nad nią, na ceglanym murze, wisiała tablica z napisem „Magazyn towarowy #8 L.S. Company”, czyli ta, którą opisała Anna.

Zacząłem szukać wzrokiem policji, gdy huknął strzał. Zastygłem. Widziałem krew rozbryźniętą na szybie i nie mogłem ruszyć się z miejsca. Nagle do mnie dotarło, że w przedniej szybie jest dziura, i poczułem, że jeszcze nie wszystko stracone. W ułamku sekundy znalazłem się w samochodzie. Od razu stwierdziłem, że Jack nie żyje. Fragmenty jego mózgu, kości, krwi – prawdziwy koktajl z ludzkich protein – oblepiły wnętrze pojazdu. Były wszędzie, skapywały z sufitu i kierownicy, a wśród tej wszechogarniającej rzezi rozlegał się przeraźliwy krzyk dzieci i głuche wycie Edny.

Wytrzeszczałem oczy, próbując dostrzec, czy Edward nie jest ranny, bo jego główkę pokrywały strzępki tkanek z tego, co jeszcze przed chwilą było głową Jacka. Wrzeszczał niczym syrena okrętowa, więc uznałem, że mój syn jest cały i zdrow, choć z pewnością w niezłym szoku. Ednie chyba też nic się nie stało. Leżała skulona i mamrotała coś pod nosem. „To musiał być policyjny snajper” – podejrzewałem, chociaż dziwił mnie nieco rozmiar otworu po kuli. „Czy policja używa takiego kalibru?” – pomyślałem naprędce. Już miałem wrócić do ciała i powiedzieć, że chyba po wszystkim, gdy w mojej głowie rozległ się kolejny huk strzału.

Ból rozsadził mi czaszkę, a krzyk mimowolnie wyrwał się z piersi. Przez kilka sekund nie mogłem pojąć, co się stało, dopiero gdy dotarł do mnie jęk bólu, który na pewno pochodził z ust Anny, uświadomiłem sobie, że oboje wróciliśmy do swych ciał. Staralem się przetrwać tych kilka koszmarnych sekund już bez wrzasków, bo bałem się o Annę, a z drugiej strony chciałem jak najszybciej wrócić do dzieci i Edny.

– Leo... – jęknęła Anna. – Wracam tam...

Dołączyłem do niej chwilę później. Jeszcze tętniło mi w głowie, ale nie dbałem o to. Może adrenalina sprawiła, że błyskawicznie przeszło. Przede wszystkim sprawdziłem, czy dzieciaki żyją. Nic się nie zmieniło poza tym, że drugi pocisk rozwalił szybę w drobny mak. Znów coś walnęło, ale gdzieś z tyłu. Natychmiast się odwróciłem. Dopiero teraz zauważyłem jakiś samochód, a za nim dwóch gliniarzy w cywilu. Celowali w stronę wycofującego się SUV-a. Jeden z policjantów puścił serię i nagle szyba SUV-a zbielała, by po kilku sekundach przybrać tu i ówdzie różowawy odcień. Auto skręciło, wjechało na chodnik i walnęło tyłem w ścianę budynku.

– *Leo, z dziećmi wszystko w porządku!* – krzyczała Anna. – *Nic im nie jest. Edna też żyje i chyba nie została ranna. Zasłoniła je! Widziałeś?!* – Chyba zapomniała, że nie mogę jej odpowiedzieć. – *Ktoś zabił Jacka! Policja?! A kto był w tym czarnym aucie?! Znasz tego faceta?* – zarzuciła mnie gradem pytań. Czym

prędzej polecałem, żeby to sprawdzić, ale kierowca SUV-a leżał twarzą na kierownicy, a od spodu nie było widać nic oprócz krwawej miazgi. Jednego byłem pewien – to właśnie ten człowiek strzelał do Jacka. Porzucony na podłodze obrzyn prezentował się imponująco. Kaliber jak na słonia.

Pomyślałem, że trzeba wracać. Już zaczęły się zjeżdżać wozy policyjne, w jednym z nich dostrzegłem Thora, u wlotu uliczki pojawił się ambulans na sygnale. Byłem pewien, że za chwilę po raz kolejny doświadczymy skutków nagłego powrotu do ciała. Ku mojemu zaskoczeniu Anna już na mnie czekała.

– Jedziemy tam! – powiedziała, przechodząc między siedzeniami do przodu.

Niestety, tradycyjna podróż zajęła nam nieco więcej czasu niż mentalna i zanim w końcu przedarliśmy się na miejsce, upłynął prawie kwadrans. Po drodze zadzwonił Alan, żeby powiedzieć, że mamy przyjechać jak najszybciej, bo załoga ambulansu potrzebuje naszej zgody na zabranie dzieci do szpitala.

Na miejscu panował totalny chaos. Wyły syreny, wyła Edna, którą ktoś skuł kajdankami, a teraz jakaś policjantka prowadziła ją za ramię do radiowozu, i z pewnością gdzieś wyły nasze dzieciaki.

– Dzieci! – wrzasnęła Anna, gdy ujrzała nasze pociechy. Thor trzymał nosidełko z Edwardem, a obok niego stała ratowniczką medyczną i próbowała uspokoić Cathy.

Wiedziałem, że to jej zawdzięczamy szczęśliwe zakończenie tej sprawy. Podbiegłem do ratowniczką i porwałem Cathy w ramiona.

– Moja kochana, dzielna córeczka! – Przytuliłem ją mocno, choć krzyczała i protestowała przeciwko takiemu traktowaniu.

I nagle Cathy przestała płakać. Odsunąłem ją, żeby sprawdzić, co się stało. I zdarzył się cud. Prawdziwy cud. Moja mała Cathy uśmiechnęła się do mnie...

Rozdział 16

Dziewięcioro...

Po raz kolejny plan Alana wypalił tylko częściowo. Dziękowałam Bogu, że dzieciom nic się nie stało, ale niewiele brakowało, a skończyłoby się tragicznie. Kolejny plus, jeśli można było mówić o jakichś plusach, był taki, że na nasze szczęście nikt nie kojarzył naszych dzieci i nas samych, zwłaszcza mojego męża, z dramatyczną strzelaniną, która kosztowała życie dwóch mężczyzn. Media spekulowały, że to porachunki gangów. Trzeba przyznać Alanowi, że zadbał o pełną dyskrecję. Przynajmniej na razie.

Nie zgodziliśmy się na zabranie dzieci do szpitala. Fizycznie nic im nie dolegało, a hospitalizacja i tak nie złagodziłaby ich szoku. Miałam nadzieję, że ze względu na wiek nie zapamiętają tej traumy, a jeśli nawet, będziemy się o to martwić później. Zabraliśmy dzieci i z Tommym w roli kierowcy pojechaliśmy do domu.

– Ani pary z ust mojej mamie – postanowiłam, ale Leo był przeciwny tej decyzji.

– I tak się dowie. Po pierwsze, nie ma Edny, więc zaczną się pytania, po drugie, ta sprawa może kiedyś wypłynąć, bo nie mamy gwarancji, że wśród tylu osób, które tam były, ktoś nie puści farby skuszony honorarium od jakiegoś szmatławca. A po trzecie, jak znam Alana, prędzej czy później coś mu się wymysknie – argumentował Leo.

– Okej. Ale nie teraz. Teraz nie mam do tego głowy.

Nazajutrz przyjechał do nas Alan, żeby w skrócie przedstawić, co już ustalili w śledztwie. Poprosił o dyskrecję, zupełnie niepotrzebnie, bo akurat dla nas dyskrecja była najważniejsza.

– Potrzebuję waszej pomocy. Oczywiście nieoficjalnie, bo odmówiliście składania zeznań – przypomniał.

– Nie ma sprawy. Pytaj.

– Magazynek pistoletu był pusty – powiedział Alan, wprawiając nas w niemałe zdumienie.

– Pusty? Mowa o pistolecie Jacka? – upewniłam się.

– Tak. Macie pomysł dlaczego?

– Hm... – Leo zmarszczył czoło.

– *Pewnie bał się, że go poniesie i przypadkiem zastrzeli człowieka, czyli Ednę. A może Jack nie wiedział, że dzieci są Wędrowcami?* – przekazałam mojemu mężowi, po czym szybko wycofałam się z tego pomysłu. Na pewno Jack o tym wiedział, wystarczy, że poleciał je zobaczyć i trafił na Astrum.

– Załóżmy, że wiemy, czym mógł się kierować, zabierając ze sobą broń

z pustym magazynkiem – odpowiedziałam po krótkim namyśle.

– Chciał mieć straszaka? – zapytał Alan.

– Otóż to.

– Mógł wziąć atrapę, żeby wystraszyć Ednę.

– A po co tak kombinować? – spytał Leo. – Miał prawdziwą broń, a że z pustym magazynkiem? Tego nie da się stwierdzić na oko.

– W porządku – mruknął Alan. – Drugie pytanie. Czemu tamten go odstrzelił?

– Bo uznał, że Jack chce zabić dzieci – odpowiedziałam.

– Tylko dzieci? – Alan zmarszczył nos. – A Edna? Ona była świadkiem. A może ten człowiek, którego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy, chciał zabić Ednę?

– Nie mam zdania – odparł Leo. – Przede wszystkim nie wiem, czemu strzelił dwa razy. Pierwszy raz to rozumiem: chciał zlikwidować Jacka, bo ten wymachiwał bronią jak idiota. Ale za drugim razem? Musiał wiedzieć, że Jack nie żyje. Nie był w stanie dojrzeć, co się dzieje w środku, bo szyba popękała, ale widział krew, więc to raczej nie budziło wątpliwości.

– Strzelił drugi raz, żeby rozwalić szybę i zobaczyć, co się dzieje w środku. Mam na myśli Ednę i dzieci – powiedziałam.

– No tak. To ma sens.

– Obrzyn nie miał celownika optycznego – zauważył Leo. – Koleś mógł nie wiedzieć, co jest grane.

– Jesteśmy prawie pewni, że ta broń miała mu posłużyć do ewentualnej obrony przed nami. To cholerstwo pokona każdą kamizelkę. Szkoda, że nie do końca poszło tak, jak planowałem – stropił się Alan. – Chcieliśmy ująć bandziorów, przesłuchać i ukarać, a co najważniejsze, dotrzeć do zleceniodawców.

– Kto mógł przypuszczać, że Jack tak nerwowo zareaguje? To też zagadka. – Leo pokręcił głową. – Facet był moim ochroniarzem. Wiem, że to śmiesznie zabrzmiało, ale on też miał doskonałe referencje, choć akurat w jego przypadku mogły być sfalszowane, bo zanim go zatrudniłem, chronił ponoć jakichś bogaczy z Arabii Saudyjskiej. Ale i tak uważam, że był wyjątkowo opanowany. Potrafił doskonale się kontrolować.

– Dzisiaj po południu przesłuchujemy waszą nianię – oznajmił po chwili Alan.

– O której?

– O czwartej. Jak chcecie, to sobie pooglądajcie. Chodzi mi o te wasze wizje. – Chrząknął znacząco.

– Nie omieszkamy – odparł Leo.

Tymczasem zostaliśmy sami na placu boju, czyli z dziećmi. Zdawałam sobie sprawę, że musimy kogoś zatrudnić, bo inaczej ani Leo, ani ja nie będziemy mogli ruszyć się z domu. Wprawdzie Thor spotkał się z Alishą, a ta od razu

zadeklarowała, że dopóki nie znajdziemy kolejnej opiekunki, może nam pomagać, ale nie zamierzaliśmy skorzystać z jej oferty. Nie wiem dlaczego, ale ani mnie, ani mojemu mężowi nie spodobała się ta propozycja. Może oboje uznaliśmy, że to byłoby zbyt przykre dla Alishy: opiekować się Cathy, która w jakimś stopniu wiązała się z Dorothy? A może przez Briana? Chyba wciąż nie mogliśmy mu w pełni zaufać. A co, jeśli wiedział o Wędrowcach, którzy zlecili porwanie dzieci, i nie wspominał nam o tym?

Leo stwierdził, że proponuje tę pracę mojej mamie. Oczywiście liczył się z tym, że odmówi, nie chcąc tracić etatu w szpitalu, mimo to postanowiliśmy spróbować. Była też opcja, żeby zadzwonić po Ruby, ale jeśli Ruby, to i George, a ten ostatni nie znosił Londynu. Poza tym jeszcze nie wrócili ze swoich wojaży. Tak czy owak, na razie musieliśmy sobie jakoś radzić.

– Ja polecę i będę na bieżąco przekazywać, co się dzieje. Poza tym Alan obiecał, że da nam protokół, pamiętasz? – przypomniałam mu.

– Pamiętam. Leć, leć – mruknął Leo. – Nic nie relacjonuj, odsłucham nagranie.

– Jak powie coś ważnego, wtedy ci przekażę.

– Dobra. A co do niańczenia, świetnie daję sobie radę. Popatrz na nas – powiedział z dumą. – Chyba zmienię zawód.

Rzeczywiście, cała moja ukochana trójka doskonale się zgrała. Edward ziewał, bo przed chwilą skończyłam go karmić, a Cathy, jeszcze w ramionach tatusia, podobnie jak braciszek szykowała się do popołudniowej drzemki. Aż żal było ich zostawiać. Poszłam do sypialni i zamknęłam drzwi. Położyłam się wygodnie i poleciałam.

Na ściennym zegarze wiszącym w małej salce, w której odnalazłam Ednę, Alana i jeszcze jakiegoś nieznanego mi policjanta, dochodziła czwarta. Współpracownik Alana włączył dyktafon, przedstawił się jako Darren Goodall, po czym podał datę i godzinę oraz imię, nazwisko i datę urodzin świadka, bo taki status miała na razie Edna. Pouczył ją również o prawie odmowy zeznań i uraczył wszystkimi formułkami, wygłaszanymi podczas przesłuchania. Edna, co dziwne, odmówiła zgody na wezwanie adwokata.

– Nie stać mnie na prawnika.

– Możesz mieć z urzędu – powiedział Alan, ale Edna pokręciła głową.

Musiałam przyznać, że wyglądała koszmarnie. Jej twarz napuchła od płaczu, włosy, zazwyczaj świeżo umyte i zaczesane w zgrabny koczek na karku, przedstawiały obraz nędzy i rozpacz, a szarobury uniform, w który kazali jej się przebrać, podkreślał żaloszny całokształt.

– Co masz do powiedzenia w sprawie porwania dwójki dzieci swoich pracodawców, a mianowicie nieletnich Catherine i Edwarda Blacków? – spytał Darren.

Edna przez chwilę milczała. Opuściła głowę, a z jej policzków powoli skapywały łzy. Spadały na koszulę, zostawiając na niej ciemniejsze plamki.

– Jaki był powód porwania? Wiesz?

Zero odpowiedzi.

– Ktoś chciał uzyskać okup? – zapytał Alan, a Edna lekko drgnęła. Podniosła głowę i odparła, że nie chodziło o okup.

– A o co?

– Nie jestem pewna, ale nie chodziło im o pieniądze.

– Im? Twój zleceniodawca to więcej niż jedna osoba?

– Raczej tak.

– Dwóch czy więcej?

– Nie wiem.

– Więc o co im chodziło?

– O książkę.

– Jaką książkę?

– Anna ją ma. Nigdy nie widziałam jej z bliska, bo Anna bardzo jej pilnuje. Nie wychodzi z domu bez tej książki. Nosi ją w specjalnej torbie przewieszanej przez ramię. Śpi z tą torebką pod poduszką, zabiera ją nawet do łazienki.

– *Leo, już wiem, dlaczego porwano dzieci! Najprawdopodobniej znów chodziło o Księgę. Przypuszczam, że chcieli ją wymienić za dzieci* – przekazałam błyskawicznie. Miałam rację, bo chwilę później Edna potwierdziła, że taki był plan porywaczy. Zamierzali zaproponować nam wymianę. W umówionym miejscu mieli zostawić jedno z dzieci. Później była nasza kolej, mieliśmy zabrać dziecko i zostawić Księgę, a po kilku dniach, w terminie ustalonym przez porywaczy, zamierzali oddać drugie.

– Nie mogłaś po prostu ukraść tej książki? – spytał Darren, nie wierząc zapewne w słowa Edny.

– Nie. Chyba że odebrałabym ją siłą. Rzadko byłam sama na sam z Anną, a nawet jeśli napadłabym na nią i zabrała jej książkę, wszystko od razu by się wydało, bo w apartamencie są kamery. Poza tym każde moje wyjście Anna lub Leo zgłaszają ochronie. Wychodzę z domu i wtedy któreś z nich od razu dzwoni i mówi, że mam zezwolenie. Nie mogłabym opuścić osiedla bez tego zezwolenia. Ochrona natychmiast by mnie zatrzymała. Anna i Leo bardzo dbają o bezpieczeństwo.

– Jak widać, nie bardzo – mruknął cicho Alan.

– A gdy byłaś sama z dziećmi i chciałaś wyjść, na przykład na spacer? – dociekał Darren.

– Anna lub Leo uprzedzali o tym ochronę.

– Dlatego nikt ci wczoraj nie przeszkodził? Bo Anna uprzedziła ochronę?

– Tak.

– Załóżmy, że mówisz prawdę – westchnął Alan. – Powiedz, czemu się

zgodziłaś pomóc porywaczom. Zaproponowali ci rekompensatę? Zgodziłaś się na współudział dobrowolnie?

– Dobrowolnie.

– Nie szantażowali cię?

– Nie.

– Oni? Czyli było ich kilku?

– Dwóch. Jednego poznałam osobiście, a drugi rozmawiał ze mną przez telefon. Nie wiem, jak wygląda. Nie znam jego imienia.

– Zabezpieczyliśmy twój telefon. – Darren wziął do ręki jakąś kartkę i przesunął w stronę Edny. – Czerwonym długopisem podkreślił numery telefonów, pod które dzwoniłaś w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Oczywiście oprócz telefonów do Anny i Leo. Które z nich to numery tego człowieka?

– Wszystkie poza tym. – Edna pokazała palcem na jeden z powtarzających się numerów. – To numer mojej mamy. Gdy byłam w apartamencie, korzystałam z telefonu stacjonarnego.

Darren zabrał kartkę i schował do teczki.

– Dlaczego zdecydowałaś się na współpracę z tymi ludźmi?

– Muszę odpowiedzieć na to pytanie? – Edna przełknęła ślinę.

– Nie musisz, ale w twojej sytuacji... – Alan zawiesił głos.

– Ze względu na mamę. Mój ojciec... – Obliznęła wargi i sięgnęła po plastikowy kubek. Upiła kilka łyków wody i odstawiła go, wzięła głęboki wdech i spojrzała na obu policjantów. – Mój ojciec jest alkoholikiem. Od lat znęca się nad mamą, a zanim wyjechałam do Londynu, również nade mną. Mama nigdy nie potrafiła mu się przeciwstawić. Niedawno znów ją pobił. Tym razem tak mocno, że wyładowała w szpitalu. Nie wiem skąd, ale ci ludzie wiedzieli o tym. Ten, z którym się spotkałam, pokazał mi zdjęcia.

– Mama nie powiedziała ci o tej sytuacji? – Alan przechylił głowę.

– Nie. Wstydziła się. Gdy zobaczyłam zdjęcia, zadzwoniłam do niej i przyznała, że ojciec prawie ją zabił.

– Nie oskarżyła go? – spytał Darren.

– Nie.

– Jak zdołała to ukrywać przez tyle lat? – Alan chyba też nie mógł uwierzyć w tę historyjkę.

– Nigdy nie zgłaszała wyczynów taty na policję. A teraz powiedziała, że spadła ze schodów.

– Niech ci będzie – mruknął Alan. – Co było dalej? Zobaczyłaś te zdjęcia, porozmawiałaś z mamą i...?

– Ten człowiek zaproponował nam, mnie i mamie, nowe otwarcie. Powiedział, że kupi dom i przepisze go na mnie. Wtedy będziemy mogły tam zamieszkać. Oprócz tego dostanę jednorazową zapomogę, która pozwoli na godne

życie przez kilka lat.

– Ile wyniosła ta zapomoga? – spytał Darren, wykrzywiając usta w ironicznym uśmiechu.

– Pół miliona funtów.

– Uhm – mruknął Alan. – Dostałaś tę kasę?

– Tak. Dom też. Część pieniędzy dostałam w gotówce, a reszta jest na koncie w banku.

– Chyba nie w którymś naszym?

– W szwajcarskim. Tylko ja mam upoważnienie.

– A dom?

– Jest w Shaftesbury. W hrabstwie Dorset.

– Mama tam mieszka?

– Tak. Od dwóch tygodni.

– Tata nie zna jej adresu?

– Nie.

– Miałaś tam zamieszkać?

– Tak.

– Kiedy?

– Już wczoraj miałam tam pojechać. Taka była umowa. Przekazuję dzieci i wyjeżdżam z Londynu. Któryś z nich miał mnie tam zawieźć. Miałam tam zostać, aż wszystko się uspokoi, czyli wymiana dojdzie do skutku.

– Zakładali, że Blackowie nie będą nagłaśniać sprawy ze względu na popularność Leo – ni to stwierdził, ni spytał Darren. – Możesz opisać człowieka, z którym się spotkałaś? Gdzie to było, ile razy? Kiedy? W jaki sposób się z tobą skontaktował?

– Spotkałam się z nim tylko raz. Umówił się ze mną w Hyde Parku, niedaleko fontanny Artemis. – Edna poprosiła o kalendarz, bo nie była pewna daty.

– Najpierw dzwonił do mnie ten drugi, ten, z którym tylko rozmawiałam. I on umówił nas ze sobą.

– A może to jeden i ten sam człowiek? – zapytał Alan.

– Na pewno nie. Człowiek, który ze mną rozmawiał, miał delikatną wadę wymowy. Sepleniał.

– Mógł udawać.

– Gdy byłam w parku, ten nieznany mi osobiście kierował mnie przez telefon. Rozmawiałam z nim, widząc tego drugiego. To byli dwaj różni mężczyźni. Na pewno.

– No dobrze – westchnął Darren. – Jak wyglądał ten człowiek? W co był ubrany? Miał jakieś znaki szczególne? Przedstawił się?

– Znał moje imię i nazwisko, a sam kazał zwracać się do siebie per „Muzyk”. Był trochę podobny do aktora Denzela Washingtona, ale młodego. Miał

około dwudziestu pięciu lat, krótko ścięte włosy, w zasadzie był prawie łysy. Co do stroju, nic szczególnego. Założył jakieś zwykłe dżinsy, granatową wiatrówkę. Miał też okulary przeciwsłoneczne. Zdjął je na chwilę i wtedy zobaczyłam, że...

– Że? – Alan nachylił się nad blatem niewielkiego stolika, przy którym siedzieli.

– Jedno oko miał ciemnobrązowe, prawie czarne, a drugie szare czy zielonkawe.

– Możesz z całą pewnością stwierdzić, że nie nosił soczewek kontaktowych?

– Nie. – Edna pokręciła głową. – To trwało zbyt krótko, żebym mogła się przyjrzeć.

– Zdjął okulary specjalnie czy był to raczej przypadek? Chodzi mi o to, czy mógł celowo pokazać ci na moment swoje oczy, żebyś pomyślała, że cierpi na heterochromię?

– Heterochromię? – upewniła się Edna. – Różnobarwność tęczówek?

– Tak.

– Nie wiem. Nie pamiętam, jak to było. Byłam zdenerwowana. – Zagryzła bezwiednie usta. – Ja naprawdę chcę wam pomóc, ale nie pamiętam – dodała, patrząc na Alana. Spojrzałam nań szybko. Jego mina mówiła: „Kręcisz dziewczyno”. – Bardzo żałuję... – powiedziała Edna i zakryła usta. Z jej oczu znów trysnęły łzy.

Przez chwilę czekali, aż Edna się opanuje. Darren dał jej paczkę chusteczek, a Alan nalał kolejną porcję wody do plastikowego kubka.

– Jutro odwiedzi cię nasz rysownik. Czy będziesz współpracować przy tworzeniu portretu pamięciowego? – zapytał Alan, trochę zniecierpliwiony przedłużającą się przerwą.

– Tak.

– Znałaś człowieka, który prowadził taksówkę?

– Nie. Nigdy go nie widziałam.

– Pokażę ci zdjęcie drugiego mężczyzny. Pochodzi z prawa jazdy, aczkolwiek na razie nie mamy stuprocentowej pewności, czy to jego zdjęcie. Postrzelono go w głowę, a dokładnie w twarz w okolicy prawego oka. Wkrótce będziemy dysponować zdjęciami sekcyjnymi i wtedy ci je pokażemy, a teraz spójrz i powiedz, czy znasz tego kogoś? – Darren podał jej kolejny dokument, będący niezbyt udaną fotokopią znacząco powiększonej fotografii z prawa jazdy.

– Nie znam. Na pewno – dodała z przekonaniem Edna.

– W porządku. – Darren schował zdjęcie. Przez chwilę milczał, ale w końcu chrząknął głośno i spojrzał najpierw na Alana, a potem na Ednę. – Widzimy, że ładnie współpracujesz, ale na dzisiaj wystarczy. Za chwilę przyjdzie tu ktoś z biura prokuratora i odczyta ci akt oskarżenia. Przekażesz tej osobie, czy chcesz

adwokata. Jutro spotykamy się ponownie.

Darren nachylił się nad dyktafonem, szybko wyklepał niezbędne formułki i pstryknął wyłącznik.

– To koniec? – spytała Edna, widząc, że obaj panowie wstają.

– Na dzisiaj tak.

– A gdzie mam się jutro stawić? Tutaj mam przyjechać? – spytała, podnosząc się z krzesła, ale Darren dał jej znać, że ma usiąść z powrotem.

– Myślę, że nie będziesz musiała nigdzie jeździć. – Parsknął pod nosem. – Strażnik!

– I co o tym myślisz? – spytała Anna, gdy skończyła opowiadać przebieg pierwszego przesłuchania Edny.

– Wiemy na pewno, jakie były motywy sprawców. Księga. – Wskazałem brodą na torbę, którą Anna ułożyła na kolanach. – Wszystkie problemy przez tę... – ugryzłem się w język, żeby nie zakląć. – Najchętniej pojechałbym do Tokio, poszedł do tego ogrodu czy parku i zakopał ją z powrotem pod krzakiem. To właśnie myślę, jeśli mam być całkiem szczery.

– Leo, co ty mówisz? – ofuknęła mnie Anna. – Księga jest najważniejsza, a ja jestem jej Strażniczką. Bez Księgi nie wygramy. Nie opanujemy całego świata. Przecież taka jest nasza powinność. Nas, Wędrowców z plemienia Eperu. – Jej oczy od razu się roziskrzyły, jak zawsze, gdy mówiła o Księdze.

– Mam być szczery? – Przechyliłem głowę.

– Ponoć jesteś – przypomniała mi.

– To całe panowanie nad światem to zwykle mrzonki. Równie kuszące, jak niemożliwe do spełnienia. Świat już dawno został opanowany przez pieniądze i władzę. I żadna Księga ani stado Wędrowców tego nie zmienia. Ot co. – Lekceważąco machnąłem ręką.

– Leo! – W oczach Anny błysnęło coś na kształt gniewu zmieszanego z obawą. Bała się pewnie, że zaraz trafi mnie grom z jasnego nieba albo padnę trupem, bo zachowałem się jak heretyk podważający to, co Anna odczytywała z Księgi. – Jak możesz... – zająknęła się.

– Wiesz, co jest dla mnie najważniejsze? Ty i dzieci, a nie panowanie nad światem. I jeśli ta Księga sprawia, że ciągle i ciągle w naszym życiu dzieje się coś złego, nie dziw się, że właśnie takie są moje odczucia.

– Ale to nie tak – odparła Anna. Wyglądała na mocno wkurzoną moją postawą, którą uznała pewnie za egoistyczną, choć musiałem przyznać, że z całych sił starała się to ukryć. Bezskutecznie. Spędziłem kilka lat na nauce gry aktorskiej i bez większych problemów mogłem stwierdzić, że jest na mnie zła.

– To jak?

– Leo, mamy misję do spełnienia.

– Uhm – mruknąłem. – Mam ci wymienić, co mnie spotkało w ciągu

ostatnich dwóch wcieleń przez tę misję? Zacznę od utraty Noaha *vel* Krisa *vel* Edwarda. A może lepiej od choroby mojej poprzedniej matki?

– Rozumiem, że możesz czuć rozgoryczenie...

– Ale... – przerwałem jej.

– Ale to wszystko kiedyś się skończy. Zobaczysz.

– Gdybym cię tak nie kochał... – Przyciągnąłem ją do siebie i przytuliłem. – Gdybym cię tak bardzo nie kochał i nie mógł bez ciebie żyć, już dawno zrobiłbym wszystko, żeby zapomnieć o tym, że jestem Wędrowcem. Rozumiesz? – Pocałowałem ją w czubek głowy. – Już dawno. Zrobię, co zechcesz, bo to ty tego ode mnie oczekujesz, ale nie żądaj, żebym się cieszył i czuł dumę, bo zostałem powołany do wyższych celów. Nikt mnie nie pytał, czy chcę być Wędrowcem. Nikt.

– Gdybyś nie był Wędrowcem, nigdy byśmy się nie spotkali – powiedziała cicho Anna.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem – przyznała po chwili. – Mam mętlik w głowie.

– No właśnie, nic nie wiemy. Mamy Księżę i nadal błądzimy jak dzieci we mgle. Ciągle się zastanawiam, skąd Cathy wiedziała, że Edna ma złe zamiary. Słyszysz nasze myśli? Jeśli taki właśnie ma dar, jak to możliwe, że już potrafi z niego korzystać? Zna znaczenie słów? Nie mogę tego pojąć, ale nie widzę innego wytłumaczenia.

– Moim zdaniem Cathy wyczuwa intencje – odpowiedziała po chwili Anna.

– Nie trzeba ich rozumieć.

– Intencje?

– Gdy zwracasz się do psa, możesz użyć przypadkowych słów, ale kiedy poprzysz je właściwymi gestami, odpowiednią mową ciała i tembrem głosu, pies zrozumie. To samo się dzieje, gdy mówisz do kogoś, kto nie zna twojego języka. Kiedy się uśmiechniesz, ten ktoś od razu uzna, że masz dobre zamiary.

– Nie wpadłem na to. Sądziłem, że Cathy umie czytać w myślach.

– To niewykluczone, ale nawet jeśli potrafi, na razie jest za malutka, żeby objąć to świadomością. Za to wyczuć, jakie ktoś ma intencje, potrafią bardzo małe dzieci.

– Chyba masz rację. – Zadumałem się na moment. – Gdy sobie przypomnę, jak reagowała na mnie jeszcze niedawno... – Chrząknąłem znacząco.

– Może się bała, że chcesz ją odtrącić?

– Od razu? Jeszcze w tym przytułku dla sierot? – Pokręciłem głową z powątpiewaniem. – A co z siostrzyczkami? One też miały złe zamiary?

– Leo, od początku się nastawiłeś, że chcesz odnaleźć i adoptować Krisa, więc może to był powód? A siostrzyczki? Też mają swoje za uszami. – Anna parsknęła śmiechem. – Pewnie za wszelką cenę chciały się pozbyć obojga

maluszków, a zapraszając nas do wspólnoty, liczyły na pieniądze. I na dodatek trochę się rozminęły z prawdą, ukrywając przed nami, że Cathy ma braciszka. Ale kto jest bez winy? – spytała filozoficznie.

– Wstyd przyznać, ale chyba od początku byłem źle nastawiony do Catherine, a gdy Alisha stwierdziła, że to nie jej mama... – zamilkłem i pokręciłem głową, myśląc, że byłem głupi, próbując obarczyć Cathy przewinami Debory.

– Ale ją kochasz? Prawda?

– Cathy? Oczywiście. Gdyby nie ona, straciłbym i ją, i Edwarda. Zresztą już dawno ją pokochałem. Było mi bardzo źle, gdy Cathy mnie odrzucała – przyznałem. – Na początku nie przejmowałem się tym zbyt, później to stało się kwestią honoru, a na końcu po prostu chciałem, żeby mnie lubiła tak samo jak Edek.

– Gdy Cathy skończy dwadzieścia lat, sama nam wszystko wyjaśni. Najważniejsze, że już jest dobrze – stwierdziła Anna.

– Nie do końca – mruknąłem, mając na myśli tajemniczych mocodawców Edny. – A teraz bierz tę nieszczęsną Księżę albo wrzuć ją do kominka, chociaż to nic nie zmieni, i idziemy kąpać dzieci.

– Porozmawiamy wieczorem o Księżdzie?

– Porozmawiamy – zgodziłem się z ciężkim sercem.

– A tak w ogóle, to całkiem niegłupi pomysł – powiedziała Anna, wstając z kanapy.

– Jaki? Kąpiel dzieci?

– Kominek. Może tam trzymać Księżę? Gdy się pali ogień, nikt nie pomyśli, że w nim jest, a gdy się nie pali, może być schowana pod popiołem. – Anna popatrzyła na mnie pytająco.

– Tak. Genialny pomysł. Przyjdzie pani Helena i wyrzuci Księżę do kosza razem z popiołem. Problem rozwiązany. Jestem za. – Wyciągnąłem rękę, żeby Anna mogła mi przybić piątkę.

– Leo! – Wymierzyła mi lekkiego kuksańca.

– No co? Sama mówiłaś, że to niegłupi pomysł! – krzyknąłem, porywając ją na rękę. – A teraz kąpiel!

Minęły dobre dwie godziny, zanim udało nam się ułożyć dzieciaki. Na szczęście, gdy już przeszły cały cykl, czyli pranie, płukanie i uszlachetnianie (jak mówiłem na kąpiel i te wszystkie skomplikowane zabiegi związane ze smarowaniem tyłków jednym kremem i całej reszty drugim, czesaniem kędzierzawego mchu, czyszczeniem uszu i tak dalej), karmienie oraz lulanie, żeby zasnęły, nasze „Eperustyczne” bliźnięta spały jak zabite. Mieliśmy spokój do szóstej, a nawet siódmej rano, co według wujka Google było ponoć prawdziwą rzadkością, zwłaszcza w przypadku dwójki maluchów. Liczyłem na miłe *tête-à-tête* w naszej sypialni, lecz Anna zdecydowała inaczej.

Kazała mi przenieść jedno łóżeczko z pokoju dzieci i ułożyliśmy w nim nasze pociechy. Mieściły się swobodnie, bo łóżko było spore, od biedy nawet Anna mogłaby w nim spać.

– Nie będę biegać do ich pokoju. Tak jest wygodniej – uznała.

– Mam nadzieję, że to tymczasowe rozwiązanie.

– Oczywiście, że tymczasowe. Będzie nowa niania, wtedy łóżeczko wróci.

– Okej.

Czułem lekki dyskomfort, mając świadomość, że oprócz nas w sypialni znajdują się osoby postronne, na dodatek nieletnie, ale jakoś stłumiłem w sobie to uczucie. Już miałem zagarnąć moją żonę, gdy ta sięgnęła do nocnej szafki po swoją torbę-nierozłączkę.

– Super – westchnąłem i zrezygnowany opadłem na poduszkę.

– No co? – Anna spojrzała na mnie i zachichotała, widząc lekkie wybrzuszenie pod moją kołdrą.

– Nic. Jakoś to rozchodzę – zażartowałem. – Mam wyjść?

– A czemu? – spytała, poprawiając poduszkę pod swoimi plecami.

– Chyba nie wypada mi leżeć z pełnym wzrodem w obecności Księgi – podkreśliłem ostatnie słowo.

– To sama natura. Księga na pewno się nie obrazi.

– Skoro tak mówi bardzo ważna pani Strażniczka, najwyraźniej tak właśnie jest.

– Oj, Leo... – Anna pokręciła głową. Nachyliła się, żeby cmoknąć mnie w policzek i wyznać mi miłość. – A teraz czytam.

Łagodna poświata lampy padła na stronicę Księgi, które zamigotały złociście i czerwono, jak posypane brokatem, po czym przybrały barwę płomieni, co działo się zawsze, gdy moja ukochana Anna otwierała Księgę.

– I jak? Dużo przybyło?

– Bardzo dużo. Przez te wszystkie problemy nie zaglądałam do niej chyba tydzień. Widzę, że co najmniej trzydzieści stron. – Anna szybko przeliczyła kartki i oznajmiła, że nowych stron jest czterdzieści dwie. – Ciekawe, dlaczego teraz pojawiają się w szybszym tempie? – Popatrzyła na mnie.

– Może to przez dzieci? One też mają znamiona.

– Może? – Zamyśliła się na moment. – Muszę do czegoś wrócić. – Zaczęła kartkować Księgę. W końcu znalazła interesujący ją fragment i nachyliła się nad nim. – Czytam o znamionach – wyjaśniła.

– Aha. – Ułożyłem się wygodnie i przymknąłem oczy. – Musimy poszukać nowej niani. Nie mogę tu siedzieć w nieskończoność. Rickman mnie zamorduje, gdy nie wrócę do końca tygodnia. Już raz czekał prawie trzy tygodnie, gdy Ruby chorowała. Obawiam się, że to był pierwszy i ostatni raz, kiedy jakoś to zniósł. Są jeszcze twoje studia. Za niecały miesiąc zaczynasz.

– Poszukamy.

– Trzeba pogadać z twoją mamą. Jak nie ona, to może zna jakąś pielęgniarkę. Przecież pracuje w szpitalu. Musi znać.

– Leo, czytam...

– Tak sobie głośno myślę.

– To myśl nieco ciszej.

– Jutro zadzwonię do Alishy. Musimy jej powiedzieć, co się wydarzyło. – Uchyliłem powiekę, żeby zerknąć na Annę.

– Przecież Thor jej powiedział. – Na chwilę oderwała wzrok od Księgi i spojrzała na mnie z czułością, którą okazuje się karaluchowi odnalezionemu w wannie.

– Tylko sprawdzałem.

– Co? – Zmarszczyła czoło.

– Twoją czujność.

Anna nie odpowiedziała, przewróciła oczami i znów wsadziła nos w Księgę.

– Jesteś zazdrosny? – spytała po chwili.

– O co?

– O to, że tylko ja mogę ją czytać?

– Przestań. – Obruszyłem się, ale Anna chyba mi nie uwierzyła. Znów spojrzała na mnie i uśmiechnęła się chytrze.

– Jesteś – stwierdziła. – Przecież widzę. Okej, wobec tego przeczytam ci coś nowego, co właśnie zauważyłam. Ciekawe, czy zrozumiesz.

– Daj spokój. Przecież wiadomo, że nie rozumiem języka, w którym napisano Księgę.

– Ona sama się pisze. Nie pamiętasz? Księga to Byt. Byt sam się stworzył i tworzy.

– Pamiętam. Jeszcze nie mam alzheimera.

– Posłuchaj: „Poniesiesz karę za nieprawości swoje. Kara jest dobra, bo jest łagodna”.

– Aha – bąknąłem, mając pewnie minę idioty.

– Mądre, prawda? – Anna popatrzyła na mnie. W jej oczach błyszczały ekscytacja i podziw.

– Czy ja wiem? – wyraziłem ostrożnie swój sceptycyzm. – Moim zdaniem dobra kara nie jest łagodna. W ogóle co to jest dobra kara? Kara ma być skuteczna, adekwatna do przewinienia i tak dalej, ale nie dobra. – Podniosłem się na przedramionach, a po chwili uznałem, że usiądę, bo jakoś tak głupio leżeć, gdy rozmawia się na poważne tematy. – Dobra jest nagroda.

– Ja to rozumiem całkiem inaczej. Łagodna kara jest dobra, bo nie krzywdzi osoby, która popełniła coś złego. Brak nagrody to też jakaś kara, a poza tym nie powinniśmy popełniać nieprawości, bo tak jest dobrze i właściwie, a nie ze strachu

przed karą. Rozumiesz?

– Boże... – Potrząsnąłem głową, nie wierząc, o czym gadamy. Byliśmy w sypialni, w naszym małżeńskim łóżu, a poruszyliśmy tematy jak na zlocie jakiejś sekty religijnej.

– Posłuchaj. „Nie sprzeniewierzysz się innym, bo sprzeniewierzysz się sobie, a jak sprzeniewierzysz się sobie, przestaniesz być sobą i już się sobie nie sprzeniewierzysz”.

– E... Co? – Teraz już bez żadnych wątpliwości musiałem mieć minę kretyna. – Możesz powtórzyć? – poprosiłem.

Anna z dziką radością przeczytała to zdanie jeszcze raz i spojrzała na mnie z satysfakcją.

– Leo. Przecież to dziecinnie proste.

– Powiedz to im. – Wskazałem brodą na łóżko dzieci. – Pamiętam, jak moja poprzednia matka, zagorzała katoliczka, namiętnie czytała mi Biblię. Poczekaj, ja też ci coś przeczytam. – Sięgnąłem do nocnej szafki i wyjąłem małą podróżną Biblię, którą dostałem od księdza Josepha za czasów mojego pobytu w Wyee. – Czekaj... – mruknąłem. – Zaraz to znajdę. To było na początku. Mam. „Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało” – przeczytałem, z trudem panując, żeby się nie roześmiać. – To jednak się stało? Czy się nie stało? Wytłumacz, pani Mądralińska.

– Ojej. To zupełnie co innego. W Księdze chodzi o to, że jak zrobisz coś złego w stosunku do innych, tak naprawdę zrobisz to wobec samego siebie, bo przestaniesz być Eperu. A jak przestaniesz być Eperu, to przecież już nie zrobisz nic złego jako Eperu. Proste.

– Załóżmy – westchnąłem, chowając Biblię z powrotem. – Wybacz, ale spać mi się chce. – Ziewnąłem na poparcie tych słów.

– Mam zgasić? – Anna popatrzyła na lampkę.

– Nie musisz. Możesz nawet czytać na głos. Nie przeszkadza mi to, podobnie jak im. – Jeszcze raz spojrzałem w stronę dzieciaków.

Ułożyłem się wygodnie i zamknąłem oczy. Anna czytała, co jakiś czas przewracała kilka stron, szemrała pod nosem, nieraz rozumiałem pojedyncze słowa, a czasami ani jednego. Płynęły z jej ust niczym modlitwa w tajemniczym, nieznanym mi języku. Choć to wszystko koiło nerwy, likwidowało napięcie i łagodziło niczym kołysanka śpiewana przez kochającą matkę, nie pozwalało jednak zasnąć.

– „Byt rzekł do niej: z dziewięciorga stworzysz jedno, ze mną pierwszym i dziesiątym w środku. Dziewięcioro będzie jednością, a jej siła unicestwi dziewięcioro sprzeniewierzonych. Rozpadną się w pył i znikną, a ich ciała szczeszna na zawsze, a ich siła zniknie na zawsze, a ich moc przejdzie na dziewięcioro innych...” – wyszeptwała.

Przez chwilę próbowałem zignorować te słowa, ale wracały w głowie jak bumerang. Anna znów przeczytała ten sam fragment Księgi i coś do siebie wymamrotała.

– Dziewięcioro z plemienia Eperu? – spytała samą siebie. – Chyba tak. Dziewięcioro z nas i Księga... – Ucichła.

Słyszałem tylko szmer jej coraz szybszego oddechu. Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. Przycisnęła dłoń do ust, a jej policzki pokrywały rumieńce. Dostrzegalem to nawet w słabym świetle nocnej lampki.

– Co to wszystko znaczy? – spytałem.

– Leo, czemu nie śpisz? – Spojrzała na mnie. Żrenice jej oczu prawie zakryły tęczę, tak bardzo się rozszerzyły.

– Nie mogłem zasnąć. – Usiadłem i przysunąłem się do niej, bo zauważyłem, że cała drży. Objąłem ją i przytuliłem. – Anno? Co się dzieje?

– Przeczytałam ten fragment i... Leo, nie wiem, co o tym myśleć.

– Podśluchiwałem. Co dziwne, tym razem chyba nie mam problemów ze zrozumieniem. Chodzi o Habbatum? Jak ich... – uciałem, zdając sobie sprawę, że Brian, Wędrowiec, który wiele znaczył dla Anny, również należał do tego plemienia.

– Tak. Jak ich unicestwić.

– Tak teraz myślę... – odezwałem się po chwili. – A co, jeśli będzie ich więcej niż dziewięciu? Albo mniej?

– Nie mam pojęcia. – Anna na moment zerknęła do Księgi. – Może za kilka dni pojawi się nowy wpis i wtedy to się wyjaśni.

– Na logikę, gdy na świecie jest mniej niż dziewięciu Wędrowców z plemienia Habbatum, wtedy tylko oni zostaną unicestwieni – użyłem zwrotu, którym posłużyła się przed chwilą Anna.

– Może tak być. A co, jeśli jest ich więcej?

– Powtórzyć całą procedurę? Nie mam pojęcia. Strasznie to zawile. – Westchnąłem ciężko.

– Powinniśmy to przekazać pozostałym, bo tak się przecież umawialiśmy. – Anna podniosła na mnie szklisty wzrok. – Ale jak powiedzieć to Alishy?

– Na razie nic nie mówmy. Poczekajmy na nowy wpis. Okej?

– Dobrze. – Anna zamknęła Księgę i na chwilę przycisnęła ją do piersi. – Leo, wiemy coraz więcej, ale ja mam wrażenie, że coraz mniej. Powoli zaczynam cię rozumieć. Pierwszy raz poczułam prawdziwy ciężar odpowiedzialności, która na mnie spoczęła, i dziękuję ci, że jesteś ze mną. Że mnie wspierasz.

– Zawsze będę cię wspierał. Do ostatnich sił. Przecież wiesz. A teraz odłóż Księgę i przestań o tym myśleć, proszę. – Anna posłusznie schowała Księgę do torby i wsunęła pod poduszkę. – Chodź, coś ci pokażę – powiedziałem, schodząc z łóżka.

Anna stanęła obok mnie i spojrzała na śpiące maluchy. Codziennie któreś z nas robiło im zdjęcie i wgrywało na komputer. Dzięki temu mogliśmy zobaczyć, jak zmienia się ich wygląd. Rośli jak na drożdżach, ich buzie były coraz pełniejsze, a drobne kosteczki małych dłoni już prawie zniknęły w poduszczykach tłuszczu. I skóra, a dokładnie jej odcień. Jaśnieli oboje. Wiedziałem, że minie rok, może dwa i nasz Edward zmieni się w słodkiego rudzielca, nie miałem jednak pewności, jak będzie wyglądać Cathy. Postanowiłem się nad tym nie zastanawiać, na pewno nie teraz.

– Kochani są, prawda? – spytałem, nachylając się nad łóżeczkiem, żeby poczuć słodki zapach dziecięcych ciał.

– Bardzo. Nie pojmuję, jak mogliśmy bez nich żyć. – Anna musnęła policzek Edwarda, a potem poprawiła kocyk, który okrywał Cathy. – Już prawie nie pamiętam czasu, kiedy ich nie było.

– Ja też – powiedziałem.

– Co chciałeś mi pokazać? – przypomniała mi Anna.

– Ich. Nasze szczęście...

Rozdział 17

I tak nas dopadną...

Uprosiłam mamę, żeby przyjechała do dzieci, bo z wizytą zapowiedział się Thor. Oświadczył, że skoro góra nie chce przyjść do ślepego Mahometa, ten wezwie taksówkę i przyjedzie.

– Nadal nie znaleźliście niani? – zapytał, ledwie wszedł.

– Niestety. – Zaprowadziłam go do salonu, podałam ciasto (nie wiem, jak i kiedy udało mi się je zrobić, bo dzieci potrafiły zająć prawie każdą minutę) i herbatę. – Mama nie chce odejść ze szpitala, bo brakuje jej kilku lat do emerytury. Poza tym ona lubi swoją pracę. Wystarczy, że ma tydzień urlopu i już zaczyna świrować.

– Wcale się nie dziwię. Też bym świrował, siedząc tydzień z Alanem.

Zignorowałam ten przytyk, nalałam Thorowi herbaty i przesunęłam filiżankę w jego stronę.

– Na szczęście Leo jutro wraca. Chyba nigdy wcześniej tak się za nim nie stęskniłam – westchnęłam.

– Trzy tygodnie go nie było?

– Tak. – Pokiwałam głową. – Niby długo, ale z drugiej strony, gdy przypomnę sobie o porwaniu dzieci, mam wrażenie, że to było wczoraj.

– No właśnie. Ja głównie w tej sprawie.

– O! Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Uhm... – odburknął Thor, mając usta pełne ciasta. Przeżuł spory kawałek sernika i sięgnął po kolejny, trafiając nań bez najmniejszego trudu. Widocznie miał jakiś radar, który wskazywał mu, gdzie leży taca. – Uwielbiam twoje ciasto. Mogę jeszcze? – zapytał po chwili.

– Częstuj się. Jak chcesz, spakuję ci resztę, zawieziesz Bekan.

– Obawiam się, że może nie dojechać. Do nas jest dosyć daleko.

– Wyślę drugą taksówką – odparłam, patrząc, jak pochłania sernik, krusząc na wszystkie strony. – To czego się dowiedziałeś? – Byłam ciekawa postępów w prywatnym śledztwie Thora i Bekan, bo o przebiegu tego oficjalnego na bieżąco informował nas Alan.

– Edna czeka na rozprawę, ale to pewnie wiesz. Posiedzi kilka lat. I dobrze, może do niej dotrze, co narobiła.

– W sumie trochę mi jej żal. – Zdobyłam się na szczerość. – Gdyby odrzucić emocje i pomyśleć na chłodno...

– Taa... Odrzuciłaś emocje i dlatego ci jej żal? – zakpił Thor.

– Chodzi o to, że mogła iść w zaparte. Nie przyznać się do współpracy z porywaczami, udawać głupią i powiedzieć, że po prostu wsiadła do taksówki, nie

mając pojęcia o intencjach szofera.

– I tak kiedyś dotarliby do prawdy, aż tak nieudolni nie są. A telefony? A chałupa i kasa? Swoją drogą, nie wiem, czy Edna nie straci tego domu, bo to korzyść majątkowa za współudział w przestępstwie.

– No właśnie. Myślałam, żeby wynająć jej jakiegoś prawnika. Opłacić go, żeby...

– Chyba przesadzasz? – parsknął Thor. – Nikt jej nie zmuszał do współpracy z porywaczami. Sama mówiła, że to nie był szantaż.

– Bezpośrednio nie, ale... – urwałam. – I tak nic z tego, bo Leo się nie zgodził.

– I słusznie. A zmieniając temat, wiem, czemu Jackowi tak odwaliło. Beka szukała, szukała i znalazła. Natrafiła na ciekawą historię, to wydarzyło się w poprzednim wcieleniu tego patafiana.

– W tym, które teraz zakończył?

– We wcześniejszym.

– Aha.

– Jack mieszkał wtedy w Berlinie, to się stało w czasie drugiej wojny światowej. Miał tego pecha i urodził się w mocno ortodoksyjnej żydowskiej rodzinie. A jak powszechnie wiadomo, Żydzi nie narzekali wtedy na nadmiar łask i szczęścia. Pokrótce, on i jego rodzina ukrywali się w jakiejś piwnicy, wraz z dwiema innymi rodzinami. Było ich tam piętnaście osób. Jack, jako jedyny, nie pasował do nich, bo wiesz... – Thor uniósł brwi, a przy okazji jego oczy zrobiły niekontrolowanego zęza, co było równocześnie i straszne, i śmieszne, jak mawiała Wanda.

– Miał jasne włosy? – domyśliłam się.

– Mało tego, wyglądał jak Niemiec, rasa panów, typ nordycki i takie tam. – Thor machnął ręką.

– Ile miał wtedy lat?

– Szesnaście albo siedemnaście. Nie pamiętam dokładnie, ale Beka dysponuje szczegółowym CV, bo koleś spisał coś w rodzaju pamiętnika i dziesięć lat po wojnie wydała to jakaś mała izraelska oficyna. Beka dorwała cały zbiór tych wspomnień, pisanych przez kilkanaście osób. Żydów – doprecyzował – którym udało się przeżyć wojnę. To na pewno on, widziałem zdjęcia i nie ma co do tego wątpliwości.

– I co się stało?

– Siedzieli w tej piwnicy prawie dwa lata. Jedna z kobiet, sąsiadka rodziny Jacka, zaszła w ciążę, a potem urodziła tam dziecko.

– Boże... – jęknęłam, myśląc, jak ciężko musiało być tym ludziom.

– Szok – stwierdził Thor.

– To naprawdę straszne – zgodziłam się z nim. Przerazało mnie, że ktoś

mógł kochać się w takich warunkach, ale byłam daleka od oceniania tych ludzi. – Po prostu potrzebowali bliskości – powiedziałam cicho.

– Na pewno.

– Mam być szczerą? Boję się dalszego ciągu tej historii. – Przełknęłam ślinę.

– I słusznie, bo nie kończy się optymistycznie. Może przetrwaliby tam do końca wojny, ale któryś z nowych lokatorów kamienicy usłyszał płaczące dziecko. Doniósł o tym i któregoś dnia do budynku wpadli esesmani. I znów prawie się udało, bo Żydzi ukrywali się w piwnicy, do której wejście zastawiono wielką szafą z wyjmowaną tylną ścianką. Co kilka, kilkanaście dni przechodził tam ktoś z ludzi, którzy im pomagali. Przynosił jedzenie i zabierał nieczystości, czasami porozmawiał minutę lub dwie, żeby przekazać najświeższe wieści.

– Usłyszeli ich? Esesmani usłyszeli Żydów?

– Usłyszeli płacz dziecka. Żydzi zdawali sobie sprawę, że tuż za ścianą są oprawcy, którzy chcą ich wytropić. Ojciec Jacka powiedział sąsiadowi, że ma uciszyć dziecko, ale ono ciągle krzyczało. Wtedy powiedział, że ma skrócić mu kark, bo wszyscy zginą.

– Nie posłuchał. Zresztą jak można zrobić coś takiego... – wykrztusiłam.

– Wpadli do środka i wywlekli ich wszystkich na dziedziniec kamienicy.

– Dlaczego Jack nie zginął?

– Rozstrzelali całą jego rodzinę, ojca, matkę i dwóch braci. Pozostałych również. A wszystko na jego oczach. Nie zabili go, bo wyglądał inaczej.

– Wyparł się, że jest Żydem?

– Tak. Działał instynktownie. Nie puścili go wolno, bo był obrzezany, lecz wywieźli do obozu koncentracyjnego w Polsce, w Auschwitz. Tam został wcielony do Sonderkommando. Przetrwał wojnę w obozie, a po wyzwoleniu udało mu się wyemigrować do Izraela. I to cała historia.

– Myślisz, że przez to wszystko stał się Habbatum?

– Na pewno. Żydzi bardzo krótko służyli w Sonderkommando. Esesmani likwidowali ich, gdy tylko ci opadali z sił na skutek permanentnego niedożywienia. Zresztą nie potrzebowali świadków. Jack musiał się bardzo starać, skoro zasłużył na przeżycie. Faktem jest jednak, że takie zdarzenia potrafią odczłowieczyć każdego – stwierdził filozoficznie Thor. – To w pewnym sensie trochę go usprawiedliwia.

– Trochę... Chociaż i tak nie potrafię mu wybaczyć... – zagryzłam usta. – Nie chodzi o to, że kiedyś oszukał moją mamę czy pomagał Dorothy, tylko o dzieci.

– Domyślam się.

– Ciągle myślę, kto mógł to wszystko zaplanować.

– Began próbuje dotrzeć do tych ludzi.

– Do Wędrowców.

– Taa... – przytaknął Thor. – Wytropiła coś, ale ślad urywa się na lotnisku w Nicei. Dorothy i Jack tam przylecieli, ale później tracimy ich z oczu. Gdzie byli, u kogo i po co? Tego nie wiemy.

– Kiedyś się wyjaśni.

– Oby jak najprędzej – powiedział bardzo poważnym tonem.

– Gdy tak z tobą rozmawiam... – zaczęłam. Poprawiłam się na fotelu, bo ścierpły mi nogi, i sięgnęłam po pled, czując na ciele chłodne liźnięcie lęku przed przyszłością. – Jesteś dzisiaj wyjątkowo poważny.

– A jaki mam być? – Thor sięgnął po ostatni kawałek sernika. – Siedzimy na bombie – stwierdził, przełknąwszy ciasto. – Na bombie zegarowej. Oni nie odpuszczają.

– Wiem. – Westchnęłam głośno, czując, że powinnam wreszcie powiedzieć wszystkim o tym jednym, jedynym zapisie w Księdze, którego treść do tej pory znaleźliśmy tylko ja i Leo. Ciągle się wahałam ze względu na Briana. Dla niego wypełnienie tej tajnej formuły prawdopodobnie oznaczało koniec istnienia. – Leo mówi, że na razie musimy wzmóc środki ostrożności. Chwilowo nie chodzę na zajęcia, w ogóle rzadko opuszczam dom, dlatego nie przyjechałam do ciebie. – Wzruszyłam ramionami, jakby to nie miało znaczenia.

– Chyba nie zamierzasz tu zostać na zawsze. Jak ci Żydzi... – dodał po chwili.

– I tak nas dopadną? – zapytałam smętnym tonem. – A właściwie mnie dopadną?

– Najpierw zdobędą Księgę, a ciebie jako bonus.

– Leo powiedział, że najchętniej poleciałby do Tokio i zakopał ją z powrotem, tam gdzie była przez ostatnie kilkadziesiąt lat.

– Dobrze chłopak kombinuje – mruknął z uznaniem Thor. – Też bym tak zrobił. Tyle lat radziłeś sobie bez niej, więc po co nam to coś? Niestety, już za późno na taki krok.

– Ostatnio coraz częściej się zastanawiam, czy nie powinniśmy tak zrobić – wyznałam.

– Ukryć ją? Bez sensu. – Parsknął pod nosem.

– Dlaczego?

– Czy to by w jakikolwiek sposób pomogło? Poprawiło naszą sytuację? Zmniejszyło ryzyko? Lalka, co ty gadasz?! – zachnął się. – Przecież wiedzą, kto ma Księgę, więc mieliby świadomość, że znacie miejsce jej ukrycia. Wyjdzie na to samo. Ech... – Thor pokręcił głową. – Przekłęta godzina, w której przypomniało ci się, gdzie ją schował ten twój prototyp.

– Dziadek John.

– Niech mu będzie, że dziadek. Pewnie dlatego zdecydował się na

definitywne seppuku, bo chciał zapomnieć, gdzie ją skrył. Jemu też deptali po piętach. Dorothy i jej świta – dodał.

– Pewnie tak.

– Nie przewidział tego, że ty sobie przypomnisz. No nic, zbieram się. Siedź i pilnuj Księgi, pilnuj dzieciaków i próbuj nie zwariować z tego dobrobytu. A co do niańki... – zagadnął, wstając z kanapy. – Może miałbym kandydatkę.

– Tak? – spytałam, nie kryjąc nadziei, że może wreszcie uda się kogoś załatwić na pełen etat.

– Starzy mojej Bekan mają sąsiadkę, emerytowaną pigułę. Parę lat temu została emerytką, potem opiekowała się jakimś dzieciakiem, ale straciła tę pracę i świruje jak twoja Julia, bo nie ma co robić. Jedyne feler – kobiecina jest trochę niepełnosprawna, ponoć lekko kuleje. I ma głupie imię.

– Głupie?

– No. Nie zapamiętałam, ale dziwne jakieś.

– To akurat żaden problem.

– I chyba jest Polką.

– Naprawdę? – Ucieszyłam się.

– Nie dam sobie dredów uciąć, że Polką. Na pewno jakąś Słowianką. Mam zdobyć namiar?

– Pewnie! – Ucieszyłam się.

– Dobra. To jeszcze dzisiaj wyślę ci esa.

Odprowadziłam Thora do wyjścia, ale po drodze zaczepiła go mama. Oczywiście musiał choć na chwilę iść z nią, żeby „zobaczyć” dzieciaki. Thor stwierdził, że rosną jak na drożdżach, a gdy mama żartobliwie zarzuciła mu, że oszukuje, bo przecież ich nie widzi, stwierdził, że poznaje przyrost wagi po zapachu. Wcisnął jej straszny kit, że człowiek, który waży, dajmy na to, sto dziesięć funtów, pachnie zupełnie inaczej, niż gdy przybierze kolejne dziesięć i będzie ważył sto dwadzieścia. Mama już się nakręciła, mówiąc, że to jakaś bzdura. Spytała go, ile wobec tego waży w tej chwili, czy mniej, czy więcej niż w dniu, w którym Thor ją poznał.

Nasz żartowniś przytknął nos do mojej mamy i zaczął ją obwąchiwać, po czym oznajmił, że nie jest w stanie tego określić, bo wyczuwa zapach Alana, co zakłóca mu próbę badawczą. Tak się śmiałam, że obudziłam Edwarda. Rozryczał się na całe gardło, więc mama od razu kazała nam wyjść, sarkając, że dzisiejsza młodzież jest wyjątkowo źle wychowana, a Theodor robi z niej durnia.

– To trzymaj się, lalka – powiedział Thor.

– Nie zapomnij o zamiarach na tę nianię – przypomniałam.

– Nie zapomnę. – Thor już prawie wyszedł, gdy stanął jak wryty i obrócił się na pięcie. – A ciasto? Miałaś mi dać ciasto...

* * *

Nareszcie wróciłem. Zmęczony, bo Rickman dał nam wszystkim popalić, i stęskniony jak diabli. Gdy zobaczyłem dzieciaki, nie mogłem uwierzyć, że przez trzy tygodnie potrafiły tak bardzo się zmienić. Urosły i wydorosłały, jak powiedziała Anna. Niestety, moje szczęście nie było pełne. Nieznany wróg na razie się przyczaił, ale wciąż rzucał cień na nasze życie. Zaproponowałem, że zawieziemy Księgę do banku i zdeponujemy ją w skrytce, jednak mój uparty Wilczek się na to nie zgodził, co było zresztą do przewidzenia. Zaczęła labidzić, że strony będą znikać i wszystko pójdzie na marne, odwlecze się w czasie, a poza tym nic to nie da. Też racja. Jedyne, co mogło nas „ocalić”, to zebrać się w dziewiątkę i załatwić ostatecznie kwestię wszystkich Wędrowców z Habbatum. Niestety, o tym też nie było mowy.

Wobec tego przekazałem mojej żonie, że nici ze studiów, zwłaszcza że nie mamy niani. Wówczas Anna przekazała mi całą treść rozmowy z Theodorem. Miałem podobne zdanie co do Jacka. Współczułem mu przeżyć, ale to go nie usprawiedliwiało. Dowiedziałem się również o jakiejś znajomej matki Bekan, która już do nas zadzwoniła. Miała przyjechać pojutrze, co niezbyt fortunnie zbiegło się z planowaną wizytą moich rodziców. Z drugiej strony, może to i dobrze, bo Ruby zawsze miała świetną intuicję, więc spodziewałem się rzetelnej oceny kandydatki na nianię.

– Leo, chodźmy na spacer – zaproponowała Anna. – Korzystajmy, bo dziś chyba ostatni taki ładny dzień w tym roku.

– Zawsze przecież możemy przeprowadzić się do Los Angeles – odparłem. – Tam większość dni jest ładnych i słonecznych.

– Hm... Może kiedyś? – Anna objęła mnie w pasie i zadarła głowę. – Gdyby nie mama, już dawno bym się stąd wyniosła.

– Stąd?

– Z Londynu.

– Julia już nie jest sama – przypomniałem. – Kapitan oświadczył się w zeszłym roku. Kiedy ten ślub?

– Po naszym. – Zaśmiała się. – Mama mówi, że najpierw ja, później ona. Oczywiście chodzi jej o taki prawdziwy ślub, wiesz. – Kilka razy uniosła brwi. – Kościelny...

– Wiem, wiem... – Nachyliłem się, żeby cmoknąć Annę w czoło. Najchętniej już teraz spełniłbym jej prośbę, ale na razie nie mieliśmy do tego głowy, nie mówiąc o ciągle żywych wspomnieniach o Krisie i Dalili.

– Poza tym gdzie byśmy mieszkali? – Anna piła do tego, że sprzedałem dom w Stanach. Zrobiłem to bez namysłu, w porywie gniewu na samego siebie, że dopuściłem do naszego rozstania.

– Nie żałuję, że sprzedałem ten dom. Nigdy nie zapomnę chwili, w której

zostawiłaś pierścionek i wyszłaś – wyznałem. – Kupimy nowy, powiedz tylko słowo i już zacznę szukać ofert.

– Przestań. – Anna pokręciła głową. – Na razie nie, bo mamy coś innego do zrobienia.

– No tak, spacer?

– Uhm.

Anna ubrała Cathy, a ja Edwarda i wpakowaliśmy dzieciaki do wózka. Ich włosy zaczęły już lekko rudzić. Zauważyłem to zaraz po powrocie. Gdy padało na nie słońce, krótkie kędziorki połyskiwały miedzią. Wkrótce spodziewałem się dwóch małych rudzielców, a co później? Przypuszczałem, że Catherine wyrośnie na uroczą blondyneczkę, podobną nieco do Debory, ale przestałem się już obawiać, że odziedziczy jej charakter. Byłem pewien, że ja i Anna zadbamy, żeby się tak nie stało.

– Szkoda, że nie możemy iść gdzieś do parku albo jechać do zoo, albo gdziekolwiek, byle nie tu – westchnęła ciężko Anna.

– Przecież im to obojętne. Popatrz, już zasnęły – powiedziałem. Usiedliśmy na ławce, a wózek postawiłem tak, żeby promienie słońca padały na buzie maluchów. Zawsze to trochę dodatkowej witaminy D. – Tu też jest ładnie. – Rozejrzałem się wokół.

Musiałem przyznać, że dopiero teraz doceniałem urok naszego osiedla. Wprawdzie park ciągnący się przez całą długość wszystkich trzech budynków nie był specjalnie duży, ale za to zadbany, a co najważniejsze, przed kutym ogrodzeniem posadzono krzewy, które osłaniały nas od drogi i chodników. Nawet nie zdążyłem zauważyć, kiedy z małych sadzonek wyrosły całkiem spore drzewka. Jak zresztą miałem dostrzec te zmiany, skoro prowadziłem życie na walizkach, a gdy poznałem Annę, całkiem straciłem dla niej głowę i nie miałem czasu ani ochoty, by podziwiać otoczenie? Cóż, najwidoczniej musiałem zostać ojcem, żeby to docenić.

– Ładnie – potwierdziła Anna. – Ale trochę klaustrofobicznie – dodała po chwili.

– Na wiosnę pojedziemy do posiadłości Krisa. Niech odwiedzi stare śmieci.

– Machnąłem ręką w kierunku śpiącego Edwarda.

– Super! – ucieszyła się Anna.

– Na razie i tak nie ma pogody na spacer. – Popatrzyłem w niebo. Zaczynało się lekko chmurzyć. – Żeby wytrzymało chociaż z godzinę.

– Wytrzyma.

– A co słyhać u naszego mądrego Bytu? – zażartowałem.

Umówiliśmy się z Anną, że podczas mojej nieobecności nie będzie mi przekazywać, co przeczytała w Księdze. Wolałem wysłuchać tego osobiście, żeby mieć możliwość przedyskutowania i zadawania pytań.

– Masz trochę do nadrobienia – odpowiedziała Anna, przysuwając się na ławce. Wsadziła rękę pod moją pachę i przyłgnęła blisko, pewnie było jej chłodno, bo co jakiś czas zawiewał wiatr, bynajmniej nie letni. – Czytałam ostatnio o plemionach. Otóż okazuje się, że używamy niewłaściwych nazw.

– Naprawdę?

– Tak. Zamiast Eperu, Habbatum i Batawe jest Epru, Habbath oraz Bataw.

– Chyba nie zapamiętam. Zbyt mocno przywykłem do tamtych nazw plemion.

– Batawe, czy też Bataw, to nie plemię. To coś w rodzaju stanu pośredniego, dlatego Wędrowcy z Batawe jako jedyni nie mają żadnych znamion. Ale może od początku. – Anna wyraźnie się ożywiła, jak zawsze, gdy mówiła o Księdze. – Najmniej uwagi poświęcono nam.

– Eperu?

– Tak. To, że im dłuższy mamy staż jako Wędrowcy, tym szybciej przypominamy sobie, kim jesteśmy, wiesz. A z ciekawostek? Okazuje się, że kobiety z plemienia Eperu, czy też Epru, nie mają żadnych talentów.

– Słucham? – Zmarszczyłem czoło i spojrzałem na Annę z niedowierzaniem. – Jak to?

– A tak to. – Zaśmiała się cicho. – Wy macie talenty, a my dary.

– Czekał... – Przymrużyłem oczy. – A co z twoimi talentami? Potrafisz pięknie rysować, tańczyć, doskonale strzelasz... – zacząłem wymieniać.

– Świetnie gotuję i piekę bardzo smaczne ciasta – weszła mi w słowo Anna. – Leo, to są zwykłe umiejętności, które opanowałam na trochę lepszym poziomie niż ktoś inny. Ale nadal to zwykła umiejętność, nic wybitnego. Za to mam dar, a ty nie.

– Polemizowałbym, czy mój talent jest większy od twojego.

– Oczywiście... – Anna przewróciła oczami. – Powiedz mi jeszcze, że Kris nie ma talentu, albo Theodor. Wy macie talenty, a my dary. Koniec. Kropka. I na pewno nie możemy mieć dzieci, chyba że któreś z nas zwiąże się z kimś z przejściowego stanu, wtedy tak. Ale dziecko, które się urodzi, też z Eperu, powstanie w zastępstwie Wędrowca z Batawe.

– Jak córka Dalili?

– Właśnie tak.

– A Habbatum?

– Tak samo.

– Hm... – Zamyśliłem się, bo coś mi nie pasowało w tej układance.

– Co do Wędrowców z Habbatum, nie mogą zabić zwykłego człowieka, bo wtedy kończą istnienie z chwilą biologicznej śmierci, ale to też już wiemy. Z nowinek, kobiety z tego plemienia są pozbawione darów.

– Gdy się rodzą jako Habbatum, tracą dar?

– Tak. Za to panowie nie tracą talentów.

– Ciekawe. I trochę niesprawiedliwe? – zapytałem, mając na myśli utratę darów.

– Szczerze mówiąc, po raz pierwszy, odkąd mam Księgę, nie do końca wszystko rozumiem – przyznała Anna.

– A Batawe?

– Bycie Batawe przypomina stanie na moście, pod którym wartkim nurtem płynie rzeka o nazwie Życie. Po prawej stronie widzisz ziemie zamieszkane przez plemię Eperu, a po lewej – przez Habbatum. Od ciebie zależy, czy trafisz na ten most i jak długo będziesz na nim stał, kiedy zejdziesz na ląd i którą wioskę wybierzesz. Dlatego Wędrowcy z Batawe nie są plemieniem. To stan przejściowy. Wiesz, jak trafić na ten most?

– Chyba wiem. Brian w poprzednim wcieleniu, jeszcze jako Wędrowiec z Eperu, postanowił źle wykorzystać swoje talenty. Zamiast pomagać ludziom, sprawił, że moja matka zmarła. Przyczynił się bezpośrednio do jej śmierci. Stał się Habbatum, a po kolejnych narodzinach ma szansę zostać Batawe.

– No właśnie. Wystarczy, że ktoś z nas, Eperu, sprawi, że ucierpi zwykły człowiek, ciężko zachoruje lub umrze, wtedy w następnym wcieleniu stajemy się Habbatum. Dlatego Brian narodził się jako członek tego plemienia, ale teraz ma szansę wejść na most Batawe.

– Bo to my wybieramy. Swym działaniem lub zaniechaniem, na przykład odmawiając pomocy człowiekowi, decydujemy o tym, czy w kolejnym wcieleniu urodzimy się nadal jako Eperu, czy staniemy się członkiem plemienia Habbatum. I tylko Wędrowcy z Habbatum mogą stać się Batawe? – spytałem dla pewności.

– Tak. Tylko oni.

– A gdy już jestem Batawe, mogę swoim postępowaniem sprawić, że stanę się Eperu lub Habbatum.

– Tak.

– A mogę wybrać jeszcze inne rozwiązanie, trzecie, i po prostu zdecydować się na dziecko?

– Tak. To jak skok w nurt tej rzeki. Wybierasz życie.

– Nowe życie?

– Tak. Nowy Wędrowiec zamiast ciebie.

– Gdy się głębiej zastanowić... – Potarłem skronie. – Wychodzi na to, że z tego mostu można zejść w każdej chwili. I nie mam na myśli tylko zakończenia istnienia przy narodzinach własnego potomka.

– Też tak to rozumiem. I chyba oboje mamy rację. Leo, przecież ojciec mojego taty...

– No właśnie! – Pacnąłem się w czoło, bo wreszcie odkryłem, co było dla mnie niezrozumiałe w tej układance. – Twój tato był Batawe, dlatego zakończył

wcielenie w dniu twoich narodzin, a za niego powstałaś ty. Ale kim był jego ojciec? Nie mógł należeć ani do Eperu, ani do Habbatum.

– On też musiał być Batawe.

– Ale jak to możliwe? – Tak intensywnie się zastanawiałem, że aż trzeszczały mi zwoje mózgowy. – Przecież należał do Habbatum.

– Tego nie wiemy na pewno, ale nawet gdybyśmy założyli, że John, czyli mój dziadek – Anna pokazała palcami znak cudzysłowu – w jakiś sposób zmienił swój status, czyli w trakcie wcielenia wszedł na ten most i stał się Batawe, a potem spłodził mojego tatę... – Anna zamilkła. Pewnie tak samo jak ja miała mętlik w głowie.

– Twój tato się urodził, a wtedy John zmarł – odpowiedziałem.

– Uhm. Pytanie, czy mój tato był zupełnie nowym Wędrowcem? Przecież to niemożliwe, bo urodziłby się jako Eperu.

– No tak. Przypadek Dalili i Alishy, która była córką Batawe – poddałem.

– Otóż to.

– Ergo: twój ojciec był kolejnym wcieleniem Johna. Tylko takie rozwiązanie przyszło mi do głowy. – Westchnąłem głęboko, żeby dotlenić mózg.

– Myślisz, że John w jakiś sposób wszedł w ciało swojego syna? – Anna potrząsnęła głową.

– Myślę, że jeszcze chwila i zwariujemy z tego myślenia. – Zaśmiałem się cicho. – Poczekajmy, kiedyś wszystko się wyjaśni. Przecież mówiłaś, że powoli odtwarzają się historie kolejnych Wędrowców.

– Leo, błagam... – jęknęła Anna. – Jestem dopiero przy ich pierwszych wcieleniach, a każde z nich zajmuje nawet kilkadziesiąt stron, na dodatek się przeplatają. Na jednej stronie o Alfe, a na kolejnej o Clime – wymieniła imię drugiej kobiety Wędrowca – a za chwilę o kimś innym, o Napoko, Rineli, Kenialu i tak dalej. Opisane są ich wszystkie dobre i znaczące uczynki. W takim tempie prawdę poznamy za dwadzieścia lat albo i później.

– Czym jest dwadzieścia lat wobec wieczności? – Mrugnąłem do niej.

– A ty chciałeś zdeponować Księgę w banku – fuknęła pod nosem. – Wtedy czekalibyśmy trzydzieści.

– Moim skromnym zdaniem tego, co ważne, dowiemy się znacznie wcześniej. Przecież już tak się dzieje.

– Niby tak – mruknęła Anna. Przytuliła się do mnie, żeby po chwili stwierdzić, że przez tę dyskusję zapomniała o dzieciach. Wstała z ławki i wsunęła dłoń za plastikową osłonkę, chroniącą dzieci przed wiatrem. – Mają ciepłutkie noski – stwierdziła.

– To chyba dobrze? – Stałem obok niej i zajrzałem do wózka. – Śpią jak zaczarowane.

– Lubią spać na spacerach. Nawet na tarasie śpią lepiej niż w sypialni.

– Chodź, połączmy trochę. – Chwyciłem rączkę wózka.
– Wiesz, o czym myślę? – zagadnęła Anna, gdy przeszliśmy kilkanaście metrów.

– Nie, ale zaraz mi powiesz...
– Trochę się boję, że kiedyś ktoś nagłośni to, że dzieci się zmieniają.
– Chodzi o ich wygląd? Jeśli nie można nic zrobić, a nie można, bo nie będziemy ich pastować na czarno i barwić im włosów...

– O soczewkach kontaktowych nie mówiąc – dodała Anna.
– I o kształcie nosa też – dorzuciłem.
– Nie pozostaje nam nic innego niż...
– Udawać Greka – oznajmiłem. – Albo jakby to ujął Thor: rznąć Alana. Biedny ten brat Thora, nie dość, że sam musiał wychować gówniarza, to jeszcze zero wdzięczności go spotyka.

– Oj tam. Przecież wiesz, że jeden za drugiego oddałby życie.
– Wiem, tak tylko żartuję.
– Zazdrościsz, że Thor ma brata?
– Pewnie, że tak.
– Fajnie, że nasze dzieciaki nie są jedynakami.
– Fajnie.

Zrobiliśmy dwa kółka, obchodząc wszystkie trzy apartamentowce, gdy Anna stwierdziła, że jest jej zimno. Co chwilę poprawiała kołnierz palta, podnosząc go coraz wyżej.

– Poczekaj na spotkanie z moimi starszami i tą Bry... – zająknąłem się. – Bridget?

– Brygidą – powiedziała Anna. – Brygida. Bardzo ładne polskie imię, choć rzadko używane.

– Nazwisko też ładne – burknąłem z przekąsem. – Jak to brzmiało? Kuszm... Kuszy...

– Kuczmierczyk – wygłosiła bez trudu Anna. – A wiesz, że to jakaś znajoma Wandy? Swego czasu pracowały razem na jednym oddziale. Prawie pięć lat.

– Nie mówiłaś. – Ucieszyłem się. – To świetnie. Naprawdę świetnie. Czuję, że będzie jej można zaufać.

– No widzisz. – Anna uściśnęła moje ramię. – Wobec tego mogę wrócić na uczelnię, bo opiekę już mamy załatwioną.

– Nad dziećmi – podkreśliłem. – Tylko nad dziećmi...

Rozdział 18

„Chandelier”

Niania Brygida pojawiła się punktualnie jak japoński pociąg. Pierwsze wrażenie? Pomyślałam, że na pewno przypadnie do gustu mojej mamie, bo starsza, czyli kompetentna. Na początku wyglądała na nieco stremowaną, skrępowaną zwłaszcza obecnością mojego męża, zapewne zgodnie ze stereotypem, że jak gwiazdor filmowy i celebryta, to musi mieć muchy w nosie. Na szczęście Leo potrafi szybko obłaskawić każdego, o ile oczywiście ma na to ochotę. Żeby trochę ocieplić nasze stosunki i ułatwić rozmowę, zaproponowałam, żebyśmy przeszli na „ty”, a Brygida od razu się zgodziła.

Rzeczywiście, troszkę kulą, bo jak nam wytłumaczyła, urodziła się z nieco krótszą nogą, a w Polsce za czasów jej dzieciństwa nikt nie potrafił tego skutecznie „zreperować”, dlatego od zawsze nosiła ortopedyczne buty. Co jeszcze? Widać było, że lubi czystość i porządek, sama zresztą wyglądała jak ucieleśnienie tychże, bo lekko posiwiłe włosy zaczesła na gładko i spięła kłamrą, a ciemnoszara sukienka sprawiała wrażenie nigdy nieużywanej.

– *Boję się, że Brygida będzie zbyt surowa dla dzieci* – przekazałam naprędce mojemu mężowi. – *Wygląda jak wypisz, wymaluj kwakierka. Może spytaj, czemu straciła poprzednią pracę?*

Leo spojrzął na mnie z ukosa, przełknął ślinę i zagadnął o to Brygidę.

– Nie wiem, czy powinnam się skarżyć na poprzednich pracodawców – odpowiedziała po dłuższym namyśle.

– Nie wiemy, u kogo pracowałaś – odparł Leo. – Ale nie musisz nam tego zdradzać.

– *Plus dla niej za dyskrecję.*

– Ponad rok zajmowałam się dzieckiem. Dziewczynką. Bardzo się związałyśmy, bo ci państwo wymagali ode mnie dyspozycyjności przez całą dobę. Dużo podróżowali, a dziecko i ja razem z nimi. Siłą rzeczy malutka do mnie przywykła, a ja kochałam ją jak własne dziecko. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam, bo nie mam dzieci – powiedziała smutnym tonem. – Gdy mała zaczęła chodzić... – zamilkła. Widać było, że ta rozmowa nie jest dla niej łatwa. – Pani uznała, że nie mogę się dłużej zajmować jej córką.

– Ale dlaczego? – Leo uniósł jedną brew. – Dziecko było zbyt ruchliwe? Jego matka bała się, że nie dasz sobie z nim rady?

– Owszem, chodziło o moją niepełnosprawność, ale nie w takim kontekście. Po prostu moja pracodawczyni wyraziła obawę, że dziecko będzie mnie naśladować i też zacznie kuleć, i stanie się kaleką jak ja – wyrzuciła niemalże na bezdechu.

– Ojej. – Złapałam się za usta, widząc charakterystyczny błysk w oczach Brygidy. – Ludzie potrafią być... – Ugryzłam się w język.

– Cóż mogę rzec... – zaczął Leo. – U nas na pewno cię to nie spotka. Co najwyżej sama odejdziesz, jeśli dzieciaki zbyt mocno dadzą ci w kość – zażartował, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

– Mogę je poznać? – zapytała Brygida, starając się, żeby jej głos zabrzmiał pogodnie.

– Jasne – odparłam. Popatrzyłam z wdzięcznością na Leo, bo całkiem nieźle udało mu się wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. – Zapraszam do ich sypialni. Dzieci za chwilę powinny wstać.

Weszliśmy po cichu, żeby ich nie zbudzić, a tu niespodzianka. Edward już nie spał. Leżał sobie, jak zwykle bardzo zadowolony z życia, i gaworzył.

– Ile dokładnie mają?

– Urodzili się drugiego czerwca, więc niedawno skończyli cztery miesiące.

– Dorodne te wasze bliźnięta – stwierdziła z uśmiechem Brygida. – Mogę go wziąć na ręce?

– Uhm. Raczej nikogo się nie boi – powiedziałam, patrząc, z jaką wprawą wyjmuje Edka z łóżeczka. Nasz syn niemal natychmiast obdarzył nową nianię mocno oślinionym uśmiechem, a potem dotknął jej nosa równie mokrą łapką.

– Dzisiaj spodziewamy się moich rodziców, będą więc mieli sporo okazji, by wykazać się odwagą i śmiałością – dodał Leo.

– Naprawdę? – Brygida spojrzała na niego. – Mogliście mnie uprzedzić, nie przeszkadzałabym.

– Nie przeszkadzasz. Jesteś ich opiekunką – odparłam szczęśliwa, że Edward od razu zaakceptował nową twarz.

– Catherine? Tak? – zapytała Brygida, zerkając do drugiego łóżeczka.

– Mówimy do niej Cathy. Jest trochę bardziej rozkapryszona niż Edek – dodałam, dotykając z czułością policzka naszej królowny. Cieszyłam się, że nadal śpi w najlepsze. Najwyraźniej nie wyczuła niczego niepokojącego ze strony Brygidy i to był bardzo dobry znak.

– Może kaprysić – powiedziała niania. – To nawet wypada, żeby czasami pokazać trochę foszków.

– Poradzisz sobie z nimi? – zapytał Leo. – Czasem potrafią...

– Przestań – przerwałam mu. – Ja sobie radzę, a Brygida nie? Wiesz, ile dzieci potrafi być równocześnie na oddziale noworodków?

– No tak – przyznał mi rację.

– To nie do końca dobry argument – stwierdziła Brygida. – Noworodki są mało wymagające. Śpią, jedzą, śpią. A niemowlaki potrzebują większego zaangażowania, ale bez obaw, poradzę sobie – odparła, patrząc to na mnie, to na Leo. – Już widzę, że Edward to dziecko marzeń. Pogodne, wesołe, już cię lubię, ty

miśku kochany – wyznała, uśmiechając się do naszego synka. – Uwielbiam wesołe dzieci. No popatrzcie, jakież to pozytywne stworzenie! Samo szczęście! – Obróciła go w naszą stronę i zaprezentowała, jakbyśmy jeszcze nie zdążyli go poznać.

– Mama Anny, Julia, na początku będzie ci pomagać. Zresztą moja żona na razie nie ma innych obowiązków, a ja przez najbliższy miesiąc nigdzie się nie wybieram. Potem wracam do pracy, ale tu, w Londynie. Będę grał w teatrze – wyjaśnił Leo.

– Och, to będzie dobrze, jak się do nich dopcham choć na godzinę dziennie – zaśmiała się Brygida.

– Leo... – Pokręciłam nosem. – Twoja żona ma studia.

– Studiujesz? – zainteresowała się Brygida.

– Tak. Za tydzień zaczynamy właściwe zajęcia, bo dotychczas chodziłam na przygotowawcze.

– A jaki kierunek?

– Scenografię i kostiumologię na RADA.

– Och, świetnie! – zapięła ze szczerym zachwytem Brygida. – Muszę przyznać, że trochę szyję. Oczywiście amatorsko – dodała. – Moja specjalność to kołdry. Patchwork, aplikacje, hafty... – wymieniła. – Uszyję maluchom kołderki. – Widziałam, że chce dodać coś jeszcze, ale ostatecznie zrezygnowała. Pewnie uszyła taką kołderkę poprzedniej wychowance i znów zrobiło jej się smutno na to wspomnienie.

– Moja żona wybiera się na studia, ale na razie... – zaczął Leo. Od razu zgromiłam go wzrokiem. Jeszcze się nie poddałam, co to, to nie.

– *Porozmawiamy o tym później, proszę* – przekazałam mu, a Leo spojrzał na mnie z kwaśną miną.

– O! Chyba Cathy się budzi – powiedziałam, żeby zgrabnie zmienić temat.

– I chyba ktoś dzwoni – dodał Leo.

– To na pewno moi teściowie – szepnęłam konfidentycznie, gdy Leo poszedł im otworzyć. – Dzisiaj pierwszy raz zobaczą dzieci.

– Naprawdę? – Brygida wytrzeszczyła oczy. – Ale jak to możliwe?

– Byli w podróży, zwiedzali całą Europę.

– Aha. Teraz to już jestem prawie pewna, że przeszkadzam. – Stropiła się.

– Nie przeszkadzasz. Daj mi Edka. – Wyciągnęłam rękę. – I weź Cathy. Zobaczymy, jak się zachowa.

– Oby tak samo jak jej brat...

Mimo namów, żeby została dłużej, Brygida opuściła nas po dwóch godzinach, ale wcale się jej nie dziwiłam. Nie dość, że nowa praca, nowi podopieczni, to jeszcze ogromne zamieszanie, bo przecież rodzice Leo nie należeli do ospałych staruszków. Wręcz przeciwnie, roznosiła ich energia. Oblecieli cały dom, zwłaszcza Ruby, która zajrzała w każdy najmniejszy kącik, bo tak dawno nie

była u „Leosia”. Dobrze, że przegląd wypadł zadowolająco.

Porozmawialiśmy trochę o ich podróży, pokazali dwa albumy ze zdjęciami, a ja nie mogłam się nacieszyć niespodzianką. Za to, że pożyczyłam im kamper, Ruby obdarowała mnie stosem przepięknych sukienek, bluzek i torebek. Każdy drobiazg pochodził z innego kraju i był utrzymany w stylu folk. Pierwszy raz w życiu ktoś trafił w mój gust.

Niestety poruszyliśmy również smutny temat, bo rodzice Leo znali Krisa i wiedzieli, że zmarł, on i jego przyjaciółka. Ale i tak nic nie stanowiło większej „atrakcji”, nawet nasz cichy ślub z zaskoczenia, aniżeli dzieciaki. Ruby i George nakarmili je, od początku mając zresztą swoich faworytów. Teściowa zapalała wielką miłością do Edka, a ojciec Leo – do naszej słodkiej Cathy.

– Nigdy nie miałem córki – wzdychał co chwilę. – A teraz mam dwie ukochane dziewczynki. – Spojrzał na mnie, a potem przytulił do piersi Catherine. – I oczywiście żonę ukochaną. Leo, masz kochać Annę i codziennie jej to mówić. Rozumiesz, synku?

– Tak, tato. Codziennie jej to mówię. – Leo uniósł kącki ust i spojrzał na mnie wymownie. W jego roześmianych oczach odczytałam komunikat: „Tato mnie zaskakuje”.

– Powiem wam, że George zrobił się strasznie wylewny – powiedziała Ruby, zerkając z ukosa na męża. – Nigdy taki nie był, ale po moim pobycie w szpitalu... – nagle zamilkła i przełknęła ślinę.

– Może i jestem wylewny – mruknął George. – Powiem więcej: niegorszy ze mnie mięczak, a nawet pantoflarz, ale mam to w nosie. Nie ma się czego wstydić. Lepiej pięć razy dziennie powiedzieć komuś, że się go kocha, niż żałować, że choć raz się nie zdążyło.

– Och, George... – jęknęła Ruby i obdarowała go rozanielonym spojrzeniem. – Jesteś taki słodki...

Leo próbował się nie roześmiać, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem, tak jak i mnie. Mimo to nasz zachwyt i radość, że Ruby nadal jest z nami, przewyższała rozbawienie.

– Tak na nią patrzę i nie wiem, do kogo jest bardziej podobna? – George podniósł głowę i przenosił wzrok ze mnie na Leo, a potem na śpiącą w jego ramionach Catherine.

– No przecież, że do Anny – fuknęła Ruby.

– Mamo, oni są adoptowani. – Leo chyba nie wierzył w to, co słyszy. – Nigdy nie będą do nas podobni. Na litość. – Prawie załamał ręce.

– I tu się mylisz – zaoponowała natychmiast jego mama. – Popatrz, Ania wcale nie jest podobna do Julii, a ty? Do mnie na pewno nie, a do ojca... – zawiesiła głos, żeby znów rzucić wzrokiem na małżonka – tym bardziej. I co?

– I pstro – odpowiedział Leo, a ja szybko dodałam w jego głowie: –

Szczerze? Twoja mama wybrała najgorsze przykłady z możliwych. Ledwie skończyłam, a Leo nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– A jeszcze wam coś powiem – ciągnęła niczym niezrażona Ruby. – Kiedyś czytałam, że jak ma się psa, to ten pies z biegiem czasu robi się podobny do właściciela. I co ty na to?

– Ale to nie są psy. Tak jakby... – Leo bąknął w odpowiedzi i chrząknął w kułak.

– Nasz sąsiad ma takiego. – George włączył się do dyskusji. – Niby to jamnik, więc powinien mieć krótkie nogi, duży brzuch i niskie podwozie, ale wygląda raczej jak pinczer, bo jego właściciel...

– Pan Slater? – wszedł mu w słowo Leo.

– Dokładnie – przytaknęła Ruby.

– Nasz sąsiad jest długi, chudy i ma nogi po szyję – wyjaśnił mi Leo.

– I tak wygląda jego pies – stwierdził George.

– Nie wiem, czy to działa w odniesieniu do ludzi – powiedziałam.

– Zobaczcie, że tak – oznajmiła z mocą Ruby. – Macie jakieś ich wcześniejsze zdjęcia?

– *Ups, co teraz? Pokazujemy? Zauważą, że dzieci się zmieniają.*

– Zaraz przyniosę. Mam na laptopie, w gabinecie. – Leo wstał, a gdy już stał w drzwiach, odwrócił się, żeby poprosić mnie o pomoc. – I tak się kiedyś zorientują – mruknął cicho, odpinając komputer od zasilacza. – Pokażemy im wszystko i niech sobie radzą z tą wiedzą.

– Okej.

Leo zabrał laptopa i zaniósł do salonu. Postawił go na stoliku kawowym i włączył folder, w którym gromadziliśmy fotografie dzieci. Plan był taki, żeby pokazać rodzicom wszystkie. Liczyliśmy, że gdy zobaczą około stu zdjęć, nie zauważą zmian, które zaszły w ciągu trzech miesięcy. Niestety, nie doceniliśmy bystrego oka Ruby.

– Leoś, wróć no na początek – poprosiła moja teściowa, a gdy Leo głośno odetchnął i kliknął na pierwsze fotografie, stwierdziła z niekłamaną satysfakcją: – I widzicie?! Zmieniają się, i to w oczach. No popatrzcie na niego. – Podniosła Edwarda, żebyśmy mogli ujrzeć jego twarzyczkę. – Moim zdaniem on się robi rudy.

– Catherine chyba też... – mruknął George i zmarszczył czoło. – A jak nie spała, to zauważyłem, że jej oczy to jakieś dziwne są. Nie widziałem nigdy takiego koloru.

– Khaki, prawda? – Ruby odwróciła głowę, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy. – Oni oboje są tacy trochę dziwni. Ale słodcy! – dodała naprędce, zauważając pewnie nasze niewyraźne miny.

– Okej – westchnął zrezygnowany Leo. – *Chcesz im pokazać znamię Edka –*

upewniłam się, a on od razu pokiwał głową. – Odsuń rękaw jego bluzeczki. Lewy. I zobacz, co ma przy nadgarstku.

– Boże... – wyszeptała Ruby i strwożona spojrzała na męża. – George, ten malutki ma na rączce taki sam znaczek jak kiedyś nasz Leoś na brzuchu. Taką czerwoną ósemkę. Pamiętasz?

– A co mam nie pamiętać – odburknął George. – Ona też taki ma? – Wskazał brodą na Cathy.

– Tak, na ramionku – powiedziałam, czekając z drżeniem serca na ich reakcję.

– I dobrze. Wszyscy jesteście... – szukał właściwego słowa – trochę inni. Ty pewnie też? – Skierował do mnie pytanie.

– Też.

– I dobrze. Ruby, mamy szczęście. Wiesz, moja droga? – zapytał. – Wiesz, że mamy ogromne szczęście?

– Wiem. – Mama Leo pociągnęła nosem. – Wiem...

– Było naprawdę super – powiedziałam do Leo. – Do kiedy zostają twoi rodzice?

– Pojutrze wracają.

– Mogli u nas przenocować – westchnęłam, bo było mi głupio, gdy Ruby oświadczyła, że będą spali w hotelu. – Przecież jest miejsce.

– Wiesz, jacy są. – Mój mąż cmoknął mnie w czoło. – To co, my też idziemy spać? – zapytał, widząc, że włączam małą lampkę, przy której nasze maluchy spędzały każdą noc.

– Padam z nóg, ale mam jeszcze odrobinę siły... – przeciągnęłam ostatnie słowo.

Leo zagarnął mnie ramieniem i zaprowadził do sypialni. Spędziliśmy bardzo miły kwadrans, a może nawet ciut więcej niż kwadrans. Może dlatego postanowiłam poruszyć pewien kłopotliwy temat. Uznałam, że to najwłaściwszy moment, bo mój mąż leżał z rękami założonymi pod głową i bardzo zadowoloną miną. Oparłam się na przedramieniu i napomknęłam nieśmiało:

– Leo...

– Tak? – Spojrzał na mnie.

– Bardzo zależy mi na tych studiach. Nie po to dwa miesiące uczęszczałam na zajęcia przygotowawcze, żeby teraz zrezygnować. Sam wiesz, jak trudno się dostać na RADA. Udaje się to jednemu na dwudziestu kandydatów, więc...

– Musimy teraz o tym mówić? – Leo natychmiast stracił humor. Usiadł, potarł czoło i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Jak nie teraz, to kiedy? Mamy nianię, więc nic nie stoi na...

– Chyba żartujesz? – Znów mi przerwał, co trochę mnie wkurzyło.

– Nie żartuję. Mamy nianię do dzieci, zresztą sam mówiłeś, że moja

mama...

– Ale nie chodzi o opiekę. – Trzeci raz nie pozwolił mi skończyć. Widziałam, że się zdenerwował, wystarczyło na niego popatrzeć albo posłuchać, jak mówi przez zaciśnięte zęby. – Tylko o twoje bezpieczeństwo.

– Więc jak to sobie wyobrażasz? Mam tu tkwić na wieki? Nie wychodzić z domu? Nie móc wyjść na spacer z dziećmi? Wyjechać gdzieś? Leo, to nie jest życie. – Opadłam na poduszkę i wlepiłam wzrok w sufit. – Ja tak nie mogę. Równie dobrze możesz mnie kazać zamknąć w więzieniu jak Ednę, a i to będzie niebezpieczne, bo a nuż ktoś tam na mnie napadnie? Jak to sobie wyobrażasz? – zachnęłam się. Usiadłam i powodowana bezradnością, uderzyłam pięścią w poduszkę. – Ja tak nie chcę – powiedziałam dobitnie. – Nie zamierzam tchórzyc i żyć w strachu. Chcę być wolna, robić, co chcę, iść, gdzie chcę, i nikt nie może mi tego zabronić, nawet ty.

– Anno, kochanie... – jęknął Leo. Szybko przysunął się do mnie i mocno przytulił. – Nie chcę cię kontrolować czy ograniczać. Po prostu boję się i martwię. Mam prawo się martwić, tak samo jak ty masz prawo być wolna i czuć się bezpiecznie. Nie wiem, jak z tego wybrnąć... – westchnął. – Naprawdę nie wiem.

– Leo, wróć na uczelnię, ale obiecuję, że będę bardzo ostrożna. Jeśli chcesz, wynajmij mi ochronę, byle nie tych dwóch dupków – fuknęłam. – Są okropnie drętwi.

– Przemyślę to, zgoda? – Odsunął mnie lekko, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Zgoda.

– Ale ty mi też coś obiecuj.

– Wiem, mam być ostrożna.

– To też, ale nie tylko. Masz powiedzieć Thorowi i Alishy o zapisie dotyczącym unicestwienia dziewięciu Wędrowców z Habbatum. Uważam, że to nieuczciwe ukrywać przed nimi prawdę.

– Okej – odpowiedziałam po bardzo długim namyśle.

Parę dni później do naszego apartamentu wkroczyła stara znajoma...

Alisha – Epizod 8

Potrzebuję więcej ruchu. Zaczęłam biegać i ćwiczyć. Brian stwierdził, że powinnam chodzić z nim na basen, więc pływam, choć muszę przyznać, że idzie mi znacznie gorzej niż jemu. Czasami puszczam sobie jakąś muzykę albo film instruktażowy na YouTube, bo tak mi zasugerowała Anna, i ćwiczę. Przy muzyce jest przyjemniej.

– Może poszlibyśmy na koncert? – Pokazuję Brianowi ulotkę, którą znalazłam w skrzynce. – W Royal Albert Hall. Jeszcze nigdy nie byłam na takim koncercie, a ty?

– Nie przypominam sobie. – Przysiada obok i przez chwilę studiuje ulotkę.

– Kto to ta Sia Furler?

– Wokalistka. Fajnie śpiewa. Czasami ćwiczę przy jej piosenkach – tłumaczę, skąd pomysł, żeby iść na jej koncert. – Na YouTube są teledyski, czyli takie krótkie filmy ilustrujące piosenkę – tłumaczę, widząc pytający wzrok Briana. – Pokazać ci?

– Tak. Nie znam tego YouTube. Ciekawe? – pyta, bo dopiero odkrywa dobrodziejstwa Internetu i jest nim zafascynowany.

– YouTube to portal z filmami – mówię. – Przynies laptopa, to ci pokażę.

Gdy Brian wraca, uruchamiam jego komputer i wchodzę na stronę. Pokazuję różne filmy, i te zabawne, i poważne, fragmenty pełnometrażowych filmów i prywatne nagrania, które aktualnie są modne i często komentowane. – Byłem na tej stronie – stwierdza.

– Może trafiłeś przez jakiś link. Odnośnik – dopowiadam, bo marszczy czoło.

– Chyba tak. Nie przyszło mi do głowy, że jest tu tyle różności.

– Większość to typowe internetowe śmieci, ale zdarzają się fajne filmy. Obserwuję kilku użytkowników, bo mają swoje vlogi, czyli takie pamiętniki. Zaraz ci pokażę. – Odnajduję vlog chłopaka, który podobnie jak ja rzeźbi miniatury. – Popatrz, jest naprawdę świetny. – Obracam ekran w stronę Briana, żeby mógł zobaczyć fragment nagrania. – Rzeźbi w graficie. Genialnie mu to wychodzi.

– Twoje ładniejsze – stwierdza Brian.

– Naprawdę? – Nie mogę uwierzyć, że podobają mu się moje figurki. Są takie zwykłe, banalne, a rzeźby tego chłopaka to prawdziwe arcydzieła.

– W twoich widać serce, a jego są zbyt techniczne. Tak myślę.

– Dziękuję – odpowiadam po chwili.

– Pokaż mi tę śpiewaczkę – prosi Brian.

– A tak, zapomniałam. – Szybko wklepuję w wyszukiwarkę: Sia Furler, i klikam na jakiś teledysk. Brian w skupieniu patrzy na ekran, ale szybko zauważam, że chyba nie odpowiada mu taka muzyka. – To może taki... – Klikam, żeby puścić kolejne nagranie.

– To nie w moim guście – stwierdza, nawet nie próbując ukryć niechęci. – Nie przepadam za taką muzyką, wolę klasyczną. Nie słucham radia. Pamiętam, jak cały świat zachwycał się Beatlesami, gdy byli na fali, albo Elvisem Presleyem, a ja nie znosiłem tego łomotu – parska pod nosem.

– A mnie się podoba. – Puszczam trzeci teledysk, tym razem z przebojem *Chandelier*. – Chciałabym umieć tak tańczyć... – wzdycham. Dopiero po chwili dociera do mnie, że Brian gapi się w ekran jak zaklęty. Nawet nie drgnie. Zerkam na niego. Wygląda, jakby ujrzał ducha, wytrzeszczył oczy, a na jego czole skroplił się pot. – Brian? Wszystko w porządku?

– Cicho – rzuca bardzo nieprzyjemnym tonem. Posłusznie milknę i kieruję wzrok na ekran. – Możesz to puścić jeszcze raz? – pyta, gdy teledysk się skończył.

– Tak. – Szybko klikam powtórne odtwarzanie, bojąc się spojrzeć na Briana. Czuję, że coś jest nie tak, bo kątem oka dostrzegam, że jego dłoń położona na udzie lekko drży.

Nagle Brian zrywa się z kanapy i wychodzi. Siedzę sama jak głupia i nie wiem, co się stało. Mija może minuta i znów jest przy mnie. Widzę, że ochlapał twarz wodą.

– Powiedz, ta dziewczynka to Sia Furler? Ta, która tańczy w tym teledysku?

– Chyba nie. Na pewno nie. To zwykła tancerka. Poza tym Sia jest starsza, to dorosła kobieta, a tańczy dziecko.

– Nie wiesz, jak się nazywa?

– Mogę spróbować znaleźć tę informację. – Szybko wklepuję odpowiednie zapytanie w wyszukiwarce. – Nazywa się Madison Nicole Ziegler, inaczej Maddie Ziegler. Urodzona w dwa tysiące drugim roku, amerykańska aktorka, tancerka i modelka.

– Nic mi to nie mówi. – Kręci głową.

– Szukać dalej?

– Nie, nie trzeba. – Przyciska dłonie do twarzy, opiera łokcie na kolanach i popada w zadumę. – Dziękuję – dodaje po chwili.

– Coś ci się przypomniało? – pytam cicho.

– Nie wiem.

Jeszcze przez jakiś czas siedzi obok mnie i rozmyśla, w końcu wychodzi, mruczając, że musi popracować. Temat koncertu upadł. Chyba nie zależało mi na nim, bo wcale nie żałuję. Najwyżej spytam kiedyś Annę, może się wybierzemy. A może nie. Nie wiem, co ze sobą począć, oglądam bez przekonania jakieś filmy, gdy zdaję sobie sprawę, że Brian zostawił swój komputer, więc jak chce pracować? Bez laptopa?

Zamykam klapę, zabieram go i idę do gabinetu. Nie jestem zdziwiona, gdy nie zastaję tam Briana. Zostawiam komputer i po cichu wychodzę. Stoję pod drzwiami sypialni i nasłuchuję, czy jest w środku, gdy dobiega mnie jakiś odgłos z łazienki. Tej głównej, do której wchodzi się z korytarza. Podchodzę tam i zauważam, że drzwi są uchylone. Nie wiem, czy mogę mu przeszkodzić, ale skoro Brian zostawił otwarte drzwi, chyba nie bierze kąpieli.

Zanim zapukam, zbliżam oko do wąskiej szczeliny. Niewiele widzę. Brian stoi przed lustrem nad umywalkami. Zdjął koszulę, jest w samych spodniach, włączył wszystkie halogeny, więc w środku jest bardzo jasno. Stoi i patrzy, nachylony, żeby być jak najbliżej szklanej tafli. Nagle podnosi dłoń i dotyka swojego znamienia, gładzi je palcem, drapie, naciska i podnosi opuszek. Ciekawe, czemu tak robi, gubię się w domysłach. Brian łapie fałdę skóry między palce i mocno ściska, by po kilku sekundach puścić. To wszystko jest bardzo tajemnicze.

Oddalam się po cichu, bo nie chcę, żeby mnie nakrył na podglądaniu.

Próbuję zająć się lekturą, ale nie mogę się skupić. W końcu odkładam książkę na stolik i po prostu siedzę w fotelu, pogrążona w myślach. Mija kwadrans, a ja prawie zasypiam, zwinięta w kłębek i okryta ciepłym szalem, gdy Brian wchodzi do salonu. Podskakuję nerwowo, słysząc jego głos.

– Mam prośbę. – Staje przede mną.

– Tak? – Od razu się poprawiam. Odrywam głowę od oparcia i spuszczaam nogi na dywan.

– Pokaż mi swoje znamię – prosi, kucając przede mną. Widocznie jest pewien, że nie odmówię, albo bardzo zdeterminowany, żeby je zobaczyć.

– Dobrze – zgadzam się prawie natychmiast, bo chcę mu pomóc.

Czuję, że to wiele dla niego znaczy. Może coś sobie przypomniał? Tylko tak mogę wytłumaczyć jego zachowanie w łazience i tę prośbę. Na szczęście mam na sobie dosyć luźne szarawary z cienkiego dżerseju. Wystarczy podsunąć nogawkę.

– Mogę dotknąć? – Podnosi głowę i spogląda na mnie. W jego oczach widzę jasny przekaz: „Zgódź się i nie pytaj dlaczego”.

– Tak.

Na początku dotyka mojego znamienia, mając przymknięte oczy. Pewnie dzięki temu jest mu łatwiej wychwycić strukturę skóry w tym miejscu. Wiedzie po nim opuszką palca, naciska, a po chwili uprzedza, że trochę je podrapie. Nie sprzeciwiam się, bo to prawie wcale nie boli. To nawet lepiej, że je podrapał, przynajmniej nie czuję się dziwnie, jak w pierwszym momencie, gdy jego dotyk bardziej przypominał nieśmiałą pieszczotę aniżeli „badanie”.

Przez chwilę kusi mnie, żeby zdradzić mu, że go podglądałam, ale odpycham tę myśl. Na pewno by się zawstydził, a może nawet zezłościł. Skoro nie zawołał mnie do łazienki, widocznie ma swoje powody.

– Mogę już opuścić nogawkę?

– Tak. Bardzo ci dziękuję.

– Chyba nie ma za co. – Uśmiecham się, lekko skrępowana, że zataiłam przed nim swoje wścibstwo.

– Wiesz... – zagaja, siadając w drugim fotelu. – Jak chcesz, pójdziemy na ten koncert. – Sięga po ulotkę, której nie zdążyłam wyrzucić, i szybko przelatuje po niej wzrokiem. – To w najbliższą sobotę – stwierdza, zwracając się raczej do siebie niż do mnie.

– Może nie być biletów. – Otwieram przed nim furtkę, niemal pewna, że ta nieoczekiwana propozycja jest próbą odwdzięczenia się za pokazanie znaku Eperu. – A jeśli zostały, to w kiepskich miejscach. Daleko od estrady.

– Sprawdź. Zadzwoń tam – mówi Brian. W jego głosie pobrzmiwa zdecydowanie.

– Naprawdę nie musisz.

– Wiem, że nie muszę. Ale chcę – dodaje, wstając na moment, żeby wyjąć telefon z kieszeni dzinsów.

Ostatnio przekonał się do spodni marki Lee i tylko takie nosi. Kupił pięć identycznych par w klasycznym fasonie, żeby, jak powiedział, mieć na zapas. Zmienia je co drugi dzień, mimo że są całkiem czyste. Tłumaczyłam, że nie powinno się ich tak często prać, ale Brian wie swoje. Co tydzień zanoszą cztery pary do pralni, a piątą ma na sobie. I tak w kółko.

– I co? – pytam, słysząc cichy głos automatycznej sekretarki przy jego uchu.

– Zadzwoń jutro rano, dzisiaj już chyba nie pracują. – Odkłada aparat razem z ulotką na blat stolika.

– Można zamówić bilety przez Internet.

– Tak? – Sięga ponownie po kolorowy świstek papieru. – Rzeczywiście. I nawet wybrać miejsca. To idę do siebie. Zamówić – dodaje.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego. – A ja idę zrobić kolację.

– Spotykamy się za dziesięć minut w kuchni.

– Jesteś pewny, że sobie poradzisz?

– Nie jestem, ale spróbuję.

Patrzę, jak wychodzi z salonu. Czuję że w moim sercu rozlewa się coś ciepłego...

Rozdział 19

(Nie)zbędna brawura

Madame Henrietta Fouquet, która uczyła materiałoznawstwa, była bardzo elegancką kobietą. Jak przystało na paryżankę, nosiła tylko najlepsze marki, ale jej postura zaprzeczała wizerunkowi typowej Francuzki. Nasza pani profesor była niska i dosyć tęga. Większość jej studentów określała ją wdzięcznym mianem „Kulki”. Fakt, wszystko było w niej kuliste, od sylwetki począwszy, poprzez pulchne, puciołowate policzki, skończywszy na koczku spiętym na czubku idealnie okrągłej głowy.

Na każde zajęcia przynosiła stopy większych i mniejszych skrawków tkanin. Wymowała je z eleganckiej podróźnej walizeczki na kółkach, oczywiście markowej. Wykładała materiały na wielki, okrągły (a jakże) stół na środku sali i kazała nam usiąść wokół, zamknąć oczy i dotykać skrawków, żeby poznać ich fakturę. Później przychodził czas na bardziej naukowe metody. Madame Fouquet wysnuwała jedną czy dwie nici z którejs z tkanin i omawiała szczegółowo poszczególne typy włókna. Naprężała nici, rozcierała je w pulchnych paluszkach albo dokonywała ofiary całopalnej, żeby uświadomić nam, że niektóre włókna spalają się na niebiesko, inne na żółto, a jeszcze inne – na czerwono. Ważny był nie tylko kolor płomienia, ale i zapach, wygląd popiołu i jego ilość. Musiałam przyznać, że to było naprawdę ciekawe.

Dosyć szybko nauczyłam się rozróżniać włókna zwierzęce, roślinne i syntetyczne, zwłaszcza gdy pracowaliśmy z mikroskopem, ale dzisiaj madame Fouquet podniosła poprzeczkę naprawdę wysoko. Położyła na stole kilka skrawków i powiedziała, że to wełna z kóz kaszmirskich, czyli kaszmir, wełna z kóz angorskich nazywana mohair, typowa wełna owcza (tylko tę rozpoznałam od razu), wełna wielbłądzia oraz wełna z królika angorskiego. Wyjęła swoją nieśmiertelną zippo, której używała również do przypalania cieniutkich cygaretek, i oznajmiła:

– Wełna pali się delikatnie. Płomień skacze, a po wygaśnięciu włókna żarzą się, wydzielając specyficzny zapach. – Przystawiła ogień, żeby pokazać nam, jak to wygląda, a po chwili puściła wokół stołu tackę ze spalonymi resztkami. – Co to za zapach? Anno? – Spojrzała na mnie.

– Coś jak spalona kość? – Zmarszczyłam nos, bo szczerze mówiąc, był to raczej smrodek niż zapach.

– To zapach spalonego rogu – wyjaśniła madame Fouquet. – A po spaleniu pozostaje co?

– Czarny popiół. Kruchy. – Roztarłam go w palcach.

– Zanotujcie – poleciała madame Fouquet. – Za chwilę omówimy wszystkie

typy wełen zwierzęcych, a jeśli zdamy, również metody pozyskiwania poszczególnych wełen i prawidłową hodowlę zwierząt wełnodajnych.

Przewróciłam oczami, myśląc, że znów odpadnie mi ręka. Madame Fouquet dyktowała bardzo szybko, czasami nie udawało mi się wszystkiego zanotować, a nie pozwalała na korzystanie z dyktafonów, więc często po zajęciach spisywaliśmy od siebie notatki, żeby mieć komplet informacji. Musiałam przyznać, że trochę zemdlił mnie ten zapasek. Nawet bardziej niż trochę. Gdy zobaczyłam, że madame wysnuwa nic z kolejnej próbki, pomyślałam, że chyba wyjdę do toalety. Przewietrzę się i przy okazji pozbędę nadmiaru płynów, bo wypięłam już trzy kawy. Ech, dzieciaki dały nam dzisiaj popalić.

– Notuj, muszę wyjść na chwilę – szepnęłam do Aurory, bladolicej, wysokiej dziewczyny, z którą od początku nawiązałam nic porozumienia. Siedziałyśmy obok siebie na większości zajęć i musiałam przyznać, że choć małowówna i bardzo zamknięta w sobie, nadawała się na przyjaciółkę.

– Uhm – mruknęła, odrzucając na plecy pasmo myszowatych włosów.

Przeprosiłam madame Fouquet i z ulgą opuściłam salę. Zamknęłam za sobą drzwi i od razu odetchnęłam świeżym powietrzem. Spojrzałam na Nataszę, zeskoczyła z parapetu i czujnie rozejrzała się na boki. Nikogo oprócz nas nie było na korytarzu. Trwały zajęcia, więc Nat miała spokój i mogła się zrelaksować, o ile w ogóle kiedykolwiek posiadała tę umiejętność.

– Coś się stało? – spytała. – Wyglądasz, jakbyś miała puścić pawia.

– Niewiele mi brakuje. Kolejne śmierdzące zajęcia – westchnęłam, przypominając sobie zapach spalonego poliestru. – Muszę do toalety.

– Okej, chodź – odparła, a ja przewróciłam oczami, myśląc, że mam mniej swobody niż Edward i Cathy razem wzięci.

Cóż miałam począć, skoro Leo się uparł i oświadczył, że bez ochrony nigdzie mnie nie puści? I tak lepsze to, niż siedzieć w domu niczym księżniczka w szklanej wieży. Nie wiem, co obiecał Nataszy i jak udało mu się ją przekonać, żeby znów świadczyła nam swoje usługi, zwłaszcza po ostatniej akcji z panem Jiao. Wykazałam się wtedy poważną niesubordynacją i naraziłam na „zarżnięcie jak kurczak”, śmiertelnie dziabnęłam pana Jiao w wątrobę jego własnym nożem, potem Dalila wskrzesiła moją ofiarę ze zmarłych, a mnie „zagoiła” szyję, a wszystko to w niecały kwadrans i na oczach Nat. Dlatego wcale nie zdziwiły mnie jej słowa, że ma nas po uszy i już nigdy nie podejmie się współpracy z nami. Może zwyciężył argument finansowy, bo Leo nie skąpił środków, a może wspomnienie Krisa, który jako pierwszy korzystał z jej usług i polecił nam Nataszę i Igora, albo, w co jednak trudno mi było uwierzyć, lubiła mnie chronić, choćby ze względu na adrenalinę.

Poprawiłam pasek torby i ruszyłam na koniec korytarza, gdzie znajdowały się toalety. Natasza żwawo maszerowała obok mnie. Podkute glany wybijały równy rytm na kamiennej posadzce. Zerknęłam na nią z ukosa, żeby rozpoznać

gatunki tkanin i sprawdzić wiedzę zdobytą przez pierwsze trzy tygodnie studiowania materiałoznawstwa. Szybko stwierdziłam, że ma na sobie bojówki z surowej bawełny, lnianą koszulę i żakiecik (niezbędny, bo skrywający szelki kabury) z jakiejś welenki, ale jakiej? Tego na razie nie wiedziałam.

– Powinam z tobą siedzieć na zajęciach – fuknęła, zagniewana tym, że madame Fouquet wyprosiła ją zaraz pierwszego dnia.

„I co jeszcze? – pomyślałam. – Może wejdiesz ze mną do kabiny i zdejmiesz mi majtki?” – parsknęłam pod nosem, gdy to sobie wyobraziłam. Zatrzymała mnie przed drzwiami toalet.

– Poczekaj, sprawdzę – powiedziała.

Weszła do środka i rozejrzała się uważnie. Zgromiła mnie wzrokiem, bo jej nie posłuchałam i wlażłam za nią. Z rozbawieniem patrzyłam, jak zaczyna sprawdzać kabiny. Najpierw, jak zawsze, przykucnęła, żeby sprawdzić, czy nikt prócz nas nie korzysta z toalet. Weszła do pierwszej kabiny i ostrożnie, żeby nie hałasować, opuściła deskę i stanęła na muszli. Spojrzała przed siebie, z aprobatą pokiwała głową i po cichu zesza. Nieodmiennie mnie to bawiło, musiałam przyznać. Dobrze, że nie zaglądała do muszli, a nuż znalazłaby tam jakieś zagrożenie, pomyślałam z przekąsem.

Podchodziła do kolejnych kabin, najpierw otwierała drzwi butem, a potem zaglądała do środka. W ten sam sposób sprawdziła drugą i trzecią. Już miałam powiedzieć, że wystarczy mi jedna kabina, żeby zrobić siusiu, gdy Natasza podeszła do ostatniej i lekko kopnęła drzwi. Te odbiły się od czegoś, niewiele brakowało, a Natasza dostałaby nimi w nos.

– Co jest grane? – warknęła. Chwyciła za gałkę i wsunęła głowę do środka.

Wystarczył moment i Natasza zniknęła mi z oczu. Usłyszałam tylko bliżej nieokreślony łoskot, odgłos szamotaniny i coś, co brzmiało jak jęknięcie z bólu. „Nat!” – chciałam krzyknąć, ale gardło odmówiło mi posłuszeństwa i zamiast krzyku wydobył się z niego jedynie cichy pisk.

– Nat? – miauknęłam, idąc powoli w tamtą stronę. Odpowiedział mi głuchy stuk, brzmiący jak uderzenie obcasa o posadzkę, i niezbyt głośne stęknięcie.

Nie miałam pojęcia, co ujrzę w ostatniej kabynie, choć mogłam się spodziewać, że nic dobrego.

– Kogo ja widzę? Anastazja Wilk... – powitał mnie z emfazą czarnoskóry mężczyzna.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że już go kiedyś widziałam, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Natasza znalazła się w poważnych opałach, a dokładnie rzecz ujmując – Natasza i ja. W końcu była moją ochroniarką. Mężczyzna szybko wybałał, gdzie Nat ma broń, wyjął mauzera z kabury i wsunął go z tyłu za pasek spodni.

W pierwszym momencie nie mogłam zrozumieć, dlaczego Natasza się nie

broni. Stała, a w zasadzie pólleżała plecami na torsie mężczyzny, a dłonie zwinięte w pięści trzymała dociśnięte do szyi. Nagle napastnik szarpnął nią, a Natasza natychmiast posiniała na twarzy. Dopiero teraz dostrzegłam dyskretny metalowy błysk przy szyi Nat.

– Brawo, zauważyłaś! – stwierdził z uznaniem mężczyzna i błysnął śnieżnobiałymi zębami. – To garota – oznajmił. – Twoja koleżanka na pewno wie, co to za broń, a ja dodam, że to struna z fortepianu. Tak, ja też jestem artystą – dodał nonszalancko.

– Uciekaj... – niemalże bezgłośnie przekazała mi Nat. Wytrzeszczone oczy i zsiniała twarz jasno wskazywały, że brakuje jej tlenu. – Uciekaj – powtórzyła.

Nawet gdybym chciała, nie dałabym rady. Stałam jak wmurowana. – *Leo, mamy problem! Ktoś napadł na Nataszę! Jeden napastnik, mężczyzna. Jesteśmy w toaletach na drugim piętrze, w lewym skrzydle budynku* – przekazałam błyskawicznie wiadomość. Wiedziałam, że przyprawiam mojego męża o zawał, ale jakie miałam wyjście? Tylko on mógł nam pomóc, o ile ktokolwiek mógł to zrobić w takiej sytuacji.

– Na parapecie leży strzykawka. Widzisz ją? – odezwał się mężczyzna.

– Strzykawka? – powtórzyłam odruchowo.

– Tak, leży z boku, wciśnięta pod ościeżnicę – sprecyzował. – A tak w ogóle, nie przedstawiłem się. Jestem Czwarty. Zabierz ją – polecił. – Ruszaj się! Chyba nie chcesz, żeby twojej przyjaciółce stało się coś złego?

Nagle przyszło mi do głowy, że Czwarty na pewno jest Wędrowcem. Czemu wcześniej na to nie wpadłam? Podeszłam do okna, szybko wyłuskałam strzykawkę z wąskiej szczeliny i wróciłam, trzymając ją przed sobą w wyciągniętej dłoni. To była bardzo mała strzykawka, zawierała tylko jeden mililitr bezbarwnego, ale bez wątpienia skutecznego płynu. Stawiałam na coś zwiotczającego mięśnie lub powodującego utratę przytomności.

– Doskonale – pochwalił mnie Czwarty i znów rozszerzył usta w uśmiechu. – A teraz kucniemy – rzekł do półprzytomnej Nataszy. Chwycił jej rękę i zapobiegawczo wykręcił do tyłu. Natasza klapnęła pośladkami na posadzkę, a Czwarty przykucnął za jej plecami. Niewiele brakowało, a oboje upadliby przy tej operacji.

– Zrób jej zastrzyk – polecił.

– Co to jest? – spytałam, grając na zwłokę. Choć zajęcia niedawno się zaczęły, liczyłam, że ktoś zechce skorzystać teraz z toalety i nam „przeszkodzi”. Marna to była pociecha, bo z tego, co wiedziałam, dzisiaj tylko trzy grupy miały wykłady na tym piętrze.

– Nie pytaj, tylko rób! – warknął Czwarty.

– Ale gdzie?

– Gdzie chcesz. Możesz przez spodnie. – Wyrażnie się niecierpliwił.

Zbliżyłam się powoli, przykucnęłam tuż przy stopach Nataszy i spojrzałam na Czwartego.

– Chodzi ci o Księgę, tak? – spytałam, starając się zachować spokój.

– Chodzi mi o życie twojej koleżanki. Jeszcze chwila i jej mózg zacznie obumierać. Chyba tego nie chcesz? – Musiał mocniej zacisnąć garotę, bo Nat znów jęknęła.

– Nie możesz jej zabić. Chyba wiesz, czym to grozi? – powiedziałam. – Sczeźniesz na zawsze.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Jeśli ją zabijesz, sam też zginiesz.

– Doprawdy? – Przymrużył oczy. Nagle usłyszałam jakiś hałas, spojrzałam w prawo, w stronę drzwi. Ktoś nadchodził. Energiczny stukot szpilek o posadzkę był coraz głośniejszy. – Nawet nie próbuj krzyczeć, bo... – Szarpnął garotę.

Wstrzymałam oddech, modląc się, żeby ten ktoś wszedł tutaj. Niestety, moje modły nie zostały wysłuchane. Byłam skazana tylko na siebie. Spojrzałam na Czwartego, tryumfował. Nagle poczułam mrowienie na karku. Moja intuicja zadziałała! Przypomniałam sobie, skąd znam twarz Czwartego. Jego oczy! Różniły się, jedno miało ciemny kolor, a drugie...

– Rób zastrzyk! – warknął.

Wiedziałam, że dalszy opór nie ma sensu, tak jak byłam prawie pewna, że zawartość strzykawki nie zabije Nataszy, tylko na chwilę wyłączy ją z gry. Nachyliłam się i odsunęłam nogawkę jej spodni, a wtedy kątem oka dostrzegłam, że Nat manipuluje palcami przy swoim pierścionku. Aż do teraz nie wiedziałam, dlaczego go nosi. Przecież ten pierścionek musiał być okropnie niewygodny. Płaskie, podłużne oczko, przypominające kształtem listek wierzby, obramowane z dwóch stron srebrnym paskiem, sięgało od środkowego stawu palca aż do knykcia. Właśnie zdałam sobie sprawę, że to broń, i w moim sercu pojawiła się nadzieja. Natasza zsunęła pierścionek, chcąc użyć go jako tajnego ostrza. Widziałam, że jest osłabiona, musiałam ułatwić jej atak. Uniosłam głowę, popatrzyłam na Czwartego i wrzasnęłam mentalnie: – *Jesteś z Habbatum!*

To wystarczyło. Drgnął, a w tym samym momencie Natasza ostatkiem sił machnęła lewą ręką za siebie, trafiając ostrzem w twarz Czwartego. Tajna broń wbiła się do połowy, a Czwarty puścił rękę Nataszy i odruchowo przystawił dłoń do zranionego policzka.

– Aaa! – wrzasnął. Liczyłam, że popuści garotę, ale zacisnął ją jeszcze mocniej.

– Nie! – krzyknęłam, widząc, jak oczy Nat ostatni raz błyskają białkami, gdy nagle nadeszło wybawienie, a właściwie – madame Fouquet.

Jej wysoki i piskliwy głos ze specyficznym akcentem poznałam od razu. Potem wypadki potoczyły się jak w sensacyjnym filmie, puszczone

w przyspieszonym tempie. Czwarty puścił garotę, wyskoczył jak sprężyna zza pleców Nataszy i tylko jakimś cudem nie wpadł jedną nogą do muszli. Prawie po mnie przebiegł, ewakuując się z kabiny. Wywróciłam się na plecy. Kurczowo trzymając pasek torby, patrzyłam, jak Czwarty wpada na madame Henriette, potrąca ją i wybiega z łazienki niczym diabeł tasmański.

– Co tu się wyprawia?! – wykrzyknęła poruszona madame. Potarła stłuczone ramię i spojrzała za siebie.

Wiedziałam, że gdy zobaczy poturbowaną Nataszę, zrobi się straszna afera. Czym prędzej wstałam i zamknęłamabinę od środka.

– Kto tam jest?! – Madame zastukała do drzwi.

– To ja, Anna Black – przyznałam się bez namysłu. Mogłam skłamać, ale co, jeśli madame czekałaby, aż wyjdę?

– A ten młody człowiek, który przed chwilą prawie mnie staranował? Co tam robiliście?! – Ton jej głosu zabrzmiał bardzo nieprzyjaźnie.

– Nic! Korzystałam tylko z toalety.

– A ten młodzieniec zdejmował ci *dessous*? – zakpiła.

– Przepraszam – bąknęłam skruszona.

– Oj, nie wróżę ci przyszłości na tej uczelni, może w branży filmów erotycznych byłabyś lepsza. A szanownemu małżonkowi serdecznie współczuję.

„To mam przerąbane” – westchnęłam w duchu. Usłyszałam, jak wchodzi do sąsiedniej kabiny, a po chwili dotarł do mnie cichy szelest *dessous* mojej pani profesor. Zerknęłam na Nataszę. Powoli dochodziła do siebie. Na szczęście nie oddychała już tak ciężko jak na początku, ale i tak bałam się, że madame ją usłyszy, więc co jakiś czas pokastywałam.

– Masz astmę? – padło zza ścianki.

– Alergię.

– Naprawdę?

– Tak. Na pyłki.

– Teraz wszyscy mają alergię – sapnęła. – Powinnaś iść do lekarza, a nie uprawiać przygodny seks w toalecie. A może to na tego młodzieńca masz uczulenie? – zaśmiała się. Znow coś zaszeleściło, a po chwili madame spuściła wodę i wyszła z kabiny.

Wykorzystałam ten moment i pomogłam wstać Nataszy. Opuściłam deskę, żeby usiadła. Wyglądała kiepsko, była blada jak trup, a nad jej górną wargą skroplił się pot. Na dodatek struna zraniła ją w kilku miejscach i cały kołnierzyk bluzki ubrudził się krwią. Natasza spojrzała na podajnik papieru, czym prędzej odwinęłam spory kawałek i podałam jej, żeby się otarła.

Madame myła ręce, woda szumiała, a ja próbowałam pomóc Nat zamaskować ślady po napaści. Rozpięłam kołnierzyk koszuli i podwinęłam go pod spód, żeby skryć czerwone plamki, za to ten od zakietu postawiłam wysoko. Dałam

jej znak wzrokiem, że wygląda to całkiem nieźle. Nagle przypomniałam sobie o Leo, czym prędzej nadałam drugą wiadomość: – *Już w porządku! Jesteśmy bezpieczne! Czekamy w łazience, za chwilę powinniśmy wyjść. Napastnik uciekł. Jeśli go widziałeś i masz możliwość, leć za nim, nie strać go z oczu! Już wiem, kim on jest! To Wędrowiec z Habbatum! Mówi o sobie Czwarty, to on spotkał się z Edną, rozpoznałam go! To człowiek z portretu pamięciowego. Ma różne kolory tęczęwek!*

– I co tam robisz tak długo? – spytała madame. Przewróciłam oczami, myśląc, że jeszcze chwila, a wyskoczę z kabiny i uduśzę moją nauczycielkę skrawkiem wełny z merynosów.

– Mam zatwardzenie – mruknęłam.

– Chyba miłosną sraczkę! – wypaliła pani profesor. Niewiele brakowało, żeby Natasza, która już całkiem doszła do siebie, ryknęła śmiechem. Skuliła się i przycisnęła pięść do ust. – Swoją drogą, to absolutnie karygodne, żeby toaleta dla personelu była stale nieczynna. Wiecznie coś nie działa – perorowała. Jej przenikliwy głos odbijał się od glazury i wracał do nas zwielokrotniony niczym w muszli koncertowej.

– To naprawdę karygodne – mruknęłam, żeby madame nie pomyślała, że jestem źle wychowana. Spojrzałam porozumiewawczo na Nataszę i uniosłam dwa kciuki. Gdyby nie awaria toalety, nie wiadomo, co by się z nami stało.

– Cóż, droga pani Black. Możesz nie wracać na zajęcia. Wpisuję ci dzisiaj nieobecność i módl się, żebym szybko zapomniała o tym incydencie.

– Dziękuję, pani profesor, i jeszcze raz przepraszam – bąknęłam, wznosząc oczy ku niebu, żeby wreszcie sobie poszła i dała mi spokój.

W końcu madame opuściła łazienkę. Kucnęłam, żeby móc kontrolować, czy ktoś nie wchodzi do środka. Odczekałam dwie minuty i dopiero wtedy Nat oznajmiła, że można bezpiecznie wyjść. Ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz.

– Czysto – powiedziałam, zerkając to na Nataszę, to na drzwi.

Nat podniosła garotę, fachowym okiem oceniła dosyć prostą konstrukcję, czyli drut plus specjalny zacisk, zwinęła ją w kłębek i wsadziła do kieszeni spodni.

– Zabierz to. – Wskazała strzykawkę, która leżała porzucona na posadzce. Musiałam ją upuścić, gdy Czwarty salwował się ucieczką. Dobrze, że nie zdjęłam ochronnej nasadki z igły. Kto wie, czy w całym tym zamieszaniu nie wbiłaby się tam, gdzie nie trzeba.

– Jak myślisz, zauważyła? – zaniepokoiłam się, bo strzykawka leżała dosyć blisko ścianki działowej między kabinami.

– Nie sędzę, a nawet jeśli, nic jej do tego.

– Zawsze mogę powiedzieć, że mam cukrzycę, a to była insulina – stwierdziłam, chowając strzykawkę do torby.

– Taa... – Natasza pokręciła głową i od razu syknęła z bólu. – Cukrzyca,

alergia i sraczka. – Wstała i kilka razy przeciągnęła się jak kot. Poprawiła pierścionek i fuknęła na mnie:

– Chciałaś siku.

– Przeszło mi. Z wrazenia wszystko wypociłam. – Spojrzałam krytycznie na plamy pod pachami.

– Mnie też przeszło – powiedziała i kaszlnęła kilka razy w kułak. Wyglądała nieźle, musiałam przyznać. Jej twarz przybrała normalny odcień, jedynie czerwień spojówek zdradzała, że Czwarty nie był zbyt delikatny. Złapała mnie za łokieć i popchnęła lekko. – Módl się, żeby ten gnój nie wszedł nam ponownie w drogę.

Chciałam zadzwonić do Leo, ale Natasza nie pozwoliła. Wzięła mnie za rękę i szybko opuściliśmy budynek akademii. W zasadzie można śmiało rzec, że pobiłam osobisty rekord, biegiem pokonując korytarz, później schody, kolejny korytarz, wielki okrągły hol i na koniec dystans między drzwiami uczelni a samochodem Nataszy. Wpakowała mnie do środka, wsiadła i cyknęła pilota, żeby zamknęły się wszystkie zamki. Znów wyciągnęłam telefon, ale Nat wyrwała mi go z rąk i wskazała brodą na samochód, który zaparkował tuż obok.

– Leo! – pisnęłam. Chciałam do niego pobiec, bo nagle stres gdzieś zniknął, za to poczułam pieczenie pod powiekami, ale Nat za żadne skarby nie chciała mnie wypuścić.

– Poczekaj – warknęła cicho. Uchyliła okno i powiedziała do Leo: – Wsiadaj z tyłu.

– Anno, kochanie, nic ci nie jest?! – rzucił, ledwie zajął miejsce. Natychmiast wsunęłam się w lukę między przednimi siedzeniami, a Leo przytulił mnie niezgrabnie. – Tak strasznie się martwiłem – wykrztusił, głaszcząc moje włosy i raz po raz całując, a to w policzek, a to w czoło.

– Ej! – krzyknęła Natasza. – Dość tych czułości.

Spojrzałam na nią. Nie zauważyłam, kiedy i skąd zdążyła wyjąć tajemnicze urządzenie, przypominające krótkofalówkę. Już miałam spytać, co to, ale Nat przycisnęła palec do ust. Popatrzyła na mnie i zaczęła przykładać to coś do mojego ciała. Gdy urządzenie zbliżyło się do torby, zamigotała czerwona lampka. Nat dała mi znak, że mam zdjąć torbę. Zerknęłam na Leo, pokiwał głową, więc podałam torbę Nataszy. Ta przez chwilę bacznie ją oglądała i miętoszyła, a po kilku sekundach jej oczy błysnęły, a z ust padł cichy, pełen satysfakcji pomruk:

– Mam cię.

Wyjęła z kieszeni szwajcarski scyzoryk i wydłubała coś spomiędzy małej fałdki skóry tuż przy dnie torby. Pokazała nam to maleństwo, wyglądające jak ziarnko ziela angielskiego, i bezgłośnie przekazała, że to podsłuch. Uważnie go pooglądała, po czym poszperała chwilę w schowku nad głową, by znaleźć paczkę gum do żucia. Ściągnęła z jednej z nich metaliczne złotko i zawinęła w nie pluskwę.

– Ktoś mnie podsłuchiwał? – spytałam, gdy tylko Natasza zmiażdżyła kulkę

kluczem francuskim. Swoją drogą, w jej land roverze było więcej narzędzi niż w sklepie sieci Halfords.

– A co myślałaś? Że ten czarnuch to jasnowidz i przewidział, że idziesz siusiu? – fuknęła, sprawdzając, czy pluskwa została definitywnie zniszczona. – Choć kto was tam wie? Poczekaj, jeszcze raz sprawdzę. – Znow u uruchomiła wykrywacz podsłuchu, ale tym razem żadna z lampek się nie zaświeciła. – W porządku. Czysto. Dobra, to teraz sobie pogadamy... – mruknęła pod nosem. Schowała wszystko do przepastnego schowka w drzwiach i spojrzała na nas bykiem.

– Kto ją założył? – spytał Leo.

– Pluskwę? Ktoś, z kim się stykała nasza królowa – prychnęła wzgardliwie Natasza. – Łazi wszędzie z tą torbą, widocznie ktoś był sprytny i wykorzystał moment.

– Pewnie to jakaś moja koleżanka z grupy. – Zagryzłam usta, myśląc, czy to aby nie Aurora. To z nią siedziałam na większości zajęć i – co uświadomiłam sobie dopiero teraz – zawsze zajmowała miejsce po prawej stronie, tam gdzie trzymałam torbę.

– Nieważne. – Nat machnęła ręką. – To była samoprzylepna pluskwa. Wystarczy, że ktoś stał blisko ciebie, żeby z łatwością ją zamontować.

– Podsłuchiwali nas, Leo... – Spojrzałam na niego spanikowana. – Mogli nas podsłuchiwać w domu, wszędzie, gdzie byłam, bo przecież torbę mam zawsze przy sobie.

– No masz! – Natasza przewróciła oczami. – Teraz histeryzuje... – sarknęła. – Nie płacz. Takie pluskwy mają słaby zasięg i krótką żywotność.

– Aha – bąknęłam z ulgą.

– Gnój ukradł mi gnata – powiedziała Natasza. – Ulubionego gnata, pamiątkę po starym. Nie daruję. – Zaciśnęła usta w wąską linijkę.

– Przyjaciel go tropi, może się uda odzyskać – odpowiedział po krótkim zawahaniu Leo.

– Thor? – zapytałam, a Leo natychmiast przytaknął.

– Słuchajcie... – zaczęła. Skrzyżowała palce i wyciągnęła przed siebie dłonie, aż chrupnęły wszystkie kostki. – Trzy lata temu ochraniałam pewnego fajansa, który był kimś wysoko postawionym u scjentologów. Płacił nieźle, ale ty płacisz trzy razy lepiej. – Wskazała na Leo. – Lubię ryzyko i nie mam do ciebie pretensji o gnata, robota dla sekciarzy też nie jest mi obca, ale bez jaj! – W jednej chwili się rozsierdziła. Wycelowała w moją stronę wskazujący palec i wypaliła: – Posłuchaj, idiotko! Jak mówię, że masz uciekać, to znaczy, że masz spieprzać, a nie wdawać się w pogawędki z napastnikiem! Czego cię uczyłam? Mówię „znikaj”, to znikasz. Jeśli w budynku jest alarm przeciwpożarowy, rozwalasz szybkę i spieprzasz w podskokach, po drodze dzwoniąc na alarmowy i wrzeszcząc, że

wybuchł pożar, a nie bawisz się w mojego bodyguarda! Co to w ogóle miało być?! – warknęła, wyrzucając w górę obie ręce. – Jakieś pitolenie o książkach? Bibliofilka się znalazła! – Natasza bezsilnie walnęła pięścią w kierownicę.

Spojrzałam na Leo. Cóż, wyraz jego twarzy nic mi nie mówił. Ambiwalencja w czystej postaci. Pewnie był wściekły, że drugi raz nie posłuchałam Nataszy, ale nie miał odwagi otwarcie na mnie naskoczyć.

– Swoją drogą, skąd wiedziałeś, że ja i twoja królowna mamy malutki problemik? – Zerknęła na Leo spod przymrużonych powiek. – Ech! – Machnęła ręką. – Lepiej nic nie mów, mam to w dupie. Już dawno stwierdziłam, że coś z wami jest mocno nie tak, ale nie w tym rzecz. Wiesz, jaki jest twój problem? – ponownie zwróciła się do mnie. – Nikt cię nie ochroni, bo największym zagrożeniem dla siebie jesteś ty sama. Proponuję nająć ośmiu byłych agentów Secret Service, kupić ci wdzianko z kevlaru, a najlepiej ubezwłasnowolnić, zakneblować i zamknąć.

– Bez przesady – zachnął się Leo. Widocznie uznał, że czas stanąć w mojej obronie. – Pozwolisz, że nie skorzystam z twoich rad.

– Ani z rad, ani z usług – wypaliła. – I nie chodzi mi o siebie. Jeszcze nie widziałam takiej głupoty i zbędnej brawury. Anna jest narowista jak źrebię i brakuje jej jakiegokolwiek dyscypliny. Nie da się skutecznie chronić takiej osoby. Rozumiesz?

Leo spojrzał na mnie i prawie niezauważalnie westchnął.

– Przepraszam – powiedziałam, postanawiając włączyć się do rozmowy prowadzonej, jakbym była kompletną idiotką. – Po prostu uznałam, że...

– O! – Natasza podniosła głos. – Właśnie o to mi chodzi! Ona uznała, że coś tam. Że wie lepiej, co trzeba zrobić i jak się zachować. Takiej osoby nie da się chronić efektywnie, dlatego żałuję, ale kończymy współpracę. Tym razem definitywnie.

– Skoro żałujesz, może dasz się przekonać? – Leo obdarzył Nataszę najpiękniejszym ze swoich filmowych uśmiechów. – Podwoję stawkę, przedyskutujemy pewne kwestie z Anną, a jeśli uważasz, że moja żona powinna mieć kilku ochroniarzy, może najmiemy twojego brata?

– Igora? – Nat wybałuszyła oczy, a potem ryknęła niepohamowanym śmiechem. – Już wtedy, w Zhangmu, urwałby jej głowę za niesubordynację. Uwierz mi, Igor jest bardzo nerwowy. Dobra, koniec tej głupiej gadki. Odwożę królowną do domu, a potem róbcie, co chcecie, byle nie ze mną.

– Dopłacę ci, bo...

– Nic nie musisz dopłacać. Masz to w cenie – przerwała mu i dotknęła szyi, na której utworzyły się już strupki zaschniętej krwi.

– Przemyśl moją propozycję – odparł Leo, ale Nat pokręciła głową. – Pojadę za wami. – Dotknął krzepiąco mojego ramienia.

Miałam ochotę powiedzieć, że chcę z nim wrócić, ale byłam pewna, że ani Leo, ani Natasza się na to nie zgodzą. Jej samochód był wyposażony w kuloodporne szyby i znacznie bezpieczniejszy. Leo wysiadł i pomachał mi przez okno.

– Zapnij pas – burknęła Nat.

– Przepraszam, ale przecież... – Chciałam się jakoś wytłumaczyć.

– Posłuchaj – nie pozwoliła mi dokończyć. Uruchomiła silnik i spojrzała we wsteczne lusterko. – Osobiście to ja cię nawet trochę lubię, przynajmniej nie papłasz bezustannie jak niektóre kretynki celebrytki, ale klientką jesteś koszmarną. Jeszcze nie widziałam takiego chojraka. Jesteś nieśmiertelna? – spytała, czujnie rozglądając się na boki, bo wyjeżdżałyśmy z parkingu.

– A co, jeśli tak? – odpowiedziałam żartobliwym tonem.

– Jeśli tak, ochrona ci niepotrzebna – prychnęła.

Do końca drogi w ogóle nie rozmawiałyśmy. Dopiero gdy Natasza wjechała na osiedlowy parking i wyłączyła silnik, spojrzała na mnie.

– Dajcie zawartość strzykawki do analizy i jak będziecie mieć wynik, prosiłabym o kopię.

– A po co?

– Żeby wiedzieć, czym chciał mnie załatwić ten koleś.

– Dobrze.

Natasza wysiadła i zaprowadziła mnie pod drzwi apartamentu.

– To ja się pożegnam.

– Nie poczekaś na Leo?

– Nie jestem sentymentalna. No to trzymaj się. – Wyciągnęła rękę.

– Do zobaczenia – odpowiedziałam.

– Ech... – zaśmiała się pod nosem. Klepnęła mnie w ramię, a po chwili zniknęła w drzwiach windy.

Rozdział 20

Dylemat Leo

Jadłem szybki lunch, gdy Anna przekazała mi wiadomość. Zamówiony przez Angelę łosoś na parze stanął mi w gardle okoniem. W pierwszej chwili chciałem zadzwonić do Anny, by po sekundzie zdać sobie sprawę, że i tak nie odbierze, później rozważyłem telefon do Alana, ale nie miałem pojęcia, gdzie w tym momencie go złapię, ostatecznie rzuciłem sztucę, porwałem z biurka portfel, telefon i pilota do samochodu i wybiegłem z agencji na złamanie karku, przy okazji potrącając biedną Wiktorię, która właśnie wracała z poczty.

Mało brakowało, a wziąłbym na maskę jaguara jakieś dwie gówniary. Zamiast siedzieć w szkole, koczowały z plecakami przy bramie wjazdowej. Poznały mój samochód i rzuciły się jak obłąkane, trzymając w dłoniach notesiki. Ale to ja sam tak je rozpuściłem. Bywało, że miałem trochę więcej czasu, wtedy zatrzymywałem samochód, opuszczałem szybę i pozwalałem, żeby fanki zrobiły sobie krzywe selfie z moją facją. Lecz nie dzisiaj, na Boga! Nacisnąłem klakson, jedna z dziewczyn prawie wywinęła orła, gwałtownie odskakując, a druga rzuciła mi najbardziej mroczne spojrzenie, jakim może obdarzyć pulchna i sympatyczna czternastolatka.

Wyjechałem na główną ulicę i połączyłem się z Thorem. Odebrał dopiero po drugiej próbie.

– Gdzie ta akademia? – spytał, a mnie prawie trafił szlag, gdy usłyszałem, że ziewa. Chodziło o życie Anny!

– Gower Street! Anna jest w starym budynku, lewe skrzydło, drugie piętro, toalety na końcu korytarza! Jak sytuacja wymknie się spod kontroli, dzwoń do Alana! – krzyczałem, choć Thor na pewno doskonale mnie słyszał. – Jadę tam! Będę najpóźniej za dziesięć minut!

Tak...

Pobożne życzenia. Moje i nawigacji.

Stałem w korku, nerwowo bębniąc palcami po kierownicy. Czułem, jak pot spływa mi po plecach, a w głowie rozszalały się najczarniejsze scenariusze. I wtedy przyszła druga wiadomość od Anny, a ja, jak ten ostatni cymbał, znów wybrałem numer Thora...

– Kpie, masz farta, że Began tak cię lubi – powitał mnie nazajutrz Thor. – Inaczej bym ci wklepał.

Wiedziałem, że skrewiłem na całej linii. Przecież było jasne, że Thor poleci za napastnikiem, skoro wiedział, że dziewczyny są bezpieczne. Nie pomyślałem; to był impuls. Zadzwoniłem, żeby mu powiedzieć, że ma śledzić tego gnoja. Dzwonek telefonu ściągnął Thora do ciała. Zanim Theodor opanował wściekły ból

głowy i wrócił na miejsce, tajemniczy Czwarty zdążył wpaść na stację metra na Goodge Street, tam wmieszał się w tłum podróżnych i tyle go widzieliśmy na nagraniach z kamer, które jak zwykle załatwiła nieoceniona Rebecca.

– Uwierz, najchętniej sam bym sobie wklepał – powiedziałem.

Przyjechałem z Anną, choć wcale nie miałem na to ochoty. Stwierdziła jednak, że mamy kilka dni spokoju i teraz na pewno nikt jej nie zaatakuje. Dzieciaki zostały z potrójną obstawą, czyli prawdziwym sabatem: Julią, Brygidą i Wandą. Tym trzem dzielnym Polkom nikt by się nie postawił, przynajmniej o to byłem spokojny. Weszliśmy do saloniku braci Barrow. Alisha już na nas czekała, powiadomiona przez gospodarza o pilnym zebraniu i szczegółowo wprowadzona we wczorajsze wydarzenia. Wyglądała nieciekawie: podkrążone oczy plus opuszczone w dół kąciki ust. Ją też musiała przygnębić ta sytuacja, chociaż ja czułem coś innego. Byłem bezgranicznie wściekły i najchętniej rozładowałbym ten gniew na kimś, kto z nią mieszkał. Ten dupek grał w tej samej drużynie co Czwarty.

– No dobra, jakieś pomysły? – zapytał Thor, ustawiając na stoliku nieśmiertelną plastikową tacę w chryzantemy i pstre esy-floresy. Zdjął ostrożnie dzbanek z herbatą, potem filiżanki i miseczkę z herbatnikami i uśmiechnął się w bliżej nieokreślonym kierunku. Tym razem padło chyba na Annę.

– Szczerze? – zapytałem, podnosząc dzbanek. – Najchętniej zniszczyłbym tę przekłętą Księżę już dzisiaj – warknąłem, od razu trwożnie zerkając na Annę. Oczywiście się nie zawiodłem. Docisnęła torbę do piersi i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Może ją gdzieś ukryć? – zaproponowała nieśmiało Alisha.

– Niby gdzie?

– Nie wiem. W jakimś sejfie – odpowiedziała na moje pytanie zadane bardzo napastliwym tonem. – W bankach są sejfy. Zdeponować tam Księżę i już.

– Powiedz to mojej żonie – warknąłem.

– Strony zaczną zanikać – zaoponowała natychmiast Anna i powiodła po nas wzrokiem, szukając wsparcia.

– I co z tego? – zachnąłem się. – Niech znikają. Same głupoty w tej Księżce. – Wzgardliwie wydałem usta. Anna nie wytrzymała i szturchnęła mnie w ramię. – A nie jest tak? – Czułem, że jesteśmy bliscy pierwszej małżeńskiej kłótni. – Czytasz, tłumaczysz nam, interpretujesz, a co z tego wynika? Jak na razie same nerwy i straty. Przez to cholerstwo straciłem najlepszego przyjaciela!

– Leo, uważam, że przeholowałaś – oznajmiła Anna. – *Zważaj na słowa, tu jest Alisha i na pewno jest jej przykro, gdy tak mówisz* – dodała. Poczulem się jak ostatni dupek i przepaszająco spojrzałem na Alishę. Mimo wszystko to ona poniosła największą stratę i jak na razie nie było widoków, żeby ją naprawić.

– Chodzi mi o to, że członkowie Habbatum będą dotąd nas prześladować,

dopóki nie dostaną tego, na czym im zależy – powiedziałem. – Chcą Księgi, więc może im ją dajmy? – zaproponowałem, optymistycznie zakładając, że pozostali mi przyklasną. Niestety, srodze się zawiodłem.

– Dobrze wiesz, że nic im nie przyjdzie z samej Księgi. – Thor nawijał dreda na palec wskazujący. – Dorwą Księgę, a potem dopadną panią tłumacz. Mają tyle możliwości. Już pał lichy, gdy kolejny raz spróbują uprowadzić dzieciaki, w końcu są nieśmiertelne...

– Thor! – Tym razem to Anna nie zdzierżyła. – Co z tego, że się narodzą na nowo? Przecież to nasze dzieci!

– Teraz pomyśl, jak byś się o nie trzęsła, mając świadomość, że się jednak nie narodzą powtórnie. Że umierają i koniec. *Game over, szlus, hasta la vista, baby.* Nie ma. Znikają jak zwykli ludzie. Co wtedy?

– Nie będę rozmyślać nad czymś, czego nie ma – fuknęła Anna.

– Nie ma? – Thor zacisnął na moment szczęki. – A twoja matka? Rodzice Leo, a w końcu moja Began czy nawet ten cep, mój brat? Nie pomyślałaś o nich?! Jak myślisz, to taki problem nas zaszantażować? Już wiemy, że ta przeklęta zbieranina spod znaku Habbatum liczy sobie co najmniej sześciu członków.

– Sześciu? – Zmarszczyłem czoło.

– Brian, Jack i ta czwórka. – Thor wystawił kciuk w prawej ręce i wszystkie palce w drugiej. – To razem sześć? Czy mam zadzwonić po Began, żeby policzyła? – warknął.

Byłem w szoku, bo jeszcze nigdy nie widziałem Thora równie wściekłego. Ba! Nigdy nie widziałem, żeby choć trochę się denerwował. A dzisiaj? Niewiele brakowało, a toczyłby pianę z ust. Zaciskał zęby, jego policzek co chwilę przeszywał mocny skurcz.

– Thor, co jest grane? – Zaniepokoiłem się.

– Began... – Głośno westchnął i bezwiednie potarł twarz.

– Co z nią?! – Szybko przesiadłem się na fotel obok Thora.

– Na razie nic. – Obrócił twarz w moją stronę. Mógłbym przysiąc, że coś błysnęło w jego niewidzących oczach. – Ktoś włamał się do jej komputera.

– Co?! – padło równocześnie z ust Anny i moich. Nawet Alisha wybałuszyła oczy.

– Przecież Began... – zaczęła Anna, ale Thor przerwał jej ruchem ręki.

– Średnia długość życia osób z ZD to czterdzieści dziewięć lat. Ktoś przygotował animację z prawdziwą datą urodzenia Began i przewidywaną datą śmierci. Wstawił licznik. Z każdą godziną ubywa jej dzień życia. Ten ktoś napisał, że dopóki nie oddamy Księgi, każda godzina liczy się jak doba. Podpisał się jako Pierwszy – oznajmił beznamiętnie Thor.

– Ale że jak? – Potrząsnąłem głową, bo nie mogłem zrozumieć tego, co mówi.

– Beka ma dwadzieścia cztery lata. Zostało jej dwadzieścia pięć lat życia, ale jeśli nie odzyskają Księgi w ciągu trzystu osiemdziesięciu dni, ona umrze.

– Przestań! – Anna przycisnęła dłoń do ust. – To trzeba zgłosić na policję!

– Ty przestań – odwarknął Thor. – Oni złamali najlepsze zabezpieczenia, jakie wymyślono. Nie ma lepszych! Policja? Chyba kpisz. – Parsknął pod nosem.

– Kiedy Rebecca to dostała? – spytałem.

– Wczoraj, ale przyznała się dopiero dziś rano. Na dodatek ten syf za cholerę nie da się usunąć – wykrztusił Thor. – Infekcja na amen. Jeszcze nie widziałem czegoś takiego. Uruchamia się samoistnie, co godzinę wyskakuje czerwony migający napis z licznikiem dni.

– Boże... – jęknęła Anna.

– Bóg nam nie pomoże – powiedział Thor. – Jestem prawie pewny, że ta wczorajsza akcja była tylko po to, żeby cię nastraszyć. Gdyby chcieli, już dawno mieliby cię w swoich łapach.

– Oddajmy im Księgę. Może przestaną nas nękać? – odezwała się Alisha. – Anna może im przekazać mentalnie naszą propozycję. Damy im Księgę, a w zamian za to oni przysięgną, że...

– Lalka, czy ty wiesz, o kim mowa? – Thor uderzył dłońmi o uda. – To nie pieprzona Izba Lordów czy Elżbieta Regina, żeby przysięgali, że dotrzymają słowa. Wezmą Księgę, a za tydzień przydrałują po tłumacza. I tyle.

– To co? Nie można nic zrobić? – wychrypiałem, przerażony perspektywą utraty Anny.

– Można. Macie demencję czy jak?! – Thor zerwał się z fotela, przy okazji zrzucając kolanem tacę. – Pewnie, że można. Zbieramy się w dziewiątkę plus Księga i już, po problemie. – Pstryknął palcami.

– Nie można zmieniać przyszłości – powiedziała cicho, niemalże szeptem, Alisha.

– Chwilunia – wycedził Thor. – Z tego, co wiem, mieszkacie razem jak para. Jeśli jeszcze nie przeszliście do kolejnego etapu waszej zażyłości, proponuję się pospieszyć. Ślub cywilny można załatwić w kilka dni, a noc poślubną nawet dzisiaj.

– Thor... – Anna pokręciła głową, widząc, że Alisha zagryzła wargę aż do krwi. – Nawet gdybyśmy chcieli tak zrobić, nie ma nas tylu, więc przestańmy o tym mówić. Trzeba znaleźć inne rozwiązanie.

– Tylu? A co to za problem odszukać jeszcze trzech? Chyba zatrudnię się jako księgowy – westchnął. Zaczął wyliczać, wystawiając palce: – Leo i Anna, Alisha, ja, Bambo numer jeden i Bambo numer dwa. To razem sześć. O! Druga szóstka! Jeszcze jedna i będzie „sześć sześć sześć”. Znak szatana. – Przystawił dłonie do skroni, udając, że ma rogi.

– Uspokój się – powiedziałem stanowczo. – Siadaj. Musimy pomyśleć.

– Posłuchaj. – Stanął przede mną. Jego oczy błyskały białkami, aż robiło się niedobrze. – Możecie uznać mnie za egoistę, za psychopatę czy jak tam sobie chcecie, ale tu nie ma innej opcji. Wiecie, co to dylemat wagonika? – zapytał, wcale nie czekając na naszą odpowiedź. – W skrócie: mamy rozpędzony wagonik. Na jego drodze jest pięciu ludzi przywiązanych do torów, ale można przestawić zwrotnicę i skierować wagonik na drugi tor, do którego przywiązany jest jeden człowiek. Co powinniśmy zrobić? Jeden człowiek przeciw pięciu. I to naszych bliskich! – krzyknął z rozpaczą. – Nie pozwolę, żeby zrobili krzywdę Began. Nie pozwolę! – Nagle ugięły się pod nim kolana i Thor uklęknął. Wsparł czoło o podłogę i tak został.

– Gdzie jest Rebecca? – Zaniepokoiłem się martwą ciszą, która zapanowała.

– Rodzice po nią przyjechali, gdy tylko pokazała mi ten komunikat. Prosiłem, żeby ją zabrali i na razie nie pozwalali jej nigdzie wychodzić. Bo co ja mogę? – Podniósł głowę. Miał twarz zalaną łzami. – Kocham ją, ale jestem ślepy. Nie ochronię jej...

– Głosujmy – oznajmiłem twardo. – Kto jest za pomysłem Thora, niech podniesie rękę.

– Niech zgadnę, nikt nie podniósł prócz mnie? – zapytał, przysiadając na piętach. Otarł łzę niecierpliwym gestem.

– Ja jestem przeciw – powiedziała Alisha.

– Ja się wstrzymuję – dodała po namyśle Anna.

– Wygrałem? – Thor, gdyby mógł na mnie spojrzeć z nadzieją, na pewno by to zrobił.

– Masz mój głos – odparłem.

– To za mało?

– Nie wiem...

Alisha – Epizod 9

– Musimy porozmawiać – mówię, opierając biodro o biurko. Brian odrywa wzrok od laptopa i patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Napijesz się kawy? – pyta.

– Zrobię – oferuję się.

Szybko opuszczam gabinet i idę do kuchni. Muszę czymś zająć ręce, a może ta mała przysługa, którą mogę wyświadczyć Brianowi, sprawi, że będzie mi łatwiej przekazać mu to wszystko?

Stawiam cukierniczkę przy kubku z kawą. Brian lubi bardzo słodką: trzy kopiaste łyżeczki cukru trzcinowego. Nabieram pierwszą łyżeczkę, a wtedy brązowe kryształki rozsypują się na blacie. Nie zauważyłam, kiedy Brian wszedł do kuchni, więc gdy za mną staje i rzuca cicho: „Zostaw, później posprzątam” – podskakuję nerwowo. Brian słodzi kawę, zabiera kubek i wzrokiem daje mi znać, że mam iść za nim. W salonie sadza mnie na kanapie, a sam siada w fotelu

naprzeciwno. Przez chwilę milczy. Dmucha na parujące lustro płynu i co jakiś czas upija malutki łyżeczek. Lubi gorącą kawę. Za to herbata może wystygnąć, a Brian i tak wypije ją do końca.

– Po prostu mi powiedz – zagaja spokojnie. – Opowiedz wszystko.

Nie potrafię otworzyć ust. Zaciskam je, chcąc powstrzymać słowa. Jak mam przekazać Brianowi, że oczekujemy jego ofiary? Bo to przecież jest ofiara. Nic innego. Weźmy przykład wagonika – Brian nie dość, że zginie pod jego kołami, to sam przestawi zwrotnicę, pomagając nam odnaleźć trzech Wędrowców z plemienia Eperu.

– Nie będę czekał w nieskończoność – mówi, odstawiając pusty kubek. – Mam pracę.

Biorę głęboki wdech i z trudem zaczynam referować, co przydarzyło się Annie i Rebecce. Akurat to jest w miarę proste, więc nie szczędzę detali, ale nie na tyle proste, żebym mogła patrzeć Brianowi w oczy. Błądzą wzrokiem po pokoju, zerkam na złożone na kolanach dłonie i uciekam spojrzeniem, bo wiem, że za chwilę będę musiała powiedzieć mu o tym, co przed nim zataiłam. Przekażę mu, jak w prosty sposób dziewięciu Wędrowców z plemienia Eperu może zgładzić dziewięciu członków Habbatum i jak wypadły wyniki głosowania.

Kiedyś musiała nastąpić ta chwila, ale ku mojemu zdziwieniu Brian wysłuchał wszystkiego ze stoickim spokojem. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy powiedziałam, że Leo kazał nam głosować, czy poświęcić istnienie jednego Wędrowca, żeby inni mogli żyć w spokoju.

– Dziękuję – mówi cicho Brian.

– Za co?

– Za to, że byłaś przeciw. Bardzo miło z twojej strony.

– Miło? – prawie się krztuszę, gdy powtarzam to słowo.

Nie chciałam być miła, na litość! Chciałam i chcę go ocalić, uratować przed czymś, czego kiedyś bardzo pragnął. A co, jeśli nadal tego pragnie? Właśnie dałam mu do ręki oręż, żeby tak się stało.

– Ja mam podjąć decyzję? – pyta.

– Leo uznał, że tak będzie dobrze i sprawiedliwie.

– Cóż za szlachetność... – Brian parska pod nosem. – Skoro Leo tak zdecydował i to mnie dał wybór, zgadzam się – oznajmia. – Możesz mu to przekazać. – Brian pociera dłonie o uda i wstaje. – Macie jakiś plan? Oczekiwania co do mojej skromnej osoby? – pyta, ale ja milczę.

Nie mogę przetrwać, że tak łatwo i szybko się zgodził. Właśnie zyskałam pewność, że Brian mnie nie kocha i nigdy nie pokocha, bo zapomniał o mnie. Nawet nie spytał, czemu byłam przeciwna takiemu rozwiązaniu i co o tym myślę.

– Zadzwoń do Leo – mówię, sięgając po telefon. Rozmowa trwa niecałą minutę i dobrze, bo gdy odkładam komórkę, mam wrażenie, że coś zamroziło mnie

od środka na kamień. Leo przyjął do wiadomości decyzję Briana i przypomniał o naszej prośbie o pomoc.

– Powiedział, że to bardzo wspaniałomyślne z twojej strony i że docenia twoją odwagę – kłamię, bo Leo nic takiego nie mówił.

– Coś jeszcze, prawda? – Brian wraca na fotel, ale tym razem przysuwa się z nim bliżej. Nasze kolana stykają się ze sobą, a ciepłe męskie dłonie otulają moje. Mam wrażenie, że skóra Briana jest tak gorąca jak przed chwilą jego kawa. – Musicie odnaleźć trzech Wędrowców z Eperu i tylko ja mogę wam w tym pomóc – domyśla się.

– Znam adres kobiety, którą odnalazłeś, gdy mnie szukałeś. Mieszka w Indiach.

– To już coś.

– A Thor wie, gdzie żyje Wędrowiec, którego kiedyś znał Kris. W tym wcieleniu jest Rosjaninem. Mieszka w Aczyńsku, czterysta kilometrów na wschód od Moskwy. Leo wziął na siebie dotarcie do niego i sprowadzenie go tutaj.

– Brakuje jednego – zauważa Brian.

– Tak.

– Mam go odnaleźć – ni to stwierdza, ni pyta. – A co z tą kobietą w Indiach? Kto po nią pojedzie?

– Ja.

– Pojadę z tobą – oznajmia bez namysłu. – Nie możesz sama podróżować. To zbyt niebezpieczne.

– Przestań – mówię, z trudem tłumiąc łzy. Wysuwam dłonie z rąk Briana i odwracam głowę, żeby chociaż przez chwilę na niego nie patrzeć. Jak może troszczyć się o moje bezpieczeństwo i zupełnie nie myśleć o tym, co czuję?

– Gdzie ona mieszka? – docieka.

– W małej osadzie Bukanwala. Region Pendżab na północy Indii, blisko granicy z Pakistanem – przekazuję, czego dowiedziałam się kiedyś od mamy. – Ta kobieta jest starsza i bardzo otyła, dlatego rzadko opuszcza dom. Opiekuje się nią jakaś krewna, chyba córka siostry albo kuzynki – dodaję, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Trudno będzie ją namówić, żeby tu przyleciała, skoro jest w takim stanie.

– Spróbujemy na nią wpłynąć – odpowiada Brian. – Musi przyjechać.

Mam ochotę krzyknąć, że wcale tego nie chcę. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Mogłam tylko jednym słowem wyrazić swój sprzeciw. I na co się zdał? Na nic. Nie dość, że Leo i Thor głosowali inaczej, to Brian też mnie zawiódł. Czy żaden z nich nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji? Co się zdarzy, gdy będziemy próbować zmienić przyszłość? A co z moimi uczuciami? Nie jestem z kamienia.

Wstaję i podchodzę do okna. Od rana mocno pada i wieje. Ledwie widać most Alberta pośród setek kropli spływających po szybach. Światła samochodów

wyglądają jak małe płaczące gwiazdki. Moje serce też płacze, gdy pomyślę, że za rok o tej porze, a nawet wcześniej, będę tu sama jak palec. Nagle słyszę cichy szmer za plecami. To Brian stanął obok i patrzy w to samo miejsce.

– Paskudna pogoda. – Wzdryga się, gdy silny powiew wiatru uderza w okno kolejną porcją deszczu. – W Bostonie jest lepsza.

Mam ochotę wrzasnąć, żeby się zamknął. Zamiast tego zdobywam się na odwagę i zadaję mu pytanie, które coraz częściej pojawia się w mojej głowie.

– Czy mi się podobasz? – powtarza Brian. – Tak, bardzo. Jesteś piękną kobietą, już ci to mówiłem – dodaje beznamiętnie. – Bardzo piękną.

– Tak? – Zagryzam wargi.

Kolejne słowa cisną się na usta: „To dlaczego nigdy mnie nie dotykasz jak mężczyzna dotyka kobiety, której pragnie? Czemu jeszcze nie spróbowałeś mnie przytulić? Pocałować? Mam być twoja! Czemu mnie nie chcesz?”. Czekam, łudząc się, że Brian jakimś magicznym sposobem je usłyszy i powie coś, a może nawet zrobi. Zbliży się i przycisnie usta do moich ust, a jego ręce oplotą mnie w pasie.

Zamiast tego Brian wyciąga dłoń i strzepuje niewidoczny pyłek z rękawa mojego sweterka, jakby chciał tym gestem pokazać, jak bardzo lekceważy mnie i moje uczucia. I nagle coś we mnie pęka, odpycham Briana i biegnę do sypialni. Zamykam drzwi na klucz, padam na łóżko i zanoszę się płaczem. Udaję, że nie słyszę, gdy puka do drzwi i prosi, żebym go wpuściła.

Nie chcę go widzieć.

Rozdział 21

Uważaj na niego...

Już miałem się poddać, bo telefon Nataszy nie odpowiadał, choć próbowałem się z nią połączyć już drugi dzień i dzwoniłem chyba z osiem razy, gdy nagle odebrała. Odetchnąłem z ulgą, słysząc burkliwe, a raczej warkliwe powitanie.

– Też się cieszę, że cię słyszę – zażartowałem.

– Do rzeczy Leo. Jestem zajęta – odparła.

Miałem powiedzieć, że też jestem zajęty, wszak za niecały kwadrans musiałem wrócić na plan, by nakręcić kolejne ujęcie reklamy wiosennej kolekcji Diora, ale sobie odpuściłem. Swoją drogą, do dziś przeklinałem dzień, w którym jako świeżo upieczony aktorzysta podpisałem dziesięcioletni kontrakt z tym domem mody. Umowa została obwarowana takimi klauzulami, że zerwanie jej było trudniejsze niż zmiana płci.

– Posłuchaj, wiem, że dosyć jasno określiłaś swoje stanowisko w sprawie naszej ewentualnej współpracy... – zacząłem, ale Nat nie pozwoliła mi skończyć.

– Chyba żartujesz? – wycedziła. – Masz demencję? Nie podejmę się ochrony Anny za żadną kasę. *Niet takich dni* – powiedziała coś po rosyjsku.

– Nie chodzi mi o Annę – dodałem szybko, bojąc się, że rzuci słuchawką. – Na razie siedzi kamieniem w domu, jak mi radziłaś, i nie potrzebuje ochrony.

– Tak? – spytała z przekąsem. – Może o jej matkę? Albo o ciebie? Nie ma mowy. Nie zamierzam ochraniać żadnego z was, poza tym jutro wracam do Moskwy, a potem nie ma mnie przez dwa tygodnie dla świata.

– Urlop? – zapytałem uprzejmie, choć wcale mnie to nie interesowało. Po prostu musiałem jakoś podtrzymać naszą rozmowę.

– Powiedzmy – fuknęła Natasza.

– Powinnaś czasami odpocząć. – Starłem się, żeby w moim głosie zabrzmiała szczerza troska, i chyba się udało, bo Nat odburknęła, że jedzie do SPA, ale najpierw ma mieć jakieś zabiegi w Moskwie. – Chyba nic poważnego ci nie dolega? – wyraziłem zaniepokojenie, ale Natasza tym razem nie wytrzymała lukru, którym ją karmiłem.

– Dolegają mi zmarszczki! – wypaliła. – I cellulit na tyłku, choć jest najbardziej wyćwiczonym tyłkiem w całej Rosji.

– Rozumiem. – Chrząknąłem cicho w kułak, żeby się nie roześmiać. – Skoro lecisz do Moskwy, w sumie całkiem dobrze się składa, bo...

– Black, masz minutę, żeby przedstawić swoją propozycję. – Prawie widziałem, jak uruchamia stoper.

– Okej. Potrzebuję kogoś, kto pojedzie do Aczyńska, to miasto...

– Wiem, gdzie jest Aczyńsk. Do rzeczy! – popędziła mnie.

– W Aczyńsku mieszka człowiek, którego chcę sprowadzić do Londynu.
– Masz jego adres?
– Dokładny zdobędę najpóźniej na jutro.
– Jest jakiś agresywny? Coś z nim nie tak? Karany? Celebryta?
– Nic z tych rzeczy. To stary kawaler, grubo po pięćdziesiątce. Do niedawna mieszkał z matką, ale zmarła bodajże rok temu. Jest matematykiem. Kiedyś pracował jako profesor w jakimś instytucie w Sankt Petersburgu. Dostał nawet kilka nagród, ale nie pojawił się, żeby je odebrać.

– Wiem, o kim mówisz – przerwała mi Natasza. – Jurij Tichonow. Słyszałam o nim. Dawali mu milion dolców za jakieś odkrycie, ale nie przyjął. Dziwak i ekscentryk.

– O, ten właśnie. – Ucieszyłem się, że Nat go zna. – To jakiś twój kolega?
– Black, ja nie mam kolegów, koleżanek też nie. Mam brata. Wystarczy.
– To jak? Podejmiesz się?
– W porządku. Na kiedy go chcesz?
– Jak najszybciej.
– Nie wiem, czy będzie miał aktualny paszport. Z tym u nas krucho.
– Mam zamiary na człowieka...
– Pamiętam. Bexley.
– Uhm.
– Wpadnę do ciebie wieczorem. Pogadamy o szczegółach.
– Dziękuję, że się zdecydowałaś.
– Jeszcze nie zdecydowałam – odparła, nie kryjąc wrogości.
– O co ci chodzi?
– O wyniki.
– Jakie wyniki? – Zmarszczyłem czoło, nerwowo zerkając na zegarek. Za chwilę musiałem wracać na plan.

– Zawartości strzykawki. Dostałam dziś rano e-mail w tej sprawie.
– A tak! – Przypomniałem sobie. – Anna mówiła, że prosiłaś. I co z nimi?
– Robicie sobie ze mnie jaja? – syknęła cicho Natasza.
– Czemu?
– To była surowica krwi. Grupa AB Rh minus, najrzadsza.
– Surowica?
– Tak. Surowica, osocze. Jak zwał, tak zwał. Wiesz, co jest najciekawsze? Że tylko jeden procent populacji ma taką grupę krwi. W tym ja – dodała.
– Nie wiem, co powiedzieć. – Obliziałem wargi.

Jedynym wytłumaczeniem, jakie mi przyszło do głowy, była neutralizacja leku, którym Czwarty chciał poczęstować Nataszę. Ale kto tego dokonał? Anna? A może to Księga? Skoro Jezus potrafił zamienić wodę w wino, czemu Byt miałby się ograniczać?

- Ja też nie wiem, co powiedzieć – przerwała mi rozważania.
- To o której będziesz? – spytałem, udając, że nie było tematu.
- Wpadnę wieczorem – powiedziała i odłożyła słuchawkę.
- Surowica krwi? – wymamrotałem do siebie i parsknąłem śmiechem, wyobrażając sobie minę Nataszy, gdy odczytała wynik.
- Leo! – dobiegło mnie wołanie. – Na plan!

Alisha – Epizod 10

Port lotniczy Sahnewal leży na południowym wschodzie Ludhijany, a hotel Hyatt Regency, w którym mamy przenoć, w zachodniej części miasta. Brian drzemie całą drogę, za to ja rozglądam się ciekawie, bo nie byłam jeszcze nigdy w tym zakątku Indii. W niecałą godzinę docieramy na miejsce. Budynek z zewnątrz sprawia niezbyt miłe wrażenie, jest wysoki, zwalisty i obłożony grafitowymi płytami. Lekkości dodają mu jedynie dwa dolne przeszklone poziomy. Z okien zajmujących całą ścianę wylewa się rzeka światła. Patrząc na ten luksus, na widoczne jak na dłoni wnętrza restauracji i znów przypominam sobie, gdzie byłam jeszcze niedawno i jak wyglądało moje życie w Zhangmu.

Jest bardzo późno, a ja padam ze zmęczenia, mimo że lot prywatnym odrzutowcem Leo odbył się w równie komfortowych warunkach, jakie oferuje nam hotel. Nie mam siły rozglądać się po apartamencie. Biorę szybki prysznic i kładę się w wielkim łóżu. Czuję się w nim wyjątkowo źle. Pewnie dlatego wstaję wcześniej, ledwo świta. Jemy śniadanie w hotelowej restauracji. Brian sarkastycznie żartuje, że w tutejszych łóżkach można się nabawić lęku przestrzeni. Czyżby jemu też dokuczala samotność? Dlaczego dopiero tutaj, skoro w Londynie również śpimy w osobnych sypialniach? Zresztą jakie to ma znaczenie? Decyzja została już podjęta.

Hotelowa taksówka wiezie nas do niezbyt odległej Bukanwali. Brian całą drogę milczy. Coraz bardziej mi to doskwiera. Zawsze był małomówny, a nawet posępny, ale w ciągu ostatnich kilku dni to jeszcze się nasiliło. Dobrze, że kierowca dosyć szybko dowozi nas na miejsce. Trochę się boję, co zastaniemy. Czy ta kobieta zgodzi się z nami porozmawiać? A co, jeśli odmówi wyjazdu do Londynu? W skrytości ducha właśnie na to liczę.

Mieszka w małym domu na obrzeżach miasteczka. Przedstawiamy się jej opiekunce, a ja wykładam naszą prośbę. Arpita oznacza „poświęcenie”, a tak ma na imię nasza rozmówczyni, na oko trzydziestoletnia i szczerze mówiąc, niezbyt ładna, z dziobatą cerą i pożółkłymi zębami. Ale jest bardzo miła, aż czuć ciepło, które od niej bije.

– Niedawno naszą Rani odwiedziła kobieta bardzo podobna do ciebie. Nazywała się Iksha Basu – mówi, przypatrując mi się wnikliwie.

– To moja mama.

– Tak? – Jej twarz rozpromienia uśmiech. Arpita od razu wydaje mi się

znacznie ładniejsza niż na początku.

– Rani przyjmuje sporo gości – tłumaczy. – Jest natchniona. To wieszczka.

– Ryszika? – pytam.

– Tak. – Arpita skwapliwie potakuje. – Rani widzi więcej niż my.

Idzie spytać, czy Rani nas przyjmie, i szybko wraca. Po chwili zostajemy wprowadzeni do głównego pomieszczenia domu. Arpita przedstawia nas naprędce, przynosi dwie tace z *phal ka pakora*, czyli owocami smażonymi w cieście. Jedną kładzie przed nami, na niskim stoliku, a drugą w zasięgu ręki Rani, po czym zostawia nas samych. Siadamy i przez chwilę nic nie mówimy, bo Rani zajada się deserem. Ma na sobie piękne ciemnoczerwone sari, wykończone szmaragdową lamówką. Intensywne kolory podkreślają głębokie, choć nieliczne zmarszczki na jej twarzy, noszącej jeszcze ciągle ślady dawnej urody. Ale nie sari i twarz Rani przyciągają wzrok, lecz jej monstrualna tusza. Jeszcze nie widziałam tak tęgiej Hinduski. Jej ciało rozlewa się na łóżku, na którym pólleży.

– Powiedz mu, żeby wyszedł – mówi, gdy ostatnia porcja deseru znika w jej ustach. Brian od razu wychodzi, bo Rani wyartykułowała swoją prośbę po angielsku. Zostajemy same, a wtedy Rani uśmiecha się do mnie łagodnie i przeprosza, że musiała wyprosić mojego towarzysza. – Wolę rozmawiać tylko z tobą.

– Rozumiem.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś z nami pojechała.

– Gdzie?

– Do Londynu.

– Musisz mieć ważną sprawę, skoro tego chcesz. Mów. – Zanim zacznę, unoszę brzeg mojego sari i pokazuję jej znamię. Nie jest ani trochę zaskoczona. – Była u mnie twoja matka. Szukała cię. Co z nią?

– Zaczęła nowe wcielenie.

– Mów – popędza.

Opowiadam jej wszystko. Zajmuje to prawie godzinę, a gdy kończę, moje gardło jest suche jak wiór. Chętnie napiłabym się czegoś, ale Arpita nie dała nam nawet szklanki wody. Sięgam po mały kawałek *phal*, żeby choć tak nawilżyć gardło.

– Jaki masz dar? – pyta Rani.

– Widzę przyszłość.

– To cenna umiejętność.

– Przewiduję przyszłość, ale mój dar to raczej przekleństwo niż cenna umiejętność – mówię, a Rani spogląda na mnie pytającym wzrokiem, więc dodaję:

– Nie mogę nic zrobić, żeby zapobiec przeznaczeniu. Nie mogę ostrzec kogoś, że wydarzy się coś złego, zmienić jego losu, uchronić przed nieszczęściem. A nawet

gdybym tak postąpiła, wszystko kończy się jeszcze bardziej tragicznie – wzdycham ciężko.

– Wiedziałaś, że twoja matka...

– Tak – przerywam.

– Znasz przyszłość – powtarza spokojnie. – Wiesz, kiedy umrę?

– Kiedy zakończysz to wcielenie?

– Tak.

– Nie wiem, ale gdybym chciała...

– Zobacz. – Tym razem to ona nie pozwala mi skończyć. – Zobacz, ale mi nie mów. Możesz tak zrobić?

– Mogę, ale nie chcę.

– Jeśli zobaczysz, pojedę z wami do Londynu.

– To twój warunek?

– Tak.

Na chwilę zamykam oczy i uważnie skaczę po mojej „księdze przyszłości”, żeby zobaczyć wyłącznie to, o co prosiła Rani. Nie trwa to zbyt długo. Już po minucie wiem, jaki czeka ją los. Wiem też, że dotrzyma słowa, bo zakończy wcielenie właśnie w Londynie. Unoszę powieki. Rani świdruje mnie wzrokiem. Pewnie chce się domyślić, co ujrzałam w wizji, ale już dawno nauczyłam się panować nad mimiką twarzy.

– A jaki jest twój dar? – zagajam. – Arpita mówiła, że jesteś natchniona.

– Potrafię odnajdywać zaginione przedmioty.

– Ludzi też?

– Nie. Tylko przedmioty. Ale często razem z nimi odnajdują się i ludzie. Wystarczy bardzo dokładnie opisać daną rzecz, zobaczyć ją w głowie, a wtedy powiem ci, gdzie jest. Widzę też minerały.

– Minerały? – Marszczę czoło.

– Tak. Złoto, cenne kamienie, co chcesz. W tym wcieleniu odkryłam istnienie pięciu minerałów, których jeszcze nikt nie odkrył. Żaden człowiek. Myślisz, że powinnam to ujawnić? – pyta, łakomie spoglądając na tacę z *phalem*. Wstaję, żeby podać ją Rani. Ja nie przełknę już ani kawałka.

– Czy te minerały mogą pomóc ludziom?

– Pewnie tak – odpowiada z pełnymi ustami. – Może gdy już będę w Londynie, tam ujawnię, co to jest i gdzie można je znaleźć. Jak myślisz?

– To dobry pomysł.

– Obiecałam, że z wami pojedę, i dotrzymam słowa, ale nie dzisiaj. Daj mi pięć dni. Muszę zamknąć swoje sprawy, bo już tu nie wrócę, prawda? – próbuje mnie wziąć na pytki.

– Poczekamy, pięć dni to bardzo krótko – odpowiadam. – Nocujemy w Ludhijanie. Przylecieliśmy prywatnym samolotem, więc nie martw się o podróż.

Jeśli chcesz zabrać ze sobą Arpitę, nie będzie problemu. Mam nadzieję, że obie macie odpowiednie dokumenty, a jeśli nie, możemy je załatwić – wygłaszam niemalże na bezdechu, nie chcąc dopuścić do kolejnych pytań o moją wizję.

– Mam dokumenty. – Rani na szczęście rezygnuje z dalszych prób wyciągnięcia ze mnie prawdy. – Wiesz, czemu kazałam wyjść temu mężczyźnie?

– Przypuszczam, że ze względu na dyskrecję i swobodę rozmowy.

– Nie. – Rani sięga po ostatni kąsek. Przeżuwa go powoli, posapując przy tym ciężko. – On jest dziwny – stwierdza. – Kochasz go?

– Ja? – wypalam bez namysłu.

– A kto? Przecież nie ja – mówi i zanosi się śmiechem. Wszystko się trzęsie, ciało Rani śmieje się razem z nią. Trwa to zaledwie kilka, może kilkanaście sekund, ale wygląda strasznie. A co, jeśli pierwszy raz moja wizja się nie sprawdzi i Rani umrze już teraz, na moich oczach? Naprawdę boję się o jej zdrowie. – To jak? Kochasz go? – powtarza. Zasapała się do cna, głośno dyszy, a jej twarz i szyja nabrały purpurowego koloru.

– Jest mi bliski – odpowiadam dyplomatycznie.

– Uważaj na niego – mówi po dłuższym namyśle. – Taki mężczyzna, gdy zechce, potrafi rzucić kochanej kobiecie cały świat do stóp, ale też może zranić jak żaden inny.

– Uważam – mówię przez ściśnięte gardło, bo czuję tak samo jak Rani, ale dotychczas bałam się zmierzyć z prawdą.

– Idź już. – Macha niecierpliwie pulchną dłonią. – Wróc za pięć dni. Będę na was czekać.

– Zgodziła się? – pyta Brian, gdy opuszczam dom Rani Bhadury. Czekał na mnie przy samochodzie, wsparty plecami o jego bok.

– Tak – odpowiadam, wsiadając do taksówki. Brian zamyka moje drzwi i po chwili siada przy mnie.

– To chyba dobrze? – drąży. – Kiedy ją zabieramy? Ma papiery? Ona w ogóle jest w stanie się podnieść?

Czekam, aż ruszymy. Nie chcę z nim rozmawiać w obecności kierowcy, ale wiem, że Brian oczekuje odpowiedzi.

– Ma dokumenty, pojedzie razem ze swoją opiekunką. Mówiła, że potrafi chodzić – zbywam go. – Za pięć dni mamy po nie przyjechać.

– Trzeba wziąć inne auto – stwierdza Brian. – Spróbuję załatwić vana. Do zwykłego się nie zmieści. Potrzebny specjalny samochód, może z jakimś podnośnikiem? – głośno myśli. – Kobieta monstrum – dodaje po chwili. – Ciekawe, czy przeżyje podróż?

– Przeżyje – ucinam spekulacje.

– Skąd wiesz? – pyta i prawie natychmiast stwierdza: – Sprawdziłaś, ile jej zostało. Więc ile? Rok? Miesiąc? A może tydzień?

– Nawet gdybym wiedziała, nie zamierzam ci powiedzieć. – Zerkam na niego z niepokojem, bo jest bardzo bliski odkrycia prawdy.

– Czyli wiesz. Pokazała ci znamię?

– Nie, a po co miała to robić?

– W sumie... – Brian wzrusza ramionami.

– Przecież to ty ją wskazałeś – przypominam mu.

– Nie pamiętam.

– Ale moja mama pamiętała.

Na tym kończymy pogawędkę. Wracamy do hotelu, jemy lunch, a potem każde z nas udaje się do swojego apartamentu. Dzwonię do Leo i referuję, co załatwiłam. W jego głosie słyszę źle skrywaną radość. Rozumiem to, też bym się cieszyła, mając świadomość, że to, co robię, uszczęśliwi moich najbliższych. Zapewni im bezpieczeństwo i spokój.

Liczyłam się z tym, że spędzimy tu trochę czasu, więc zabrałam ze sobą dwie książki, a Brian wziął laptopa. Pewnie dlatego tak szybko skrył się w swoim apartamencie. Ostatnio spędza coraz więcej czasu przy komputerze. Odkrył już prawie wszystkie dobrodziejstwa Internetu i wpadł, jak mówi, w regularny nałóg. Dlatego dziwi mnie, gdy godzinę po kolacji puka do moich drzwi.

– Co chciałeś? – pytam.

– Nie zaprosisz mnie?

Odsuwam się, żeby mógł przejść. Jestem zaskoczona jego wizytą. Wszystko opowiedziałam mu przy lunchu, więc po co przyszedł?

– Co robisz? – pyta, stając na środku saloniku.

– Trochę czytałam. – Wskazuję brodą na książkę, którą porzuciłam na kanapie.

– Ciekawa? – Brian podchodzi, podnosi książkę i czyta tytuł, starannie artykułując: – *Osobliwe i cudowne przypadki Avy Lavender*.

– Dopiero zaczęłam.

– Uhm – mruczy, odkładając książkę z powrotem.

– Napijesz się czegoś? – proponuję, podchodząc do małego barku. – Wody? Soku?

– Dziękuję. Nie przyszedłem tu po to, żeby pić sok – odpowiada.

– A po co? – wykrztuszam, widząc, że nie usiadł na jednym z klubowych foteli, za to zbliża się do mnie i po kilku sekundach staje ze mną twarzą w twarz.

– Przyszedłem, bo... – nie kończy. Wyciąga ręce, by opleść mnie nimi w pasie.

– Co robisz... Co to znaczy? – jąkam się.

Moje serce głośno dudni w piersiach, a twarz oblewa rumieniec wstydu, bo Brian na pewno je słyszy. W pierwszym odruchu próbuję wydostać się z jego umięśnionych ramion, wyswobodzić z objęć, ale wyraz jego twarzy mnie

powstrzymuje. Do tej pory Brian nigdy tak na mnie nie patrzył. W jego błękitnych oczach widzę pragnienie. Jakby chciał się we mnie zatracić. Serce zrywa się do galopu, gdy czuję dłonie Briana pełzające po moich plecach. Wiem, że powinnam go powstrzymać, bo chyba jeszcze nie czuję się gotowa pójść na całość, ale nie potrafię. Zbyt mocno pragnę poczuć na swoich wargach dotyk tych miękkich ust, a na policzkach – szorstkość męskiego zarostu. Czuję nieznośną słabość w kolanach i ciepło bijące od Briana. Przenika przez nasze ubrania i ogarnia mnie niczym gorączka.

Żałuję tylko jednego. Dlaczego tutaj? W hotelowym pokoju? Anonimowym, pozbawionym duszy, z tymczasowymi śladami naszej obecności? Nie chcę tak. Buntuję się w duchu, bo nie mam odwagi powiedzieć tego wprost.

– Jesteś dziewicą? – pyta Brian, dokładając do burzy uczuć przetaczających się w moim sercu jeszcze jedno: zażenowanie.

– Pytasz, czy to mój pierwszy raz?

– Pytam, czy jesteś dziewicą. – Przybliżyła swoją twarz do mojej. Na czole czuję jego ciepły oddech.

– Nie – odpowiadam, modląc się, żeby nie pytał już o nic więcej.

– Chodź – mówi.

Wypuszcza mnie z objęć i prowadzi do sypialni. Gdy jesteśmy przy łóżku, sadza mnie na brzegu materaca, a sam przykłęka przede mną i patrzy. Jest jednym wielkim spojrzeniem. Jego wzrok przenika mnie na wskroś, dociera do każdego zakamarka mojej duszy i serca, jakby mógł czytać we mnie jak Anna w Księdze Wędrowców.

– Zakochałem się w tobie – wyznaje. Jego głos brzmi łagodnie i pewnie. – Kocham cię, ale nie musisz mi mówić tego samego. Nawet nie powinnaś.

– Och... – Dopiero teraz dociera do mnie znaczenie tych słów. Zakrywam usta ręką i przez chwilę wstrzymuję oddech, licząc, że moje serce pozbawione tlenu trochę zwolni i przestanie tak głośno dudnić w piersi.. – Dlaczego nie powinnam? Nie dajesz mi prawa, żebym mogła cię kochać? – pytam z żalem. – Ja... ja chcę cię kochać.

– To tylko chcenie. Nic więcej. Prawda?

– Nie. Nieprawda. – Przełykam ślinę. Odwracam wzrok i przez chwilę wlepiam go w wezłowie łoża obite białą skórą.

– Albo się kogoś kocha, albo nie. Nie ma stanów pośrednich – tłumaczy spokojnie. Nie wyczuwam ani odrobiny presji w jego głosie. Nie naciska na mnie, żebym się określiła, brzmi to raczej jak beznamienne stwierdzenie.

– Brian... – Znów patrzę w jego oczy. Są takie piękne, błękitne i czyste, jak u kogoś, kto jest samym dobrem.

– Tak? – Przysuwa się bliżej i kładzie dłonie na moich udach.

– Ja nie chcę o tym mówić. Nie chcę mówić – akcentuję ostatnie słowo,

żeby zrozumiał.

– Nie chcesz mówić – powtarza za mną. Wyciąga rękę i delikatnie muska mój policzek. – Jesteś taka śliczna. Gdy cię dotykam... – przerywa i marszczy czoło. – Gdy cię teraz dotykam, dziwię się, że jesteś namacalna.

– To znaczy?

– Im dłużej cię znam, tym częściej myślę, że jesteś duchem. Dobrym duchem, aniołem, ulotną istotą, której nie można dotknąć. Nie wiem, czy mam prawo cię dotykać. Powiedz, mam? – Oddycha coraz szybciej i głębiej. Ciepłe powietrze raz po raz uderza w moje wargi, a ja nie potrafię się powstrzymać i co chwilę je oblizuję.

– Masz prawo. Brian... – Nie mogę już dłużej wytrzymać jego spojrzenia, więc opuszczam głowę. – Jeśli chcesz to zrobić...

– A ty? – zadaje mi pytanie, a gdy nie odpowiadam, łapie mnie pod brodę i unosi ją lekko. – Chcesz?

Jeszcze chwila i wybuchnę płaczem. Napięcie między nami staje się nie do zniesienia. Brian odpuszcza. Schyla głowę, a po chwili jego dłonie ostrożnie rozsuwają poły szlafroka. Odslania moje uda pokryte gęsią skórką, obnaża je całe, aż po krawędź nocnej koszuli.

– Obiecuję, że to będzie twój pierwszy „pierwszy raz” – podkreśla wyraźnie dwa ostatnie słowa. – Zapomnisz o poprzednich. Zrobię wszystko, żeby tak było, ale muszę wiedzieć, czy tego chcesz.

– Chcę – odpowiadam szeptem tak cichym, że prawie bezgłośnie.

Brian nachyla się i zaczyna muskać moje ciało pocałunkami subtelniejszymi od powiewu wiatru. Jego ciepłe, delikatne wargi wędrują powoli, miejsce w miejsce, nie zostawiając nawet centymetra. Zamykam oczy i odchylam głowę, chcąc w pełni oddać się przyjemności, którą odczuwam. Po chwili leżę na łóżku, a Brian klęczy między moimi nogami. Gładzi je i obsypuje dziesiątkami pocałunków. Pragnienie obejmuje mnie coraz mocniej, obezwładnia i sprawia, że czuję nieznośny ból w podbrzuszu.

– Chodź – mówię, wyciągając przed siebie ręce. – Chodź i weź mnie. Już nie potrafię dłużej czekać. – Z trudem powstrzymuję szloch, który dusi mnie w gardle.

Otwieram oczy i unoszę głowę, żeby na niego spojrzeć. Brian spełnia moją prośbę. Szybko pozbywa się koszulki i rzuca ją gdzieś za siebie. Niecierpliwie rozpina pasek, zdejmując dzinsy, ale zostawia bokserki. Obracam głowę, gdy kładzie się obok. Przez chwilę patrzy na mnie z czułością. Nie wiem, co wygrywa w jego oczach. Czy pragnienie, czy ta łagodna tkliwość?

Znów wyciągam ręce. Przesuwam palce między kosmykami jego włosów. Są jedwabiste i trochę wilgotne. Czy to pot? Mój czy jego? Nie zdążę tego odgadnąć, bo Brian zbliża twarz i po chwili czuję na ustach nasz pierwszy

pocałunek. Na początku tylko biorę. Poddaję się dotykowi jego warg i języka. Rozchylam usta, żeby mógł wniknąć nieco głębiej. Zaskakuje mnie słodki smak. Jeszcze nigdy nie czułam słodczy, całując się z mężczyzną. A teraz? *Khoya*² zmieszana z miodem nie jest ani w połowie tak słodka jak jego ślina.

Może dlatego dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że dłonie Briana nie próżnują. Rozsupłały pasek szlafroka, odsunęły jego poły i znalazły ścieżkę pod jedwabiem nocnej koszuli. Biorę głęboki wdech, gdy opuszka palca muska brodawkę mojej piersi.

– Poczekaj... – proszę.

Siadam, żeby zdjąć z siebie wszystko. Nie chcę, żeby cokolwiek nas oddzielało. Gdy koszula łąduje gdzieś na podłodze, Brian zastyga na chwilę. Tylko jego wzrok ślizga się po moim ciele.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś piękniejszego – wyznaje. – Jesteś boginią.

Mam ochotę powiedzieć, że tak właśnie się czuję. Jak bogini. To Brian sprawił, że przez tę krótką chwilę kocham samą siebie. Kocham swoje ciało, każdy jego fragment, skrawek skóry, pasmo włosów, wszystko. Niestety, jeszcze nie potrafię tego otwarcie wyznać, więc uśmiecham się do Briana, żeby przynajmniej tak mu podziękować.

Popycha mnie lekko, a sam zawisa nade mną i mówi, że mnie kocha. Jesteśmy jak jeden organizm. Po raz pierwszy w życiu czuję miłość w każdej sekundzie zbliżenia z mężczyzną. Płynę z nurtem, kołysana w ramionach Briana, i nie patrzę na brzeg, tylko przed siebie. Razem zmierzamy w tym samym kierunku i chociaż patrzymy na siebie, wiem, że widzimy to samo miejsce. Miejsce, gdzie czeka nas spełnienie.

Rozdział 22

Sztuka wojny

Nasz plan nabierał coraz realniejszych kształtów, a ja zamiast się cieszyć, bo przecież sam optowałem za jego realizacją, czułem narastające wątpliwości. Poczytałem trochę o dylemacie wagonika, później sięgnąłem po *Sztukę wojny* mistrza Sun Tzu i stwierdziłem, że jestem zbyt miękki i nie nadaję się na bezwzględnego przywódcę. Dla mnie zabicie kogoś czy przyzwolenie na to, by zmarł, poświęcając się dla grupy, było niemalże tym samym.

Próbowałem odpowiedzieć sobie szczerze na pytanie: „Co zrobiłbym na miejscu Briana?”. Na szczęście nie miałem z tym żadnego problemu, bez wahania podjąłbym taką samą decyzję. Ale co, gdyby miał rodzinę? Żonę? Dzieci, nawet z gwarancją nieśmiertelności? Traciłem rozum, klucząc między tymi dylematami. Były jak miny przeciwpiechotne gęsto rozsiane na wąskiej ścieżce. Każdy krok to ryzyko, każdy wiąże się z jakąś ofiarą.

W takiej samej sytuacji był ojciec dziecka, które swoim płaczem ściągnęło na siebie i kilkunastu innych Żydów wyrok śmierci. Gdyby ten człowiek odważył się je zabić, prawdopodobnie ocaliłby pozostałych, a tak zginęli prawie wszyscy. Ale czy na tym świecie żył ktoś, kto miałby prawo powiedzieć, że pośrednio to on był winien tej rzezi? Ojciec tego małego żydowskiego dziecka? Na pewno nie. To oprawcy byli winni. Tylko oni.

Dużo nad tym myślałem, nie dzieląc się z nikim swoimi wątpliwościami. Wiedziałem, że Anna i Alisha od początku były przeciwne realizacji naszego planu, z kolei Theodor zachowywał się mało racjonalnie, bo działał pod wpływem ogromnych emocji. Trudno mu się dziwić. Rebecca jest człowiekiem, więc nie mógł się pocieszać myślą, że kiedyś znów się spotkają. Bardzo brakowało mi Krisa, chyba właśnie teraz najmocniej odczuwałem jego stratę, bo byłem pewien, że poradziłby sobie z tą sytuacją.

Dzisiaj, gdy Natasza wracała z Jurijem, a Rani Bhadura od kilku dni mieszkała u Alishy i Briana i brakowało tylko jednego, jedyne Wędrowca ze znakiem Eperu, by zrealizować nasz plan, nagle dotarło do mnie całe jego okrucieństwo. Czy mieliśmy prawo pozwolić Brianowi na podejmowanie takiej decyzji? Czy to nie stanowiło naszego przyzwolenia na czyjąś śmierć? Jednego byłem prawie pewien: łatwiej samemu być bohaterem, niż pozwolić komuś na bohaterstwo.

Nadchodził wieczór, a ja kładłem się do łóżka z głową pełną wątpliwości i dylematów moralnych. Nie pozwalały na spokojny sen, zresztą ostatnio nawet na niego nie liczyłem.

– Leo, coś cię gryzie – stwierdziła Anna nazajutrz rano po kolejnej

nieprzespanej nocy.

– Nie da się ukryć – przyznałem, szykując sobie bardzo mocną kawę.

– Chodzi o nasz plan?

– Masz rację, o nasz. O mój, Theodora i Briana, bo wy... – już miałem powiedzieć, że umyły ręce, ale ugryzłem się w język. To byłoby mocno nie fair wzbudzać w Annie i Alishy poczucie winy. – Po prostu ciągle się zastanawiam, czy powinniśmy wprowadzać go w życie. Mam wątpliwości – przyznałem. – Coraz więcej wątpliwości. Nie nadaję się na przywódcę – dodałem po chwili. – Demokracja to beznadziejny system, zwłaszcza gdy głosy rozkładają się po równo i ostatecznie ciężar odpowiedzialności za podjętą decyzję spada na jednego człowieka, a w naszym przypadku na tego, który poniesie najwyższą ofiarę. Podwójnie niesprawiedliwe.

– Ech, to wszystko jest do bani... – mruknęła cicho Anna, przysiadając na sąsiednim hokerze. – Leo, jeszcze nie jest za późno, by zmienić plan.

– Ale jaki mamy wybór? – Spojrzałem na nią.

– Dużo nad tym myślałam.

– Ja też. Niestety, nic nie wymyśliłem. – Już miałem powiedzieć, że przeczytałem cały poradnik mistrza Sun Tzu, ale nie było się czym chwalić, bo nie wyciągnąłem z tej lektury żadnych konstruktywnych wniosków.

– A ja coś wymyśliłam, ale nie wiem, czy to ma sens. – Zagryzła wargi.

– Mów. No mów – popędziłem ją, bo wyraźnie się wahała. – W naszej sytuacji każdy pomysł ma jakiś sens.

– Po pierwsze, pomyślałam, że powinniśmy się dowiedzieć, ilu nas jest.

– Jak to ilu, przecież Thor wyliczył, że trzydziestu jeden – przypomniałem jej.

– Chodzi mi o proporcje. Ilu jest Wędrowców z Eperu, a ilu z Habbatum i Batawe. Gdyby, dajmy na to, okazało się, że Eperu jest dwudziestu pięciu, wtedy wiadomo, że absolutnie wszyscy z Habbatum zostaną unicestwieni. A gdyby było nas mniej, na przykład dziesięciu, wtedy jest szansa, że zginie tylko część Wędrowców z Habbatum.

– No tak – przyznałem jej rację, żałując, że sam na to nie wpadłem.

– Niestety, to wymaga czasu, po drugie, nie mamy pewności, czy Brianowi udałoby się odnaleźć wszystkich z Eperu, a po trzecie, nawet gdyby Wędrowców z Habbatum i Batawe było więcej niż nas, jak stwierdzić, kto jest kim? Dlatego uważam, że to bez sensu. – Stropiła się.

– Moim zdaniem ta wiedza bardzo by się nam przydała, nawet niekompletna.

– Tak myślisz? – Popatrzyła na mnie z wdzięcznością.

– Tak myślę. Im więcej wiemy, tym mniejsze ryzyko popełnienia błędu. Pomysł jest doskonały, problem stanowi jedynie jego wykonanie, ponieważ zajmie

sporo czasu. Tylko Brian może szukać naszych pobratymców, bo widzi Astrum.

– Coś ci powiem, ale się nie denerwuj – zastrzegła. – Rozmawiałam z Thorem. Ja mówiłam myślami, a on odpisywał na e-maila. Pytałam, czy mogliby z Bekan spróbować poszukać Wędrowców przez tę specjalną porównywarke zdjęć, którą udoskonaliłi. Na razie tropią Czwartego, ale zasugerowałam im, żeby spróbowali wstawić do wyszukiwarki wszystkich współczesnych naukowców, odkrywców, artystów, z zastrzeżeniem, że to mają być wyłącznie mężczyźni, i poszukać podobnych wizualnie osób w przeszłości. To samo dotyczy kobiet obdarzonych nadprzyrodzonymi zdolnościami.

– Jestem pod wrażeniem – sapnąłem z uznaniem. – Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– Bałam się, że będziesz miał do mnie pretensje.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Pomyślałam, że uznasz to za szukanie dziury w całym.

– Nie rozumiem.

– Pomyślisz, że coś kombinuję, żeby nie dopuścić do realizacji planu. Powiedziałam ci o tym tylko dlatego, że przyznałeś się do wątpliwości.

– Trochę to... – zamilkłem, bo brakowało mi odpowiedniego słowa. – To okropne, że ta sprawa ma na nas taki zły wpływ. Przestaliśmy być wobec siebie szczerzy. Nie można tak. – Pokręciłem głową.

– Wiem, dlatego przepraszam.

– Ja też przepraszam, że nie podzieliłem się z tobą wątpliwościami. Po prostu uznałem, że nie mogę okazywać słabości, bo wtedy wszystko się rozsypie. Ech... – Machnąłem ręką, myśląc, że jesteśmy jak dzieci błądzące we mgle.

– Mam jeszcze jeden pomysł – powiedziała nieśmiało Anna.

– Tak? Mów. Twoje pomysły są naprawdę dobre. – Ożywiłem się.

– Zastanawiałam się nad wysłaniem komunikatu do Czwartego.

– Ale co właściwie chciałabyś mu przekazać? Żebyśmy się spotkali?

– Na to na pewno się nie zgodzą. Zresztą powiedz, przystałbyś na taką propozycję? Gdzie niby mielibyśmy się spotkać?

– Pewnie naciskaliby, żeby do nich przyjechać, gdziekolwiek to jest.

– No właśnie.

– To niebezpieczne.

– Wiem, dlatego myślałam o daniu im ultimatum. Założmy: „Oddamy wam Księgę za rok, o ile przestaniecie nas nękać”. – Uniosłem brwi, nie wierząc w powodzenie takiego kompromisu, więc spytała niepewnie: – Myślisz, że nic z tego nie wyjdzie?

– Małe szanse.

– A może ich zaszantażować? Przekazać, że jeśli nadal będą nas atakować, wtedy ich unicestwimy? Powiedzieć, że wiemy, jak to zrobić?

– Absolutnie! To fatalny pomysł – zaproponowałem. – Nie dość, że zdradzimy im nasz tajny plan, to jeszcze przyspieszymy atak. To ich tylko rozjuszy, uwierz. Sprowokuje do natychmiastowych działań, żeby odebrać nam Księżę.

– Masz rację. I ty mówisz, że nie nadajesz się na przywódcę?

– Szczerze? Bynajmniej nie jestem taki mądry. Po prostu to przeczytałem.

– Tak? – Anna szeroko otworzyła oczy. – A gdzie?

– W książce. To taki poradnik, jak prowadzić wojny, autorstwa mistrza Sun

Tzu.

– Już wiem – powiedziała z satysfakcją Anna. – Widziałam cię!

– Widziałaś, jak czytam?

– No pewnie. Kiedyś siedziałeś z dziećmi, pamiętasz? Czytałeś coś na głos, a gdy zajrzałam do sypialni, natychmiast zamilkłeś i szybko schowałeś książkę za plecami.

– Pomyślałem, że przyda im się taka wiedza.

– Wiedza, jak prowadzić wojny? – Anna delikatnie się uśmiechnęła. – Niemowlętom?

– Chwileczkę... – Podniosłem palec wskazujący. – Wiedza jest zawsze przydatna, w każdym wieku, poza tym chyba im się podobało, bo uważnie słuchali.

– Pewnie dlatego, że masz piękny głos.

– Masz ci los... – jęknąłem z udawanym zawodem. – Tylko mój głos się liczy?

– Jeszcze wyglądam. – Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. – To jesteśmy kwita. Ty w tajemnicy czytałeś o strategiach prowadzenia wojen, a ja rozmawiałam z Thorem.

– I knułaś intrygę o wysłaniu wiadomości. A właśnie, jak chciałaś rozwiązać sprawę odpowiedzi? – zapytałem, przechylając filiżankę, żeby wypić ostatnie krople kawy, choć przestała mi być potrzebna. Nasza rozmowa okazała się wyjątkowo pobudzająca.

– Zamierzałam im podać numer telefonu. Kupiłam nawet kartę i... – Anna zamilkła, widząc moją reakcję.

– Kupiłaś kartę? – Wytrzeszczyłem oczy. – Ale jak, kiedy?

– Poprosiłam Brygidę i kupiła jakąś. I aparat telefoniczny do tego.

– Aha. – Przycisnąłem dłoń do serca i odetchnąłem z ulgą. Aż mi się słabo zrobiło, gdy pomyślałem, że Anna ot tak, po prostu, wyszła z domu bez żadnej ochrony, żeby kupić kartę.

– To co? Mam im przekazać wiadomość?

– Im?

– Czwartemu – doprecyzowała. – Tylko jego znam i widziałam. Mam kartę i telefon, więc jestem przygotowana. Przedstawię mu naszą propozycję i podam

numer.

– Na pewno nie oddzwoni. Nie licz na to. Co najwyżej wyśle SMS-a, a najprawdopodobniej po prostu nie odpowie. Pytanie, czy nie stracimy na tym bardziej, niż skorzystamy.

– A co mamy do stracenia? – Anna wydeła usta. – Moim zdaniem nic. I tak wiedzą o Księdze, doskonale też zdają sobie sprawę, że nas nękają. A nuż się uda? Zresztą... – Westchnęła bezradnie. – Sama nie wiem. – Jej ramiona opadły jak liście przywiędłej rośliny. – Mówisz, że nie ma sensu próbować?

– Poczekaj. – Mocno potarłem policzki. Zastanawiałem się, czy warto skonsultować to z Thorem i Alishą, ale miałem poważne obawy, że jeszcze bardziej namącają nam w głowach, zwłaszcza Theodor. Na pewno miałyby swoją wizję planu B. – Okej. Jestem za – oznajmiłem po chwili.

– Mam się skontaktować z Czwartym? – Anna była wyraźnie zaskoczona.

– Uhm. Tylko może nie teraz, bo... – Odwróciłem się w stronę korytarza, skąd dobiegał śpiew Brygidy.

Ledwie nasza nowa niania przeprowadziła się do nas, a odkryliśmy, że uwielbia śpiewać, a co najważniejsze, dzieciaki lubiły to jeszcze bardziej. Gdy tylko zaczynała te swoje dziwne polskie przyśpiewki, nasze maluchy wprost zarykiwały się ze śmiechu. Tak się śmiały, że gdy to widziałem, też nie mogłem się powstrzymać. Musiałem przyznać, że Brygida to był strzał w dziesiątkę. Kochałem tę kobietę.

– Pogadamy wieczorem – powiedziała Anna, zsuwając się z hokera. – Idę tam. Ty też chodź, przyda nam się trochę rozrywki...

* * *

Postanowiliśmy z Leo napisać na kartce treść wiadomości, żebym z nerwów nie powiedziała czegoś, co mogłoby nam w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Po prawie godzinnej burzy dwóch mózgów udało nam się stworzyć ten oto komunikat:

Tu Anna, Strażniczka Księgi. Mam apel do was, kimkolwiek jesteście. Chcemy żyć w spokoju, my, Wędrowcy z Eperu, i nasi bliscy. Nie chcemy wojny, tylko pokoju i prawa do normalnego istnienia. Dlatego mamy dla was propozycję. Za równy rok od dzisiaj dobrowolnie oddamy wam Księgę, ale mamy dwa warunki: po pierwsze, oczekujemy deklaracji, że już nigdy żaden z was nie stanie nam na drodze, nam – wszystkim Wędrowcom z Eperu, naszym znajomym i członkom rodziny. Po drugie, przekazanie Księgi odbędzie się w miejscu i porze przez nas wskazanych. To wasza jedyna szansa, żeby zdobyć Księgę. Gdy odmówicie, liczcie się z konsekwencjami.

– Sama nie wiem, czy to ma sens? – Popatrzyłam na Leo.

– Już o tym mówiliśmy. Nadaj komunikat i zobaczymy.

– Może wyrzucić to zdanie o konsekwencjach?

– Bez przesady. – Leo pokręcił głową. – Aż tak się płaszczyć nie będziemy. Nie zapomnij podać mu numeru telefonu i powiedzieć, że ma się z nami skontaktować za jego pośrednictwem.

– Nie zapomnę. – Przycisnęłam dłoń do serca, bo waliło jak oszalałe. – Okej, to wysyłam.

Na wszelki wypadek szybko się przeżegnałam i wzniosłam wzrok ku niebu, żeby przynajmniej Bóg nade mną czuwał, skoro właśnie zamierzałam poważnie narazić się Bytowi. Wiedziałam, że nie powinnam nawet pomyśleć o oddaniu komuś Księgi, wszak byłam jej Strażniczką, ale jaki mieliśmy wybór? Chyba nie było mnie stać na zachowanie godne niezłomnej i twardej heroiny, bezwzględnie oddanej sprawie. Szybko nadałam komunikat, przedyktowałam numer telefonu, powtórzyłam jeszcze raz, nieco wolniej, a po namyśle trzeci raz, żeby nie było żadnych wątpliwości, że Czwarty zdążył go zapamiętać.

– Już? – spytał bezgłośnie Leo, widząc, że odkładam kartkę.

– Uhm – mruknęłam, łapiąc mojego jaśka. Musiałam choć na chwilę przyłożyć go do rozpalonych jak żelazko policzków, żeby je schłodzić, a bawełniana satyna nadawała się do tego doskonale.

– I co teraz? – Leo spojrzął na telefon komórkowy przygotowany na potrzeby kontaktu z Czwartym i jego bandą.

– Poczekajmy chwilę. Pewnie muszą się naradzić.

– Pewnie tak.

Wyszliśmy z sypialni, ale nic to nie dało. Nasze myśli nadal krążyły tylko wokół jednego. Do północy pocieszałam siebie i Leo, że może się naradzają i dlatego milczą. Spoglądałam na telefon chyba ze sto razy, ale bez skutku. Jeszcze zanim Czwarty dostał moją wiadomość, Leo sprawdził, czy aparat na pewno ma zasięg, nawet zadzwonił na ten numer z własnego telefonu. Technicznie wszystko było w porządku.

– Może nie zdążył zapamiętać numeru? – zagadnął Leo, gdy kładliśmy się o pierwszej w nocy do łóżka.

– Nie sędzę. Powtórzyłam trzy razy, poza tym ten numer jest bardzo prosty.

– Fakt – mruknął.

– Trudno – westchnęłam rozczarowana, ale bynajmniej nie zdziwiona. – Próbowaliśmy.

– Próbowaliśmy – powtórzył za mną Leo. – Śpijmy, dziś już nic nie wymyślimy.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Nie mogłam zasnąć, a gdy tylko zmorzył mnie sen, oczywiście przepelniony koszmarami z Czwartym w roli głównej, budziłam się, bo ciągle wydawało mi się, że dostałam od niego wiadomość. Patrzyłam na ekran, zaliczałam kolejne rozczarowanie, a potem przez pół godziny znów nie potrafiłam zasnąć. I tak w kółko. Może właśnie dlatego zasnęłam, a Leo

razem ze mną. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy, odkąd mieszkały z nami dzieci. Było po dziewiątej, gdy do drzwi naszej sypialni zapukała Brygida. Wsunęła się nieśmiało i dała mi znak, że mam wyjść. Wyskoczyłam z łóżka jak oparzona, po drodze sięgając po szlafrok.

– Przepraszam, zaspaliśmy na śmierć. Mogłaś nas obudzić – powiedziałam, rozcierając policzki. – Coś z dziećmi? – Zaniepokoiłam się.

– Nie, wszystko w porządku. Przed chwilą zjadły kaszkę, a teraz bawimy się w salonie. Obudziłam cię, bo twój telefon ciągle pikał. Twój i Leo – dodała. – Pomyślałam, że to coś ważnego.

– Pikał?

– No tak. Chyba wiadomości.

– Jezu... – Odruchowo przycisnęłam dłoń do serca, czując, że to musi mieć związek z Czwartym. Zostawiłam Brygidę bez słowa i pognałam do kuchni, bo z reguły tam leżały nasze telefony. – O matko... – jęknęłam, widząc pięć SMS-ów na swoim aparacie.

– Coś nie tak? – stropiła się nasza niania, która po chwili weszła za mną do kuchni.

– Nie. Wszystko okej. Daj nam pół godziny, muszę coś pilnie załatwić. – Zabrałam oba telefony i wróciłam do sypialni. – Leo, wstawaj! – Potrząsnęłam nim. – Chyba odpowiedzieli.

Leo poderwał się jak dźgnięty nożem, pewnie podobnie jak ja spał płytko i czujnie.

– Pokaż. – Zerknął na szafkę, na której leżał telefon na kartę.

– Na mój i na twój. – Usiadłam blisko niego i podałam mu aparat. – Ja mam pięć SMS-ów, a ty?

– Też pięć.

– To. Nie. Wy. Stawiacie. Warunki – przeczytałam.

– Macie. Trzy. Duże. Światła. Czasu. – Leo odczytał swoje wiadomości i pokazał mi ekran. – Dostałem SMS-y z innego numeru – zauważył.

– Uhm. Trzeba sprawdzić, do kogo należą.

– Zaraz zadzwonię po Thora. – Leo już zaczął wybierać numer. – I trzeba powiadomić Alishę.

– Poczekaj! – Złapałam go za rękę. – Leo, wstrzymaj się.

– Co? – Podniósł na mnie wzrok.

– Nic cię nie uderzyło w tych SMS-ach? Popatrz, oni znają określenie „duże światło”.

– No tak. Myślisz, że nas podsłuchiwali?

– Akurat tego określenia na pewno nie mogli podsłuchać, bo przekazywałam je wam mentalnie. Pamiętam.

– Więc? – Zmarszczył czoło. – Sądziś, że Alisha albo Thor...

– Przestań, Thor na pewno nie. Spokojnie, tylko spokojnie... – jęknęłam, przyciskając dłonie do skroni. – To jeszcze o niczym nie świadczy. Alisha mogła przekazywać wszystko Brianowi, ale przecież on obiecał nam pomoc...

– Uważasz, że Alisha zdradziła mu treść zapisów z Księgi, a Brian skontaktował się z nimi? To nie ma sensu.

– Bo?

– Bo nie zdradziliby przed nami, że są z nim w zмовie.

– Niby tak. Ale z drugiej strony, mogli tak zrobić specjalnie, żeby zasiać wątpliwości, zamącić nam w głowach i sprawić, żebyśmy przestali sobie ufać.

– A niech cię – westchnął z uznaniem Leo. – Przyznaj, czytałaś tę książkę o sztuce prowadzenia wojen?

– Nie czytałam. Matko... – Potrząsnęłam głową. – Naprawdę można zwariować.

– Równie dobrze mogli się o tym dowiedzieć znacznie wcześniej. Przypuszczam, że to Wędrowcy z bardzo długim stażem, na pewno dłuższym niż mój, Thora, a nawet Krisa czy Dalili. Musimy coś założyć jako pewnik i sugeruję, żebyśmy uznali, że akurat wiedzę o nazwach miesięcy czy lat posiadli dawno temu.

– Okej. – Skwapliwie pokiwałam głową. – Musimy mieć jakiś punkt zaczepienia.

– No właśnie. Zakładamy, że Brian nas nie zdradził.

– Dobrze. Co teraz?

– Dzwonię po Thora, niech tu przyjedzie. Pogadamy.

– Znali nasze prywatne numery – stwierdziłam, widząc, jak Leo otwiera okienko z kontaktami.

– Uhm. Ale to chyba żadne zaskoczenie? – Przystawił aparat do ucha.

– Masz rację. Żadne.

Dwa dni później wiedzieliśmy już wszystko. SMS-y wysłano z numerów telefonów, które nie istniały i zostały w jakiś sposób wygenerowane. Thor zgodził się z nami w kwestii powiadomienia Alishy o tym, co się wydarzyło. Nie mieliśmy żadnych podstaw, żeby wierzyć Czwartemu i Wędrowcom, których reprezentował, że dotrzymają słowa i przez kolejne trzy miesiące dadzą nam spokój, ale znów przyjęliśmy założenie, że tak po prostu będzie. A co dalej? W końcu trzy miesiące to naprawdę niewiele czasu. Cóż, mogliśmy wprowadzić plan B, oddać im Księgę i liczyć, że w końcu odpuszczą. Po dosyć burzliwej dyskusji Leo zarządził kolejne głosowanie. Kolejny plan, już trzeci, przejściowy jak bycie Batawe, polegał na zintensyfikowaniu poszukiwań Wędrowców, zarówno przez Thora i Bekan, jak i przez Briana. Tyle na razie mogliśmy zrobić, a co z planem A, czyli unicestwieniem dziewięciu z Habbatum?

Dopóki mieliśmy Księgę, zawsze mogliśmy do niego wrócić, choć chyba nikt już tego nie chciał...

Rozdział 23

Plan A

Wybieramy się do Alishy i Briana. To on zadzwonił do Leo i powiedział, że chciałby nas zobaczyć, całą czwórkę, jak wyraźnie podkreślił, bo ma coś ważnego do zakomunikowania. Prosił, żeby absolutnie nic nie mówić Alishy. Oczywiście zaraz pomyślałam, że kroi się coś bardzo romantycznego. Czyżby zaręczyny?

Musiał być bardzo zdeterminowany, skoro nie wstydził się zadzwonić do Leo, a potem do Thora. Jego też zaprosił, razem z domownikami, i ponownie zastrzegł, że to sekret.

– Jak mam się ubrać? – spytał Leo. – Elegancko czy na sportowo?

– Ja idę w sukience – odparłam, poprawiając opaskę. Od kwadransa próbowałam zrobić coś sensownego z włosami, ale nie chciały mnie słuchać. – Lepiej tak czy tak?

– Lepiej bez opaski.

– Dzięki. – Stałam na palcach i cmoknęłam mężowski policzek. – Idź się przebrać, bo nie zdążymy. – Stuknęłam palcem w tors Leo.

– Okej. – Zrezygnowany pokręcił głową.

Założył garnitur, w którym najbardziej go lubiłam, ten granatowy, pasujący idealnie do czekoladowobrązowej koszuli, po czym przyszedł się zaprezentować w pełnej krasie.

– Doskonale wyglądasz. Uwielbiam cię w tym stroju – powiedziałam, czując, jak na policzki wypełzają mi rumieńce. Ech, gdyby nie to, że za chwilę mieliśmy wyjść, a w salonie czekała już na nas dwójka wystrojonych przez Brygidę berbeci i bukiet dla Alishy, chyba zaciągnęłabym mojego męża do sypialni i zdarła z niego te wszystkie ciuchy.

Leo miał obiekcje, czy powinniśmy jechać bez ochrony. Na początku się zgodził, ale potem uznał, że nie warto ryzykować, więc nie dość, że Mike władował się na tylną kanapę, to przed jaguarem jechał drugi samochód, a w nim dwóch nowych „byczków”, jak nazywał ich nasz tymczasowy opiekun bliźniaków. Na szczęście po drodze prawie nie było korków i dość szybko dotarliśmy na Platynowe Osiedle. Mike odprowadził nas pod drzwi, po czym zajrzał czujnie do środka, mruknął, że będzie czekał w samochodzie, i kazał natychmiast alarmować, gdyby coś się działo. Mój mąż, chcąc uzasadnić wzmożoną ochronę, powiedział swojemu bodyguardowi, że dostał ostatnio kilka anonimów od jakiejś fanatyczki. – *Niepotrzebnie mu nagadałeś jakichś głupot* – fuknęłam na Leo, ale bynajmniej się nie przejął. Wziął oba foteliki z naszymi dziećmiakami i poszedł do salonu.

– Jesteśmy pierwsi? – spytałam Briana, poprawiając po drodze fryzurę. Modliłam się, żeby ktoś już był i żeby to na nim skrupiły się ewentualne pretensje

Alishy, że nie uprzedziłam jej o swojej wizycie.

– Thor, Rebecca i Jurij przyjechali kilkanaście minut przed wami.

– Jak dobrze – odetchnęłam z ulgą.

– Zapraszam. – Odsunął się, żebym mogła przejść.

Jak na kogoś, kto zamierzał się dziś oświadczyć, Brian nie błysnął i założył zwykle dzinsy. Dobrze, że przynajmniej miał na sobie elegancką czarną koszulę. Leżała na nim doskonale. Nagle w mojej głowie błysnął flesz, przypominałam sobie, jak zobaczyłam Briana prawie nagiego, gdy byliśmy w Zakopanem, i co wtedy czułam. Potrząsnęłam głową, żeby odgonić tę myśl.

Na szczęście nie miałam czasu i możliwości dłużej rozważać, czy żałuję, że Brian nie pamięta tych wszystkich chwil i mnie samej jako obiektu swych westchnień. Powitał mnie gwar zgromadzonych osób. Thor i Began siedzieli na kanapie, a Jurij zaraz obok, jakby nie mógł się z nimi nagadać. A przecież mieszkał u nich już od tygodnia. Inna rzecz, że mieli mnóstwo wspólnych tematów, zwłaszcza Rebecca i Jurij. Thor już zdążył mi się pożalić przez telefon, że czuje się zepchnięty na boczny tor, bo Began i nasz Rosjanin wiecznie siedzą nad jakimiś wzorami i gadają o rzeczach, o których nikt zdrowy na umyśle nie ma bladego pojęcia.

Przysiadłam, żeby się z nimi przywitać, ale tylko na chwilę, bo widziałam, że Rani czeka, żeby z nią też zamienić kilka słów. Dobrze, że Leo poszedł tam z dziećmi, bo one potrafiły skraść serce każdemu.

– Jak ci się mieszka w Londynie? – zapytałam Jurija. Na szczęście dosyć płynnie posługiwał się angielskim i mogliśmy swobodnie rozmawiać.

– Dobrze – odparł lakonicznie i kilka razy chrząknął w kułak. Pewnie chciał, żebym ich zostawiła w spokoju. Wyraźnie preferował towarzystwo swoich gospodarzy i skoro już musiał zostać w Londynie przez bliżej nieokreślony czas, wolał nie zmieniać swych przyzwyczajeń i żyć tak jak w Aczyńsku.

– Bardzo się cieszę – powiedziałam, szybko oceniając niewielkie zmiany w jego wyglądzie.

Nadal nosił długą, krzaczastą brodę i wąsy, a szerokie brwi błagały o jakąkolwiek regulację. Niemal zupełnie zasłaniały piwne oczy Jurija. Ciekawe, czy cokolwiek widział? Pewnie nie. Stąd rozwichrzona pióra na głowie i brązowy sweter założony na lewą stronę. Ale musiałam oddać mu sprawiedliwość. Przyjemnie pachniał jakąś wodą kolońską i miał czyściuteńkie buty. „Jest progres” – pomyślałam, pamiętając, co czuliśmy ja i Leo, gdy w hali przylotów ujraliśmy Jurija idącego obok Nataszy. Nie byliśmy tam osobiście, poleciliśmy, a gdy każde z nas wróciło po tym szybkim rekonesansie, nasze miny musiały być bezcenne.

– Doskonale wyglądasz – skomplementowałam go.

Nie odpowiedział, uciekł wzrokiem, a po chwili spojrzął na Began spod swoich krzaków i zagaił coś o hipotezie Riemanna, a ona uśmiechnęła się jak

aniołek i odpowiedziała, że w zeszłym roku napisała pracę o rozwiązaniach trywialnych. Jurij natychmiast zastrzygł uszami niczym pies, a Thor głośno westchnął i wymamrotał pod nosem, zapewne do mnie, że jeszcze trochę i wniesie pozew o rozwód.

Nasi matematycy nawet nie zauważyli, że ich opuściłam, żeby osiąść się do Rani i Arpity.

– Mówiłam właśnie, że macie wspaniałe dzieciaczki – powiedziała ta druga.
– Bardzo grzeczne. Ile mają?

– Prawie pół roku – odpowiedział Leo, spoglądając z dumą na Edwarda.

Trzymał go na rękach, z kolei Cathy spoczywała w pulchnych ramionach Rani niczym na wielkiej różowej piance marshmallow. Wprawdzie Rani przybyła do Londynu ponad dwa tygodnie temu, ale spotykałyśmy się osobiście dopiero po raz drugi. Mimo to czułam się przy niej bardzo swobodnie, bo codziennie zamieniałyśmy kilka słów przez telefon. Dzisiaj Rani założyła jasnorożowe sari i dlatego wyglądała jak pianka. Gdy pierwszy raz ją zobaczyłam, z trudem powstrzymałam się, żeby nie wytrzeszczyć oczu. Rani była duża. Bardzo duża. Ponoć przytyła tak dopiero po menopauzie, jak zwierzyła się Alishy, ale jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

– Są bardzo grzeczni – stwierdziła Arpita, nachylając się, żeby pogłaskać Cathy po główce.

– A gdzie Alisha? – Rozejrzałam się wokół. Brian wyszedł do kuchni, gdy tylko przyszliśmy, ale brakowało jeszcze gospodyni.

– Poszła się przebrać – mruknęła cicho Rani. – Brian ją zaskoczył i chyba jest trochę zła z tego powodu.

– Uciekła do sypialni, jak tylko przyszli wasi znajomi – wyjaśniła Arpita i spojrzała w stronę Thora, Beka i Jurija, nadal pograżonych w rozmowie.

– Tylko my przynieśliśmy kwiaty? – Uniosłam brwi.

– I tylko ja założyłem garnitur – fuknął cicho Leo. – Czuję się jak idiota.

– Oj tam, nie marudź – zganiłam go.

– Przystojny z ciebie mężczyzna – cmoknęła z uznaniem Rani.

– Widziałam film z panem w roli głównej. *Francuski książę* – powiedziała Arpita. – To mój ulubiony film – zachichotała jak mała dziewczynka, a Leo pokręcił głową.

– Ciekawe, jak długo będę świecił oczami za to, że wtedy...

– Świeciłeś gołym tyłkiem – dokończyła Rani, a gdy zrezygnowany Leo spojrzał na nią z wyrzutem, zaśmiała się i stwierdziła, że to żaden wstyd pokazywać równie zgrabny tyłek.

– Proszę mi mówić po imieniu – zwrócił się do Arpity, ale ta się nie zgodziła.

– Nie śmiałybym mówić po imieniu komuś tak bardzo sławnemu. Gdy

kiedyś wrócę do Bukanwali, nikt mi nie uwierzy, że znam takiego gwiazdora. Zrobiłam sobie nawet zdjęcie z panem Leo – powiedziała do mnie. – Mogłam?

– Nie jestem zazdrosna – odparłam. – No, może troszkę. – Mrugnęłam do niej.

– Popatrzcie, a oto prawdziwa gwiazda dzisiejszego wieczoru... – syknął cicho Leo.

Od razu wszyscy spojrzeliśmy w stronę wejścia do salonu.

– Jaka ona piękna – jęknęłam z zachwytem na widok Alishy. Wyglądała jak objawienie. Założyła purpurowe sari, a we włosy wpięła złote ozdoby. Do tego lekki makijaż podkreślający czerń oczu i usta o najcudowniejszym kształcie. – Właśnie to czuję, choć wiem, że to płytkie.

– Co? – zapytała Arpita.

– Zazdrość, że można być tak pięknym...

* * *

Chyba zawstydziliśmy biedną Alishę, która nie dość, że musiała znosić nasze niespodziewane towarzystwo, to jeszcze miała zostać główną bohaterką dnia. Czekałem, kiedy Brian każe nam się uciszyć, żeby móc paść na kolana i poprosić Alishę o rękę, ale na razie nic takiego nie nastąpiło. Widziałem, że jest trochę podenerwowany, ale kto by nie był? Chyba każdy facet czuje stres, gdy wyjmuje z kieszeni małe pudełeczko z pierścionkiem, klęka przed swoją wybranką i prosi, żeby została jego żoną.

Nareszcie coś zaczęło się dziać, bo Brian stanął na środku salonu i spojrzął na nas. Od razu ucichliśmy jak trusie. „Najpierw pamiątkowe zdjęcie” – ogłosił, a z naszych gardeł wydobył się jęk zawodu, bo ileż można czekać. Najbardziej żal mi było Alishy, siedziała bez ruchu tuż przy Rani, a jej policzki płonęły żywą czerwienią. Arpita wniosła tacę z kieliszkami i ustawiła je na stoliku, gdzie czekało już wiaderko z chłodzącym się szampanem.

– Mogę prosić, żebyś przygotowała jeszcze herbatę? – zwrócił się do niej Brian.

– Tak, już pójde. – Kiwnęła głową i wyszła.

– Proszę do zdjęcia – zakomenderował Brian. – Szybko, bo ktoś tu się bardzo niecierpliwi. – Spojrzął na Alishę i obdarzył ją uśmiechem.

Trochę dziwiło mnie jego zachowanie. Był niczym konferansjer wynajęty, żeby poprowadzić jakiś mały event. Usadził nas wszystkich – od lewej Bekan, Thor i Jurij, niemalże wtopiony w obfite ciało Rani, trzymającej na rękach śpiącą w najlepsze Cathy, a po drugiej stronie ja z Edwardem, też ciut przygnieciony szerokim jak udo Mike’a ramieniem, obok mnie przytulone Anna i Alisha.

– A ty? – zapytała Anna.

– Ustawię samowyzwalacz i zaraz przyjdę – mruknął Brian znad aparatu. –

Coś mi nie gra. Za szeroko siedzicie. Przysuńcie się bliżej.

– Jeszcze Arpita – upomniała się Rani.

– Uhm, zaraz przyjdzie... – dobiegło nas kolejne mruknięcie. – Nie wiem, jak obsługiwać taki nowoczesny sprzęt – bąknął Brian.

– Laptopa ogarnąłeś, to też ogarniesz – burknął Thor. – Pospiesz się, bo za chwilę wszyscy goście umrą z głodu i pragnienia, a przyszła narzeczona ze starości.

– Jesteś okłopy – stwierdziła Began i spojrzała surowo na swojego męża.

– Rebecca, mogę cię prosić na moment? – Brian podniósł wzrok. Nie usłyszała, więc podszedł i wziął ją za rękę.

– Ej! To moja kobieta! – zaproponował Thor w żartach.

– Zaraz ci ją oddam. – Brian zaprowadził Began przed statyw i poprosił, żeby spojrzała, czy wszystko gra. – Mam problem z ostrością – przekazał jej.

Rebecca przyłożyła oko do aparatu i zaczęła kręcić obiektywem, ktoś z nas się zaśmiał, Edward znów wydał z siebie obficie oślinione „gu-gu-gu”, gdy nagle wypadki potoczyły się tak szybko, że chyba nikt poza mną nie zdążył ich zarejestrować. Brian złapał torbę, błyskawicznie wytrząsnął z niej Księgę, po czym doskoczył do nas i wepchnął ją prosto w ręce Anny.

Oburzony, już miałem spytać, co wyczynia, ale nie mogłem. To było jak chwilowy paraliż. Ogarnęło nas czerwone światło, które było wprost z okładki Księgi. Świeciło coraz mocniej, aż zmieniło się w oślepiającą białą kulę. Zapadła absolutna cisza. Była tak doskonała, że gdyby w tym momencie na podłogę upadł jeden ludzki włos, z pewnością byśmy to usłyszeli. Nagle luna zgasła, ale pojawiły się za to dziwne promienie, coś na kształt strug światła. Widziałem je, choć mój wzrok skupiony był w jednym punkcie, na Księdze. Wyływały z naszych serc. Pierwszy wytrysnął z serca Thora i połączył się z Księgą, potem z serca Jurija, Rani, mojego, Anny i Alishy. Już myślałem, że to koniec, gdy dwa węższe strumyki pojawiły się przy serduszkach Cathy i Edwarda. Osiem oślepiająco białych promieni łączyło nasze serca z Księgą i nagle coś zabrzęczało w naelektryzowanym powietrzu. Czulem, że moje włosy podnoszą się jak ułamek sekundy przed uderzeniem pioruna i wtedy naszym oczom ukazała się ostatnia smuga. Była wąska, delikatna, niemalże niewidoczna. Powstawała powoli, ale wyraźnie. Płynęła od brzucha Alishy, a gdy dotknęła okładki Księgi...

Ten krzyk miałem jeszcze długo słyszeć w swojej głowie...

– Nie... – Głos Alishy przeciął powietrze. – Nie!!!

Jak w zwolnionym tempie... Brian uśmiechnął się do nas, miałem wrażenie, że na moment uniósł dłoń, żeby pomachać nią w pożegnalnym geście, a potem jego ciałem coś szarpnęło. Wygiął się w łuk jak ugodzony nożem w plecy, naciągnął niczym struna, by prawie natychmiast opaść bezwładnie na ziemię.

Rozpętało się piekło, ledwie dosłyszałem głos Rani, która wykrzyknęła: „Ona jest brzemienista!”. Wiedziałem, o kim mowa, to Alisha spodziewała się

dziecka i to ono sprawiło, że było dziewięciu Wędrowców z Eperu i Księga, wszyscy zjednoczeni i zespoleni w całość! Uświadomiłem sobie, że się dokonało! Unicestwiliśmy dziewięciu Habbatum! Lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach, gdy dotarło to do mnie, ale nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać, bo wokół panował totalny chaos! Dzieci krzyczały wniebogłosy, Alisha wyła jak ranne zwierzę, Anna chyba próbowała ją przytulić, lecz nie miałem głowy, by sprawdzić, co z nimi.

Wydostałem się spod ciężkiego ramienia Rani, na dokładkę do Cathy wepchnąłem jej Edwarda i doskoczyłem do leżącego Briana. Musiałem coś sprawdzić!

– Thor! – krzyknąłem. – Pomóż mi! – Chyba jakimś piątym zmysłem wyczuł, co się stało i gdzie leży Brian, bo sekundę później przyklęknął po drugiej stronie. – Niech ktoś zabierze stąd dzieci! – poleciłem. Ich gwałtowny płacz nie pozwalał na zebranie myśli.

Kątem oka zarejestrowałem, że Arpita przybiegła z kuchni, pewnie przywołana wszechobecnym harmidrem, i doskoczyła do Rani, by odebrać jej Cathy.

– Arpita, zabierz Beka i Jurija, weźcie dzieciaki i wyjdźcie stąd! – huknąłem, żeby wszyscy mnie usłyszeli.

Już po chwili zapanował względny spokój, bynajmniej nie błogi, bo zakłócany szlochem Alishy. Zawodziła: „Brian odszedł...”, a ja czułem, że jeszcze sekunda i coś mi pęknie, serce albo głowa, ewentualnie to i to.

– Trzeba to zdjąć – powiedziałem, próbując rozpiąć koszulę Briana, ale moje dłonie zbyt mocno drżały. Chwyciłem brzegi koszuli i rozerwałem ją z impetem. Małe guziczki rozprysły się na boki niczym stadko pcheł.

– Co mam robić? – spytał Thor.

– Zaraz ci powiem – odpowiedziałem, niecierpliwie rozsuwając poły koszuli. Musiałem zobaczyć znamię. – Przyłóż ucho i posłuchaj, czy jego serce bije. – Odwróciłem się, żeby zerknąć, co się dzieje z Alishą. Ucichła. Jej ciałem wstrząsały delikatne spazmy, tłumione przez ramiona mojej żony. – Może ją stąd wyprowadź? – powiedziałem do Anny, ale pokręciła głową. – I co? Żyje? – Zwróciłem wzrok ku Thorowi.

– Nic nie słyszę – szepnął niemal bezgłośnie.

– Musimy go ratować, popatrz, znamię nie zniknęło. – Pokazałem znak Habbatum na obojczyku Briana.

– Wierzę ci na słowo – prychnął Thor. – Robimy masaż serca?

– Tak. On żyje – stwierdziłem z mocą.

– Skoro tak twierdzisz...

Thor podniósł się, żeby móc wykonać masaż, a ja nachyliłem się nad twarzą Briana. Szkolono mnie z pierwszej pomocy, więc doskonale wiedziałem, jak się to

robi, ale nigdy nie wykonywałem sztucznego oddychania na żywym organizmie, a teraz miałem przycisnąć usta do ust innego mężczyzny. – *Leo, pomyśl, że to fantom* – usłyszałem głos mojej żony. – *Zamknij oczy i pomyśl, że to fantom* – powtórzyła, spostrzegłszy pewnie, że mam opory.

Nie wiem, jak to zrobiłem. Wyłączyłem chyba jakąś część świadomości. Zamknąłem oczy i wykonywałem oddechy, a Thor uciskał mostek Briana, liczył i mówił, kiedy mam zrobić wdech.

– Poczekaj! – Zatrzymał mnie.

Uniosłem głowę, a Thor opuścił swoją, żeby posłuchać, czy nasze starania przyniosły jakiś efekt, gdy Brian zakasłał. Aż podskoczyłem, bo tak mnie wystraszył. Zwinięty w kłębek krztusił się przez chwilę i głośno łąpał powietrze.

– Klepnij go w plecy – zasugerowała Rani.

Thor wyciągnął rękę, zamachnął się i grzmotnął Briana w plecy, aż zadudniło.

– Będzie żył! – pisnęła Rani nad moją głową. Z tego wszystkiego nie zauważyłem, że wstała. Górowała nad nami jak sterowiec; istny Hindenburg, tylko z różowym poszyciem.

– Patrzcie – wymamrotałem przejęty, wróciwszy wzrokiem do Briana. Leżał na wznak i łąpał powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. – Patrzcie na jego obojczyk. – Nie mogłem uwierzyć, co się dzieje. Z prawej strony nadal widniało trójkątne znamię Habbatum, a z lewej, symetrycznie odbity, pojawiał się powoli znak Eperu. – To jakiś cud? Co to jest?

– Leo?! Co się dzieje? – zapytała Anna. Nie widziała nas, bo Rani zasłoniła jej wszystko swoimi biodrami. – Co z Brianem?!

– Żyje – uspokoiłem ją. – I chyba nic mu nie dolega, bo wygląda nieźle – stwierdziłem, zauważając, jak trupia bladeść policzków Briana ustępuje lekkiemu rumieńcowi.

– Boże... – jęknęła Anna zza moich pleców. – Boże, jak się cieszę! Słyszysz?! Alisha, posłuchaj, Brian żyje!

– Podnieście go – poleciła Rani. – Chcę coś zobaczyć.

Spełniliśmy jej polecenie, bo Brian nie dość, że przestał już charczeć i rzeźzić, to próbował samodzielnie wstać. Mimo to podałem mu ramię, żeby znów nie wywinął orła. Jeden statyw zdążył już połamać, udało mu się również roztrzaskać aparat. O tym, że śmiertelnie wszystkich wystraszył, nie musiałem nawet wspominać.

– To tatuaż – oznajmiła Rani, dotykając prawego obojczyka Briana. – Ten znak został wytatuowany.

– Co? – Wybałuszyłem oczy. Spoglądałem to na Rani, to na Annę tulącą w objęciach Alishę, to na naszego oszusta, który tak pięknie wyprowadził wszystkich w pole.

– Widzę minerały – przypomniała mi dostojnie Rani Bhadura. – Tatuaż wykonano wyjątkowo kiepskim tuszem. Zawiera w składzie siarkę i trochę kadmu. Bardzo niezdrowe, ale nic mu nie będzie – prychnęła pod nosem. – Takim łotrom nigdy nic nie dolega. Zawsze spadają na cztery łapy. Mówiłam ci, żebyś na niego uważała – zwróciła się do Alishy, lecz ta nadal tkwiła z twarzą wtuloną w pierś Anny.

– To prawda? – Potrząsnąłem Brianem, bo milczał jak zakłęty. Oczywiście nie odpowiedział. Odwrócił głowę, żeby nie widzieć mojego świdrującego spojrzenia.

– Udawał, że należy do Habbatum, podczas gdy był z Batawe – orzekła Rani. – A teraz jest z Eperu.

– Rani ma rację – poparła ją Anna. – Jakże inaczej mógłby spłodzić dziecko?

– A tak, dziecko. – Pokiwałem głową.

Przymrużyłem oczy, bo miałem wrażenie, że coś mi umknęło. Myślałem intensywnie i nagle mnie oświeciło. Przypomniałem sobie moment, w którym Brian wybudził się ze śpiączki. Coś mi wtedy nie pasowało w jego wyglądzie. Teraz już wiedziałem co. Nie miał żadnego znamienia.

– Leo... – Anna sprowadziła mnie z powrotem na ziemię.

– Tak? – Spojrzałem na nią.

– Słyszysz? Cathy okropnie płacze.

– Idź tam, chłopcze – powiedziała Rani.

Pobieglem, żeby sprawdzić, co się dzieje. Znalazłem wszystkich w sypialni: Bekan chodzącą w kółko i bezradnie próbującą uspokoić Cathy, Jurija, który siedział na brzegu łóżka, sztywny, jakby połknął kij, i Arpitę niańczącą Edwarda.

– Sytuacja opanowana – powiedziałem, biorąc Cathy na rękę.

Od razu przestała płakać, ale chyba pogniewała się na mnie i Annę, że tak okrutnie ich porzuciliśmy, bo odwróciła główkę. Dałbym sobie rękę uciąć, że słyszałem pretensję w jej gaworzeniu.

– Co z Brianem? – spytała strwożona Arpita.

– Żyje i jest zdrow.

– Naprawdę? – Służąca Rani przyłożyła dłoń do piersi. – Jak dobrze... – westchnęła z ulgą. – Panienska Alisha zapłakałaby się na śmierć.

– Mogę tam już iść? – zapytała Rebecca.

– Tak. Przepraszam, że na was wrzeszczałem, ale...

– Nić się nie stało. – W puciołowatych policzkach Bekan pojawiły się dwa słodkie dołeczki. Prawie takie same, jakie zdążył już wyhodować nasz pulpet Edward.

Wyszła z sypialni, a Jurij podążył za nią jak satelita. Potrzebowałem chwili, żeby ochłonąć. Przysiadłem na brzegu łóżka i z niedowierzaniem potrząsnąłem

głową. Daliśmy się wywieść w pole jak dzieci. Swoją drogą, musiałem przyznać, że Brian mi zaimponował. Podjął za nas decyzję i sam rozegrał tę partię szachów. Chyba nigdy nie widziałem równie spektakularnego mata.

Jeszcze do mnie w pełni nie dotarło, że właśnie staliśmy się wolni, że już nikt nam nie zagraża, że wreszcie możemy odetchnąć pełną piersią i wyjść, nie martwiąc się o bezpieczeństwo. Z natłoku emocji aż kręciło mi się w głowie. W moim sercu zaczęła kiełkować ogromna wdzięczność. Brian nas wyzwolił...

Alisha – Epizod 11

Wszyscy już dawno pojechali, a Rani zasnęła. Jeszcze przez chwilę porządkujemy z Arpitą salon. Zbieram kieliszki, puste filiżanki i dzbanek z zimną herbatą. Ogarniam wzrokiem pokój, chyba nic nie zostało. Żadnych śladów po nieudanych oświadczeniach. Nieudanych, bo nie doszły do skutku.

Arpita mówi, że powinnam jak najszybciej się położyć, ale nie w głowie mi odpoczynek. Gdy pomyślę, że mam spędzić noc w jednym łóżku z mężczyzną, który tak okrutnie mnie okłamał i posłużył się mną jak narzędziem, chce mi się wyć. Żałuję, że Rani i Arpita mieszkają u mnie. Zajęły dwie sypialnie, a mnie pozostało albo zacisnąć zęby i spać z Brianem, albo ułożyć się na kanapie. Zrobiłabym to, gdyby nie obecność naszych gości, bo niewygodnych pytań boję się bardziej niż twardego siedziska. Spędzam prawie pół godziny w łazience i w końcu wlokę się do sypialni, zakutana po szyję w szlafrok. Zamykam za sobą drzwi i przez chwilę opieram się o nie plecami.

Mój przyszły niedoszły narzeczony, ojciec mojego dziecka, siedzi na brzegu łóżka i czeka na mnie. Z trudem tłumię w sobie chęć spytania z troską, czy aby na pewno dobrze się czuje, bo jest błądy jak ściana, a dla kontrastu jego oczy prócz błękitu połyskują intensywną czerwienią. Nie wiem, czy to ślady łez, ale kiedy płakał? Nie zauważyłam. A może to efekt sztucznego oddychania i masażu serca, które zafundował mu Leo wespół z Thorem?

– Wybacz mi. Powinienem był ci powiedzieć. – Bezwiednie zaciska dłonie na krawędzi materaca. – Przepraszam. Naraziłem cię na stres.

– Stres? – prychnę, nie wierząc w to, co słyszę. – Od kiedy wiesz?

– Usiądź. Proszę – dodaje błagalnie. – Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Wiem, że nie ustąpi i gdy go nie posłucham, podejdzie tu, złapie mnie za rękę i...

A ja nie chcę, żeby mnie dotykał, więc odrywam plecy, przemierzam pokój i siadam dokładnie po drugiej stronie wielkiego łóżka plecami do Briana i całego świata. Widzę tylko ścianę zasłon, miękko układających się na dywanie.

– Od kiedy wiedziałeś? – powtarzam pytanie. Chcę wreszcie poznać prawdę, jak długo Brian ukrywał przede mną, że nie jest z Habbatum, lecz Batawe.

– Wiem od dzisiaj – pada zza moich pleców.

– Kłamiesz. Jako Batawe nie wiedziałeś Astrum. Choćby w ten sposób

mogłeś się zorientować, że już nie jesteś z Habbatum, a znamię to zwykły tatuaż.

– Nie próbowałem latać.

– Kłamiesz – powtarzam. – Na pewno próbowałaś. I na pewno latałaś, żeby nas bezkarnie podsłuchiwać i podglądać. Już wiem, czemu nigdy nie okazałaś nawet odrobiny zaskoczenia, gdy mówiłam ci, o czym rozmawialiśmy. Pamiętasz? Gdy wróciłam po głosowaniu i wszystko opowiedziałam, nawet nie drgnęła ci powieka. Nic. Po prostu nic. Już zdążyłaś przemyśleć swój plan. To, że uwiedziesz mnie w hotelu i zrobisz mi dziecko, też. Każdy twój ruch, słowo, gest – to wszystko było elementem planu. Dlaczego? – Nie wytrzymuję. Moim ciałem wstrząsa pierwszy szloch.

– Mogę do ciebie podejść?

– Nie – wykrztuszam przez łyzy. – Jak mogłeś mnie tak okłamać? Co ty sobie wyobrażałaś? Że spokojnie pogodzę się ze świadomością, że cię stracę, gdy dziecko się urodzi? Miałam czekać na jego narodziny, wiedząc, że gdy nastąpi ten dzień, znikniesz na zawsze? – łkam, dławiąc się słowami, tymi wypowiedzianymi i tymi, które jeszcze kłębią się w moim sercu.

– Błagam, przestań płakać. – Brian mimo mojego sprzeciwu zrywa się z łóżka i po chwili przyklęka przede mną. – Wybacz mi. Myślałem, że to najlepsze, co mogę dla ciebie zrobić.

– Naprawdę? – Nie mogę uwierzyć, że jest aż tak ślepy. – Nie zauważyłaś, że cię kocham? Że jesteś dla mnie całym życiem? – pytam. – Tylko dlatego zgodziłam się jechać po Rani, bo do końca wierzyłam, że znajdziemy z Anną inne wyjście. Ona też nie chciała dopuścić do tego bezlitosnego rytuału.

– Ale jakie było inne wyjście? – chrypi Brian, przejęty chyba moim płaczem.

– Jakie?! Czy to w ogóle ma znaczenie? Przecież za dwa i pół miesiąca mieliśmy oddać im Księgę! A nawet gdyby do tego nie doszło, to nadal nie odbierało mi nadziei, że zostaniesz ze mną. Rozumiesz? – podnoszę głos. – Łudziłam się, że na świecie jest więcej niż dziewięciu Wędrowców spod znaku Habbatum i ocalejesz! Albo że nie uda nam się odnaleźć brakującego Wędrowca z Eperu. A ty? – Nie wytrzymuję, odwracam się, wpełzam na środek łóżka i bezsilnie opadam na poduszkę. Wtulam twarz i płaczę, nie wierząc, że Brian z zimną krwią zaplanował wszystko, włącznie ze swoim definitywnym końcem.

Czuję, jak materac ugina się pod ciężarem jego ciała. Usiadł gdzieś przy moich stopach i cicho powtarza, że mam przestać płakać, bo coś mi się stanie. Ale jak? Jak mam przestać? Chyba nigdy przy nim nie płakałam, byłam zamrożona, a moje serce tajało bardzo wolno. Może dlatego teraz wypływają ze mnie strugi łez.

– Wybacz mi – powtarza cicho. – Nie potrafiłem się odnaleźć. To Debora zrobiła mi ten tatuaż. Uśpiła jakimś świństwem, a gdy się przebudziłem, już był. Powiedziała, że tak musi być i nie wolno mi komukolwiek o tym wspominać. Nie

wiem, dlaczego jej posłuchałem. Pewnie przez narkotyki i leki, które mi podsuwała, zatruwając moją własną wolę i odbierając resztki przyzwoitości. A potem... – bierze głęboki wdech – a potem było za późno, żeby powiedzieć wam prawdę, choć myślałem o tym wiele razy. Wiesz, kiedy to sobie przypomniałem?

– Wiem.

– To przez ten teledysk. Przypomniałem sobie wtedy kilka zdarzeń, ale nie chcę do tego wracać. I masz rację, mówiąc, że was podsłuchiwałem. Było tak. Robiłem to systematycznie. Gdy powiedziałaś, że mam pomóc odnaleźć kolejnych Wędrowców spod znaku Eperu, czułem, że teraz wszystko się wyda. Nie widziałem Astrum, o którym kiedyś rozmawialiście. Mimo to nadal nie byłem do końca pewny, czy jestem z Batawe. Co do planu, dobrze wiesz, że Rani wkrótce umrze. To już nie kwestia miesięcy, lecz tygodni, o ile nie dni. Jej serce jest niewydolne, grozi jej zawał, może udar. Znasz datę jej śmierci, więc zdajesz sobie sprawę, że za chwilę zabrakłoby wam dziewiątego Wędrowca, a ja nie mógłbym go odnaleźć. Co, gdy ci z Habbatum najpierw zabraliby Księżę, a potem znów zaatakowali, by zwerbować Annę?

– To cię nie usprawiedliwia – odpowiadam prawie natychmiast. – Mogłeś z nami porozmawiać. Wyznać prawdę. Zaufałam ci. Ja i nie tylko ja.

– Zapamiętaj, tym z Habbatum nigdy nie można zaufać. Uwierz mi. Wiem to, bo sam byłem Habbatum i chyba nigdy w jakimś stopniu nie przestanę być odszczepieńcem. Habbatum nie odpuszczają. Nie wierzę, że dotrzymaliby słowa i nie zaatakowali was w najmniej oczekiwanym momencie. A ja? Jestem prawie takim samym śmieciem jak oni. Nie zasługuję na ciebie. Uznałem, że powinnaś mieć szansę spotkać kogoś wartościowego, nie łotra z życiorysem pełnym postępków, z których z pewnością niejednokrotnie byłem dumny.

– Nie jesteś śmieciem. – Nie wytrzymuję i siadam, bo chcę ujrzeć ukochaną twarz Briana. Bez względu na to, co zrobił, nadal go kocham tak samo mocno jak dzisiaj rano i jak wczoraj, przedwczoraj i jeszcze wcześniej.

– Wydałaś mi się jak dziecko, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem: słaba, niemalże bezbronna, ale to ty byłaś silniejsza ode mnie. Szybko to zrozumiałem, prawie od razu. Na początku chciałem cię wykorzystać, miałaś mi ułatwić podjęcie decyzji, co dalej? Życie alkoholem i narkotykami, by po kilku latach stać się ruiną? Jak uciszyć głosy demonów? Sięgasz po tabletkę, strzykawkę, kieliszek, cokolwiek, co na moment zamknie im usta, usunie ból i pozwoli zapomnieć. Myślałem: a może zacząć nowe wcielenie lub ostatecznie zakończyć wszystko? To wydawało się najbardziej sensownym rozwiązaniem. – Zwiesza na chwilę głowę. – A potem... A potem zakochałem się w tobie. Marzyłem, żeby zasnąć obok ciebie i całą noc wdychać zapach twoich włosów, doświadczyć tego choć raz. – Ociera oczy, a jego rzęsy zwilżone łzami połyskują złociście. – Bałem się, co przyniesie przyszłość i czy w ogóle przyniesie coś dobrego. Ale nie dla mnie, tylko dla ciebie.

– Nachyla się i ostrożnie całuje palce mojej stopy. – Powiedz słowo, a zrobię, co zechcesz. Jeśli mam zniknąć z twojego życia, zrobię to. Usunę się w cień i nigdy mnie nie zobaczysz – mówi cicho.

– Naprawdę tego chcesz? – pytam, kolejny raz nie mogąc uwierzyć, że z taką łatwością potrafi przekreślić naszą miłość. – Nie słyszałeś, co ci powiedziałam? Przecież ja cię kocham. Prawie pękło mi serce, gdy myślałam, że bezpowrotnie cię straciłam. A ty... a ty... – jąkam się – chcesz odejść? Teraz? Po tym wszystkim? A nasze dziecko? – rzucam ostatni argument i znów zanoszę się płaczem.

– To nie tak! – Brian natychmiast przysiadł się obok, a po krótkim zawahaniu obejmuje mnie i przytula. – Zrobię, co zechcesz. Kocham cię nad życie i jeśli mi kiedyś wybaczysz, będę najszczęśliwszym mężczyzną na Ziemi. – Całuje czubek mojej głowy.

– Już ci wybaczyłam. Wszystko.

– Powiedz, mam prawo cię kochać? – pyta szeptem, a gdy nie odpowiadam, bo nie jestem w stanie, mówi: – Kocham cię. Jesteś moją duszą i sercem, czymś najlepszym, co mogło mi się przytrafić. Już nigdy cię nie okłamię, nie zawiodę twojego zaufania. Przysięgam.

Czuję, jak w moim sercu rozlewa się ciepło. Wszystkie niezadane, napastliwe pytania: „Dlaczego ja mam żyć z konsekwencjami twoich wyborów? Co, jeśli znów straciłbyś pamięć i zapomniał, że kiedyś mnie kochałeś? Co, gdybyś nie zmienił się w Eperu?” – te wszystkie pytania znikają jak mgiełka pary wodnej pod palącymi promieniami słońca.

Nic nie mówię, więc Brian, zaniepokojony moim milczeniem, pyta z przejęciem, czy dobrze się czuję.

– Tak.

– Ktoś kiedyś powiedział, że żaden mężczyzna nie pozna ścieżek, którymi zmierza kobiece serce. Naprawdę mnie kochasz? – szepcze mi nad głowę.

Długo milczę. W końcu przykładam dłoń do brzucha.

– Damy jej na imię Iksha – mówię cicho.

– To będzie dziewczynka?

– Tak. Śliczna dziewczynka ze złotymi rzęsami...

Rozdział 24

Zbrodnie doskonałe

Biegłem po schodach, jakby ktoś przyprawił mi skrzydła. Wpadłem do apartamentu, zajrzałem do pokoju dzieciaków, ale nikogo tam nie było.

– Gdzie dzieci? – spytałem Annę, którą odnalazłem w salonie.

– Mama wzięła je na spacer – wyjaśniła.

– Nie za zimno?

– Przestań. Przecież jest ładnie. Słoneczko wyszło. – Anna spojrzała w stronę okna.

– Ubrane są ciepło?

– Leo, nie zmieniaj się w kwokę. – Moja żona z dezaprobatą pokręciła głową.

– Mamy coś – oznajmiłem z entuzjazmem, choć jeszcze nie zdążyłem przeczytać artykułu. Może czułem podświadomie, że to kolejny krok do poznania całej prawdy o Wędrowcach.

– Co to? – Podeszła i cmoknęła mnie w policzek.

– Tygodnik o niewyjaśnionych zbrodniach, dziwnych przypadkach, coś w typie serialu *Z Archiwum X*, pamiętasz? – Spojrzałem na Annę. Zmarszczyła nos, więc dodałem, że z Davidem Duchovnym, ale to nie była dla niej żadna podpowiedź. – Za młoda jesteś. – Mrugnąłem do niej porozumiewawczo.

– Odezwał się starzec – parsknęła. – I co z tą gazetą?

– Chodź tu. – Usiadłem i klepnąłem miejsce tuż obok.

Anna od razu wskoczyła na kanapę i przytuliła się do mnie. Ostatnio mieliśmy mało czasu dla siebie. Moja praca, studia Anny i oczywiście dzieciaki, które wymagały coraz większego zaangażowania. Mimo to nie zamieniłbym mojego życia na żadne inne.

– To jakaś sensowna gazeta? – spytała, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Zobaczymy. Thor do mnie zadzwonił i kazał kupić. Już to czytałem – dodałem, widząc pytające spojrzenie Anny. – Alisha ponoć też. Okej... – Przewertowałem kilkanaście stron, rejestrując mimowolnie krzykliwe tytuły: *Moja żona zaszła w ciążę ze zmarłym!* lub *Jak zostałam katolickim księdzem*. – Jest.

– *Zbrodnie doskonałe* – przeczytała Anna.

– Uhm... – mruknąłem, rozkładając gazetę tak, żebyśmy oboje mogli czytać równocześnie. – To zaczynamy.

– Czytaj na głos – zaproponowała Anna.

– Okej. *Doświadczenie uczy, że nie ma zbrodni doskonałej. Czy aby na pewno?* – zacząłem tonem jak z horroru. Anna natychmiast zachichotała, więc kontynuowałem:

Przy wschodniej granicy Bośni i Hercegowiny, w wysuniętej na północ części Narodowego Parku Una, leży tajemnicza posiadłość. To właśnie tam trzydziestego pierwszego października ktoś (lub coś) dokonał zbrodni doskonałej. Ale zacznijmy od początku. Czwartego listopada mieszkanka małej osady...

– Raćić – przeczytała Anna.

– Raczycz? – próbowałem powtórzyć, ale niezbyt dobrze mi to wyszło.

– Ra-czić.

– Nieważne. – Machnąłem ręką.

...trzydziestoletnia Mirna S. wyszła z domu. Była szósta rano, a Mirna, jak co dzień, zamierzała iść do stajni, by oporządzić zwierzęta. Weszła do budynku i, jak nam przekazała, wiedziona tajemniczym głosem, który słyszała w głowie, najpierw zajrzała do owiec.

Spojrzałem na Annę i puściłem jej oczko.

– To ty jej kazałaś?

– Czytaj! – popędziła mnie. – To bardzo ciekawe.

Ku swemu zdumieniu odkryła tam śpiącą dziewczynkę. Dziecko ułożyło się na słomie, a owce obok niej, niczym w betlejemskiej stajence. „Byłam w szoku. Prawie umarłam, gdy zobaczyłam to dziecko. Najpierw się bałam, ale strach szybko mi przeszedł. Skoczyłam tam, żeby sprawdzić, czy dziewczynka żyje. Bałam się, że owce ją stratowały. Od razu się obudziła. Myślałam, że będzie płakać albo krzyczeć, a ona tylko uśmiechnęła się do mnie jak anioł. Wyglądała trochę jak nasze dzieci, miała czarne włoski, długie i kręcone. I pełno w nich słomy” – dodaje ze śmiechem Mirna. – „Zabrałam ją do domu. Była głodna, bo zjadła wszystko, co jej dałam. Próbowałam dopytać, jak ma na imię, ale mnie nie rozumiała. W końcu postanowiłam powiadomić policję, bo co miałam zrobić” – pyta, a po chwili dodaje: „Jestem panną, mieszkam sama, bo rodzice dawno zmarli, i gdybym mogła ją ukryć, pewnie bym ją zostawiła na wychowanie. Była śliczna jak aniołek. Nie widziałam ładniejszego dziecka”. – Mirna znów się śmieje.

Pokręciłem głową, myśląc, że prawdziwa śmieszka z tej Mirny.

Pytamy, co było dalej. „Policja przyjechała bardzo szybko, a chwilę później karetka. Jeden z sanitariuszy znał angielski i zagadał do małej, a ona mu odpowiedziała! Powiedziała, że ma sześć lat i jeszcze nie ma imienia. Zabrali ją, a ona na pożegnanie mi pomachała. Nigdy tego nie zapomnę”. Rozczuła się, więc przestajemy nagrywać i czekamy, aż Mirna się uspokoi.

– Leo, uwielbiam twój głos – wtrąciła Anna. – Mogłabym go słuchać godzinami.

– Będiesz miała okazję, popatrz, jakie to długie. – Pokazałem jej dwie następne strony.

– Czytaj. – Anna wsunęła rękę pod moje ramię i przywarła bliżej. Pewnie chciała zobaczyć zdjęcia, którymi sownie okraszono artykuł.

Mirna już nie chce z nami rozmawiać, więc próbujemy odnaleźć ratownika, który jako pierwszy rozmawiał z dzieckiem. Milovan K. ma dwadzieścia sześć lat i niedawno skończył studia. Na początku się opiera, ale drobna gratyfikacja rozwiązuje mu język. Według jego słów dziewczynka była trochę odwodniona, ale ogólnie jej stan określił jako dobry. Pomyślał, że spyta, skąd się wzięła, jak dotarła do wioski, a ona bez wahania odparła, że przyszła. Szła lasem, aż napotkała domek ze zwierzątkami. Zwierzyła się, że zjadła trochę karmy dla kur, ale jej nie smakowała i postanowiła iść spać, bo bolały ją nóżki. Jakby nie dość było tych tajemnic, dziecko powiedziało, że wszyscy umarli albo uciekli i że została tylko ona i babcia, którą trzeba uratować.

– Ups... – syknęła Anna.

Pytamy Milovana, czy przekazał to policji, a on natychmiast potwierdza. Dodaje, że dziewczynka bardzo precyzyjnie wskazała miejsce, gdzie miała znajdować się jej babcia. Był pan tam? – jesteśmy ciekawi. Niestety Milovan zaprzecza. Musimy szukać dalej. Nie udaje się nam porozmawiać z nikim ze służb, które wówczas pojechały na interwencję, ale docieramy do dziennikarza, który zajął się tą sprawą (mężczyzna zastrzegł sobie anonimowość), a ten odsyła nas do swojej notatki z piątego listopada. Co w niej czytamy?

Odchrząknąłem, bo zaschło mi w gardle.

Wstępne ustalenia funkcjonariuszy wskazują, że było to morderstwo. W sprawie nie zatrzymano na razie żadnego świadka. Ciała czterech mężczyzn i jednej osoby nieletniej, chłopca, znaleziono w prywatnej posiadłości znajdującej się na terenie Parku Una. Zwłoki pięciu ofiar przewieziono do zakładu medycyny sądowej w Sarajewie, gdzie zostaną przeprowadzone badania. Sekcja pozwoli poznać dokładną przyczynę śmierci. Oprócz ciał policja odnalazła jedną żywą osobę. To starsza kobieta. Została przetransportowana śmigłowcem medycznym do szpitala w Sarajewie. Policji nie udało się zidentyfikować ofiar. Każdy, kto może coś wiedzieć o sprawie, proszony jest o zgłoszenie się do najbliższego posterunku i złożenie zeznań.

– Boże... – jęknęła Anna. – Leo, jak myślisz, to jest prawda? Czy to jakieś bujdy ten artykuł? – Spojrzała na mnie oczami wielkimi jak dwufuntówki.

– Nie mam pojęcia. Myślę, że trzeba sprawdzić, czy ta zacytowana notatka z piątego listopada w ogóle się ukazała i w jakiej gazecie.

– Uhm. Może poprosić Bekan?

– Jak znam Thora, na pewno już to zrobił.

– Czytaj, a potem do niego zadzwonimy.

– Jasne – mruknąłem, sięgając po kubek z resztką herbaty.

Nadal niewiele wiemy, więc szukamy, tropimy i węszymy. Bez skutku. Nagle następuje przełom. Dostajemy e-maila z informacją, gdzie mamy przyjechać, żeby poznać wszystkie szczegóły. Jedziemy tam, tajemnicza informatorka już na nas

czeka. Nie zdradzimy, kim jest, ale możecie być pewni, że wszystko, co nam przekazała, dokładnie sprawdziliśmy.

– My? Czyli kto? Czemu w liczbie mnogiej?

– Może to pisał zespół reporterów? – Zajrzałem na koniec artykułu, żeby stwierdzić, że mam rację. – Widzisz? Jamie Fester i Neil Templer.

– Okej.

– Jedziemy, bo zaraz Julka wróci – powiedziałem, zerkając na zegarek.

Miejsce zbrodni? Posiadłość, czyli budynek starego kościoła oraz zabudowania gospodarcze, znajduje się w centralnej części Narodowego Parku Una. Miejsce jest ustronne i otoczone wysokim, murowanym ogrodzeniem. Właściciel sporej posiadłości (zajmuje prawie dwa hektary) to spółka handlowa Omal Ltd (handel i produkcja win gronowych, nalewek i innych niskoprocentowych alkoholi, w tym miodów pitnych) z siedzibą zarejestrowaną na Cyprze. Uczestnikami były ofiary, każda dysponowała dwudziestoma procentami. Kim byli? Co o nich wiemy? To czterech mężczyzn i chłopiec. Wszyscy byli obywatelami Cypru, posiadali cypryjskie obywatelstwo i odpowiednie dokumenty. Imion i nazwisk nie znamy, ale nasza informatorka zdradziła wiek ofiar. Od najstarszego: 59 lat, 47 lat, 35 lat, 23 lata i 12 lat. Już to jest zaskakujące, bo różnica wieku między każdym z nich jest stała.

– Leo... – bąknęła Anna.

Chwyciła mnie za ramię i przycisnęła dłoń do ust. Wiedziałem, o co jej chodzi. Mną też trochę trzepnęło, gdy przeczytałem, że wśród ofiar było dziecko, choć liczyliśmy się z tym. Przecież Jack niedawno zakończył wcielenie, był niemowlęciem w chwili, gdy definitywnie zakończył swoje istnienie.

– Posłuchaj, każdy z nich był kiedyś dzieckiem. Ten, który zacisnął garotę na szyi Nat, też miał kiedyś dwanaście lat. Nie możemy o tym zapominać.

– Wiem, ale i tak... – Przełknęła ślinę. – On jeszcze nie zdążył sobie przypomnieć, kim jest i kim był w poprzednich wcieleniach.

– Nie myśl o tym – powiedziałem stanowczo, czując, że jeszcze chwila i Anna się rozklei. Od kiedy została matką, stała się bardzo wrażliwa na los dzieci.

– Czytam – oznajmiłem.

Gdzie odnaleziono ciała? Zwłoki najstarszego mężczyzny znaleziono na schodach prowadzących do piwnicy pod głównym budynkiem. Drugie ciało śledczy odkryli w samochodzie marki Porsche, zaparkowanym przed budynkiem oznaczonym na mapce jako biuro administracji. Zmarły leżał z głową opartą o kierownicę. Śledczy ustalili, że w chwili śmierci mężczyzny silnik samochodu pracował. Zgasł, bo skończyło się paliwo. Ciała ofiar trzeciej i czwartej odkryto na korcie tenisowym. W dłoniach obu mężczyzn tkwiły rakiety tenisowe! Piątą ofiarę, czyli chłopca, śmierć zastała przed komputerem. Chłopiec pólleżał na fotelu i podobnie jak w przypadku dwóch poprzednich ciał, w jego prawej ręce też

pozostał przedmiot. Zaciśnięte pośmiertnym skurczem palce trzymały myszkę komputerową.

– To straszne – jęknęła Anna.

Już miałem jej przypomnieć, że nasze maluchy też przeżyły straszną przygodę, gdy z inicjatywy tych ludzi zostały porwane, ale uznałem, że szkoda na to czasu. Już i tak było za późno na zmianę decyzji, którą nadal uważałem zresztą za słuszną

Jedyną żywą osobę, starszą damę poruszającą się na wózku, odnaleziono w jadalni – kontynuowałem. – Miejsce to wskazała dziewczynka. Wózek stał tuż przy stole, tak żeby kobieta mogła sięgnąć po kielichy napelnione wodą. To dziewczynka zostawiła je swojej babci, tak samo jak kilka kromek czerstwego chleba i lekko nadgniętego banana. Dziecko zeznało, że tylko to znalazło w kuchni, a „babunia” nie potrafi gryźć twardych rzeczy. Według jej słów, babunia miała moczyć chleb w wodzie i zjeść banana, bo ma dużo witamin. Do tej pory nie odnaleziono żadnych dokumentów tożsamości staruszki, a ona sama, gdy lekarze nawiązali z nią kontakt, stwierdziła, posługując się płynnie językiem rosyjskim, że jest Wielką Księżną Anastazją Nikołajewną Romanową. Lekarze kładą to na karb chorób o charakterze demencyjnym, związanych z wiekiem.

– Anastazja?

– Coraz bardziej wierzę, że ten artykuł to prawda – powiedziałem.

– Może nie wszystko, ale...

– Myślisz, że ta Anastazja ma jakiś związek z tobą? – przerwałem jej. – Masz tak na imię.

– Mój tato bardzo chciał tak mnie ochrzcić – przypomniała mi Anna. – Mówił o tym mamie, gdy tylko zaszła w ciążę, a kiedy się upewnili, że będzie dziewczynka, tata wręcz nalegał, że mam mieć na imię Anastazja.

– Pamiętam. – Pokiwałem głową.

– Czytaj. – Anna lekko potrząsnęła moim ramieniem.

A co ze świadkami, spytacie. Ktoś przecież musiał pracować, żeby inni mogli odpoczywać, grać w tenisa lub rozbijać się najnowszym modelem Porsche Panamera. Przecież nie robił tego najstarszy mężczyzna, bo jak miał zadbać o tak wielką posesję (idealnie wypielęgnowany ogród), winiarnię i rozliczne budynki? A nawet gdyby wszyscy zmarli mieszkańcy zajmowali się porządkami i pracą, kto opiekował się staruszką? Kto przyrządzał posiłki w wielkiej kuchni, wyposażonej jak kuchnie w najlepszych hotelach? Kto dbał o pasiekę z trzydziestoma ulami? Kto pielęgnował spore poletko z ziołami i ogród warzywny? Kto dbał o sześć rasowych koni arabskich, z których każdy musiał kosztować małą fortunę? Wreszcie, kto zadbał o edukację dziewczynki, która, jak się okazuje, dosyć biegle włada czterema językami: angielskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim? Potrafi czytać i pisać, a na dodatek doskonale gra na fortepianie?

– Stop! – pisnęła Anna. Podniosła na mnie oczy i pokiwała głową. – Już wiem. I ta staruszka, i to dziecko to Wędrowcy z Eperu.

– Też tak sądzę – zgodziłem się. Chrząknąłem i przewróciłem stronę.

Ktoś musiał to robić, ale kto? Jedyne, co wam teraz przychodzi do głowy, to porwanie przez kosmitów? Przyznajcie, pomyśleliście tak? My też. – Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie parsknąć zduszonym śmiechem. – Zwłaszcza że nasza informatorka ujawniła nam treść pięciu wstępnych ekspertyz z zakładu medycyny sądowej. Biegli, których nazwisk również nie ujawnimy, orzekli zgodnie, że śmierć nie nastąpiła w wyniku działań czynników zewnętrznych i była nagła (gwałtowna). Co do zmian pośmiertnych, które pozwoliły im oszacować czas zgonu wszystkich pięciu ofiar na 31 października, określili je jako typowe i tożsame dla każdej zmarłej osoby. Dokonano szczegółowej sekcji zwłok, w tym nekropsji, badań histopatologicznych i toksykologicznych oraz analizy molekularnej. Jak myślicie, co zawierała każda z pięciu ekspertyz? Jeden wniosek: medycy sądowi za pomocą obecnie dostępnych metod badawczych oraz diagnostycznych nie są w stanie określić przyczyn zgonu.

– Już nie mam wątpliwości.

– Ja też – przytaknąłem.

Czyli jednak kosmici? A może palec boży? Grom z jasnego nieba albo osławiony piorun kulisty? Niestety, to ostatnie nie wchodzi w rachubę. Mamy dostęp do raportów meteorologicznych z tych rejonów. Ostatnia burza miała miejsce pod koniec września. Możecie również wykluczyć gradobicie, powódź, deszcz żab i silne wiatry. Czy jeszcze mało wam tajemnic? Nam tak, więc teraz zdradzimy kolejne szczegóły. Na ciele każdej z ofiar widnieje tatuaż. Stanowi go napis: OMAL, wykonany tradycyjną techniką tatuowania. Każda z ofiar miała tatuaż w innym miejscu: na nadgarstku, nad pośladkiem, pod kolanem, na przedramieniu i w okolicy wątroby. Wszystkie wykonano po prawej stronie ciała.

– To byli Habbatum – stwierdziła Anna.

– Tak sobie myślę, że litera „A” zawiera trójkąt, jak sądzisz, tam znajdowało się znamię?

– Na pewno. To jak tatuaż Thora. On też ukrył znak w podobny sposób.

Interesujące, prawda? Chyba nikt nie sygnuje własnego ciała nazwą firmy, której jest udziałowcem? A co, jeśli spółka upadnie? I tu płynnie przechodzimy do kolejnej kwestii. Otóż nie upadnie. Nie może upaść firma, która ma tak potężne zaplecze finansowe jak Omal Ltd, a nawet jeśli, jej właściciele mogliby pławić się w luksusach do końca swoich dni. Dlaczego? Zejdźmy do podziemi. Wyobraźcie sobie, że stąpacie po wąskich schodkach (na których znaleziono ciało najstarszej z ofiar) i wchodzić do wąskiego korytarza. Po obu jego stronach znajdują się drzwi. Wydawać by się mogło, że piwnica pod starym kościołem to wnętrze jak z lichego horroru klasy B, czyli pajęczyny, szczury i walające się kości, a wszystko

to tonie w odorze stęchlizny i zimnej wilgoci spływającej po starych murach. Stop! To nie tak. Korytarz jest jasny i wyłożony kamiennymi płytami, a klimatyzowane powietrze pachnie subtelnie miętą. Jak okiem sięgnąć, wszędzie czujniki i urządzenia pomiarowe. Badają wilgotność powietrza, temperaturę, a nawet poziom zanieczyszczenia. Pewnie jesteście ciekawi, czy mogliśmy „zajrzeć” do któregoś z pomieszczeń usytuowanych pod kościołem? Nie byliśmy tam osobiście, ale nasza informatorka pokazała nam zdjęcia – imponującą kolekcję fotografii przedstawiających jeszcze bardziej imponującą kolekcję dzieł sztuki. Liczy sobie ponad czterysta dwadzieścia pozycji, w tym kilka obrazów uznanych po II wojnie światowej za zaginione. Co znajdujemy na liście, na której sztab rzeczoznawców i konserwatorów ciągle dopisuje nowe pozycje? Nie tylko liche grafiki wykonane przez Pabla Picassa na kawiarnianej serwetce (choć takie też są), ale obrazy olejne autorstwa najznamienitszych mistrzów: Rembrandta, Leonarda da Vinci, Vincenta van Gogha czy Claude’a Moneta.

– Ciekawe, czy to prawda? – W głosie Anny zabrzmiała ekscytacja.

Już tych pięć nazwisk przyprawi o zawrót głowy i szybsze bicie serca wszystkich marszandów i muzealników, a to nie koniec. Oprócz dzieł sztuki znaleziono ponad pięćdziesiąt kilogramów biżuterii, a na deser informacja, której (przynajemy uczciwie) jeszcze nie zweryfikowaliśmy. Czy słyszeliście o Bursztynowej Komnacie? To kompletny bursztynowy wystrój wnętrza zamówiony przez Fryderyka I u gdańskich mistrzów. W 1941 roku została zrabowana przez Niemców. Rok później, latem, przewieziono ją w kilkudziesięciu skrzyniach do królewieckiego zamku. Jednak w 1944 roku komnatę ponownie zapakowano do skrzyń i umieszczono w zamkowych podziemiach. To ostatnia pewna wiadomość na temat Bursztynowej Komnaty. Szukano jej przez lata – amatorzy, urzędnicy ministerstw kultury Polski, Niemiec (zarówno Wschodnich, jak i Zachodnich) i ZSRR oraz służby specjalne. Zatrudniano nawet radiestetów i jasnowidzów. Niestety, bez skutku. Komnata przepadła jak kamień w wodę. Czy podziemia tajnej sekty, bo możemy chyba mówić o jakiejś sekcji, skrywają ten zaginiony skarb? Do odkrycia jakich tajemnic jeszcze dotrzemy? Co znajdą biegli, gdy przetrząsną całą posiadłość, kamień po kamieniu i cegła po cegle? I wreszcie, czy dowiemy się kiedyś, jaka była przyczyna nagłej i tajemniczej śmierci pięciu mężczyzn? Musimy cierpliwie poczekać, ale intuicja podpowiada, że mieliśmy do czynienia ze zbrodnią doskonałą. Oczywiście, o ile można uznać tę nagłą i niewytłumaczalną śmierć pięciu osób za zbrodnię...

– Jezu, zaraz pęknie mi głowa – jęknęła Anna, pocierając rozpalone policzki.

– Czekaaj, myślę, że jeszcze nie wiesz najlepszego – powiedziałem.

Wiadomość z ostatniej chwili! Na godzinę przed oddaniem artykułu do składu nasza informatorka znów skontaktowała się z nami. Co wiemy? Przełom

w śledztwie! Jest świadek! To młody mężczyzna, który od trzech miesięcy pracował w posiadłości jako stajenny. Tylko nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności można tłumaczyć fakt, że policja na niego trafiła. Stało się to na granicy słowacko-chorwackiej, w miejscowości Rupa. Mężczyzna bez problemów przejechał przez Chorwację, podróżując samochodem osobowym, należącym do kogoś z bliskiej rodziny. Na swoje nieszczęście został wytypowany do kontroli osobistej. Przy okazji celnicy sprawdzili bagażnik samochodu, gdzie znaleźli mały płócienny worek, a w nim około kilograma cennych precjozów, głównie złotych. Młodzieniec został natychmiast przewieziony na najbliższy posterunek policji, a stamtąd zabrany do Sarajewa. Informatorka przekazała nam poufną wiadomość, że w celu wyjaśnienia tej sprawy z bośniacką policją współpracuje spore grono fachowców z całego świata, reprezentujących również służby wywiadowcze kilku państw. Co zeznał świadek? Zdradził pseudonimy, którymi posługiwały się ofiary. Są to liczebniki: Pierwszy – to najstarszy mężczyzna, a do chłopca zwracano się Piąty. Według słów świadka tragedia rozegrała się w ostatnim dniu października, około godziny czwartej po południu.

– Chyba zaprenumeruję ten tygodnik – mruknęła cicho Anna. – Pierwsza gazeta, która nie kłamie.

Sam nie widział ani jednego zgonu, ale słyszał relację ogrodnika, który przebywał wówczas blisko kortów tenisowych. Trzeci i Czwarty upadli na ziemię. Tylko tyle zauważył ogrodnik. Nie wydali z siebie żadnego odgłosu. Oczywiście natychmiast pobiegł tam, żeby sprawdzić, co się stało jego pryncypałom. Obaj nie żyli. Na wszelki wypadek powiadomił pielęgniarkę opiekującą się starszą panią. Ta stwierdziła zgon. Po chwili rozpętało się prawdziwe piekło, bo personel odnalazł pozostałe ciała. Spytaliśmy, ile osób pracowało w posiadłości. Informatorka przekazała, że dwanaście. Policja już ich szuka. Dlaczego cały personel, bez wyjątku, zamiast powiadomić odpowiednie służby, w pośpiechu opuścił posiadłość, zostawiając na pastwę losu starszkę i małe dziecko? To kolejne z pytań, na które na razie nie znamy odpowiedzi, ale teraz, gdy śledczy ujrzeni światelko w tunelu, możemy mieć nadzieję, że choć część z nich się jej doczeka...

– Łał... – sapnęła z uznaniem Anna. Nie wiedziałem jedynie, czy wyraziła je w stosunku do autorów artykułu, czy do mnie, bo dawno nie czytałem na głos tak długiego tekstu.

– Popatrz. – Pokazałem jej zdjęcie przedstawiające dwa złote kielichy mszalne. – Te wszystkie kamienie to na pewno rubiny. Są warte fortunę.

– A konie? – Anna nie mogła się napatrzeć na fotkę. – Taka klacz potrafi kosztować milion dolarów albo i więcej. Wiesz, że najlepsze konie arabskie pochodzą z Polski? – spytała z dumą.

– Możliwe – przyznałem.

– Nieźle się obłowili. Skąd mieli aż tyle pieniędzy?

– Myślę, że gromadzili te rzeczy przez wieki.

– Ciekawe, czemu wszyscy uciekli? – Podniosła na mnie wzrok. – Zostawili to biedne dziecko i staruszkę na pastwę losu.

– Hm... A ty byś nie uciekła? Może się wystraszyli, że za chwilę też padną trupem? – Anna nie odpowiedziała, a ja pokiwałem głową. – No tak. Jak znam życie, nie uciekłybyś. Zresztą ja też bym nie uciekł. I chyba nikt, kto ma choć odrobinę odwagi.

Anna poprawiła się nerwowo i popadła w zadumę. Siedziała, milcząc i bezwiednie skubiąc suchą skórkę z wargi. W końcu wzięła głęboki oddech i spojrzała na mnie zagadkowo.

– Spakować ci walizki? – spytałem. – Czy sama to zrobisz?

– Co? – Wybałuszyła oczy.

– Przecież wiem, że chcesz tam jechać.

– Niby gdzie? – Anna zmarszczyła czoło. Miało to wyglądać groźnie, ale mnie rozbawiło, bo odkryłem jej plan.

– Do Sarajewa. Aż się palisz, żeby spotkać się z tą staruszką. I z dziewczynką – dodałem.

– Leo! – burknęła z wyrzutem Anna. – A ty się nie palisz? One są z Eperu. Powinniśmy o nie zadbać. Zwłaszcza o dziecko. Szkoda, że nie napisali, gdzie jest.

– Przypuszczalnie w Sarajewie, bo gdzie indziej?

– Może być wszędzie. A jak ją zabrali do jakiegoś okropnego sierocińca? Pomyśl, jak musi się bać. Straciła wszystko, rodzinę, dom, babcię... – przedstawiła czarny scenariusz. – Jest taka mała. Ma zaledwie sześć lat.

– No dobrze – westchnąłem. Potarłem skronie, żeby przyspieszyć procesy myślowe. – Uważam, że najpierw powinniśmy skontaktować się z którymś z tych dziennikarzy. Jak już go dorwiemy, trzeba zdobyć namiar na szpital, gdzie przebywa Anastazja, i tam pojechać.

– Myślisz, że wiedzą? – Annie aż zaświeciły się oczy, gdy przedstawiłem jej pierwszy krok planu.

– Myślę, że wkrótce się przekonamy – mruknąłem, przelatując wzrokiem stopkę redakcyjną gazety. – Znam redaktora naczelnego. To Ben Evans. Chodziłem z tym dupkiem do college'u.

– Serio?!

– Auć... – syknąłem, łapiąc się za prawe ucho, bo Anna tak głośno pisnęła.

– Znasz go? – Szybko cmoknęła mnie w policzek w ramach przeprosin.

– Uhm. Straszny dupek. Nadęty bufon. Miał bogatych starych i gnoił każdego, kto był gorzej sytuowany, czyli wszystkich.

– Niejednemu psu Burek... – nagle stropiła się Anna.

– To ten dupek. Na sto procent. Gazeta należy do koncernu zarządzanego przez jego rodzinę.

- Leo, nawet nie wiesz, jak się cieszę... – szepnęła Anna.
- A co cię tak cieszy? – Zerknąłem na nią z ukosa. – Że Ben to dupek?
- Że jesteś taki kochany.
- Bo?
- Bo jesteś. Po prostu. – Wzięła gazetę i przełożyła ją na blat stolika, a sama weszła mi na kolana. Objęła mnie i cmoknęła prosto w usta. – Jesteś kochany.
- Kiedy Julia wraca? – zapytałem, wsuwając dłonie pod sweterek Anny.
- Za chwilę – mruknęła.
- Zadzwoń i powiedz, że nie ma prądu i winda nieczynna...

Rozdział 25

Wielka Księżna i Dziecko

Musiałam przyznać, że choć wszystkim nam bardzo brakowało Krisa, Leo coraz sprawniej go zastępował. Proces ten następował powoli, ale konsekwentnie. Chyba nikt nie kwestionował, że powinniśmy mieć kogoś pełniącego rolę przywódcy, mimo demokracji panującej w naszym skromnym gronie. Skromnym, bo Jurij wrócił do Aczyńska, a Rani też rozważała powrót do siebie, ale najpierw zamierzała odwiedzić jakąś londyńską klinikę leczenia otyłości.

Dotychczas tę umowną rolę naszego mentora odgrywał Kris, a gdy go zabrakło, ktoś musiał wypełnić pustkę i chociaż to Alisha miała najdłuższy staż, padło na mojego męża. Dopiero teraz zauważyłam, że Leo ma dryg do bycia przywódcą. Można na nim polegać, daje poczucie bezpieczeństwa, a co najważniejsze, potrafi być bardzo stanowczy. Równie stanowczy, jak ja – uparta. Jedyne, czego miał w nadmiarze, gdy mowa o byciu wodzem, to empatii, ale akurat tę cechę bardzo w nim kochałam.

Cieszyłam się, że sam zaproponował mi wyjazd do Sarajewa. Leo jeszcze nie skończył czytać artykułu, a ja już wiedziałam, że muszę spotkać się z Anastazją, a przede wszystkim odnaleźć tę małą, dzielną dziewczynkę, która samotnie przemierzyła kilka kilometrów przez las, by sprowadzić pomoc dla babci. Imponowała mi, bo niejeden dorosły człowiek bałby się takiej wędrówki. Leo intuicyjnie wyczuł, że poczuwałam się do odpowiedzialności za to dziecko i prócz spotkania z Benem Evansem, swoją drogą zakończonego pełnym sukcesem, zapobiegliwie zadzwonił do Matta Rendicha. Mecenas miał się zainteresować sprawą. Tyle wiedziałam.

Już dawno temu umówiliśmy się z Leo, że dopóki dzieci są małe, któreś z nas zawsze przy nich będzie. Dlatego tylko ja wybierałam się do Bośni. Leo długo myślał, czy powinnam jechać sama, aż w końcu wymyślił. Oświadczył, że najlepiej będzie, gdy pojedę z Thorem i Brianem. Z trudem powściągnęłam złośliwy uśmiešek, gdy mi przekazał, że już rozmawiał z obu panami i sprawa jest załatwiona. Raczej nie mogłam liczyć, że Leo kiedykolwiek zapomni o moim platonicznym związku. Mimo że Brian nadal nie przypominał sobie, co nas kiedyś łączyło, Leo zapobiegawczo wolał nie stwarzać mu jakiegokolwiek okazji, żeby odzyskał pamięć. Trudno, nie ma ludzi idealnych, to samo dotyczy Wędrowców, a że trafiłam na zazdrośnika? On trafił na uparciucha albo, jak mówiła Nat – narowiste źrebię.

Port lotniczy w Sarajewie był chyba najbrzydszym lotniskiem, jakie widziałam, a może to paskudna listopadowa pogoda sprawiła, że aż się zatrzęsłam, gdy tylko zesłam z pokładu. Rozejrzałam się wokół i na siłę uniosłam kąciuki ust,

żeby dodać sobie otuchy. Brian milczał przez prawie całą podróż, z kolei Thor zabrał ze sobą jakiś audiobook, pozostało mi więc towarzystwo stewardesy. Jess, młoda Amerykanka, śliczna jak z obrazka i bardzo sympatyczna, zauważyła chyba, że się denerwuję, bo przysiadła się do mnie i paplała jak nakręcona, opowiadając o swoim chłopaku. Lecieliśmy prywatnym odrzutowcem mojego męża, więc miałam ten komfort, że mogłam spędzić kilka godzin lotu, mając stewardesę wyłącznie dla siebie.

– Gdzie teraz? – spytał Thor i wystawił twarz do nieba.

– Do hotelu – odpowiedziałam.

– Pada? Czy gołąb mnie obsikał? A w ogóle gołębie sikają?

– Tak. Na biało – odparł Brian i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Myślałam, że zapomniałeś języka w gębie. – Pokazałam mu swój.

– No dobrze, czas odkryć karty. Boję się latać – powiedział Brian i przymrużył lekko oczy.

– Serio? – Przechyliłam głowę.

– Przestań ją podrywać – mruknął Thor. – A ty nie zachowuj się jak gaska.

– Co?! – spytaliśmy jednym głosem.

– Bo widzisz, Brian... – Thor na chwilę zamilkł. – Jestem ślepy, ale przez to lepiej słyszę. Nawet to, co przekazujesz niewerbalnie.

– Thor! – Klepnęłam go lekko w ramię.

– No co? – Rozmasował biceps. – Leo kazał cię dobrze pilnować.

Przewróciłam oczami. Już miałam powiedzieć, co o tym myślę, ale na szczęście nadjechał samochód mający nas zawieźć do hotelu, a stamtąd do szpitala, w którym przebywała Anastazja. Leo wszystko załatwiał, więc nie zdziwiłam się, gdy dostałam najlepszy apartament w Bristolu. Ten dla moich towarzyszy, nieco skromniejszy, za to z dwiema sypialniami, usytuowany był po przeciwnej stronie korytarza. Odpoczęliśmy i po dosyć obfitym lunchu przyszedł czas na wizytę u Anastazji.

– Denerwujesz się – mruknął Thor, gdy zjeżdżaliśmy windą do podziemi, gdzie czekał już na nas wynajęty samochód z kierowcą.

– Nie, czemu? – Ukradkiem otarłam spocone dłonie.

– Masz przyspieszone tętno.

– Aha – mruknęłam, zastanawiając się, czy to możliwe, że Thor słyszy moje serce.

– To ja na nią tak działałam, bo stoję zbyt blisko – powiedział Brian. Odwróciłam głowę i zgromiłam go wzrokiem. – Rzekomo zarywam do ciebie – wytłumaczył, zachowując kamienną twarz, ale jego oczy się śmiały.

– Wiecie co? Jak będziecie tak dalej pajacować, odeślę was do Londynu. I to rejsowym lotem – fuknęłam, choć musiałam przyznać, że mnie rozbawili.

Dlatego pozwoliłam Thorowi dowcipkować, gdy jechaliśmy przez miasto,

które jednocześnie zachwycało imponującą architekturą i sprawiało bardzo przygnębiające wrażenie ze względu na zaniedbane budynki i wszechobecne ślady po niedawnej wojnie. Budynek szpitala i jego otoczenie też nie zachwycały: połatany asfalt, krzywe chodniki, szarobury tynk i okna z zaciekami pod każdym parapetem.

– Obskurnie tu trochę – szepnęłam, żeby kierowca nie usłyszał.

– Może w środku będzie lepiej – pocieszył mnie Brian.

Zdażyłam zauważyć, że traktuje mnie trochę inaczej niż dotychczas. Na pewno nie był to żaden podryw, jak sugerował Thor, nic z tych rzeczy. Raczej braterska troska i opiekuńczość. Jakbym była jego młodszą siostrą, o którą trzeba zadbać. Musiałam przyznać, że było to bardzo miłe uczucie.

Doktor Mirko Tihic, który opiekował się Anastazją, już na nas czekał. Och, na jego widok niejednej kobiecie musiały mięknąć kolana: wysoki, smagłolicy, z gęstą, kruczoczną czupryną i cieniem zarostu na wydatnej szczęce. Niestety, pana doktora nie przekonał mój urok osobisty i podtrzymał decyzję, że tylko ja będę mogła odwiedzić pacjentkę. Na dodatek ograniczył czas wizyty do jednej godziny. Brian i Thor poszli do małej kawiarenki, a ja razem z przystojnym doktorkiem udałam się na oddział geriatryczny.

Miałam nadzieję, że choć na chwilę zostaniemy same, ale od razu ją straciłam, gdy tylko weszliśmy do sali. Oprócz Anastazji w małym pomieszczeniu umieszczono jeszcze dwie kobiety. Stanęliśmy przy łóżku, na którym według doktora Tihicia leżała Anastazja.

– Proszę pamiętać, maksymalnie godzina. – Lekarz odsunął mankiet fartucha i pacnął w tarczę zegarka.

Przez chwilę przyglądałam się Anastazji. Spała, cichutko pochrapując. Doktor Mirko powiedział, że nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów i lekarze sami musieli ocenić jej wiek. Stwierdzili, że ma około dziewięćdziesięciu kilku lat. Musiałam przyznać, że wyglądała pięknie. Oprócz zmarszczek mimicznych i sieci cienkich kreserek wokół oczu jej twarz zachowała gładkość i jednolity kolor. Nie zauważyłam ciemnych plamek na dłoni, typowych oznak starości. Może nosiła rękawiczki, które chroniły jej skórę przed promieniami słonecznymi? Za to włosy miała zupełnie bielutkie, obcięte dosyć krótko, ale ktoś musiał o nie dbać, bo były gęste i zdrowe.

Co jeszcze wiedziałam o Anastazji? Że choruje na alzheimera. Dawali jej maksymalnie rok życia, bo z dnia na dzień mózg staruszki obumierał. Pocieszałam się tym, że wkrótce znów zawita wśród nas. Podeszłam bliżej, żeby stanąć tuż przy wezglowiu łóżka. Bekan zdobyła dla nas całą dokumentację leczenia Anastazji i wiedziałam, że tuż za lewym płatkim ucha odnajdę zamię Eperu. Opisano je bardzo dokładnie, jak wszystko, co udało się stwierdzić lekarzom. Już miałam się nachylić, żeby spróbować je dostrzec, gdy staruszka chrząknęła i po chwili uniosła

powieki.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, gdy ujrzałam jej oczy. Kiedyś musiały być piękne, a teraz, okolone prawie bezbarwnymi rzęsami i zasnuwane bielmem, błędziły po mojej twarzy i sylwetce, podobnie jak oczy Thora.

– Dzień dobry, Anastazjo – wykrztusiłam, wzruszona, że mogę poznać kobietę, którą kochał mój dziadek i na cześć której otrzymałam imię, kiedyś tak bardzo znienawidzone. Nie miałam żadnych dowodów, że to właśnie ta kobieta była wielką miłością dziadka Johna, lecz podszept intuicji był wystarczająco słyszalny w moim sercu i głowie. Nie odpowiedziała, obróciła głowę w moją stronę, więc przysunęłam się bliżej i dotknęłam jej dłoni o cienkiej i delikatnej skórze, przypominającej papier Księgi. – Mam na imię Anastazja, jak ty, ale mówią na mnie Anna. Jestem...

– Wiem, kim jesteś – szepnęła staruszka. – Masz jego uśmiech i jego spojrzenie. Jesteś taka podobna. – Z kącika jej oka spłynęła łza. – Masz jego zdjęcie?

– Dziadka? Nie. Ale mam zdjęcie taty. Chcesz zobaczyć? – spytałam, a gdy przytaknęła, wyjęłam portfel, a stamtąd małą legitymacyjną fotografię taty.

– Połóż ją na wyciągniętej dłoni – poprosiła. Zrozumiałam, że Anastazja jest niewidoma, bo przez kilkanaście sekund, może pół minuty, wyglądała, jakby zapadła w głęboki sen. Westchnęła i poruszyła się, dając mi znak, że już wróciła z tej bardzo krótkiej, ale wzruszającej wycieczki. – Jak się nazywał?

– Jan Wilk.

– Usiądź przy mnie – powiedziała. Rozejrzałam się wokół, ale w salce nie zostawiono ani jednego krzesła dla odwiedzających, więc odsunęłam nieco kóldrę i przysiadłam na brzegu łóżka. – Jaki masz dar? – zapytała.

– *Potrafię mówić myślami, a czasem pokazywać to, co widzę* – dałam jej próbkę mojej umiejętności. – A ty? – zapytałam.

– Znam wszystkie języki, jakimi posługiwał się człowiek. Znam mowę zwierząt i roślin. Bo one mówią, wiesz o tym?

– Chyba nie – przyznałam.

– Opowiedz mi coś o sobie. – Przymknęła oczy, pewnie chcąc mnie widzieć.

– Hm... – Uśmiechnęłam się lekko. – Mam dwadzieścia lat, jestem Polką, jak moja mama Julia, ale od lat mieszkam w Londynie. Mój mąż to dosyć popularny aktor, nazywa się Leonard Black, w skrócie Leo, i bardzo go kocham. Mamy dwójkę adoptowanych dzieci, Catherine i Edwarda. Jestem Strażniczką Księgi – na moment zniżyłam głos. – Studiuję scenografię i kostiumologię w Akademii Filmowej, uczę się sztuk walki, a poza tym lubię rysować i tańczyć, jestem bardzo uparta, potrafię niezłe strzelać i gotować, a...

– A na dokładkę doskonale jeździsz konno – dokończyła za mnie Anastazja.

– Naprawdę? – Zdziwiłam się. – Lubię konie, ale czy potrafię doskonale jeździć?

– Spróbuj, jak wrócisz. Ojciec Jana Wilka był najlepszym jeźdźcem w całym regimencie.

– Spróbuję – przytaknęłam skwapliwie, uszczęśliwiona kolejną odziedziczoną umiejętnością. – A ty? Opowiesz mi coś?

– Ja? – Anastazja zaśmiała się cicho pod nosem. Przymknęła oczy, ale została ze mną. Może potrzebowała chwili do namysłu? Ponoć chorowała na alzheimera, aczkolwiek nie zauważyłam ani jednego objawu demencji i powoli przestawałam w to wierzyć. Nawet głos miała młody i zupełnie niepasujący do jej wieku. – Co mam ci opowiedzieć?

– Cokolwiek. Może coś z dzieciństwa? – zaproponowałam ostrożnie, znając dramatyczną historię jej rodziny z poprzedniego wcielenia.

– Wiesz, co to szwybzyk?

– Nie.

– Ja byłam takim szwybzykiem. Niegrzeczna, ruchliwa. Taki łobuziak, diabełek w ludzkiej skórze – wyjaśniła. – Wszędzie mnie było pełno, nawet jak zmieniałam się w niezłego pulpeta. – Zachichotała. – Mawiali, że jestem dzikuską.

– O mnie też – powiedziałam.

– Lubisz włązić na drzewa?

– Parę razy się zdarzyło. U babci Jani na wakacjach – dodałam.

– Ja to bym nawet teraz włązła na jakieś drzewo, gdyby nie to stare ciało – sapnęła. – Już nie mogę się doczekać. Znów będę podkładać nogi służącym, niszczyć rękawiczki, brudzić sukienki czekoladą i wylewać atrament na krzesło nauczycielki francuskiego.

– Jak na ciebie mówili, szwybzyk? – zapytałam.

– A jakże.

– Tak sobie myślę... – zagaіłam, chcąc jej przedstawić naszą propozycję wyjazdu do Londynu. – Tu są bardzo kiepskie warunki, a ja i mój mąż...

– Daj spokój, kochanieńka – mruknęła Anastazja. – Lepiej zatroszczcie się o tę małą spryciarkę, która sprowadziła pomoc, gdy wszyscy zwiali ze strachu. Ile mi zostało? Miesiąc? Wytrzymam. I tak tu ciekawiej i więcej się dzieje niż u tych durni, Braci Omal. – Kpiąco wydeła wargi. – Cóż to były za tępaki. Jak mogli myśleć, że mam chorobę Alzheimera? No powiedz? Przecież nasze dusze nie mogą mieć cielesnych chorób. A jaki brak kultury! – zachnęła się. – I choćby elementarnej ogłady! – Niemalże widziałam, jak wywraca oczami. – Pędzili te swoje sikacze, nieudolnie grali w tenisa, a takie z nich były łamagi, że żaden nie umiał dosiąść konia. Włazili jak na dziewczkę folwarczną – prychnęła. – To ty ich załatwiłaś? – spytała, zniżając głos do szeptu, musiałam przyznać, że bardzo złośliwego w tonie.

– Pośrednio – mruknęłam. – Było nas dziewięcioro.

– Macie alibi? – zażartowała.

– Uhm.

– Musisz mi kiedyś to wszystko opowiedzieć.

– Ja też chciałabym, żebyś mi kiedyś to wszystko opowiedziała.

– To jesteśmy umówione. – Znow zaniósł się cichym chichotem. – A teraz idź, bo chce mi się spać.

– Będę na ciebie czekać. Wszyscy będziemy – dodałam, stając przy wezglowiu łóżka, żeby ostatni raz ucałować Wielką Księżną Anastazję w tym wcieleniu. Pokazała mi palcem, że mam się do niej zbliżyć, a gdy się nachyliłam, spytała konfidencjonalnym szeptem:

– Ciągle myślę, gdzie się urodzić. Masz jakiś pomysł?

– A może być Polska?

– Pewnie. Jeździłam tam na wakacje do naszego majątku. Lubię Polskę. Jaka miejscowość?

– Murzasichle? Tam mieszkają trzy moje kuzynki. Co chwilę któraś z nich jest w ciąży, a nuż się uda.

– Postaram się zapamiętać, ale przypomnij mi, bo to trudna nazwa.

– *Codziennie będę ci przypominać* – obiecałam.

– To do zobaczenia. Leć, kochana. Pozdrów wszystkich i nie zapomnij, co ci mówiłam.

– Nie zapomnę. Do zobaczenia, Anastazjo...

* * *

Trudno zapanować nad zazdrością. Dopóki nie poznałem Anny, nie przeszkadzało mi, że taki jestem, ale teraz chciałem się zmienić, zrobić to właśnie dla niej. Próbowałem, ale czasami gad o zielonych oczach wypełzał z kąta i boleśnie kąsał, by chwilę później z satysfakcją patrzeć, jak bezradnie się wkurzam. W pierwszym dniu nieobecności mojej ukochanej powstrzymałem się od pytań, jak sobie radzi i jak sprawują się Brian i Thor, ale dzisiaj poległem. Musiałem ją zobaczyć

Poprosiłem Julię i Brygidę, żeby zabrały dzieci na dłuższy spacer. Julia puknęła się w czoło i kazała mi wyjść na taras, żebym sam mógł stwierdzić, jaka jest pogoda. Miała rację, było ohydnie. Zimno i deszczowo. Prawie natychmiast przedstawiłem im nowy pomysł. Ku ogromnemu zdziwieniu mojej teściowej zaproponowałem, że zawiozę cały kwartet, czyli dzieciaki plus opiekunki, na Hambrough Road.

– Co?! – Jej oczy prawie wypadły z orbit.

– Dzieci jeszcze nigdy u was nie były. Najwyższy czas to zmienić. Uważam, że powinny poznać rodzinny dom swojej mamy i babci – skłamałem

gładko.

– Leo? Jesteś chory? – Julia nie dała się nabrać. – Jeszcze powiedz, że zostawisz nas same z dziećmiakami.

– No właśnie... – Przeształłem nerwowo z nogi na nogę. – Właśnie to miałem zaproponować. Wrócę po was, założmy, za...

– Aha! – Julia skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzła na mnie jak na insekta. Wsparła się plecami o lodówkę, przez chwilę zbierała myśli, aż w końcu wypaliła: – Co jest grane? Chcesz się nas pozbyć? Po co? A może przygruchałeś sobie jakąś panienkę i chcesz ją tu sprowadzić? – Przymrużyła oczy.

Zauważyłem, jak Brygida na sekundę zajrzała do nas, zaniepokojona podniesionym głosem Julii, i szybko wycofała się na tyły.

– E... Skąd taki pomysł? – wykrztusiłem. – Błagam cię, co to za bzdura? – Wyrzuciłem w górę ręce, bo dopiero teraz dotarło do mnie znaczenie jej słów.

– To czemu chcesz zostać sam? – Julia przechyliła głowę.

– Okej. Nie było tematu. – Machnąłem ręką.

– Był temat!

– W porządku. – Podałem się. – Potrzebuję kilku godzin absolutnego spokoju. Takiego naprawdę absolutnego. Spokoju i ciszy. Zamknę się w sypialni i nikt nie może tam wejść i mi przeszkodzić. Okej?

– Co będziesz robił? – Julia groźnie zmarszczyła brwi.

– A co się robi w sypialni? – fuknąłem. – Będę spał!

– Nie spałeś w nocy czy jak?

– Nieważne. Chcę mieć cztery godziny spokoju. Czy żądam czegoś niemożliwego? – zachnąłem się.

– No dobrze. Niech ci będzie. Zabiorę dzieciaki i Brygidę do salonu, a ty sobie śpij.

Na wszelki wypadek włożyłem do uszu zatyczki, ale żeby całkiem się nie odciąć, nie zamykałem drzwi na klucz. Lot do Sarajewa zajął mi trochę czasu. Odnalazłem Annę w hotelu, właśnie szykowała się do wyjścia. Mieli jechać do ośrodka, w którym przebywała Bezimienna, jak mówiliśmy na dziewczynkę.

Prawie godzinę mogłem sycić oczy widokiem mojego Wilczka. Musiałem przyznać, że równie wnikliwie obserwowałem Briana. Na szczęście zachowywał się bez zarzutu, a nawet, ku miłemu zaskoczeniu (może jeszcze będą ze mnie ludzie!), nie odczuwałem ani grama zazdrości, widząc, jak pomaga mojej żonie wysiąść z samochodu. Najwyższy czas, by dotarło do mnie, że Brian świata nie widzi poza swoją Alishą, tak jak ja nie mogę żyć bez Anny, Kris bez Dalili, a Thor bez Rebecki.

Byłem bardzo ciekaw, jaka okaże się ta mała, która swoją odwagą mogła zawstydzić niejednego dorosłego mężczyznę. Już za moment miałem się o tym przekonać. Anna, Brian i Thor czekali w niewielkiej salce, urządzonej, rzekłbym,

nico surowo. Ot, zwykły kwadratowy stolik, kilka krzeseł i kanapa pamiętająca czasy mojego poprzedniego wcielenia. Ośrodek, w którym umieszczono Bezimienną, był typowym postkomunistycznym molochem i przebywało w nim ponad dwieście dzieciaków. Trudno oczekiwać, że taka placówka będzie dysponowała nadwyżkami pieniędzy i odpowiednią liczbą wychowawców. Po chwili drzwi się otworzyły i do środka weszła nasza mała Wędrowniczka i jeden z opiekunów.

Przez chwilę tłumaczył, że nie może zostawić dziecka samego, a wtedy Brian dyskretnie wziął go na stronę, wyjął z portfela kilka banknotów i wsadził je do kieszeni spodni wychowawcy. Gdyby mógł mnie usłyszeć, krzyknąłbym: „Brawo!”. Opiekun głupio się uśmiechnął i opuścił salkę.

Anna przykucnęła przed dziewczynką i uśmiechnęła się do niej.

– Hej, jak miło cię widzieć. Jestem Anna. – Wyciągnęła rękę.

Dziecko bez słowa odwzajemniło powitanie. Tak samo postąpiło z Brianem i Theodorem. Cała czwórka usiadła na kanapie, ale po chwili mała obróciła twarz w stronę Thora i spojrzała na niego, marszcząc perkaty nosek.

– Czemu jesteś taki dziwny?

– Ja? – Thor wyraźnie się spłoszył. Łypnął białkami i podrapał się w głowę.

– Jestem ślepy, może dlatego?

– A mogę ci usiąść na kolanach?

– Że jak? – Thor, gdyby mógł, na pewno spojrzałby teraz na Annę, szukając u niej pomocy.

Nasz przyjaciel od zawsze deklarował, że nie przepada za dziećmi. Rzekomo „nie nadawał się do roli ojca”. Nawet wujkiem był takim sobie, bo unikał kontaktu z naszą dwójką, zwłaszcza fizycznego, a gdy już trzymał któreś z bliźniąt, wyglądał, jakby miał w rękach odbezpieczony granat.

– Usiądę – stwierdziła mała, nie czekając, aż Thor się ogarnie. Wlaza mu na kolana i przez chwilę się na nich mościła niczym kura na grzędzie, by po namyśle stwierdzić: – Babcia Anastazja jest wygodniejsza. Jesteś okropnie kościaty.

– Chyba kościasty? – zaproponował Thor. Siedział sztywny, jakby kij połknął, i zupełnie nie wiedział, co począć z rękami. W końcu ułożył je przy udach.

– Kościaty – powtórzyła dziewczynka. – Kościaty, ale fajny i miły. I kochany. I ładnie pachniesz – obsypała go komplementami.

– A z nami nie porozmawiasz? – Anna przysunęła się nieco bliżej i nachyliła w stronę Thora i małej.

– Macie świąteczka. Ja też. – Zachichotała i przycisnęła małe dłonie do ust. Widzi nasze znamiona, pomyślałem, zaskoczony tą ciekawą umiejętnością. – Ty tutaj – wskazała na pierś Anny – a ty przy szyjce. – Popatrzyła na Briana. – A babcia ma za uszkiem...

– A ja? – Thor nie mógł się doczekać swojej kolejki.
– Na rączce, pod obrazkiem z ptaszkiem i kwiatuszkiem. – Dziewczynka znów zwróciła na niego swoją uwagę. – Czemu masz sznurek zamiast włosów?
– To dredy.
– Nie wiem, co to dredy. – Pokręciła główką, a jej czarne loki rozsypały się na plecy.
– To właśnie te sznurki – wyjaśnił Thor.
– Okropnie brzydkie – stwierdziła rezolutnie mała. Widziałem, jak Anna i Brian z trudem powstrzymują śmiech. Sam też chichotałem w duchu, widząc minę Thora. – Ja bym to obciąła. Fuj! Na pewno w środku masz robaczki. Tu niektóre dzieci mają robaczki na głowie. Takie maciupęńkie, tyci, tyci... – Pokazała wąską szczelinę między wskazującym palcem a kciukiem, żeby zobrazować, jak małe są wszy. – Wyłazą im z głowy i spacerują po czole.
– Ble... – Thor się skrzywił. – Nie lubię robaczków.
– To je obetnij.
– Co?
– Sznurki.
– E... Co? Mam obciąć dredy? – spytał Thor z niedowierzaniem.
– Tak.
– W sumie... – Zamyślił się. – Beka już dawno mówiła, że mam je obciąć.
– Kto to Beka?
– Beka. Inaczej Rebecca. To moja żona – wyjaśnił Thor.
– Szkoda – stropiła się mała.
– Szkoda?
– Że masz żonę. Chciałabym być twoją żoną. A może chciałbyś drugą? – Uśmiechnęła się do niego figlarnie. Anna jakoś się trzymała, ale Brian poległ i parsknął pod nosem zduszonym śmiechem. – Miałam mieć męża, nazywał się Piąty, ale umarł. – Uniosła szczupłe ramionka. – Ale ty jesteś lepszy. Piąty czasami mnie bił i mi dokuczał. Ty na pewno byś mnie nie bił? Prawda?
– Nigdy bym cię nie bił.
– Ojej – westchnęła afektownie. – Chyba się rozpłaczę.
– Hm... – Thor zmarszczył czoło. – Mogę być twoim kolegą.
– Zobaczymy. – Dziewczynka pokiwała głową jak ktoś bardzo stary i bardzo mądry. – To jak będzie ze sznurkami? – przypomniała.
– Obetnę.
– Naprawdę? – Otworzyła szeroko oczy. – A kiedy?
– Nie wiem. Kiedyś.
– A może ja ci obetnę?
– A masz nożyczki? – spytał chytrze Thor.
– Ja mam – wtrąciła się Anna. Zacisnąłem kciuki, gdy przeszukiwała

torebkę. Po chwili wyjęła ze środka małe nożyczki do paznokci i podała dziecku. – Mogą być?

– Eee, czekajcie... – jęknął Thor, zaskoczony nagłym obrotem wypadków.

– Nie ruszaj się, bo ci utnę ucho – mruknęła nasza fryzjerka, wsuwając pierwszego dreda między małe ostrza.

– *Leo!!! Nie uwierzysz! Jesteśmy właśnie u tej dziewczynki i ona obcina Thorowi dredy!* – Anna wysłała mi mentalny telegram. Fakt, to było bezprecedensowe wydarzenie.

– Jesteś pewna, że potrafisz to zrobić? – Thor był przerażony.

– Oczywiście.

Ciach, ciach, ciach...

Pac, pac, pac...

Na rudobrązowe linoleum spadały kolejne dredy, a ja nie mogłem uwierzyć w to, co widzę. Gdy zbliżał się termin skromnego ślubu Thora i Bekan, przyszła panna młoda powiedziała, że dredy muszą zniknąć, podobnie jak koszulki w krzykliwych kolorach i brak skarpetek. „Maś być ładny i psistojny jak Olivier. I maś mieć elegancki smoking!” – jasno określiła swoje warunki. Thor spełnił prawie wszystkie. Nie ustąpił tylko w kwestii fryzury.

Do teraz.

– Już! – pisnęła mała, gdy ostatni dred upadł na podłogę. Oddała nożyczki Annie i z zachwytem klasnęła w dłonie. – Prawda, że jest śliczny? – Spojrzała pytająco na Annę i Briana. Ci od razu skwapliwie przytaknęli, choć coraz trudniej było im tłumić w sobie chęć ryknięcia śmiechem. – Uszka ma takie ładne. Duże, szpiczaste i odstające. – Pstryknęła palcem w prawą małżowinę.

Całkiem nieźle prezentował się nasz przyjaciel, choć prawdę mówiąc, przydałaby się maszynka, żeby zgolić do zera marne resztki jego do niedawna bujnego owłosienia. Byłem ciekaw reakcji Bekan, ale bardziej frapowało mnie zachowanie Thora. Czyżby poczuł to co ja i prawie każdy mężczyzna, mający u boku ukochaną kobietę? Potrzebę zostania ojcem?

– Podoba ci się? – mruknął, nieśmiało przejeżdżając dłonią po głowie.

– Uhm. Teraz jesteś jeszcze piękniejszy. – Mała zbliżyła buźkę i spontanicznie cmoknęła Thora w policzek. – Szkoda, że już masz żonę. Naprawdę wielka szkoda. – Wydęła malinowe usteczka.

– Mam żonę, ale nie mam... – wychrypiął Thor. Ostrożnie wyciągnął ręce i oplótł nimi dziecko.

– Kogo nie masz? – popędziła go. Thor nie odpowiedział. Teraz on zbliżył swoją twarz i po chwili jego usta zetknęły się z czołem dziecka. – Jesteś małą czarownicą, wiesz? Moją małą czarownicą.

– A ty jesteś moim kościatym przyjacielem. – Objęła go i mocno uścisnęła. – A może...

– Może co?

– Może chciałbyś zostać moim tatą...

Alisha – Epizod 12. Ostatni

Jest szesnasty sierpnia. Dzisiaj nasza córeczka kończy pierwszy rok życia. Nie mogę się oprzeć i ciągle na nią zerkam, poprawiam zsuwający się pantofelek albo delikatnie, żeby jej nie przebudzić, ocieram buźkę, bo troszkę się ślini. Pewnie kolejny ząbek, myślę, mając nadzieję, że nie będzie tyle płaczu co przy poprzednim. Śliczna jest ta moja malutka Anastazja. Ma ciemne włoski, ale nie takie jak moje. Jej krótkie loczki przypominają barwę gorzką czekoladę i stanowią najpiękniejsze tło dla niebiesciutkich ocząt i cery gładkiej i świetlistej jak powierzchnia perły.

Anastazja.

A przecież miała być Iksha. Zmieniłam zdanie, bo wieczorem w dniu jej narodzin dostaliśmy smutną wiadomość z sarajewskiego domu opieki, w którym przebywała jedna z nas. Też Anastazja, Wielka Księżna Anastazja Nikołajewna Romanowa. Gdy Anna odwiedziła ją po raz pierwszy, zdawało się, że staruszka kończy już swoje drugie wcielenie, a tu taka niespodzianka... Przeżyła jeszcze długich dziewięć miesięcy.

Lekarz podał mi nowo narodzoną córeczkę, a ja ucałowałam ją w główkę, a zaraz potem zaczęłam szukać znamienia. Lecz to Brian je odkrył. Było tuż za płatkiem lewego uszka. Popatrzył na mnie znacząco i już wiedzieliśmy, co się stało. Ale jak mogło być inaczej? To nie mógł być całkiem nowy Wędrowiec, bo któreś z nas, ja albo Brian, musielibyśmy odejść z tego świata na zawsze.

Muszę przyznać, że okropnie się bałam. Z utęsknieniem czekałam dnia narodzin dziecka, jednocześnie umierając ze strachu, że Byt odbierze mi ukochanego. Przecież Brian spłodził małą, gdy był Batawe, Wędrowcem stojącym na rozdrożu między złem a dobrem. Do ostatniej chwili drżałam z trwogi, że dzień, w którym powitamy naszą córkę, będzie jednocześnie dniem pożegnania z miłością mojego życia.

Znów zerkam na Anastazję. Wysuwam dłoń i poprawiam brzeg bielusińskiej sukieneczki. Jedna z falbanek podwinęła się pod spód i nieładnie wygląda, a ja chcę, żeby moja córeczka prezentowała się bez zarzutu i szykownie jak prawdziwa mała księżniczka. Jeśli historia się powtórzy i Anastazja okaże się małą psotnicą, to ostatnia okazja, żeby pokazać ją światu w eleganckiej, strojnej sukience i uroczym kapelusiku ozdobionym bladuróżową wstążeczką.

– Może chcesz ją wziąć? – proponuje szeptem Brian, ale kręcę głową. Nie chcę obudzić malutkiej, poza tym wygląda tak uroczo w ramionach tatusia, że mogłabym na nich patrzeć godzinami. – Pytam, bo ciągle na nas zerkasz – mówi, uśmiechając się łagodnie.

– Patrzę, bo was kocham – odpowiadam niemalże bezgłośnie, żeby nie

usłyszeli mnie ludzie siedzący tuż za nami.

Brian też się wystroił. Założył klasyczny garnitur i krawat. Żadnych fularów, muszek i żabotów. Nie pozwoliłam mu na założenie czegoś, co mój narzeczony uznał za najodpowiedniejszy strój na dzisiejszą uroczystość. Nie wiem, gdzie znalazł surdut, uszyty, jak podkreślił, z prawdziwej szkockiej wełny w najlepszym gatunku. Po pierwsze, ten paskudny surdut wyglądał na nim bardzo dziwnie, zwłaszcza w połączeniu ze spodniami w prążki i cylindrem, a po drugie, stwierdziłam, że to bardzo nieładnie próbować przyćmić wyglądem pana młodego. Na to Brian odparł, że wobec tego absolutnie nie powinnam się pokazywać na ślubie i przyjęciu weselnym, chyba że założę na głowę wielką papierową torbę. Muszę przyznać, że choć (ostatnio) okropny z niego flirciarz i blagier, zrobiło mi się bardzo przyjemnie.

Nachylam się do przodu, żeby zobaczyć Beka i Thora. Między nimi siedzi mała dziewczynka. Nóżki w pasiastych rajstopach majtają wesoło. Co jakiś czas czarny lakierowany trzewiczek uderza we front ławki, rozlega się głuchy stuk, a chwilę potem syk Thora: „Nie kop ławki, bo ją boli” i natychmiastowy odzew: „A co, jeśli ona lubi, żeby ją kopać? A może właśnie to lubi? Skąd wiesz, tatusiu, że ją boli? A jak ciocia Anna i wujek Leo palą w kominku, to drewniak to nie boli?”. Thor dał jej kuksańca, bo przez chwilę dochodzą stamtąd odgłosy jakiejś szamotaniny i dopiero Beka reaguje, pociągając niesforną dwójkę za uszy. Parskam zduszonym śmiechem i kontrolnie zerkam na Anastazję, ale śpi jak zakłeta.

Adoptowana córka naszych przyjaciół dopiero niedawno wymyśliła sobie imię. Oczywiście miała wcześniej imię i nazwisko, nadane tymczasowo przez urzędników, ale stwierdziła rezolutnie, że chce mieć jakieś inne, bo Vedrana nie przypadła jej do gustu. Beka pokazała małej komiks o Thorze, władcy pioruna, a ona wybrała imię Frigga, żeby pasowało do nazwiska ukochanego tatusia. I teraz Frigga Barrow jest najbardziej wesołą i bystrą siedmiolatką w Londynie. Wszyscy ją lubimy, bo to takie żywe srebro, gdzie się pojawi, sieje radość. „I zniszczenie” – jak mawia Thor.

Dobrze, że nikomu to nie przeszkadza, bo rząd przed nami zajmuje najbliższa rodzina Anny i Leo, czyli Ruby i George, Julia z Alanem oraz rodzice i wnuki Julii, czyli Cathy i Edward. Co jakiś czas Edek trzymany na rękach przez Alana staje na udzie przybranego dziadka i zagląda do nas, okraszając pyzată buźkę szerokim uśmiechem. On i jego siostrzyczka niedawno obchodzili drugie urodziny i są naprawdę słodcy. Catherine wyrasta na prawdziwą piękność. Już to widać. Ma blond loczki, błękitne oczka jak moja Anastazja i bardzo bystre spojrzenie. Czasami, gdy na mnie patrzy, mam wrażenie, że czyta w moich myślach. Anna uważa, że Cathy wyczuwa intencje i ma nad wyraz rozwiniętą intuicję. Kiedyś się dowiemy, jakim darem obdarzył ją Byt, ale w słowach Anny na pewno jest sporo

racji. Catherine zachowuje się jak prawdziwa dama, siedzi grzecznie na kolanach Ruby i ani drgnie. Jest pewnie nieco spłoszona tym, że otacza ją tyle osób, na dodatek mama i tato gdzieś się podziewają, a niania bliźniąt, Brygida, siedzi w naszym rzędzie. To chyba do niej co chwilę zagląda mały Edek, a może do Arpity, która opiekuje się naszą Anastazją.

Arpita została w Londynie, bo nie chciała samotnie wracać do Indii. Gdy ukochana Rani zmarła nagle na udar mózgu, jej krewna nie potrafiła się z tym pogodzić, zwłaszcza że stało się to w klinice leczenia otyłości. Mówiliśmy, że tak po prostu miało być i że to zwykły przypadek, ale nie docierały do niej żadne argumenty. Do dziś uważa, że gdyby Rani nie pojechała do kliniki, żyłaby i cieszyła się świetnym zdrowiem. Czasami zastanawiam się, czy nie zdradzić jej, że Rani Bhadura żyje i kiedyś znów się zobaczą, ale boję się pytać, więc na razie Arpita musi za nią tęsknić, choć Anastazja coraz skuteczniej jej w tym przeszkadza.

Za nami siedzą najbliżsi przyjaciele państwa młodych, między innymi Wiktoria z mężem i synkiem, Wanda, jej mama ze swoim przyjacielem, Angela, czyli szefowa agencji Leo, z mężem i trzy siostry zakonne: Klara, Inez i Edith. Jest nawet Jurij, wciśnięty w róg ławki i bardzo nieszczęśliwy, że znów musiał opuścić swoje mieszkanko w Aczyńsku. Później, w czwartym rzędzie, siedzi kilka koleżanek i kolegów pana młodego, większość równie znana jak Leo. Gdyby się zresztą rozejrzeć po małym wiejskim kościółku, bez trudu można by dostrzec, że sporo tu gwiazd filmu, ludzi sławnych i popularnych, którzy przyjechali na ślub Leo Blacka do małej wioski pod Zakopanem. Siedzą przemieszani z rodziną i znajomymi Anny, to Rickman z żoną, to kuzynka Julii z mężem i czwórką dzieci, to jakaś koleżanka Anny ze studiów. Niezły miszmasz.

Ze względu na wszystkie te gwiazdy podjęto sporo starań, żeby nikomu nic się nie stało. Nie ma chyba nic gorszego niż atak fanów podczas składania ślubnej przysięgi. Wprawdzie kościół jest ogrodzony, ale co to za problem przejść przez płot oblepiony do cna przez fotoreporterów ze swoimi drabinkami? Dobrze, że przynajmniej tu nie mają wstępu i tylko jedna, jedyna osoba dostała prawo do filmowania ceremonii. To przyjaciel Leo, operator o imieniu Terry. Trzeba przyznać, że jest bardzo dyskretny.

– Prawie go nie widać zza tej budki – szepczę cicho, wskazując brodą na kamerzystę.

– To konfesjonał – prostuje Brian.

– Aha. – Przyciskam dłoń do ust, żeby się nie roześmiać. To moja druga wizyta w katolickim kościele i pierwsza w tak małym.

Poprawiam torbę z Księgą, bo awansowałam na jej tymczasową Strażniczkę. Przez ostatnie dwadzieścia miesięcy sporo się dowiedzieliśmy, ale ciągle mamy więcej pytań niż odpowiedzi. Nadal nie potrafimy odnaleźć innych Wędrowców, bo w Księdze nie ma żadnych wskazówek na ten temat, za to

dowiedzieliśmy się czegoś o tajemniczej relacji Briana i Anny. Jesteśmy prawie pewni, że ich przodkowie urodzili się jako biologiczne rodzeństwo. Beka i Thor próbują odszukać naszych pobratymców, niestety bez sukcesów, więc na razie muszę uzbroić się w cierpliwość i poczekać na spotkanie z mamą, ale wiem, że kiedyś nastąpi ten dzień.

Już mam zapytać Briana, kiedy w końcu coś zacznie się dziać, gdy zza naszych pleców dobiegają dźwięki ludowej kapeli. Dostaliśmy od Thora udoskonaloną wersję urządzeń ANBA, więc rozumiemy każde słowo wyśpiewane przez górali. Jak jeden mąż odwracamy głowy, żeby zobaczyć wchodzącą parę młodą.

Z trudem powstrzymuję okrzyk zachwytu i zaskoczenia. Leo wygląda naprawdę wspaniale. Ma na sobie ciemnogrnatowy garnitur, ponoć był w nim w Cannes w dniu, w którym poznał Annę. Spomiędzy klap widać białą koszulę i takąż muszkę. Jednak to nie Leo przyciąga wzrok wszystkich zebranych, choć muszę przyznać, że jest prawie tak samo przystojny jak mój Brian, lecz Anna.

Cóż, mogłam się tego spodziewać...

Sunie powoli przez kościół, nie można oderwać od niej oczu. Słyszę, jak Julia pochlipuje za moimi plecami, powtarzając w kółko: „Moja kochana, śliczna córeczka”. A Anna rzeczywiście wygląda przepięknie. Założyła białą, długą prawie do kostek, suto marszczoną w pasie spódnicę, wyszywaną w czerwone róże i maki. Wyglądają jak żywe, gdy pojawiają się między fałdami tkaniny. Do tego biała koszula z marszczonymi przy nadgarstkach rękawami i bieluteńki gorset, czyli serdak, również bogato haftowany. Wiem, że to serdak, bo babcia Anny nie może się powstrzymać i komentuje na głos, co ma na sobie jej wnuczka i jakież to wszystko piękne. Na szyi Anny wiszą czerwone korale, a na głowie ma skromny wianuszek osadzony na wysokim koku splecionym z warkocza. Nie wiem, czemu jest taki delikatny, prawie niewidoczny, ale jak znam Julię, na pewno wszystko nam później wytłumaczy.

Ktoś mógłby pomyśleć, że Anna i Leo nie będą do siebie pasować, on elegancki, a ona w ludowym stroju, ale nie miałby racji. Wyglądają wspaniale, uśmiechnięci, z twarzami zarumienionymi ze szczęścia i oczami, w których błyszczy nadzieja, że każdy kolejny dzień spędzony razem będzie równie radosny. Za nimi sunie szpaler dziewcząt i chłopców, również w ludowych strojach. Babcia Jania wie, że ją rozumiemy, więc szybko referuje, że to drużny i drużbowie. Jest ich aż dwanaścioro! Nagle parskam śmiechem, bo jedną z druhen jest Natasza, ochroniarka Anny! A to żart! Ciekawe, czyj to był pomysł? Może Thora? On jest znany ze specyficznego poczucia humoru.

– Jakie ma piękne kierpce... – wzdycha Julia, gdy Anna zrównuje się z naszą ławką. – Jeszcze takich nie widziałam. I bukiet jak cudny, a te wstążki!

Ma na myśli dwie szerokie szarfy spływające po plecach Anny. Widzimy je

dopiero teraz, gdy Anna i Leo stają przed ołtarzem. Nie mam pojęcia, czym są kierpce, dopóki system ANBA nie wytłumaczył nam, że to góralskie buty wykonane ze skóry.

Orkiestra dociera w pobliże ołtarza i cichnie.

Zaczyna się nabożeństwo...

Anna mówiła, że Leo długo rozważał, czy nie przejść na katolicyzm, ale w końcu pozostał przy swoim wyznaniu, dlatego ślub jest jednostronny. Oprócz bardzo wzruszającego momentu przysięgi składanej przez Annę jest jeszcze kilka innych chwil, kiedy coś ściska za gardło. Dzieci Anny i Leo przyjmują chrzest i choć te wszystkie obrządki są mi obce, jak pewnie sporej części przybyłych gości, nie mogę oprzeć się uczuciu, że uczestniczymy w czymś podniosłym i mistycznym.

Nabożeństwo trwa dosyć długo, bo ponad godzinę, ale jest wyjątkowo piękne. Co jakiś czas przygrywa mała orkiestra, składająca się z ośmiu muzykantów (oczywiście w ludowych strojach). W pewnym momencie uwagę wszystkich przykuwa dziewczęcy głos. Dobiega z antresoli, czyli piętra, które znajduje się nad wejściem do kościoła. Wszyscy się odwracamy, żeby zobaczyć, jak wygląda artystka wykonująca tę nabożną pieśń. Julia mówi, że to utwór *Ave Maria*. Dziewczynce akompaniuje chłopiec, który gra na skrzypcach.

Kończy się msza, część przybyłych wychodzi na zewnątrz, ale my zostajemy, żeby poczekać na Annę i Leo, którzy poszli gdzieś z kapłanem. Wychodzą po kilku minutach, wówczas po raz pierwszy odzywają się organy. Poznaje utwór, to marsz weselny. Przy wtórze dudniących basów opuszczamy kościół tuż za parą młodą i Mikiem, który dołącza do nas przy drzwiach. Mrużę oczy, bo oślepia mnie blask słońca. To, co się teraz dzieje, przypomina mi najbardziej kulminacyjny moment obchodów święta Holi, ale zamiast sproszkowanych farb na nasze głowy spada prawdziwy grad różności: małe, połyskujące miedzią monety, ryż i płatki jakichś kwiatów. Wszystko najpierw wzlatuje do nieba, by po chwili opaść na nas, a przede wszystkim na Annę i Leo.

Założyłam sari i chustę, w załamaniu tkaniny na mojej piersi zauważam jedną z tych monet i dwa bladoróżowe płatki. Dyskretnie wsuwam wszystko w małą kieszonkę w pasku, chcąc mieć pamiątkę tego wydarzenia. Rozglądam się dookoła, myśląc, że to prawdziwe szaleństwo i swoisty festiwal radości. Otaczają nas tłumy: goście, którzy tak jak my uczestniczyli w nabożeństwie, jeszcze liczniejsza grupa, która nie zmieściła się w kościele, fotoreporterzy i fani, szczerze oklejający ogrodzenie. Wszyscy roześmiani i szczęśliwi. Może to ta ludowa muzyka tak na nich działa? Zerkam ukradkiem na ekranik mojej ANBY, żeby przeczytać tłumaczenie tego, co tak ochoczo i z zapałem wyśpiewuje, a raczej wykrzykuje, chór dzieci.

...*Syćka se Wom zycom to i owo, syćka se Wom*

zycom to i owo,

*a my Wom zycymy, a my Wom zycymy, scyńscio,
zdrowio!!!*

*Zycymy Wom zdrowio nolepsego, równego pstrągowi w Morskim Oku,
a do tego siły do koździćkiyj zyły, w setnym roku.*

*Coby Wom Pon Jezus błogosławił, coby Wom Pon Jezus błogosławił,
i na długie lata, i na długie lata nom ostawił!!!*

*Cobyście nom syćcy długo zyli, cobyście nom syćcy długo zyli
i dla syćkich ludzi, i dla syćkich ludzi miłość mieli...*

Niestety, system ANBA się zawiesił. Parskam śmiechem, myśląc, że Thor odbierze to jako poważny dyshonor. Wyświetla się jedynie napis, że to wyrażenia gwarowe, że nie ma ich w zasobach i informacja, że tekst pieśni to adaptacja jakiegoś utworu napisanego dla nieżyjącego papieża. Chowam ANBĘ za pasek i rozglądam się, żeby nie uronić nawet kropli szczęścia, które wylewa się z każdej strony. Do Anny i Leo formuje się długa kolejka. Goście zaczynają im składać życzenia, wręczają kwiaty i prezenty, a co dziwne, niektórzy tylko koperty. Nie mam pojęcia, co może być w takiej kopercie. List?

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mogła szepnąć parę słów Annie i mocno ją uściskać. Przez ostatnie miesiące zżyłyśmy się jak siostry. Już prawie nie pamiętam tych chwil, kiedy wszystkiego zazdrościłam mojej najlepszej i najukochańszej przyjaciółce. Spędziłyśmy razem mnóstwo czasu. Anna pomagała mi przy malutkiej, nawet zamieszkała u nas przez pierwsze dwa tygodnie i służyła mi radą. Zawsze mogę na nią liczyć.

Kiedyś wyznałam jej prawdę, opowiedziałam, co do niej czułam, zdradziłam wszystkie swoje mroczne sekrety, a ona? Wybaczyła mi bez wahania. Płakała razem ze mną, gdy poznała moją smutną historię, a jej serce ścisnął ten sam ból. Nigdy jej tego nie zapomnę. Oddałabym za nią życie, bo jest dla mnie tak samo cenna jak moja rodzina.

Nasza Anastazja już dawno się przebudziła. Brian poi ją soczkiem, ale ona też jest zbyt zafascynowana tym wszystkim, co nas otacza, odpycha butelkę i szczyrzy swoje małe ząbki. Wyglądają jak ryż, którym nas obsypano. Wyrzuca się z rąk Briana, bo chce dołączyć do dzieci zbierających monety.

– Puść ją – mówię.

Dzieci jest mnóstwo, dwadzieścioro albo i więcej. Przykucają, żeby zebrać pieniądze, wyraźnie ze sobą rywalizując. Cathy i Edward też biorą w tym udział, podobnie jak James, syn Wiktorii, i Frigga.

– Koniec szyku i elegancji – kwituję, widząc naszą pociechę.

Anastazja pełza na czworaka, wyraźnie zadowolona, że wreszcie może się ubrudzić. Widzę, jak jej biała sukieneczka zmienia się w burą kiecuchnę, a rajstopki drą się, dość szybko ukazując światu pulchne kolanka naszej modnisi. Reaguję dopiero wtedy, gdy wkłada do ust malutką monetę, a tak naprawdę to Brian

błyskawicznie dopada do córki, żeby wyjąć miedziaka i pokręcić głową, mówiąc: „Nie wolno”. Chce ją wziąć na rękę, ale nasza księżniczka ma inne zdanie na ten temat. Zaczyna płakać, więc zostawiamy ją, wiedząc, że jesteśmy na dobrej drodze, żeby wychować małego tyrana. Naszego ukochanego tyrana.

Na szczęście dzieci już wszystko skrupulatnie wybierały i mogę wziąć brudną jak nieszczęście, ale zadowoloną Anastazję na rękę. Drepczemy powoli, bo kolejka do młodej pary jest długa. Rozglądam się wokół, żeby zauważyć, że przybyli goście reprezentują chyba wszystkie religie świata. Są katolicy, anglikanie, żydzi i wyznawcy islamu, a także ateści, ale to i tak nie ma znaczenia.

Wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga.

Wędrujemy przez życie, pamiętając, że nasz wspólny Bóg to po prostu Miłość...

Epilog

Ukryłam się w swoim pokoju, bo muszę coś zrobić. Mama zawsze powtarza, że jestem bardzo poukładaną dziewczyną i jest w tym trochę racji. Odkąd pamiętam, mam ścisły umysł, a mój brat – zmysł artystyczny. W zeszłym roku wygrałam stanową olimpiadę z chemii, ale zanim do tego doszło, zwyciężyłam w szkolnej, a później w międzyszkolnej. Teraz przyszedł czas na międzystanową, ale wątpię, czy mi się powiedzie, chociaż rodzice wierzą w mój sukces. Nawet Ed sądzi, że wygram. Zobaczymy.

Schowałam mój pamiętnik na szafie. Zdjęłam trochę przykurzoną metalową kasetkę, w której go trzymam, i przetrłam rękawem, co od razu mnie zirytowało. Ech, ta moja pedantyczność i – dla kontrastu – paskudne nawyki z dzieciństwa. Zmieniłam bluzkę, przy okazji poprawiłam włosy i dopiero po tych przygotowaniach zasiadłam przy biurku. Co do dyskrecji, nie mam pojęcia, dlaczego tak się bałam i boję, że ktoś odkryje moje zapiski. Mama jest bardzo dyskretna, tato też, a mój brat z pewnością by tego nie czytał. Wszak jest prawdziwym artystą, pisze jakieś opowiadania i publikuje je w Internecie. Ma na swoim koncie sporo sukcesów i nie interesują go wypociny siostry bliźniaczki. Tak sądzę.

Lubię pisać piórem, co jest dziwne. Teraz już nikt nie używa wiecznych piór, chyba że starsze osoby, takie jak mama czy tato. A nawet oni z reguły sięgają po długopis, gdy muszą coś napisać. Dostałam pióro od babci Ruby, bardzo je lubię, bo jest piękne i nie wygląda tandetnie jak to, co się obecnie produkuje. Ed strasznie mi go zazdrości, uważa, że to on powinien był je dostać, bo, jak sam mówi, pisarstwo to jego życie, ale babcia wybrała mnie. I bardzo się z tego powodu cieszę.

Muszę przyznać, że czasami mu zazdroszczę. Ciągle mi się wydaje, że wszyscy bardziej lubią mojego brata bliźniaka niż mnie. Ale trudno się dziwić, bo i ja przepadam za tym popaprańcem. Ed jest wesoły, zawsze zadowolony z życia i pełen energii. Wyglądem też się różnimy. Jesteśmy jak ogień i woda. On ma drobne rude loczki, ale nie takie ciemnomiedziane jak babcia Julia, tylko jasne, prawie pomarańczowe. Mój kochany braciszek lubi jeść, więc daleko mu do figury sportowca, za to ja ćwiczę regularnie, razem z tatą, i choć sama tego nie dostrzegam, wszyscy mówią, że mam świetną figurę.

Niedawno znalazłam pewne zdjęcia. A było to tak, że Madison, którą od początku naszej trzyletniej znajomości uważałam za jedyną prawdziwą przyjaciółkę, zakochała się w Trevorze, najprzystojniejszym chłopaku w naszym liceum. Niestety, Trevor preferuje wysokie, zgrabne blondynki z długimi włosami, a nie niskie, dosyć tęgie brunetki w latynoskim typie. I wybrał mnie. Czasami się

z nim umawiam, choć tak naprawdę uważam go za zwykłego dupka i pozera. Jego stary też jest aktorem, ale znacznie mniej znanym niż nasz tato. Trevorowi się jednak wydaje, że jego ojciec to nie wiadomo kto, i dlatego zadziera nosa. Ale to nieważne. Madison się wkurzyła i zaczęła mnie obgadywać, zresztą od dawna czułam, że coś jest z nią nie tak. Czasami miałam wrażenie, że siedzę w jej głowie i słyszę, jak po mnie jedzie. Mówiła, że jestem sztuczna i wyglądam, jakbym połknęła kij, i że wcale mnie nie lubi. Nie chciałam wiedzieć, co naprawdę o mnie sądzi. Przecież to było okropnie głupie: znać czyjeś szczere myśli i uczucia. Mnie też zdarzyło się niemile o kimś pomyśleć, ale to nie znaczy, że go nie lubię. Nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Dlatego przestałam się z nią przyjaźnić, a ona z zemsty rozgadała w całej szkole, że ja i Ed jesteśmy adoptowani, a na dodatek kiedyś byliśmy czarni i nasi rodzice wybielili nas chemicznie.

Co za kretynka!

Od zawsze wiedziałam, że mama i tato nie są naszymi rodzicami biologicznymi. Nigdy się z tym nie kryli, zresztą tato co chwilę jest na czołówkach gazet, więc jak? Jak mieliby to zrobić? Żeby było śmieszniej, córka wujka Theo i cioci Reb też jest adoptowana, więc to żadna nowość. Ale z tym czarnym kolorem skóry to mnie zaskoczyła, musiałam sprawdzić, czy Madison ma rację. Trochę poszukałam i faktycznie, znalazłam zdjęcia, gdy byliśmy zupełnie mali, a mama i tato właśnie przylecieli z nami do Londynu. Spytałam o to mamę, a ona powiedziała, że wszystko mi opowie. Zawołała Edka i pokazała nam cały stos fotografii.

Podobno robili je z tatą codziennie przez pierwszy rok naszego życia, więc było ich sporo. Później cykali jedną fotkę tygodniowo i dopiero wtedy mogłam sama naocznie stwierdzić, jak się zmienialiśmy. Kiedyś rzeczywiście mieliśmy czarną skórę. Dwa małe Murzynki.

– Byliście prześlicznymi bobasami – powiedziała mama. – Babcia Julia zawsze mówiła na was „karmelki”.

– To już wiem, czemu do dziś potrafi mnie tak nazwać – wtrącił Ed, nachylony nad zdjęciami. – Kiedyś słyszałem, że jest taki aktor, który był Murzynem i całkiem wybielał.

– To nie aktor, lecz piosenkarz, zmarł dawno temu, na wiele lat przed waszymi narodzinami, a nazywał się Michael Jackson. Fakt, jako dziecko był czarnoskóry, a krótko przed śmiercią miał bielszą skórę niż ty, Cathy – zaśmiała się mama.

– To już wtedy można było zmieniać kolor skóry? – Zdziwiłam się, bo przecież dopiero od niedawna kliniki chirurgii plastycznej i estetycznej oferowały taką usługę, z której korzystało zresztą coraz więcej osób.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobił. – Mama pokręciła głową.

– A my? – Ed zmarszczył twarz. Tylko on potrafił jednocześnie zmarszczyć

czoło, nos i usta. Wyglądał wtedy jak suszona figa.

– A wy sami pojaśniliście. Kiedyś wam wytłumaczymy, jak to się stało. – Mama mrugnęła do nas, bo nie pierwszy raz słyszeliśmy, że kiedyś...

Rodzice byli tajemniczy i często powtarzali, że w bliżej nieokreślonej przyszłości poznamy prawdę. Ale o czym? Mogłam się jedynie domyślać, że to ma związek z naszymi znamionami, które mamy na różnych częściach ciała, ja na ramieniu, Ed na nadgarstku, a mama – pod piersią. Tato też miał taki znak, ale go usunął ze względu na to, że „pracował ciałem” – jak sam powiedział. Ale na tym nie koniec, taki sam znaczek, czerwony, w kształcie ósemki, ma jeszcze ciocia Alisha, wujek Brian i wujek Theodor, ich córki Frigga i Anastazja, wujek Jurij, ciocia Chloe z Australii, wujek Tobias z Austrii, Arnar z Islandii i nasza przybrana babcia Boglárka, pochodząca z Węgier. Co kilka lat ktoś nowy dołącza do naszego grona, a mama i tato urządzają wtedy wielką fetę. Niestety, ja i Ed oraz mała Anastazja, jak na nią mówimy, choć jest od nas młodsza o rok z ogonkiem, nie zostaliśmy jeszcze dopuszczeni do rozmów i dlatego nie znamy całej prawdy o tym, kim jesteśmy i o co chodzi z tymi znaczkami.

Kiedyś ich podsłuchiwałam, ja, Ed i Anastazja, bo to ona wpadła na ten pomysł. To było jeszcze w Londynie. Niestety, wujek Theodor nas nakrył i okropnie obsztorcował. Zdążyliśmy jedynie usłyszeć, że babcia Boglárka ma dar bilokacji. Ed sprawdził, co to oznacza, i znalazł książkę o świętym, który nazywał się Pio. Ten człowiek mógł być równocześnie w dwóch różnych miejscach. Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe, choć naukowcy, między innymi nasz wujek Jurij, pracują nad czymś, co też wydaje się osobliwe, czyli nad teleportowaniem rzeczy i ludzi. Już są blisko, bo potrafią teleportować drobne przedmioty, na przykład łyżeczkę albo kamyk, ale moim zdaniem to nie jest ani w połowie tak dziwne jak bilokacja.

Z drugiej strony i mnie przydarzyło się kiedyś coś niecodziennego, bo moja mama ostrzegła mnie przed wypadkiem! Wracałam z biblioteki, trochę się tam zasiałam, a mój fon został w domu. Szłam z nosem w książce i prawie wpadłabym pod samochód, gdyby nie głos mamy! Krzyknęła w mojej głowie, że mam się zatrzymać. Rzeczywiście, gdyby nie jej ostrzeżenie, pewnie bym zginęła. Gdy wróciłam do domu, opowiedziałam jej wszystko, a mama zrobiła się czerwona jak burak. Skrzyczała mnie, że nie uważam, aż bałam się spytać, czy to naprawdę ona do mnie mówiła.

To też zdarzyło się jeszcze za czasów, gdy mieszkaliśmy w Londynie. Niestety, rodzice podjęli decyzję, że musimy się przeprowadzić do Los Angeles. Tato trochę zmienił profil i dodatkowo zajął się reżyserią. Otworzył swoje studio filmowe i nakręcił film ze scenariuszem opartym na motywach książki, którą kiedyś napisał jego dawny przyjaciel. Film okazał się hitem, bo dostał aż sześć Oscarów, między innymi za główną rolę męską (nagroda dla taty) i scenografię

oraz kostiumy (które z kolei przygotowała nasza mama). I tak moi rodzice dostali jednocześnie trzy nagrody, bo przypadła im jeszcze ta główna, najważniejsza, za najlepszy film. Dlatego mieszkamy tutaj, w Santa Monica, w wielkim domu bardzo blisko plaży. Tato tak chciał, a ja i Ed, chociaż bardzo lubimy to miejsce, okropnie tęsknimy za naszym starym domem w Purfleet. Dobrze, że rodzice go nie sprzedali i mieszkają tam teraz babcia Ruby i dziadek George. Dom jest ogromny, ma dwanaście sypialni i prawie tyle samo łazienek, a otacza go jeszcze większy ogród. Mieliśmy stamtąd blisko do babci Julii i dziadka Alana, czasami przyjeżdżali do nas rodzice taty albo ciocia Alisha z rodziną, a najbardziej lubiłam, gdy wujek Theo przywoził Friggę, ciocia Wiktorii – Jamesa i Emily, do tego ja i Ed, i oczywiście największy łobuz, czyli Anastazja! Nasza szóstka stanowiła bandę najgorszych dzieciaków w całym Zjednoczonym Królestwie. Wujek Theo zawsze mówił: „Ogniu, kroc za mną”, gdy widział, co wyczynialiśmy, a nasza niania Brygida, która jest bardzo religijna, na nasz widok żegnała się co minutę. Ech, to były piękne czasy...

Pociągnęłam nosem na te wspomnienia i otworzyłam pamiętnik, myśląc, że jak tak dalej pójdzie, to do wieczora nie napiszę ani jednego zdania. Wykaligrafowałam starannie datę naszych piętnastych urodzin i już zamierzałam zacząć wymieniać, kto przyjechał na uroczyste obchody, gdy usłyszałam ciche pukanie.

– Mogę na chwilę? – spytała mama, wsuwając głowę do pokoju.

– Uhm – przytaknęłam.

– Co robisz? – Mama przysiadła na małym fotelu tuż obok mojego biurka. Wyglądała jakoś biednie i smutno. Pewnie było jej przykro, bo wczoraj odjechali ostatni goście: babcia Julia z Alanem i rodzice taty.

– Chciałam opisać urodziny, żeby nie zapomnieć, jak to było.

Zamknęłam pamiętnik, czując, że zanosi się na dłuższą pogawędkę, bo mama lubiła czasami przyjść do mnie, żeby poplotkować w ścisłym damskim gronie. Zwłaszcza ostatnio zdarzało się jej to coraz częściej, podobnie jak tacie i mojemu bratu. Też nasilili częstotliwość „męskich” wypadów. Byli nawet na rybach, co mnie zszokowało, bo Ed okropnie brzydzi się robali. Pewnie dlatego prawie nic nie złowili, za to przyjechali umorusani jak nieszczęście.

– Brakuje mi wszystkich – westchnęła mama. – Wczoraj wyjechali, a ja już tęsknię.

– Może wrócimy do Londynu?

– Żeby to było takie proste. Teraz macie tatę codziennie, a pamiętasz, jak było kiedyś? – Bezwiednie bawiła się długim pasmem włosów.

– Pamiętam – stropiłam się. Gdy mieszkaliśmy w Londynie, tato bywał gościem w domu. – Trzeba powiedzieć wszystkim, żeby się tu przeprowadzili.

– To raczej mało realne. Babcia Julia jeszcze pracuje zawodowo, może za

kilka lat, jak przejdzie na emeryturę, a Ruby i George? – Mama machnęła ręką. – Nie ma mowy. Nie przesadza się starych drzew, zresztą już raz się przesadzali. – Pokazała palcami znak cudzysłowu. – Drugiej przeprowadzki nie wytrzymają. Szkoda, że biedna siostra Inez nie dożyła waszych piętnastych urodzin.

– Ona była bardzo stara – powiedziałam, próbując policzyć, ile mogła mieć lat jedna z zakonnicek, której zawdzięczaliśmy, ja i Ed, naszych rodziców. – Miała pewnie siedemdziesiąt lat albo więcej.

– To wcale nie jest dużo. Babcia Ruby jest znacznie starsza, a popatrz, jak świetnie sobie radzi.

– Babcia Ruby jest nieśmiertelna. – Zaśmiałam się, bo mama taty była najbardziej zwariowaną staruszką, jaką znałam. Miała więcej energii niż Ed, wszędzie chodziła pieszo, dwa lata temu założyła wielką hodowlę róż i prawie codziennie jeździ tam na rowerze, a raz poszła ze mną do skateparku, żeby sprawdzić, jak to jest szaleć na rolkach. – Chyba nigdy nie umrze. A na pewno na nic nie zachoruje.

– Kiedyś zachorowała, ale ktoś bardzo skutecznie ją wyleczył. – Mama obdarzyła mnie łagodnym uśmiechem. – Ależ ten czas płynie. – Pokiwała głową. – Starzejemy się.

– Co? – Nie mogłam tego słuchać. Wyglądała bardzo młodo, tak jak tato, choć był od niej starszy o dziesięć lat. Troszkę posiwiół na skroniach, ale to tylko dodawało mu uroku i ostatnio znów uznano go za najprzystojniejszego celebrytę świata. – Na pewno się nie starzejesz, jesteś taka sama jak kiedyś. Tylko my się zmieniamy. Rośniemy. Najbardziej Frigga. Jest zgrabna i wysoka – westchnęłam z zazdrością, bo ciągle nie mogłam jej dogonić wzrostem. – Prawie tak samo wysoka jak tata.

– Ty też jesteś zgrabna. Masz doskonałą figurę i śliczną buzię. Nie narzekaj, bo nie masz się na co skarżyć. – Żartobliwie pogroziła mi palcem. – A Frigga? Wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata, nic dziwnego, że jest od ciebie wyższa.

– Szkoda, że nie przyjechała tym razem. Lubię słuchać, jak gra.

– Tylko wtedy ktoś korzysta z naszego fortepianu – zażartowała mama, pijąc do tego, że kiedyś kupili mi ten instrument, bo wymyśliłam, że będę się uczyć gry. – Spotkacie się za niecałe dwa miesiące. O ile będzie w Londynie. Thor mówił, że Frigga ma jakieś tournée latem.

– I tak jestem mniej wymagająca niż Anastazja – zauważyłam, bo nasza przyszywana kuzynka całe życie zachowywała się jak prawdziwa księżniczka, ale nie dało się jej nie lubić, bo zawsze miała dzikie pomysły i podobnie jak Ed, całodobowo tryskała humorem. – Nie mogę się doczekać wakacji. Chcę ich wszystkich znów zobaczyć. Wejdziemy z Aną na drzewo, o ile nasz domek jeszcze się nie rozpadł, i będziemy tam siedzieć cały dzień.

– Jak się zmieścicie.

– My się zmieścimy, gorzej, gdy Ed będzie chciał do nas dołączyć.

– Na pewno nie będzie. Edward zrobił się ostatnio bardzo poważny. – Mama wstała i ucałowała mnie w czubek głowy.

– Masz rację. Jest dziwny. Co chwilę się zamyśla, a potem leci do taty i zamyka się w jego gabinecie. Wkurzają mnie te sekrety.

– Cóż począć. Dorastacie. Minie kilka lat i... – zawiesiła głos, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze.

– Anno?! – dobiegło nas z korytarza.

To tato szukał mamy. Za każdym razem, gdy chociaż na kwadrans znika mu z oczu, nasz ojczulek przetrząsa cały dom, jakby nie mógł bez niej przeżyć. To takie słodkie... Rodzice bardzo się kochają i ani myślą o rozstaniu, co stało się prawdziwą plagą wśród przedstawicieli filmowego świata.

– Jestem u Cathy! – odrzyknęła mama.

– Chodźcie! Musicie coś zobaczyć! – Tato wpadł do mojej sypialni, złapał mamę za rękę i szybko dał mi znać, że mam iść razem z nimi. Zbiegliśmy na dół. Oczywiście po drodze mama próbowała dopytać, o co chodzi, ale tato nie chciał powiedzieć. – Patrzcie... – powiedział, wyraźnie wzruszony.

– Boże... – jęknęła mama, przysiadając na brzegu wielkiej kanapy. Wlepiała wzrok w ekran naszego holoTV. Tato szybko przestawił tryb oglądania na ten zwykły, a nie przestrzenny, bo ani on, ani mama nie lubili stereofonicznego obrazu.

– Boże, Leo... – powtórzyła. – Przecież to...

– To ciocia Alisha? – Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę.

Tato włączył program *Mam talent*, po czym cofnął nagranie, żebyśmy mogły zobaczyć, co go tak poruszyło. Prześliczna dziewczyna o imieniu Lieke do złudzenia przypominała ciocię Alishę. Miała piętnaście lat i mieszkała w Utrechcie. Powiedziała, że zaśpiewa utwór pod tytułem *Dalila*, stary przebój, bo sprzed szesnastu lat.

– Twój tato napisał słowa do tej piosenki... – wymamrotała mama.

– Naprawdę? – Spoglądałam to na mamę, która właśnie zaczęła płakać, to na tatę, wyglądającego niewiele lepiej. Sprawiał wrażenie, jakby ujrzał ducha. Siedział obok mamy i obejmował ją ramieniem. – Ale o co chodzi?

– Idź, zawołaj Edwarda, proszę – powiedział do mnie takim tonem, że w minutę byłam z powrotem z moim bratem. Oderwałam go od lektury, a właściwie to od drzemki nad książką.

– Ed, może ty mi wyjaśnisz, o co biega? – zapytałam, trochę wkurzona tym tajemniczym zachowaniem rodziców, ale mój brat poszedł w ich ślady. Rzucił wzrokiem na ekran, a wtedy ugięły się pod nim kolana, padł na podłogę tuż przy maminych nogach i rozplakał się jak dziecko. – Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje?!

– Chodź tutaj – powiedział tato, klepiąc miejsce po swojej prawej stronie.

Gdy siadłam obok, przytulił mnie tak jak mamę. – A teraz słuchamy.

– Niewiele zrozumiałam – szepnęłam najciszej, jak mogłam, gdy wybrzmiała pieśń, bo to była pieśń, nie jakaś tam zwykła piosenka, a śpiew Lieke po prostu mnie poraził. Władowała najcudowniejszym głosem świata.

– „Jest noc jak twoje włosy aksamitna i staram się do ciebie mówić, chociaż możesz mnie nie usłyszeć...” – zaczął recytować tato. Po chwili, ku mojemu zdumieniu, dołączył do niego Ed:

*Liczę na dobrą wolę niebios i snów.
Jest noc jak twoje oczy głęboka
i śpiewam, jak ty śpiewałaś.
Moja droga Dalilo, nie pytam, co u ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę.
Moja ukochana – czas nie chce się zatrzymać,
a ja nie umiem cię zapomnieć.
Twoje wspomnienie jasne, choć dookoła mrok.
Chciałem wczoraj śnić, zapomniałem,
że ja tego nigdy nie umiałem.
A to byłby sen o tobie, wiesz?
Chciałbym odnaleźć choć kawałek ciebie obok,
ale odkąd odeszłaś, jest tylko pustka i drobinki
wspomnień,
które kłują pod powiekami i parzą policzki.
Moja droga Dalilo, nie pytam, co u ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę.
Moje słowa toporne, uwierz,
gdy muszę wędrować sam,
całe powietrze z płuc mam w gardle.
Śnij dobrze, śpij spokojnie.
Pamiętaj, że kocham.*

– Ale skąd ty znasz te słowa? – Popatrzyłam na Edwarda, gdy skończyli recytować.

– Leo, musimy jej powiedzieć. – Mama westchnęła i spojrzała na mnie z czułością.

– Tak, już czas. – Tato pokiwał głową. Pocałował mnie w policzek i powiedział: – Cathy, posłuchaj, nie jesteś zwykłym człowiekiem. Jesteś Wędrowcem...

KONIEC

Gdzieś na Pierwszej Ziemi, sześć dużych światel przed dwa tysiące siedemnastą porą żniw...

Polecamy!



Pierwsza część cyklu „Wędrownicy”.

Anna Wilk z pozoru jest zwykłą nastolatką, która powoli wkracza w dorosłe życie. Pasjonuje się malowaniem, wybrała studia artystyczne. Choć urodzona w Polsce, od wielu lat mieszka razem z matką i Wiką, serdeczną przyjaciółką,

w Londynie. Z okazji ukończenia szkoły matki Anny i Wiki zaplanowały dziewczynom niespodziankę: wyjazd do Francji. Przebojowa Wika odkrywa, że znajdą się tam akurat wtedy, gdy niedaleko, w Cannes, odbywać się będzie słynny festiwal filmowy. A że kocha się w jednym z popularnych aktorów, Leo Blacku, wymusza na Annie wspólne pójście po autografy. Wydarzenia w Cannes wywracają życie Anny do góry nogami, bowiem Leo Black nieoczekiwanie wyławia ją z tłumu i proponuje spotkanie. Szybko pojawia się zauroczenie. Leo nie jest jednak zwykłym człowiekiem – jest Wędrowcem, człowiekiem odradzającym się w nowych wcieleniach. Jak zmieni się życie Anny i jak potoczą się losy tego niezwykłego związku?



Druga część cyklu „Wędrownicy”.

Anna budzi się uwięziona w sterylnym pomieszczeniu. Nie wie, gdzie się znajduje i z jakiego powodu jest przetrzymywana. Wie tylko, że uwięziła ją osoba, której ufała – jej nauczycielka Dorothy. Okazuje się ona jedną z plemienia Habbatum, wrogiego wobec ludzi spod znaku Eperu, takich jak Anna i jej ukochany Leo. Dorothy prowadzi skomplikowaną grę i jest podstępna, zdolna do wszystkiego przeciwniczką. Ma swoje porachunki z Leo. Życie Anny narażone jest

na niebezpieczeństwo. Czy uda jej się wydostać? Co zrobi Leo, by ją uratować? Czy ich miłość pokona przeszkody? I kim jest Brian? Okaże się wrogiem czy sprzymierzeńcem? Pełna przygód, emocji i niespodziewanych zwrotów akcji opowieść o sile miłości i przeznaczenia.

- ¹ Fikcyjny bohater powieści *Kryształowe serca* autorstwa Augusty Docher.
- ² Pasta powstała w procesie odparowania wody z mleka.



Augusta Docher o sobie:
Mama, żona, córka i siostra.
Plastyczka, księgowa, manicurzystka i pisarka.
Ogrodnik, kura domowa i bizneswoman.
Polka, Ślązaczka.
Tradycjonalistka modyfikowana.
Ale przede wszystkim kobieta z krwi i kości.
Autorka książek *Eperu*, *Habbatum*, *Najlepszy powód, by żyć*, *Kryształowe serca*. Publikuje także jako Beata Majewska.

Annie znów grozi niebezpieczeństwo. To z powodu Księgi stała się celem Wędrowców z plemienia Habbatum. Dziewczyna jednak z każdym dniem jest coraz bardziej świadoma swojej mocy i wspierana przez ukochanego Leo przybliża się do odczytania własnego przeznaczenia. Czy obojgu wystarczy sił, by wypełnić swój los? Jaką rolę w tym wszystkim odegra Alisha i jaki jest jej związek z Brianiem? Czy Eperu zdołają powstrzymać plemię Habbatum przed przejęciem władzy nad Wędrowcami, a nawet światem? Skomplikowane losy bohaterów, nieoczekiwane sploty zdarzeń, dramaty i chwile szczęścia – wszystko to sprawia, że lektura ostatniej części „Wędrowców” dostarczy czytelnikom wielu wrażeń.

Patronat medialny:



www.wydawnictwobis.com.pl

